

KAŻDA GRA NIESIE ZA SOBĄ RYZYKO PRZEGRANEJ.  
CZY JESTEŚ GOTOWY, BY JE PODJĄĆ?

MAREK

# Stelar

# TWARDY ZAWODNIK



FILIA

Stelar<sup>MAREK</sup>

**TWARDY  
ZAWODNIK**

**FILIA**

*Wiara w nadnaturalne pochodzenie  
zła jest zbyteczna.  
Ludzie sami umieją się zdobyć na  
każdą niegodziwość.*

Joseph Conrad

## *Niedziela, 19 maja 2013 roku*

Krugłemu śniły się tej nocy koszmary. A ponieważ w jego życiu, zarówno prywatnym, jak i zawodowym, już dawno nie panował taki spokój, doszedł do wniosku, że to skutek wczorajszej zbyt obfitej i zbyt późno zjedzonej kolacji. W końcu nie miał już dwudziestu lat ani strusiego żołądka jak kiedyś.

Stał przy umywalce i kończył się golić. Ostatnie kępki twardego zarostu poddawały się ostrzom maszynki. Krugły opłukał ją z pianki, odłożył na umywalkę i nieco krytycznie spojrzął na swoje odbicie. Był wciąż przystojny, choć odkąd poznał Ewę, jego twarz zdążyła się nieco zaokrąglić. Stabilizacja w związku miała swoje plusy, między innymi w miarę regularne posiłki, ale te z kolei były przyczyną minusów. Fragment szyi między podbródkiem a grdyką zrobił się nieco obwisły, przez co wystawał spoza linii szczęki. Wypełniający go tłuszcz był niczym wyrzut sumienia widoczny w lustrze za każdym razem, kiedy Krugły w nie spojrzął. Podobnie policzki; może nie wisiały, ale były już lekko puciołowate. Wybrzuszenia kości jarzmowych, kiedyś nadających twarzy zadziorność, powoli zanikały. Gęste, ciemne włosy zaczynały siwieć na skroniach, co najlepiej było widać po każdym strzyżeniu. Ich kolor można było określić malowniczo: pieprz i sól. Dobrze, że przynajmniej były jeszcze na swoim miejscu. Zarost na twarzy również zaczynał tracić pigment. Ewa śmiała się, że kiedy Krugły nie goli się przez kilkanaście dni, wygląda jak sznaucer.

Faza wieku dojrzałego, do której komisarz właśnie dotarł, objawiała się zmianami widocznymi na całym ciele, włączając w to okolice pasa i tyłka. Tylko usta, jak je określała Ewa - całusne, wciąż wydatne i świadczące o sile charakteru, pozostały bez zmian. Wokół nich nie pojawiła się ani jedna zmarszczka i Krugły miał nadzieję, że tak pozostanie. Wszystkie te nieszczęścia dopadły go w ciągu ostatnich trzech lat, ale komisarz doskonale zdawał sobie sprawę, że zrzucanie winy za to na Ewę, a w zasadzie na jej zdolności kulinarne, byłoby głupotą. Widać albo Matka Natura zmieniła zdanie i nie chciała już, by wyglądał jak model, albo po prostu powoli, lecz nieubłaganie przegrywał walkę z biologią. Twierdził, że osiągnięcie wieku czterdziestu pięciu lat i tak przyjął z godnością. W ogóle uważał, że narzekać na swoje życie absolutnie nie ma prawa.

Praca w Komendzie Wojewódzkiej Policji w Szczecinie wciąż dawała mu ogromną satysfakcję, choć gdzieś w głębi jego duszy tłukło się przeświadczenie, że cztery gwiazdki to szczyt jego kariery. Choć, oczywiście, nie możliwości. Kolejny awans mógłby po prostu posadzić go na stałe za biurko, za którym najpewniej zgniłby z nudów wkrótce po tym, jak by go tam siłą wcisnęli. Miał nadzieję, że jeszcze przez kilka lat da się tego uniknąć. Związek z Ewą kwitł, było im ze sobą tak dobrze, że nie było sensu wyobrazić sobie, że mogłoby być jeszcze lepiej. Nie myśleli o ślubie ani o dzieciach. Po prostu trwali w cudownym stanie. Para żyjąca na kocią łapę w                   stumetrowym                   mieszkanu                   Krugłego

w dziewiętnastowiecznej kamienicy niedaleko centrum Szczecina.

Krugły przemywał drobne skaleczenie na szyi, kiedy nagle ciszę i spokój niedzielnego poranka przerwał donośny, denerwujący dźwięk. Dochodził od drzwi, ale nie był to dźwięk domofonu. Ktoś dostał się na klatkę schodową, zadał sobie trud wdrapania się na pierwsze piętro, a następnie raczył złośliwie wcisnąć przycisk starego dzwonka, którego brzękliwy charkot kojarzył się Krugłemu z fajrantem w hali fabrycznej. To właśnie w takich momentach przypominało mu się, że już dawno obiecał sobie ten cholerny dzwonek wymienić. Na szczęście Ewa już nie spała, leżała w sypialni, dobudzając się i przewracając w pościeli razem z zakopanymi pod kołdrą kotami.

Krugły wytarł z twarzy resztki pianki i poszedł otworzyć. Kiedy uchylił drzwi, ze zdumieniem zobaczył na klatce schodowej Michalczyka, który opierał się całym ciężarem ciała o framugę, tak że Krugły niespodziewanie stanął z nim twarzą w twarz. Zaskoczony, zamrugał powiekami - każdego spodziewałby się o tej porze i w takim dniu, ale na pewno nie jego.

- Witam, panie komisarzu - powiedział cicho Michalczyk, nie patrząc Krugłemu w oczy.

Wyglądał, jakby przed chwilą wyszedł z jakiejś hucznej imprezy. Miał na sobie garnitur, ale krawata już nie, a koszula pod marynarką była rozchełstana i wymięta. Nieogolony facet z czarnymi włosami, które sterczały mu na wszystkie strony. Głos miał zachrypnięty i zmęczony. Oddychał ciężko. Nagle przeniósł wzrok z czubków swoich

butów na twarz Krugłego i stał tak przez chwilę, wpatrując się w nią szeroko otwartymi oczami. Krugły zastanawiał się, czy to wyczerpanie, czy jednak skutki zabawy. I czy Michalczyk przypadkiem zaraz nie pochyli się i nie zanieczyści mu wycieraczki przed drzwiami.

- Witam, panie prokuratorze - odpowiedział i odkasznął w zwiniętą dłoń.

Oznaka lekkiego zakłopotania pozostała bez echa.

- Kto to? - dobiegł z wnętrza mieszkania głos Ewy.

- Mateusz! - odrzyknął w jej stronę.

- Okej! - zawołała obojętnym tonem, w którym nie było śladu zdenerwowania, jakby niespodziewana wizyta nie była dla niej absolutnie żadnym zaskoczeniem ani tym bardziej problemem.

I za to ją kochał. Między innymi. Otworzył szerzej drzwi i mruknął do Michalczyka:

- Włącz.

Zaprowadził go do salonu i wskazał kanapę. Michalczyk klapnął na niej z westchnieniem.

- Potrzebujesz czegoś? - zapytał Krugły, mierząc go spojrzeniem od stóp do głów i starając się ocenić skalę ewentualnych potrzeb.

Zauważył, że Michalczyk ma na nogach różne buty.

- Klina? Kawy? Wody? Lekarza? - Widząc jego niezdecydowanie, postanowił mu coś podpowiedzieć.

Prokurator pokręcił głową. Zacierał ręce niezbornymi ruchami, znów wpatrzony gdzieś w podłogę. Ruszał się cały, jakby próbował zająć komfortową pozycję i nie za

bardzo mu to wychodziło. Krugły przysunął sobie krzesło i lekko zaniepokojony usiadł przed Michalczykiem.

- Dobra, Mateusz. Jesteś tu, oczywiście, zawsze mile widziany, ale przyznam, że nieco dziwna ta twoja wizyta o tak nietypowej porze. Spodziewam się, że zaraz opowiesz mi coś niezwykłego, tak jak tylko ty to potrafisz.

Michalczyk jakby go nie słyszał. Krugły dopiero po chwili zorientował się, że prokurator coś do niego mówi, a raczej szepcze. Pochylił się lekko w jego stronę.

- Wiesz... - usta Michalczyka ledwie się poruszały - kiedyś w jakimś kryminale, czy powieści sensacyjnej, nie pamiętam czyjej: Hammetta, Bagleya, Deightona, nieważne, jakie to, kurwa, ma teraz znaczenie... czytałem, że główny bohater budzi się rano w łóżku, nie pamiętając niczego, co działo się kilka godzin wcześniej. Niczego. Budzi się, a obok niego leży trup. Rozumiesz to? Trup. Pamiętam nawet, że starałem się wtedy wyobrazić sobie, jakie to musi być straszne uczucie. Bo to bez wątpienia JEST straszne uczucie. Uświadamiasz sobie, że kogoś zabiłeś, choć za cholereę nie masz pojęcia kogo i dlaczego... - Przeczesał włosy palcami obu rąk, ze wzrokiem wbitym w kawałek podłogi widoczny pomiędzy rozchyłonymi kolanami.

Krugły zastanawiał się, do czego zmierza Michalczyk. Słuchanie opowieści dziwnej treści o ósmej rano w niedzielę nie było dla niego wymarzonym sposobem na spędzenie wolnego dnia, nawet biorąc pod uwagę fakt, że się lubili. Ich wzajemne relacje można by nawet określić mianem szorstkiej przyjaźni. Ale, psiakrew, nie dziś i nie o tej porze!



- I wiesz, co? - Mateusz prychnął lekko, odwracając głowę gdzieś w bok. - Dochodzę do wniosku, że nawet w połowie... gdzie tam, w ułamku procentu nie wyobraziłem sobie wtedy, jakie to okropne, przerażające, zostawiające pustkę w głowie i wywołujące mdłości uczucie...

Krugłemu powoli rzedła mina. Zdał sobie sprawę, że powód, dla którego Michalczyk zjawił się w jego mieszkaniu w tak dziwnych okolicznościach, musiał być jednak poważny. W duchu błagał go, żeby to, co przed chwilą powiedział, było tylko niezrozumiałym, dziwnym preludem do banalnej historii. Śmiesznej albo nawet bzdurnej dykteryjki, którą z jakichś niejasnych w tej chwili dla Krugłego względów Michalczyk zdecydował się sprzedać mu akurat tu i teraz. I żeby rdzawe plamy na dłoni i z tyłu marynarki, które właśnie zauważył, były śladami farby albo błota.

- Robert... - Michalczyk spojrzał mu w twarz, a w oczach błyszczały mu łzy szoku i przerażenia. - Ja... - westchnął spazmatycznie, nabierając powietrza i wyrzucił z siebie drżącym z emocji głosem. - Dziś w nocy, w swoim mieszkaniu... Kurwa, człowieku, ja chyba dzisiaj kogoś zabiłem!

## *Wcześniej*

Twardy zawodnik. Tak właśnie o sobie myślał. Nie w kategoriach siły fizycznej. Nie, chodziło o to, co miał w głowie i jak umiał to wykorzystać, pnąc się po szczeblach kariery zawodowej. Nie wyglądał na

twardziela. Miał wyjątkowo dobrą przemianę materii, która nie pozwalała mu przekroczyć choćby o gram wagi siedemdziesięciu kilogramów. Przy wzroście metr osiemdziesiąt czyniło to jego postać nieco tyczkowatą. Burza przypominających lwią grzywę odziedziczonych po matce blond włosów powiększała optycznie głowę, nadając jego sylwetce wrażenie niestabilności. Kiedy szedł wyprostowany, niczym z przywiązaniem do pleców kijem, wyglądał, jakby miał się wywrócić, gdy tylko głowa razem z górną częścią tułowia odchyli się od pionu i przeważy. To wszystko rekompensowała mu uroda. Mieszanka krwi szwedzkiej matki i ojca Polaka o greckich korzeniach nadały jego twarzy wyraz dystyngowanego chłodu tchniętego w słowiańskie i odrobinę południowe rysy. Prosty nos, wysokie czoło, mocno zarysowana linia szczęki oraz czarne oczy i ciemne brwi kontrastujące z jasnymi włosami – ta twarz była zdecydowanym charakterem doskonale uzupełniającym się z silnym ego i wielką ambicją.

Był graczem. Traktował całe swoje życie jak grę. I uwielbiał to. Kręciło go nawet nie tyle ryzyko czy spodziewane zwycięstwo w kolejnym jej etapie, ile sama gra. Planowanie, rozstawianie pionków, którymi byli ludzie dookoła niego, aranżowanie wydarzeń – to było to, co kochał robić. Nie potrzebował wypraw do dżungli, męskich spotkań na meczach czy galach KSW, hazardu, nurkowania we wrakach ani skoków spadochronowych czy na bungee. W jego przypadku potrzebę silnych wrażeń zaspokajał w zupełności wir pracy, w który rzucał się każdego dnia. Spalał się, to prawda, ale równocześnie

czepał z niej ogromną przyjemność. Miał spory zakres obowiązków, w dodatku skomplikowany logistycznie charakter jego pracy wymagał maksymalnego zaangażowania czasu i sił. Szkolenia i prezentacje aparatury, kontrakty na dostawy i serwis, organizacja stoisk na konferencjach naukowych – niewielka grupa ludzi, którą kierował, bez niego byłaby jak dzieci we mgle, i wszyscy zdawali sobie z tego sprawę. I tam, w Polsce, i tu, w Malmö.

Anders Södergren stał oparty o barierkę nad kanałem Rörsjö przy Drottninggatan, niedaleko mostu Paulibron i wpatrując się w wystający zza zabudowań spiczasty szczyt hełmu kościoła św. Piotra, palił papierosa. Zaciągał się łapczywie, smakował mu dziś wyjątkowo. Nie palił dużo, paczka wystarczała mu zwykle na kilka dni. Był zdania, że papierosy są jak wino albo dobra whisky. Smakują lepiej, gdy delektuje się nimi w komfortowej i przyjemnej atmosferze. Atmosferze zwycięstwa, na przykład. Nie potrzebował cygara – biały, cienki, napakowany tytoniem rulonik z pomarańczowym filtrem wystarczał mu w zupełności. Był w sam raz.

W Malmö było dziś słonecznie, ale nieco wiało. Södergren właśnie wyszedł ze spotkania w siedzibie centrali Avunläke AB. Trwała przerwa, skończyło się motywacyjne pieprzenie szych z zarządu, czekało go jeszcze robocze spotkanie grupy wschodnioeuropejskiej. Miał na sobie markowe ciuchy: koszulkę polo, marynarkę o raczej niezobowiązującym kroju, do tego dzinsy i zamszowe buty. Ubiorem wpisywał się w modny ostatnio wśród skandynawskiej kadry menedżerskiej trend luzu,

wygody i swobody, zastępujących sztywne kołnierzyki ściśnięte razem ze ścięgnami szyi starannymi węzłami drogich krawatów. Pracował w tej firmie od ponad dwóch lat. Wcześniej był przedstawicielem Finlay Pharm Polska, oddziału dużej amerykańskiej firmy farmaceutycznej. Odpowiadał za kontakty z lekarzami w północno-zachodniej Polsce i to właśnie w Finlayu nauczył się, jak działa ten biznes i jak można przy odrobinie sprytu i inwencji dorobić parę groszy do i tak niezłych zarobków.

Zaciągnął się papierosem i wrócił wspomnieniami do przeszłości, przelatując w myślach całą drogę, którą przeszedł, by znaleźć się w obecnym miejscu.

Dzieciństwa nie wspominał mile, a przynajmniej tej jego części, którą spędzał w Polsce z ojcem. Tam chodził do szkoły, tam mieszkał. Do matki do Szwecji jeździł latem, spędzał u niej całe wakacje, a czasem również ferie zimowe. Romans nawiązany w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym roku na promie „Wilanów” między gitarzystą zespołu przygrywającego kierowcom i młodą Szwedką, wybierającą się w pierwszą w życiu zagraniczną podróż, był płomienny, lecz krótki. Nie miał najmniejszych szans na przetrwanie. Ojciec nie chciał uciec do Szwecji, bo miał w Szczecinie chorą matkę, a potem, kiedy umarła, było już za późno. Owocem upojnej nocy, wspólnie spędzonej w ciasnej kajutce stanowiącej garderobę zespołu, był on. Kochali go oboje – to dlatego ich ostateczne rozstanie dwa lata później nie zakończyło się praniem brudów, tylko kulturalnym pożegnaniem przy kolacji, na tym samym promie, tym razem płynącym w przeciwnym kierunku – do Ystad.

Wtedy właśnie rodzice ustalili podział ról i terminy przyszłych wizyt Andrzejka u mamy. Kiedy dziś myślał o tym układzie, był zły, że potraktowali go trochę jak przedmiot, jeden z wielu składników dzielonego majątku. Inną sprawą było to, jaki majątek może mieć dwudziestoletnia dziewczyna i niebieski ptak bez stałej pracy i dochodów. Patrząc wstecz na całe swoje życie, uważał, że powinni byli zostawić go w Szwecji, żeby tam dorastał. Nigdy ich nie zapytał, dlaczego wybrali dla niego Polskę. Może po prostu bał się o to zapytać?

Mama nieźle się urządziła, poznawszy marynarza z promu kursującego do Trelleborga - pływał na nim jako pierwszy oficer. Chyba coś w tych promach było. Sven był sympatyczny i wzbudził podziw w siedmioletnim Andrzejku, któremu władza ludowa po zniesieniu stanu wojennego łaskawie pozwoliła zobaczyć się z, i tak ledwie pamiętaną, matką. Sven przypominał prawdziwego wikinga, takiego z komiksów o Thorgalu Aegirssonie. Odtąd Andrzejek przyjeżdżał do nich co pół roku, a potem wracał do siebie obładowany prezentami, szkolną wyprawką i wspomnieniami innego, kolorowego życia. W klasie koledzy traktowali go trochę jak kuriozum, zazdroszcząc mu dwustronnych piórników z pisakami w dwudziestu czterech kolorach i leciutkiego jak piórko kanciastego tornistra bijącego w oczy refleksami czerwonych, niczym drogocenne rubiny, odblasków. Ojciec cieszył się jego szczęściem, przekonywał, że zazdrość to okropne uczucie.

Dziś Södergren czuł się bardziej Szwedem niż Polakiem, toteż dziwił się sobie, że zdecydował się osiąść

w Polsce. Być może podświadomie traktował to niejako tymczasowo - w końcu w dzisiejszych czasach wybudowanie domu w jakimś konkretnym miejscu nie oznaczało już przywiązania się do niego na stałe. Świat to globalna wioska. Zawsze mógł dom sprzedać i przenieść się do Szwecji. Z nostalgią wspominał wakacje u matki w Majornie na przedmieściach Göteborga. Pamiętał wyprawy na nabrzeże, promy wypływające z portu w kierunku Danii, RFN-u czy Anglii, mnóstwo łódek, smak tamtych słodczy... Najlepszej czekolady na świecie nie robią wcale w Szwajcarii ani w Belgii, tylko właśnie w Szwecji. I pamiętał to uczucie, kiedy schodził z promu w Świnoujściu i ponownie zanurzał się w szarą rzeczywistość PRL-u. Nawet kiedy był już nastolatkiem, a Polska powoli, bardzo powoli, zaczęła doganiać cywilizowany świat, to uczucie wciąż niezmiennie towarzyszyło mu w drodze ze Świnoujścia do Szczecina. Potem dochodził jakoś do siebie, jednak nie mógł doczekać się następnych ferii czy wakacji.

Ogólniak przeleciał bez komplikacji i większych problemów, młodzieńczy bunt okresu dojrzewania przyjął u niego bardzo łagodną postać. Jego jedynym przejawem było ogolenie głowy na łyso, ale tylko raz, bo ktoś w szkole powiedział mu, że wygląda, jakby miał raka. Studia na Wydziale Lekarskim Pomorskiej Akademii Medycznej w Szczecinie zaczął i nawet ukończył, choć orłem nie był. Od początku wiedział, że lekarzem nie zostanie, ale matka i Sven obiecali mu złote góry, jeśli spełni jej marzenie i otworzy kiedyś prywatną praktykę. Ojciec niczego mu nie obiecał, bo nie ogarniał już

rzeczywistości. Prochy, woda i HIV, podleczeni od czasu do czasu na oddziale zakaźnym szpitala przy Arkońskiej, spustoszyły jego organizm i podziurawiły mózg. Trzęsące się ręce z ledwością otwierały butelkę piwa, a gitary nie trzymały już od lat. Kiedy widział, jak stary przychodzi do domu raz, dwa razy w tygodniu, żeby umyć się, odespać i pożyczyć trochę forsy, wizja zostania lekarzem odpływała jeszcze dalej. Gdy dezynfekując po nim wannę, naczynia i siedziska krzeseł, myślał, że musiałyby się zajmować takimi jak on, ogarniały go mdłości. Brak empatii uniemożliwiał bycie dobrym lekarzem, a fakt, że był tego świadomy, całkowicie uspokajał jego sumienie. Poza tym osiągnięcie statusu zawodowego, jaki ostatecznie mógłby go zadowolić, kosztowałoby go w tym fachu mnóstwo czasu, energii i pracy. Pracy się nie bał, energii miał pod dostatkiem, ale nie czasu. On chciał mieć wszystko – ale zaraz.

Forsa od matki i Svena a forsa zarobiona samodzielnie to dwie różne rzeczy, dlatego już na studiach kombinował. Największym numerem, jaki odstawił, była kradzież leków opioidowych z sejfu w gabinecie lekarza dyżurnego OIOM-u w jednym ze szpitali, gdzie akurat mieli zajęcia. Sprzedał je z niezłym zyskiem pewnemu koledze ze studiów, ale wkrótce uznał, że istnieją inne, równie intratne, lecz mniej ryzykowne metody zarobku. Podjął decyzję, że od tej pory wszystko będzie robił w białych rękawiczkach. Na początek zmienił nazwisko. Zdecydował, że będzie używał panieńskiego nazwiska matki.

Zgasił niedopałek papierosa o barierkę i pofatygował się do stojącego niedaleko kosza na śmieci. Przemknęło mu przez myśl, że Polak rzuciłby kiepa pod nogi. Od dziecka dziwiło go, jak te dwa narody mogą aż tak się różnić. Gdy dorósł, zdał sobie sprawę, jaką zmianę w mentalności Polaków spowodowała czterdziestopięcioletnia przyjaźń z sąsiadem ze Wschodu. Ale Szwecja też kiedyś była biednym krajem, który jednak potrafił się dźwignąć. Inna sprawa, gdzie podążał teraz, kiedy socjalny raj okazał się ślepym zaułkiem? Mimo to jeszcze do niedawna z obrzydzeniem patrzył na gorączkowe przesiadanie się i zamienianie miejscami w zjeżdżających z promu polskich samochodach, gdy wśród nich pojawiali się funkcjonariusze policji z alkomatami i ogromną plastikową torbą pełną jednorazowych ustników. Polacy wciąż potrafili narobić wiochy.

Wrócił na swoje stanowisko przy barierce i pozwolił sobie na zapalenie następnego papierosa. Myśli ponownie pobiegły ku przeszłości, tym razem nie tak odległej.

Z Finlaya wyleciał, kiedy zdążył dorobić się już praktycznie wszystkiego, co teraz miał. Wypasionego (w granicach przyzwoitości) volvo, prawie wykończonego domu i Nikoli.

Nikola. Nikola Sandecka. Byli razem od dwóch lat. Jej dwudziestotrzyletnie ciało warte było najcięższego grzechu. Szare oczy w ciemnej oprawie rzęs, umiejętnie podkreślonej makijażem, niezbyt bystro patrzące spod gęstych, starannie wyregulowanych pęsetką brwi. Wydatne usta, zawsze trochę rozchylone, jakby w wyrazie



dziecinnego zdziwienia albo raczej słodkiej, kuszącej obietnicy. Za nimi białe, zadbane zęby, drobne, a co za tym idzie, przydające jej twarzy nieco drapieżnego charakteru. Nieznacznie wystające kości policzkowe i ciemne, niesforne, lekko kręcone i puszyste włosy. To właśnie ona. Przypominała urodę gwiazdy filmów dla dorosłych z późnych lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku. Z prawdziwych filmów, a nie z tych kręconych chałupniczo tandetnych pornosów przywożonych przez ojca ze Szwecji, w których chuderlawe panienki udawały rozkosz z wdziękiem gumowej lalki, rzucając za kadr lekko przestraszone spojrzenia z niemym pytaniem w oczach: „Dobrze, panie reżyserze?” albo „Niedobrze mi, panie reżyserze!”.

Nikola miała urodę jak tamte gwiazdy, zimną, jak luty w Göteborgu, ale niebanalną i zwracającą powszechną uwagę zarówno mężczyzn, jak i kobiet. Za to temperament miała ognisty. Zwłaszcza w łóżku. Seks z tą dziewczyną był jak zatracenie się w rozkoszy, której nigdy nie było dość. Jeśli istniał ideał kobiecego ciała, dla niego była nim ona. Jeśli nie istniał, to nie miało znaczenia, bo była ona. Nie grzeszyła bystrością, ale jej ciało wynagradzało mu ten niedostatek. Nie związał się z nią, by dyskutować o filozofii czy literaturze, tylko po to, żeby zaspokoić siebie, swój nieustanny głód jej ciała. Czuł go, odkąd zobaczył ją po raz pierwszy. I to ten głód zagłuszył wyrzuty sumienia, kiedy robił to, czego nigdy nie powinno robić się przyjacielowi – odbijał mu Nikolę.

Ale czy rzeczywiście odbijał? Dziś zastanawiał się, kto tu kogo poderwał. Kiedyś był pewien, że to on ją, teraz już

nie był o tym przekonany. Była głupia jak koza. Zachowywał pozory, ale nie darzył jej za grosz szacunkiem. Ona jednak potrafiła czasem użyć swojego małego rozumku, żeby dostać to, czego chciała. Na przykład jego. No właśnie... Między nimi nie było wielkiej miłości, nigdy - co najwyżej sympatia. Ich związek był układem i chyba oboje doskonale o tym wiedzieli. Ta kwestia nigdy nie podlegała dyskusji, i nie analizował dlaczego. To było jasne. On dawał jej poczucie bezpieczeństwa, ona jemu swoje ciało. Był od Niki uzależniony fizycznie i psychicznie. Od jej zręcznych palców, wilgotnych ust, zmysłowego głosu i aksamitnej skóry, pokrytej delikatnym meshkiem. Od jej zachcianek, które spełniał nawet wtedy, gdy kosztowały go wiele zachodu, ponieważ czuł, że nagroda go nie minie. Wiedział też, że na zakończenie tego związku może zdecydować się wyłącznie ona, bo on by się na taki krok nie zdobył. Doskonale rozumiał, jak mocno kobieta może uzależnić od siebie mężczyznę, czy też raczej, jak mężczyzna może do tego dopuścić, lecz to i tak niczego nie zmieniało. I to też rozumiał.

Westchnął i po raz ostatni zaciągnął się papierosem. Powtórzył wycieczkę do śmietnika, starannie zgasił niedopałek, a potem wyciągnął z kieszeni paczkę miętowych pastylek i wrócił do brązowego biurówka Avunläke.

\* \* \*

Tego dnia nad Szczecinem wisały ciemne ołowiane chmury. Kłębiły się nad miastem, zachłannie zaciągając ostatnie skrawki błękitu nieba, lecz wciąż nie spadała z nich ani jedna kropla deszczu. Södergren otworzył elegancką kutą furtkę i wszedł na teren jednej z posesji przy ulicy Monte Cassino. Jarzące się niebiesko litery na stojącym obok furtki witaczu w formie zgrabnego pylonu z nierdzewnej stali informowały jego i wszystkich zainteresowanych, gdzie się znajdują. „Pewność zdrowia – «Medicertum» – Twoja klinika!” Oto za chwilę miał przekroczyć progi prywatnej kliniki i przychodni doktora Artura Strobisza. Södergren spojrzał na pięknie wyremontowaną poniemiecką willę, której fasada wyłaniała się zza kurtyny zadbanych i wypielęgnowanych zimozielonych krzewów. Każdy detal budynku świadczył o klasie, jaką prezentowała instytucja kryjąca się w jego murach.

Strobisz był kimś i Södergren wiedział o tym. Cieszył się, że złapał tak zacnego klienta. Facet miał głowę i szczęście do interesów, czym mu bez wątpienia imponował. Oprócz kliniki, z którą współpracowali najlepsi szczecińscy lekarze różnych specjalności, Strobisz miał również małą klinikę medycyny estetycznej gdzieś na Gumieńcach i kilka przychodni rozsianych po całym województwie. Przychodnie realizowały kontrakty z NFZ-etą, kliniki tłukły dla niego jeszcze lepszą kasę. Doktor był przykładem człowieka sukcesu, który osiągnął niczym sprawny menedżer sieci sklepów. A odniesienie sukcesu na taką skalę w niełatwej medycznej branży było niewątpliwie czymś niezwykłym. Södergren słyszał, że

Strobisz kandyduje na przewodniczącego Północnej Izby Gospodarczej, i z tego, co zdążył się zorientować, miał na to nawet spore szanse. Laureat nagród przedsiębiorczości, mecenas kultury, który kupił dla Muzeum Narodowego w Szczecinie obraz Ludwiga Mosta, odnaleziony przez kogoś na jakiejś niemieckiej aukcji. Södergren zetknął się ze Strobiszem jeszcze za czasów Finlaya. Nie wiedział, czy doktor będzie go pamiętał, ale miał cichą nadzieję, że tak.

Pokonał ścieżkę z drobnej granitowej kostki i dotarł do schodków. Z prawej strony flankował je wygodny i szeroki podjazd dla niepełnosprawnych, oprócz tego na drugim ich końcu zainstalowano mały podnośnik dla wózków inwalidzkich. Södergren pokręcił głową. Wszystko to świadczyło o bogactwie Strobisza, zarówno firmowym, jak i osobistym, lecz on z doświadczenia wiedział, że często są to tylko pozory. Że wszystkie te oznaki luksusu są w leasingu, kredycie, użyczeniu, a korzystanie z nich kosztuje krocie, mimo że teoretycznie można to odpisać od podatku. I na to liczył. Bo oznaczało to, że Strobisz nie oprze się pokusie wykorzystania sposobności, jaką Södergren da mu już wkrótce. Sposobności do zarobienia niezłych pieniędzy nie całkiem legalnie, ale bezpiecznie. Zdawał sobie też sprawę z jeszcze jednej rzeczy. Kiedy masz dużo, nie oprzesz się pokusie, żeby mieć jeszcze więcej. Wiedział to po sobie.

Wielkie, bogato rzeźbione drzwi dały się otworzyć zaskakująco łatwo. Södergren wszedł do środka i znalazł się w sporym holu. Przed nim, pod ścianą wyłożoną wielkimi płytami trawertynu, znajdowała się recepcja.

Nad młodą brunetką ukrytą do połowy za wysokim kontuarem wisiało logo kliniki: równoramienny krzyż z literami M i C na końcach poziomej belki. Krzyż też był z kamienia, odstawał nieznacznie od powierzchni ściany, a zza niego sączyło się niebieskie światło. Żadnego napisu, hasła czy nawet nazwy kliniki, tylko ten krzyż, niczym cenny artefakt powieszony na ścianie galerii. Przez chwilę Södergren poczuł się jak w greckiej świątyni. Podeszedł do kontuaru z profesjonalnym uśmiechem na ustach.

- Anders Södergren - powiedział do recepcjonistki. - Ja do pana Strobisza, byliśmy umówieni.

Dziewczyna wyciągnęła rękę w bok, nie odwracając wzroku od monitora.

- Drugie piętro, sekretariat jest po prawej stronie od windy.

- Dziękuję - mruknął, podeszedł do drzwi z satynowanej stali i wcisnął przycisk przywoływania. Drzwi rozsunęły się cicho, jakby winda czekała właśnie na niego. Z sufitu kabiny płynęły dźwięki kojącej zmysły relaksacyjnej muzyki. Zanim drzwi się zasunęły, ogarnął hol ostatnim spojrzeniem. Na wygodnych siedziskach poustawianych wzdłuż ścian ludzie w milczeniu czekali na swoją kolej. Starsi, młodszy, wszyscy ubrani w sposób świadczący o ich wysokim statusie materialnym. Choroba nie wybiera - pomyślał Södergren - ale ich przynajmniej na nią stać.

Winda ruszyła niemal niezauważalnie i tak samo zatrzymała się kilkanaście sekund później i dwie kondygnacje wyżej na wysokim poddaszu. Wszedł z niej i skręcił w prawo. Śmiało otworzył drzwi z napisem

„Sekretariat”. Siedząca w nim dziewczyna była wyjątkowo piękna i zgrabna, w dodatku wyglądała na niegłupią. Wstała i wyszła do niego zza biurka, zerknąwszy w notatnik.

- Pan Södergren, prawda? - Pokiwał głową. - Zapraszam, doktor czeka.

O ile wiedział, Strobisz nie był już czynny zawodowo, wciąż jednak używał tytułu naukowego. W sumie trudno się dziwić. Gdyby poświęcając się karierze biznesowej, nie zakończył tej naukowej na doktoracie, dziś pewnie byłby uznanym profesorem. Dziewczyna otworzyła drzwi gabinetu szefa i zajrzała do środka.

- Panie doktorze, pan Södergren z Avunläke...

Obejrzała się i gestem zaprosiła go do gabinetu. Wszedł, przekładając teczkę do lewej ręki.

- Witam, witam! - Strobisz też wyszedł do niego zza swojego biurka, rozkładając szeroko ramiona, jakby witał dawno niewidzianego przyjaciela. Södergren przestraszył się, że zechce go uściskać. Na szczęście Strobisz chwycił obiema rękami tylko jego wyciągniętą dłoń i potrząsnął nią mocno.

- Proszę, niech pan siada - zaprosił, wskazując krzesło. Södergren usiadł, zerkając na ogromny obraz wiszący na jednej ze ścian. Gospodarz zauważył, na co patrzy.

- August Ludwig Most - wyjaśnił z dumą. - Pejzaż Szczecina od strony Łasztowni. Oczywiście kopia, którą zamówiłem u pewnego znanego malarza. Oryginał oddałem tam, gdzie powinien być.

Södergren z aprobatą skinął głową.

- Nie znam się na malarstwie, ale myślę, że to bardzo dobra kopia - powiedział.

- Ba... - Strobisz się roześmiał.

- Tak dobra, że równie dobrze mogłaby się zamienić miejscami z oryginałem.

Po prostu chciał powiedzieć coś zabawnego, żeby przełamać pierwsze lody i dać się poznać jako otwarty człowiek. Strobisz stał bez ruchu dłuższą chwilę, przypatrując mu się w milczeniu. Södergrenowi przemknęło przez myśl, że najprawdopodobniej właśnie niechcący spierdolił sprawę, niezbyt dobrze przemyślanym tekstem grzebiąc szansę na interes ze Strobiszem. Coś jak puszczenie bąka na pierwszej randce - totalna dyskwalifikacja... Cholera wie, o co chodziło, uraził go jakoś czy co? Strobisz powoli dotknął palcem ust, a potem pokiwał nim, jakby mu groził.

- Podoba mi się pański sposób myślenia - powiedział, powoli cedząc słowa. - Naprawdę mi się podoba.

Södergren odetchnął z ulgą, z mocnym postanowieniem, że w przyszłości będzie się bardziej zastanawiał nad tym, co mówi. Rozsiadł się wygodniej na krześle i otworzył teczkę. Strobisz usiadł na swoim miejscu.

- Lepiej panu u Szwedów niż w Finlayu? - zapytał, uśmiechając się szeroko.

Jednak pamiętał. Södergren użył głowy i ramion, żeby tym nieokreślonym gestem zastąpić słowa. Miał mu powiedzieć, że z poprzedniej roboty wyleciał za szwindle? Strobisz odczytał to opacznie, na szczęście z korzyścią dla niego.

- No dobra, widzę, że z pana konkretny człowiek. Podobnie jak ja. Więc do rzeczy. Wie pan już, że staram się o środki unijne na, że tak powiem, odświeżenie części sprzętu w mojej klinice i przychodniach...

Mimo że to nie było pytanie, Södergren znów pokiwał głową, a przed oczami stanęła mu maskotka pieska z tylnych półek samochodów, ta z kołyszącym się w rytm jazdy łbem. Uświadomił sobie, że będzie musiał w końcu coś powiedzieć, a nie tylko ruszać głową. Powiedział więc:

- Zgadza się, wiem.

Cóż, nieźle, jak na początek.

Wiedział, bo rozmawiali już o tym przez telefon tydzień temu. Strobisz poprosił go wtedy o przygotowanie wstępnej oferty na aparaty USG. Miał ją teraz ze sobą. Była rewelacyjna, tak uważał. Długo przekonywał Malmö, żeby zgodzili się dać tak znaczny upust, ale w końcu ich przekonał. Strobisz był klientem nowym, ale wyjątkowo perspektywicznym.

Przez następne pół godziny analizowali szczegóły oferty. Södergren pokazywał prospekty i prezentacje na laptopie, przekonując doktora o słuszności wyboru, jakiego miał za chwilę dokonać. Kiedy skończyli, koszulę pod pachami i na plecach miał mokrą od potu. Ale wygrał. Złowił Strobisza. W końcu przysłała pora na ostatnią część programu.

- Może pozwoli pan się zaprosić na kolację, na przykład do hotelu „Park”? - zapytał, chowając laptop do torby. - Porozmawiamy o dalszych szczegółach współpracy. Nie ukrywam, że byłbym nią bardzo



zainteresowany. I zaszczycony. Mówię to jako przedstawiciel Avunläke...

Strobisz długo wpatrywał się w jego twarz. Södergren znów zastanawiał się, czy czymś go nie uraził albo czy, broń Boże, nie zasugerował czegoś niewłaściwego. Wiedział, że Strobisz jest żonaty, ale to jeszcze nic nie oznaczało. Czasem życie musi mieć smaczek...

- Biznesowa kolacja na koszt firmy - dodał na wszelki wypadek.

Wolał rozwiać wszelkie wątpliwości.

Strobisz cmoknął w końcu i po namyśle powiedział:

- Zgoda. Musi pan wiedzieć, że rzadko daję się komuś wyciągnąć na miasto. Nie ze względu na brak czasu, choć to oczywiście też. Po prostu nie mam ochoty, żeby obcy ludzie zawracali mi dupę, kiedy już wreszcie trafi mi się trochę wolnego. Siedzą i pieprzą o głupotach, siląc się na uprzejmość albo podlizując się. Ale pan mi się podoba. Bez podtekstów. Jest w panu coś. No i pańska oferta... Przyznaję, że zrobiła na mnie wrażenie, a mnie niełatwo już zadziwić, za długo siedzę w tym biznesie. Myślę, że możemy uczcić w ten sposób początek owocnej, mam nadzieję, współpracy.

Umówili się na najbliższy piątek. Södergren zadzwonił do restauracji, żeby zamówić stolik od razu, jak tylko wyszedł z kliniki. A potem siedział przez jakiś czas w samochodzie, patrząc na wielkie krople deszczu tłukące w przednią szybę i szyberdach, i uśmiechał się do siebie. Był podekscytowany. Ryba chwyciła przynętę. Nie miał tylko pojęcia, czym tak ujął Strobisza. Liczył, że ten wyjaśni mu to w piątek.

\* \* \*

Podczas kolacji Södergren wciąż miał w pamięci słowa doktora - te o podlizujących się upierdliwcach. Starał się więc prowadzić konwersację na luzie, unikając skwapliwego potakiwania. Okazało się, że mają trochę wspólnych tematów do rozmowy. Koledzy Strobisza z czasów jego studiów byli wykładowcami Södergrena, więc wypytywał go o nich. On też niedawno wybudował spory dom na Głębokiem i podobnie jak dla Södergrena, dla niego również był on oczkiem w głowie. Wymieniali się anegdotami i historyjkami dotyczącymi zagubienia inwestora w procesie budowy, pośmiali się i oczywiście poklęli na cały proces stawiania domu. W trakcie drugiego dania Strobisz zaczął wypytywać Södergrena o życie osobiste. Nie nachalnie, grubiańsko i o bardzo osobiste szczegóły, a tylko z uprzejmym zainteresowaniem. Kiedy skończyła się pierwsza butelka wina, zaproponował Södergrenowi przejście na ty. Po drugiej wyznał, że przypomina mu jego samego z czasów młodości: ambitny, pracowity i elastyczny. Tak go określił: elastyczny, a Södergren przyznał skwapliwie, że to bardzo trafne określenie. Żegnali się wylewnie, jak starzy przyjaciele, choć Södergren był jeszcze na tyle przytomny, by wiedzieć, że to tylko podlane alkoholem wrażenie. A jeśli faktycznie doktor był podobny do niego, to musiał zdawać sobie z tego sprawę równie dobrze jak on.

Następne spotkanie utwierdziło go w tym przekonaniu. Dalej mówili sobie po imieniu, ale ilekroć Södergren odwiedzał później Strobisza w jego gabinecie, czuł, że ten

lekk dystansuje się od niego, skupiając się wyłącznie na czysto formalnych i technicznych kwestiach sprzedaży urzędzeń USG. W zasadzie Södergren nie miał nic przeciwko temu. Miał jasno określony cel i do niego dążył.

Wreszcie, kilkanaście tygodni później, można było finalizować transakcję.

\* \* \*

Tego dnia Strobisz był w lekko filozoficznym nastroju. Często rzucał kąśliwe uwagi na temat rzeczywistości i realiów biznesu w Polsce. Trochę to Södergrena dziwiło, w końcu dostał to swoje dofinansowanie, więc powinien tryskać humorem. Przecież spotkali się po to, żeby ten fakt uczcić i podziękować sobie. Przynajmniej tak sądził Strobisz, a w zasadzie Södergren zakładał, że tak sądzi. Tylko tyle powiedział mu przez telefon, o reszcie wolał rozmawiać w cztery oczy.

Dziś miał dla niego królika w kapeluszu. Od kilku dni był cały w nerwach, zastanawiając się, jak tamten przyjmie propozycję, którą zamierzał mu złożyć. Södergren patrzył, jak jego najlepszy klient nalewa sobie rumu. Sam odmówił alkoholu, nawet małej szklaneczki. Nie był przesadnie praworządny, po prostu samochód był jednym z narzędzi jego pracy i nie mógł sobie pozwolić na utratę prawa jazdy. Zadowolili się coca-colą. Strobisz trzymał kilka jej butelek w małej, ukrytej w jednej z eleganckich szafek lodóweczce, twierdząc, że jest od tego świństwa uzależniony. Podobnie zresztą jak od rumu.

Kiedy Strobisz skończył już narzekać na kondycję elit politycznych kraju, Södergren wypalił:

- Mogę ci zadać pytanie, Artur?

Strobisz rozłożył ręce.

- Jasne, słucham - odpowiedział lekko zdziwiony.

- Chciałbyś zarobić trochę grosza?

Zdziwienie przerodziło się w zaskoczenie, a potem w autentyczne rozbawienie.

- Poważnie pytasz? - parsknął. Södergren zmieszał się trochę.

- Tak. Poważnie. Bo sposób jest dobry, ale nie całkiem legalny. Choć bezpieczny.

Strobisz obliznął usta, mierząc Södergrena wciąż rozbawionym spojrzeniem.

- Stary koń, a bawi się w takie podchody. - Pokręcił głową. Södergren uświadomił sobie, że Strobisz go przejrzał. I to dawno. W sumie nie ma się czemu dziwić. To nawet lepiej. Będzie mógł przejść od razu do konkretów. Doktor nie czekał, aż Södergren się odezwie, tylko podszedł do niego.

- Podczas tamtej kolacji obserwowałem cię, Anders. Przynajmniej do momentu, w którym byłem jeszcze w stanie... Ty i ja jesteśmy podobni, takie są wyniki moich obserwacji - Strobisz spojrzał mu uważnie w oczy - dlatego tak dobrze się dogadujemy. Ludzie mający typ osobowości taki, jak my, traktują życie i rzeczywistość jako jedną z możliwych opcji ułożenia pionków na szachownicy i jakiś... punkt wyjścia.

- Nie umiem grać w szachy, Artur. - Södergren uśmiechnął się skromnie.

- To nieważne. Nawiasem mówiąc, powinieneś się nauczyć. Myślę, że byłbyś niezły. Ja mówię teraz o analogii. Tacy ludzie jak my wchodzą w interakcje i znajomości, tworząc sieci zależności i połączeń na kilku poziomach. Jak w szachowej symultanie. Nasza znajomość to efekt takiej gry, Anders. Gramy sobą, tak jak gramy innymi.

Södergren był trochę zaskoczony. Słowa, które padły podczas pamiętnej kolacji w formie grzecznych formułek, potwierdzały się teraz jasno i wyraźnie. Strobisz prezentował niemal identyczny jak on pogląd na życie. Nawet nomenklatura, której używał, była podobna. Ba, była taka sama. Gra. Postanowił sprawdzić, jak bardzo Strobisz jest podobny do niego. Czy jest twardym zawodnikiem.

- Sugerujesz, że powinienem zaprosić cię do domu, poznać ze sobą nasze kobiety i tak dalej? - zapytał z kpiącym uśmiechem. - A potem wyjechać na wspólne wakacje? Na Kubę, Dominikanę albo do Tajlandii?

Strobisz spojrział na swoje paznokcie.

- Będę brutalnie szczery - odpowiedział. - Gra to gra. Nie interesują mnie kontakty towarzyskie z tobą i twoją kobietą, bo to nie jest element tej gry, w którą gramy. Mamy do zrobienia interes i na tym sprawa się kończy. Następna zacznie się, kiedy znów pojawi się okazja do zrobienia kolejnego interesu. Wspólna kolacja kilka miesięcy temu, na której wypytywałem cię o życie osobiste, to nie była próba zawarcia przyjaźni. To był test.

- Spojrzał na Södergrena spod przymrużonych powiek. - Zmartwiłem cię, Anders? Zasmuciłem?

Uśmiech Södergrena był pełen uznania. On też nie miał zamiaru zapraszać Strobisza do siebie ani przedstawiać mu Niki, merdając ogonem z udawanym entuzjazmem. *Själsfrände*. Tak to się określa? Bratnia dusza.

- Nie, Artur - powiedział. - Nie zmartwiłeś mnie ani nie zasmuciłeś. Właśnie upewniłeś mnie, że jesteś osobą, z którą chciałbym grać. W takim razie może po prostu przejdziemy do szczegółów? Bo rozumiem, że właśnie zdałem test?

Strobisz wstał i podszedł do drzwi, uchylił je i rzucił do sekretarki:

- Słońce, zrób nam, proszę, dwie kawki i nie wpuszczaj nikogo, dobra? Telefonów też na razie nie przełączaj. Po prostu nie ma mnie, okej?

Zamknął drzwi i wrócił do biurka.

- Zdałeś - sapnął, usiadł na obrotowym krześle, które musiało kosztować kupę forsy, i odchylił się na nim do tyłu. - No to słucham cię uważnie.

- Po pierwsze gratuluję przyznania funduszy. Ciężko było?

- Wiesz... Pewnie, że tak. Teoretyczne trzy miesiące procedur zamieniły się w praktyczne pięć. Ale mam w Urzędzie Marszałkowskim kogoś, kto mi dobrze życzy. Dostanę zaliczkę, więc na razie nie będę musiał wykładać własnej kasy. Nieważne. Ważne jest to, że mam pieniądze na te twoje zabawki. Rozumiem, że ustalona cena ani konfiguracja zamówienia nie uległy zmianie?

- Absolutnie nie.

- Wiesz, w przyszłym roku ma wejść program z Ministerstwa Zdrowia. Profilaktyka urologiczna dla osób powyżej pięćdziesiątego roku życia. Ma objąć głównie obszary wiejskie, więc jeśli się załapię na ten kontrakt, przychodnie Medicertum w miastach powiatowych będą miały co robić. Ale to tak między nami.

Södergren skinął poważnie głową i rozsiadł się wygodniej na krześle. Nabrał w płuca spory haust powietrza. Czas przejść do sedna.

- Zastrzegłeś możliwość dalszej odsprzedaży, tak jak ci sugerowałem? - zapytał Strobisza.

- Nie jestem idiotą, Anders. Też bym na to wpadł. Po trzech latach, tak jest w umowie.

Södergren zagryzł wargę.

- A gdybym dał ci okazję, żeby sprzedać je szybciej?

- Szybciej?

- Praktycznie od razu, jak tylko przyjadą z Finlandii. Tam są produkowane, przynajmniej częściowo - wyjaśnił.

- W Espoo, tuż koło siedziby Nokii, wyobraź sobie.

- Od razu? Żartujesz?

- Nie. Można dużo zarobić. I nie mówię o samych aparatach. Chociaż je też gładko można opchnąć. Mówię raczej o głowicach...

Södergren przerwał, bo do gabinetu weszła sekretarka z kawą. Uśmiechnął się do niej. Odwzajemniła uśmiech, postawiła filiżanki na biurku i wyszła bez słowa, cicho zamykając za sobą drzwi. Strobisz odprowadził ją wzrokiem.

- Nie, nie posuwam jej - powiedział, widząc spojrzenie Södergrena.

Wziął z biurka obie kawy i wstał.

- Chodź do stolika.

Usiedli w miękkich wygodnych fotelach. Strobisz posłodził swoją kawę i zapytał:

- A co z programem z ministerstwa? Jeśli aparaty będą nieczynne, bo nie będzie do nich głowic, to nie będę mógł go realizować. To też są jakieś pieniądze, i to całkiem niezłe. Szczerze mówiąc, nawet nie wiem, co opłacałoby mi się bardziej...

- Chcesz powiedzieć, że te twoje filie nie mają na wyposażeniu USG?

- Nie takie, jak te z Avunläke. Po to je u ciebie zamówiłem.

- A tamte się nie nadają?

- Do programu? Nie będę konkurencyjny. Mają gorsze parametry, więc mogę nie spełnić ewentualnych kryteriów.

- Napiszesz w aplikacji, że masz SonoRapid III z Avunläke. Bo formalnie będziesz je miał...

- Tyle że bez głowic. Po cholere mi same aparaty, do których nie pasują głowice z philipsów czy samsungów?

- O tym, że nie ma głowic, będziesz wiedział tylko ty, prawda?

- No, nie tylko ja. Menedżerowie przychodni na przykład też.

- Będą znali szczegóły tego programu? Że badania mają być wykonywane na SR III?



- Oczywiście...

- Zorganizujesz to choćby w ten sposób, że głowice zabrał serwis, bo coś było z nimi nie tak. A badania przecież trzeba robić, prawda? Inaczej kasa przepadnie i menedżerowie chyba to rozumieją? W końcu z tego żyją. Głowice, które u ciebie zostaną, mogą sobie ewentualnie jeździć po twoich filiach na gościnne występy. A chłop ze wsi przecież nie połapie się, jakim aparatem robią mu USG, zresztą jakie to ma dla niego znaczenie? Ważne, że ma za darmo badanie, bo państwo stawia.

- Będzie mniej dokładne - mruknął Strobisz.

- Proszę cię! Te programy to jedna wielka ściema. I nie przesadzaj, bo brzmi to, jakby sprzęt w twoich przychodniach był jakimś złomem...

- Nie przesadzaj, nie jest złomem...

- No właśnie. A czemu nie chcesz upiec dwóch pieczeni przy jednym ogniu? I zarobić na głowicach, i załapać się do programu? Jeśli ci się uda, oczywiście.

- Uda się, uda. - Strobisz przytaknął. - Już moja w tym głowa.

- W porządku, Artur, tego ci życzę. - Södergren upił łyk kawy z filiżanki Rosenthala. - Zamówiony przez ciebie zestaw głowic do SR III to convex, liniowa, sektorowa i endorektalna. Moja cena za wszystkie, tak jak zresztą ustaliliśmy już wcześniej, to sześćdziesiąt pięć tysięcy. Aparat: czterdzieści siedem. Takiej ceny za taką jakość nie dostanie nikt w Polsce, zresztą mało która prywatna firma zamawia ich ponad dwadzieścia. Masz prawie trzydzieści procent upustu.

- Co z kontrolą od marszałka? - przerwał mu Strobisz.  
- Podobno odbywa się w ciągu roku od wydania funduszy.

- Zawsze jest zapowiedziana, prawda? Czas, miejsce i przedmiot kontroli. Aparat będzie na miejscu? Będzie. Głowice będą?...

Strobisz już nabierał powietrza, żeby znów przerwać Södergrenowi, ale on nie pozwolił mu na to.

- Będą - uspokoił go. - Od innego aparatu, ale będą. To nieważne, że nie będą kompatybilne. Dla urzędników liczy się sam aparat, faktura i dokumenty przyjęcia środka trwałego, prawda? Spiszą numer seryjny i już, o głowice nawet nikt nie zapyta. A nawet jeśli zapyta, to nie będzie miał pojęcia, że pokażesz mu inne. Prawda?

Strobisz z niechęcią skinął głową.

- Prawda - przyznał w końcu z lekkim wahaniem. Södergren nie wiedział, z czego wynika to wahanie. Patrzył na Strobisza, zastanawiając się, co mu chodzi po głowie.

- Ilu ludziom proponowałeś coś takiego? - zapytał w końcu Strobisz. Södergren uśmiechnął się. A więc o to chodziło!

- Ty jesteś pierwszy. I jedyny. Jak do tej pory - zastrzegł szybko. - Mechanizm jest w ogólnych ramach dosyć dobrze znany w wielu dziedzinach. Ale w przychodni publicznej, nawet dużej, coś takiego by już nie przeszło. Czasem zamawiają po kilka sztuk, ale to co innego. Sam rozumiesz...

Strobisz potwierdził mruknięciem. Södergren patrzył na jego twarz, zamyślane czoło i zmarszczone brwi i wiedział już, że interes jest zaklepany.

- Komu mam je sprzedać? - zapytał Strobisz.

- O to nie musisz się martwić. - Södergren uśmiechnął się skromnie. - Pamiętaj, że załatwiłem ci odroczone termin płatności, więc opchniesz je szybciej, niż faktury od producenta staną się wymagalne. No i wspomniałeś o zaliczce z Urzędu Marszałkowskiego, to już w ogóle... A komu sprzedasz sonorapidy i głowice? Mnie. W zasadzie firmie mojej matki. A moja matka jest Szwedką. Rozumiesz?

Strobisz spojrział na Södergrena, z niedowierzaniem kręcąc głową.

- A potem pójde do skarbowki po należny zwrot dwudziestu trzech procent VAT-u po wyeksportowaniu za granicę? - zapytał.

Södergren skinął głową.

- Otóż to. Ale od odrobinę wyższej ceny, za którą ona kupi je od ciebie. A w zasadzie od Medicertum II...

Strobisz uniósł brwi.

- No, proszę cię... - Teraz w głosie Södergrena słyhać było rozbawienie. - Wiem, że masz inne firmy, to żadna tajemnica, wystarczy sprawdzić w necie. Sprzedasz sprzęt do Medicertum II za złotówkę od sztuki i już. A Medicertum II sprzedaje je mnie. Znaczy, mojej matce.

Doktor zerknął na Södergrena.

- Twoja matka bawi się w takie rzeczy? - zapytał zdziwiony.

Södergren wzruszył ramionami.

- Po prostu ma firmę. A ja jestem po to, żeby to wszystko ogarnąć, rozumiesz? Ona się nie zna na

prowadzeniu firmy, a ja tak. Taki mamy układ.

- W Avunläke wiedzą o... waszym układzie?

- A jak myślisz, Artur? - Södergren popatrzył na Strobisza wzrokiem, jakim rodzice częstują dziecko, które robi coś głupiego, mimo że doskonale zdaje sobie z tego sprawę.

- Dobra. - Strobisz pojednawczo uniósł dłonie. - Nie wnikam.

- Tak będzie najlepiej - zgodził się Södergren.

Wypił ostatni łyk kawy i odstawił filiżankę na blat.

- Czyli... - Zawiesił głos.

- Tak. - Strobisz uśmiechnął się, patrząc mu w oczy. - Jesteśmy dogadani. Jak tylko ruszą fundusze, uruchamiamy resztę. Jest jeszcze tylko jedna, mała sprawa...

- Poczekaj - przerwał mu Södergren. - Ta życzliwa ci osoba w Urzędzie Marszałkowskim... Rozumiem, że jakby co, jej życzliwość będzie wciąż trwać?

- Owszem.

- Wiesz, myślę o tej cholernej kontroli. To, co ci powiedziałem ze sprawdzaniem sprzętu, to prawda, jednak będziesz musiał wszystko jeszcze porządnie przemyśleć. Ale jest to do zrobienia...

- Masz rację. - Strobisz pochylił się ku niemu. - Ryzyko wpadki jest, zgadzam się, ale moim zdaniem znikome. Ujmę to w ten sposób: pojedyncze anomalie w systemie są w zasadzie niewykrywalne. Jeśli tylko ty przejeżdżasz przez skrzyżowanie zarówno na zielonym, jak i na czerwonym, to jeszcze masz pewną szansę przeżyć. Jeśli

tylko ty prowadzisz podwójne życie, mając na boku kochankę, masz sporą szansę, że wszystko zostanie w tajemnicy. A pomyśl teraz, co się stanie, jeśli w systemie zwiększy się liczba anomalii? Zwiększy się liczba takich graczy jak ty, jak ja? Co, jeśli wszyscy będą mieli w dupie, czy jest czerwone czy zielone? Co się stanie, kiedy wszyscy będą się różnić ze wszystkimi? Na skrzyżowaniach zapanuje totalny chaos. Okaze się, że twoja kochanka jest żoną kochanka twojej żony. Wszystkie tajemnice wypłyną na wierzch, nie będzie nic do ukrycia. Zatem musimy dbać o to, żeby nasza anomalia była jedyną w systemie, w którym tkwimy. I to jest ta rzecz, o której przed chwilą wspomniałem. Masz mi obiecać, że nie złożysz podobnej propozycji nikomu innemu przynajmniej przez dwa lata. Czy to jest dla ciebie jasne, Anders? Tylko pod takim warunkiem zgodzę się na nasz interes.

Södergren był lekko wkurzony. Bratnia dusza czy nie, trzeba znać swoje miejsce w szeregu. Zagryzł dolną wargę i spojrzał twardo na Strobisza.

- Mówisz do mnie jak do żółtodzioba - wycedził. - Jakby moja obecność w twojej grze była jedynie konieczna, a nie pożądana. A tymczasem to moja gra, Artur. To ja ci zaproponowałem ubicie interesu. Nie kwestionuję twoich... umiejętności, twojego dorobku i doświadczenia ani tym bardziej pozycji. Ale przypominam ci, że to ja przyszedłem z propozycją do ciebie, a nie ty do mnie. Mogłem wybrać wiele innych dużych klinik, tam na pewno również znaleźliby się chętni na mały interes. Czy źle mówię?

Södergren myślał, że słowa, które wypowiedział przed chwilą stanowczym i zdecydowanym tonem, są jasne, ale wyglądało na to, że się pomylił. Oczy i górna część ciała Strobisza, widoczna zza niskiego stolika, dawały jasny i wyraźny przekaz: „Jeśli zależy ci, żeby cię posmyrać po jajkach, to nie ma sprawy”.

- Dobra, pójdźmy na kompromis - powiedział Strobisz.  
- Umówmy się, że to nasza gra, Anders. Jesteśmy równorzędnymi partnerami. Co ty na to?

Södergren wykrzywił usta w lekkim grymasie niechęci.

- Chcesz mnie udobruchać? Naprawdę tak nisko mnie cenisz?

Strobisz uniósł brwi, a potem je zmarszczył.

- Ten tekst o graczach... Nie był tylko głupim frazesem, obliczonym na zdobycie twojej przychylności, Anders - powiedział cicho po chwili namysłu. - Tak naprawdę wcale nie potrzebuję twojej przychylności. To fakt. Ale prawdą jest też, że obaj jesteśmy graczami. Jest między nami coś w rodzaju chemii, podobnej do tej, która łączy w pary ludzi przeżywających potem ze sobą dziesięciolecia w szczęściu i zgodzie. Dlatego że są do siebie dopasowani jak dwie połówki tego samego przedartego banknotu. Tyle że w naszym przypadku nie ma mowy o uczuciach. My mamy po prostu dokładnie takie samo podejście do większości spraw na tym świecie. I to mi się w tobie podoba. Kiedy tak czaiłeś się na początku naszego spotkania, żeby zapytać mnie o ten interes, widziałem siebie sprzed kilkunastu lat, rozumiesz? Jesteś taki jak ja kiedyś. A ja lubię siebie. A skoro lubię siebie, naturalne jest, że ciebie również, prawda? - Splótł oparte o blat

biurka dłonie i oparł się na łokciach, przywołując na twarz przyjazny uśmiech. – To jak?

Södergren milczał, przypatrując się Strobiszowi.

Jeśli dupek myślał, że go tym kupił, to się grubo mylił. Nie kupił go. Kwestia traktowania siebie nawzajem jako graczy była bezsporna. Bo tak faktycznie było, i on to wiedział. Ale ten pseudofilozoficzny tekst sprzed chwili przypominał wywody najaranego trawą studenta socjologii albo filozofii. I mimo wszystko sugerował, że Strobisz jednak uważa się za lepszego. Czy jednak miało to jakiegokolwiek znaczenie? Chodziło wyłącznie o kasę. Nie będą się przecież licytować, jak dwa koguty na podwórku. Jeśli sprawia mu frajdę bycie na górze, to niech się cieszy.

Strobisz, widząc, że Södergren zwleka z odpowiedzią, spojrzął gdzieś w bok, potem wrócił wzrokiem ku jego pochmurnej twarzy i powiedział:

– Jestem starszy od ciebie o ładnych parę lat. Opowiadałem ci podczas tamtej kolacji, jak zaczynałem w latach dzikiego kapitalizmu, kiedy nie było reguł, a zwyciężał ten, kto szybciej się orientował i miał lepsze układy. Gram od wielu lat, Anders. I jak do tej pory odnoszę same sukcesy i ani jednej porażki. – Strobisz wskazał otoczenie, odchylił się na oparcie krzesła, założył nogę na nogę i splótł dłonie na kolanie. – Sam widzisz, co osiągnąłem. Mam biznes, który sam się kręci i w dodatku rozwija na taką skalę, że sam jestem zaskoczony. Ludzie zawsze będą chorować, więc nie boję się kryzysów w branży budowlanej, bankowej i tak dalej. Człowiek wyda ostatnie pieniądze, jeśli w grę będzie wchodzić jego zdrowie, a niewydolny system państwowy nie zapewni mu

niczego w tej kwestii. Więc jestem urządzony. Tyle lat w grze, Anders... A wiesz dlaczego?

Södergren przekrzywił lekko głowę w geście uprzejmego zainteresowania, nikły uśmiech pojawił się na wargach.

- Dlatego, że jestem ostrożny. - Głos Strobisza przybrał ton mentorski, jakby właśnie miał przekazać jakąś ważną życiową prawdę. - Lubię ryzyko, tak jak ty. Ale zawsze je kalkuluję. Wolę nie wdawać się w ryzykowny interes, nawet gdy mogę na nim sporo zyskać, jeśli wiem, że ryzyko jest zbyt duże. Bo co mi po tym, jak stracę wszystko, jeżeli interes nie wypali? Albo zgarnie mnie CBA czy inne CBS? Dywersyfikacja ryzyka to podstawa biznesu, nie muszę ci o tym mówić. Tyle że dla mnie jest bardzo istotna. Świat pełen jest fighterów, którym powinęła się noga. Pamiętasz przejście Kruka przez Vistulę? I jak to się skończyło dla prezesa Vistuli? Gość chciał za dużo. Moja osobista opinia w tej sprawie jest taka, że facet nie chciał po prostu, ot tak, zarobić, tylko pograć. Chciał pokazać wszystkim, jaki z niego wielki gracz. A ryzyko musi być zrównoważone, Anders. W naszym przypadku... - wskazał leżące na stole firmowe foldery - jestem w stanie je zaakceptować, ale tylko jeśli dasz mi słowo, że będę jedyny. I ten mój warunek jest sine qua non, rozumiesz? Nie podlega dyskusji. Bo trzeba znać umiar. Po prostu. Södergren wstał z fotela i obszedł stół, zbliżając się do Strobisza. Wyciągnął w jego stronę dłoń. Ten z lekkim zdziwieniem uściśnął ją.

- W porządku, Artur. - Usta Södergrena rozciągnęły się w uśmiechu. - Masz moje słowo. Jesteś jedyny. Ale tylko



przez dwa lata. – Mrugnął do niego.

– Ani dnia krócej – ostrzegł go Strobisz.

– Jasne. Södergren spojrział ponad jego ramieniem na wiszący za nim szwajcarski pejzaż.

– To jak jest z tym obrazem? – zapytał. – Gdzie wisi oryginał?

Doktor uśmiechnął się, kręcąc z rozbawieniem głową. Södergren ruszył ku wyjściu, unosząc rękę w geście pozdrowienia. Strobisz wycelował w niego palec wskazujący.

– Jestem jedyny, Anders! – zawołał za nim.

Södergren bez słowa przytaknął mu samymi oczami, odwrócił się i otworzył drzwi. Wychodząc z gabinetu, pomyślał o niewielkim magazynie w Ystad na Ekenäsgratan, tuż obok terminalu promowego. Wynajęła go przez swojego pełnomocnika firma „Agnetha Södergren Handelsföretag”, a w środku spoczywało ponad sto dwadzieścia fabrycznie zapakowanych urządzeń SonoRapid III wraz z zestawami głowic – wszystko gotowe do załadowania na TIR-a i ponownego przewiezienia na drugi brzeg Bałtyku. Urządzenia diagnostyczne firmy Avunläke mają w Polsce około dwudziestu trzech procent udziału w rynku. Wiele podmiotów zainteresowanych jest zarówno nimi, jak i osprzętem do nich, a skazanie na monopol producenta nie jest czymś, co może ten, i nie tylko ten rynek, cieszyć. Twoja gra, panie Strobisz? – pomyślał Södergren z przekąsem, zamykając za sobą drzwi. – Proszę bardzo. Niech ci będzie...

Uśmiech nie schodził mu z twarzy, kiedy opuszczał budynek kliniki.

\* \* \*

Piękna majowa pogoda tchnęła życie w rodzącą się na powrót do życia florę i faunę. Liście na drzewach robiły się coraz ciemniejsze, powietrze przesycone było zapachem rozgrzanej ziemi i sosnowego igliwia. Najcudowniejsza pora roku na dobre zagościła na osiedlu Głębokie, lecz stojąca w kuchni przy zlewozmywaku kobieta już od pół godziny nie myślała ani o wiosnie, ani o radości, jaką jej przyście w niej wywoływało. Po raz kolejny z lekkim niepokojem spoglądała w okno, na ścianę lasu zaczynającego się tuż za ich domem i znów zadała sobie to pytanie, tym razem na głos:

- Gdzie on jest, no?

Zobaczyła nagle, jak za oknem macha do niej Kuba, dwunastoletni syn sąsiadów. Zastanowiło ją, co robi tak wcześniej rano na dworze, przecież jest długi weekend i pewnie nie musi iść do szkoły? Wytarła dłonie w ściereczkę i otworzyła okno, wpuszczając przy okazji do kuchni ciepło słońca i zapach lasu.

- Pani Gosiu, wasz pies biega po ulicy! - zawołał do niej chłopak. - Wpuścić go?

Teraz już niepokój ścisnął jej serce niczym kleszcze. Artur godzinę temu wyszedł na spacer z psem. Nigdy nie zajmowało mu to tyle czasu, zwłaszcza kiedy miał iść do pracy. A dziś przecież miał... Jego telefon nie odpowiadał.

Była już zdecydowana, żeby pójść za mężem i sprawdzić, dlaczego tak długo nie wraca.

Od kilku lat martwiła się, że wyczerpujący tryb życia, jaki prowadzi, zaowocuje w końcu zawałem albo udarem. To, że jest się lekarzem, nie oznacza, że takie rzeczy człowieka omijają, a on, choćby z racji zawodu, powinien zdawać sobie z tego sprawę lepiej niż inni.

Miała złe przeczucia.

Wyszła z domu i pobiegła do furtki, przy której siedział Nobel, ich beżowy golden retriever. Kiedy pies ją zobaczył, wstał, ale jego ogon był opuszczony i wisiał w smętnym bezruchu. Zaskomlał i potruchtał w kierunku lasu, oglądając się, czy jego pani idzie za nim. Poszła. Kilkadziesiąt metrów dalej Nobel sadził już ogromne susy, a ona pędziła za nim szeroką, wyjeżdżoną kołami samochodów służb leśnych ścieżką, czując, jak braknie jej tchu. Biegła jednak, a troska o męża dodawała jej sił. Na polanie, na której Artur i Nobel zwykle zawracali do domu, pies się zatrzymał. Ona również. A potem przypadła do leżącego na wznak ciała męża i spojrzała mu w twarz. Nie trzeba było specjalisty, żeby domyślić się, że jest martwy.

Kobieta zasłoniła dłonią usta i wybuchnęła płaczem.

\* \* \*

Śmierć doktora nauk medycznych Artura Strobisza wyglądała na zgon z przyczyn naturalnych albo zwykły wypadek. W zasadzie na nieszczęśliwe połączenie obu tych okoliczności. W pierwszej chwili żona Strobisza

pomyślała, że dostał w końcu tego zawału, który mu wróżyła, a upadając, uderzył się w głowę o leżący na poboczu kawałek betonu. Tylko przytomności umysłu lekarza pogotowia należało zawdzięczać fakt, że wkrótce na miejscu znalazła się policja. Lekarzowi podejrzanemu wydało się, że bryła betonu, o którą miałyby się uderzyć denat, upadając, leży dobry metr od niego. Nie był detektywem, lecz z doświadczenia zawodowego wiedział, że po silnym uderzeniu w to miejsce na skroni rzadko który nieszczęśnik był w stanie zrobić cokolwiek poza utratą przytomności lub czymś znacznie gorszym. Na pewno przed zgonem nie przeczołgał się jeszcze metr czy dwa i nie odwrócił na plecy. Poza tym żona twierdziła, że wychodząc z domu, mąż miał przy sobie telefon, którego teraz nie mogła nigdzie znaleźć. Dlatego medyk zadzwonił na policję, a ta z kolei dała znać gdzie trzeba i tak na miejscu znalazł się prokurator.

Godzinę później oględziny zwłok i miejsca ich znalezienia trwały już w najlepsze. Prokurator Mateusz Michalczyk, pełniący tego dnia dyżur w prokuraturze rejonowej, był w swoim żywiole. Robił notatki i szkice, wskazywał technikom kryminalistycznym kolejne czynności do wykonania. Żony, a w zasadzie wdowy, już nie było. Ją i psa odprowadziła do domu policjantka, która teraz czekała u Strobiszów na prokuratora. Michalczyk z notatnikiem w ręku rozglądał się dookoła, zastanawiając się, jak w ustronnym miejscu w lesie nagle powstało tyle śladów. I to nie tych kryminalistycznych, które mogłyby mu pomóc ustalić przebieg zdarzeń, tylko tych zwykłych, które zostawiła żona denata, pies, lekarz i ratownik,

dwójka policjantów z patrolu i cholera wie kto jeszcze. Prowadziły w różnych kierunkach, nakładały się na siebie i zcierały wzajemnie, czyniąc z tego miejsca koszmar dla techników i dla niego również. Grunt był lekko wilgotny i przez to plastyczny, dzięki czemu utrwaliło się ich mnóstwo, a wśród nich z pewnością były te, na których zależało mu najbardziej – ślady sprawcy. Pozostało tylko odnaleźć je wśród dziesiątków innych.

- Zgon nastąpił bardzo szybko, prawie na pewno z powodu obrażeń mózgu, ale to może być następstwo jakiegoś zdarzenia kardiologicznego bądź neurologicznego. - Lekarz podszedł do Michalczyka. - Teoretycznie denat mógł wcześniej doznać zawału serca lub udaru i upaść, i to się wyjaśni w trakcie sekcji. Wie pan, w zasadzie przy uderzeniu w głowę nawet w najbardziej wrażliwe rejony czaszki śmierć nie następuje natychmiast. Krwiak może się pojawić w innym rejonie mózgu, uciskając go i powodując niewydolność krążeniowo-oddechową, a następnie ustanie funkcji życiowych. Człowiek, tracąc przytomność, może upaść twarzą w grunt i zachłysnąć się wodą albo glebą i udusić...

- Ten tutaj leży na wznak. - Michalczyk wskazał ciało. - Tak został znaleziony. Czyli nie udusił się ziemią... Chyba że ktoś go odwrócił, zanim ciało znalazła żona.

- Ustalenie tego to już pana broszka. W każdym razie można przyjąć, że przyczyną zgonu był uraz głowy i jego bezpośrednie następstwa. Uderzenie o kamień musiało być bardzo mocne... A może właśnie nie o kamień, tylko kamieniem... - Lekarz spojrzał na Michalczyka znacząco. -

Odległość ciała od kawałka gruzu, na którym zauważyłem ślady krwi, wydała mi się mocno podejrzana... Tak jak i brak telefonu, o którym wspomniała mi jego żona. No i co w lesie robi kawałek betonu?

- To samo co styropian, stare opony, pudełka po papierosach i butelki po piwie. - Michalczyk westchnął. - Wie pan, doktorze, może rzeczywiście upadł i uderzył się o kamień, a telefon zabrał przypadkowy, pozbawiony serca przechodzień. Ale skoro okoliczności choć w nieznacznym stopniu świadczą o możliwości popełnienia morderstwa, wolę być podejrzliwy. Jestem taki z zasady. Nawet jeśli było tak, jak powiedziałem, że ktoś po prostu znalazł zwłoki i zabrał denatowi telefon, to też popełnił przestępstwo...

- Ależ pan jest zajadły - zdziwił się lekarz.

- A to źle? - Brwi Michalczyka uniosły się lekko.

- Nie, nie o to mi chodzi. - Uśmiech lekarza zaprawiony był lekką goryczą. - To miał być swego rodzaju wyraz podziwu. Nieraz wzywałem policję po stwierdzeniu zgonu, mając niemal stuprocentową pewność, że coś było nie tak, że ktoś pomógł nieboszczykowi zostać nieboszczykiem. Myśli pan, że nie zdarzało się, że potem dostałem ochrzan za marnowanie czasu prokuratora? Jakby, psiakrew, wiedział lepiej...

- Cóż, tym razem może być pan spokojny. Zobaczmy, co wykaże sekcja - kto w co, czy co w kogo uderzyło... Dobra, na razie dziękuję. Aha, pokaże mi pan jeszcze swoje buty? Podeszwy?

Nieco zdziwiony medyk podniósł nogę, pokazując podeszwę buta z charakterystycznym protektorem.

Michalczyk zawołał technika z aparatem i poprosił o zrobienie jej zdjęcia. Jeszcze raz podziękował lekarzowi, który poszedł do karetki. Po chwili ambulans, kołyszając się na wybojach leśnego duktu, powoli odjechał w stronę zabudowań. Michalczyk patrzył, jak technik rozrabia w miseczce kolejną porcję gipsu. Miał przed sobą jeszcze sporo pracy.

- Poproszę również ichnogram. - Prokurator wskazał mu wyraźnie widoczny ciąg śladów stóp odbitych w wilgotnym gruncie na poboczu drogi.

Prowadziły do kawałka poszycia wolnego od pniaków, młodych drzew i krzaków, porośniętego jedynie trawą wygniecioną przez koła samochodów. Wygodne miejsce na mijankę albo na zatrzymanie się, by wyskoczyć pod drzewko. Gruby protektor świadczył, że nie było to lekkie obuwie, jakie z wyjątkiem policjantów nosili obecni na miejscu ludzie. Odciski butów kończyły się przy krótkim fragmencie śladu opon. Był świeży, wyraźnie odcisnięty na poprzednich. Michalczyk popatrzył, jak inny technik wlewa gips do małej, otaczającej ślad ramki, i jeszcze raz ogarnął spojrzeniem polanę razem z niknącą za zakrętem ściany lasu drogą. Po chwili prokurator ruszył w przeciwnym kierunku. Po kilkudziesięciu metrach spaceru leśnym duktem wyszedł na wybrukowaną przedwojenną kostką ulicę Jaworową, która prowadziła do domu Strobiszów.

Okolica, w której stał, była bez wątpienia jedną z najpiękniejszych i najbardziej atrakcyjnych w Szczecinie. Osiedle starych willi, ukrytych w otoczonych lasami ogrodach wyrosło opodal Jeziora

Głębokiego. Panujące tam cisza i spokój są ukojeniem dla starych mieszkańców i przynętą dla nowych – dobrze sytuowanych i wymagających. Dom Strobiszów został wybudowany na miejscu starego, którego beznadziejny stan techniczny wykluczał remont. Elegancka rezydencja w raczej nowoczesnym stylu, bez typowo polskich detali w rodzaju boni, kolumnienek czy innych akcentów dworskowych, swoją architekturą kontrastowała z okolicznymi poniemieckimi domami o stromych dachach, dorównując im jedynie gabarytami. Przed garażem z szeroką segmentową bramą stał wiśniowy, pięknie utrzymany, kilkunastoletni jaguar. Nad nim cicho szumiały strzeliste sosny.

Michalczyk wszedł do domu. W środku panowała cisza. Kiedy znalazł się w otwartym salonie, zobaczył siedzącą przy stole kobietę, której towarzyszyła policjantka – młoda dziewczyna z końskim ogonem wystającym spod czapki z daszkiem. Na blacie stał ogromny kubek z herbatą. Policjantka spojrzała na Michalczyka, gdy przekraczał próg salonu. Prokurator skinął jej głową i podszedł do stołu. Funkcjonariuszka wstała, cicho odsuwając krzesło, jakby w obawie przed wydaniem głośniejszego dźwięku, który mógłby zakłócić panującą ciszę i skupienie. Strobiszowa siedziała z łokciami opartymi o blat i z twarzą ukrytą w dłoniach. Michalczyk czekał. Policjantka delikatnie położyła dłoń na ramieniu kobiety i powiedziała szeptem:

- Do widzenia, pani Małgorzato. Muszę już iść...

Strobiszowa zwróciła twarz w jej stronę, pogłaskała delikatnie palce dziewczyny i podziękowała jej



spojrzeniem oczu pełnych łez. Potem, jakby w ogóle nie zauważając Michalczyka, znów ukryła twarz w dłoniach. Funkcjonariuszka uśmiechnęła się smutno i wyszła z domu.

Michalczyk podszedł do Strobiszowej.

- Już jestem... - wyszeptał, nachylając się nad nią lekko.

Patrzył, jak cierpi. Czekał. Przeżywała swój ból po stracie męża, nawet nie wiedząc, jakie jeszcze czekają ją konsekwencje. Różnorodne. Cywilnoprawne, rodzinne... Pusty dom, zamykanie wspólnych spraw... Po chwili Strobiszowa wyprostowała się i otarła łzy. Popatrzyła na niego i odsunęła stojące obok niej krzesło.

- Niech pan usiądzie - powiedziała cicho.

Michalczyk ustawił krzesło bokiem do stołu, żeby móc rozmawiać z nią twarzą w twarz.

- Ktoś go jednak zabił? - zapytała, kiedy prokurator usiadł.

- Nie mamy jeszcze pewności, czy do śmierci męża przyczyniła się osoba bądź osoby trzecie - odparł ostrożnie. - Musi pani zrozumieć, że nie jestem w stanie rozstrzygnąć tego w tej chwili. Niemniej jest to niestety bardzo prawdopodobne. Dlatego chcę pani zadać kilka pytań już teraz. Zdoła pani na nie odpowiedzieć? - Spojrzał na Strobiszową.

Pokiwała spuszczoną głową, wycierając łzy chusteczką.

Przez drzwi na taras do domu wszedł pies. Piękny golden retriever obwąchał nogawkę spodni Michalczyka, a potem usiadł przy nodze swojej pani, wciskając nos pod jej łokieć w natarczywym oczekiwaniu na pieszczotę.

Strobiszowa pogłaskała psa po łbie, pochlipując jeszcze cicho. Potem westchnęła.

- Proszę pytać - powiedziała, unosząc i pokazując mu twarz zapuchniętą od płaczu.

Michalczyk spojrział na psa, na chwilę uciekając od niej wzrokiem.

- Czy mąż miał wrogów?

Strobiszowa zastanowiła się przez chwilę.

- Nie sądzę - odparła. - A przynajmniej nie mówił, że ma.

- Nikt się ostatnio nie kręcił koło państwa domu? Nie było pogroźek, brzydkich liścików w skrzynce, esemesów, przebitych opon?

- Nie. - Spojrzała na niego zdziwiona. - Mąż był nad wyraz spokojnym człowiekiem. Niekonfliktowym.

- Orientuje się pani w charakterze jego pracy?

- Nie. - Pokręciła głową. - W ogóle.

- Nic a nic? - Michalczykowi nie chciało się w to wierzyć.

Wzruszyła ramionami.

- Ma kilka klinik... To wszystko, co wiem. Artur nie wtajemniczał mnie w to. Po co? - zapytała sama siebie i zamilkła na chwilę, wpatrując się w okno. - Kiedy wracał do domu po ciężkim dniu, mogliśmy rozmawiać o wielu sprawach, ale na pewno nie o pracy. Miał jej dość. Po to wracał do domu. Żeby odpocząć. Z nami.

- Z wami? - zapytał Michalczyk. - Ma pani na myśli siebie i psa czy kogoś jeszcze?

- Psa też - lekki uśmiech rozjaśnił na chwilę jej twarz - ale mówię również o naszym synu...

- Czy w życiu męża nie zaszły ostatnio jakieś zmiany? Nie wydarzyło się coś nietypowego?

- Ostatnio nie - odparła zdecydowanie. - Krążyły różne historie, oskarżano męża o wiele rzeczy, ale to już przeszłość.

- Jakich rzeczy?

- Och. - Machnęła lekceważąco ręką. - Wie pan: mobbing i takie tam. Kiedyś miał problem z jakąś dziewczyną, która twierdziła, że zaszła z nim w ciążę... Ludzie na takich stanowiskach jak Artur mają i będą mieć podobne kłopoty. A wie pan dlaczego? Bo powoduje je ludzka zawiść. Po prostu. Tak twierdził Artur, i tu się z nim całkowicie zgadzałam.

- Wyjeżdżaliście państwo gdzieś ostatnio?

- Artur jeździ co jakiś czas do Warszawy i po całym województwie. Nie zabiera mnie ze sobą, bo to męczące. To tylko interesy.

- A prywatnie? Razem?

Skrzywiła się trochę.

- Widzi pan sam, w jakiej ładnej okolicy mieszkamy. Las, cisza, świeże powietrze. Artur najlepiej odpoczywał właśnie tu. Raz na kilka lat lecieliśmy na Wyspy Kanaryjskie, ale przeważnie jego urlopy spędzamy w domu. Pomijając fakt, że prawie nie miewa urlopów. Własny biznes to brak czasu i spora odpowiedzialność. Za siebie i ludzi. Artur często to powtarzał.

Michalczyk obserwował ją przez chwilę.

Artur to, Artur tamto... Być może wnioski, jakie wyciągnął po krótkiej chwili rozmowy z nią, były nieco pochopne, ale wyglądało na to, że ma przed sobą przykład osoby żyjącej nie dla siebie, tylko dla męża. Nie wysławiała się jak prosta kobieta; kura domowa bez zainteresowań i znajomości, których krąg wykraczałby poza najbliższe sąsiedztwo. Nie była mało inteligentna, być może takie życie po prostu jej pasowało i lubiła je. A może to przyzwyczajenie, jakiś rodzaj pokuty, a może to właśnie ona miała jakieś drugie życie, o którym nie wiedział nikt inny? Kto wie? Nie chciał wypytywać jej o to teraz. Przyjdzie jeszcze na to czas, kiedy trochę ochłonie.

Pies obejrzał się, usłyszawszy coś w ogrodzie, i wybiegł na zewnątrz, stukając pazurami po deskach podłogi.

- Gdzie jest teraz syn? - zapytał Michalczyk.

- We wtorek po południu pojechał z kolegami nad morze na długi weekend. Jeszcze do niego nie zadzwoniłam... - W oczach Strobiszowej znów pojawiły się łzy.

Prokurator czekał z kolejnym pytaniem, aż wytrze je chusteczką.

- Syn jest dorosły?

- Prawie. Chodzi do drugiej klasy liceum.

Michalczyk pomyślał, że kiedy on był w tym wieku, nie było długich weekendów, a samodzielny wyjazd z kolegami, gdy miało się zasadniczych rodziców, był dość problematyczny. Pomijając brak kasy, który był jeszcze większym problemem...

- Puściliście go państwo bez opieki? - zapytał.

Strobiszowa spojrzała gdzieś w bok.

- Ja nie miałam nic przeciwko - mruknęła. - Rafał jest prawie dorosły i odpowiedzialny. Chociaż mąż uważa inaczej. Uważał... Przepraszam... - Jej oczy znów wypełniły się łzami.

- To znaczy? - zapytał Michalczyk po chwili.

Milczała, trochę skrępowana, a on domyślał się już, co będzie dalej.

- Syn nie miał z mężem dobrych relacji - wyznała, pociągając lekko nosem. - Myślę, że to przejawy młodzieńczego buntu okresu dojrzewania. W większości na tle finansowym. Widzi pan, jesteśmy bardzo dobrze sytuowani, ale Artur nie dawał Rafałowi pieniędzy. Nie tyle, ile syn by chciał, tylko kieszonkowe. Twierdził, że żeby poznać wartość pieniądza, powinien sam je zarobić.

- Spojrzała na Michalczyka. - Jak taki młody chłopak może zarabiać pieniądze? - zapytała, szukając w oczach prokuratora potwierdzenia. - Artur proponował mu jakąś robotę w firmie, popołudniami czy w soboty, ale uważam, że to bez sensu. Rafał ma szkołę, kolegów, dziewczynę, jeździ konno, powoli przygotowuje się do matury... Skąd miałyby mieć czas na pracę? To naturalne, że powinien dostawać pieniądze od rodziców, i to w takiej ilości, jaka zaspokoi jego potrzeby. W tej kwestii mieliśmy z Arturem odmienne poglądy.

- A skąd syn wziął pieniądze na wyjazd?

- Ja mu dałam - szepnęła Strobiszowa, spuszcżając wzrok. - Artur się dowiedział, w zasadzie domyślił. I dlatego się pokłócili. Mnie też się trochę oberwało. Powiedział, że go rozpuszczam.

- Dość zasadnicze podejście do własnego syna.

- Rafał... - przerwała na chwilę i wreszcie spojrzała Michalczykowi w twarz - Rafał jest dzieckiem adoptowanym. Naszego synka straciliśmy dwadzieścia lat temu. - Jej twarz była jak wykuta z kamienia. - Nie chcę o tym mówić - dodała.

- Rozumiem - bąknął Michalczyk. - Przykro mi.

- Rafał jest naszym... - podkreśliła to słowo z naciskiem - synem, mimo że został adoptowany. Nigdy nie dałam mu odczuć, że jest inaczej. Nigdy, rozumie pan?

Michalczyk milczał przez chwilę. Wobec żarliwości tego zapewnienia, niewątpliwie szczerego, następne pytanie nasuwało się samo. Prawdopodobna odpowiedź na nie również.

- A mąż? - zapytał.

- Nie wiem - szepnęła po chwili zastanowienia. - Teraz już niczego nie jestem pewna... Artur był bardzo ciepły w stosunku do mnie i często mi to okazywał. Kwiaty, wyjścia na rodzinne obiady, biżuteria. Nigdy nie podniósł na mnie głosu, nawet jeśli się pokłóciliśmy, po prostu znikał u siebie, a potem nie odzywał się przez jakiś czas. Jego relacje z Rafałem były trochę inne. Nie wiem, czy to było spowodowane tym, że jest mężczyzną, czy tym, że nie jest jego prawdziwym synem. I czy konflikt między nimi był wynikiem braku okazywania uczuć czy odwrotnie; nie okazywali sobie ich z powodu kłótni. Dawniej to wszystko nie miało dla Artura znaczenia, a dziś...? Sama nie wiem... Może po prostu Rafał nie spełniał jego oczekiwań? Artur nie chciał o tym ze mną rozmawiać, a ja...? Chyba bałam się zapytać. Tylko raz powiedział mi, że gdyby był jego biologicznym synem, ochotę do pracy miałby we krwi, jak

on. - Spuściła głowę. - A przecież młodzież musi się wyszaleć. Przyjdzie jeszcze czas na pracę.

- Często się kłócili?

- Ostatnio tak - przyznała.

- Mocno?

Opuściła głowę i opuszkami palców dotknęła ucha stojącego przed nią kubka.

- Krzyki i trzaskanie drzwiami.

- Były rękoczynny?

Spojrzała na niego zdumiona.

- Artur i rękoczynny? Żartuje pan?

- A syn?

Spojrzała na kubek.

- Rafał mocno przeżywa takie sprawy. Okres dojrzewania to emocjonalne rozchwianie, więc młodemu człowiekowi trudno się kontrolować...

- Czy kiedykolwiek uderzył ojca? - zapytał Michalczyk, patrząc, jak jej palce niemal pieszczotliwie gładzą bok kubka z zimną już herbatą.

- Nigdy nie uderzył męża. On... Parę lat temu się ciął - powiedziała cicho, pokazując przedramiona. - Niegroźnie, ale spędził trochę czasu na obserwacji w szpitalu w Zdrojach. Na oddziale psychiatrycznym. To mu się zdarzyło dwa razy, ale już minęło. - Strobiszowa spojrzała na niego, a w jej oczach dostrzegł cierpienie.

Michalczyk milczał przez chwilę. Każdy niesie własny krzyż.

- Czy chce pani, żeby jej zapewnić opiekę psychologa? - zapytał.

Pokręciła głową.

- Nie trzeba. Zaraz zadzwonię do syna, żeby przyjechał... No i mam Nobla. - Wskazała drzwi na taras.

- Na pewno?

- Tak. Na pewno. Dlaczego ktoś to zrobił? - zapytała jeszcze, kiedy wstawał od stołu.

Michalczyk stał przez chwilę bez ruchu, trzymając rękę na oparciu. Co mógł jej powiedzieć?

- Na takie pytanie nigdy nie ma jednoznacznej odpowiedzi - rzekł w końcu powoli, dosuwając krzesło. - Nawet jeśli ujmiemy sprawcę, jego motywów nigdy nie są dla nas tak do końca jasne. Zapewne nawet dla niego... Przykro mi.

Pozegnał się i zostawił Strobiszową samą. Kiedy przechodził do przedsionka, odwrócił się i zobaczył, jak z ogrodu wraca Nobel. Podeszedł do swojej pani, usiadł koło jej krzesła, a ona położyła psu rękę na karku i zaczęła machinalnie mierzwić sierść palcami.

Michalczyk cicho zamknął za sobą drzwi.

\* \* \*

Prokurator Michalczyk nie znosił beczynności ani przeciągania spraw. Zdążył też dać się poznać w Zakładzie Medycyny Sądowej pomorzańskiego szpitala jako facet porządny, acz nieco upierdliwy. Właśnie dlatego protokół z sekcji Strobisza, w której zresztą uczestniczył, sporządzony został jak na warunki ciągłego pośpiechu i niedostatku czasu dość szybko. Nie zawierał pełnych wyników badań laboratoryjnych i histopatologicznych, na



które trzeba było jeszcze poczekać, ale sekcja jednoznacznie wykazała przyczynę śmierci Strobisza. Nastąpiła ona niemal natychmiast, a rozległe obrażenia mózgu świadczyły o sile uderzenia, wykluczając nieszczęśliwy zbieg okoliczności i upadek na kamień. Ani stresujący tryb życia Strobisza, ani jego konsekwencje w postaci zawału serca czy udaru mózgu nie miały z jego śmiercią nic wspólnego. Za to znaleziona obok ciała bryła betonu owszem, zatem Michalczyk mógł tylko pogratulować sobie wrodzonej podejrzliwości. Lekarz pogotowia też niewątpliwie miał w tym swoją zasługę. Michalczykowi nie pozostawało nic innego, jak tylko zabierać się do roboty.

Była połowa tygodnia po długim weekendzie, kiedy odwiedził pięknie odrestaurowany budynek przy ulicy Monte Cassino. Klinika „Medicertum”, mimo śmierci jej właściciela, pracowała pełną parą, a przynajmniej tak wyglądało to z punktu widzenia pacjentów.

Michalczyk podszedł do recepcyjnego kontuaru i przedstawił się siedzącej za nim ślicznej, poważnej dziewczynie. Zadzwoiła gdzieś i po chwili w holu zjawił się elegancko ubrany człowiek w okularach, z obfitą brodą i hipsterską fryzurą, wdzięcznie zaczesaną do góry i na bok głowy. Był mniej więcej w wieku Michalczyka i, zdaniem prokuratora, już za stary na taki styl.

- Jakub Sulik. Jestem menedżerem „Medicertum” - przedstawił się, wskazując drzwi windy. - Zapraszam na górę.

Pojechali na drugie piętro i po chwili, minawszy sekretariat i kolejną dziewczynę, ładną i równie poważną

jak ta na dole, weszli do gabinetu Strobisza. Sulik zamknął drzwi, a zachwycony Michalczyk podszedł do ściany, na której wisiał ogromny obraz Mosta, przedstawiający szczeciński pejzaż. Stał przed nim, podziwiając kunszt zarówno malarza, jak i kopisty, i zastanawiał się, czy sto pięćdziesiąt lat temu jego prapradziadowie nie spotkali przypadkiem kiedyś Herr Mosta na którejś ze szczecińskich ulic.

Sulik czekał w milczeniu, aż prokurator się napatrzy. Kiedy Michalczyk odwrócił się, zapytał:

- Podoba się panu?

- Bardzo.

- Szef podarował oryginał społeczeństwu Szczecina.

- To miły gest... - prokurator obejrzał się jeszcze raz na płótno i dodał, unosząc brwi - ...i szeroki.

Sulik milczał przez chwilę zagadkowo.

- Owszem - przyznał po chwili.

- Jaki był Strobisz? - zapytał Michalczyk zniechęcony.

- Nie traci pan czasu, co? - zauważył Sulik, siadając przy stoliku kawowym i wskazując Michalczykowi miejsce po przeciwnej stronie.

- Nigdy - potwierdził Michalczyk, korzystając z zaproszenia. - Więc?

Sulik skrzywił się, spojrzał na swoje kolana i wierzchem dłoni strzepnął z prawego niewidoczny pyłek.

- Wie pan, uważam się za dobrze wychowanego, więc czasem nie nazywam rzeczy po imieniu. Nie powiem, że szef był chamem i gburem, chociaż czasem tak się zachowywał. Ujmę to inaczej. Szef miał dość specyficzny

styl zarządzania kliniką. Mógłbym nawet rzec, że był to styl autorytarny. Rozumie pan, o czym mówię? – Spojrzał uważnie na Michalczyka.

Michalczyk zwrócił uwagę, że menedżer, mówiąc o Strobisz, bez wahania stosuje czas przeszły. Zdarzało się często, że gdy rozmawiał o kimś niedawno zmarłym z osobami, które go znały, te mówiły o nim: jest, ma, robi, a potem nadchodziła chwila króciuteńkiej refleksji i poprawka: był, miał, robił. Tak jak Strobiszowa, na przykład. Sulik nie miał z tym problemu być może dlatego, że minęło już kilka dni i zdążył się przyzwyczaić, a być może dlatego, że te spostrzeżenia Michalczyka dotyczyły raczej osób bliskich zmarłemu. A z miny, jaką zrobił Sulik, można było wywnioskować, że Strobisz nie był mu bliski.

- Rozumiem doskonale - potwierdził Michalczyk i zapytał: - W czym przejawiał się ten jego autorytaryzm?

Sulik wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki cieniutki telefon w błękitnej obudowie.

- W tym, na przykład. - Pomachał nim. - Nie rozstawałem się z nim nawet w nocy, w domu. Nawet na urlopie. Kiedyś zadzwonił do mnie, jak byłem w Chorwacji. Wiedział, że tam jestem, ale mimo to zadzwonił, żeby zapytać o jakąś pierdołę, której nie mógł znaleźć. Rozumie pan? To samo wieczorami. Kładę się spać, a tu telefon: „Panie Jakubie, czy załatwił pan to i tamto?”. Jakby nie mógł zapytać przed wyjściem z pracy albo następnego dnia z samego rana. Żonę szlag trafiał, ale...

- Ale?

Sulik uśmiechnął się.

- Nie narzekam na zarobki. Coś za coś. - Zastanowił się nad czymś i zmarszczył brwi. - Choć teraz zapewne to się nieco zmieni... Nie wiadomo, co przyniesie przyszłość.

Michalczyk spojrział na niego.

- Jaki był w stosunku do innych pracowników? Tutaj, w klinice?

Sulik wzruszył ramionami.

- Wie pan, od zarządzania tym wszystkim, a przynajmniej w ogromnej większości, byłem ja. On kontrolował interes globalnie. Tak więc kontakt z pracownikami „Medicertum” siłą rzeczy powinien mieć ograniczony do niezbędnego minimum. Nie ma po prostu takiej potrzeby. Ale u nas było troszkę inaczej. I, wiadomo, czasem coś się działo...

- Co? - Michalczyk zauważył mało subtelną próbę zasygnalizowania ważnego tematu.

- No... Jak to między ludźmi bywa.

- Niech pan przestanie się krygować - zaproponował prokurator. - Nie jesteśmy panienkami z dobrych domów. Wprost, poproszę. W końcu sam pan zaczął.

Sulik lekko poczerwieniał. Z zakłopotaniem poprawił okulary.

- Wie pan, podobno o zmarłych trzeba mówić albo dobrze, albo wcale.

- Może i tak, ale nie o wszystkich. A na pewno nie o tych, którzy rozstali się z życiem przy czyjejś pomocy. Słucham.

Menedżer przez chwilę wpatrywał się w okno za plecami Michalczyka.

- Dwa lata temu zdarzyła się pewna nieprzyjemna historia - powiedział w końcu. - Pracowała u nas jedna dziewczyna. Była sekretarką szefa. - Sulik wskazał drzwi. - Reprezentacyjna, dwa fakultety, znała dobrze angielski i niemiecki. Trochę nieprzystępna. Zakochała się w Strobiszu. Na amen. Wszyscy się podśmiewaliśmy, jak wodziła za nim rozmarzonym wzrokiem. Oficjalnie szef niczego nie zauważał...

- A nieoficjalnie?

- No właśnie: nieoficjalnie - nie wiadomo. Albo dobrze się kryli, albo faktycznie nie było niczego nieoficjalnego. Pewnego dnia okazało się, że ona jest w ciąży. W któryś piątek podobno wybiegła zapłakana z gabinetu Strobisza. W sobotę już nie żyła, połknęła tyle prochów, że jej nie odratowali. Jej ojciec był prokuratorem, więc nie odpuścił. Szef był ustosunkowany, więc też nie dał sobie w kaszę dmuchać...

Michalczyk z zaskoczeniem uświadomił sobie, czemu nazwisko Strobisza tak chodziło mu po głowie, odkąd wezwano go na miejsce zgonu. Teraz sobie przypomniał. Tamtą sprawę i tego człowieka z prokuratury okręgowej. Całkiem sympatyczny i pogodny facet po śmierci córki stał się zgorzkniały i milczący, wkrótce potem odszedł na emeryturę. Sprawa skończyła się niczym, bo inaczej nie mogła się skończyć.

- Podobno po badaniach okazało się, że to nie on był sprawcą ciąży, jak to się nieładnie mówi - kontynuował Sulik. - Być może chciała go w nią wrobić, wie pan,

desperacki krok kobiety zakochanej do szaleństwa... Ale skoro nie on był ojcem, to może faktycznie do niczego między nimi nie doszło? A może właśnie doszło, tylko że ona wpadła z kimś innym i zwierzyła okazję? Nikt nie odważył się spytać o to szefa. I chyba nic w tym dziwnego. W końcu ta sprawa trochę zszargała mu nerwy.

Michalczyk kiwał głową. Przypadkiem wiedział coś, czego nie wiedział ani Sulik, ani nikt poza wąskim gronem osób zaangażowanych w tamtą sprawę. Nawet jeśli między Strobiszem a dziewczyną doszło do seksualnego zbliżenia, nie miało ono prawa skończyć się ciążą, bo Strobisz był bezpłodny od wielu lat. Zastanawiał się też, czemu Strobiszowa tak gładko prześlizgnęła się po tym temacie podczas niedawnej rozmowy. Ta sprawa musiała przecież dotknąć również i ją. Wyparcie? Nieświadomość wagi oskarżeń? Może Strobisz przekazał jej własną wersję zdarzeń?

- Dobrze. - Westchnął. - Zna pan jeszcze jakieś inne mrozące krew w żyłach opowieści o Strobiszu?

Sulik wyprostował się urażony.

- Sam pan chciał - obruszył się. - Poczuję się teraz jak jakiś kapuś.

Przez chwilę miał wyraz oczu domowego kota, któremu ktoś właśnie skończył obcinać pazury.

- Zgadza się, sam chciałem - uspokoił go Michalczyk. - Proszę się nie denerwować. Nawet pan nie zdaje sobie sprawy, ile z takich historii można się o człowieku dowiedzieć, nawet jeśli ich część to jedynie jakieś wyobrażenia albo pochopne sądy. Trzeba tylko umieć oddzielić ziarno od plew.

- W takim razie jest jeszcze coś - bąknął Sulik, bawiąc się obrączką, przekręcając ją na palcu nieco nerwowymi ruchami. - Jak już tak rozmawiamy...

- Słucham.

- Nie chciałbym, żeby pan sobie pomyślał, że...

- Panie Jakubie... - Ton Michalczyka był pełen troski, a przynajmniej prokurator chciał, żeby tak brzmiał.

W połączeniu z widoczną gołym okiem chęcią wyrzucenia z siebie kolejnej, pełnej smaczków historii te rozterki i wątpliwości Sulika trochę go dziwiły.

- Ja niczego sobie nie pomyślę - obiecał. - Wszystko zostaje między nami, to chyba jasne?

Sulik spojrział na niego zdziwiony.

- Dla mnie to nie jest takie jasne. Dzielę się z panem swoimi podejrzeniami, nie mając pewności, że mają solidne podstawy...

- Ja sprawdzę, czy mają podstawy, niech pan się o to nie martwi. Ani pan, ani nikt inny nie jest już w stanie zaszkodzić panu Strobiszowi, bo, jak rozumiem, czuje się pan trochę skrupowany lojalnością wobec pracodawcy. Ale to, o czym pan mi powie, może tylko pomóc doprowadzić do wykrycia sprawcy jego zabójstwa. Rozumiemy się?

Sulik skinął głową.

- Tak. Teraz jest to dla mnie jasne.

- Cieszę się. Wobec tego słucham uważnie.

- Jakiś czas temu szef uzyskał dofinansowanie na zakup urządzeń USG. Było tego trochę. Przyjąłem kilka na stan do „Medicertum”, reszta miała być rozwieziona po klinikach Strobisza, które miał w całym województwie.

Podobno bardzo dobre urządzenia. Moja mama mieszka w Choszcznie. Ma kłopoty ze zdrowiem, trochę przesadza, jak to starsi ludzie, no ale powiedzmy, że ją rozumiem. Zauważyłem, że kiedy pójdzie do lekarza się zbadać, przez jakiś czas czuje się lepiej. Załatwiam jej więc po znajomości wizyty w tamtejszym „Medicertum”, wie pan... - Michalczyk skinął głową. - Umówiłem ją ostatnio do internisty na USG. Skarżyła się na częste bóle brzucha. Sam się zaniepokoiłem, bo do tej pory to nigdy jej się nie zdarzało. Wiedziałem o nowych, świetnych urządzeniach, w końcu sam je tam wysyłałem. Wspomniałem o tym mamie. Ucieszyła się. Po wizycie zadzwoniła z pretensjami, że zrobili jej badanie starym aparatem. Niech pan tak na mnie nie patrzy, moja mama zwraca uwagę na takie rzeczy. Czyta ulotki leków od deski do deski, zbiera opinie o lekarzach i tak dalej, tak panicznie boi się, że coś przegapi...

Michalczyk słuchał uważnie z nadzieją, że rozwleczony wątek doprowadzi wreszcie do czegoś konkretnego.

- Podczas badania zapytała lekarza, czy to jest to nowe, cudowne urządzenie, bo wygląda zupełnie tak samo jak poprzednio, a miała mieć porządne badanie nowym aparatem. Był zdziwiony. Po pierwsze dlatego, że nie spodziewał się, że starsza kobieta może w ogóle o coś takiego zapytać, a po drugie dlatego, że nie wiedział nic o żadnych nowych urządzeniach. Temu akurat się nie dziwię, w końcu tylko sobie tam dorabia. Ale zainteresowało mnie to, zarówno ze względu na mamę, jak i z powodów zawodowych. Zadzwoniłem tam. Okazało



się, że przekazano je do innej spółki, Medicertum II. Tylko że mnie nikt o tym nie poinformował.

- A powinien?

- Oczywiście. Jestem szefem komórki, która za to odpowiada. Powiedziałem o tym Strobiszowi. W końcu aparaty pierwsza klasa, za unijną kasę to nie przelewki. Powiedział, żebym się tym nie przejmował, bo on zajmuje się tym osobiście i że później to załatwimy. Dodam, że poinformował mnie o tym takim tonem, że nie przyszło mi do głowy więcej pytać o żadne związane z tą kwestią rzeczy. W końcu musiałbym to wyjaśnić, ale odwlekałem to, ile się dało. No i już nie będzie okazji...

Michalczyk milczał przez chwilę.

- A to takie dziwne? - zapytał w końcu menedżera.

- Co dziwne? - Sulik zmarszczył brwi.

- Że urządzenia przekazano z jednej kliniki do drugiej? Przecież służą temu samemu, niezależnie od tego, gdzie są.

Menedżer popatrzył na Michalczyka.

- Pan chyba nie rozumie - powiedział powoli. - Medicertum II nie zajmuje się działalnością leczniczą, tylko handlową. Wyłącznie.

Michalczyk zagryzł wargę. Pachniało znajomo. I nieładnie.

- Co stało się z nimi dalej?

Sulik wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. To już nie moja działka. Ale, jak dla mnie, sprawa trochę śmierdzi. Miałem obawy, czy się tym z panem dzielić, bo jakby co, mnie to też dotknie.

- Ale odważył się pan - zauważył Michalczyk.

- Owszem - przytaknął Sulik. - Wyszedłem z założenia, że gdyby to wyszło później, ale samo, to dotyczyłoby mnie jeszcze bardziej. Na zasadzie: „a dziad wiedział, nie powiedział...” i tak dalej. W każdym razie szef skończył smutno, ja wolałbym nie.

- W porządku. Sprawdzę to, oczywiście. Coś jeszcze? Nie ginęły, na przykład, narkotyki?

Sulik pokręcił głową.

- Nie mamy tu narkotyków, bo nie ma takiej potrzeby. Nie przeprowadzamy zabiegów w znieczuleniu. Operacje robimy tylko w klinice chirurgii plastycznej na Bieszczadzkiej.

- Rozumiem. Czy Strobisz miał jakichś wrogów?

- Gdzie?

- Gdziekolwiek. W swoim otoczeniu. Kogoś, kto mu źle życzył?

- Ja mogę mówić tylko o naszym podwórku, o klinice. Ja i szef obracaliśmy się w nieco innych kręgach. - Lekko się uśmiechnął. - Czy ktoś mu źle życzył? Hmm... Nikt mi tego nigdy nie powiedział wprost, ale czasem pewnych rzeczy można się domyślić. Zwłaszcza jeśli się wie, jak Strobisz traktował niektórych ludzi.

- Jak?

- Mówiłem już panu jak. - Sulik spojrzał na Michalczyka. - Pewnie będzie pan rozmawiał z personelem, prawda? To tylko kilkanaście osób.

- Zapewne tak. Może nie ze wszystkimi, ale z niektórymi na pewno.

- Ich niech pan spyta - zaproponował chytrze. - Ja powiem panu jedno, tak na koniec: Strobisz potrafił być skurwielem. I tyle.

- Wie pan, prowadzenie takiego dużego i dochodowego biznesu wymusza określone zachowania - stwierdził Michalczyk, nie komentując propozycji zakończenia rozmowy, mimo że to on o tym decydował, a nie Sulik. - Trzeba być twardzielem, by tak wyglądać i tak się zachowywać.

- Zgadza się. Jednak między twardzielem a skurwielem istnieje różnica, i to wcale nie jakaś subtelna, którą można łatwo przeoczyć. A on ją lubił przekraczać, niech mi pan wierzy. Teoretycznie, tak jak panu wspomniałem, ja byłem szczeblem pośrednim między nim a personelem. W innych firmach o podobnej strukturze zależności personel widuje szefa od święta. A tu zdarzało się to dużo częściej nie tylko dlatego, że szef miał swój gabinet w tym samym budynku. Myślę, że gnojenie ludzi sprawiało mu frajdę. Po prostu. - Znów wzruszył ramionami.

- Dobrze. - Michalczyk westchnął. - Na razie skończymy rozmowę. Być może wrócimy jeszcze do niej, kiedy będę musiał coś z panem przedyskutować w kwestii działalności kliniki.

- Jestem do pana dyspozycji. - Sulik wstał i odruchowo wytarł ręce w spodnie.

- Może pan poprosić tę panią z sekretariatu? - zapytał prokurator.

Sulik mruknął coś, kiwając głową, i wyszedł. Po chwili do środka zajrzała spłoszona dziewczyna. Michalczyk wstał z fotela.

- Zapraszam panią. - Ośmielił ją szerokim uśmiechem.

Nie podziałało. Jej mina dalej świadczyła o tym, że spotkanie z prokuratorem nie jest czymś, co w obecnej sytuacji mogłoby ją rozluźnić. Bardzo powoli usiadła w niskim fotelu. Michalczyk starał się nie zerkać na jej zgrabne nogi, które dziewczyna wdzięcznie ułożyła w pozie kopenhaskiej syrenki.

Musiała mieć około trzydziestki. Elegancki, granatowy kostium opinał wspaniałe ciało, proste ciemne włosy opadały wzdłuż twarzy, a ogromne oczy miały spojrzenie sarny zdybanej przez myśliwego podczas beztroskiego skubania trawki.

- Jak pani się nazywa? - Michalczyk wciąż starał się dodać jej otuchy uśmiechem, ale ona patrzyła gdzieś w podłogę.

- Daria Duniec. - Głos też miała ładny.

- Długo pani tu pracuje?

- Około dwóch lat.

- Podoba się pani ta praca?

Wzruszyła ramionami.

- Raczej tak.

- Ciężka jest?

- Wie pan, to zależy, z jaką inną pracą będzie się ją porównywać... Prawda?

Michalczyk już spodziewał się jakiegoś bąknięcia, a tu proszę, miła niespodzianka. Kobieta, oprócz atrakcyjnej powłoki, miało również coś w głowie. A już myślał, że Strobisz posadził sobie w sekretariacie laleczkę.

- To pani pierwsza praca?

- Nie. - Pokręciła głową, wciąż nie patrząc mu w oczy.  
- Na studiach i po nich odbywałam staże w Niemczech, potem pracowałam kilka lat w banku. Więc na podstawie swojego doświadczenia zawodowego określiłabym pracę u pana Strobisza jako dość lekką. I niezłe płatną. I nie polegała tylko na parzeniu kawy - zastrzegła nagle i wreszcie na niego spojrzała.

Wydawało mu się, że w jej oczach dostrzegł szydercze iskierki. Czyżby go rozszyfrowała z tą laleczką?

- Rozumiem, że pełniła pani funkcję sekretarki?

- Można tak powiedzieć. Ale również asystentki pana Strobisza.

- To dobrze. - Michalczyk się ucieszył.

- Dlaczego dobrze? - zdziwiła się dziewczyna.

- Bo to oznacza, że teoretycznie wie pani o nim i o jego sprawach więcej, niż gdyby była pani tylko sekretarką.

- Teoretycznie...

- No właśnie. Miejmy nadzieję, że praktycznie też. Czy pan Strobisz był z kimś w konflikcie?

- Nie mam pojęcia.

- Nie wspominał o czymś takim?

- Nie.

- Żadnych komentarzy? Na przykład: „Proszę nie łączyć telefonów z tym...” i tu brzydkie słowo?

- Pan Strobisz nie używał takich słów, a przynajmniej nie przy mnie.

- Ale wie pani, o co mi chodzi?

- Wiem. Ale nic takiego nie miało miejsca. Tylko raz, przypadkiem...

- A więc jednak? - podchwycił Michalczyk.

Spojrzała na niego krzywo.

- Niech mnie pan nie łapie za słówka, tylko pozwoli dokończyć, dobrze?

Michalczyk poczuł się trochę jak chłystek przyłapany na podglądaniu koleżanek w szatni.

- Przepraszam, pani Dario. - Jego uśmiech był dokładnie taki jak wtedy, kiedy naprawdę został w tej szatni przyłapany przez wuefistkę.

- Przypadkiem słyszałam, jak szef rozmawia przez telefon. Z synem...

- O czym rozmawiali?

- Nie wiem. Zamknęłam drzwi. Ale mówił dosyć gwałtownie i głośno. Kłócili się.

- Rozumiem. To był odosobniony przypadek czy takie rozmowy z synem zdarzały się częściej?

- Ja słyszałam to tylko raz.

- Zostawała pani po godzinach?

Spojrzała na niego, jakby coś sugerował, ale nie skomentowała tego.

- Czasami. Ale rzadko i niezbyt długo.

- Strobisz też wtedy zostawał?

- Szef często przesiadywał w pracy. Kiedy zdarzała się taka sytuacja, że musiałam zostać dłużej, byliśmy tu wtedy razem. Uprzedzając pańskie dalsze pytania: szef nigdy nie dał mi do zrozumienia, że ma wobec mnie nieczne zamiary. Bywał zasadniczy, nawet groźny, jak to szef, ale nigdy sprośny. Nic, co można by uznać za przejaw molestowania seksualnego. Nawet w głupich,

samczych żartach – powiedziała dobitnie. – Nigdy przy mnie takim nie rzucił.

- Niczego takiego nie sugeruję – uspokoił ją Michalczyk, choć i tak pewnie wiedziała, że jednak chciał coś zasugerować.

No ale doktor musiałby być kompletnym idiotą, żeby po historii z córką prokuratora znów próbować czegoś takiego z kolejną asystentką. Swoją drogą, trzeba będzie sprawdzić, co teraz porabia ów emerytowany prokurator. Motyw zemsty jest równie prawdopodobny, jak porachunki na tle finansowym. Synowi też chyba trzeba się będzie przyjrzeć...

- Powiedziała pani o nim: „groźny”. Bała się go pani? – zapytał.

Nie odpowiedziała od razu. Jeśli po takim pytaniu waży się słowa, niechybnie oznacza to, że w jakimś stopniu tak.

- To nie był strach – powiedziała w końcu, lekko wzruszając ramionami i robiąc przy tym minę, jakby sama była zdziwiona swoimi słowami. – Czasem się go obawiałam. Każdemu zdarzają się drobne potknięcia, mnie również, a on w takich sytuacjach był po prostu... zimny. Nie krzyczał. Ale kiedy czegoś nie dopilnowałam, tak na mnie patrzył, że aż miałam ochotę się skulić i zniknąć. Nie chcę, żeby pan mnie źle zrozumiał. Nie pałał żądzą mordu ani nie dyszał chęcią zemsty. Po prostu patrzył z takim wyrzutem... I nie mówił, co będzie potem. To było najgorsze. Nie wiedziałam, czy mam to naprawiać, czy nie, jakie będą konsekwencje... A następnego dnia wszystko było już w porządku... Nno, może jego ton był odrobinę chłodniejszy niż zwykle. Ale właśnie to milczenie

było najgorsze. Wzbudzało we mnie poczucie winy sto razy większe niż normalnie. To miałam na myśli, mówiąc, że bywał groźny.

- Nazwałaby to pani mobbingiem?

Pokręciła głową.

- Za grube słowo. Powiedzmy, że jego postępowanie w takich momentach mimo wszystko mieściło się w granicach tolerancji.

- Pan Sulik również wspomniał, że państwa szef czasem niezbyt ładnie postępował z pracownikami? Jak się wyraził: „Szef lubił ich gnoić”.

Wyduła usta w wyrazie lekceważenia.

- Pan Sulik mówi różne rzeczy.

- Twierdził, że po rozmowach z państwem przekonam się o tym sam.

- Więc niech pan rozmawia. - Znów wzruszyła ramionami, tym razem krzywiąc zgrabne usta w wyrazie niechęci. - Ale pan Sulik sam ma za paznokciami trochę brudu.

- To znaczy? - Nie spodziewał się po niej takich słów.

- To jemu zdarza się niezbyt ładnie postępować z pracownikami, jak pan to ujął.

- To on tak powiedział. Użył również sformułowania „gnoić”.

- No właśnie. - Pokiwała głową. - Jak powiedział, tak robi. Ale to tak między nami, dobrze? On nie musi wiedzieć, że rozmawiałam o tym z panem.

Michalczyk podniósł się z fotela i wyciągnął do Duniec dłoń.



- Oczywiście, pani Dario. I dziękuję za rozmowę. Myślę, że to na razie wystarczy.

Wstała, obciągnęła spódniczkę i podała mu rękę, a potem w milczeniu wyszła z gabinetu. Michalczyk odprowadził ją spojrzeniem i westchnął. Potem poszedł za nią, otworzył drzwi i wyjrzał do sekretariatu. Stała przy oknie.

- Jeszcze jedna prośba. Mam pani jakiś spis pracowników kliniki? Z opisem stanowisk?

Skinęła głową i usiadła do komputera.

- Za chwilę panu przyniosę - powiedziała i wreszcie się uśmiechnęła.

Michalczyk odwzajemnił się jej tym samym i zniknął w gabinecie świętej pamięci Artura Strobisza.

\* \* \*

Gdyby Michalczyk nie miał całkiem sporego doświadczenia w tej materii, mógłby odnieść wrażenie, że wcześniej żona biznesmena, a teraz siedzący przed nim ludzie, opowiadając o Arturze Strobiszu, mówią o zupełnie różnych osobach. Był już jednak na tyle doświadczony, by doskonale zdawać sobie sprawę, że po pierwsze: to całkiem możliwe, a po drugie: nie ma w tym absolutnie nic zaskakującego. W ciągu swej kariery zawodowej spotykał się z tym na pozór dziwnym zjawiskiem wielokrotnie. I nawet nie chodziło o to, że człowiek może mieć podwójne, a nawet potrójne życie. Chodziło o to, jak był odbierany w swoim środowisku. I co robił, żeby inni odbierali go w sposób, jaki chciał.

Grzeczny wobec żony, skonfliktowany z synem. Opryskliwy wobec jednych podwładnych, spokojny wobec innych. Każdemu dał się poznać z nieco innej strony. Z czego wynikał tak różny sposób postępowania Strobisza z ludźmi i która z jego twarzy była prawdziwa, tego Michalczyk już nie mógł się dowiedzieć. Często pantoflarze są w pracy despotami i tyranami gnębiącymi wszystkich poniżej swojego szczybla w hierarchii, a potulne baranki, nieśmiejące spojrzeć współpracownikom w twarz – demonami terroryzującymi domowników. Różne zachowania wymuszane były różnymi powodami: doraźną potrzebą, konformizmem lub strachem. I bądź tu mądry: jaki Strobisz był naprawdę i czy to miało wpływ na jego śmierć? Michalczyk mógł tylko zgadywać, a to nigdy nie było takie proste...

Kiedy ostatnia z przepytywanych przez niego osób wyszła z gabinetu, podszedł do okna i wyjrzał na ulicę. Było słonecznie i ciepło, świergot ptaków był tak głośny, że nie pozwalał się skupić. Czuł na twarzy ciepło bijące od rozgrzanej szyby. Nie chciało mu się tu tkwić. Skończył rozmowy z pracownikami kliniki, każdy z nich powiedział mu, co myśli i czego nie myśli o denacie, w zasadzie mógł się już stąd zbierać.

Ciągnęło go na zewnątrz. Najchętniej wyjechałby gdzieś, zabrał Mikołaja w Karkonosze, albo chociaż nad morze, na parę dni... Spojrzał na swoje odbicie majaczące na szkle, westchnął ciężko i kątem oka zauważył otwierające się drzwi. Usłyszał nerwowy głos sekretarki, potem inny, męski, uspokajający i trochę władczy: „Ja tylko na moment”. Obejrzał się i zobaczył w drzwiach

człowieka z szopą blond włosów na głowie. Zaglądał do środka i był wyraźnie zaskoczony jego widokiem.

- Zapraszam - powiedział wesoło Michalczyk.

Jak na luzie, to na luzie. Blondyn zawahał się lekko.

- Ja... Do pana Strobisza.

- Domyślam się. Niech pan wejdzie. - Michalczyk szerokim gestem wskazał fotel przy niskim stoliku i przez jedną, króciuteńką chwilę poczuł się jak u siebie.

To było całkiem miłe uczucie.

- No, niech pan wejdzie, zapraszam - powtórzył z naciskiem, widząc, że gość wciąż się waha, a nawet bliski jest wycofania się rakiem.

Blondyn wszedł w końcu do gabinetu. Zrobił to niezdecydowanie, oglądając się jeszcze przez ramię na sekretarkę, jakby szukał u niej pomocy. Ale nie dostał jej, widać nie zasłużył swoim zachowaniem sprzed chwili. W końcu zamknął za sobą drzwi. Michalczyk patrzył i czytał mu z twarzy. Widać było, że facet nie wie, co się dzieje. Jego dystyngowany wygląd przywodził Michalczykowi na myśl hrabiego z angielskiego serialu *Pan wzywał, milordzie?*

- Z kim mam przyjemność? - zapytał go.

- W zasadzie powinienem zapytać o to samo. - Blondyn odzyskał nagle rezon. - Jesteśmy w gabinecie pana Strobisza, a pan nie jest panem Strobiszem... - Zawiesił głos.

- Zgadza się. - Prokurator skinął głową. - Nie jestem. Ale to ja tu byłem pierwszy, więc to pan powinien się najpierw przedstawić, prawda?

Wiedział, że uśmiech, który ma teraz na twarzy, jest uprzejmy do bólu. Tak uprzejmy, że albo zmiękczy przybysza, albo go wkurwi.

Jeśli uśmiech Michalczyka w jakikolwiek sposób blondyna dotknął, to przybysz nie pokazał tego po sobie. Jego twarz miała tyle wyrazu co wielkanocny czekoladowy królik firmy Lindt. Ujął rączkę teczki obiema dłońmi, opierając ją sobie o kolana. Wyglądał jak nowy uczeń, który właśnie przedstawia się klasie. Patrząc w okno, wyrecytował chłodno:

- Nazywam się Anders Södergren, jestem przedstawicielem firmy Avunläke AB. Czy zastałem pana Strobisza?

Michalczyk uśmiechnął się w duchu. Jaki honorowy - pomyślał.

- Obawiam się, że pana Strobisza nie ma i nie będzie.
- Nie rozumiem?
- Był pan z nim umówiony?

Chwila zawahania.

- Nie. Wpadłem tylko na moment. Dowiem się wreszcie, kim pan jest?

- Oczywiście, przepraszam. - Michalczyk wciąż był uprzedzająco grzeczny. - Nazywam się Mateusz Michalczyk i jestem prokuratorem Prokuratury Rejonowej Szczecin-Zachód.

Przez twarz blondyna przemknął cień, lecz nadal pozostała bez wyrazu. Michalczyk zastanawiał się, jakim cudem ten człowiek dotarł aż tu, na drugie piętro, mijając recepcję i sekretariat, a mimo to nikt nie powiedział mu o śmierci Strobisza? A może po prostu on nie dał sobie nic

powiedzieć? Sytuacja w sekretariacie sprzed chwili wymownie o tym świadczyła. Pewnie się spieszył, no ale jak się człowiek spieszy, to tak ma...

- To może ja przyjdę później? - zapytał przybysz z zaskoczeniem w głosie.

- Nie, nie. - Michalczyk ponownie wskazał fotel. - Skoro pan już tu jest, to chciałbym z panem porozmawiać o doktorze Strobiszu. Widzę, że pan nie wie, że on nie żyje?

Nieprzenikniona maska opadła, a za nią ukazała się ludzka twarz, pełna niedowierzania.

- Proszę, niech pan usiądzie - mruknął Michalczyk.

Blondyn skorzystał wreszcie z zaproszenia. Postawił teczkę na podłodze, opierając ją o fotel, w którym usiadł. Przewróciła się, ale tego nie zauważył. Wpatrywał się w ścianę, widać było, jak myśli przelatują mu przez głowę.

- Został zabity? - zapytał cicho.

- Szybko pan wyciąga wnioski - zauważył Michalczyk.

- Gdyby utopił się w wannie albo zmarł na zawał, nie byłoby tu pana, prawda?

Bez wątpienia miał trochę racji.

- Tak, został zabity niedaleko swojego domu - potwierdził Michalczyk.

- Kto go...?

- Sprawcy ani motywu jeszcze nie ustalono. Pracujemy nad tym. Pan wybaczy, ale na tym etapie śledztwa nie będę dzielił się z panem szczegółami. Co pana łączyło z ofiarą?

Miał przed sobą kolejne źródło wiedzy o Strobiszu, a przynajmniej takie mógł wyciągnąć wnioski z reakcji blondyna na wieść o śmierci lekarza. Gdyby się nie znali, nie zrobiliby to na gościu aż takiego wrażenia.

Blondyn spojrział na niego chłodno.

- To pytanie zabrzmiało, jakbym był przesłuchiwany w związku z jakimś podejrzeniem - zauważył.

- Nic podobnego - zaprotestował prokurator. - Standardowe pytania na tym etapie śledztwa. Niech pan nie szuka podtekstu. Po prostu chcę się dowiedzieć jak najwięcej o tym człowieku. Więc jak?

Blondyn jakby się trochę uspokoił.

- Obawiam się, że za bardzo panu nie pomogę. Łączyły nas wyłącznie sprawy zawodowe. - Wzruszył ramionami. - Nie znaleźliśmy się bliżej. Mam na myśli to, że nie bywaliśmy u siebie ani nie jeździliśmy na wspólne wypadki czy coś takiego. Tylko interesy.

- Jakiego rodzaju?

Kolejne wzruszenie ramion.

- Moja firma sprzedała klinice „Medicertum” trochę urzędzeń. - Rozluźnił się nieco w końcu i zaczął trajkotać: - Nasza firma jest liderem na polskim rynku...

- Tak, tak - przerwał mu Michalczyk w pół słowa. - Wie pan, to chyba nie jest istotne w tej sprawie...

Blondyn przez chwilę wyglądał na nieco zdegustowanego niegrzecznym zachowaniem prokuratora, ale Michalczyk naprawdę nie miał ochoty słuchać jego wykładu. Spodziewał się długiego monologu, wygłaszanego z entuzjazmem sprzedawcy cudownych

naczyń po sześć tysięcy za komplet, plus patelnia i książka kucharska gratis.

- Świetnie pan mówi po polsku jak na obcokrajowca? - zapytał.

- Jestem w połowie Polakiem, w połowie Szwedem - powiedział blondyn, a jego twarz na powrót zastygła w arystokratyczną maskę. - Wychowywałem się w Polsce...

- Czyli jest pan naszym swojskim Andrzejem?

- Mam na imię Anders - podkreślił blondyn z godnością.

Spojrzenie, jakim obrzucił Michalczyka, było wymowne. Prokurator uwielbiał oglądać taki wyraz twarzy u kogoś, kto wyraźnie go nie doceniał.

- Co oznacza to AB na końcu nazwy pana firmy? - dobił go kolejnym pytaniem.

- *Aktiebolag*. Coś w rodzaju polskiej spółki z ograniczoną odpowiedzialnością. - Teraz już blondyn patrzył w podłogę. Widać bał się, że siła wyrazu jego spojrzenia jest tak duża, że nawet taki kretyń, jakim jawił mu się prokurator, domyśli się bez trudu, co o nim sądzi.

- Myślałem, że spółka akcyjna? - zdziwił się Michalczyk.

- Forma prawna szwedzkich przedsiębiorstw handlowych jest nieco inna niż polska. U nas nie ma podziału na spółkę akcyjną i z ograniczoną odpowiedzialnością jako takiego. *Avunläke* jest spółką prywatną, zatem w polskiej nomenklaturze bliżej jej do spółki z o.o.

- U nas, mówi pan... Czyli czuje się pan bardziej Szwedem niż Polakiem?

- Mentalnie? Tak - powiedział to pewnie i bez zastanowienia, a w powadze, z jaką wygłosił te słowa, widać było wynikającą z tego faktu dumę.

Zapadła chwila ciszy. Michalczyk zastanawiał się, czy siedzący przed nim facet nie wstydzi się czasem tej polskiej części krwi płynącej w jego żyłach. Szwed popatrzył w końcu na niego.

- Przepraszam, mieliśmy rozmawiać o panu Strobiszu, jeśli się nie mylę. Trochę się spieszę... - Zerknął na zegarek, na który Michalczyk musiałby pracować co najmniej pół roku.

- A, tak. Po prostu byłem ciekaw... Nieważne! - Michalczyk spojrział na wiszący na ścianie szczeciński pejzaż. - Ładny obraz. Duży taki. To chyba Szczecin, no nie? Ten kościół podobny do naszej katedry... Wie pan, mam kolegę, który się interesuje sztuką. A jest policjantem, niech pan sobie wyobrazi! Ten, tutaj, pewnie by go też zainteresował. Musiał sporo kosztować, jak pan myśli?

Szwed łaskawie zerknął na płótno i westchnął cicho z rezygnacją.

- Zapewne.

- No właśnie. Pan Strobisz był majątnym człowiekiem. To mógł być jeden z motywów.

- Okradziono go?

- Tylko z telefonu.

Blondyn milczał. Michalczyk obrzucił go uważnym spojrzeniem.



- A wie pan, dobrze się składa, że na siebie wpadliśmy - powiedział.

- Właściwie to ja wpadłem... - bąknął Szwed ze smutnym uśmiechem, nieco spuszczać wzrok - ...na pana.

- Bez wątpienia, jeśli już chcemy rzecz ująć precyzyjnie. - Michalczyk pomyślał, że może jednak facet nie jest aż takim sztywniakiem, na jakiego wygląda. - Pan jest człowiekiem z branży... Powiem panu, że istnieją przesłanki, by sądzić, że pewne transakcje poczynione przez doktora Strobisza były nie do końca zgodne z prawem.

- To znaczy?

- To znaczy właśnie to, co powiedziałem.

- Nie rozumiem, czemu rozmawia pan o tym akurat ze mną? Czy coś pan sugeruje? - Spojrzenie Szweada było pełne wyrzutu.

- Te transakcje dotyczą kupna sprzętu medycznego. A pan jest przedstawicielem jednej z firm, która taki sprzęt Strobiszowi sprzedała. Czy tak?

- Noo, tak...

- Jaki to był konkretnie sprzęt?

- Aparaty do USG.

Michalczyk uniósł brwi.

- O! - zdziwił się.

- Czemu jest pan tak zaskoczony tym faktem? - zapytał blondyn.

- A jeśli powiem, że nieprawidłowości dotyczyły właśnie takiego sprzętu?

- Chce pan powiedzieć, że pan Strobisz oszukał nas w jakiś sposób? - oburzył się Szwed.

Michalczyk zrobił zbolałą minę.

- To niewykluczone. Ten wątek będzie podlegał dalszemu badaniu.

Zdążył już zapomnieć, jak blondyn się nazywa. Tymczasem Szwed zaczął nerwowo bębnić palcami po podłokietniku fotela. Trwało to tylko chwilę, zaraz opanował się i znów przyjął wystudiowaną pozę. Ręce spoczywały już bez ruchu, palce delikatnie obejmowały elegancki materiał obicia.

- Badaniu? - zapytał.

- Musimy sprawdzić pewne rzeczy - wyjaśnił Michalczyk. - Wszelkie nieprawidłowości, które miały miejsce, że tak się wyrażę, na orbicie życia pana Strobisza, mogły mieć związek z jego śmiercią. Trzeba będzie prześledzić jego kontakty w wielu aspektach, również biznesowych, tych z pańskiej dziedziny. Wygląda pan na wyraźnie zmartwionego? Trochę pan zbladł.

Szwed drgnął lekko.

- Domyślam się, jak teraz wyglądam - potwierdził, uśmiechając się kwaśno. - Wie pan, chodzi o to... To dość niemiła sytuacja. Jeżeli okaże się, że te pańskie podejrzenia... Że ta sprawa w jakiś sposób dotyczy Avunläke, moi przełożeni nie będą szczęśliwi... To po pierwsze. A to, że nie będą szczęśliwi, może się odbić także na mnie. To po drugie.

- Naprawdę? - zdziwił się Michalczyk. - Wydawało mi się, że korpomenedżerowie zdają sobie sprawę, że rynek to basen z rekinami. I że któraś z tych rozkosznych rybek

od czasu do czasu będzie niegrzeczna. To się zdarza i takie jest ryzyko biznesu.

- Może i tak. - Szwed uśmiechnął się kolejny raz, tym razem bardzo smutno. - Ale, jak się domyślam, mówi pan o realiach polskich. Szwedzi patrzą na to nieco inaczej.

- A jak mianowicie? - zainteresował się prokurator.

- Cóż... Słowiańska fantazja jest im doskonale znana. Fantazja w znaczeniu raczej pejoratywnym.

- Przecież Szwecja to multi-kulti. Nie znają tego z własnego podwórka?

- Owszem. Jednak wspominając o ich innym spojrzeniu na pewne sprawy, nie mówię o imigrantach koczujących na ulicach i liczących na to, że państwo będzie w stosunku do nich opiekuńcze. Że wesprze ich, mimo iż nie przejawiają jakiegokolwiek chęci do stania się pełnoprawnymi członkami społeczeństwa. Z pełnymi prawami, ale również i obowiązkami. Bo oni chcieliby mieć wyłącznie prawa, za to żadnych obowiązków. Mówię o rdzennych Szwedach oraz Szwedach obcego pochodzenia, ale tych, którzy zasymilowali się z naszym społeczeństwem w sposób całkowity. O tych wszystkich, którzy przestrzegają reguł i są praworządnymi obywatelami.

- Takimi jak pan?

- Na przykład - zgodził się Szwed, skinąwszy głową. - Rekiny w szwedzkim basenie są raczej oswojone. Śmiem twierdzić, że etyka zawodowa stoi w Szwecji na o wiele wyższym poziomie niż w Polsce. Polacy mają tendencje do kombinowania, naginania prawa, załatwiania wielu rzeczy pokątnie. Jakby nie dało się zwyczajnie. Po prostu tacy są.

Nie wiem, czy to właśnie słowiańska mentalność, czy nawyki spowodowane dawnym ustrojem. Taka otoczką „załatwiactwa” sprawia, że są przekonani, że załatwili sprawę lepiej i szybciej niż normalną drogą. W Szwecji tego nie ma.

- Hmm... - Michalczyk podrapał się w zamyśleniu w podbródek. - Coś jest w tym, o czym pan mówi. Co prawda, nigdy nie byłem w Szwecji, ale rozumiem, co pan ma na myśli.

- Więc zrozumie pan również to, że jako człowiek szanujący prawo mam w związku z tym pewne powody do zmartwienia. - Blondyn nabrał powietrza w płuca. - Na czym miałyby polegać te nie do końca zgodne z prawem transakcje pana Strobisza?

- Widzę, że pan nalega... - Michalczyk pokręcił głową. - Niestety, nie mogę panu udzielić takich informacji. Choć jako osoba siedząca w tym biznesie zdaje pan sobie sprawę, że na tym polu istnieje sporo możliwości do nadużyć. Myślę, że pan nie musi się martwić. Skoro sprzedał pan urządzenia klinice zgodnie z prawem, to to, co stało się z nimi później, pana już nie dotyczy, prawda?

Szwed siedział sztywno, jakby kij połknął, i patrzył w obraz Mosta.

- Oczywiście - rzucił nagle gdzieś przed siebie - ale mimo wszystko to może w jakiś sposób położyć się cieniem na reputacji Avunläke. I mojej także. A tego chciałbym uniknąć.

- Rozumiem, oczywiście. - Michalczyk uniósł się lekko na fotelu. - No cóż... Skoro nie znał pan pana Strobisza bliżej, nie będę pana dłużej zatrzymywał. Szkoda

pańskiego zapewne bardzo cennego czasu. Być może jeszcze się zobaczymy, ale na razie dziękuję za miłą rozmowę.

Szwed wstał z wyrazem ulgi na twarzy. Ukłonił się nieco sztywno, podniósł teczkę z podłogi i nie podając Michalczykowi ręki, odwrócił się i ruszył ku wyjściu.

- Chwileczkę! - zawołał za nim prokurator.

Szwed odwrócił się na pięcie, a w oczach miał złość.

- Słucham? - Jego głos był mimo to opanowany.

- To prawda, że „dziękuję” po szwedzku to „tak”? - zapytał Michalczyk.

- Tak.

- Pan mi teraz podziękował czy potwierdził? - Uśmiech brzdąca ze slapstickowej komedii wzbudził w Szwedzie wyraźny niesmak i Michalczyk zaczął się zastanawiać, czy nie przegiął w tej zgrywie.

Nieważne, więcej gościa nie zobaczy, a przynajmniej dobrze się bawił.

Szwed pożegnał się chłodno i ostatni raz spoglądając na prokuratora, wyszedł z gabinetu. Michalczyk wrócił do stanowiska przy oknie i wyjrzał na zewnątrz, na ścianę zieleni, zza której prześwitywały obrazki z życia zalanej słońcem ulicy. Otworzył szeroko okno, odetchnął kilka razy wiosennym powietrzem i zaczął powoli zbierać się do wyjścia.

\* \* \*

Södergren miał problem. Poważny. Problem ów przybrał postać wysokiego, szczupłego i czarnowłosego upierdliwca, który węszył w zakończonym już życiu Strobisza, niebezpiecznie zbliżając się do ich wspólnych spraw.

Nie miał pojęcia, czy Strobisz nie przechowywał w swoim gabinecie jakichś kwitów dotyczących ich interesu, mogących zainteresować prokuratora. Zresztą nieważne nawet, gdzie je trzymał, istotne było to, żeby nie znalazł ich Michalczyk. Södergren nie wiedział, jakie prokurator miał podstawy do wysnucia swoich podejrzeń wobec doktora. Być może spółka Strobisz&Södergren nie była jedyna, a doktorek trzymał za ogon kilka srok. Pozostawało mieć nadzieję, że te podejrzania Michalczyka dotyczą jednak nie Södergrena, tylko innej firmy...

Byli ze Strobiszem ostrożni w kontaktach mailowych, więc tego akurat się nie bał, ale doktor mógł mieć jakieś notatki, kurwa, mógł nawet prowadzić prywatny dziennik czy coś w rodzaju książki nielegalnych przychodów! Södergren zdawał sobie sprawę, że gdyby Michalczyk, skarbowka czy inne CBA odkryli brudy związane z aparatami USG, a w zasadzie z dalszym losem tych urzędów, tym razem nie uszłoby mu to płazem. Ujawnienie takich historii związanych ze służbą zdrowia zawsze wzbudzało masową histerię i rozgłos, w tym wypadku nie rozeszłoby się to po kościach jak w Finlayu. To już nie byłaby wewnętrzna sprawa firmy. Przeszłości karuzelowe trudno udowodnić i choć jego przekręt nie był typowym tego przykładem, w razie dochodzenia jego nazwisko wypłynęłoby jak tłusta plama na powierzchnię

czystej wody. Straciłby wszystko, na co tak ciężko pracował. Mógłby zapomnieć o ciepłej posadce w Avunläke. Byłby skończony nie tylko na rynku medycznym. I dostałby wyrok, to pewne jak amen w pacierzu. Ta wizja wydała mu się nagle tak bliska i realna, że aż się wzdrygnął.

Bał się jej panicznie.

I jeszcze to zabójstwo! Nie było mu żal Strobisza, szczerze mówiąc, miał to gdzieś – w końcu był dla niego obcym człowiekiem. Obawiał się wyłącznie tego, że zostanie wplątany w to morderstwo.

Poszperał trochę w sieci, a wyniki poszukiwań go zmroziły. Michalczyk nie był tępakiem. Tych kilka informacji, które o nim znalazł, wywiady, przeprowadzone z nim przy okazji jakiejś medialnej sprawy sprzed paru lat, ukazało Södergrenowi prawdziwy obraz prokuratora, sprawiając, że ciarki przeszły mu po plecach. W archiwalnym fragmencie „Kroniki” zobaczył go w zupełnie innym świetle niż w gabinecie Strobisza. Oglądał ten kawałek na okrągło i widział w oczach Michalczyka, w jego spokojnym tonie i wyważonych słowach inteligencję, której wtedy nie dostrzegł. Oceniał go po pozorach, tak jak zapewne prokurator chciał. Pierwszy etap przegrał, musiał to uczciwie przyznać. To Michalczyk grał z nim, a nie on z Michalczykiem. Bo prokurator też był graczem, widział to. Mógł nawet nie zdawać sobie z tego sprawy, ale bez wątpienia nim był. W dodatku, co Södergren uzmysłowił sobie poniewczasie, świetnie się bawił! Jego kosztem! A on, tam, w wypasionym gabinecie Strobisza robił, co mógł, ale nie uwzględnił jednego,

bardzo ważnego faktu: prokurator był na lepszej pozycji, choćby z racji swojej roli. Nawet jeśli Michalczyk wtedy blefował, on nie miał żadnej szansy powiedzieć: sprawdzam. Mógł tylko robić dobrą minę do złej gry i liczyć na łut szczęścia, którego przecież, jak do tej pory, nigdy mu nie brakowało. Z tym wpadnięciem na prokuratora to po prostu głupi przypadek. Aż nie do wiary! I mimo wszystko miał cichą nadzieję, że nie będzie dalszych konsekwencji. Tyle że owa nadzieja gasła z każdym dniem...

Kiedy kilka dni wcześniej dostał od Strobisza krótkiego esemesa: *Daleś słowo, Anders. Pomyliłem się co do ciebie. Z nami koniec*, zrobiło mu się gorąco. Jakim cudem dowiedział się o pozostałych klientach? Strobisz był zbyt grubą rybą, żeby zostawić to ot, tak sobie. Mimo długiego weekendu doktor pracował, więc umówił się z nim na spacer na Głębokiem wcześniej rano. Bardzo naciskał na to spotkanie, chciał wyjaśnić mu wszystko i podjąć próbę naprawienia wzajemnych relacji. Miał nadzieję, że Strobisz jako biznesmen zrozumie motywy jego postępowania.

Nie zrozumiał.

W dodatku zakichany hipokryta pieprzył coś o etyce, zaufaniu i możliwych konsekwencjach. I to tym pieprzeniem zdenerwował go tak bardzo, że stracił nad sobą panowanie. W zasadzie stracili je obaj, nawet nie pamiętał, który z nich zaczął. Zostawił więc Strobisza razem z jego zapchlonym kundlem w tym cholernym lesie i wściekły pojechał do domu.



A teraz, kiedy okazało się, że doktor nie żyje, musiał znaleźć jakiś sposób, żeby przeszukać jego gabinet. I musiał wymyślić coś, żeby Michalczyk, węsząc wokół Strobisza, nie zainteresował się nim.

Ponure myśli nękały go przez cały tydzień. Zżerały go jak rak. Dzięki swojemu osobistemu urokowi oraz odrętwieniu, z którego Strobiszowa wciąż nie mogła się otrząsnąć, dostał od niej pozwolenie na przeszukanie gabinetu w domu. Wygrzebał jedną fakturę i kilka dokumentów, które mogłyby świadczyć przeciw niemu, i zabrał je. Zastanawiał się, czy księgowy Strobisza był w to wplątany, a jeśli tak, to co miał u siebie. Södergren nie był pewny, czy zabranie tych paru kwitków z domu doktora wystarczy do ukrycia jego roli w całym procederze, ale pozostałych faktur ani niczego innego nie znalazł. Był to sukces tylko połowiczny, bo próby zajrzenia w tym samym celu do gabinetu Strobisza w klinice spełzły na niczym. Sekretarka nie uwierzyła ani w zgubioną spinkę do mankietu z brylantem, ani w bajkę o jedynym egzemplarzu ważnego dokumentu Avunläke, który spoczywał gdzieś w gabinecie Strobisza. Södergren docierał jedynie do jej biurka, bo konsekwentnie odmawiała przepuszczenia go dalej, za próg gabinetu. Więcej możliwości nie miał. Za drugim razem zdrętwiał, kiedy sekretarka poinformowała go, że część papierów zabrał prokurator i zaproponowała, żeby w sprawie zaginionego dokumentu skontaktował się właśnie z nim. Od tej chwili niemal bez przerwy wyobrażał sobie, jak Michalczyk szpera w papierach i dokopuje się do tych najistotniejszych, tych, których nigdy nie powinien

zobaczyć. A potem stwierdza, że Anders Södergren nie był do końca szczery podczas rozmowy z nim, a być może nawet miał powody, żeby pozbawić życia doktora Strobisza... Zdawał sobie sprawę, że to całkiem realne. Już wyobrażał sobie ten wyraz triumfu w oczach prokuratora.

Tak bardzo gryzł się Michalczykiem, że aż z nerwów nabawił się bólu żołądka. Codziennie rano i wieczorem stał przed lustrem w łazience, łykał Polprazol, patrzył na swoją twarz i pytał sam siebie, co powinien zrobić, i czy w ogóle cokolwiek może.

W sobotę Södergren postanowił wreszcie zapomnieć na jakiś czas o Michalczyku. Wykorzystał okazję, że Nikola pojechała do miasta spotkać się z Dorotą, swoją przyjaciółką, z którą miała potem iść do kosmetyczki. Nie lubił tej siksy wybuchającej denerwującym chichotem w najmniej odpowiednich momentach, ale dzięki niej miał teraz kilka godzin wolnego. Stwierdził więc, że weźmie się wreszcie do wykończenia stryszku.

Wąska przestrzeń pod kalenicą była na tyle duża, że uznał wykorzystanie jej za całkiem niezły pomysł. Podłogę z surowych desek wyłożył grubą wykładziną, do spodu krokwi poprzykręcał sosnowe kantówki, a pomiędzy nimi dołożył pięć centymetrów wełny mineralnej. Łaty miały być stelażem pod płyty gipsowo-kartonowe, którymi zamierzał wykończyć połacie dachu od wewnątrz. W połowie roboty zabrakło mu wkrętów. Trochę zły zszedł na dół, przebrał się, wsiadł w samochód i pojechał do pobliskiej Castoramy.

Przerwa w pracy sprawiła, że wrócił myślami do zabójstwa Strobisza i skutku, jaki ono za sobą dla niego niosło. Szedł zamyślony po zastawionym samochodami parkingu, kiedy nagle z przejeżdżającego obok niebieskiego bmw dobiegł go czyjś głos:

- Andrzej? Andrzej Cieniuch?

Zaskoczony, spojrzał na siedzącą za kierownicą kobietę. Była śliczna, uśmiechała się do niego szeroko zza uchylonej szyby i machała dłonią. Jej białe, równe zęby lśniły bardziej niż refleksy w szklach awiatorów, które właśnie zdjęła z nosa, zatrzymując samochód.

- Kasia? - zapytał, również się uśmiechając. - Jak mnie poznałaś?

- Miałam cię tuż przed maską. Jeszcze chwila, a bym cię przejechała, taki jesteś zamyślony. Poczekaj.

Zjechała na bok, zaparkowała na pierwszym wolnym miejscu i wysiadła z samochodu. Stał i patrzył, jak z bmw wyłaniają się najpierw jej zgrabne nogi, potem reszta, aż wreszcie na końcu pojawiła się burza jasnych loków. Z zaskoczeniem zauważył, że są tlenione. Odkąd pamiętał, zawsze miały piękny, naturalny kolor mieniającej się złotem pszenicy. Kto zrozumie kobiety? Podeszła do niego i spontanicznie rzuciła mu się w ramiona.

- Kopę lat, jak zwykle mawia się w takich sytuacjach, co? - zapytała, przyglądając mu się uważnie. - Prawie się nie zmieniłeś.

- Ty też. Śliczna, jak zawsze. - W jego głosie nie było śladu kurtuazji. To była szczerza prawda.

- Ale spotkanie! Masz chwilę? - zapytała. - Może usiądziemy na kawę? - Wskazała podbródkiem sąsiednie

centrum handlowe.

Czemu nie? – pomyślał, widząc w niespodziewanym spotkaniu z koleżanką z podstawówki okazję do chwili odpoczynku od nękającego go kłopotu.

- Jasne! – powiedział z entuzjazmem.

Poszli do „Steru” i usiedli przy kawiarnianym stoliku wystawionym w pasażu. Kaśka Szelewicka. Najładniejsza dziewczyna w klasie nie oddała tytułu żadnej innej przez całą szkołę. Coś nieprawdopodobnego.

- Co u ciebie słyhać, opowiadaj! – rzuciła ze szczerym entuzjazmem w głosie.

Nie byli nigdy jakoś bardzo blisko ze sobą, on był zresztą wtedy zbyt nieśmiały, by to zmienić. A miał okazję, mieszkali niedaleko siebie i codziennie wracali razem ze szkoły. Ale skoro teraz tak bardzo chciała wiedzieć, zaspokoił jej ciekawość. W końcu miał się czym pochwalić. Pierwszą rzeczą, o jakiej wspomniał, była zmiana nazwiska. Bądź co bądź od tego zaczęło się jego nowe życie.

- A u ciebie? – zapytał, kiedy skończył.

Machnęła ręką.

- Normalnie, samo życie. – Wykrzywiła lekko usta, na szczęście nietknięte jeszcze kwasem hialuronowym. – Wiesz, co u innych?

Patrzył na jej twarz. Twarz, z którą można było osiągnąć wszystko albo nic. Zbyła go tą lapidarną odpowiedzią. Czyli nic albo prawie nic. Czy była szczęśliwa? Zadowolona z życia? Czy chciał ją w ogóle o to zapytać?

Zamiast tego odparł:

- Nie wiem, co u innych. Praktycznie od zakończenia podstawówki nie widziałem prawie nikogo z naszej klasy.

- Nie wiesz? A nie jesteś w NK, na fejsie? - zapytała ze zdumieniem, unosząc brwi. - No tak. Nie jesteś... - odpowiedziała sama sobie.

Wzruszył ramionami.

- Nie bardzo mam czas na takie rzeczy. Dużo pracuję, trochę tu, trochę w Szwecji, więc jak już jestem w domu, to komputer jest ostatnią rzeczą, na jaką chcę spojrzeć, wierz mi.

Roześmiała się.

- Dlatego zmieniłeś nazwisko? - zapytała.

Skinął głową.

- Wyobrażasz sobie Szweda, który usiłuje wymówić: „Cieniuch”?

Znów się roześmiała, a on napiął mięśnie ud. Nienawidził tego nazwiska. Ze względu na konotacje oraz ze względu na człowieka, który również je nosił i który mu je dał. Ale bajka o powodach zawodowych była ładna i wygodna. Pewnie już wkrótce sam w nią uwierzy.

- Słyszałeś o Marcinie? - zapytała poważnym tonem.

Södergren skinął ponuro głową. Słyszał. To stało się, kiedy był już w liceum, ale wciąż jeszcze miał sporadyczny kontakt z jednym z kolegów z podstawówki. Marcin Gontarz dostał nożem prosto w serce. Podpitemu wyrostkowi podczas jakiejś imprezy na plaży w Kołobrzegu nie spodobało się, że spojrział na jego dziewczynę.

- Był jedynakiem - powiedziała cicho.

- Wiem.

Pamiętał trochę jego rodziców.

- Dobra, to teraz o reszcie. - Na jej twarzy znów wykwitł uśmiech. - Bo ja trochę wiem, co się dzieje z ludźmi. Powyprowadzali się z dzielnicy. Prawie wszyscy...

Södergren zobaczył, jak jej oczy na chwilę ciemnieją, jakby wspomnienie okolicy, w której się wychowywali, wywołało przykre wspomnienia. Wiedział, że to nie złudzenie ani gra światła na tęczęwkach, które na moment zostały przesłonięte przez gęste rzęsy. Nie mógł się pomylić, bo znał to uczucie. Zanim zdołał to sobie nawet uświadomić, oczy Kaśki były na powrót roześmiane.

- Asia Stamm wyszła za jakiegoś lekarza, prowadzi w centrum salon kosmetyczny czy coś w tym rodzaju - paplała radośnie. - Anka Rafalczyk siedzi w Poznaniu, ma dwóch chłopaków, synów znaczy. Ala Zimnicka pracuje w Urzędzie Miejskim, Wioleta Dybuk... O, z nią to nie wiem, co się dzieje. Ewa Szpilkowska też ma dwóch synów, Agnieszka Krzysztofiak jednego.

- Wojna będzie. - Uśmiechnął się samymi ustami, oczy pozostały obojętne. - Same chłopaki się rodzą.

- Spokojnie. - Nie zwróciła uwagi na jego grymas. - Sylwek Borecki ma córkę. Dalej taki przystojny... Wojtek Konieczny skończył prawo, kręci jakieś interesy, zresztą razem z Maćkiem Łępickim. Drugi Maciek jest architektem, też ma córkę, Zbyszek lata po świecie, naprawia statki czy coś takiego...

Siedział w milczeniu, co jakiś czas kiwając głową, słuchając monologu i tylko uroda koleżanki

powstrzymywała go przed wykrzyczeniem jej prosto w twarz: „Gównu mnie to wszystko obchodzi, mam własne problemy, dziewczyno!”. Bo patrzenie na nią sprawiało mu autentyczną przyjemność. Bez żadnego podtekstu, po prostu czerpał z tego czysto estetyczne doznania.

- Został jeszcze Jacek Strzębosz... - Zamilkła nagle, a jej twarz się zachmurzyła.

- Co z nim? - zapytał ot tak, żeby coś powiedzieć i żeby nie odniosła wrażenia, że wszystko, o czym mówi, on ma gdzieś.

- Łobuz był z niego, pamiętasz?

Owszem. Klasowy tępak, którego osobisty urok pozwalał mu jakoś prześlizgiwać się z klasy do klasy. Dopiero w siódmej Jackowi powinęła się noga. Wcześniej, w trzeciej albo czwartej, na prośbę wychowawczynie, pomagał mu trochę w nauce. Niewiele z tego wyszło, choć do czasu, kiedy Strzębosz odpadł, spiknęli się jakoś. Nie, żeby przyjaźń na całe życie, ale pomogli sobie wzajemnie parę razy. Pamiętał, że Jacek miał młodszego brata, Bartka - wiecznie zasmarkanego i zabiedzonego, jak szóste dziecko stróża. Wychowywali się bez ojca, który zginął w wypadku niedaleko miejsca, gdzie mieszkali. Pamiętał też, że związane z tym wydarzeniem pytanie nurtowało go od dziecka przez ładnych parę lat: Co trzeba zrobić, żeby zabić się samochodem o latarnię, na cichej, wąskiej uliczce, na której nie ma nawet jak się rozpędzić?

- Słyszałam, że dalej łobuzuje, tylko na większą skalę - powiedziała Kasia poufałym tonem, pochylając się ku niemu, jak w kiepskim filmie. Brakowało tylko, żeby przyłożyła dłoń do ust. - Narkotyki, pobicia... Podobno

jeden facet, którego pobił, został inwalidą. Nie szkodzi, że to tamten zaczął, a nie Jacek. W każdym razie skończył na wózku. A najśmieszniejsze jest to, że nic Jackowi za to nie zrobili. Nie poszedł siedzieć, rozumiesz?

- Coś ty? - Uniósł brwi z udanym zainteresowaniem.

- No. Pewnie nikt nie odważył się zeznawać na policji... Mieszka dalej na Świerczewie z matką. Pracuje w jakimś warsztacie. I pewnie dalej robi w narkotykach.

- Skąd wiesz? Przecież wspomniałaś, że nie siedział, więc niczego mu nie udowodnili?

Spojrzała na niego znacząco tymi swoimi szarozielonymi oczami, w których można było utonąć.

- Wiesz, jak jest. Jak już raz wejdziesz do tej rzeki... - powiedziała cicho.

Wzruszył ramionami i podniósł filiżankę do ust. Kawa zdążyła już wystygnać, uznał więc, że pora na zakończenie spotkania. Wymienili się numerami telefonów, obiecując sobie zorganizowanie spotkania klasowego. Oboje wiedzieli, że pewnie nigdy nie dojdzie ono do skutku. Zbyt dużo czasu upłynęło i pewnie za mało miało go każde z nich. Pożegnali się. Odprowadził ją jeszcze do samochodu, a potem poszedł do Castoramy, aby kupić wreszcie te cholerne wkrety.

\* \* \*

Södergren siedział na kanapie i nieruchomym wzrokiem wpatrywał się w ekran zawieszoną na ścianie pięćdziesięciopięciocalowej plazmy. Kolejne fikołki zabawnych ludzi znanych przeważnie z tego, że są znani,



nie robiły na nim wrażenia, bo zajęty własnymi myślami, po prostu ich nie dostrzegał.

Nikola tkwiła w swoim fotelu. Wyraz jej twarzy przypominał buzię pięciolatki, która po raz pierwszy poszła do kina na film 3D. Bose stopy wcisnęła sobie pod pośladki i siedziała tak na nich zabawnie przekrzywiona, wpatrując się z przejęciem w telewizor. Jadła musli z odłuszczonym jogurtem naturalnym i, nie wiedząc czemu, denerwowała Södergrena samym swym widokiem. On nie miał ochoty na kolację. Myślał o Kaście i o spotkaniu z nią. A tak naprawdę myślał o osobie, o której wspomniała na koniec rozmowy. O Strzęboszu. Zobaczył, jak Nikola zerka nagle na niego. Reklama osłabiła u niej stan hipnozy, co pozwoliło jej w końcu na oderwanie wzroku od ekranu.

- O czym myślisz, miśku? - zapytała, odstawiając miseczkę z białą breją na szklany blat stolika.

- Wciąż o tym samym, Niki. - Westchnął. - Wciąż o tym samym...

Przepęzła do niego na kanapę po jej oparciu. Położyła się obok z głową na jego udzie i spojrzała mu w twarz.

- Mam porozmawiać z Krzyśkiem?

Miała na myśli swojego brata karatekę - niezbyt sympatycznego byczka, który pozjadał wszystkie rozumy i na wszystkim się znał.

Pokręcił głową.

- Nie - odpowiedział, a jego głos stał się nagle zdecydowany. - Nie mów mu. Im mniej osób o tym wie, tym lepiej. Załatwię to sam.

- Jesteś pewien? - mruknęła, przekręcając się na brzuch i unosząc na łokciach.

Jej bose stopy leniwie zataczały w powietrzu okręgi. Zgrabne łydki i uda opięte były legginsami upstrzonymi lamparcimi cętkami.

- Tak. Jestem pewien - odparł, śledząc wzrokiem powolne ruchy jej stóp.

- Twardziel z ciebie, co? - Jej głos stał się niższy i zmysłowy.

Spojrzał na jej twarz i już wiedział, że nadchodzi ten moment. O, słodki Jezu...

- Twardy zawodnik - mruzczała, wodząc palcem po jego udzie.

Spojrzała na jego krocze.

- Naprawdę twardy! - rzuciła, spoglądając na niego z zaskoczeniem. Tyle czasu to robimy, a ona ciągle jest zdziwiona? - zdążył pomyśleć, zanim uświadomił sobie, że go prowokuje. A potem było jak zwykle. Mokro, słono i szybko. Całował ją wszędzie, a potem wziął ją na kanapie, od tyłu, jak zwierzę, które zaspokaja popęd. Krzyk wydobywał się z jej ust wykrzywionych w spazmie rozkoszy. Dopiero później przenieśli się na piętro. Po wszystkim zasypiał odprężony i spokojniejszy o swój los. Jutro będzie wiedział, czy znalazł lekarstwo na swoje kłopoty i czy podejmie jedną z najważniejszych gier w swoim życiu.

Był już zdecydowany ją podjąć.

\* \* \*

Ulica Piękna jest taka wyłącznie z nazwy. Intencje człowieka, który w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku zdecydował o zmianie jej nazwy ze Żniwnej na Piękną, pozostawały bliżej nieznanne. Być może była to próba odczarowania szpetoty tego miejsca – próba tyleż żalonna, co zupełnie nieudana, w dodatku nosząca znamiona okrutnego żartu. Sytuacji nie zmieniło nawet bliskie sąsiedztwo cudnej urody parku, jakim po części jest szczeciński Cmentarz Centralny. Pozbawione detali modernistyczne galeriowce przedwojennego Postsiedlung tkwiły w szaroburym krajobrazie tej i sąsiednich ulic od dziesiątek lat, nietknięte ręką człowieka, za to nadgryzione zębem czasu. Monotonne budynki bez jakichkolwiek indywidualnych cech, pozwalających je od siebie odróżnić, kojarzyły się Södergrenowi z obozem koncentracyjnym. Czysta funkcja bezlitośnie odarta z choćby krzty przyjaznej człowiekowi formy.

Stał na galerii na drugim piętrze jednego z tych bloków przed drzwiami niedawno osadzonymi w pokrytym spękany tynkiem murze. Widać było, że są nowe, lecz jakość zarówno ich, jak i pracy montażysty pozostawiała wiele do życzenia. Pianka uszczelniająca niedbale wciśnięta w szpary szpeciła i tak niezbyt estetyczny fragment ściany. Södergren stał i zastanawiał się, czy rzeczywiście powinien zapukać do tych drzwi. Poczul na plecach silniejszy podmuch wiatru. Tu nawet wiatr był inny. Nie czuł w nim późnej wiosny ani zapachu zieleni, nawet tej z cmentarza, bo tu, w bezpośrednim sąsiedztwie bloków, było jej jak na lekarstwo. Czuł tylko beznadzieję. Nie był tu od dziesięciu lat, odkąd sprzedał mieszkanie po

ojcu, a zrobił to niemal od razu po tym, jak znalazł go martwego pod prysznicem razem z nieodłączną towarzyszką życia - strzykawką. Żyli razem i umarli razem. Ojciec miał szeroko otwarte oczy, w których zastygł strach przed tym, co zobaczył tuż przed śmiercią. Być może swoje zmarnowane życie. Być może coś za oknem pokoju, widocznym zza uchylonych drzwi łazienki. A może na sekundę przed zgonem dane mu było zajrzeć za kurtynę wieczności, za którą ujrzał coś jeszcze gorszego? Södergren znów zadrżał od podmuchu wiatru i mocno zapukał do drzwi. Nie wyleciały z ościeży - punkt dla montażysty niechluj. Kiedy się otworzyły, Södergrenowi buchnął w twarz silny zapach smażonej ryby.

- Dzień dobry, jest Jacek? - zapytał grzecznie zgarbioną kobietę, która stanęła przed nim.

Strzęboszowa wyglądała dokładnie tak samo jak dwadzieścia lat temu. Była sprzątaczką w ich podstawówce, ale docinki z tego powodu zdarzyły się w stosunku do jej syna tylko raz. Jacuś miał za mocne pięści, którymi umiał szybko wymachiwać, żeby głupie odzywki pod jego adresem miały się kiedykolwiek powtórzyć. Drobną, siwowłosa i sterana kobiecina przytłoczona życiem stała w drzwiach zaniedbanego mieszkania, którego wewnątrz Södergren ujrzał za jej plecami. Spojrzała na niego zmęczonym wzrokiem.

- Jest. - Głos był równie zmęczony, jak i ona cała.

W głębi mieszkania pojawił się nagle Jacek. Södergren przypuszczał, że to on, bo raczej nie poznałby go na ulicy. Strzębosz poznał jednak jego.

- Ja jebie! Szwedziu! - Przypomniane po tylu latach przezwisko ubodło Södergrena ponurymi wspomnieniami z dzieciństwa. - Przysięgam! Mama, patrz! Pamiętasz Andrzejka Cieniucha?

Jej oczy ożywiły się odrobinę, jednak po chwili zgasły i na powrót stały się matowe.

- Teraz nazywam się Anders Södergren - wyjaśnił jej i jemu. - Dzień dobry. - Jeszcze raz z szacunkiem uklonił się Strzęboszowej.

- Dawaj, do środka! - Strzębosz machał rękami.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, to chciałbym cię wyciągnąć na miasto. Na chwilę.

- On nigdy nie ma nic przeciwko temu - burknęła cicho matka.

- Co ty tam, mama, wygadujesz znowu, no! Z Andrzejem idziemy, Andrzejka nie pamiętasz? To nie jakiś menel, tylko Andrzej!

- Anders...

Strzęboszowa patrzyła na niego przez chwilę, a potem odwróciła się bez słowa i poszła w stronę kuchni. W wąskim korytarzu przecisnęła się obok syna, który wkładał kurtkę.

- Niedługo będę, mama - rzucił, robiąc jej miejsce. - A może nie niedługo? - Mrugnął porozumiewawczo do Södergrena.

Wsiedli do czarnego volvo i pojechali do centrum w okolice deptaku Bogusława. Obaj przez całą drogę milczeli, Strzębosz rozglądał się tylko dookoła, patrząc na ludzi, budynki i ulice. Zostawili samochód blisko placu Zamenhofska i poszli do jednego z lokali na deptaku. Usiedli

przy stoliku. Strzębosz, zachęcony przez Södergrena, nie krępował się i zamówił whisky. Södergren zadowolił się wodą. Po chwili szklaneczki pojawiły się przed nimi. Siedzieli przez jakiś czas w milczeniu, popijając i popatrując na siebie. Strzębosz bez przerwy bawił się leżącym na blacie iPhone'em. Södergrena zaczęło to wkurzać, ale nic nie powiedział.

Patrzył na człowieka, którego kiedyś, dawno temu, znał. Zanim się wyprowadził, wpadali na siebie czasem na dzielnicy, ale nie mógł już powiedzieć, że to znajomość. Żyli w innych światach. W twarzy Strzębosza doszukiwał się rysów tamtego urwisa, z którym spędzał w szkolnej świetlicy mnóstwo czasu, aż byli na tyle duzi, by można im było zawiesić na szyi klucze do domu. Przypomniał sobie nagle zdjęcie małego Kurta Cobaina. Mały blondas z uśmiechem i szczęśliwym spojrzeniem skierowanym gdzieś poza kadr. Zupełnie inaczej patrzysz na takie zdjęcie, kiedy wiesz, jakie człowiek, który z tego chłopca wyrósł, wiódł życie i jak skończył. Tu było podobnie. Mały, piegowaty i ruchliwy chłopaczek w śmiesznych farmerkach, który został przestępcą i posadził innego człowieka na wózek inwalidzki do końca jego życia. Zastanawiał się, czy decyzja o skontaktowaniu się ze Strzęboszem nie była zbyt pochopna, czy czasem podejmując ją, nie kierował się emocjami, zamiast kalkulować wszystko na zimno. Kurwa, nad czym tu się zastanawiać? W końcu takiego właśnie człowieka potrzebował!

- Pewnie dziwisz się, co tak nagle wyskoczyłem znikąd jak diabeł z pudełka, co? - zapytał Södergren.

Strzębosz spojrział na niego z lekkim rozbawieniem.

- Podejrzewam, że nie po to, żeby pieprzyć o starych, dobrych czasach?

- Nie - przyznał. - Wpadłem niedawno na Kaśkę Szelewicką. Powiedziała mi, że mieszkasz dalej na starych śmieciach, więc wdepnąłem...

- To była dupa, co?! Już w szóstej wyglądała na siedemnaście lat. Miała takie sprężyste cycki, że stawał mi za każdym razem, kiedy przeszła obok mnie na korytarzu!

Södergren z lekkim zażenowaniem sięgnął po swoją szklanę. Byli kompletnie obcymi sobie ludźmi. Czy naprawdę musiał słuchać tych wynurzeń? W końcu mieli nie pieprzyć o starych czasach, tak? Upił łyk wody i odstawił szklanę na stół.

- Słuchaj, Jacek...

- Słucham, Andrzej - przerwał z uśmiechem, patrząc mu w oczy.

Chyba wydawało mu się, że jest zabawny.

- Anders - odpowiedział spokojnie Södergren i pomasaował sobie nasadę nosa. - Tak się do mnie zwracaj, dobra? Możemy się tak umówić?

- Pewnie. - Strzębosz skinął głową. - Jak ten szwedzki zabójca z wyspy, tak?

Nie, kurwa, nie tak! - pomyślał Södergren i głośno sprostował:

- Norweski. Nieważne, wróćmy do tematu...

- Jasne. Co tam ci potrzeba?

- Mam małe kłopoty z jednym gościem.

- Mam z nim porozmawiać?

- Jacek... Może umówmy się, że pozwolisz mi dokończyć, dobrze? Inaczej nic z tego nie będzie. A naprawdę chciałbym z tobą pogadać, rozumiesz?

Strzębosz nie odpowiedział, tylko pochylił głowę, robiąc pełną skupienia minę, która miała zachęcić Södergrena do kontynuowania wątku.

- Jak już wspomniałem, jest jeden taki pajac, który miesza mi trochę w interesach. Chodzi o to, żeby na jakiś czas wyłączyć go z obiegu.

- To znaczy?

- Jeszcze nie wiem. Nie mogę mu zagrozić czy coś takiego. Nie może wiedzieć, że mam z tym coś wspólnego. To ktoś... ważny, rozumiesz? Nietykalny.

- Nie ma takich, chłopie.

Södergren spojrzał przeciągle na Strzębosza.

- Taki jesteś mocny?

- Nie. - Jacek pokręcił głową. - Ja znam swoje miejsce w szeregu. Jestem małą płótką, ale jakoś nie mam z tym problemu. Nie o to chodzi.

- A o co?

- O to, że nie ma ludzi nietykalnych. Każdego można załatwić, problem w tym, jakiego sposobu trzeba użyć, ile trzeba w to włożyć pracy i pomysłu, a przede wszystkim, co począć ze sobą później, jak już się tego ważnego gościa... tknie. Bo przeważnie jego koledzy znajdują potem tego kogoś, kto się odważył tknąć nietykalnego i on potem znika. Ale przedtem, wiesz... - Zakręcił leżącym na stoliku telefonem.



- Wiem. - Södergren pokiwał głową.

Strzębosz mówił nawet z sensem, a przy tym nie kreował się na rekina podziemia.

- To nie jest szych z półświatka - dodał po chwili, ścisząc głos. - To prokurator.

Strzębosz aż zagwizdał.

- Szwedziu i prokurator? Taki grzeczny chłopiec jak ty?

Södergren obejrzał się odruchowo.

- Może trochę ciszej, Jacek, co? No, zastanów się... - zmitygował go.

- Sorry. To z zaskoczenia. - Strzębosz spojrział na niego, a w oczach miał coś na kształt podziwu. - Ale z ciebie numer. Co żeś nabroił?

- Nic. W tym sęk, że nic. Po prostu ten facet może źle zinterpretować pewne papiery, które przypadkiem znalazł u mojego kolegi. Dotyczą mnie, a ja nie chcę być zaplątany w niezręczną sytuację. Ten mój kolega został zabity - wyjaśnił, żeby rozwiać wszelkie wątpliwości.

- Ty go...? - zapytał Strzębosz z niedowierzaniem.

Södergren westchnął.

- Pomyśl, Jacek. Czy gdybym był w stanie kogoś z premedytacją zabić, to prosiłbym cię o pomoc w zwykłym pobiciu?

- W sumie... Nie wiem, chyba nie.

- Właśnie. Nie mam z tym zabójstwem nic wspólnego i chcę, żeby tak pozostało. - Rozejrzał się.

Czuł się nieswojo, rozmawiając o takich rzeczach w miejscu publicznym. A do domu w żadnym razie nie chciał Strzębosza zapraszać.

- Słuchaj, mam pomysł - powiedział nagle, gdy przyszła mu do głowy spontaniczna myśl. - Pojutrze jadę do Malmö na jeden dzień. Pojedź ze mną, pogadamy w spokoju na promie albo w samochodzie. Ustalimy szczegóły.

- Jeden dzień?

- Mniej więcej. Wyjeżdżamy wieczorem. Nocny rejs, następny dzień tam i powrót też w nocy. Rano jesteś w Szczecinie. Powłóczysz się po mieście, jak będę na naradzie, rozejrzysz się. Potem się spotkamy, zjemy coś, pogadamy...

- A bilet?

- Tym się nie martw. Ja stawiam.

Dwie stówki z groszami za dopłatę nie stanowiły problemu i mógł je potraktować jak inwestycję w święty spokój. Zresztą, jeśli była taka możliwość, dwuosobową kabinę przeważnie i tak rezerwował całą, żeby mieć spokojną noc.

- Jeden dzień? - Strzębosz się skrzywił. - W sumie mógłbym z tobą wyskoczyć. Na więcej wolnego w robocie i tak nie mógłbym liczyć. Mam niezłą fuchę. - W jego głosie słyhać było zadowolenie. - Choć i tak myślę o czymś innym - dodał zagadkowo.

Södergren patrzył, jak proces myślowy odzwierciedla się na twarzy Strzębosza brzdami zmarszczonej w okolicach nasady nosa skóry.

- Może ty i masz rację? - powiedział w końcu Strzębosz i spojrzał na Södergrena trochę bystrzej. - Pojadę z tobą. Myślałem kiedyś o sprowadzaniu aut z zagranicy. Własny

biznes, wiesz. Niemcy są już oklepane, ale Szwecja? Obczaiłbym tamtejsze szroty czy autokomisy. Są jakieś?

- Nie mam pojęcia. Sprawdź w Internecie.

- Żebyś wiedział, Anders, że sprawdzę. Żebyś wiedział.

- Strzębosz spojrział na stolik i stojące na nim dwie puste szklanki. - To co, jak już tu jesteśmy, to może strzelimy sobie po jeszcze jednym?

\* \* \*

Jechali autostradą E65 w stronę Malmö. Nieciekawy krajobraz południowej Skanii różnił się od tego, który widzieli za szybami samochodu, kiedy pędzili krajową „trójką” ze Szczecina do Świnoujścia. Dla Södergrena widok ten był po prostu nudny, pomijając fakt, że znał go na pamięć. Teren łagodnie falował, prawie płaskie pagórki porastały starannie wydzielone pasy upraw rolnych. Södergren patrzył kątem oka, jak Jacek ciekawie rozgląda się na boki, z fascynacją dziecka, które pierwszy raz wyjechało za granicę. Jacek trzymał w ręku swój telefon i co jakiś czas z entuzjazmem pstrykał widoki zza szyby. Södergrena bawiło to, a równocześnie zastanawiało. Jak prymityw, za którego w gruncie rzeczy uważał Strzębosza, może być zainteresowany czymkolwiek innym poza jedzeniem, spaniem, chlaniem, dupczeniem i wyrządzaniem krzywdy innym ludziom? A jednak.

Zrobiło się ciepło. Kiedy Strzębosz zdjął bluzę z kapturem, Södergren zauważył ciemne języki tatuażu, wypełzające spod rękawa T-shirtu. Na wewnętrznej stronie przedramienia miał kolejny - hebrajskie znaki

ciemniejące opalizującym granatem na opalonej skórze. To była dobra robota, musiał sporo kosztować. Starannie wykonane litery, ostre kontury i delikatny jak mgiełka cień wokół nich sprawiały wrażenie, jakby jarzyły się na opaleniznie. A może to po prostu dobra skóra? Södergren nie znał się na tym, a tatuaże wzbudzały w nim lekki niesmak. Znak prymitywnych społeczeństw, subkultur albo wąskich grup zawodowych, który wyewoluował do swobodnego obyczaju sporej części ludzkości, w założeniu tylko mającego jakiś pseudofilozoficzny kontekst potrzeby wyrażenia siebie. Sprowadzało się to jedynie do wyrażenia tego, jakim chciałoby się być, nie, jakim się jest, i niekiedy przybierało formy okrutnego, w dodatku trudno usuwalnego żartu. Co komu po wydziaranych na bicepsie wizerunku dziewczyny, która znika z życia po dwóch latach, zostawiając po sobie tylko ten tatuaż? Twarz własnego dziecka wytatuowana na ramieniu, która po podniesieniu ręki zaczyna przypominać Krzyk Muncha? Jaką gwarancję miał Strzębosz, że hebrajski napis, który kazał sobie wytatuować, nie oznacza na przykład: „jestem głupim gojem”, a chińskie ideogramy, które pokazał mu zapewne tatuażysta, zanim zdecydował się na coś, nie znaczyły: „kredki świecowe” albo „herbata yunan”? Przez chwilę chciał go o to zapytać, ale zrezygnował. Jego cyrk, jego małpy – pomyślał.

- Ty, patrz, ktoś ma na podwórku samolot! - krzyknął nagle Strzębosz, oglądając się za siebie i oczywiście pstrykając zdjęcie.

Södergren zerknął w lusterko. Po chwili pojawił się w nim płatowiec starego, wojskowego myśliwca, stojący

za płotem, przy jakimś domu o typowo skandynawskim, rdzawoczerwonym kolorze elewacji.

- Stary saab draken - mruknął.

Ściany w garażu Svena były obwieszane plakatami odrzutowych myśliwców. Jako mały chłopak uwielbiał na nie patrzeć, marząc o karierze pilota. Marzenia prysły, kiedy okazało się, że ma lęk wysokości.

- Saab? - zdziwił się Strzębosz. - Jak auto? Kurwa! - Klepnął się w udo. - Zapomniałem sprawdzić te komisy, no!

Södergren nic nie powiedział. Nie chciało mu się. Chciał już tylko dojechać na miejsce, zostawić Strzębosza w centrum i zniknąć w firmowym biurówcu, mając nadzieję, że ten idiota zgubi się w mieście i odnajdzie dopiero tuż przed wyjazdem. Albo w ogóle się nie odnajdzie... Stwierdził poniewczasie, że zabranie go ze sobą nie było dobrym pomysłem. Marchewka kosztowała więcej, niż w rzeczywistości była warta. Noc spędzona w kajucie z cuchnącym piwskim wieprzkiem też nie była najmiłym przeżyciem. Równie dobrze mógł z nim obgadać sprawę w Szczecinie, tyle że w dyskretniejszym miejscu, a tak czekało go jeszcze kilkanaście godzin spędzonych z gościem, którego już nie znał i nie chciał znów poznać. Jedynymi wspólnymi tematami do poruszenia były podstawówka i cycki Szelewickiej. Ile można o tym pierdolić? Postanowił ograniczyć kontakt do niezbędnego minimum. Załatwi w Malmö co trzeba, a potem wróci do Ystad na wieczorny prom. Przejedzie przez Höllviken, gdzie był kilka razy z matką i Svenem

u jego rodziców. Tam coś zjedzą i w spokoju ustalą, co zrobić z tym cholernym Michalczykiem.

\* \* \*

Tuż przed siedemnastą dojechali do małej miejscowości wypoczynkowej, odległej od Malmö o dwadzieścia kilometrów. Höllviken położone było na płaskim jak naleśnik równinnym półwyspie, oblewanym ciemnymi wodami dwóch małych zatok Bałtyku.

Siedzieli na tarasie restauracji nad Falsterbokanalen i jedli obiad, który oczywiście stawiał Södergren. Znajdowali się po drugiej stronie kanału, czyli w zasadzie już w Ljunghusen. Strzębosz nie zjadł swojego posiłku, on go pożarł, jakby nie miał nic w ustach co najmniej od dwóch dni, i popił wszystko solidną dawką whisky. Södergren, delektując się w milczeniu pieczoną rybą, postanowił mieć to tradycyjnie w dupie. Jadł powoli, dokładnie przeżuując każdy kęs, uważając, by nie połknąć ości. Strzębosz odsunął pusty talerz i patrzył na otwarte przęsła zwodzonego mostu i ciemniejące w oddali wody cieśniny Öresund. Westchnął, opierając się wygodniej na krześle i zakładając ręce za głowę.

- To co mam mu w końcu zrobić? - zapytał, nie patrząc na Södergrena. - Uszkodzić?

Södergren popatrzył na blat, pieprzony iPhone oczywiście leżał na nim, denerwując go swym widokiem jeszcze bardziej niż jego właściciel. Przełknął ostatni kęs ryby i wytarł usta papierową serwetką. Zmiał ją starannie, odłożył na talerz i pokręcił głową.

- Przemyślałem to - powiedział cicho. - Uszkodzenie prokuratora to zbyt ryzykowna sprawa. Podnosisz tym samym rękę na państwowego urzędnika, w dodatku związanego z wymiarem sprawiedliwości, a to może się bardzo nie spodobać organom ścigania. Tu nie chodzi o zemstę ani o to, żeby go to bolało, fizycznie czy duchowo. Ja osobiście nic do niego nie mam poza tym, że za bardzo grzebie w moich sprawach. Zabójstwo nie wchodzi w grę, a pobicie nie załatwi sprawy, tylko odwlecze to, co nieuniknione. A mnie chodzi o wyeliminowanie go z obiegu na bardzo długi czas.

- A jak następny tak samo będzie grzebał w twoich sprawach?

- Istnieje takie prawdopodobieństwo - przyznał z ociąganiem. - Ale ten, o którym mówimy, jest zbyt upierdliwy. Nie sądzę, żeby w prokuraturze było wielu takich jak on, a z tego, co o nich słyszałem, to mogę być wręcz tego pewien. Jak również tego, że ten Michalczyk w końcu dokopałby się do mnie. Przekalkulowałem ryzyko i podejmę je, bo mam zbyt wiele do stracenia. Ale mimo wszystko nie może ono być zbyt duże. - Przypomniał mu się nagle świętej pamięci Strobisz, perorujący o dywersyfikacji ryzyka. - Z tego też powodu nie ma już mowy o jego pobiciu, rozumiesz, Jacek?

Nie rozumiał.

- To co konkretnie mam mu zrobić? - zapytał zdziwiony.

- Myślę, że mógłbyś go w coś wrobić...

- W prochy?

- Nie, w coś bardziej spektakularnego... W coś, co bardziej wstrząśnie opinią publiczną - wyjaśnił, widząc jego wzrok. - Dzisiaj prochy to nic niezwykłego, łapią na nich lokalnych polityków, aktorów i jeśli akurat będąc pod ich wpływem, nikogo nie rozwalili na przejściu dla pieszych, to sprawa rozmywa się, i już. Po dwóch tygodniach, kiedy gazety przestają o tym pisać, nikt już o tym nie pamięta.

- Mogę go schlać, wsadzić za kółko i zadzwonić po psiarnię.

- To samo. Nikogo to nie zdziwi.

- Nie przesadzaj. Na pewno będzie miał kłopoty w robocie.

- Nie byłbym tego taki pewien. Mogą oficjalnie go ukarać, a nieoficjalnie i tak będzie robił swoje. Nie, to musi być coś takiego, po czym będzie się wstydził wyściubić nos ze swojej nory. Znasz jakąś prostytutkę?

Jacek spojrzał na niego, a w oczach miał takie rozbawienie, aż Södergren przestraszył się, że zaraz wybuchnie tym swoim ordynarnym rechotem. Skończyło się na parsknięciu.

- Kurwa, Andrzej, jaja sobie robisz?

Södergren oblizał usta i spuścił wzrok.

- Anders, dobrze? Mogę cię prosić?

Czy ten kutas nie mógłby wreszcie zapamiętać tej jednej, małej rzeczy? - pomyślał z wściekłością. Nie każe mu przecież wkuwać encyklopedii, tylko po prostu użyć tej jego namiastki mózgu i pamiętać, by zwracać się do niego tak, jak o to poprosił. Strzębosz lekko się uśmiechnął.



- Jasne, ty tu rządzisz... Anders.

Króciutka przerwa przed imieniem była żałosna, więc Södergren puścił to mimo uszu.

- Czyli znasz?

- Pewnie, że znam. Jaką sobie zażyczysz, taką ci znajdę.

- Nie dla mnie. Dla niego.

- Dobrze! - W jego oczach zobaczył uznanie.

- To nie wszystko. Musi być gotowa na to, żeby dać się trochę pobić. Nie za mocno. Limo pod okiem i rozcięta warga wystarczą. Przedtem kilka fotek albo lepiej krótki filmik z panem prokuratorem podczas jakiejś wyuzdanej akcji. Potem obdukcja i zgłoszenie na policję.

- I mały szantażyk? - podchwycił Strżębosz.

Södergren zmusił się, by jego twarz nie wyrażała niczego. Tępy chuj niczego nie chwycił.

- Nie, żaden szantażyk. Eliminacja z życia zawodowego. Tylko o to mi chodzi, wyłącznie. Rozumiesz?

- Spokojnie, człowieku, spokojnie! Pomyślałem, że można by dwie pieczenie przy jednym...

- Nie myśl za dużo, dobrze? Po prostu zrób to, o co cię proszę. Załatw mi dziwkę chętną na taki numer. Musi być przekonująca, kiedy będzie opowiadać w „Fakcie” czy innych brukowcach, jak pan Michalczyk się nad nią zęcał. Zaoferuj jej za to trzy tysiące.

- Złotych?

- A w jakim kraju żyjemy?

- No, w Polsce...

- Otóż to.

Strzębosz zamyślił się.

- Trzeba by się zastanowić, jak to wszystko ustawić. Dać w łeb? Porwać go?

- Nic z tych rzeczy. To tylko upewniłoby go, że ktoś go wrabia, a ja chcę mu namącić w głowie. Też myślałem o schlaniu go do nieprzytomności, ale wymyśliłem coś lepszego, więc tym akurat nie musisz się martwić. Dostarczę ci coś, co spowoduje, że pan prokurator straci kontakt z rzeczywistością i zaśnie na jakiś czas. A reszta należy do ciebie. Tylko nie przesadź i nie nadweręż tej dziwki za bardzo, żeby nie wylądowała w szpitalu. Nie ukrywam, że liczę na twoje doświadczenie.

Strzębosz lekko pokraśniał z zadowolenia. Södergren w myślach wylał na niego kubeł pomyj.

- Będziesz mi musiał go pokazać, Anders.

- Pokażę. - Södergren skinął głową. - Co potem?

- Ustalę, gdzie mieszka. Pewnie będę musiał trochę za nim połązić. Chodzi o to, żeby przydybać go, jak idzie gdzieś pochlać albo na dupy.

- Jacek, nie wiem, czy ty masz takie hobby, ale pomyślałeś, że może nie każdy lubi spędzać czas w ten sposób? On prawdopodobnie woli pójść do biblioteki albo do kina. Nie wiem nawet, czy jest żonaty, czy ma dzieci...

- Anders. - Strzębosz pochylił się w jego stronę. - Powiem ci coś. Żonaty czy nie - każdy facet musi od czasu do czasu pójść pochlać albo na dupy, rozumiesz? Nieważne, czy będzie w drogiej restauracji pił ze znajomymi wino z kieliszka, trzymając odgięty mały palec, czy będzie w bramie żłopał z nieznajomymi berbeluchę prosto z gwinta. Będzie coś pił. Ty nie pijesz? Nie

wychodzisz nigdzie na miasto? – Z porozumiewawczym uśmiechem i błyskiem w oku podniósł szklanke i zagrzechotał kostkami lodu.

Södergren chrząknął.

- A dupy?

- Zobaczymy, czy ma jakąś panią. Nawet jeśli ma, coś wykombinuję. Zaufaj mi, już ja coś wymyślę. Podstawię mu niezłą dupencję, na pewno na nią poleci.

- A jak nie poleci? Bo kocha żonę i nie bzyka nic na boku?

Strzębosz wyprostował się na krześle ze wzrokiem pełnym wyższości. Błąkający się na jego ustach lekki uśmiech zdradzał, że oznajmi zaraz coś niezwykle ważnego.

- Wiesz, jak nie zdradzać swojej pani, Anders?

Södergren milczał, czekając na tę zapowiedzianą przez uśmiezek objawioną prawdę. Strzębosz rozparł się wygodnie na krześle.

- To ja cię oświecę – powiedział. – Dam ci prosty przepis. Zapamiętaj go sobie dobrze, jeśli zależy ci na twojej pani na tyle, żeby jej nie zdradzać. Otóż nigdy, kurwa, przenigdy nie należy dopuścić do sytuacji, w której znajdujesz się z jakąś chętną dupą sam na sam. Bo jak już się znajdziesz, to za chuja pana się nie powstrzymasz przed tym, żeby ją wydupczyć, rozumiesz? Nic już nie zrobisz, bo będzie za późno. Nie dasz rady, bo to niemożliwe. Kiedy ten koleś na dole – kciukiem pokazał krocze – przejmuje dowodzenie, nikt nie jest w stanie mu go odebrać, a już na pewno nie zalany spermą mózg. Tak stworzyła nas natura. A z nią nie wygrasz, choćbyś nie

wiem, co zrobił. Chodzi wyłącznie o to, żeby nie zostać z dupencją sam na sam. A ja ustawię wszystko tak, żeby pan prokurator się w takiej sytuacji znalazł. Sam na sam z chętną, napaloną laską. I wtedy nic już nie będzie w stanie zrobić. Nic! Zapomni o tej swojej pani równie szybko, jak o wszystkim innym. Będzie miał w głowie tylko jedno: zamoczyć! Jak najszybciej!

- Skoro tak mówisz... - Södergren czuł się lekko zawiedziony.

Nie tego się spodziewał, choć, jak się tak dobrze zastanowić, to w słowach Strzębosza było sporo racji.

- Tak mówię - potwierdził Strzębosz z przekonaniem. - Taka jest prawda.

Södergren uśmiechnął się lekko.

- No widzisz? Już coś się wykluwa. To fajnie. Ale jest jeszcze jedna rzecz.

- No?

- Mamy mało czasu.

- To znaczy ile?

- Nie wiem ile. Wiem, że mało. Musisz to zrobić jak najszybciej.

- Dobra, nie ma sprawy. To nawet lepiej, bo mnie też się trochę spieszy. Niedługo wyjeżdżam na jakiś czas. - Zamyślił się na chwilę, a potem nagle klepnął się w udo. - Czyli od jutra ruszam. Po pracy, oczywiście. Nikt mi urlopu nie da, bo roboty full. A jeśli już mówimy o pracy, to... - Lekko pociągnął nosem. - Ile będę z tego miał?

Södergren spojrzał na niego.

- Planowałem przeznaczyć na wszystko dziesięć kawałków.

Spodziewał się, że zobaczy, jak oczy Jacka rozszerzają się, pojawia się w nich chciwość, wyraźna jak symbole dolara w oczach disnejowskiej wersji wujka Scrooge'a. Nic z tego. Strzębosz przyjął to obojętnie, jakby taka suma nie zrobiła na nim najmniejszego wrażenia. Jego zmrużone powieki i lekko kpiący uśmiech ubodły nieco Södergrena.

- Zrobię to tylko dla ciebie, Anders - powiedział Strzębosz po dłuższej chwili, znowu kładąc akcent na jego imieniu. - Lubiliśmy się w szkole. Tylko ty jeden w klasie nie traktowałeś mnie jak matoła, a przynajmniej nie dawałeś mi tego odczuć. Nie powinienem ci pomagać i nie bierz tego do siebie, bo mówię o innych względach. Kurwa, naprawdę nie powinienem. - Klepnął się w kolano. - Ale zrobię to. Dla ciebie. Nawet za te śmieszne siedem klocków.

Södergren nie mógł się powstrzymać i prychnął z rozbawieniem.

- To są dla ciebie śmieszne pieniądze?

Mina Strzębosza była zagadkowa. Posłał Södergrenowi pobłażliwy i pełen wyższości uśmiech. Taki sam jak ten przed przemową o dupczeniu nie swojej pani.

- Nie wiesz o mnie wszystkiego. I to nawet lepiej. Bo tutaj - popukał się w skroń - wcale nie jest tak pusto, jak wmawiali mi w szkole. Jeśli trochę pokombinujesz i ruszysz głową, możesz wiele w życiu osiągnąć, wiesz?

- Wiem o tym doskonale, Jacek. Sam jestem tego przykładem.

- Ja też. I dlatego właśnie te pieniądze są dla mnie śmieszne. W zasadzie dopiero będą, już niedługo, kiedy zbiorę wreszcie owoce swojej pracy. Ale nie mogę o tym za dużo mówić, bo jestem... profesjonalistą. Tajemnica zawodowa. - Puścił do niego oko i sięgnął po szklanę. - Za sukces!

Södergren wziął do ręki swoją szklanę z wodą i wzniosł ją wysoko.

- *Skål för de professionella!* - Lekka kpina w głosie miała być ripostą na „Andersa”. Nie mógł się powstrzymać.

Strzębosz łyknął whisky.

- Łatwy ten szwedzki. Wszystko zrozumiałem!

- Cieszę się - odparł Södergren. - Bardzo się cieszę...

- Nic się nie zmieniłeś, chłopie. - Taksujące spojrzenie i nieoczekiwany, autentycznie miły i przyjazny uśmiech zdziwiły Södergrena. - Dalej jesteś tym samym „Szwedziem” z tęczowym piórnikiem.

Södergren milczał. Nie znosił tego przezwiska w dzieciństwie. Tolerował je tylko dlatego, że po pierwsze, nie miał wyjścia, a po drugie, wiedział, że stoi za nim zwykła zazdrość - o te kilka kolorowych rzeczy ze Szwecji, o ten piórnik, który kradziono mu trzy razy, choć wiadomo było, że za dwa tygodnie dostanie nowy, jeszcze lepszy.

- To miło - burknął do Strzębosza.

Ten wstał nagle, kiedy zobaczył wypływającą z kanału łódkę. Sunęła statecznie wzdłuż zamontowanej na dalbach bariery kierującej jednostki pod środkowe przęsło przerzuconego nad kanałem mostu. Chwycił leżący na stole telefon i przypadł do Södergrena.

- Chodź, strzelimy sobie fotkę. Na pamiątkę.

Södergren zdecydowanie nie miał ochoty na taką pamiątkę, lecz po chwili jego szyja tkwiła już w przyjacielskim uścisku Strzębosza. Uścisk był mocny. Strzębosz był bardzo silny i Södergren to poczuł. Druga ręka Jacka, ta trzymająca telefon, wyciągnęła się w stronę słońca, nakierowując obiektyw na ich twarze i łódź w oddali. Wygenerowany przez telefon trzask migawki był dla Södergrena znakiem, że za chwilę odzyska wolność. Rozmasował szyję i skinął na kelnera czającego się w cieniu okapu restauracyjnego bungalowu. Zapłacił rachunek, zostawiając suty napiwek. Strzębosz sprawdził, jak wyszło zdjęcie, i uśmiechnął się z zadowoleniem. Odchodząc od stolika, obejrzał się jeszcze za łódką niknącą za falochronem.

- Chciałbym kiedyś mieć taką krypę. Poczuć wolność, tak naprawdę...

- Praca jest łatwiejsza, kiedy masz określony cel, na który pracujesz - rzucił filozoficznie Södergren, poprawiając kołnierzyk koszulki.

- Żebyś wiedział, Andrzej... Anders. - Tym razem w głosie Strzębosza nie było śladu kpiny. - Żebyś wiedział. Pewnego dnia będę coś takiego miał. - Wskazał za siebie.

Jego słowa znów zabrzmiały dość zagadkowo, ale Södergren nie miał ochoty poznać szczegółów. Czuł ulgę, że podróż ma się powoli ku końcowi. Godzinka, półtorej do Ystad, a tam, na promie, zostawi Strzębosza samemu sobie. Wspomniał mu już, że w tę stronę w kabinie było tylko jedno wolne miejsce. Oczywiście skłamał, ale nie miał ochoty na powtórkę z rozrywki i kolejną

nieprzespaną noc. Niech sobie chleje, ile chce. On zniknie w swojej kajucie, by zobaczyć się z nim jeszcze jedynie na te półtorej godziny, które miał zabrać dojazd do Szczecina. Dodatkowo ulgę sprawiał mu fakt, że Strzębosz podjął się zadania. Już niedługo jego problemy miały się rozwiązać.

Już niedługo. Wsiadając do samochodu, poczuł dreszczyk emocji. Taki sam jak zawsze, gdy zaczynał kolejną grę...

## *Sobota, 18 maja, wieczór*

Södergren i Strzębosz stali ukryci za rzędem samochodów kilkanaście metrów od wejścia do klubu Kafe Tango. Södergren zastanawiał się, czy powinien w ogóle tu być. Ostrożność podpowiadała, żeby zaufać Strzęboszowi i zostać w domu, jednak sama myśl o obdarzeniu tego typu zaufaniem budziła w nim zgrozę. Po długim namyśle stwierdził, że woli jednak mieć wszystko pod kontrolą, przynajmniej w początkowej fazie.

Jak dotąd wszystko szło wręcz rewelacyjnie. Strzębosz zabrał się do rzeczy z entuzjazmem. Już pierwszego dnia, gdy siedzieli w zaparkowanym obok budynku prokuratury samochodzie, Michalczyk pojawił się jak na zawołanie. Prawie jak na zawołanie, bo tkwili tam jak kołki ponad dwie godziny. Ale w końcu wylazł, jak robak z ziemi w słoneczny ciepły dzień i Södergren mógł go Strzęboszowi pokazać. Wcześniej okazało się, że Strzębosz aktualnie nie ma samochodu, więc myślał już o wynajęciu mu go, ale później zorientowali się, że



Michalczyk porusza się piechotą i komunikacją publiczną. Jacek nawet ucieszył się z takiego obrotu sprawy, twierdząc, że tak będzie mu prościej go śledzić. Södergren w to nie wnikał. Zostawił go wtedy na Wawrzyniaka i pojechał do domu. Trzy dni później Strzębosz raportował spod bloku, w którym Michalczyk mieszkał, że prokurator nie rusza się z domu na krok z wyjątkiem zakupów w Lidlu, które robił sam albo z jakimś chłopcem i starszą kobietą. Södergren denerwował się i niecierpliwił, ale nic nie mógł na to poradzić. Dopracowywali szczegóły planu. W tym czasie pewien kolega przywiózł mu z Malmö opakowanie flunitrazepamu, a Jacek załatwił prostytutkę. Dogadał się z nią, że ma być gotowa przyjechać we wskazane miejsce, gdy tylko dostanie sygnał przez telefon. Skuszona trzema tysiącami zarobku zgodziła się nawet na lekkie poturbowanie i komedię przed reporterami, choć zastrzegła, że wyłącznie prasowymi, bo nie będzie świecić twarzą ani dupą do kamer.

I wreszcie dziś nadeszła ta chwila. Strzębosz zadzwonił do niego, niemal krzycząc do słuchawki:

- Andrzej, jestem w taksówce. Facet gdzieś jedzie, bądź gotów jakby co!

To był strzał w dziesiątkę. Pięć minut później dostał kolejny telefon. Tym razem Strzębosz już się tak nie wydierał.

- Mamy go na widelcu! Przyjeżdżaj do Kafe Tango! Wiesz, gdzie to?

Wiedział. Pojechał, trzęsąc się cały z emocji. W drodze na miejsce zastanawiał się, czy powinien się wycofać,

i doszedł do wniosku, że nie. Gdy spotkał się ze Strzęboszem, udzieliło mu się jego podniecenie, co dodatkowo utwierdziło go w przekonaniu, że wszystko pójdzie dobrze. Nie mogło być inaczej.

- Dzwon do tej twojej tufty - polecił Strzęboszowi, wyglądając zza dostawczego volkswagena.

W zasadzie nie było potrzeby się kryć, Michalczyk od dość dawna był już w środku. Strzębosz wyciągnął telefon i wybrał numer. Södergren słyszał, jak rozmawia z prostytutką przyciszonym głosem.

- Przyjeżdżaj, już... Kafe Tango przy Jagiellońskiej... Nie tramwajem, taksówkę, kurwa, weź... Nieważne, że niedaleko, masz być jak najszybciej, rozumiesz? Dostaniesz za to trzy klocki, to chyba możesz wydać z tego dychę na taryfę, tak? Pakuj dupsko do taksówki i przyjeżdżaj, bo inaczej się policzymy... No! Cześć...

Strzębosz, wzdychając teatralnie i przewracając oczami, schował telefon do kieszeni. Ruszyli do klubu. Strzębosz wszedł do środka, żeby zorientować się w sytuacji. Na dole przy kontuarze szatni jeden z bramkarzy otaksował go szybkim spojrzeniem i zatrzymał go, wyciągając przed siebie dłoń.

- Nie wpuszczamy w obuwiu sportowym - rzucił cicho obojętnym tonem, wskazując drugą ręką jego stopy.

Strzębosz zdębiał. Södergren, widząc całe zajście przez przeszlone drzwi, jeszcze bardziej. Popatrzyli na siebie, oddzieleni szybą, a Anders poczuł, jak oblewa go fala gorąca. Wszedł do przedsiionka i stanął przy szatni.

- Jaki nosisz numer? - zapytał gorączkowo Jacka, czując, jak ucieka mu właśnie jedyna okazja, która może

się już nie powtórzyć. A przynajmniej nie w czasie, który pozostał do zakończenia śledztwa w sprawie zabójstwa Strobisza. Nie miał pojęcia, kiedy to nastąpi, bo i skąd, ale bez wątpienia mogło nastąpić niemal w każdej chwili. Na przykład jutro, czy raczej w poniedziałek.

- Co? - Zaskoczony Strzębosz wytrzeszczył oczy.

- Jaki, kurwa, masz numer buta?

- Czterdzieści trzy, a co?

- Nic - rzucił i odwrócił się do bramkarza. - Takie może być? - Ze złością podniósł nogę, unosząc lekko nogawkę spodni i pokazał mu swój but.

- Może - odparł tamten flegmatycznie, rzucając okiem.

No chyba - pomyślał Södergren. W końcu dał za nie ponad siedem stów.

- Chodź. - Otworzył drzwi wejściowe i ruchem głowy dał Strzęboszowi znak, by wyszedł z nim na zewnątrz.

Tam, nie bacząc na zaskoczone spojrzenia ludzi, zdjął buty.

- Na co czekasz? - zapytał Strzębosza, widząc, jak się na niego gapi.

- Na serio?

- Nie, na niby! A co myślałeś? I tak się możesz cieszyć; noszę czterdzieści pięć, to ja się będę męczył...

Zamienili się obuwem. Södergren skrzywił się lekko, przebierając palcami stóp w nieco sfatygowanych butach Jacka. Miał nadzieję, że nie nabawi się jakiejś grzybicy.

- Włóż do środka - polecił Strzęboszowi.

Przez przeszklone drzwi widział, jak bramkarz tym razem nawet nie zerka na jego nogi, kiedy przechodził

obok szatni. Oparł się o barierkę schodów i odetchnął głęboko. Zapomniał zabrać z domu papierosów, a ręce mu dygotały. Trudno, wytrzyma. Pozostało mu tylko czekać. Strzębosz wiedział, co robić. Liczył, że niczego nie spieprzy. Södergren lubił ryzyko, ale z umiarem, a tu stawka była zbyt duża. Znów wspomniał słowa Strobisza. Mógł stracić wszystko, a zyskiem miało być jedynie utrzymanie status quo. Nie miał jednak innego wyjścia. Już nie.

Piętnaście minut później zwrócił uwagę na dwie kobiety. Szły pod rękę równym krokiem; wysokie obcasy głośno i miarowo stukały o betonową kostkę, którą wyłożony był plac. Obie pod czterdziestkę, mocno umalowane - zbyt mocno, nawet jak na wyjście do klubu. Ubrane były wyzywająco, lecz nie umiał powiedzieć, czy zbyt wyzywająco, czy nie. Nie miał pojęcia, jak teraz należy ubierać się na balety. W jego ocenie wyglądały na panie lekkich obyczajów. Nagle coś wpadło mu do głowy. W pierwszej chwili ta myśl wydała mu się niedorzeczna, ale nagle zdał sobie sprawę, że to, o czym pomyślał, jest niestety całkiem prawdopodobne. Tak prawdopodobne, że nieświadomie otworzył usta. „Głupia cipa przyjechała z koleżanką!” Znów poczuł, jak zalewa go wściekłość. Zacisnął palce na barierce. Pozostało tylko mieć nadzieję, że żadna z tych kobiet to nie prostytutka od Strzębosza. A jeśli tak? Obie były w podobnym wieku, więc jeśli którakolwiek z nich nią była, to i tak źle. Czy naprawdę ten idiota wyobrażał sobie, że taka stara krowa będzie „dupencją”, na którą ma polecieć Michalczyk? To jakaś kpina? Chciało mu się wrzeszczeć. Zaczynał żałować, że

montował całą akcję ze Strzęboszem. Mógł faktycznie pogadać z bratem Nikoli, ale teraz na to było już za późno. Kobiety, ostrożnie stawiając nogi na stopniach niskich schodów, weszły do lokalu. Pięć minut później wyszedł do niego Strzębosz. Nadzieja, którą Södergren łudził się jeszcze przed chwilą, prysła, kiedy zobaczył jego szeroki i pełen triumfu uśmiech.

- Jest!

- Ta ruda czy ta czarna? - zapytał go zgryźliwie.

- Ruda. Renatka Garlicka. - Södergren mocno zacisnął powieki.

- Ile ma lat? - zapytał, otwierając oczy i mając nadzieję, że to tylko senny koszmar, który właśnie się skończył.

Nic z tego. Nie skończył się, trwał w najlepsze, a właściwie w najgorsze.

- Bo co? - obruszył się Strzębosz, a jego pełna bezbrzeżnego zdumienia mina świadczyła o tym, że naprawdę nie ma pojęcia, o co chodzi Södergrenowi.

Po chwili wzruszył ramionami.

- Że niby za stara? - zapytał. - Babka całkiem do rzeczy, nie przesadzaj. - Jeszcze raz lekko wzruszył ramionami i dodał nieco ciszej, jakby dotarło do niego, że pretensje Södergrena mogą być jednak uzasadnione:

- Co mam ci powiedzieć? Nie dało się inaczej. Inne nie chciały pójść na numer z pobiciem. Na bezrybiu... i tak dalej.

- A możesz mi wyjaśnić, po co koleżankę wzięła?

- Nie wiem. Już ją za to opieprzyłem.

- I co mi po tym twoim opieprzu? Dobra, nieważne. Pokazałeś jej Michalczyka? Dałeś flunitrazepam?

- Pokazałem i dałem. Wyluzuj! Wie, co ma robić, nie martw się. To kumata babka. Profesjonalistka.

- Mam nadzieję. - Anders westchnął i sięgnął do kieszeni kurtki. - Tu są kluczyki i dowód rejestracyjny. Aha, kamera. - Z drugiej kieszeni wyciągnął malutką, przypominającą telefon komórkowy kamerę. - Nie zarysuj lakieru i nie upierdolicie mi tapicerki, bo ci potracę za czyszczenie. Jadę do domu. Nie było mnie tu. Jutro rano meldujesz się u mnie, chcę zobaczyć na filmiku ostrą jazdę pana prokuratora.

- Spoko. - Zęby Strzębosza błysnęły w półmroku. - Oscar murowany!

Wziął od Södergrena kamerę, kluczyki i dokumenty wozu. Nie podali sobie rąk, po prostu odwrócili się jak na komendę i poszli - każdy w swoją stronę. Södergren obejrzał się jeszcze za siebie, a potem wyszedł na ulicę i wsiadł do pierwszej z brzegu taksówki. Kiedy jej kierowca zawracał na stromej jezdni, Södergren ostatnim spojrzeniem obrzucił ciemny otwór wysokiej bramy, która prowadziła na podwórze i do Kafe Tango. Serce mu waliło. Właśnie oddał w ręce losu wszystko, co miał. Poprawka: nie losu. W ręce Strzębosza.

\* \* \*

Jacek siedział przy barze i sączył wódkę z colą. Szwedziu zakazał mu picia alkoholu, uznał jednak, że picie czystej wody mogłoby wzbudzić podejrzenia. Jeden drink nie

zaszkodzi, do północy spokojnie zdąży go z siebie wysikać. Zerkał co jakiś czas na parkiet. Skończyły się pościelowy z lat osiemdziesiątych, odtwarzane z playlisty komputera. Didżej wziął się do roboty i przytrzymując założone na uszy słuchawki, jakby to miało mu w czymś pomóc, powitał gości i wystartował z *Atlantis is calling* Modern Talking. Aplauz z parkietu rozjaśnił na chwilę jego smutne oblicze. Środek sali zaroił się od tańczących par.

Rozpoczął się typowy dla świata przyrody rytuał godowy. Za parami na parkiet wtargnęli samotni strzelcy. Podrygiwali w takt muzyki lub drgali konwulsyjnie zupełnie wbrew niemu. Przymuleni kilkoma szybkimi łykami alkoholu z małpek, obalonych pod sąsiednim sklepem monopolowym, przystawiali się do wyginających swe ciała samic, wykonując podobne ruchy. Niechętne spojrzenia lub dyskretnie oddalenie się od nachalnego samca świadczyły jednoznacznie o nieudanej próbie. W przypadku niektórych strzelców, zwłaszcza tych z bardziej szklistymi oczami, konieczny był bardziej zdecydowany sygnał.

Strzębosz patrzył na to wszystko z rozbawieniem, dziwiąc się, jak ci pajace mogą nie zdawać sobie sprawy, że są żenująco śmieszni. Co jakiś czas zerkał na Michalczyka. Prokurator wirował w samym środku tłumu. Miał zamknięte oczy; ruszał się nawet nieźle, nie zwracając uwagi na innych. Nawet jeśli ktoś z tańczących potrącał go przypadkiem, nie robił z tego problemu – po prostu odsuwał się odrobinę i tańczył dalej. Był jak w transie. Po kilku, kilkunastu minutach zabawy wracał do stolika, żeby napić się piwa. Renatka już zarzuciła sieć.

Otarła się o niego kilka razy w tańcu, rzucając przeproszające spojrzenia. Jakiś czas później poskakali chwilę razem w niezobowiązujących płasach w rytm It's my life czarnoskórego, szwedzkiego dentysty. Byli zwrócenii ku sobie, ale Strzębosz widział, że Michalczyk nie jest jakoś wybitnie zainteresowany umizgami Renatki. Ona chyba widziała to także, ale nie poddawała się. Na szczęście nie była zbyt nachalna. Miał rację, uspokajając wcześniej Södergrena - wiedziała, co robi. Koleżanka Renatki spłynęła, Strzębosz pomógł jej podjąć decyzję o opuszczeniu lokalu kilkoma wyszeptanymi do ucha słowami. Wszystko szło sprawnie i zgodnie z planem.

Jacek spojrzał na zegarek. Dwudziesta trzecia czterdzieści pięć. Czas chyba przejść do następnej fazy. Garlicka jakby czytała w jego myślach. Zobaczył, jak przysiadła się do Michalczyka, który korzystając z chwili przerwy, wrócił do stolika. Widział, jak przedstawiając się, podają sobie dłonie. Prokurator był lekko speszony, Renatka wręcz przeciwnie. Rozmawiali, a głośna muzyka sprzyjała zacieśnieniu więzi, bo żeby się wzajemnie usłyszeć, musieli sobie krzyczeć do ucha, tuląc się niemal do siebie. Trwało to jakiś czas. Strzębosz nie widział momentu, w którym Garlicka wyspała rozdrobniony flunitrazepam do pokąła Michalczyka, ale to chyba dobrze. Znaczący, że zrobiła to wyjątkowo dyskretnie. Trochę po północy spojrzała na Jacka z daleka. Nie mrugała, nie kiwała znacząco głową, po prostu patrzyła na niego przez chwilę ponad ramieniem prokuratora. Wiedział, że to już i że niedługo będą wychodzić. Michalczyk siedział w niskim fotelu, pochylony nad



stolikiem, a Garlicka tuliła go czule do swej piersi. Wyglądał, jakby zdrzemnął się w ramionach swej partnerki.

Strzębosz dopił kolejnego drinka i wstał z hokera. Przecisnął się przez zgromadzony przy barze tłumek i ruszył w kierunku wyjścia. Zabrał z szatni kurtkę i wyszedł na zewnątrz. Cisza wręcz go ogłuszyła. Odetchnął głęboko świeżym powietrzem, sprawdzając, czy w kieszeniach kurtki są dokumenty, kluczyki i kamera. Gdzieś pod czaszką wciąż czuł łupanie muzyki, jakby serce pompowało krew do tętnic idealnie w rytmie Rivers of Babylon. Dawno nie był na baletach. Nie szkodzi, niedługo sobie odbije. *Welcome to Ibiza!* - pomyślał z rozmarzeniem.

Czekał przy barierce schodów. Wyszli po dziesięciu minutach. Michalczyk wisiał na Garlickiej uczepony jej ramienia i wpatrując się nieprzytomnym wzrokiem w mozaikę kostki brukowej, desperacko próbował utrzymać równowagę. Płątały mu się nogi. Bąkał coś pod nosem, ale nic z tego, co próbował powiedzieć, nie dało się zrozumieć. Strzębosz podszedł do nich szybko i pomógł Garlickiej, chwytając prokuratora pod drugie ramię i zakładając je sobie za szyję.

- Idziemy do samochodu - zakomenderował. - Dasz radę?

- Dam - odpowiedziała Garlicka.

- Jak chcesz, poniosę go sam - zaproponował.

- Dam radę! - powtórzyła z zaciśniętymi zębami.

Powlekli go w stronę bramy. Po wyjściu z niej skręcili w lewo. Mieli kawałek pod górę. Spadek ulicy był na tyle

duży, że zaczęli mieć mały kłopot z zataczającym się Michalczykiem. Strzębosz przejął go od Garlickiej mimo jej protestów. W końcu stanęli obok czarnego volvo Södergrena. Strzębosz, obejmując Michalczyka w pół, drugą ręką sięgnął do kieszeni kurtki. Wymacał breloczek z pilotem i wcisnął przycisk. Zamrugały kierunkowskazy.

- Otwieraj drzwi - rzucił do stojącej bez ruchu Renaty.

Przyglądała się bez słowa Michalczykowi.

- No, dawaj, kurwa, nie będę całą noc tak stał! - warknął do niej.

Drgnęła i podeszła do samochodu. Otworzyła tylne drzwi.

- Pomóż mi - stęknął.

Pochylił prokuratora, który najwyraźniej stracił świadomość. Garlicka przytrzymała jego kark. Strzębosz puścił Michalczyka, który bezwładnie osunął się na tylne siedzenie volvo. Usłyszeli huk, gdy jego głowa uderzyła w zagłówek kanapy.

- Uważaj! - Garlicka chwyciła Strzębosza za nadgarstek ręki, którą trzymał się otwartych drzwi.

Wychynął z wnętrza auta.

- Bo co? - Spojrzał na nią kpiąco. - Szkoda ci go?

- Po prostu uważaj, okej?

- Tylko się nie zakochaj, Renatka - powiedział, pochylając się i pakując do środka nogi prokuratora.

Chciała mu coś odpyskować, ale akurat przechodzili jacyś ludzie. Strzębosz zamknął drzwi i oboje przycisnęli się do samochodu, robiąc im miejsce na wąskim chodniku. Kiedy przeszli, Strzębosz rzucił:

- Wsiadaj, laska.

Zajęła miejsce z przodu. Strzębosz nonszalanckim ruchem otworzył drzwi i wsiadł do auta z miną właściciela. Umościł się w fotelu, poprawił zagłówek, włączył lampkę na podsufitce i zerknął do tyłu. Michalczyk leżał na siedzeniu twarzą w dół, prawa ręka zwisała, opierając się nadgarstkiem o leżący na podłodze dywanik. Strzębosz uśmiechnął się, wyłączył lampkę i przekręcił kluczyk w stacyjce. Ruszył gwałtownie. Kilka minut później jechał już pomiędzy blokami osiedla Przyjaźni, błędząc po zastawionych samochodami ciasnych uliczkach. Jednak poruszanie się w tym labiryncie piechotą, a jazda w nim samochodem to dwie różne sprawy. Wreszcie znalazł znajomy blok. Zaparkowali pod wejściem do klatki i wysiedli. Było cicho jak makiem zasiał, nawet na ruchliwej arterii 26 Kwietnia panował chwilowy spokój.

Strzębosz wysiadł z samochodu. Z bagażnika wyciągnął mały plecak i zarzucił go sobie na ramiona. Potem otworzył przednie drzwi od strony pasażera i spojrzał wymownie na Garlicką.

- Czekasz na zaproszenie od jakiegoś króla? Wypad!

Spojrzała na niego z pogardą.

- Dżentelmen z ciebie, co?

- Nie dyskutuj, laska, tylko bierz się do roboty. Ruchy!

Wysiadła z godnością, czekając tylko, aż ten cham klepnie ją w tyłek. Na szczęście nie zrobił tego, bo wtedy już by się chyba nie powstrzymała i wymierzyłaby mu siarczasty policzek.

- Wyciągamy go - zarządził Strzębosz. - Klucze masz?

- Tak - potwierdziła.

Znalazła je w wewnętrznej kieszeni marynarki Michalczyka, kiedy przy stoliku oparł się o nią po tym, jak środek zaczął działać.

- A co, jeśli w domu ktoś jest? - zapytała.

Strzębosz spojrział na nią. Starsza kobieta i mały chłopak, z którymi Michalczyk mieszkał, wyjechali pod wieczór kilkanaście minut przed tym, zanim pojechał do Kafe Tango. Widział, jak odprowadza ich do taksówki. Żegnali się tak czule, jakby tamci wyjeżdżali na długo i daleko, toteż założył, że ich w nocy nie będzie. Ale dziwka mogła mieć rację. Najwyżej odstawią Michalczyka pod drzwi i powiedzą, że są jego znajomymi, a Michalczyk przesadził z alkoholem. I zmyją się. Wtedy trzeba będzie czekać na następną okazję, Szwedziu nie będzie szczęśliwy... Ale cóż, na pewne rzeczy nie ma się wpływu. Siła wyższa.

- Musisz tak krakać? - zapytał Garlickiej.

Zaczynała go wkurwiać swoim zachowaniem. Odkąd wyszli z klubu, była jakaś nadąsana. Zarzucił sobie nieprzytomnego Michalczyka na ramię i nogą zamknął drzwi volvo. Huknęły głucho w ciszy nocy.

- Otwieraj - rzucił do niej.

Poszła powoli w stronę bloku ze spuszczoną głową, brzęcząc cicho pękiem kluczy, kołyszących się w jej dłoni. Strzębosz poczłapał za nią. Mimo że był silny, a Michalczyk nie był jakoś potężnie zbudowany czy otyły, ciężar jego bezwładnego ciała dawał mu się mocno we znaki. Weszli na parter, zatrzymali się przed drzwiami

windy. Garlicka wcisnęła przycisk przywoływania, a one rozsunęły się, jakby winda na nich specjalnie czekała.

- Które piętro? - zapytała Renata, wchodząc do środka.

- Szóste - wysapał Strzębosz.

- Które? - nie usłyszała.

- Szóste! - wściekł się, podnosząc głos. - Głucha jesteś, kurwa, czy co?

- Może ciszej? I mógłbyś przestać rzucać mięsem? Nie znoszę wulgarnych mężczyzn.

- Gównu mnie to obchodzi. Numer mieszkania czterdzieści siedem. Jedź na górę i sprawdź, czy ktoś jest w domu. Jeśli tak, powiesz, że Mateuszek zachlał i że kolega zaraz odstawi go pod drzwi. Czekam tu, pośpiesz się!

Zacisnęła usta i wcisnęła przycisk z rzymską dziesiątką. Chciała trochę odpocząć od Strzębosza. Kiedy drzwi się zasunęły, odetchnęła z ulgą i puściła pod nosem wiązankę pod jego adresem. Winda ruszyła z cichym rzężeniem wysłużonego mechanizmu.

Chryste, jak ona żałowała, że dała się w to wszystko wciągnąć! Jeszcze dwie godziny temu nie widziała w tym nic niestosownego. W końcu była dziwką, nie raz, nie dwa zdarzyło jej się okraść pijanego klienta. A nawet wrobić kogoś w zdradę, w dodatku na zlecenie jego własnej żony. Ale ten facet okazał się miłym i grzecznym człowiekiem, z gatunku tych, o których czyta się w romansidłach. Czyli takich, którzy w prawdziwym świecie nie istnieją. A jednak. Może ten gnój Strzębosz miał rację, może faktycznie zaczęła się w nim zakochiwać? Nigdy wcześniej nie zaznała od żadnego mężczyzny tyle szacunku i uwagi.

I to nie jakiejś cwaniackiej, obliczonej na osiągnięcie jednego celu - rżnięcia. Był naprawdę milutki, a ona wrzuciła go w szpony tego sukinsyna. I co ma teraz zrobić?

Z zamyślenia wyrwało ją szarpnięcie windy. Stała na dziesiątym piętrze, drzwi się rozsunęły. Garlicka weszła w ciemność, która spowijała klatkę schodową i korytarz. Włączyła światło i westchnęła cicho. Zaczęła powoli schodzić kolejne piętra niżej, z głową zaprzątniętą swoim zmartwieniem. Na szóstym znalazła właściwy numer. Stała przez chwilę przed drzwiami, gdy nagle zgasło światło i otoczyła ją ciemność. Przez chwilę ogarnęła ją lekka panika, ale uświadomiła sobie, że to nie ona ma powody do obaw, tylko tamten miły człowiek. Mateusz. Z powrotem włączyła światło i nacisnęła dzwonek. Usłyszała ciche brzęczenie, dochodzące z za drzwi. Odczekała minutę i znów nacisnęła przycisk. Nic się nie działo, w mieszkaniu nikogo nie było. Stała tak przez chwilę. Teraz w głowie miała tylko pustkę. W końcu podjęła decyzję i zdecydowanym krokiem zeszła na parter.

Strzębosz wciąż stał z Michalczykiem pod ramię; oparł go tylko lekko o ścianę, podtrzymując go z drugiej strony. Kiedy pojawiła się na spoczniku półpiętra, nic nie powiedział, tylko zmierzył ją od stóp do głów zimnym, nieprzyjaznym spojrzeniem.

- Nikogo nie ma - rzuciła cicho.

Strzębosz bez słowa uniósł Michalczyka i ruszył w stronę windy. Kiedy już znaleźli się w niej wszyscy, wcisnął właściwy guzik. Ruszyli. Garlicka patrzyła, jak Strzębosz, poświstując cicho pod nosem, z uniesioną

głową wpatruje się w pomazany markerami i osmalony płomieniem zapalniczki sufit. Stanęli na szóstym. Kiedy wychodzili, obejrzała się odruchowo za siebie i przez chwilę ujrzała w małym, porysowanym lustrze odbicie swojej twarzy.

Strzębosz, jakby nie ufając Garlickiej, przez jakiś czas nasłuchiwał, czy z drugiej strony drzwi nie dochodzi żaden hałas świadczący o czyjejś obecności. Nic, cisza. Garlicka spojrzała na niego ze złością, pytając w myślach samą siebie, po co, do cholery w takim razie wysłał ją wcześniej na górę. Użył kluczy Michalczyka i po chwili drzwi stały przed nimi otworem. W mieszkaniu było ciemno. Kiedy już znaleźli się w środku, Garlicka delikatnie zamknęła drzwi, a Strzębosz położył prokuratora na podłodze korytarzyka. Rozejrzał się. Mieszkanie było trzypokojowe, jednak jego metraż ledwo wystarczyłoby na dwa pokoje w nowym budownictwie. W dwóch z nich stały szerokie łóżka. Strzębosz stwierdził, że Michalczyk śpi w tym, w którym był również mały telewizor, zatargał więc go właśnie tam. Garlicka stała w korytarzyku i nic nie mówiła. Kiedy Strzębosz zawołał ją do pokoju, weszła i oparła się o ścianę. Michalczyk leżał obok łóżka, jakby właśnie z niego spadł.

- No, rozbieraj się! - polecił jej Strzębosz.

Przełknęła ślinę.

- Zastanawiałeś się, kim ten facet jest? - zapytała.

- Co?

Gówno! - wrzasnęła w myślach.

- Pytam, czy pomyślałeś o tym, że wyrządzamy mu krzywdę, tak naprawdę nie wiedząc nawet, kim jest.

A może to dobry człowiek?

- Pojechało cię, laska? - Oczy Strzębosza otworzyły się szeroko ze zdumienia.

- Nie. Odpowiedz mi na pytanie.

Wstał z łóżka i oparł ręce na biodrach. W jego oczach była kpina. Jeszcze. Zdawała sobie sprawę, co będzie potem, kiedy już powie mu to, co chciała powiedzieć. To mogło trochę boleć.

- Gównu mnie obchodzi, kim on jest. - Strzębosz wskazał na leżące u jego stóp ciało. - Ale tak się akurat składa, że wiem kim. Głupim gnojem, który wtyka nos tam, gdzie nie trzeba. Więc nie denerwuj mnie i rozbieraj się, bo nie mam czasu. - Wyciągnął z kieszeni kurtki kamerę.

Garlicka wzięła głęboki oddech.

- Nie zrobię tego - wydusiła z siebie.

- Co powiedziałaś? - wysyczał Strzębosz.

- Powiedziałam, że tego nie zrobię. Znajdźcie sobie inną. A najlepiej po prostu zostaw go w spokoju. I mnie też.

Przeszedł nad ciałem Michalczyka i zbliżył się do niej.

- Dostaniesz za to trzy koła, głupia cipo. Czego chcesz więcej? Mało ci!?

- Nie chodzi o pieniądze. - Spojrzała na niego zimno. - Chodzi o zasady.

- Zasady? To kurwy mają zasady?

Nie wytrzymała i dzieliła go w twarz otwartą dłonią. Tylko się uśmiechnął. Podniósł ręce i cofnął się o krok.



- Dobra. Źle zaczęliśmy. Jeszcze raz. O co ci chodzi, Renatka, co? Powiesz mi?

- Już ci powiedziałam. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

- Teraz mi to mówisz? - Oblizął usta. - To co mam zrobić? Sam go wydymać i nakręcić to z rąsi?

- Nie obchodzi mnie to.

- A powinno. Bo jak się podjęłaś, to masz to doprowadzić do końca.

- Nie. Już zdecydowałam. I co mi zrobisz?

Strzębosz spojrział w ciemne okno.

- Nie chcesz wiedzieć, co ci zrobię, uwierz mi, Renatka. Nie chcesz wiedzieć...

- Jeśli tylko mnie tkniesz, zacznę się tak drzeć, że postawię na nogi cały ten pieprzony blok. A potem powiem policji, jaki numer szykowaliście na tego człowieka. Nawet jeśli kosztować mnie to będzie wybity ząb czy podbite oczy. Rozumiesz? Rozumiesz, głupi gnoju!? - podniosła głos.

Strzębosz zagryzł dolną wargę i nieznacznie zbliżył się do niej.

- W porządku. Jakie widzisz rozwiązanie naszego problemu?

- Tępy jesteś? - Poczula się pewniej. - Już ci podałam rozwiązanie problemu. Wychodzę i martw się dalej sam, bo to twój problem, a nie mój. Gównu mnie to wszystko obchodzi!

Czula, że zaraz się rozplacze. Nie mogła nic zrobić dla Mateusza, przynajmniej nie teraz. Po prostu musiała

wyjsć. Kiedy dojdzie do siebie, zastanowi się, co dalej. Jeszcze chwila i zwymiotuje ze zdenerwowania, szczególnie jeśli ten gnój nie zniknie jej z oczu. Zobaczyła, że oblicze Strzębosza łagodnieje, jakby chciał spróbować jeszcze raz ją przekonać, tym razem po dobroci. Nic z tego – pomyślała. – Nie ze mną te sztuczki.

- Nie dajesz mi innego wyjścia. – Strzębosz podszedł blisko, bardzo blisko niej i smutno pokiwał głową.

Nagle poczuła skurcz w podbrzuszu.

- Ale obiecuję ci, Renatka, że nie będzie za bardzo bolało – powiedział cicho, a twarz wykrzywiła mu się w złośliwym uśmiechu.

W jej oczach zdążył pojawić się strach. A potem Strzębosz odchylił głowę do tyłu i uderzył czołem w nasadę jej nosa, łamiąc go z obrzydliwym trzaskiem. Krótki krzyk, bardziej zaskoczenia niż bólu, który pierwszą falą dotarł do mózgu dopiero po chwili, i kobieta upadła nieprzytomna na podłogę, zalewając się krwią. Leżała obok łóżka z szeroko rozrzuconymi rękami i podkurczonymi nogami. Czarna, obcisła miniówka podwinęła się, odsłaniając koronkową bieliznę. Strzębosz patrzył przez chwilę w to miejsce, czując ogarniające go pożądanie, postanowił jednak zachować się profesjonalnie.

Wyciągnął z plecaka jakiś biały, zwinięty w kłębek materiał i popatrując to na kobietę, to na leżącego pod ścianą prokuratora, strzepnął go, niczym zdjęte z suszarki prześcieradło. Zdjął kurtkę i włożył na siebie lakierniczy kombinezon. A potem wciągnął nieprzytomną dziewczynę na łóżko i przeszedłszy nad ciałem Michalczyka, skierował

się do kuchni. Nie widział, jak prokurator otwiera na chwilę oczy.

Strzębosz postanowił wykazać się własną inicjatywą i zakończyć sprawę definitywnie. Szczerze mówiąc, był przygotowany na taką ewentualność – przemyślał sobie pewne rzeczy wcześniej. Nikt nie będzie żałował zwykłej dziwki, a on tym bardziej. Renatka była sobie sama winna, pękłaby przy pierwszym przesłuchaniu albo podczas wywiadu dla gazety. Teraz to wiedział, a po tym, co mu powiedziała przed chwilą, pozbył się wszelkich złudzeń. Cały plan szlag by trafił, a Szwedziu trafiłby tam, gdzie na pewno nie chciałby się znaleźć. On zresztą też, a na to nie mógł sobie pozwolić, nie teraz. Więc poratuje starego kumpla ze szkoły.

A jeśli Szwedziu życzył sobie, żeby prokurotek nie wystawiał nosa ze swojej nory, to załatwi to tak, żeby nie wylazł z niej do końca życia. Przy okazji zaoszczędzi dla siebie te trzy tysiące, które miała dostać Garlicka za wystawienie ofiary i teatrzyk przed mediami.

## *Niedziela, 19 maja*

- Dobra, Mateusz - powiedział Krugły, kiedy już trochę ochłonął. - Co to znaczy: „Chyba kogoś zabiłem”? Zabiłeś czy nie?

Niedzielny poranek, który zapowiadał się jak zwykle odprężająco nudno i spokojnie, właśnie przestał taki być. Michalczyk pół leżał, pół siedział na kanapie, trzymając się za czoło i próbując zupełnie się nie rozkleić.

- Nie wiem, kurwa!!! - krzyknął, gestykulując gorączkowo. - Nie wiem! Leżała koło mnie w moim łóżku, z poderżniętym gardłem. Od ucha do ucha! Wiesz, co to jest kolumbijski krawat? Prawie tak wyglądała! A ja trzymałem w ręku nóż upieprzony w jej krwi. No to chyba ją zabiłem, nie!?

Ewa stała w drzwiach salonu, blada jak kreda. Objęła się w pół ramionami, wczepiając palce w miękki materiał szlafroka, z niedowierzaniem i zgrozą wpatrując się w Michalczyka. Krugły szybko zerknął na nią kątem oka. Szkoda, że to usłyszała, ale już i tak było za późno. Mógł się tak nie wydzierać.

- Wyluzuj, Mateusz, dobra? - powiedział spokojnym tonem, patrząc mu w oczy. - Krzyki w niczym nie pomogą. Zacznij od początku.

Michalczyk odetchnął głęboko. Otarł z czoła krople potu i spojrzał Krugłemu w oczy.

- W tym sęk, Robert. Nie wiem, jak wyglądał początek. Nie pamiętam...

- Co to znaczy: nie pamiętasz?

- Mam ci podać definicję terminu „pamięć”? - Głos Michalczyka przepełniony był złością.

- Nie pomagasz mi. Skoro tu przyszedłeś, to domyślam się, że w poszukiwaniu pomocy. No więc gdybyś nie zauważył, właśnie staram ci się pomóc. Ale ty mi nie pozwalasz. I nie musisz tak bluzgać. Kobieta słucha.

Michalczyk jakby ocknął się ze snu. Drgnął, zobaczył stojącą w drzwiach Ewę i podniósł dłonie, jakby się komuś poddawał.

- W porządku, masz rację. Przepraszam - mruknął i dodał: - Cześć, Ewcia....

Krugły wyciągnął do Ewy rękę. Podeszła, a on przysunął jej drugie krzesło. Teraz oboje siedzieli naprzeciwko Michalczyka. Ten popatrzył na nich.

- Po prostu się obudziłem. Rano, ze dwie godziny temu. Bolała mnie głowa i było mi niedobrze. Jak to na kacu. I wtedy zobaczyłem tę kobietę. Widziałem już kiedyś coś takiego, ale zobaczyć to w pijackiej melinie to co innego niż we własnym domu. Leżała unurzana we krwi, wyprostowana jak struna, z rękami ułożonymi wzdłuż ciała, jak jakaś królowa egipska na katafalku, a jej głowa była prawie odcięta. Widziałem nawet chrząstki tchawicy i kręgosłup... Przepraszam, Ewcia. - Urwał, widząc reakcję Ewy.

Krugły w zamyśleniu gładził się po świeżo ogolonym podbródku.

- Jak już... Jak już z powrotem zacząłem oddychać - kontynuował Michalczyk - zorientowałem się, że w rękę trzymam nóż. Taki ząbkowany, do chleba. Mój nóż, z mojej kuchni, dwa miesiące zbierałem naklejki w hipermarkecie, żeby go dostać... Cały zakrwawiony. Uwierzcie mi, to, co przeżyłem, to doświadczenie graniczne. Znalazłem się w sytuacji, która była absolutnie poza granicami mojego pojmowania rzeczywistości. To jak... zajrzenie poza horyzont zdarzeń, podejrzewam, że w takim samym szoku byłbym, gdybym nagle cofnął się w czasie albo zobaczył ufoludka, rozumiecie? Nie, nie rozumiecie, ale nie szkodzi, to chyba nawet lepiej... Siedziałem tak z godzinę na łóżku, nie mogąc się ruszyć.

Chyba w ogóle nie myślałem. Latałem tylko do toalety, bo rzygałem jak kot... Sorry, Ewcia. A potem zadzwoniłem po pogotowie i na policję. To był odruch, w końcu jestem praworządnym obywatelem, tak? W sumie to nawet stoję na straży tego prawa... - Pokręcił głową ze zdumieniem, patrząc na swoje buty. - A kiedy chwilę później uświadomiłem sobie, co zrobią ze mną gliny, kiedy otworzę im drzwi i pokażę to, co leży na moim łóżku... to uciekłem. Po prostu.

Spojrzał na nich, a w jego oczach było coś jak prośba o zrozumienie. Krugły i Ewa milczeli.

- Wiecie, co by ze mną zrobiliby w pierdłu inni osadzeni, jak tylko dowiedzieliby się, kim jestem? - zapytał Michalczyk. - Gliniarz i prokurator, że się tak wyrażę, mają pod celą przesrane, kiedy już tam trafią, przecież musicie zdawać sobie z tego sprawę. Powiecie, że dramatyzuję, że daliby mi osobną celę i tak dalej... A jak nie? Będąc na moim miejscu, któreś z was by zaryzykowało? Nawet będąc niewinnym? Mnie z pewnych względów nie stać na śmierć... Więc zminimalizowałem ryzyko i spieprzyłem z miejsca zbrodni najszybciej, jak się dało. I pojechałem do was.

- Czym przyjechałeś? - zapytał Krugły.

- Taksówką.

Krugły cmoknął kącikiem ust. Michalczyk uśmiechnął się słabo. Jego ręce, niczym odrębne, pozbawione kontroli byty, wciąż nie mogły sobie znaleźć miejsca, nieświadomie wędrując po kolanach, czole, nosie i obiciu kanapy.

- Zamówiłem kurs na dworzec. Tam wysiadłem, w kasie kupiłem bilet do Wrocławia, a potem górą, tymi

schodkami przy budynku dyrekcji PKP przeszedłem tutaj.  
- Wskazał w kierunku odrapanego budynku dworca Szczecin Główny, widocznego przez okno półokrągłej loggii. - W taryfie włączyło mi się wreszcie myślenie. Tylko że zacząłem myśleć jak zbieg. Bo teraz już nim jestem... - Spuścił głowę. - Przepraszam, że was w to wplątałem. Nie miałem dokąd pójść, nic innego nie przyszło mi do głowy w tamtym momencie. Jak się trochę ogarnę, pójdę sobie, obiecuję...

- Nigdzie na razie nie pójdziesz - rzucił cicho Krugły.

Ewa spojrzała na niego szybko.

- Nie krępujcie się. - Michalczyk uśmiechnął się słabo.

- Idźcie sobie porozmawiać. Ja poczekam. Na razie nigdzie mi się nie spieszy - dodał sarkastycznie.

Umościł się wygodniej na kanapie i zaczął wpatrywać się w widok za oknem. Ewa wstała i dyskretnym spojrzeniem oraz nieznacznym ruchem głowy dała Krugłemu znak, żeby poszedł za nią. Przeszli do kuchni. Tam Ewa oparła się o blat, wciąż trzymając ręce założone na piersi.

- Nie może tu zostać - szepnęła gorączkowo do Krugłego. - Nie wiem, o co tu chodzi i dlaczego to zrobić, ale przecież nie będziemy ryzykować. Lubię go, to miły gość, ale... A jak znowu mu odbije? Poza tym z tego, co wiem, ukrywanie przestępcy jest karalne. Zdajesz sobie sprawę z konsekwencji, Robert? Pamiętasz, jakie miałeś kłopoty, wiesz, wtedy, podczas tej całej historii z Koślinem, kiedy bez zgody dyżurnego użyłeś koguta? A co dopiero to...

Krugły uśmiechał się lekko, wodząc wzrokiem po jej zatroskanej twarzy. Wyglądała uroczo, gdy tak marszczyła brwi. Nie miał pojęcia, jak to możliwe, ale jej oczy były w takich chwilach jeszcze większe niż normalnie, choć teoretycznie powinno być odwrotnie. Próbował tak kiedyś zrobić przed lustrem, ale nie dał rady.

- Nie martw się na zapas, Ewuś - mruknął. - Nic mi nie zrobią... A wtedy nie chodziło o koguta, tylko po drodze przytarłem ze dwa auta...

- To już nawet nie chodzi o twoją karierę, nie rozumiesz? Chodzi o nasze bezpieczeństwo!

- Naprawdę wierzysz w to, że to on zabił tę dziewczynę?

- Nie wiem! Nigdy nie wiesz, co siedzi w człowieku. - Jej oczy wypełniły się łzami, a Krugły wiedział, że w tym momencie jej myśli biegną ku przeszłości i Koślinowi. - Może ma guza mózgu, może upił się albo coś wziął i dostał napadu szału, którego nie pamięta! Nie wiem i nie obchodzi mnie to teraz! Nie chcę, żeby coś nam się stało!

Krugły milczał przez chwilę. Oczywiście musiał się liczyć z jej zdaniem, ale mimo wszystko Michalczyk nie bez kozery przyszedł akurat do nich. Nie zostawia się na łodzie przyjaciół i akurat w tej kwestii byli zgodni.

- Dobrze - powiedział cicho. - Zostanie u nas tylko tyle, ile zajmie mu podjęcie decyzji, co dalej. A ja nigdzie nie wyjdę, będę przy tobie, pasuje?

Po chwili zastanowienia skinęła głową.

- Jak najkrócej, Robert... - poprosiła błagalnie.

Uśmiechnął się do niej uspokajająco i pogładził ją po policzku. Wrócili do salonu.



- Mam już iść? - zapytał Michalczyk, siłąc się na wesoły ton. - Przysięgam na wszystkie świętości, że nie będę wam miał tego za złe. Sam na waszym miejscu wypieprzyłbym siebie za drzwi.

- Siedź - rzucił Krugły, zajmując miejsce obok niego.

Liczył, że tym samym da Ewie sygnał, iż nie ma żadnego zagrożenia. Popatrzył na Michalczyka i zapytał:

- Co pamiętasz?

- Mówiłem ci...

- Przedtem. Ostatnia rzecz, jaką pamiętasz.

Michalczyk zamknął oczy i zadarł głowę, wbijając wzrok w sufit.

- Balety - bąknął. - W Kafe Tango.

Krugły prawie osunął się na podłogę. Nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Co!?! - zapytał autentycznie rozbawiony. - Chcesz powiedzieć, że ty...

- Tak. Ja. Ten przykuty do biurka prokuratorski gryziپیórek.

Krugły pokręcił głową, unosząc brwi.

- Teraz to mi zaimponowałeś.

Twarz i oczy Michalczyka były poważne.

- Jak długo się znamy, Robert?

- Ze trzy lata?

- Co o sobie wiemy?

Krugły też spoważniał.

- Tyle, ile sobie nawzajem powiedzieliśmy.

To prawda. Poza pracą Krugły nie lubił ciągnąć ludzi za język. Wychodził z założenia, że powiedzą mu o sobie tyle,

ile uznają za stosowne. Inna kwestią było to, co Krugły potrafił wyczytać z ich gestów i przerw między słowami. Michalczyk lekko pokiwał głową.

- Tak. To dobre określenie. Tyle, ile sobie powiedzieliśmy. Współpracowaliśmy kilka razy przy śledztwach, raz na miesiąc, dwa, chodzimy na piwo, gdzie przeważnie gadamy o robocie, spotykamy się na obiedzie mniej więcej raz na kwartał, zawsze u was w domu, nigdy u mnie...

- Ale lubimy się?

- Jasne. Myślę, że nawet bardzo. Ale nie mówię ci wszystkiego. Po co? Nie zawsze gadanie o problemach sprawia ulgę. - Zamilkł na chwilę. - Wspominałem ci, że mam syna?

- Tak. Kiedyś, przy piwie. Piątym, chyba. Ale pamiętam, że nie byłeś zbyt wylewny, jeśli chodzi o ten temat. A ja nie naciskałem.

- O jego matce mówiłem?

Krugły zastanowił się przez chwilę.

- Nie. Nigdy. W ogóle mało mówisz o kobietach. Swoich kobietach, znaczy. O swoich sprawach sercowych - sprecyzował.

Michalczyk przytaknął.

- Nie każdy ma szczęście mieć te sprawy uregulowane, tak jak wy. - Westchnął. - Tak, słyszycie w moim głosie lekką nutę zazdrości - dodał i chrząknął. - Mój sześćioletni syn, Mikołaj, ma zespół Aspergera. Mieszkamy razem z moją mamą, ojciec zmarł wiele lat temu. Mama przeszła na wcześniejszą emeryturę, żeby móc się zajmować Mikołajem, kiedy jestem w pracy. To ich

miałem na myśli, mówiąc, że nie stać mnie na śmierć. Za parę lat mama zacznie pewnie chorować albo zniedołężnieje, bo nie ma co ukrywać, w pewnym wieku spotyka to prawie każdego. I co wtedy stanie się z Mikołajem? Muszę myśleć w ten sposób już teraz, bo potem będzie za późno... - Zaciśnął dłoń na welurowym materiale okrywającym podłokietnik kanapy. - Matkę Mikołaja poznałem na jakimś szkoleniu. To była wpadka, przyznaję bez żenady, bo nie ma w tym absolutnie nic dziwnego. Zdarza się najlepszym. Nie o to chodzi. Bujaliśmy się trochę ze sobą, ale wspólnie doszliśmy do wniosku, że nic z tego nie będzie. Deklarowałem oczywiście, że będę się zajmował dzieckiem, w końcu jestem mężczyzną i odpowiadam za swoje czyny... - Urwał na chwilę, a przez jego twarz przebiegł cień. - Ale z nią coś zaczęło się dziać. Popijała, i to tęgo. Kiedy już była w ciąży, rozumiecie? Zaczęły się awantury, bo bałem się o dziecko, a ona jakby miała to głęboko w... Pół roku po urodzeniu Mikołaja dokądś wyjechała. Nic mi nie powiedziała - po prostu pewnego dnia zostawiła go u mnie i więcej się nie zjawiała. Jej rodzina w ogóle nie chciała ze mną rozmawiać. Też są dziwni. Wkurwiłem się i zgłosiłem jej zaginięcie policji. Przyjęli zgłoszenie tak naprawdę tylko dlatego, że byłem prokuratorem... No, prawie, bo to było podczas mojej asesury. Nieważne, w każdym razie po dwóch tygodniach zadzwonili, że zaginiona wcale nie zaginęła, a w dodatku nie życzy sobie, żeby informować mnie o miejscu jej pobytu. Takie jej prawo. Nie naciskałem. Miałem możliwości, żeby się dowiedzieć, gdzie jest, ale co by to dało? Nic. Dałem

spokój, odpuściłem sobie. Dla Mikołaja tak chyba będzie lepiej.

Zamilkł na chwilę, opuścił głowę, potem wzruszył lekko ramionami i znów spojrzał na Ewę i Krugłego.

- Kocham to dziecko. Jest sensem mojego życia. Kiedyś, kiedy miał już ze cztery miesiące, Milena po pijaku wyrzeszczała mi coś o moim wątpliwym ojcostwie, ale nie drażyłem tematu. Nie zleciłem testów. To nie ma znaczenia. To mój syn i ma tylko mnie. Na pocieszenie dodam, że grupa krwi pasuje, więc może jednak to naprawdę moje dziecko? W każdym razie moje życie to praca i on. I moja matka, która zostanie chyba świętą za życia za cierpliwość i spokój, z jakimi to wszystko znosi. A ja... Żeby nie zwariować, muszę się czasem odprężyć. Raz na jakiś czas wysyłam ich do ciotki - siostry mamy, do Niekłóńczycy - na weekend albo chociaż na jeden dzień. Wtedy idę z tobą na piwo albo gram ze znajomymi w brydzyka... albo idę się wyszaleć. Jestem już sporo po trzydziestce, więc nie wypada mi iść do klubu dla małolatów. To stąd to Kafe Tango. - Uśmiechnął się do Krugłego. - Chodzę sam. Na początku jest trochę głośno, ale potem, po dwóch, trzech piwach, przestaje mi to przeszkadzać. Lecą przeboje z listy hitów dla emerytów, ale mam to gdzieś - nie idę w końcu na koncert, tylko się wybawić. Tak samo mam gdzieś, co pomyślą sobie ludzie, widząc przypominającego wiatrak chudego dryblasa machającego kończynami niekoniecznie do rytmu. Zapominam się, rozumiecie? Mam zamknięte oczy, szaleję i czuję się zajebiście. Oczyszczony i zmęczony. Jasne, że czasem poznam tam jakąś kobietę.

Wiadomo, część ludzi przychodzi w takie miejsca, żeby kogoś wyrwać. Czasem jest to znajomość na jedną noc, czasem na kilka tygodni, do tej pory nigdy dłużej. Albo mają mnie dość, albo nie dają rady z Mikołajem. Nieważne, obie te przyczyny dyskwalifikują je na dłuższą metę. – Westchnął i popił wody, którą przyniosła mu Ewa, potem odstawił szklanekę na stolik i spojrzął na nich.

– Wczoraj też tam byłem właśnie po to. Wylogować się na parę godzin. Nie pamiętam, żebym dużo wypił, góra dwa piwa. Co piłem potem – nie wiem. Nie pamiętam też tej dziewczyny, jeśli w ogóle to tam ją spotkałem. Nic nie pamiętam. – Schował twarz w dłoniach i milczał, oddychając ciężko. – W życiu się tak nie nawaliłem. A najdziwniejsze, że nie mam wcale jakiegoś megakaca. Pomijając te poranne pawie... Boże, przepraszam, Ewcia!

Ewa pokręciła głową z lekkim uśmiechem politowania. Krugły wstał nagle z kanapy i wyszedł z pokoju. Po chwili wrócił, przypominając sobie, co obiecał Ewie. Wziął do ręki telefon i wybrał numer z kontaktów.

– Cześć, Gosia – powiedział, gdy ktoś po drugiej stronie odebrał, a Ewa spojrzała na niego zdziwiona, słysząc imię sąsiadki z góry. – Przepraszam, że dzwonię tak wcześnie, ale mam do ciebie nietypową prośbę. Mógłbym cię poprosić, żebyś do nas przyszła z zestawem do pobrania krwi? I pojemnikiem na próbkę moczu? Jak najszybciej. Tak, to ważne. I proszę o dyskrecję. Drzwi są otwarte, po prostu wejdź. Dzięki, do zobaczenia.

Rozłączył się i odłożył telefon na stolik. Michalczyk i Ewa patrzyli na niego z niemym pytaniem w oczach.

- Nic cię nie zdziwiło w tej całej historii, Mateusz? - zapytał Michalczyka z krzywym uśmiechem.

Ten spojrział na niego udręczonym wzrokiem.

- Jaja sobie robisz? Wszystko mnie zdziwiło! Wszystko, co pamiętam...

- Nie w tym sensie... No dobra, biorąc pod uwagę twoją obecną kondycję psychiczną, możesz czuć się usprawiedliwiony. Dla mnie sprawa jest jasna. Częściowo jasna, oczywiście. Nie wyglądasz, jakbyś chlał na umór całą noc, co mogłoby tłumaczyć twoją amnezję. Wygląda na to, że ktoś dosypał ci czegoś do alkoholu, a potem robił z tobą, co chciał. To jest dla mnie pewne. A reszta, czyli to, dlaczego to zrobił, pozostaje zagadką.

- Zaraz, zaraz. - Michalczyk się wyprostował. - Co ty opowiadasz? Co ja jestem panienka do zerznięcia?

- Czy widelec służy tylko do jedzenia? Nie, można nim również wydłubać dziurę w ścianie czy oko. Widziałem też raz kogoś, kto używał go do rzeźbienia w glinie.

- Co to ma wspólnego...?

- Ano to, że nie zawsze używa się rzeczy zgodnie z ich przeznaczeniem. Jakkolwiek głupio to brzmi, pigułka gwałtu nie zawsze musi służyć do zgwałcenia kobiety, rozumiesz? Można nią zaćpać także faceta. W jakim celu, to już insza inszość, ale można. Podejrzewam, że padłeś ofiarą czegoś takiego. A przynajmniej wiele na to wskazuje.

Michalczyk milczał przez chwilę.

- Powiedzmy, że twoja teoria jest z mojego punktu widzenia interesująca. Pytanie tylko, czy dlatego, że jest prawdopodobna, czy dlatego, że mi po prostu pasuje.

Pasuje mi, bo według niej być może jestem niewinny. Owszem, wyjaśnia, dlaczego nic nie pamiętam, ale czy tłumaczy zabicie tej dziewczyny?

- Powiem ci, co mi się nasuwa tak na gorąco. Ktoś zabija dziewczynę. Nie wiemy dlaczego, ale to na razie nieistotne. Może robi to przypadkiem, a może nie. Orientuje się, że przesadził, i próbuje ratować sytuację, a w zasadzie siebie. Idzie do klubu, wypatruje samotnie bawiącego się gościa o wyglądzie, wybaczone, safandulowato-inteligenckim i wsypuje mu coś do piwa czy co tam innego pije ów gość. Wyprowadza go, kiedy środek zaczyna już działać. Wsadza go do samochodu, w którego bagażniku już leży sobie trup, sprawdza adres w dowodzie osobistym gościa, a następnie jadą do niego. Wprowadza go do jego mieszkania, wnosi zwłoki dziewczyny, kładzie oboje do łóżka i inscenizuje makabryczne zabójstwo. Co pan na to, panie prokuratorze?

- Mnóstwo dziur, panie komisarzu. Czuję się, jakbym grał w Brunecie wieczorową porą.

- Wiem, że są dziury. Dywagujmy sobie teraz. Słucham.

- W zasadzie to w takiej sytuacji każdy kombinuje raczej, żeby jak najszybciej zniknąć z miejsca zbrodni. Jeśli ma silne nerwy, może spróbować porzucić zwłoki, tak żeby nikt ich nie znalazł, a nie szuka frajera, na którego można by zwalić zabójstwo. Dlatego bardziej wygląda mi to na zamierzone i planowe działanie. Ale nieważne. Pierwsza część twojej opowieści jeszcze jakoś trzyma się kupy. Jakoś, bo niekoniecznie adres w dowodzie musi pokrywać się z miejscem faktycznego zamieszkania. A co,

jeśli na miejscu okazałoby się, że mieszkanie frajer niedawno sprzedał i nie zdążył jeszcze wymienić dowodu? Albo okazałoby się, że jest zameldowany w Drawsku czy Zamościu, lub w ogóle nie ma przy sobie dowodu? Gorzej z drugą częścią, od momentu wejścia do mojego mieszkania, a w zasadzie wniesienia do niego trupa. Jak to sobie wyobrażasz? A jeśli spotkałby kogoś w windzie?

- Mógł ją otruć, strzelić w tułów albo udusić poduszką. Nie byłoby widocznych ran. Wy tłumaczyłby, że koleżanka przesadziła z alkoholem, a on ją holuje do domu.

- Byłby tam obcy. Raczej znamy się wszyscy w naszej klatce.

- Nie wiemy, o której to było. Może o trzeciej nad ranem? Ryzyko spotkania kogoś o tej porze jest niewielkie. A nawet jeśli, to powiedziałby na przykład, że idą do pana Michalczyka na imprezę. Właśnie go przyholował przed chwilą, a teraz dołącza do niego koleżanka, też nieźle nawalona. Pana Michalczyka sąsiad przecież zna.

- Dobra. - Michalczyk westchnął. - Jest tylko jeden szkopuł. Gdyby ktoś podciął gardło martwemu człowiekowi, to w życiu nie wypłynęłoby z niego tyle krwi, tymczasem moje łóżko i podłoga wokół niego wyglądały jak rytualna ubojnia w czasie jakiegoś święta.

- Czyli zabił ją na miejscu?

- Otóż to. I tu twoja teoria bierze w łeb. Bo to oznacza, tak jak wspomniałem przed chwilą, że zrobił to w moim mieszkaniu, z premedytacją zrzucając winę na Bogu ducha winnego... safandulowato-inteligenckiego gościa.



I nie po to, żeby jakoś się ratować, tylko żeby było na mnie.

- Mówiłem, żebyś mi wybaczył tego safandulę, nie? To było tylko tak, wiesz...

- Wiem. Wybaczam.

- Czyli nie jest dobrze, Mateusz. Ktoś ci robi koło pióra. I to grubo.

- Owszem. Udupili mnie. Na resztę życia. - Pomyślał przez chwilę. - Jest jeszcze jedna możliwość, Robert.

- No?

- Zanim ją przedstawię, chciałem ci podziękować za próbę wytłumaczenia mnie. Była trochę nieudolna, jak na oficera śledczego z twoim doświadczeniem... - Krugły uśmiechnął się lekko, skromnie spuszczaając wzrok - ale świadczy o tym, że wierzysz we mnie, w moją niewinność, a ja sam już nie wiem, czy to dobrze. Czy można we mnie wierzyć. - Ramiona opadły Michalczykowi w geście zwątpienia i rezygnacji.

Zatarł dłonie, wpatrując się w nie intensywnie, a potem przeniósł wzrok na twarz Krugłego.

- A jeśli to ona mi czegoś dosypała? - zapytał. - A potem poszliśmy do mnie. Tam chciała mnie obrobić, ja się ocknąłem, wpadłem w szal i ją zarznąłem. Po prostu. Nie brzmi to równie wiarygodnie, jak twoja teoria o wrobieciu mnie?

- Ludzie atakowani nożem nie stoją beczynnymi. Nawet jeśli z jakichś powodów nie walczą z napastnikiem, to przynajmniej zasłaniają się przed ciosami. Mają obrażenia obronne na dłoniach, przedramionach. A jeśli giną, to nie wyglądają po śmierci jak egipskie księżniczki, jak sam się

wyraziłeś. Po co układałbyś ją potem w takiej dziwnej pozie?

Michalczyk spojrział na niego ciężko.

- Szok? Próba wyparcia, zadośćuczynienia? Skąd mam wiedzieć?

- Przebrałeś się? Umyłeś?

- Co?

- Pytam, czy przed wyjściem przebrałeś się i umyłeś?

Michalczyk pokręcił głową.

- Nie. Miałem inne problemy niż utrzymanie higieny.

- Przed chwilą powiedziałeś, że twoje łóżko wyglądało jak rzeźnia. Poderżnięcie gardła to raczej brudna robota. Przy uszkodzeniu tak dużych naczyń, jakimi są tętnice szyjne, zanim delikwent wpadnie we wstrząs i serce przestanie mu bić, wypłynie z nich sporo krwi. Litr, półtora, dwa...?

Michalczyk mu przerwał.

- Owszem. Mówiłem ci, że krew była na łóżku i na podłodze. Wszędzie!

- A na tobie, Mateusz? Z wyjątkiem niezbyt dużej plamy na marynarce i jeszcze mniejszej na dłoni jesteś czysty. Kupy się to nie trzyma, chłopie. Gdybyś to ty poderżnął jej gardło, byłbyś upierdolony na czerwono po pachy. - Spojrzał szybko w bok, na szczęście Ewa, nie mogąc ich dłużej słuchać, wyszła do łazienki. - Nie ma cudów!

Usłyszeli nagle dźwięk trzaskających drzwi, a po chwili w salonie pojawiła się wysoka, szczupła kobieta po pięćdziesiątce, której twarz okalały gęste loki o barwie

czystej miedzi. Trzymała w rękach kilka opakowanych w folię przedmiotów. Za nią po chwili do pokoju weszła milcząca Ewa.

- Cześć, Gosia. - Krugły wstał.

- Cześć! - Obrzuciła ich ciekawskim spojrzeniem.

Michalczyk lekko skulił się na kanapie. Pewnych odruchów nie da się opanować.

- Nie pytaj, proszę. - Krugły posłał Gosi swój uwodzicielski uśmiech. - To jest... Michał - wskazał Michalczyka - a to Małgosia. Michał wpadł w małe kłopoty. Nic wielkiego, ale potrzebujemy analizy. Pilnie. Załatwisz nam?

Spojrzała na Krugłego lekko rozbawionym wzrokiem.

- A nie mógłbyś zadzwonić po kolegów z drogówki, żeby wam podrzucili alkomat? No, chyba że chcecie coś przed nimi ukryć?

- Nie. - Krugły uśmiechnął się lekko. - Nie chodzi o to, chodzi o coś zupełnie innego. Załatwisz? - powtórzył.

- Dla ciebie, złotko, zawsze. Szukacie czegoś konkretnego?

- W zasadzie tak. Czegoś, czego nie powinno tam być.

Sprawnie przygotowała igłę i fiolki na krew. Obejrzała Michalczykowi zgięcia ramion, poklepała skórę i po chwili zawiązała stazę na jego lewym bicepsie.

- Chyba nie boisz się igieł ani widoku krwi, co? Nie zemdlejesz mi tu? - spytała Michalczyka, mrużąc oko.

- Widział pewnie w życiu więcej krwi niż ty - rzucił Krugły.

Michalczyk zarzął krótkim, nerwowym śmiechem i odwrócił głowę. Ewa zadrżała lekko i podeszła do okna. Miała dość krwi; jej widoku i słuchania o niej. Gdy Gosia skończyła, położyła na miejscu wklucia gazik, a na nim przycisnęła mocno palec wskazujący Michalczyka. Potem podała mu pojemnik na próbkę moczu w jałowym opakowaniu, mówiąc:

- Pierwszy sik do muszli, potem do środka. Do połowy poproszę. I postaraj się nie dotknąć ścianek pojemnika.

- To jak mam to zrobić? - zdziwił się Michalczyk. - Postawić na parapecie i trafić szerokim łukiem?

Gosia parsknęła śmiechem.

- Narzędem nie dotknąć wewnątrz!

Michalczyk odczekał, aż krew przestanie sączyć się z nakłucia, a potem powędrował do łazienki. Wrócił po dziesięciu minutach, wstydliwie kryjąc pojemnik w dłoni.

- Nie da się tak na rozkaz - burknął, widząc ich lekko rozbawione spojrzenia.

Gosia zabrała wszystkie pojemniczki, obiecując Krugłemu zawieźć je zaraz do laboratorium w szpitalu, gdzie pracowała. Wyniki miały być za kilka, kilkanaście godzin. Kiedy wyszła, Michalczyk zapytał Krugłego zdziwiony.

- Masz pod ręką takie rzeczy? Ot tak, na zawołanie? Też bym tak chciał...

- No, toż masz!

- O Jezu, nie w tym sensie...

- Małgosia jest przełożoną pielęgniarek na nefrologii w klinice na Pomorzanach. To podobno normalne, że

większość lekarzy i pielęgniarek ma w domu takie rzeczy jak to, czego przed chwilą użyła.

- I tak pojedzie, w niedzielę, bez problemu? I zrobią jej te badania?

Krugły uśmiechnął się.

- Pojedzie. I zrobią.

- Można jej ufać?

- Można. Ale przecież nic o tobie nie wie, to czego się boisz? Nie martw się, ma u mnie coś w rodzaju długu.

- Co ty, bawisz się w lichwiarza?

- Wracalem kiedyś z roboty i w bramie zobaczyłem jej syna, który wręczał swojemu koledze jakieś zawiniątko. Jak mnie zauważył, to tak się wystraszył, że wypuścił je z ręki. A to był napakowany ziołem skręt. Wziąłem go do siebie, Marcina znaczy, a nie skręta... no, skręta też, wiadomo... i grzecznie poprosiłem o wyjaśnienia. Wyplakał mi wszystko w rękaw, że to pierwszy raz, że potrzebował forsy, że kumpel go namówił, żeby sprzedał na dzielnicy parę sztuk, ale że tylko miękkie... Opierdoliłem go jak burą sukę, zaprowadziłem do matki i wymogłem na nim obietnicę, że to się więcej nie powtórzy. W swej niezmiętej łaskawości darowałem mu winy, przestrzegając przy okazji, że jeśli go przyłapię z czymś takim, to nie kiwnę w jego sprawie palcem i jeszcze dodam tę marychę. Znam go, odkąd skończył pięć lat, to naprawdę porządny chłopak. Opamiętał się na szczęście... Małgosia jest przekonana, że uratowałem go od stoczenia się.

- Ależ ty jesteś Wujek Dobra Rada. - Wyglądało na to, że Michalczykowi powoli wraca humor.

- Staram się. Szkoda by było chłopaka.

- No dobrze. - Michalczyk westchnął. - Słuchaj... mama i Mikołaj są u ciotki. Zdażyłem do nich rano zadzwonić i powiedzieć, żeby nie wierzyli w nic, co o mnie usłyszą. Jeszcze nie. Muszę się z nimi jakoś skontaktować. Zadzwoń z twojego telefonu, co? Mój został w domu.

- Nie. Nie teraz. Nie stąd i nie z naszych telefonów. Będą sprawdzać twoją mamę, billingi pewnie też. Jak znajdą w nich mój numer, to co sobie pomyślą? Jak odkryją, że u nas byłeś, to mam przesrane, a twoja dalsza ucieczka przed wymiarem sprawiedliwości stanie pod znakiem zapytania. Dasz mi numer, załatwię to potem.

- Czy to znaczy, że podjąłeś już decyzję? Że będę mógł zostać na jakiś czas?

Krugły spojrzał w stronę drzwi. Ewa była gdzieś w mieszkaniu, pewnie w sypialni albo w łazience.

- To moja decyzja. Będę jeszcze musiał porozmawiać z Ewą, więc musisz dać mi trochę czasu, aż ją przekonam.

- Rozumiem. Naprawdę. Zdaję sobie sprawę, że się mnie boi. Ja boję się siebie jeszcze bardziej, wiesz? Jakby co, mówiłem poważnie: nie będę miał do was żalu.

- Nie myśl już o tym. Przyzwyczajaj się do tego pokoju. Trochę tu posiedzisz.

- Naprawdę chcesz dla mnie tak ryzykować? Co ty, pedał? - zapytał Michalczyk, mrużąc oczy i naśladowując głos „Nowego” z Psów.

Krugły podjął konwencję.

- Nie. - Uśmiechnął się pokrępiąco. - Kolega.

\* \* \*

W południe zadzwonił telefon Krugłego. Spojrzał na wyświetlacz, a potem na Ewę i Michalczyka.

- Bądźcie teraz cicho, choćby nie wiem co - polecił im i odebrał, przełączając od razu na tryb głośnomówiący.

Dzwonił Jarek Berdak i Krugły domyślał się dlaczego.

- Cześć, szefie! - Głos Jarka nie był za wesoły.

- Cześć, Jarecki - odpowiedział mu.

Jego głos brzmiał obojętnie, choć bez przesady. Zbyt obojętny ton mógłby być za bardzo podejrzany. Mimo wszystko każdy by się zdziwił, czego w niedzielę chce od niego ktoś z pracy.

- Dzwonię do ciebie, bo ten twój kolega, prokurator... Michalczyk...

- No, co z nim?

- Głupia sprawa, słuchaj... Wiem, że go lubisz, Robert, ale wygląda na to, że mocno narozrabiał.

- Wsiadł po pijaku za kółko i rozbił auto?

- Żeby to było tylko coś takiego! Otóż pan prokurator Mateusz Michalczyk dzisiaj w nocy - a ściśle, około pierwszej - zaszlachtował w swoim mieszkaniu dziwkę.

Krugły zobaczył, jak twarz Michalczyka się wydłuża.

- Jak to zaszlachtował? - zapytał Berdaka. - Czym?

- Wygląda, jakby użył maczety albo dwuręcznego katowskiego miecza, ale raczej był to kuchenny nóż. Sporych rozmiarów. Leżał na łóżku obok niej. Masakra, mówię ci.

- Skąd wiadomo, że to prostytutka? W dowodzie miała napisane?

- W dowodzie miała napisane Renata Garlicka. Zameldowana w Szczecinie przy Rostworowskiego. A pod łóżkiem leżała jej torebka. Porządne dziewczyny nie noszą w nich kilkunastu prezerwatyw, żelu intymnego, nawilżanych chusteczek i trzech par majtek.

- Dzisiejsza młodzież jest bardziej swobodna niż za naszych czasów, Jarecki.

- Ona nie jest młoda. Ma... Miała czterdzieści jeden lat.  
- Berdak zamilkł nagle, a Krugły niemal usłyszał trybiki pracujące w jego głowie. - Sorry, szefie - dodał Jarek, kiedy uświadomił sobie, ile lat ma Krugły.

Michalczyk patrzył na Krugłego okrągłymi ze zdumienia oczami. Widać było, że te nowe szczegóły brzmiały dla niego co najmniej fantastycznie. On i czterdziestoletnia prostytutka? Gdyby nie okoliczności, pewnie parsknąłby śmiechem. Krugły skupił się na rozmowie z Berdakiem.

- Nie przejmuj się, nie czuję się staro. Wyobraź sobie, że wkroczyłem w tę smugę cienia z podniesionym czołem. Skąd wiadomo, że to on zabił?

- Zadzwoił na policję, że w jego łóżku leżą zwłoki kobiety. A kiedy przyjechał patrol, to już go nie było. Sąsiad, który rano wychodził z psem, widział go, jak wsiada do taksówki. To była taryfa z korporacji, więc nie kosztowało nas wiele trudu, żeby ustalić, dokąd pojechał.

- A dokąd pojechał?

- A na dworzec! - W głosie Berdaka słychać było triumfalną nutę. - Ustalamy, co zrobił dalej. Pewnie kupił



bilet na pociąg i dał dyla w Polskę. Albo do Niemiec, bo w tamtym kierunku odjechały już dwa pociągi: do Angermünde i Pasewalku. Może być już w Berlinie czy gdziekolwiek indziej. Już zaczęliśmy go szukać, a jutro z samego rana oficjalnie ruszy machina. Z immunitetem Michalczyka nie powinno być problemu: jego przełożony już wie i jest całą sytuacją zbulwersowany, od jutra zacznie załatwiać sprawę w sądzie dyscyplinarnym. Jak to krzyczał Tommy Lee Jones? „Mamy zbiega!” – Roześmiał się.

- Okej, Jarek, ale wciąż nie odpowiedziałeś mi na pytanie, skąd wiadomo, że to Michalczyk zabił.

- Robert, jaja sobie robisz? Tak zachowuje się niewinna osoba?

- Harrison Ford też był niewinny, przypominam ci, a jednak uciekał.

- Jaki tam z niego Harrison Ford? Wpadnie za dwa, góra trzy dni, zobaczysz.

Krugły ponownie spojrzął na wciśniętego w kanapę Michalczyka i zobaczył, jak z rezygnacją i obojętnością wzrusza ramionami.

- Skąd wiadomo, że zabił ją akurat o pierwszej? - zapytał Berdaka, ponieważ uswiadamiając sobie naiwność pytania. Ale w końcu była niedziela rano.

- Lekarz tak podał. - W głosie Berdaka usłyszał nutę lekkiego zdziwienia. - W przybliżeniu, oczywiście, a inny sąsiad z dołu, spod Michalczyka, twierdzi, że o pierwszej z minutami usłyszał huk, jakby piętro wyżej coś ciężkiego upadło na podłogę.

- Taki dokładny jest?

- Twierdzi, że na dwojce akurat skończył się film, który oglądał. *Nagi instynkt 2*. W programie telewizyjnym stoi, że następny film zaczynał się właśnie pięć po pierwszej.

- Już zdążyłeś to sprawdzić?

- Mam w telefonie Internet. Świat pędzi do przodu, Robert!

Krugły westchnął.

- Dobra, Jarecki, informuj mnie.

Po drugiej stronie zapadła chwila ciszy.

- Wiesz, że nie dostaniesz tego śledztwa? - zapytał Berdak. - Ze względu na dość bliską znajomość z nim. Sorry, podlegasz wyłączeniu z urzędu, Biniek nie pójdzie na taki numer.

- Wiem. Dlatego informuj mnie nieoficjalnie, okej? Słuchaj, co w tej sprawie śpiewają ptaszki w komendzie, a potem mi przekazuj. Jeśli mogę cię prosić, oczywiście...

Słyszał, jak Berdak głośno wciąga nosem powietrze.

- Nie dzwonił do ciebie dzisiaj? - zapytał Krugłego po chwili.

- Kto? - Krugły konsekwentnie palił głupa, postarał się nawet, żeby zdziwienie w jego głosie zabrzmiało naprawdę autentycznie.

- No kto? Michalczyk!

- Dlaczego miałby dzwonić?

- Na przykład, żeby poszukać pomocy?

- Jarek, znam się z nim tak naprawdę tylko zawodowo. Podejrzewam, że ma co najmniej kilku znajomych, z którymi jest... zżyty o wiele bardziej. Do nich uderzaj. Może spróbuj z jego prawnikiem, o ile go miał.

- Jasne. Słyszałeś, żeby dziesięć lat temu ktoś miał swojego prawnika?

- Ja miałem.

- Co!?

- Ojca. Mój ojciec był z wykształcenia prawnikiem. - Potarł powiekę. - Dobra, Jarek, bo mi jajecznicza stygnie...

- Spoko, szefie. Miłej niedzieli. Wybacz, że ci ją trochę zepsułem.

- Nie przejmuj się. Na razie.

- Na razie.

Krugły odłożył telefon i przeczesał dłonią włosy, zastanawiając się, co powiedzieć. Umyślnie włączył tryb głośnomówiący. Spodziewał się, o czym będzie mówił Jarek, i chciał zobaczyć reakcję Mateusza. Wyglądała na autentyczną. Była autentyczna.

- Co mogę powiedzieć? - rzucił zszokowany Michalczyk. - Sam nie wierzę w to, co słyszałem.

Utkwił wzrok w ścianie i milczał, przetrawiając w myślach rewelacje Berdaka. Krugły i Ewa również milczeli. Nagle Michalczyk westchnął głośno.

- Berdak, czy ktoś inny, kto poprowadzi śledztwo, nie będzie miał zbyt wiele roboty z przesłuchiwaniami moich znajomych - powiedział, uśmiechając się trochę smutno. - Nie ma na tym świecie wielu osób, z którymi jestem zżyty. W końcu przyjdzie jednak do was. I to niedługo.

- Pewnie nie będzie mnie w domu. Zresztą mogę załatwić to w pracy, no nie?

Michalczyk opadł na kanapę.

- Słuchajcie, mam prośbę. Czy mógłbym się trochę zdrzemnąć? Jestem wykończony.

- Jasne, nie krępuj się. Dam ci koc.

Po chwili Krugły z Ewą zamknęli drzwi do dużego pokoju i poszli do sypialni.

- Nie wiem, co mam myśleć, Robert. - Usiedli na łóżku, Ewa wzięła na kolana kota. - Jestem totalnie rozdarta. Owszem, nie wierzę, że mógłby to zrobić, ale sam wiesz...

- Wiem - przyznał z ociąganiem.

- Tak jak mi obiecałeś, co? - Popatrzyła mu w oczy i skinęła głową w stronę pokoju, w którym wyczerpany przeżyciami Michalczyk właśnie zasypiał. - Jak najkrócej?

Krugły spojrział w bok, a potem w okno.

- Jak tylko się da - obiecał i pocałował ją w czubek nosa.

\* \* \*

Po południu do Krugłego zadzwoniła Małgosia.

- Twojego znajomego nic nie boli? - zapytała bez zbędnych wstępów.

- Dusza, bo chłopak ma trochę werterychny charakter - odpowiedział ostrożnie Krugły. - A co jeszcze mogłoby go boleć?

- Zamień „sz” na „p” - zasugerowała.

- Dlaczego akurat... to?

- Bo zwykle środek, który miał we krwi, podaje się w celu dokonania nieautoryzowanej penetracji pewnego otworu w ciele kobiety. A ponieważ on go nie ma, bo nie

jest kobietą, zostaje mu ten drugi. Flunitrazepam – mówi ci to coś?

- Tak brzmi łacińska nazwa tego otworu? Nie wiedziałem.

Roześmiała się swoim perlistym śmiechem.

- Nie, to nazwa substancji.

- Szczerze mówiąc, spodziewałem się czegoś innego.

- A czego?

- GHB? – ni to zapytał, ni stwierdził.

- Widzę, że jesteś w temacie. Przynajmniej trochę. GHB to faktycznie składnik pigułki gwałtu. Ale flunitrazepam też bywa stosowany w tym celu. O ile GHB dużo trudniej wykryć we krwi, bo jest metabolizowany do dwutlenku węgla i wody, o tyle z tym drugim specyfikiem sprawa jest łatwiejsza. Ma dłuższy okres półtrwania. Twój kolega miał we krwi ślady właśnie tego psychotropu. Tylko że w Polsce preparatów zawierających flunitrazepam nie stosuje się od ładnych paru lat. To jedyna podejrzana rzecz, jaką znaleziono w jego krwi. Alkoholu miał tylko dwie dziesiąte promila. Reszta wyników w porządku; trochę mało żelaza, poza tym zdrów jak koń. To co, boli go?

- Nie zgłaszał żadnych dolegliwości w tamtych partiach ciała, ale mimo wszystko, można powiedzieć, że ktoś go wykorzystał... Bardzo ci dziękuję, Małgosiu.

- Nie ma sprawy. – W gardle znów zagrzechotał jej śmiech. – Wiesz, że możesz mnie prosić o wiele?

- Wiem. – Też się roześmiał. – Ale obiecuję, że nie będę tego nadużywał. Aha, jeszcze jedno: nie wiesz może, czy gdy się jest pod wpływem takiego środka, możliwe są

jakieś dziwne zachowania? Mam na myśli przyływ mocy czy coś takiego.

- Jak na przykład po anielskim pyle?

- Mniej więcej.

- W jego przypadku raczej o tym zapomnij. Po dawce, jaką dostał, w dodatku w połączeniu z alkoholem, musiał leżeć jak mokra ściera. I tak zaskakująco nieźle wyglądał. Niech się cieszy, że nic mu nie jest. Poważnie!

- W porządku. Jeszcze raz dzięki, Gosia. Pa.

Krugły odłożył telefon i przeszedł do dużego pokoju. Mateusz i Ewa siedzieli na kanapie, każde na swoim skraju, i oglądali „Teleexpress”. Usiadł między nimi, wziął ze stolika pilota i wyłączył dźwięk.

- Gratuluję, panie prokuratorze.

- Czego, panie komisarzu?

- Szanse, że to ty zabiłeś tę kobietę, właśnie zmalowały niemal do zera.

- Niemal?

- Och, zawsze trzeba brać pod uwagę jakieś anomalie. Teoretycznie, możesz być przypadkiem, który zadziwiłby medyków. Jak ten człowiek, który nigdy nie zaraził się HIV-em i nikt nie wie dlaczego.

- Ja też się nigdy nie zaraziłem.

- A utrzymujesz kontakty seksualne z przedstawicielami obu płci, w tym z osobami zakażonymi?

- Ja!? Co ty mówisz?

- No widzisz. A on tak robił.

- Nie chcę znać więcej szczegółów, dobra? -  
Michalczyk się wzdrygnął. - A jeśli jestem normalny?

- To nie było szans, żebyś mógł ją zabić. Nawet twoja wersja o ocknięciu się w czasie, gdy obrabiała ci mieszkanie, wydaje się niemożliwa. Nie byłbyś w stanie się podnieść. Ktoś poczęstował cię pewnym świństwem. Dużą dawką leku psychotropowego, używanego również jako pigułka gwałtu.

- GHB?

- Nie. Flunitrazepamem. Podobno niedostępnym w Polsce.

- Więc jestem niewinny?

- Chyba że sam sobie to wsypałeś i załatwiłeś ją, zanim środek zaczął działać. Albo zażyłeś go po wszystkim.

- Proszę cię, nawet trawy nigdy nie zajaralem... -  
Mateusz spojrział na Krugłego ze zgorzeniem i zmarszczył brwi. - Słuchaj, te wyniki... Nie poszły oczywiście na moje nazwisko? - zapytał.

W oczach Krugłego błysnęło politowanie.

- Nie. Chyba się nie dziwisz?

- W sumie, nie... Kurwa, teraz to już przepadło. Wiesz... - Michalczyk spojrział Krugłemu w twarz - ... chodzi o dowód.

- Wiem, ale nic z tego. Poza tym takie badanie z próbek pobranych w warunkach domowych to żaden dowód dla prokuratury. Kto im zagwarantuje, że były pobrane od ciebie? To jest wiadomość tylko dla nas. Potwierdzenie naszych podejrzeń... - Zerknął na Ewę. - Możesz być już spokojna.

Ewa spojrzała na Krugłego z wyrzutem i trzepnęła go otwartą dłonią w kolano.

- Mój ojciec nazywał to radziecką szkołą dyplomacji, wiesz, głąbie?

Michalczyk roześmiał się.

- Daj spokój, Ewcia. Nie jestem debilem. Myślisz, że nie rozumiem twoich obaw?

- Przepraszam, Mateusz.

- Nie, no przestań... Nie przepraszaj. Nie masz za co. To ja was powinienem...

- Ty też daj już spokój, co? - Krugły wstał z kanapy. - Musimy się zastanowić, co dalej. Pomieszkasz u nas... Tak, Ewa?

Skinęła głową, z lekkim wahaniem. Michalczyk się wyprostował.

- Słuchajcie, mam odłożone kilka tysięcy, za wszystko wam zwrócę...

- Mateusz, to jest teraz nieważne. Zostaniesz tutaj, ale musisz przestrzegać kilku reguł. Masz być niewidzialny, ma cię nie być słychać ani czuć...

- Czyli pozwolicie mi korzystać z prysznicza?

- Nie o tym mówię. Po prostu nie chciałbym, żeby na klatkę schodową wydostawał się aromat kawy, kiedy my z Ewą będziemy w pracy. Wiesz, jacy są sąsiedzi, prawda? Wszędzie tacy sami - podejrzliwi i wścibscy. Mam ściemniać, że moja ciotka przyjechała?

- Nie przesadzasz, Robert? - zapytała Ewa.

- Nie. - Spojrzał na nią poważnie. - Absolutnie nie. Wiecie, jaka jest stawka, prawda?



- Dobra. - Michalczyk westchnął, opadając z powrotem na oparcie kanapy. - Jak długo to potrwa?

- A skąd mam wiedzieć? - odpowiedział pytaniem Krugły. - Ale nie o to chodzi, żeby nic nie robić. Berdak będzie mnie informował o postępach śledztwa. Mam nadzieję, że ktoś porządnie się nim zajmie. Ja ze swojej strony też będę węszył. Dyskretnie i nieoficjalnie. Coś musimy znaleźć. A ty, Mateusz, myśl!

- O czym?

- O tym, komu mogłoby zależeć, żeby tak cię zrobić. Zemsta? Zlecenie jakiegoś bandyty? Zdarzały się już groźby, również zlecenia na prokuratorów... Rzadko, bo rzadko, ale się zdarzały. Ale to, co spotkało ciebie, wymyka się wszelkim schematom. To nie jakieś mafijne porachunki, to raczej robota psychola. Pełnego inwencji, ale pozbawionego zdrowego rozsądku. Tak mi to wygląda.

Michalczyk pokręcił głową.

- To niekoniecznie musi być związane z moją pracą. Pamiętacie Koślina? Co Ewa miała z nim wspólnego? A jednak. Może ktoś po prostu chowa do mnie jakąś osobistą urazę i próbuje się zemścić? A moje sprawy w prokuraturze? Odkąd przeszedłem do rejonowej dwa lata temu, nie miałem tak naprawdę niczego grubego. Chyba moi szefowie uważają, że się już dość wykazałem w okręgowce. Gdybym te sprawy, które prowadziłem, nazwał błahymi, tobym oczywiście przesadził. Mam na myśli, że nie były i nie są tak poważne i medialne, jak tamta z Koślinem. Kto miałby mnie zrobić? Facet, który zabił po pijaku dziewczynę na pasach? Domorośli

mechanik, który w garażu podrabiał pięcioletówki? Czy koleś, który przemycał Pakistańczyków do Niemiec?

- Potrącenie na pasach to, moim zdaniem, medialna sprawa - rzucił Krugły. - Zwłaszcza ostatnio. A ten przemyt? To już coś. Rozbiliście siatkę?

Michalczyk prychnął.

- To płotka, w dodatku niezbyt rozgarnięta, podobnie jak tamci biedacy, których przemycał. I nie było żadnej siatki. Facet mieszkał w Buku przy granicy, miał pole tuż obok tego małego przejścia do Blankensee. Przypadkiem poznał Pakistańczyka, który chciał się przedostać do raję, z rodziną w dodatku. To ich przeprowadził w nocy. Zgubił jednego po drodze, a potem złapali go razem z tymi Azjatami, już po niemieckiej stronie. Tamtych deportowali do ojczyzny, a on siedzi za przemyt ludzi i nieumyślne spowodowanie śmierci, bo ten biedaczyna, co się zgubił, zamarzył. Nic z tego, Robert. - Spojrzał na Krugłego i korzystając z tego, że Ewa wyszła z pokoju, zapytał szybko:

- Zdasz sobie sprawę, że mimo wszystko istnieje ryzyko, że jednak jestem tym dziwnym przypadkiem? I że mimo końskiej dawki mogłem się obudzić i... ją załatwić?

- Owszem, zdaję - odparł Krugły beztręsko. - Ale wezmę to ryzyko na siebie.

- A Ewa?

- Ewa nie zdaje sobie sprawy. I zostawmy to tak. Jak obudzę się w nocy i zobaczę cię stojącego przy naszym łóżku z nożem w ręku, to wtedy zweryfikuję swój pogląd na tę sprawę. A na razie może skończymy już wałkować ten temat?

- Okej. A jakby co: sypiasz z bronią pod poduszką?

- Nie przeginaj, bo zacznę...

Ewa weszła do pokoju z kawą dla Mateusza, więc Krugły szybko zmienił temat.

- Wróćmy do twojej niewidzialności. Mówiłem serio: żadnego chodzenia po domu w dzień. Mamy tu stu pięćdziesięcioletnie, drewniane stropy. W niektórych miejscach skrzypią tak, że nawet chomik się bezgłośnie nie przemknie. Kwestię otwierania drzwi komukolwiek pominę jako oczywistą. Rolety w oknach mają być cały czas opuszczone. Masz kanapę, komputer z Internetem i telewizor. I słuchawki. Oraz prowiant i butelkę z wodą. Te osiem, a w zasadzie dziewięć godzin, kiedy Ewy nie ma, spędzasz na tej oto kanapie...

- Robert - jęknęła Ewa. - Przecież to niemożliwe. Do butelki ma sikać?

- Właśnie, a co z „dwójką”? - zapytał Michalczyk, podnosząc rękę. - Sorry, Ewcia.

Krugły przeczesał włosy, rozglądając się po pokoju.

- Dobra... Poczekajcie.

Poszedł do szafki w korytarzu, w której trzymał różne rupiecie i po chwili wrócił z papierową taśmą malarską.

- Przejdź się teraz po pokoju, tak jakbyś miał - powiedział do Mateusza.

- To znaczy?

- Tam i z powrotem, omijając meble. Zaczynasz przy tej ścianie. - Wskazał za jego plecy. - Po każdym nawrocie przesuwasz się o pół metra w stronę okien.

- A po co?

Krugły westchnął.

- Chcesz wstrzymywać przez cały dzień?

- Nie.

- No. To proszę bardzo. - Wskazał na wyłożoną panelami podłogę.

Michalczyk zrobił w końcu to, o co prosił Krugły. Ewa ze zdumieniem wpatrywała się w Roberta, jak idzie za nim schylony i przykleja kawałki taśmy w miejscach, które wydają głośnie skrzypienie.

- Całe mieszkanie tak oblecimy? - zapytał ucieszony Michalczyk.

- Nie, nie ma takiej potrzeby. Pokój ma pięć na pięć, więc legary i deski są długie i wysłużone. W korytarzu jest betonowa wylewka, kuchnia ma dużo mniejszą rozpiętość, deski są tam w o wiele lepszym stanie, no i tam też jest wylewka i płytki. - Krugły wskazał na krzyżyki na podłodze. - Unikasz tych miejsc, idąc do kuchni czy toalety. Jakby co, zwali się na koty. Sąsiadka z dołu mówiła, że jak nas nie ma, to czasem się ze sobą tłuką i robią przy tym taki łomot, jakby gonił je dzik. Albo one goniły jego.

- Myślałem, że skoro te dwa sierściuchy mieszkają razem, to się lubią?

- Masz brata?

- Nie.

- A ja mam. Jak byliśmy dziećmi, też mieszkaliśmy pod jednym dachem i mimo że się lubiliśmy, to nie przeszkadzało nam się tłuc.

- To miło. - Michalczyk wskazał na znaki. - Pomyślałbyś, jakie głupie rzeczy trzeba robić, żeby się skutecznie ukrywać? W filmach inaczej to wygląda...

- Do tej pory jakoś nie musiałem o tym myśleć. - Krugły się roześmiał. - A jakby tak wyglądało w filmach ukrywanie się, to nikt by ich nie oglądał.

- Słusznie. - Michalczyk sposepniał i spojrział na nich. - No dobra. Mam tylko nadzieję, że nie znienawidzicie mnie po kilku dniach. Że nie zacznę was denerwować samą swoją obecnością.

- Powiemy ci o tym, jakby co - przerwał mu Krugły. - Tak lepiej?

- Tak jest. Tak będzie najlepiej. Prosto w oczy. - Jego twarz rozjaśniła się nagle w uśmiechu. - Mogę wam gotować obiady... A nie, nie. - Ramiona mu opadły w geście rezygnacji, uśmiech zamarł na ustach. - Nie mogę. Bycie uciekinierem to okropnie dołujące uczucie, wiecie?

## *Poniedziałek, 20 maja*

Późnym popołudniem Krugły pojechał do Kafe Tango.

Jagiellońska jak zwykle zastawiona była samochodami, wcisnął się więc w pierwsze wolne miejsce, które dawało szansę na zmieszczenie się choćby na styk. Po chwili zniknął w wysokim na dwie kondygnacje przejściu wyprutym w pierzei zwartej zabudowy i wyszedł po jego drugiej stronie na rozległy, zapełniony samochodami plac. Skręcił w prawo, pokonał kilka schodków prowadzących w stronę niepozornie wyglądającego wejścia do

szukującego się powoli na przyjęcie pierwszych gości klubu i otworzył drzwi. Dyskretnie mignął odznaką szatniarzowi i siedzącemu na hokerze bramkarzowi. Obaj, niemal identyczni, ogoleni na łyso i o zwodniczo niepozornym wyglądzie, obojętnie skinęli głowami, minął ich więc i wkroczył do lokalu. Panujący w nim półmrok i niski strop wywoływały w Krugłym uczucie lekkiej klaustrofobii. Podszedł do baru i zagadnął pierwszą z brzegu dziewczynę, ubraną w białą koszulę i króciuteńkie czarne szorty, obcisłe jak druga skóra.

- Mogę rozmawiać z szefem?

Barmanka nie obdarzyła go nawet cieniem uśmiechu. Jej dzień pracy dopiero się zaczynał, miał być wyczerpujący jak zwykle, zachowała więc profesjonalne uśmiechy na później. Na miły i spontaniczny nie miała widać ochoty.

- W jakiej sprawie?

Znów mignął odznaką, równie dyskretnie, jak przy wejściu. W środku było już trochę ludzi, a nie chciał wywoływać jakiegoś niezdrowego zainteresowania swoją osobą. Dziewczyna bez słowa wyszła zza baru, przeszła przez parkiet i zniknęła za drzwiami jakiegoś pomieszczenia. Kilkanaście sekund później pojawiła się z niskim, krocącym na szeroko rozstawionych nogach człowiekiem. Krugły pomyślał, że określenie „łyso jak kolano” w jego przypadku nie jest adekwatne; on na czubku swojego kolana miał więcej włosów niż tamten powyżej szyi. Nawet łuki brwiowe pozbawione były choćby jednego włoska. Ale facet miał ten typ urody, któremu brak włosów pasuje jak ulał.

Oboje podeszli do Krugłego i rozdzielili się; barmanka wróciła za kontuar, a mężczyzna spojrzał na komisarza z lekkim zdziwieniem.

- Zapraszam. - Wskazał drzwi, zza których przed chwilą wyszedł.

Kiedy znaleźli się za nimi, mężczyzna zamknął je i gestem zaprosił Krugłego do zajęcia miejsca na obitym czerwona skórą fotelu.

- Część lokalu dla klientów specjalnych - wyjaśnił, widząc, jak Krugły rozgląda się ciekawie dookoła.

Wystrój w zasadzie nie różnił się od pozostałej części tego przybytku, pokój miał swój bar i maleńki parkiet do tańca.

- Co sprowadza do nas stróża prawa? - zapytał menedżer. - O ile ta błyskotka, którą oczarował pan Ilonę, jest prawdziwa.

- Pan jest tu szefem? - Krugły wymigał się na razie od odpowiedzi.

Usadowił się wygodnie w fotelu i założył nogę na nogę. Nie wiedzieć dlaczego, nabrał nagle ochoty na cygaro. Dziwił się, że jeszcze nikt nie zaproponował mu drinka. Oczywiście musiałby odmówić, ale byłoby miło.

- Owszem, jestem szefem. To jak będzie z tą odznaką? Pokaże mi ją pan w końcu? I powie, o co chodzi?

- Nazywam się Robert Krugły, jestem oficerem Komendy Wojewódzkiej Policji w Szczecinie, a to moja legitymacja służbowa. - Pokazał ją mężczyźnie, trzymając na tyle blisko jego oczu, by ten mógł coś zobaczyć w skąpym świetle dyskretnych lampek.

- Rzechulak - mruknął tamten, czując się widać w obowiązku, by zrewanżować się Krugłemu tym samym.  
- Tak się składa, że też Robert.

- Okej. - Krugły uśmiechnął się. - W takim razie formalny wstęp mamy już za sobą. Bo w zasadzie przyszedłem do pana raczej... nieoficjalnie.

- Chce pan wynająć salkę dla kolegów? - zdziwił się Rzechulak, mimo że niejedno tu już widział i słyszał.

- Może kiedy indziej. Macie tu jakiś monitoring?

Krugły zdawał sobie sprawę, że tekstem o nieoficjalnej wizycie pogrzebał swoje szanse na sporą, wynikającą z charakteru jego profesji przewagę w rozmowie, którą zamierzał przeprowadzić. Z pewnych względów wołał jednak jej nie wykorzystywać, próbując raczej nawiązać z menedżerem mniej formalne relacje. Grożenie czy nadymanie się wbrew pozorom często nie działało zbyt skutecznie. Był w końcu w legalnym lokalu i rozmawiał z człowiekiem, który niczego złego nie zrobił. A przynajmniej Krugły nic o tym nie wiedział.

- Bo? - zapytał krótko Rzechulak, odprężając się nieco, kiedy zorientował się, że policjant przyszedł tak naprawdę z niczym.

- A macie?

- A chodzi o coś konkretnego?

Krugły postukał kolejno wszystkimi palcami po obiciu fotela i jeszcze raz rozejrzał się po ścianach. Wrócił spojrzeniem do menedżera i przybrał poważny wyraz twarzy.

- W sobotę w nocy w waszym lokalu przebywał pewien człowiek. Przyszedł sam. Po jakimś czasie



najprawdopodobniej ktoś się do niego dosiadł. Wyszli zapewne już razem. Chciałbym dowiedzieć się, z kim ów człowiek wyszedł i kiedy to dokładnie było.

- Rozumiem, że ma pan jakiś nakaz czy coś w tym rodzaju?

- Nie mam ani nakazu ani niczego w tym rodzaju - odparł Krugły z rozbrajającym uśmiechem.

Rzechulak rozłożył szeroko ręce i poczęstował Krugłego miną: „Przykro mi, nic nie możemy dla pana zrobić”.

- Przykro mi... - zaczął, ale Krugły nie dał mu dokończyć.

- Osobą, która podeszła do tego człowieka, była prawdopodobnie prostytutka. Zaczepiła go, a następnie wyspała mu do szklanki środek zwany potocznie pigułką gwałtu.

Rzechulakowi nieco zrzęda mina.

- Pan wybaczy, ale pana insynuacje są nie na miejscu - powiedział, krzywiąc się. - To porządny lokal. Tu nie ma prostytutek.

- Sprawdza pan świadectwa zatrudnienia wszystkim przychodzącym tu kobietom?

- Niech pan nie żartuje...

- Nie twierdzę, że w pana lokalu przebywają prostytutki, pełniąc tu dyżury i polując na klientów, w dodatku z pana przyzwoleniem. Nic mi o tym nie wiadomo ani nie zamierzam tego sprawdzać. Twierdzę, że bardzo prawdopodobne jest, że jedna odwiedziła Kafe Tango w sobotę wieczorem i przy okazji popełniła przestępstwo polegające na podaniu pewnej osobie bez jej

wiedzy środka psychotropowego. Zdaję sobie sprawę, jak to brzmi, ale nie chcę, żeby pan pomyślał, że winię za to pana czy obsługę lokalu. Teoretycznie to mogło się zdarzyć wszędzie. Znam prostytutki, które chodzą do muzeum, a nawet do kościoła, chociaż tam oczywiście niczego nikomu nie wsypują. Ale przypadkiem zdarzyło się to tutaj.

- A nawet jeśli?

Teraz Krugły musiał być ostrożny.

- Śledztwo prowadzone w tej sprawie jest z pewnych względów bardzo... dyskretne. Nie możemy w nim stosować wszystkich przysługujących nam z racji uprawnień metod, więc...

- Zaraz, zaraz... - Rzechulak odchylił się na fotelu, marszcząc brwi, których nie miał, i mierząc Krugłego nieco zdziwionym spojrzeniem. - Brzmi to, jakby się pan tłumaczył. To normalna praktyka, że policja nieoficjalnie prosi o dostęp do jakichś materiałów? Poza tym wszystko, o czym pan mówi, odbyło się według pana prawdopodobnie.

Krugły uśmiechnął się skromnie.

- Po to tu jestem, żeby „prawdopodobnie” zmieniło się w „na pewno”, bądź „z całą pewnością nie”. A jeśli chodzi o pana pytanie, cóż... Wie pan - jasne, że moglibyśmy wpaść tu z nakazem w dwudziestu chłopów, przetrzepać lokal, i tak dalej, ale wtedy o Kafe Tango dowiedziałaby się cała Polska. I to w niezbyt ciekawym kontekście. Wie pan, jak media potrafią rozdmuchać każdą pierdołę? Oni lubią takie policyjne akcje. Nie szkodzi, że nic z nich nie

wynika. Mają fajny materiał na dwa wieczory i to się dla nich liczy. Chciałby pan takiej reklamy?

- To jakaś groźba?

- Obawiałem się, że tak to pan odbierze. Nie, to nie groźba. To propozycja układu. Tak się składa, że sprawa rozbija się o kogoś ważnego, a my chcemy uniknąć rozgłosu, rozumie pan? Dlatego proszę pana o przysługę. Jasne, że ma pan prawo odmówić, ale wtedy będziemy zmuszeni załatwić to w inny sposób. Mamy jeden cel: odnaleźć kogoś, a środki, jakich do tego użyjemy, będą adekwatne do sytuacji. Nie da się tak, to da się inaczej.

Rzechulak milczał, żując z namysłem dolną wargę.

- Pan prowadzi to śledztwo? - zapytał po chwili.

- Śledztwo prowadzi wydział, w którym pracuję - odparł Krugły dyplomatycznie.

- Co to znaczy?

- Dokładnie to, co powiedziałem. Mnie tu nie ma, rozumiemy się?

Zapadła chwila kłopotliwego milczenia. Krugły zdał sobie sprawę, że nadszedł ten moment - wóz albo przewóz. Nagle Rzechulak wstał z fotela.

- Przysługa, mówisz pan? - zapytał. - No dobrze... Chodźmy, sprawdzimy, co się nagrało, chociaż przejrzenie tego pewnie potrwa trochę. - Przystanął na chwilę i spojrzał na Krugłego z namysłem. - Ale jak przysługa, to przysługa za przysługę. Co pan na to?

- Jeszcze nic. - Krugły postanowił być ostrożny. - A co chodzi?

- Może pan anulować komuś punkty karne?

Krugły prawie się roześmiał. Rzechulak naoglądał się chyba za dużo amerykańskich filmów.

- Zanim ja pomyślę, czy znam kogoś, kto może anulować, a pan, zanim pójdzie sprawdzić monitoring, najpierw zadam panu pytanie. - Wstał z kanapy. - Czy w sobotę na bramce siedzieli ci sami dwaj mili, łysi młodzieńcy, którzy są tam teraz?

- Tak się składa, że tak. Tomek i Robert.

- Robert? Może ja też się tu u was zatrudnię? - Krugły uniósł brwi, ale Rzechulak nie chwycił dowcipu, może dlatego, że był słaby.

Komisarz chciał jeszcze dorzucić, że żeby wtopić się w ich środowisko, dałby się nawet ogolić, ale koniec końców, dał spokój.

- Będą mogli z nami obejrzeć te filmiki? - zapytał zamiast tego.

- Tylko jeden. Ktoś musi pilnować interesu.

- Słusznie.

- Chodźmy na zaplecze - mruknął Rzechulak, otwierając przed Krugłym drzwi do sali.

Po drodze wyjął telefon, wybrał numer i rzucił cicho do słuchawki:

- Podejdź do mnie za chwilę, dobra?

Po chwili znaleźli się na zapleczu w ciasnym pokoiku bez okien, w którym stało małe biurczko, a na nim wielki laptop. Rzechulak usiadł przy nim, a Krugły stanął mu za plecami. Z tapety na monitorze patrzyły na niego wielkie oczy spoglądającej przez ramię Penelope Cruz, mającej na sobie wyłącznie okręconą na szyi apaszkę. Jasna skóra

nagich pleców kontrastowała z ciemną plamą burzy jej włosów. Piękny widok.

- Nie jest to zbyt wymyślny system ten nasz monitoring - wyjaśnił Rzechulak, oglądając się na Krugłego. - To tylko zabezpieczenie na wszelki wypadek, jakby coś się stało. Taki nasz dupochron. Kilka kamerek w newralgicznych punktach: bramka, sala, bar... Nagrania zapisują się w plikach na karcie pamięci. - Wskazał palcem brzeg karty, wystający z boku laptopa. - Pojemność jest spora, ale po jej przekroczeniu pliki się po prostu nadpisują. Czyli najstarsze są automatycznie kasowane. Jeśli coś się dzieje - jakaś bójka, kradzież czy coś takiego, zgrywamy zarejestrowany film na twardy dysk, zachowując go na wszelki wypadek.

- Rozumiem. A więc szansa, że na karcie są nagrania z soboty, jest raczej znikoma?

- Zaraz zobaczymy - mruknął Rzechulak, klikając przycisk myszy.

- Chodzi w przybliżeniu o czas, powiedzmy, między dwudziestą drugą a wpół do pierwszej.

Sytuacja wyjaśniła się kilka minut później.

- Przykro mi. Sobota jest tylko od pierwszej w nocy. Ale... Dobra, z kamery koło szatni, najstarszy plik ma godzinę zapisu sześć minut po północy. - Rzechulak spojrział na Krugłego. - Tam jest mniejsza rozdzielczość.

Krugły zmarszczył brwi. Niedobrze.

- Spróbujmy w takim razie, co? - poprosił. - Nie zajmie nam to dużo czasu...

Michalczyk pojawił się w szatni dwadzieścia dwie minuty po północy. Nie był sam. Pod ramię prowadziła go

jakaś kobieta, zapewne Garlicka. Prokurator wyglądał, jakby właśnie znajdował się w ostatniej fazie upojenia alkoholowego – tuż przed utratą świadomości. Para minęła dwóch bramkarzy, przyglądających im się obojętnie, i wyszła z lokalu. Gdy byli już na zewnątrz, Krugły zobaczył, jak za szybą drzwi wejściowych pojawia się niewyraźny zarys czyjejs sylwetki. Człowiek podszedł do Michalczyka i Garlickiej, chwycił prokuratora pod drugie ramię i założył je sobie na szyję. Po chwili cała trójka rozplynęła się w mroku. Rzechulak zamknął plik, a na monitorze znów pojawiła się Penelope Cruz, zasłonięta częściowo oknem z zawartością folderu.

- Wyśle mi pan to mailem? - zapytał Krugły, wskazując ikonkę.

Rzechulak skinął głową.

- Od razu? - zasugerował mu komisarz.

Podał Rzechulakowi adres prywatnej poczty. Kiedy ten kliknął „wyślij”, otworzyły się drzwi i do biura zajrzała łyśa czaszka.

- Zapraszam. - Krugły poczuł się gospodarzem. - Robert czy Tomek?

- Robert - mruknął przybysz.

- Super. - Krugły spojrzął na Rzechulaka. - Pan mu puści jeszcze raz ten film, dobra?

Rzechulak ponownie odtworzył fragment filmu z Michalczykiem w niechlubnej roli głównej.

- Kojarzysz może ten moment? - zapytał Krugły chłopaka.

Bramkarz spojrzął niepewnie na swojego szefa.

- Mów - rzucił Rzechulak, kiwając uspokajająco głową.  
Bramkarz roześmiał się.

- Jakby mnie pan zapytał, czy to pamiętam, zanim obejrzałem filmik, tobym powiedział, że za Chiny. A tak, to jakby mi się otworzyła jakaś klapka w głowie. - Zastanowił się nad czymś i wskazał po chwili monitor. - Ta ruda wychodziła ze dwa razy na fajkę. I raz rozmawiała przed lokalem z jakimś facetem, widziałem ich, jak też wyszedłem zajarać. To było tak z pół godziny przed jej wyjściem. Ale to nie był ten gość, z którym potem wyszła.

- Jak wyglądał? - zainteresował się Krugły. - Ten, z którym rozmawiała na zewnątrz?

- Normalnie. Średnio wysoki, krótko ostrzyżony, nijaki taki... To on tam majaczył za drzwiami. - Wskazał laptop.

- Dobra. - Krugły westchnął. - Na razie dziękuję. Jakby co, pozwolę sobie jeszcze do was wpaść.

W zamyśleniu odwrócił się gotów do wyjścia, kiedy zatrzymał go cichy okrzyk. Zatrzymał się w pół kroku.

- To jak będzie z tą przysługą, panie komisarzu?

Krugły spojrzał na niego ze zdziwieniem. Rzechulak rozłożył ręce, ramiona uniósł w geście lekkiej pretensji.

- No, pytam, co będzie z tymi punktami?

## *Wtorek, 21 maja*

To miał być spokojny dzień w pracy. Sprawy, które Krugły aktualnie prowadził, albo ślimaczyły się niemiłosiernie, dając mu chwilę wytchnienia, albo były na tyle ogarnięte, że nie musiał się za bardzo spinać. Kiedy przyszedł rano

do komendy, usiadł przy swoim biurku, wyciągnął z torby śniadanie i sprawdził pocztę. Gdy skończył, poszedł do pokoju, w którym urzędował Berdak. Chciał z nim pogadać i dowiedzieć się, co słyhać w sprawie Michalczyka.

- Cześć, Jarecki - przywitał się.

- Cześć, szefie. - W głosie Berdaka komisarz usłyszał lekkie rozbawienie, jakby Jarek doskonale wiedział, po co Krugły do niego wpadł.

I chyba nie było w tym nic dziwnego.

- Jak tam? - zapytał komisarz, siadając na wolnym krześle. - Machina ruszyła?

- A i owszem - potwierdził Berdak. - Z hukiem. Wczoraj poszła dyspozycja do komend wojewódzkich i powiatowych. Ci ze Współpracy Międzynarodowej mailują i wydzwanają do jednostek policji krajowej z Meklemburgii i Brandenburgii. Na wypadek gdyby Michalczyk wybrał wolność na Zachodzie - zażartował. - Przepytywani są konduktorzy wszystkich pociągów wyjeżdżających wczoraj ze Szczecina. W całej Polsce. Powiem ci, że aż zastanawia mnie entuzjazm, z jakim nasi koledzy rzucili się do roboty. Niby zrozumiałe, w końcu nie co dzień zdarza się pościg za prokuratorem mordercą, ale... Aż tak nie lubimy tych ponurych gryzipiórków?

Krugły uśmiechnął się pod nosem.

- Kto się tym zajmuje?

- U nas? Karol Lament.

- Chodzi mi o prokuraturę.

Cisza była dwuznaczna. Krugły domyślił się, jak brzmi odpowiedź, zanim padła z ust Berdaka.



- Świnka morska - potwierdził Jarek na wszelki wypadek.

- Kurwa.

- No...

- W sumie nie wiem, czy się cieszyć, czy płakać?

- To znaczy? - zapytał zdziwiony Berdak.

- Nie, nic. Nieważne.

- Nie rozumiem. Masz nadzieję, że jak zwykle coś spieprzy i Michalczyka nie złapią, czy jak?

- Nieważne, Jarek!

Znów chwila ciszy, tym razem okraszona znaczącym spojrzeniem rzuconym spod zmarszczonych brwi.

- Za gruba sprawa, żeby ją sobie pokpić, Robert - powiedział w końcu Berdak. - Złapią go, i to niedługo. To będzie obława jak na wampira z Zagłębia. Gadałem pół godziny temu z Karolem. Rozmawiał wczoraj z Ołdakowskim, jeśli chcesz wiedzieć. I powiem ci, że „świnka” chyba nie cierpi Michalczyka. Takie wrażenie odniósł Karol. W dodatku, jak twierdzi, to jego wrażenie graniczy z pewnością.

- Ołdakowski nikogo nie cierpi - przerwał Jarkowi Krugły.

- Niby racja. Podejrzewam, że złapanie go, i to jak najszybsze, postawi sobie za cel życia. - Berdak prychnął.

- Co mu strzeliło do łba? Mam na myśli Michalczyka. Po co to zrobił?

Krugły myślał, co ma odpowiedzieć, ale nic nie przyszło mu do głowy. Nagle poczuł wibracje telefonu. Wyciągnął go z kieszeni i spojrzął na wyświetlacz. Biniek.

- Dobra, Jarecki, lecę do siebie - powiedział, wstając z krzesła. - Naczelnik dzwoni. Później pogadamy. Na razie. I dzięki!

Berdak machnął ręką w geście pożegnania i odwrócił się do komputera. Krugły odebrał telefon i wyszedł na korytarz.

- Cześć, Robert. - Spokojny ton głosu inspektora kontrastował z rozemocjonowanym głosem Berdaka, wypowiadającego słowa z prędkością karabinu maszynowego, tak że aż się nimi zachłystywał. - Zbierz się do kupy i zejdź na dół, dobra?

- Dzień dobry, szefie. A co się stało? - zapytał Krugły wesoło, chociaż taki telefon, o takiej porze, nie wróżył raczej nic dobrego.

Skoro naczelnik łapał go na komórkę, a nie czekał, aż Krugły wróci do swojego pokoju, musiało się coś wydarzyć. Miał rację.

- Niecałą godzinę temu, na Kolumba, niedaleko dworca, dokonano napadu na furgonetkę rozwożącą pieniądze do bankomatów - powiedział Biniek. - Udanego napadu. Pieniądze zniknęły. W dodatku jeden z konwojentów został ranny. Postrzelono go.

Krugły westchnął cicho. Zawsze tak było. Ilekroć zakładał sobie, że spędzi dzień w pracy spokojnie, zatopiony we własnych myślach, okazywało się, że następował jakiś kataklizm. Wszystko się psuło, urywały się telefony, albo ktoś postanowił zrobić skok na bankowóz. Dobrze, że przynajmniej zdążył wypić herbatę.

- Pojedziesz z ekipą na miejsce - polecił Biniek. - Jak najszybciej. Schodź, bo już na ciebie czekają.

- Czemu taka nerwowa reakcja z naszej strony? Nie weźmie tego KMP?

Tym razem westchnął Biniek.

- Nie. Są, co prawda, już od jakiegoś czasu na miejscu, ale przejmujemy to.

- Zdradzi mi pan dlaczego?

- Wygląda na to, że sprawcami byli policjanci.

- Chyba pan żartuje, szefie? Może to po prostu zwykli przebierańcy?

- To możliwe. Mam wręcz głęboką nadzieję, że tak jest. Problem w tym, że poruszali się policyjnym samochodem... Tak przynajmniej twierdzą ci z agencji ochrony. A przeszkolony konwojent raczej nie pomyli radiowozu z autem oklejonym napisami POLICJA, zrobionymi z foliowych literek kupionych w sklepie papierniczym, prawda? Na razie nie będziemy w to włączać biura spraw wewnętrznych. Berdak pojedzie z wami, zaraz do niego przedzwonię.

- Akurat w tej chwili od niego wyszedłem, podejść i mu powiem - zaproponował Krugły.

- Dobrze. Wpadnij do mnie, jak wrócicie. Na razie.

- Na razie, szefie.

Krugły wrócił do pokoju Berdaka.

- Czego zapomniałeś? - zapytał Jarek.

- Policja, pan pójdzie z nami - rzucił Krugły.

Berdak odwrócił się od komputera, przewracając oczami.

- Co się, kuźwa, znowu stało?

- Na Kolumba obrobili bankowóz z forszą. Podobno nasi.

- Jak to nasi?

- Sprawcy poruszali się radiowozem. Jedziemy na miejsce.

Berdak wstał, zdjął kurtkę z oparcia krzesła i włożył ją z grymasem niechęci na twarzy.

- Chciałem trochę porządku w papierach zrobić - jęknął.

Krugły rozłożył tylko ręce w geście bezradności. Kiedy zeszli na dół na podwórze z tyłu komendy, okazało się, że wspomniana przez Bińka ekipa to w rzeczywistości jeden technik kryminalistyczny, Piotrek Bujko. Czekał na nich za kierownicą srebrnego służbowego opla. Przywitali się z nim i po chwili ruszyli w kierunku bramy. Wyjechali na Starzyńskiego, potem Piotrek skręcił w stronę Odry. Zjechali ślimakiem Komandorskiej z Wałów Chrobrego na bulwar i pognali wzdłuż rzeki. Trzy minuty później byli na miejscu. Korek zaczynał się właściwie już na początku Kolumba, przy małym rondzie pod wiaduktem, ale Piotrek wystawił koguta. Kierowcy wyczyniali cuda, żeby zrobić im miejsce na wąskiej jezdni.

Ulica Kolumba niewątpliwie ma swój klimat. Dla niektórych urzekający, dla innych podły - niezaprzeczalnie jednak jakiś ma. Zdewastowana zabudowa pomiędzy ulicą a Odrą nazywana jest czasem romantycznie szczecińską Wenecją. Jej podobieństwo do miejsca, od którego wzięła swą nazwę, wynika wyłącznie z faktu, iż ściany przemysłowych budynków zanurzone są w wodach rzeki, podobnie jak urocze, choć równie zaniedbane kamienice obmywane zielonymi wodami weneckich kanałów. I na tym wszelkie podobieństwa się kończą.

Na miejscu napadu ruchem kierowali funkcjonariusze drogówki. Ten fragment ulicy zacieniony był wysokimi budynkami, stojącymi tak blisko siebie po obu jej stronach, że miało się wrażenie utknięcia w czymś w rodzaju głębokiego wąwozu. Pas jezdni prowadzący w kierunku Pomorzán był wyłączony z ruchu, dwa radiowozy blokowały dostęp do miejsca, gdzie stał biały volkswagen transporter z logo firmy ochroniarskiej Alfa Secure. Kiedy Krugły z pozostałymi przybył na miejsce, zobaczył kilku policjantów, krążących wokół niego niczym mrówki krzątające się przy kawałku mięsa. Ci w białych czapkach nerwowymi ruchami rąk popędzali ciekawskich kierowców przejeżdżających samochodów, którzy zwalniali, żeby zobaczyć, co się stało. Krugły, wysiadając z opla, patrzył przez chwilę, jak mijają go w pozach i ze spojrzzeniami surykatek wyglądających ze swych nerek.

- Cześć. - Podszedł do nich jeden z policjantów w komendy miejskiej. - Zabieracie nam sprawę?

- Siła wyższa - mruknął Krugły, rozumiejąc trochę niezadowolenie kolegi po fachu.

Przywitali się z pozostałymi. Oprócz funkcjonariuszy komendy miejskiej na miejscu był też aspirant z pobliskiego komisariatu kolejowego.

- No to słucham. - Krugły uśmiechnął się do młodego podkomisarza, który był kierownikiem grupy operacyjno-procesowej.

Ten obejrzał się za siebie, zerkając na bankowóz, jakby chciał sobie przypomnieć, od czego zacząć.

- Rozwozili pieniądze do bankomatów. Załadowali ten na dworcu i jechali do następnego do centrum

handlowego na Mieszka. Nagle zatrzymał ich radiowóz. Kiedy dowódca konwoju wysiadł, jeden z tych ludzi z radiowozu przystawił mu do głowy broń, żądając wydania gotówki. Ci z konwoju próbowali coś kombinować, więc skurwiel strzelił jednemu w ramię. Oddali, co mieli, i tamci odjechali. To tak w skrócie.

- Pościg?

- Szeroko zakrojone działania blokadowe. Na wszystkich wylotówkach. Ale na razie nic z tego. Musieli się gdzieś schować, przecież nie będą uciekać radiowozem. Pewnie zmienili auto...

- No właśnie... To na pewno był radiowóz?

- Raczej tak. Konwojent przysięga, że był prawdziwy.

- Był tylko jeden konwojent oprócz dowódcy? - zdziwił się Krugły. - To ile było tych pieniędzy?

- Prawie dwa miliony.

- No, no... A gdzie on teraz jest?

Podkomisarz wskazał na policyjnego vana.

- Tam siedzi, dochodzi do siebie. Jest z nim jego szef - dyrektor tej firmy ochroniarskiej. Przyjechał, jak tylko dowiedział się o napadzie. Dowódcę i kasjera odwieziono do szpitala.

- Co się stało kasjerowi? - zapytał Berdak.

- Szok. To podobno spokojny facet, przez całe życie nie miał tyłu wrażeń, co dziś rano przez pięć minut. Dowódca ma szczęście, że żyje... A przynajmniej żył, jak go zabierali, i mam nadzieję, że to się nie zmieniło. Miał bardzo masywny krwotok, pocisk prawdopodobnie naruszył tętnicę ramienną.

- Chodźmy do tego konwojenta - zdecydował Krugły.

Podeszli do samochodu, podkomisarz odsunął boczne drzwi. W środku ujrzeli dwóch mężczyzn. Jeden z nich, młodszy, ubrany był na czarno. Siedział pochylony, opierając łokcie na szeroko rozstawionych nogach i nieobecny wzrokiem wpatrywał się w podłogę. Obok niego na siedzeniu leżał kevlarowy hełm i rękawiczki bez palców. Naprzeciwko siedział drugi, dużo starszy i siwowłosy. Był blady, nerwowo zaciskał dłonie, mocno splatając palce, aż białały w kostkach.

- Witam. - Krugły wsiadł do radiowozu, przedstawił się i zapytał młodszego mężczyznę: - Dobrze się czujesz?

Ochroniarz spojrzał na niego smętnie.

- A jak myślisz?

- Nie potrzebujesz lekarza?

Pokręcił głową.

- Dobra. - Krugły usiadł obok niego, Berdak z podkomisarzem zostali na zewnątrz, przysłuchując się przez otwarte drzwi. - Trzy szybkie pytania i wracasz do firmy. Później cię pomęczymy. Ilu ich było?

- Dwóch. Ten, który strzelał, i ten drugi w kominiarce, który zabrał worki z forszą...

- Panie komisarzu - przerwał nagle starszy. - W samochodzie był wideorejestратор.

- Pan jest dyrektorem firmy, tak? - zapytał go Krugły.

- Tak. Wojciech Rulewski, jestem właścicielem Alfa Secure. Czy zwolnią mnie panowie w końcu? Muszę jechać do szpitala!

- Za chwilę. Rozumiem, że troszczy się pan o swojego pracownika, ale i tak w niczym pan nie pomoże. Proszę zostawić to lekarzom. Musimy wyjaśnić kilka rzeczy jak najszybciej, to ma kluczowe znaczenie dla dalszego śledztwa.

- Pan nie rozumie. Dowódca konwoju to mój syn!

Krugły zamilkł i spojrzął na Berdaka. Pomyślał przez chwilę.

- Jeszcze kilkanaście minut i będzie pan mógł do niego jechać, obiecuję. Proszę tylko o to. Skoro jest rejestrator, to chodźmy po niego. Pojedziemy z nim do komisariatu kolejowego, może uda się obejrzeć nagranie u nich.

Przeszli do białego volkswagena i komisarz poprosił jednego z techników o wyciągnięcie karty pamięci z zamontowanej obok lusterka wstecznego małej kamery.

- W porządku. - Krugły zwrócił się do podkomisarza. - Dokończcie robotę. Piotrek, zostań z nimi, dobra? - Bujko skinął głową. - My z Jarkiem pojedziemy do kolejowego zobaczyć, czy coś jest na tej karcie. Panów również zapraszam. - Spojrzął na konwojenta i Rulewskiego, a widząc błagalny wzrok dyrektora, dodał: - Załatwimy to najszybciej, jak się da, obiecuję.

Wsiedli do opla, ruszyli z piskiem opon i jękiem syreny, a parę chwil później parkowali już przy budynku dworca głównego, w którym mieścił się komisariat kolejowy. Rulewski niemal jęknął, kiedy okazało się, że w żadnym z komputerów nie ma wejścia do karty microSD. Spodziewał się, że Krugły poleci mu zaraz, żeby pojechał razem z nim do komendy wojewódzkiej, mieli jednak szczęście. Jeden z funkcjonariuszy przyniósł dziś do pracy



prywatnego laptopa. Minutę później siedem stłoczonych przy biurku osób: Krugły, Berdak, Rulewski z pracownikiem oraz trzech policjantów, w milczeniu oglądało na jego ekranie to, co wydarzyło się niedawno kilkaset metrów dalej.

Obraz był bardzo wyraźny, kamera nagrywała w wysokiej rozdzielczości. Na monitorze widać było, jak samochód ochrony rusza spod dworca, przepuszcza odjeżdżający z przystanku autobus linii 75 i włącza się do ruchu. Rulewski komentował:

- Pomorski Bank Przemysłowo-Gospodarczy ma centralę w Gdańsku, obsługujemy go od niedawna. Mają w Szczecinie tylko osiem bankomatów, bo dopiero rozwijają się na Pomorzu Zachodnim. Pobraliśmy kasety z sortowni centrum gotówkowego, przewóz obejmował niecałe pięć jednostek obliczeniowych. W skrócie: jedna jednostka to studwudziestokrotność średniej pensji krajowej. Na dziś jedna jednostka to około czterystu trzydziestu tysięcy złotych, w kasetach było milion dziewięćset. Transport wartości pieniężnych do pięciu jednostek wymaga ochrony co najmniej jednego konwojenta i tak zwanego samochodu przystosowanego. Tym razem do konwoju przydzieliłem jeszcze Rafała, był kierowcą. - Wskazał swojego pracownika. - Mój syn był dowódcą. Oprócz nich był kasjer ze szczecińskiego oddziału PBPG...

Kiedy samochód ochrony minął pętlę autobusową sąsiadującą przez ogrodzenie z pierwszym peronem dworca, wszyscy usłyszeli dobiegający z głośników laptopa zdziwiony głos:

- A ten, kurwa, czego znowu chce? Bartek, zobacz...

- To mój głos - powiedział konwojent. - W lusterku zobaczyłem radiowóz. Jechał obok nas, nagle zamigał kogutami, jeden z tych gliniarzy machnął zza uchylonej szyby lizakiem. Teraz będzie mówił Bartek.

- *Faktycznie. Dobra, zwolnij i zjedź na bok przy tamtej kamienicy... Silnik włączony, wysiadasz ze mną, ale idziesz do tyłu, procedura jak zwykle. Panie Pawle!* - Głos dowódcy zabrzmiał mocniej. - *Spokojnie, mamy zatrzymanie przez policję, stajemy na chwilę!*

- Daj stop - poprosił nagle Krugły aspiranta, właściciela laptopa. Spojrzał na Rulewskiego. - Tak się robi? Nie mógł machnąć tą specjalną przepustką i jechać dalej?

- Ma pan na myśli przepustkę „W”? - zapytał dyrektor. - Nie mamy takiej. Wydaje ją komendant główny policji, powiem szczerze, że nie znam osobiście firmy, która by ją miała. Może w Warszawie? W razie kontroli przez policję lub inny upoważniony organ musimy się zatrzymać.

- W porządku, proszę dalej.

Aspirant kliknął „play”. Obraz ruszył i zaraz potem znieruchomiał, kiedy samochód się zatrzymał. Zobaczyli po chwili, jak policyjny radiowóz wymija go i staje kilka metrów przed nim. Usłyszeli podwójne trzaśnięcie drzwi i z lewej strony ekranu pojawiła się czarna postać.

- To Bartek - szepnął Rulewski.

Patrzyli, jak jego syn idzie w kierunku radiowozu, z którego wysiada jeden z policjantów. Przez chwilę na plecach czarnej koszulki mignął biały napis POLICJA. Kiedy obaj mężczyźni spotkali się przy radiowozie,

policjant uśmiechnął się szeroko, pokazując coś ręką wyciągniętą w stronę samochodu ochrony. Po chwili sytuacja zmieniła się diametralnie. Młody Rulewski obejrzał się za siebie i w tym samym momencie policjant doskoczył do niego, i objął go od tyłu za szyję. W jego dłoni pojawiła się broń, którą przystawił konwojentowi do głowy. Rulewski aż syknął z emocji. Usta człowieka z bronią poruszały się bezgłośnie, był za daleko, żeby mikrofon rejestratora mógł wychwycić jego głos. Nagle wszyscy usłyszeli nerwowy krzyk drugiego konwojenta:

*- Kurwa, napad! To napad! Kasjer, na podłogę! Kasjer na podłogę! Rzuć broń!!! Powtarzam, rzuć broń!*

Rafał wpatrywał się w ekran laptopa z otwartymi ustami. Zobaczył samego siebie, jak z wyciągniętym pistoletem, w postawie strzeleckiej, na ugiętych nogach wchodzi w kadr, krzycząc głośno i mierząc do napastnika.

*- Puść go!*

Usta człowieka ukrytego za dowódcą konwoju znów poruszyły się, uśmiech nie schodził z nich ani na moment, tylko broń zmieniła położenie. Lufa przytknięta była już nie do skroni dowódcy, tylko do jego ramienia.

*- Nie dostaniesz żadnych pieniędzy, kutasie! Puść go, mówię!*

W tym samym momencie lufa pistoletu napastnika lekko odsunęła się od ramienia Bartka. Wszyscy usłyszeli suchy trzask, a na twarzy dowódcy pojawił się wyraz bólu i szoku. Napastnik wciąż trzymał go mocno za szyję, nie pozwalając mu upaść, by nie stracić tarczy ochronnej, za którą się krył. Jego broń znów znalazła się przy głowie Bartka. Z radiowozu wysiadł drugi człowiek, ten miał na

twarzy kominiarkę, a w dłoni również pistolet. Podbiegł do samochodu ochrony i zniknął poza kadrem. Chwilę później nie było w nim już także Rafała. Przez następne pół minuty, długie jak wieczność, sytuacja prawie się nie zmieniała. Pierwszy z napastników nieco nerwowo rozglądał się na boki, czekając na współnika. W tle słychać było trzaśnięcie drzwi, jakieś niezrozumiałe słowa i przytłumiony krzyk Rafała:

- *Daj mu te jebane kasety!*

- Kasjer nie chciał oddać worków - bąknął konwojent do Krugłego. - Rzucił się na nie i trzymał przy sobie, chyba był w szoku.

Drugi z napastników pojawił się nagle w kadrze. Ciągnął za sobą szary worek wypełniony czymś ciężkim. Włókł go za sobą po ziemi, potem z trudem podniósł i wrzucił do radiowozu. Z boku ekranu znów pojawił się drugi z konwojentów, wciąż mierzący do fałszywego policjanta. Bartek był biały na twarzy i miał błędny wzrok, widać było, że jest w coraz większym szoku. Kiedy człowiek w kominiarce wsiadł do samochodu, pierwszy napastnik puścił dowódcę, pozwalając, by upadł na ziemię. Błyskawicznie wsiadł do radiowozu, po czym auto ruszyło, wciąż błyskając kogutami. Rafał podbiegł do kolegi, trzymając przy ustach krótkofalówkę. Klęknął przy nim i obrócił jego twarz ku sobie.

Wszyscy oglądający nagranie milczeli wstrząśnięci. Całe zdarzenie trwało może kilka minut. Film, lepszy niż relacja bezpośredniego, choćby najbardziej spostrzegawczego obserwatora, oszczędzał policji mnóstwo pracy. Wnioskowania z oględzin, przesłuchań

świadców, których, jak na razie, praktycznie nie było, analizowania, a często nawet zgadywania, w które zmieniało się wyciąganie wniosków. Małeńki wideorejestrator był świadkiem najlepszym z możliwych. Godzinę od momentu napadu wiedzieli już, jak wygląda człowiek, który go dokonał.

Pierwszy odezwał się Krugły.

- Rozumiem, że jest pan zdenerwowany, ale proszę odpowiedzieć na pytanie. Kojarzy pan tego człowieka, który postrzelił pańskiego syna?

Rulewski oblizwał wyschnięte usta.

- Nie - wychrypiał. - Pierwszy raz go widzę. I lepiej dla niego, żebym go drugi raz nie zobaczył, chyba że za kratami. Jak spotkam, zabiję gnidę - dodał mściwie.

- Ale pójdzie pan siedzieć jak za człowieka - mruknął Krugły. - Nie warto. Wiem, że to teraz nieistotne, ale czy postępowanie konwojentów było prawidłowe?

Rulewski spojrział na niego ciężkim wzrokiem.

- Wie pan, oczywiście istnieją algorytmy postępowania. Instruuja, jak należy reagować właśnie w razie zatrzymania przez policję albo blokady drogi, w razie wypadku, pożaru, napadu na konwój pieszy, czy w ruchu. Chłopaki ćwiczą różne sytuacje. Ale trudno sobie wyobrazić coś takiego, chyba sam pan to przyzna? Co miał zrobić? Pozwolić zastrzelić kolegę i dać zabić siebie dla nie swoich pieniędzy?

- W końcu je ochraniał? - zapytał retorycznie Berdak i dodał po chwili: - Ryzyko zawodowe.

Rulewski poczerwieniał.

- Proszę się zastanowić, co pan mówi. Żadne pieniądze nie są warte ludzkiego życia. A w tej sytuacji... - wskazał na monitor - Rafał nie miał innego wyjścia. Poza tym pieniądze są ubezpieczone. I, jak wspomniał słusznie pan komisarz, teraz jest to nieistotne. Ocena zdarzenia przez bank i ubezpieczyciela nas nie ominie, lecz na razie skupmy się na czymś innym...

Krugły w milczeniu pochylił się nad biurkiem i przesunął myszą suwak na pasku przewijania do momentu, gdy ukryta za kominiarką twarz drugiego napastnika mijającego samochód ochrony stała się najwyraźniejsza. Kliknął pauzę. Z otworów kominiarki patrzyły nieruchome oczy, wzrok utkwiony był w jakiś punkt poza kadrem.

Krugły zwrócił się do Rafała:

- Pamiętasz, jak wyglądał ten drugi? Widziałeś go, jak machał lizakiem, wtedy nie miał na sobie kominiarki?

Ten markotnie pokręcił głową.

- Nie. Ale nie wiem, jak wyglądał, bo miał czapkę z daszkiem. I tak naprawdę widziałem tylko tę wystającą z radiowozu rękę z lizakiem.

Zapadła cisza. Wreszcie jeden z policjantów, aspirant, wskazał na radiowóz.

- Ale go odpicowali. - W jego głosie słychać było niemal podziw. - Jak żywy. Nawet koguty! - Z niedowierzaniem patrzył na zatrzymany w kadrze błysk belki świetlnej na dachu kii.

Krugły, słysząc to, spojrział dziwnie na policjanta. A potem odwrócił się do Rulewskiego i konwojenta, mówiąc:

- Bardzo dziękuję, mogą panowie wracać do pracy, nie ma sensu, żebym was tu dłużej trzymał. Skontaktujemy się jeszcze dziś.

Rulewski westchnął i ruszył w stronę drzwi.

- Będę na razie w szpitalu, u Bartka. Potem w banku...  
- Zatrzymał się na chwilę w pół kroku. - Wie pan, panie komisarzu, byłem zawodowym podoficerem w Pierwszym Batalionie Szturmowym w Dziwnowie. W specjalsach. Robiłem różne rzeczy w powietrzu, w górach, pod wodą, byłem w Czechosłowacji w sześćdziesiątym ósmym i na dwóch misjach w latach siedemdziesiątych - w Egipcie i Syrii. Ale nigdy nie bałem się bardziej niż teraz. Najgorszemu wrogowi nie życzę takiego strachu jak ten o własnego syna... - Podniósł głowę. - W razie czego ma pan mój numer.

- Mam - potwierdził Krugły. - Do zobaczenia.

Kiedy Rulewski i konwojent zniknęli za drzwiami, Krugły wskazał na monitor. Potem zbliżył palec do ekranu i popukał w widoczne na niebieskim pasie policyjnego samochodu oznaczenie oraz takie same znaki na tablicy rejestracyjnej. W 107.

- Odpicowali, mówisz? - mruknął do aspiranta. - Niczego nie musieli picować. To JEST radiowóz. Najprawdziwszy w świecie. W dodatku nasz... - Przeczesał włosy palcami, od czoła aż po kark, a potem złapał się za szyję, mocno przyciskając łokieć do boku.

- A czyj mógłby być radiowóz, jak nie nasz? - zapytał zdziwiony funkcjonariusz.

Tym razem Krugły nie spojrzał na niego. Trochę rozbawionym, a trochę zmartwionym wzrokiem wpatrywał

się w zatrzymanej kadrze, w widocznym na nim tył policyjnej kii i dwie postacie oparte o jej karoserię.

- Mam na myśli to, że jest z komendy wojewódzkiej - powiedział cicho.

Aspirant zrobił zdziwioną minę i obrzucił Krugłego spojrzeniem, w którym komisarz mógłby wyczytać: „No to macie problem, chłopcy”. Mógłby, gdyby patrzył aspirantowi w oczy, ale on zamyślony skubał podbródek ze wzrokiem wciąż wbitym w ekran komputera. Berdak miał nieprzenikniony wyraz twarzy.

- Jarecki. - Krugły nagle odwrócił się do niego. - Ustal, co ze stosiódemką, dobra? Nie zakładam, że to jednak nasi postanowili dorobić do pensji w czasie patrolu. Nie znam tego typu z bronią, ale to, co ma na sobie, to nie mundur policyjny. Taką koszulkę można kupić w necie. Więc jednak przebierańcy. Pytanie brzmi, jak to się stało, że wyciągnęli auto z komendy bez wiedzy dyżurnego czy kogokolwiek innego, kto tym zawiaduje.

Berdak wyszedł z pomieszczenia, wyciągając z kieszeni kurtki telefon. Krugły wciąż stał i milczał. Pozostali policjanci też trwali w ciszy, jakby łącząc się z Krugłym w niemym skupieniu. Od czasu do czasu wymieniali tylko między sobą spojrzenia, zastanawiając się, co robić i jak długo ta cisza potrwa. Przerwał ją Berdak, z impetem otwierając drzwi. Wiszący na nich kalendarz zafurkotał i opadł z głośnym stuknięciem, jaki wydał kartonowy podkład, uderzając w drewno.

- Nie wyciągnęli auta z komendy. - Głos Berdaka brzmiał grobowo. - Zajebali je z warsztatu w Dąbiu. Stało tam od kilkunastu dni, bo ktoś zaliczył dzwonek podczas



patrolu. Było już wyklepane, a dziś miało być odstawione do KWP. Akurat przed chwilą właściciel warsztatu zgłosił kradzież. Nie ma żadnych śladów włamania. Auto po prostu wyparowało.

Krugły spojrzał na zegarek. Dochodziła dziewiąta.

- Co robimy? - zapytał Jarek.

- Jedziemy tam - zdecydował Krugły. - Mamy gorący ślad. Nie ma na co czekać.

- Co z Piotrkiem?

- Niech ci z miejskiej podrzucą go z powrotem do roboty. Zadzwoń do dyżurnego, że warsztat załatwimy sami. Wiesz, gdzie to jest?

Berdak skinął głową.

- Tak się składa, że niedaleko mojego domu. Czasem chodzę tamtędy z psem.

- No i bardzo dobrze - mruknął Krugły, wyciągając z komputera kartę pamięci.

Pożegnali się i wyszli z komisariatu. Podjechali jeszcze na miejsce napadu, żeby uświadomić Piotrkowi, że do komendy wróci sam, a potem zawrócili w stronę mostu Długiego. Jarek zadzwonił do dyżurnego, żeby wycofał patrol jadący do warsztatu w sprawie kradzieży radiowozu. Jechali Gdańską, torując sobie drogę błyskiem niebieskich świateł.

- Nieźle to zorganizowali - powiedział Krugły. - Szybko i sprawnie. Kilka minut i po wszystkim. Miejsce wąskie i ciasne, wszędzie zaparkowane samochody, nikt nic nie widzi. Jakby coś się nie udało, mają którądy uciec, w końcu to okolica, gdzie nie ma zbyt wielu ludzi. Niedaleko rzeka, tory kolejowe... Jedno jest pewne. Nie

działali w ciemno. Wiedzieli, że to konwój z pieniędzmi, znali czas przejazdu i marszrutę, wiedzieli, jak reagują konwojenci w takich sytuacjach. Trzeba będzie dokładnie sprawdzić okolicę w promieniu, powiedzmy, trzech kilometrów od miejsca napadu. Ten młody z miejskiej miał rację - oni musieli gdzieś ukryć ten radiowóz. Zakładamy, że znali również systemy łączności konwoju, wiedzieli więc, że napad zgłoszony będzie praktycznie natychmiast. Zatem musieli się pozbyć auta jak najszybciej. Może odstawili je do jakiegoś magazynu albo garażu? Pomyśleli prawie o wszystkim.

- Prawie. Została łuska - zauważył Berdak. - No i jeden pokazał twarz.

- I to mnie trochę dziwi. Łuska to pół biedy, ale z tą twarzą coś mi nie pasuje. Ten drugi włożył kominiarkę, a ten, co strzelał, wystawił się jak gwiazda paparazzim na ścianie. Czy nie wiedział, że w samochodzie jest rejestrator? Skoro znali wszystkie szczegóły, to oznacza, że mieli informacje naprawdę z pierwszej ręki. Czyli musieli wiedzieć i to. No, ale tu trochę zgadujemy. Pomijając ten fakt, na pewno w momencie zatrzymania ten, który strzelał, nie mógł mieć nałożonej kominiarki. Przecież konwojenci zorientowaliby się od razu, że coś nie gra. Nie wygląda też, jakby miał jakiś makijaż czy doklejone pierdoły, żeby sobie tę twarz jakoś zmienić. Podejrzewam, że plan zakładał natychmiastowe zniknięcie z kraju, choć i tak nie byłby bezpieczny praktycznie nigdzie. Przecież zdjęcie od razu opublikują w rubryce „Ktokolwiek widział...”, ktoś zaraz go rozpozna, dane pójdą do Europolu, razem z Europejskim Nakazem

Aresztowania. Nie wiem, na co liczył. No, chyba że było to świadome i wkalkulowane ryzyko. A od dziś zacznie zapuszczać brodę albo zrobi sobie operację plastyczną.

- A może naprawdę nie wiedział o tej kamerce? - wtrącił Jarek.

- Nie wiem, o co tu chodzi - przyznał Krugły. - Ale ważne, że mamy jego wizerunek. Wpadnie on, to wpadnie i ten drugi. A wracając do dziwnej znajomości procedur i szczegółów konwoju, którą wykazały się nasze ptaszki, trzeba będzie sprawdzić, czy czasem któryś z konwojentów nie pomagał im w zdobyciu tej wiedzy. Nieistotne, czy zrobił to świadomie, czy nie.

- Jak można zrobić to nieświadomie? - zdziwił się Berdak.

- Ten gość z Alfy, Rafał, nie wyglądał, jakby robił w tym fachu od wczoraj, ale myślisz, że albo on, albo któryś z jego kolegów z pracy nie mógł się pochwalić na przykład jakiejś dziewczynie? Żeby jej zaimponować? „Wiesz, mała, mam ogromną spluwę, a jutro będę wiozł sporo gotówki. Będę ją ochraniał. Taki ze mnie gość! To co, zrobisz mi łaskę?”

Berdak parsknął śmiechem.

- Robert, błagam cię!

- Wiesz, o co mi chodzi?

- Wiem - przyznał Jarek. - Ale przecież pinda, która poleci na taki tekst, nie zorganizuje w jeden dzień napadu!

Krugły szybko zmienił pas, wyprzedzając autobus.

- To nie musi być dziewczyna - powiedział. - Ludzie ogólnie lubią imponować innym. Pamiętasz początek

swojej kariery w policji? Zwróciłeś kiedyś uwagę na pełne uznania spojrzenie dawno niewidzianego kolegi albo koleżanki, kiedy mówiłeś, że zostałeś policjantem? Fajne uczucie?

Berdak usiłował zachować kamienną twarz.

- No właśnie - stwierdził Krugły. - Jesteśmy tylko ludźmi. Ułomnymi. Może jeden z tych chłopaków pochwalił się kiedyś komuś nieodpowiedniemu? A ten to wykorzystał?

Piętnaście minut później byli w Dąbiu. Przejechali przez zabudowane pudłami bloków historyczne centrum dzielnicy i obok komisariatu Szczecin-Dąbie zjechali w ulicę Pomorską. Minąwszy przejazd kolejowy, znaleźli się w okolicy praktycznie pozbawionej zabudowy mieszkalnej. Sąsiedztwo węzła kolejowego oraz ruchliwy odcinek ulicy, łączącej Dąbie z trasą wylotową, a dalej autostradą i ekspresówką, sprzyjały lokalizacji budynków przemysłowych i usługowych. Salony samochodowe, warsztaty i przeróżne hurtownie ukryte za wielkimi kolorowymi fasadami, pełnymi przeszkleń lub reklam, były dla Krugłego wizualnym odpowiednikiem kakofonii. Podzielił się swoim spostrzeżeniem z Berdakiem. Jarek spojrział na niego ze zdziwieniem.

- Ty nie masz większych zmartwień, chłopie? To musisz być szczęśliwym człowiekiem!

- Właśnie o to chodzi, Jarecki. Wszyscy uważają, że można na to położyć lachę, bo w porównaniu z biedą, smogiem, korkami, wyrębem amazońskich lasów i globalnym ociepleniem to mały pikuś. A właśnie, że mnie to obchodzi!

- A mnie nie - oznajmił beztrząsco Jarek i dodał: - Wiesz co? Jesteś jak biały hipopotam.

- Dlaczego akurat biały hipopotam?

- Bo jest rzadki. Nie znam innego egzemplarza takiego jak ty.

- Nie wiem, czy mam się obrazić, czy być zadowolonym z pochlebstwa.

- Wybierz sobie, według uznania. - Berdak uśmiechnął się, odpinając pas. - Zwolnij, to tamta czerwona brama.

Samochód podskoczył na niedużym garbie, który wyrósł na styku asfaltu jezdni i wyłożonego betonową kostką wjazdu. Krugły zaparkował opla na jednym z miejsc postojowych, opatrzonych tabliczką „Miejsce dla klientów”. Z boku stała karetka pogotowia - właśnie wsiadali do niej lekarz i ratownik. Po chwili ambulans powoli odjechał. Krugły z Berdakiem wysiedli z samochodu i skierowali się ku przeszklonym drzwiom prowadzącym do biura. Wielki kaseton z niebieskim napisem „Krysiak - naprawy blacharsko-lakiernicze, mechanika pojazdowa” wisiał nad wejściem u szczytu elewacji. Drugi, mniejszy, trochę z boku, dopowiadał: „Podstawowa stacja kontroli pojazdów”. Weszli do środka i znaleźli się w wąskim korytarzyku. Nagle jedno z kilku znajdujących się w nim drzwi otworzyły się z impetem. Z pomieszczenia, które znajdowało się za nimi, wypadł prosto na nich jakiś siwowłosy mężczyzna.

- Słucham panów? - zapytał z zaskoczeniem i nieco natarczywie.

- Policja - odpowiedział spokojnie Krugły.

- O! - Brwi mężczyzny uniosły się w wyrazie zdziwienia. - Roman Krysiak. Właściciel.

- Czemu pan taki zdziwiony? - zapytał Krugły. - Nie pan nas wzywał?

- Szczerze mówiąc, spodziewałem się mundurowych. - Otaksował ich podejrzliwym spojrzeniem. - Mogę zobaczyć panów legitymacje? Ostrożności nigdy za wiele...

- Dziś w nocy było jej chyba jednak trochę za mało, co? - zażartował Berdak.

Krysiak spojrział na niego bykiem. Krugły usiłował zachować poważny wyraz twarzy. Lubił teksty Berdaka, ale byli w pracy, a dla człowieka, któremu dociał, nie był to najradośniejszy moment życia. Jarek chyba nie miał dziś dobrego dnia. Pewnie pożarł się z żoną, bo był wyjątkowo, aż w nieprzyjemny sposób cięty. Z tekstem o ochronie pieniędzy, który rzucił Rulewskiemu w komisariacie kolejowym, stanowczo przesadził.

- Nadkomisarz Robert Krugły, młodszy aspirant Jarosław Berdak, Komenda Wojewódzka Policji, Szczecin. - Krugły przedstawił siebie i Jarka. - Proszę, tu są nasze legitymacje.

Krysiak przestudiował je starannie i oddał komisarzowi. Krugły oddał Jarkowi jego dokument.

- Zapraszam do biura - powiedział Krysiak i sięgnął do klamki drzwi, którymi przed chwilą omal nie uderzył Krugłego i Berdaka.

Nagle znieruchomiał, zastanawiając się nad czymś. Ręka zawisała nad klamką, ale nie dotknęła jej.

- Uprowadzając fakty - powiedział cicho do policjantów, oglądając się przez ramię. - W biurze jest teraz pan Zenon, stróż, który tej nocy pilnował warsztatu. Przed chwilą było u niego pogotowie, bardzo przeżył tę kradzież. Obwinia się o nią, nie będę teraz rozstrzygał, na ile to, co się wydarzyło, jest jego winą. Prosiłbym panów o powstrzymanie się od komentarzy dotyczących sensu zatrudniania emerytów na stanowiskach stróży. Pan Zenon jest ojcem mojego przyjaciela. Michał zginął parę lat temu w wypadku, a zawdzięczam mu naprawdę wiele. Między innymi to, że ten interes tak kwitnie. Poniosłem kiedyś biznesową porażkę, sporą, a Michał pomógł mi stanąć na nogi. Dlatego pan Zenon jest u mnie, że się tak wyrażę, na dożywociu. Poza tym był kiedyś milicjantem, więc to nie jest tak, że wziąłem jakiegoś dziadka, byle taniej, bo bez składek i tak dalej. Trochę się zna na swojej robocie, jest rzetelny i obowiązkowy. Możemy się tak umówić?

- Nie zamierzamy niczego komentować - zapewnił go Krugły.

Mimo to w spojrzeniu Krysiaka, którym ten obrzucił Berdaka, nie widać było, żeby słowa komisarza go uspokoiły. Weszli w końcu do biura.

Pomieszczenie absolutnie nie kojarzyło się Krugłemu z warsztatem. W warsztatach, w których bywał do tej pory, ściany obwieszane były zwykle plakatami z cypatyimi panienkami, opierającymi się swoimi wdziękami o błyszczące lakierem i chromem luksusowe fury. I fury, i panienki były tuningowane, ale patrząc na taki plakat, wcale nie miało się pewności, które z nich wybrałoby się,

gdyby ktoś, jakimś cudem, dał patrzącemu taki wybór. Tymczasem tu ściany pozbawione były podobnych atrybutów. Pomieszczenie urządzone było jak typowe biuro, które mogło służyć księgowemu, informatykowi czy doradcy kredytowemu. Jedynym akcentem związanym z motoryzacją były oprawione w delikatne ciemne ramki szkice włoskich klasyków: alf, fiatów, maserati, bugatti i ferrari. Widać Krysiak lubił włoski design. Uwagę Krugłego zwróciły też trzy fotele: kubełkowe, sportowe siedzenia samochodowe osadzone na aluminiowych felgach, do których zamocowane były małe kółeczka. Niezły pomysł i niezła robota. Postanowił skorzystać z okazji i po zakończeniu formalności sprawdzić, czy są ładne i wygodne, czy tylko ładne.

W rogu pomieszczenie stała kanapa, na której siedział starszy człowiek o przygaszonym spojrzeniu.

- To pan Zenon Staszewski, nocny dozorca - przedstawił go Krysiak.

Staszewski ożywił się lekko. Chciał wstać, ale Krysiak powstrzymał go ruchem ręki.

- Niech pan siedzi. Pan Zenon ma kłopoty z sercem, przed chwilą było u niego pogotowie - wyjaśnił policjantom.

Krugły skinął głową. Usiadł w końcu w fotelu, który sobie upatrzył, zapadając się w nim. Berdak zrobił to samo, też pewnie nie mógł się tego doczekać.

Krysiak zajął miejsce za swoim biurkiem i wskazał wiszący na ścianie wielki plazmowy monitor. Ekran podzielony był na dziewięć kadrów, ukazujących różne pomieszczenia.



- To mój podgląd - powiedział z dumą w głosie. - Kiedy jestem w biurze, wiem, co się dzieje praktycznie w każdym punkcie warsztatu.

- Dobrze. - Krugły westchnął. - Porozmawiajmy o kradzieży. O której zaczynacie pracę?

- O ósmej.

- Kradzież zgłoszono mniej więcej za kwadrans dziewiąta. Coś długo to trwało? - ni to stwierdził, ni zapytał Berdak.

Krysiak milczał przez chwilę.

- Pan, jak przychodzi do pracy, to od razu siada do roboty czy najpierw się organizuje? - zapytał. - Musiałem sprawdzić, czy ktoś nie przestawił samochodu, czy się nie pomylił, szykując inny zamiast tego właściwego. Nie lubię działać pochopnie. A potem tłumaczyłbym się, jak ta kobieta, która zgłosiła kradzież bramy garażowej, a kiedy przyjechała policja, to okazało się, że poprzedniego wieczoru po prostu zapomniała ją opuścić...

- Bywa i tak - przyznał Krugły z lekkim rozbawieniem, które zaraz zniknęło. - Ale tym razem nie chodzi o bramę, tylko o policyjny radiowóz. Jak to się mogło stać?

Krysiak głęboko zaczerpnął tchu.

- Wczoraj pod koniec dnia pracy radiowóz W107 został zaparkowany na placu za głównym budynkiem. Był już gotowy do wydania, dziś ktoś od was miał po niego przyjechać.

- Gdzie na placu? - dociekał komisarz.

Krysiak wstał zza biurka, podszedł do ekranu i wskazał jeden z kadrów.

- Tu.

- Ja tu widzę betonowe ogrodzenie - zwrócił uwagę Berdak ze swojego stanowiska pod ścianą.

- Tu z boku - doprecyzował Krysiak, odwracając głowę w jego stronę, lecz nie patrząc na niego.

Krugły uznał, że widać ma Berdakowi za złe wtrącenie się czy raczej dość bezpośrednio zasygnalizowanie poważnego niedopatrzenia. I nie tylko to. Krysiak chrząknął.

- Tak z tyłu w zasadzie. - Spojrzał wreszcie na Berdaka, wracając za biurko. - Kiedy w tym miejscu stoi auto, widać tylko jego kufer.

- Uhm - mruknął Jarek, jakby to wyjaśnienie jednak niezbyt go satysfakcjonowało. - Ale wspomniał pan wcześniej, że jest pan w stanie zobaczyć każdy punkt warsztatu.

- No ale tu akurat jest kawałek martwego pola. - Widząc jego spojrzenie, Krysiak lekko się zaczerwienił. - Niech pan tak na mnie nie patrzy, nie zawsze udaje się zaplanować wszystko na sto procent. W tym miejscu budynek prawie przylega do płotu. Musiałbym wystawić kamerę nad czyjś teren, żeby dała radę objąć wszystko.

- W porządku - uciął temat Krugły, ale Krysiak uniósł się honorem.

- Spełniłem wszystkie wymagania określone w specyfikacji komendy wojewódzkiej, wygrałem przetarg, regularnie przechodzę kontrole...

- W porządku, panie Romanie! - powtórzył Krugły nieco głośniej i spojrzał na Berdaka, żeby dał już Krysiakowi spokój.

Nagle usłyszał głos któregoś z pracowników dochodzący z za otwartego okna.

- Pawłowski, gdzie jest Vinci!?

Krysiak wstał, żeby zamknąć okno.

- Nie wiem! - odpowiedział inny głos ciszej gdzieś z daleka.

- To może się dowiedz?

- Co ja, niańka? Zachlał pewnie wczoraj i na kacowym jest.

- Nie zgłaszał mi urlopu. Dzwoniłeś do niego? - Krugły nadstawił ucha, dialog zaczął być interesujący. Ruchem dłoni powstrzymał Krysiaka przed zamknięciem okna.

- Ma wyłączony telefon.

- Co on sobie, do cholery, myśli, że gwiazdą jest jakąś? - W głosie słyhać było zdenerwowanie. - Robota leży, ten hyundai już dawno powinien być w komorze!

- Nie wiem, stary, nie do mnie te pretensje...

Krugły spytał nagle Krysiaka.

- Kto to jest ten Vinci?

- Lakiernik - odparł tamten.

- Co z nim?

Krysiak wzruszył ramionami.

- Nie wiem. - Wyjrzał z za ramienia Krugłego i zawołał do kierownika przez okno: - Mariusz, co z nim jest? Z Vincim?

- Nie przylazł do roboty. Nie można się z nim skontaktować.

Krugły zmarszczył brwi.

- Jak wygląda ten człowiek? - zapytał.

Krysiak otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale po chwili w milczeniu wskazał na ścianę. Krugły obejrzał się i zobaczył wiszącą na niej tablicę.

Widział kiedyś coś takiego w jakimś hipermarkecie z elektroniką. Wielka, oprawiona w antyramę plansza, na której ręka grafika розміściła zdjęcia wszystkich zatrudnionych, posegregowane na kadre kierowniczą oraz pracowników poszczególnych działów. Krugły, pokonując pewne trudności, wyłuskał ciało z fotela, wstał i podszedł do niej. Rzucił okiem na pierwszy rząd twarzy.

- Który to? - zapytał Krysiaka.

Właściciel, wciąż milcząc, jakby każde wypowiedziane w związku ze sprawą kradzieży słowo kosztowało go zbyt wiele emocjonalnego wysiłku, wstał i również podszedł do tablicy. Wskazał jeden z wizerunków w ostatnim rzędzie na dole planszy. Krugły popatrzył na sympatyczną i uśmiechniętą twarz skurwysyna, który rano prawie pozbawił człowieka życia.

- Jacek Strzębosz - przeczytał.

Zobaczył, że Berdak dojrzał ze swojego fotela, kogo wskazał Krysiak. Sokole oko, młodym to dobrze...

- Dlaczego Vinci? - zapytał jeszcze, odwracając się.

- To taki trochę chłopiek-roztropek - odpowiedział Krysiak. - Sympatyczny, choć niezbyt... jakby to powiedzieć... lotny. Ale jak weźmie do ręki pistolet, to robi się z niego prawdziwy artysta... - Urwał, widząc uniesione wysoko brwi Krugłego. - Lakierniczy pistolet, oczywiście - uściślił, uśmiechając się lekko. - Dlatego chłopcy nazywają go Vinci. Ma pewną rękę i oko, robot by również

lakieru nie położył. Taki dar to rzadkość. Pracuje u mnie już sześć lat.

Krugły zerknął na Berdaka, a widząc jego twarz, uświadomił sobie, jaką minę przed chwilą musiał mieć on sam. Mieszaninę zaskoczenia i lekkiego rozbawienia słownym, w dodatku dwuznacznym nieporozumieniem, które było nim tylko dla nich dwóch.

- Romek - przerwał ciszę słaby głos stróża. - Romek...

- Tak, panie Zenonie? - Krysiak podszedł do kanapy, na której leżał starszy człowiek. - Co się stało?

- On tu wczoraj wieczorem był - powiedział słabym głosem Staszewski.

- Kto? Strzębosz?

- Tak. Wieczorem - powtórzył.

Krugły spojrzał porozumiewawczo na Jarka i podszedł do kanapy.

- O której? - zapytał spokojnym tonem, starając się zamaskować zainteresowanie, mimo to zapewne dobrze słyszalne w jego głosie.

Nie chciał spłoszyć starszego pana, który i tak miał dość przeżyć. Krugły nie mógł dopuścić, żeby mu się tu zaraz zaciął. Staszewski chyba jednak wyczuł prawdziwe intencje komisarza, bo zrobił minę, jakby miał zaraz oberwać.

- Spokojnie - powiedział Krugły. - O której?

- Po dwudziestej drugiej. - Stróż opuścił wzrok, a potem spojrzał na Krugłego z jakąś udręką w oczach. - Pytał pan wcześniej o kogoś obcego. Strzębosz jest swój, dlatego odpowiedziałem, że nikogo nie było. A przecież

powinienem był od razu o tym powiedzieć. Starość... - Pokręcił głową.

- Po co przyszedł?

- Po portfel z dokumentami. Powiedział, że zostawił go w kombinezonie i zorientował się dopiero wieczorem. Specjalnie przyjechał autobusem z centrum. Bał się, że zgubił, więc chciał się upewnić, bo nie wiedział, czy zastrzegać kartę do bankomatu.

- Nie mógł po prostu zadzwonić?

- U mnie w dyżurce nie ma telefonu - wyjaśnił Staszewski. - A ja nigdy nie dawałem mu numeru swojej komórki.

Krugły spojrział na drzwi, a potem na telefon na biurku Krysiaka. Wielki „kombajn” z faksem i wbudowaną drukarką mienił się dziesiątkami kolorowych przycisków.

- Pomieszczenie dozoru sąsiaduje z biurem, są drzwi w drzwi, dzieli je tylko ten korytarzyk. Jako pracownik musiał o tym pamiętać. Przecież usłyszałby pan telefon i odebrał, prawda? Nie wiedział o tym?

Stróż wzruszył ramionami.

- Wie pan, może dzwonił, a ja byłem na obchodzie? A może po prostu nie pomyślał? Tak jak mówił Romek: on nie jest zbyt bystry. Chociaż całkiem sympatyczny - zastrzegł po chwili, jakby z jakiegoś powodu uważał swoją opinię o Strzęboszu za krzywdzącą i chciał się Krugłemu wytłumaczyć.

- Dobra. Przyszedł i co?

- Nno, nic. Zobaczyłem na monitorze, że stoi przed bramą, to go wpuściłem. Wszedł do mnie, powiedział, o co chodzi...

- I co dalej?

- Zamknąłem swoje biuro i poszliśmy do szatni. Otworzyłem mu swoją kartą, wziął portfel, bo faktycznie był w kieszeni kombinezonu, i wróciliśmy do mnie. Trwało to może z pięć minut, nie więcej.

- A potem?

- Usiedliśmy jeszcze u mnie na chwilę. Pogadać sobie.

- Kto chciał pogadać? - zapytał nagle Berdak.

- Nie rozumiem? - zdziwił się Staszewski.

- Kto zaproponował, że sobie porozmawiacie? On czy pan?

Stróż zastygł na chwilę z wyrazem zaskoczenia w oczach.

- Boże, nie wiem. - Ramiona mu opadły. - Nie pamiętam... Samo jakoś chyba wyszło. Tak mi się wydaje. Wie pan, jak to wygląda: pogaduchy o niczym. Tak w ogóle to on jakiś pobudzony był, łąził w kółko, bawił się swoim telefonem, gadał pierdoły... Potem, jak już wychodził, to jakiś samochód stanął przed bramą warsztatu. Patrzyliśmy na monitorze, co robi kierowca, ale chyba po prostu zajechał w zatoczkę przy bramie, żeby porozmawiać przez telefon. Odjechał po kilkadziesiąt sekundach. Jacek wyszedł i... I już.

- Co stało się dalej? - zapytał z kolei Krugły.

Staszewski głośno przełknął ślinę.

- Zjadłem kolację, wypilem jeszcze kawę, poszedłem na obchód, potem obejrzałem sobie coś w telewizji... A potem zasnąłem.

- Po kawie pan zasnął? - zdziwił się Krugły. - Sam nie piję kawy, ale myślałem, że pije się ją po to, żeby nie zasnąć. Między innymi.

Staszewski uśmiechnął się smutno.

- Wie pan, ja piję ją wyłącznie dla smaku. Kawa na mnie nie działa. Nawet jeśli chce mi się spać, to wypicie kawy nic nie da. I tak zasnę. I to jak! Huk armat mnie nie obudzi. Całe życie tak mam. Tylko że...

- Tak? - podchwycił Krugły.

- Ja od paru lat, od śmierci syna, a potem żony, cierpię na bezsenność. W nocy nie mogę spać. Czytam książki, oglądam telewizję, liczę barany i nie śpię. W moim przypadku zaśnięcie przed piątą rano to święto, wie pan?

- Akurat wypadło wczoraj, co? - Krugły uśmiechnął się pocieszająco.

- Na to wygląda. - Stróż pokiwał siwą głową. - Na to wygląda... Co prawda ostatnio jestem trochę zmęczony, bo Stasiek, mój zmiennik jest w szpitalu - ma jakieś kłopoty z nerkami. Więc z tego powodu prawie od tygodnia jestem tu co noc. Może dlatego zasnąłem? W każdym razie obudziłem się około siódmej, trochę źle się czułem, w sercu coś mi kołatało. Wziąłem leki, jak zwykle, ale potem i tak wszystko zwróciłem. Niedługo potem okazało się, że nie ma radiowozu... Wtedy pikawa już na serio zaczęła nawalać, więc Roman - wskazał Krysiaka - zadzwonił po pogotowie. Podobno wymioty mogą być objawem zawału. - Potarł w zamyśleniu nos i spojrzał na Krugłego. - A potem zadzwonił do was.

- Kto zaparkował radiowóz na placu? - zapytał komisarz.



Krysiak sięgnął do kombajnu, podniósł słuchawkę i wcisnął jeden z przycisków.

- Mariusz - rzucił po chwili do słuchawki. - Kto wczoraj odstawił stosiódemkę na plac?

Kiedy usłyszał odpowiedź, mina mu się lekko wydłużyła. Słyszeli ją zresztą wszyscy, głos dobiegający z telefonu brzmiał czysto i donośnie: Vinci. Krysiak słuchał jeszcze przez chwilę, potem odłożył słuchawkę i ciężko spojrzął na komisarza.

- Skurwiel - rzucił cicho Staszewski ze swego miejsca na kanapie.

Krysiak milczał.

- Kluczyki oddał? - zapytał Berdak.

- Baranowskiemu, swojemu kierownikowi. - Podbródkiem wskazał telefon, jego głos był lekko schrypnięty. - A on włożył je do depozytora.

- Ale rano ich nie było?

Przeczący ruch głową wystarczył za odpowiedź.

- Możemy obejrzeć nagranie z nocy? - zapytał Krugły. - Z tej kamery koło płotu?

- Oczywiście. - Krysiak energicznie wstał z za biurka, jakby chciał tym ruchem potwierdzić swoją gotowość do dalszej współpracy albo nie mógł się doczekać, aż policjanci skończą i pójdą precz z jego warsztatu. - Chodźmy. Panie Zenonie, da pan radę? - zapytał Staszewskiego.

Stróż powoli wstał z kanapy i obciągnął kurtkę.

- Idziemy - rzucił twardo.

Krugłemu nie podobała się jego czerwona twarz i przyśpieszony oddech, ale nic nie powiedział. Chyba lepiej, żeby jednak poszedł z nimi, niż miałby zostać tu sam.

Wyszli na korytarzyk i podeszli pod drzwi naprzeciw tych prowadzących do biura Krysiaka. Wisiała na nich biała tabliczka z czerwonym, bijącym w oczy napisem: „Pomieszczenie dozoru - nie wchodzić!”. Krysiak chwycił swoją kartę, wiszącą mu u szyi na smyczy z logo warsztatu, i przytknął ją do czytnika przy drzwiach. Po chwili byli już w środku. Krugły się rozejrzył.

- Sporo tej elektroniki - rzucił z uznaniem, widząc metry kabli biegnących równo po ścianach i wpiętych do przezroczystych skrzynek, pulsujących światłkami diod. W kącie cicho szumiał serwer.

Krysiak spojrzał szybko na Berdaka.

- Oczywiście - sapnął. - Mówiłem przecież. Jesteśmy porządnie zabezpieczeni... - Przerwał nagle, kiedy uświadomił sobie, jak gorzko to zabrzmiało w obecnej sytuacji.

Berdak tym razem mu darował. Krysiak nieco nerwowo usiadł przy biurku, wskazując pozostałym krzesła stojące pod ścianą. Staszewski usiadł na swojej leżance, która skrzywnęła lekko pod jego ciężarem. Krysiak oddał mu jeszcze termos, który stał na biurku, i zabrał się do roboty. Krugły z podziwem obserwował, jak jego palce stukają w klawiaturę. Człowiek po pięćdziesiątce tak biegle obsługujący komputer to rzadkość, chyba że jest to czynny zawodowo informatyk. Ale Krysiak prawdopodobnie nie był informatykiem, Krugły uznał

zatem, że jest kimś w rodzaju geeka i to go po prostu bawi. Widząc, jak na ekranie komputera pojawiają się kolejne migawki z kamer monitoringu, uświadomił sobie, że to trzeci taki seans w ciągu krótkiego czasu – po Kafe Tango i tym z komisariatu kolejowego, godzinę temu. Naszła go refleksja, w jakim punkcie byłoby teraz jego śledztwo, a właściwie oba, gdyby nie wszędobylskie oczy kamer? Przypomniała mu się scena z *Urodzonych morderców*: mina Roberta Downeya Juniora, kiedy Woody Harrelson, wskazując na jego kamerę, uświadamia mu, że nie zostanie jedynym świadkiem zbrodni, jakiego zwykle pozostawia przy życiu. Druga refleksja, która pojawiła się zaraz po tej pierwszej, była jeszcze bardziej zaskakująca: oto miał naoczny przykład tego, w jak permanentnie inwigilowanym świecie żyje.

- Jest - rzucił nagle podekscytowany Krysiak. - Tu stoi.

Krugły z Berdakiem zobaczyli tył policyjnej kii. Odblaskowe paski nalepione na karoserię były tak oślepiające, jakby emitowały własne światło. Najwyraźniej gdzieś w pobliżu znajdowała się lampa.

- Którędy Strzębosz mógłby dostać się na teren warsztatu? - zapytał Krugły.

Krysiak spojrzał na komisarza posepnie.

- Już pan go osądził? Tak szybko? To, że tu był i parkował radiowóz, jeszcze niczego nie oznacza, prawda?

Krugły zerknął na Berdaka, zagryzając dolną wargę.

- Ma pan rację - powiedział spokojnie do Krysiaka. - Jak najbardziej. Zatem nazywajmy złodzieja po prostu złodziejem. Więc którą?

- Widzę tylko jedną możliwość. To feralne miejsce, w którym stała stosiódemka. Tam jest ziemia niczyja, jakiś nieużytek, właściciel nie pojawił się tam, odkąd mam ten warsztat. Widocznie złodziej przyszedł od strony parku. Znaczą lasu. To się tylko formalnie nazywa parkiem leśnym, ale wygląda jak las... Widać wiedział, którego kawałka ogrodzenia kamera nie obejmuje. Ryzykował tylko w momencie przejścia pod drzwi do pomieszczeń biurowych. Musiał się do nich dostać, żeby zabrać kluczyki z depozytora.

- Niech pan sprawdzi, o której kia wyjechała z parkingu - poprosił Krugły.

Krysiak znów poklikał myszą. Na ekranie nic się nie zmieniło z wyjątkiem cyferek wskazujących czas. Zaczęły zmieniać się szybko, w miarę jak Krysiak klikał w odpowiednie miejsce okna programu obsługującego monitoring. Krugłemu migające cyferki skojarzyły się z wyświetlaczem wehikułu czasu. W pewnej chwili kia zniknęła. Krysiak przewinął kilka minut wstecz i odtworzył nagranie już w normalnym tempie. Po kilkudziesięciu sekundach zobaczyli ubraną w jasny dres postać, która pojawiła się w kadrze niczym duch. Po chwili człowiek otworzył drzwi radiowozu i wsiadł za kierownicę.

- Poznaje pan go? To Strzębosz? - zapytał Krugły.

Krysiak znów spojrzał na niego z wyrzutem w oczach.

- Nie mam pojęcia, kto to jest. Widzi pan, że ma czapkę z daszkiem, a kamera nagrywa z góry.

- Wyjeżdża. - Jarek wskazał nagle na ekran. - Może pan dać podgląd bramy z tej samej godziny?

- Za chwilę. - Krysiak kliknął jeszcze kilka razy.

Na obrazie z kamery na placu widać było cały front głównej hali i wejście do biur. Zegar w rogu ekranu wskazywał czas cztery minuty wcześniejszy, niż wyjazd radiowozu ze stanowiska pod ogrodzeniem. Patrzyli w milczeniu na postać w dresie, chyłkiem przemykającą się pod ścianą hali. Milczeli także, gdy intruz przykładął kartę do chipa przy drzwiach i zniknął w środku. A potem Krysiak zrobił to, o co poprosił Berdak i zmienił obraz na ten z wjazdu na teren warsztatu. Poprzedni widok zastąpiony został małym fragmentem placu przed głównym budynkiem oraz szeroką, przesuwaną bramą. Zobaczyli, jak brama nagle rusza i po metalowej szynie wmurowanej w podjazd toczy się poza kadr, który zrobił się przez to dziwnie pusty. Nagle coś zaczęło na powrót go wypełniać. Metalowa rama, która pojawiła się z prawej strony, okazała się lawetą. Samochód cofał powoli, potem się zatrzymał. Zobaczyli, że tylna tablica rejestracyjna jest zakryta. Po chwili z kabiny wyskoczyła kolejna postać, ubrana podobnie jak pierwsza. Kierowca wyciągnął ze schowka w podwoziu najazdy i zamontował je na zaczepach z tyłu ramy. Wszystko: zapięcie holu, wciągnięcie radiowozu i zamontowanie taśm mocujących go do płyty lawety, trwało może ze trzy minuty. Potem obaj mężczyźni wskoczyli na ramę i nałożyli na nią czarną plandekę. Następne pół minuty później wszystko wyglądało tak, jak przedtem. Ekran wypełniała zasunięta na powrót brama. Cisza i spokój, jakby nic się nie wydarzyło.

- Koniec - mruknął Berdak z odcieniem zadumy w głosie.

Krysiak siedział jak zamurowany. Krugły zwrócił się do Staszewskiego.

- Naprawdę ma pan taki mocny sen, że nie usłyszał pan, co się dzieje? Musieli narobić trochę hałasu, zwykle silniki lawet nie pracują zbyt cicho. Że nie wspomnę o tych najezdach, które musiały hurgotać po polbruku, aż ciarki przechodzą.

Staszewski poczerwieniał.

- Mówiłem, że nawet huk armat... Nie wiem, jak to się stało... Przepraszam cię za to wszystko, Roman.

- Trudno, panie Zenonie - rzekł cicho Krysiak.

Co innego mógł powiedzieć i czy jakiegokolwiek pretensje w tej chwili zmieniłyby cokolwiek? Stróż spojrział gdzieś w bok. Nagle wyprostował się.

- Romek, zobacz. - Wskazał na coś. - Nie ma identyfikatora Strzębosza!

Krysiak podszedł do zamocowanej na ścianie ni to półki, ni to skrzynki. Była prawie pusta, jeśli nie liczyć dwóch czy trzech kart chipowych, które dyndały na smyczach z logo i danymi teleadresowymi warsztatu.

- To takie istotne? - zapytał Krugły.

Krysiak i Staszewski spojrzeli na niego w tej samej chwili.

- To są karty systemu RCP i dostępu do pomieszczeń warsztatu. Cała historia pobytu pracownika na terenie zakładu. Wszystkie drzwi otwierają się po przyłożeniu chipa do czytnika. To zapobiega wizytom osób

niepowołanych w miejscach, gdzie nie powinno ich być. To był jeden z wymogów komendy dla oferentów startujących w przetargu na obsługę samochodów policji.

- RCP?

- Rejestracja czasu pracy. Takie nowoczesne odbijanie karty. Ale to przy okazji, najbardziej liczy się ta kwestia ograniczeń dostępu...

- Skoro Strzębosza nie ma w pracy, a nie ma też jego karty, to rozumiem, że wziął ją ze sobą?

- To niedozwolone - poinformował go Krysiak. - Owszem, kilka razy się zdarzyło, że któryś z chłopaków przypadkiem zabrał identyfikator do domu.

- Co wtedy?

- Wieczorem pan Zenon albo jego zmiennik zawsze robią przegląd. Kiedy jakiegoś brakuje, po prostu blokują go w systemie. Po przyłożeniu takiego zablokowanego chipa do czytnika uruchamia się alarm. Każda taka sytuacja ze zniknięciem identyfikatora odnotowywana jest w dzienniku przebiegu służby i ja tego skrupulatnie przestrzegam. Nie mogę sobie pozwolić... - Przerwał w pół zdania, kiedy znów uświadomił sobie, że jego skrupulatność nie uratowała go przed spełnieniem się czarnego scenariusza. Chyba najczarniejszego z możliwych.

- Na pewno jego karta była wczoraj wieczorem, panie Zenonie? - zapytał Krysiak Staszewskiego.

Stróż z powagą i absolutną pewnością skinął głową. Z zaciętą miną wpatrywał się w pustą przegródkę, w której powinien wisieć identyfikator Strzębosza. Jego brak przybił Staszewskiego jeszcze bardziej.

- Panie Zenonie, niech pan da spokój - poprosił go Krysiak. - To może być tylko zbieg okoliczności.

Staszewski zgarbił się i pokręcił głową.

- Nie ma jego, nie ma jego identyfikatora, a był tu wczoraj, on też odstawił wóz. Jego karta musiała zniknąć w nocy, kiedy... kiedy spałem. Dwa plus dwa jest cztery. Nie broń go. To łobuz. Po prostu nieźle się maskował.

- To dobry pracownik, dobry chłopak. Niech pan nie krzywdzi go za wcześnie.

- Pozwólcie panowie, że wyjaśnieniem tych wątpliwości zajmiemy się my, dobrze? - rzucił cicho Krugły. - Skupmy się na sprawie. Panie Romanie, da pan radę sprawdzić w systemie, czyje karty były użyte w ciągu ostatnich dwunastu godzin? Nasz koleżka na filmie ewidentnie użył karty, żeby dostać się do budynku.

- Oczywiście, żaden problem.

Po chwili sprawa była jasna.

- Wszystkie wejścia do pomieszczeń biurowych i hal po dwudziestej drugiej system zarejestrował z trzech kart. Pana Zenona - Krysiak wskazał na stróża, a potem dodał ciszej - i Strzębosza. A także mojej.

- A bardziej szczegółowo?

Chwili ciszy sygnalizowała, że albo Krysiak jest wstrząśnięty, albo po prostu ma dość męcznienia go przez funkcjonariuszy policji. Albo, co bardziej prawdopodobne, obie te rzeczy naraz. Był blady jak płótno. Spojrzał na Krugłego ciężkim wzrokiem.

- Powiem panu, że pracownicy nie mają dostępu do pomieszczenia dozoru, tak są zaprogramowane ich karty. Wiedział, że nie użyje swojej, żeby się dostać tutaj i do



depozytora z kluczami. - Odwrócił się z powrotem do monitora. - Dwudziesta druga dwadzieścia siedem: zaczął się obchód. - Staszewski skinął głową w geście potwierdzenia. - Odczyty z karty pana Zenona. Biura, hale, blacharnia, lakiernia, mechanicy, SKP, magazyn części i tak dalej. Ostatnie pomieszczenie podczas tego obchodu było sprawdzane o dwudziestej drugiej czterdzieści trzy. Czternaście minut po północy: moja karta. Drzwi wejściowe do biur, potem mój gabinet i pomieszczenie dozoru. - Zatoczył ręką dookoła.

- Pana karta była rano na miejscu? - zapytał Krugły.

Krysiak skinął głową.

- Była. Stąd ją wzięłem. - Skinął podbródkiem w stronę przegródek.

- Czyli zabrał ją, kiedy był u mnie - mruknął Staszewski. - Ciekawe kiedy?

- Kiedy patrzył pan, kto podjechał pod bramę - mruknął Berdak.

- Skąd pan wie? - zdumiał się stróż.

Krysiak też spojrzał na Jarka spod zmarszczonych brwi.

- Myśli pan, że to przypadek, że to auto pojawiło się akurat wtedy, kiedy u pana był Strzębosz? Wspomniał pan, że on przez cały czas bawił się telefonem. Pewnie puścił kierowcy sygnał. Chodziło o odwrócenie pańskiej uwagi. Wiedział, że potem nie zwróci pan uwagi na brakującą kartę, bo przecież już sprawdził pan to wcześniej.

- Czemu akurat mój identyfikator? - zapytał Krysiak.

- Bo inaczej nie dostałby się do pomieszczenia dozoru, żeby zabrać kluczyki do radiowozu - odezwał się Krugły. -

Swoim nie dałby rady, sam pan powiedział, że zwykli pracownicy nie mają tu dostępu.

- A czemu potem go zostawił, a zabrał swój? - dociekał Staszewski.

- Bo zniknięcie swojej karty pan Krysiak zauważyłby z samego rana. A tak Strzębosz zyskał trochę czasu. Możemy już nazywać go po nazwisku? - Krugły spojrział na Krysiaka.

Ten ponuro skinął głową.

- A czemu nie odłożył swojej karty na miejsce? Gdybym zauważył jej brak, też wzbudziłyby to moje podejrzenia.

- Ale nie zauważył pan, zrobił to dopiero przed chwilą pan Staszewski. Nawet nie wiedział pan, że nie ma go w pracy. A on przecież musiał jakoś zamknąć za sobą bramę, prawda?

- Jasne - odparł Krysiak z zaskoczeniem.

- Z tego, co pan mówił, wynika, że jest pan osobą bardzo skrupulatną. Czy pracownicy o tym wiedzą?

- Oczywiście!

- No właśnie. Zatem byłby pan pewien, że nie zgubił swojej karty ani nie odłożył gdzie indziej. Wiedziałby pan, że brakuje jej w przegródce, bo ktoś ją zabrał. A jeśli zabrał, to po to, żeby ją wykorzystać w swoim celu, prawda?

Krysiak nie odpowiedział.

- To wzbudziłyby pana podejrzenia, że ten ktoś chciał się dostać do pomieszczenia, do którego normalnie nie miał dostępu. Po to, żeby coś zabrać. Na przykład kluczyki. Kradzież jakiegoś wozu byłaby pierwszą rzeczą,

jaka przysłaby panu na myśl. Kazałby pan to sprawdzić. Chodzi mi o to, że odkryłby pan brak radiowozu szybciej, gdyby nie było pańskiego identyfikatora, czy tak?

- To spekulacje.

- Zgadza się - przyznał Krugły - ale jest to całkiem prawdopodobne.

- Ale kluczyki są przechowywane w elektronicznym depozytorze! - zaprotestował Krysiak słabym głosem.

- Jak się go otwiera? - zapytał Krugły.

- Nno... Kartą... - Krysiak zamknął oczy i westchnął. - Te kilkanaście minut opóźnienia w odkryciu kradzieży ma aż takie znaczenie? - zapytał komisarza z powątpiewaniem.

- Owszem - odpowiedział Krugły, nie wdając się w szczegóły.

Krysiak pokręcił ze zdumieniem głową.

- Po co to zrobił? Chciał się przejechać?

Komisarz westchnął.

- Dobrze. I tak się w końcu panowie dowiedzą, więc powiem wam po co. Ten radiowóz został użyty dziś rano do napadu na konwój z pieniędzmi. W jego trakcie został postrzelony jeden z konwojentów, skradziono także dużą ilość gotówki. A mówię to po to, żeby panów przestrzec. Nie chciałbym, żeby panowie rozmawiali z kimkolwiek na temat kradzieży naszego samochodu. Czy to z osobami postronnymi, czy z członkami swoich rodzin, czy wreszcie z dziennikarzami, gdyby jakimś cudem pojawili się w warsztacie. Odmawiacie komentarza. Po prostu. Nie mówię, że napadu na konwój dokonał Strzębosz, na razie

wiązemy go wyłącznie z wyparowaniem radiowozu z tego warsztatu. - Znowu zerknął na Berdaka.

Jarek kiwnął lekko głową, jakby przytakując jego intencjom zachowania szczegółów w tajemnicy. Krugły rozejrzał się po pomieszczeniu.

- Na razie kończymy. Pewnie i tak w najbliższym czasie będą panowie maglowani jeszcze przez prokuratora. Przykro mi. - Wyciągnął dłoń do Staszewskiego, a potem do Krysiaka, żegnając się z nimi.

Kiedy wyszli już na zewnątrz, Krugły podszedł jeszcze na chwilę do Staszewskiego.

- Ma pan szczęście, że pan zasnął, panie Zenonie. A w zasadzie, że się pan wtedy, w nocy, nie obudził - powiedział cicho, lekko poklepując stróża po ramieniu. - Szczęście w nieszczęściu.

- Dlaczego?

- Bo gdyby pan nie spał, to mogłoby się dla pana skończyć dużo gorzej niż palpacją serca. Wyobraża pan sobie, jak Strzębosz wchodzi do pana pomieszczenia, a pan, dajmy na to, ogląda telewizję? Musiałby pana jakoś uciszyć, być może na zawsze. Sam pan wie, że pewne rzeczy często wymykają się spod kontroli. Wystarczy chwila, a tu przecież są emocje, wszystko dzieje się tak szybko...

- Tak pan naprawdę myśli czy po prostu mnie pan pociesza? - zapytał Staszewski. - Tylko szczerze, jak glina glinie.

Krugły spojrział na niego poważnie.

- Strzębosz to bardzo niebezpieczny człowiek. Bardzo.

- Czyli to jednak był on? Mówię o napadzie.

Komisarz milczał przez chwilę. Nie wiedział, jakiego rodzaju służbę w milicji pełnił Staszewski; uczestniczył w dochodzeniach, szlifował krawężniki czy pałował demonstrantów. To nieistotne. Instynkt, doświadczenie albo zdrowy rozsądek dopowiedziały mu to, co pominął Krugły.

- Do widzenia, panie Zenonie - powiedział komisarz z uśmiechem. - Niech pan o siebie dba.

\* \* \*

Krugły z Berdakiem jechali z powrotem do centrum, gadając jeszcze przez jakiś czas o kradzieży radiowozu i jej związku z napadem. W połowie drogi po chwili milczenia Berdak oznajmił nagle:

- Być może coś drgnie w sprawie Michalczyka. - Spojrzał na Krugłego. - Miałeś ten telefon od Bińka, więc nie zdążyłem ci powiedzieć rano, a jak wróciłeś, to już zapomniałem. Rozumiem, że dalej cię to interesuje?

- Owszem. A co się stało? - W głosie Krugłego było umiarkowane, raczej uprzejme zainteresowanie, jednak gdzieś w środku komisarz poczuł lekkie ukłucie niepokoju.

- Garlicka, ta dziwka, którą Michalczyk zaciukał, jest doskonale znana chłopakom z komisariatu Pogodno. Wiedzą, kim była i czym się trudniła. Ale najbardziej obiecujące jest to, że mieszkała z koleżanką, niejaką Poraniewską. Czy raczej Poraniewska mieszkała u Garlickiej. - Machnął ręką. - Nieważne, w każdym razie mieszkały razem...

- Na Rostworowskiego, dobrze pamiętam? - zapytał Krugły od niechcienia.

- Osiemdziesiąt trzy przez cztery. - Jarek pokiwał głową.

Komisarz nie wiedział, na ile ta odpowiedź była odruchowa. Nie patrzył na niego, skupiony na drodze.

- Mniejsza o to - rzucił po chwili na wszelki wypadek, zerkając szybko w bok - I...?

Berdak obojętnie wpatrywał się w przednią szybę.

- Lament zakłada, że być może Michalczyk przyszedł do Garlickiej, a dopiero potem pojechali do niego. To całkiem prawdopodobne. Ona nie miała samochodu ani opiekuna. - Berdak podniósł ręce z palcami wystawionymi w charakterystycznym geście cudzysłowu. - To była cichodajka, a nie luksusowa dziewczyna na telefon. Zabrał ją do siebie, a tam... Więc możliwe, że kiedy Michalczyk przyszedł, to Poraniewska też była w mieszkaniu i go widziała. Będziemy mieli ważnego świadka.

- Po co Michalczyk miałby do niej przyjeżdżać? Przecież on też nie ma samochodu.

- Nie wiem. Może wziął taksówkę?

- Ale po co?

- Nie wiem, Robert, nie męcz mnie. Zapytaj Karola.

- Kiedy Karol chce pogadać z tą Poraniewską? - zapytał Krugły.

- Miał zamiar jechać do niej jak najszybciej, ale wciąż trwają przepychanki z Ołdakowskim, jeśli chodzi o tryb tej rozmowy. Ołdakowski chce ją wezwać do prokuratury, jakby nie mógł odkleić dupska od krzesła i pofatygować

się łaskawie osobiście. Albo chociaż nam zlecić wizytę u niej, żeby było szybciej. Ja wiem, że takie praktyki stosuje się niezwykle rzadko, ale czas to pieniądz, no nie? Choć jak, kurwa, widać, nie dla „świnki morskiej”. Ale jeśli wziąć pod uwagę energię, z jaką zabrał się do sprawy, to może dziwić. Przecież chce dorwać Michalczyka jak najszybciej?

- Widać nie lubi, jak mu się policja wpierdala do śledztwa - mruknął Krugły. - Chce to załatwić po swojemu i u siebie. Poczuć się ważny.

Berdak pokręcił głową. Kilkanaście minut później byli już przed budynkiem komendy. Kiedy Jarek wysiadł z samochodu, Krugły zawołał za nim:

- Jadę jeszcze coś załatwić na miasto, będę góra za godzinkę, kryj mnie!

Dziesięć minut później był na Pogodnie. Podjechał pod górę ulicy Rostworowskiego i zaparkował na chodniku nieopodal placu PCK, jakimś cudem znalazłszy miejsce w rzędzie ciasno zaparkowanych samochodów.

Przez następny kwadrans siedział w aucie i nieświadomie zagryzając dolną wargę, zastanawiał się może nie tyle, co robić, ile jak. Był w rozterce. Miał szansę dowiedzieć się czegoś o Garlickiej, ale zdobycie tych informacji wiązało się ze sporym ryzykiem. Nie był pewien, czy w obecnej sytuacji może je podjąć. To oczywiste, że musiał porozmawiać z tą Poraniewską. I w idiotycznym postępowaniu Ołdakowskiego Krugły upatrywał swoją szansę. Bo to oznaczało, że będzie u niej pierwszy. Tylko jak ją wybadać, nie ujawniając równocześnie swojej prawdziwej roli, a właściwie jej

braku? Nie przewidywał problemu z rozmową, w końcu był policjantem. Ale później, kiedy odbędzie się właściwe przesłuchanie z oficerem prowadzącym oficjalne śledztwo, Krugły mógł mieć problem. Pół biedy, jeśli do Poraniewskiej przyjdzie Karol Lament. Facet jest w porządku, jeśli zacznie potem zadawać Krugłemu niewygodne pytania, jakoś mu wszystko wytłumaczy, coś wymyśli. Dogadają się w każdym razie. Gorzej, gdy kobieta faktycznie dostanie wezwanie do prokuratury. Kiedy Ołdakowski dowie się, że Krugły grzebał w sprawie Michalczyka, nie będzie wesoło. Prywatne śledztwa nigdy nie są mile widziane.

Wreszcie się zdecydował. Co ma być, to będzie, w końcu nie pierwszy raz w karierze ryzykował. Wysiadł z samochodu i ruszył ku wejściu na klatkę schodową odrapanego budynku. I wejście, i klatka, i schody w środku były wąskie i ciasne, jakby ktoś, kto projektował te minimalne przestrzenie, postawił sobie za cel uzyskanie maksymalnych oszczędności kosztem zamieszkujących je ludzi. Coś jak próba wyciśnięcia pół litra soku z połówki pomarańczy. Krugły wbiegł na pierwsze piętro i stanął przed drzwiami pomalowanymi brudną farbą olejną. Tuż przed nosem miał wąską, zardzewiałą tabliczkę. Przeczytał to, co było na niej napisane, a raczej to, co dało się odczytać. Część wygrawerowanych w metalu liter była niewidoczna spod warstwy brudu i z powodu korozji, widać tabliczka wisiała tu od dziesiątek lat. Mili...a Bron...ława. Jak flesz aparatu, wspomnienie z dzieciństwa błysnęło Krugłemu w myślach historią z Kubusia Puchatka, tą o Wstępie Bronisławie, dziadziu Prosiaczka.



Krugły prawie parsknął śmiechem. Opanował się jakoś i wcisnął przycisk dzwonka. Drzwi otworzyła mu niska kobieta około czterdziestki z krótkimi nastroszonymi włosami, mocnym makijażem i widoczną nadwagą. Jej monsturalny biust niemal wylewał się z obszernej i znoszonej bluzki. Głębokie bruzdy między skrzydełkami nosa a kącikami warg mogły świadczyć o ciągłym krzywieniu ust z powodu wiecznego niezadowolenia. Nie musiały, ale mogły, i w tym wypadku Krugły przestał mieć te wątpliwości, kiedy spojrzał jej w oczy. Świadczyły.

Kobieta otaksowała Krugłego nieufnym spojrzeniem i zapytała niskim, chrapliwym głosem, dudniącym jej w gardle, jak zderzające się w powrotnym biegu kule do kręgli:

- Czego pan sobie życzy?

- Policja, dzień dobry.

Bez słowa odsunęła się, robiąc mu miejsce; wszedł więc do środka. Kiedy zamknęła za nim drzwi, Krugły się przedstawił.

- Monika Poraniewska - odpowiedziała i kaszlnęła.

To był kaszel nałogowego palacza. Tłumaczył także barwę jej głosu, zbyt suchą jak na zwykłe przepicie. Stali w ciemnym i ciasnym korytarzyku, mierząc się spojrzeniami. Krugły skonstatował, że jej twarz, a zwłaszcza lekko zadarty nos o szerokich i okrągłych dziurkach, nieodparcie kojarzy mu się ze świnką z jakiejś kreskówki. Pomyślał o celu swej wizyty, żeby zapomnieć o tabliczce „Wstęp Bronisław” i zetrzeć ze swojej twarzy wpełzający na nią uśmiech. Przypomniała mu się

głupawka z dzieciństwa, kiedy nie mógł się opanować podczas jakiejś smutnej uroczystości. Masakra.

- Można? - zapytał Poraniewskiej, wskazując wewnątrz mieszkania.

Przez chwilę zobaczył swoje odbicie w zaśnieżonym lustrze w ramie z tandetnej metaloplastyki, wiszącym na odrapanej ścianie korytarza.

- Proszę. - Poraniewska ruszyła nagle do przodu, obszerne ubranie zafalowało razem z piersiami. - Pan w sprawie Renaty, prawda?

Weszli do małego pokoiku, w którym z wyjątkiem biurka z krzesłem i wąskiego łóżka nie było niczego. Panował w nim zaduch taki sam jak w całym mieszkaniu, brudne okno wychodziło na ulicę. Krugły po chwili wahania wybrał krzesło, Poraniewska usiadła na łóżku. Patrzyła na niego, a on zastanawiał się, jak zacząć rozmowę.

- Tak, ja w sprawie pani Garlickiej - powiedział w końcu. - Wiem już, że panie mieszkały razem... - Utknął.

Poraniewska pomogła mu.

- Byłyśmy przyjaciółkami - poinformowała go. - Bliskimi.

Krugły przywołał na twarz smutny uśmiech.

- Przykro mi - bąknął.

- Mnie też.

Pomyślał, że rozmowa zdecydowanie się nie klei. Miał tylko nadzieję, że Poraniewska nie zechce nagle zapalić. Chyba nie dałby rady.

- Cóż - westchnął - chciałem zadać pani parę pytań...

- Proszę, niech pan zadaje - rzuciła, przerywając mu.

Krugły chrząknął. Ominięcie wstępów było mu nawet na rękę. Nie chciał pytać Poraniewskiej o to, jaka była Garlicka, co lubiła, czego nie i tak dalej. To było teraz nieistotne. Śpieszył się.

- Pytań dotyczących Renaty - dokończył. - W zasadzie chodzi mi o moment, w którym widziała ją pani ostatni raz.

- W Kafe Tango, w sobotę, przed północą - odpowiedziała i zamilkła.

- A... Jakieś szczegóły?

Poraniewskiej nie spodobał się widać ton komisarza, jakim zadał pytanie, choć Bóg mu świadkiem, że nie miał niczego na myśli.

- Padło pytanie, padła odpowiedź - prychnęła.

W jej oczach widać było, że nie darzy szacunkiem przedstawicieli prawa.

- W porządku - odparł Krugły pojednawczo, nie chciało mu się z nią użerać. - Jak to się stało, że panie się tam znalazły?

- Po dwudziestej pierwszej Renia dostała telefon od klienta, z którym była umówiona od jakiegoś czasu. Miała być gotowa na ten telefon. Wyszliśmy więc na postój taksówek i pojechaliśmy na Jagiellońską do Kafe Tango. Tam na nią czekał.

- Jaki klient? Wie pani o nim coś więcej?

- Nie chciała mi za wiele powiedzieć. Zrozumiałam tylko, że najprawdopodobniej chodzi o uwiedzenie kogoś.

Miała komuś dosypać coś do szklanki. Nie wiem po co. Żeby go obrobić, dla kawału, dla szantażu? Zresztą Renia sama ledwo знаła tego gościa, który dzwonił. Wiem tylko, że miał na imię Jacek, tak się do niego zwracała przez telefon. Widziałam go potem w Tangu. Blondyn, krótko obcięty. Skurwysynek.

- Dlaczego Renata nie chciała pani powiedzieć nic więcej?

- Mówiła, że tak będzie lepiej dla mnie. W końcu to miało być jakieś dziwne zlecenie. Za niezłą kasę, ale dziwne. Uprosiłam ją tylko, żeby pozwoliła mi iść razem z nią. Nie chciała się zgodzić, ale obiecałam jej, że nie będę się wtrącać. Po prostu chciałam ją mieć na oku. Czasem tak robiłyśmy. Pilnowałyśmy się wzajemnie, żeby nikt nam krzywdy nie zrobił. Mało to świrów kręci się po świecie? Kiedy przychodził do niej nowy klient, chowałam się w drugim pokoju, żeby w razie czego jej pomóc. I na odwrót. - W uśmiechu, którym go obdarzyła, nie było śladu kokieterii, tylko lód. - Ale chyba się pan zorientował, że Renia i ja uprawiamy ten sam zawód, co? Czy jest pan zdziwiony?

Krugły nie dał się sprowokować.

- Niewiele rzeczy jest w stanie mnie zadziwić. Obawiam się, że pani nie jest jedną z nich. Poza tym moi koledzy z tutejszego komisariatu doskonale panią znają. W końcu jesteście prawie sąsiadami, prawda? Co było potem?

Uśmiech zniknął. Kąciki warg opadły, a sięgające nosa bruzdy znów stały się głębokie jak wąwozy.

- Byłam tam tylko chwilę, może piętnaście minut, bo ten gość podszedł do mnie i z tym swoim wężowym uśmiechem przyklepionym do ryja kazał mi spierdalać do domu. Kiedy wychodziłam, spotkałyśmy się jeszcze z Renią spojrzeciami. Mrugnęła do mnie, że wszystko okej. - Jej oczy zaszkliły się nagle. - Tylko że potem nie było okej...

Krugły popatrzył w okno. Nie lubił kobiecych łez, tych prawdziwych. Kiedy je widział, coś dławilo go w środku. Gdyby nie to, że miał tak od zawsze, pomyślałby, że się starzeje.

- Potrafi pani opisać tego człowieka bardziej szczegółowo?

- Owszem. Konus - był niewiele wyższy ode mnie. Tak jak mówiłam, blondyn obcięty na języka. Miał jasnoszare oczy, takie wodniste, okrągłą głowę, duże usta. Koszulkę polo z postawionym kołnierzykiem, niebieska. Spodni nie pamiętam, nie przyglądałam się. Miał ładne zęby i był opalony.

- Nieźle. - Krugły był zaskoczony.

Większość ludzi nie potrafi poprawnie opisać osoby, z którą widziała się dziesięć minut wcześniej przez pół godziny, a tu proszę...

- Nawyk - powiedziała krótko Poraniewska. - Żeby w razie draki móc później opisać klienta. Wie pan, gdyby coś przyszło mu do głowy. Na przykład zapomnieć zapłacić czy próbować pobić. Jak widać przydało się, tylko trochę za późno. - Delikatnie otarła kącik oka knykiem małego palca.

Krugły rozejrzał się po pustych ścianach z obłazającą tapetą w skocznych, choć wyblakłych barwach. Uznał, że musiało tu mieszkać kiedyś dziecko.

- Pamięta pani coś jeszcze? - zapytał, kończąc powoli rozmowę.

- Tak. - Zawahała się. - Wydaje mi się, że był z nim, z tym Jackiem, ktoś jeszcze... Ale nie jestem pewna.

- A skąd w takim razie to wrażenie?

- Kiedy byłam na fajce na zewnątrz, wydawało mi się, że ten gnojek z kimś rozmawia. Ale było już ciemno, więc niewiele widziałam. Nie wiem nawet, czy to była kobieta, czy mężczyzna. W każdym razie ktoś wysoki. To tyle.

Krugły wstał z krzesła.

- W porządku. Bardzo pani dziękuję. Chciałbym panią jeszcze uprzedzić, że zostanie pani najprawdopodobniej wezwana do prokuratury lub będzie przesłuchana oficjalnie przez innego policjanta tutaj, w pani... w mieszkaniu pani Garlickiej. Proszę opowiedzieć wszystko to, o czym powiedziała pani mnie.

Poraniewska spojrzała na Krugłego zdumiona.

- Jeszcze raz? Po cholere? Wy nie macie co robić?

Komisarz spojrzał w sufit, szukając natchnienia.

- Przykro mi, takie są procedury. Powiedzmy, że jestem kimś w rodzaju gliniarza pierwszego kontaktu. Pracuję na gorąco, póki tropy są jeszcze świeże, bo później krótka i zawodna ludzka pamięć zaciemnia obraz sprawy. Widziała pani, że nie robiłem nawet notatek, a do akt śledztwa potrzebne są protokoły...

Nic lepszego nie przyszło mu do głowy, a nie przypuszczał, żeby Poraniewska była zorientowana w tych sprawach. Jej kontakt z prawem ograniczał się zapewne do sporadycznych przymusowych pobytów w sądzie grodzkim.

- Skoro tak... - mruknęła, wzruszając ramionami. - Tylko musicie się pośpieszyć, jeśli chcecie przyjść do mnie. To mieszkanie komunalne, tylko Renia była tu zameldowana. Pewnie za parę dni już mnie tu nie będzie...

- Weźmiemy to pod uwagę. Jeszcze raz dziękuję. - Krugły skinął głową i dodał po chwili, wychodząc z pokoju: - Bardzo mi przykro z powodu pani Garlickiej...

Poraniewska spojrzała za nim ponurym wzrokiem.

- Nie musi się pan wysilać, naprawdę.

- Nie wysilam się. - Krugły odwrócił się do niej w drzwiach. - Tak trudno to zrozumieć?

Jej wzrok nie zmienił się ani na jotę, więc komisarz zszedł jej z oczu.

- Coś takiego - usłyszał jeszcze pełen szyderstwa głos. - Ktoś żałuje zarżniętej dziwki?

- Nie dziwki, krowo - warknął do siebie. - Człowieka.

Kiedy wyszedł na zewnątrz, odetchnął głęboko, oczyszczając płuca z nieświeżego powietrza, którym oddychał przez ostatnie dziesięć minut. Z ulgą wszedł do samochodu i pojechał do komendy na spotkanie z Bińkiem. Po drodze zadzwonił Rulewski z Alfa Secure. Dyrektor przekazał dziwną informację: w pracy nie pojawił się jeden z pracowników firmy. Nie można było się z nim skontaktować. Był to kolejny klocek do układanki

o nazwie „napad”, a wnioski, zwłaszcza wobec analogii ze sprawą Strzębosza, w zasadzie nasuwały się same.

Facet był licencjonowanym pracownikiem ochrony i pracował w Alfie jako konwojent.

## *Wtorek, 21 maja, wieczór*

Strzębosz powoli odzyskiwał przytomność. Zamrugął, czując, jak mózg płata mu figle, wysyłając sygnał o zmianie pozycji. Przecież, kurwa, leżał bez ruchu na podłodze! Głowa z boku pulsowała tęnym bólem, czuł na twarzy i szyi coś mokrego. Był cały zdrętwiały i przemarznięty. Poczł mdłości. Uniósł głowę i ten nieostrożny ruch wywołał torsje. Zapadł w ciemność na kilka następnych minut. Kiedy się ocknął, nie był już taki chętny do wstania z podłogi. Widok, który miał przed oczami, nic mu nie mówił. Betonowa posadzka, stalowe, odrapane słupy podtrzymujące takie same kratownice, ściany z dużymi, zabrudzonymi przeszklzeniami, w którym brakowało większości szyb... Był chyba w jakiejś hali. Leżąc na zimnej posadzce, mrugał powiekami i składając fragmenty zdarzeń, usiłował sobie przypomnieć, co się stało, oraz uświadomić, co dzieje się w tej chwili...

Pamiętał napad.

Wszystko poszło świetnie, po prostu świetnie! Łysy był niesamowity. Miał łeb na karku i potrafił przewidywać. Wszystko, co zaplanował, sprawdziło się. Reakcje konwojentów, forsa, droga ucieczki... Przed oczami stanął mu radiowóz pogrążający się w ciemnej mętnej wodzie porośniętego rzęsą kanału, w ustronnym miejscu, gdzieś



w okolicach Ustowa. Pamiętał widok w tle: przerzucony nad Odrą most autostrady poznańskiej. Proponował Łysemu, żeby spalić samochód, ale on twierdził, że słup dymu będzie za bardzo widoczny i zaraz kogoś zaalarmuje. W sumie miał rację. Kurwa, zawsze miał rację! Zastanawiał się przedtem, czy Łysy dałby radę wykonać plan bez niego. Pewnie nie - to przecież on wpadł na pomysł zwinięcia radiowozu z warsztatu zamiast zabawy w wiejski tuning za pomocą farby w sprayu. A może to Łysy wybrał go właśnie dlatego, że pracował w takim warsztacie? W każdym razie nie miał wątpliwości, że mózgiem był Łysy, więc tym bardziej układ o podziale forsy fifty-fifty budził w nim uczucie wdzięczności. Najwyraźniej potrafił docenić zaangażowanie. No i było co dzielić...

Pamiętał, jak skakali z radości wokół worka z kasetami nominałowymi, wypełnionymi forsą. Mnóstwem forsy. Mieli mało czasu - tylko tyle, by się przebrać, zapakować kasety do skrytki w ścianie ładowni mercedesa vito na niemieckich numerach i spierdalać w stronę granicy. W Venlo w Holandii czekał już umówiony człowiek, który miał im zamienić zrabowane złotówki na euro. Kurs, z oczywistych względów, był niezbyt korzystny, ale i tak suma, którą mieli zainkasować, pozostawała pokaźna.

Pamiętał, jak Łysy mu dziękował. Jak wyciągnął dłoń i z szerokim uśmiechem na twarzy podszedł do niego, mówiąc po prostu: „Dzięki, Jacek!”.

I kiedy Strzębosz w końcu przypomniał sobie uśmiechniętego Łysego, tę wyciągniętą dłoń i teleskopową pałkę, pojawiającą się nagle w drugiej ręce,

wrzasnął z wściekłości. Zerwał się gwałtownie z ziemi i poczuł, jak kręci mu się w głowie. Zatoczył się i zrobił krok w stronę, w którą się zachwiał, żeby zachować równowagę. W tej samej chwili potknął się o własną stopę i wywrócił, uderzając zuchwą w stalowy słup. Ekspłodowało mu pod czaszką i ponownie stracił przytomność.

\* \* \*

Kiedy Strzębosz się ocknął, na dworze było już ciemno. Do środka wpadało trochę światła mocnych lamp zamontowanych gdzieś na zewnątrz. Wciąż szumiało mu w głowie, ale mógł już podnieść się i stanąć na nogach. Na wszelki wypadek usiadł jednak z powrotem na posadzce i oparł się plecami o słup. Objął głowę rękami i zaczął kombinować, co robić.

Wiedział już, gdzie był. W Stobnie - w starej hali, którą Łysy wynajął miesiąc temu i w której szykowali skrytkę w mercedesie. Hala była podzielona kartonowo-gipsowymi przepierzeniami na spore boksy. Pamiętał, że w jednym z nich, niedaleko, nocowali Ukraińcy, którzy pracowali nielegalnie na jakiejś budowie w Szczecinie. W jeszcze innym znalazł kiedyś pudła z butami i T-shirtami znanych marek. Wszystkie były podróbkami i zniknęły tuż przed nalotem funkcjonariuszy Izby Celnej i Straży Granicznej. Właściciel pudeł albo miał nieliczne szczęście, albo niezłe wtyki.

Strzębosz zdążył się zorientować, że został z niczym, może prócz zakurzonego ubrania: ciemnych spodni

i czarnej koszulki z napisem POLICJA na plecach. W tym stroju na pewno nie mógł pojawić się na mieście. Przeszukał kieszenie spodni, znalazł telefon i portfel. Więc jednak coś! Portfel był pamiątką od kumpla, którą ten przywiózł mu ze Stanów. Cieniutka koperta poczty lotniczej ze znaczkiem i pieczętkami, będąca w rzeczywistości plastikowym, zabawnym portfelikiem. Aż krzyknął z radości. Parę setek, które zdołał wydłubać z jednej z kaset w czasie, gdy Łysy odsłaniał skrytkę, wciąż w nim bezpiecznie tkwiło. Za to mógł przeżyć kilka dni, aż coś sobie zorganizuje. Metę, auto...

Zastanawiał się, dlaczego Łysy go nie zabił. Nie chciało mu się wierzyć, że uderzył zbyt słabo albo w pośpiechu nie upewnił się, że nie żyje. Łysy nie był głupi i w związku z tym nie popełniał głupich błędów. Myśl, która nagle przyszła Strzęboszowi do głowy, była porażająca. Czyżby zostawił go psom na przynętę? Wspominał kiedyś Łyseму, że jakby co, będzie uciekał i bronił się, dokąd starczy mu inwencji i sił. Więc to dlatego... Skupią się na nim, a zanim go złapią, Łysy już dawno będzie w Holandii, załatwi wymianę i wyfrunie chuj wie gdzie.

Zacisnął zęby. Łysy popełnił jednak błąd, zostawiając go przy życiu. I będzie gorzko tego błędu żałował, kiedy go już dorwie. Nieważne kiedy i gdzie, resztę życia poświęci na znalezienie skurwysyna. Rozejrzał się dookoła. Goła posadzka, kilka kałuż, ściany pokryte plamami grzyba, widocznymi w sztucznym świetle wpadającym przez długie pasy brudnych okien. Wstał i ruszył w kierunku wyjścia z boksu. Przeszedł wąskim korytarzykiem, odbijając się od ścian jak pijany. Czuł się

fatalnie - coś pomiędzy najpotężniejszym chlaniem w życiu a równie wielkim kacem. Staął, oparł się ręką o ścianę i pochylając się, wymiotował żółcią. Chciało mu się pić, czuł, że zaraz upadnie. Wyszedł na zewnątrz i kilka minut oddychał rześkim powietrzem. A potem zobaczył starego golfa trójkę. Tym złodem Ukraińcy codziennie jeździli do roboty. Pakowali się do niego w pięciu i z samego rana pruli do Szczecina, by wrócić do swej nory po dwudziestej drugiej. Strzębosz uśmiechnął się szeroko. Jedną z najprostszych rzeczy na świecie, przynajmniej dla niego, było odpalenie golfa „na krótko”. Samochód nie był zamknięty, ale Strzębosz nie widział w tym nic dziwnego - ze względu na stan zamka i klamki po prostu nie dało się go zamknąć. Cicho otworzył drzwi od strony pasażera i położył się na siedzeniach - w środku śmierdziało potem i starym jedzeniem. Golf zaparkowany był na szczęście blisko ściany, na której wisiała jedna z lamp, światła miał więc pod dostatkiem. Wyciągnął spod kierownicy pęk kabli i obejrzał je. Wyszarpnął z kostki właściwe i rozejrzał się po wnętrzu samochodu. Potrzebował czegoś do spięcia kabli. Wśród mnóstwa walających się po podłodze śmieci znalazł to, czego szukał: śrubokręt; stary, tępy, z ukruszonym uchwytem, ale w zupełności wystarczający do odpalenia. Udało się. Po chwili silnik już rzeził, a on gorączkowo sadowił się w fotelu kierowcy. Ruszył czym prędzej, chcąc zdążyć, zanim Ukraińcy połapią się, że podprowadził im wóz. Wyjechał na drogę prowadzącą w stronę Gumieniec i uspokoił się trochę. W głowie dalej mu szumiało, musiał prowadzić ostrożnie. Mimo że uważał, kilka razy zjechał

na pobocze. Ciemność nie pomagała, niewiele widział w słabym świetle reflektorów volkswagena.

Kilka kilometrów dalej zatrzymał się na poboczu. Coś swędziało go na czole. Zapalił lampkę na podsufitce i zerknął w lusterko wsteczne. Zobaczył, że połowę twarzy ma pokrytą zaschniętą krwią. Potarł skórę na policzku i brunatne płatki odpadły. Resztę zmasał poślinionym palcem i wytarł rąbkiem podkoszulka. Potem odwrócił się w fotelu i wziął z tylnego siedzenia przepoconą koszulkę polo jednego z Ukraińców. Była śmierdząca, o wiele za duża, brudna od gipsowego pyłu i pochłapana cementem, ale przynajmniej nie miała na sobie napisu POLICJA. Wysiadł i oddychając świeżym, chłodnym powietrzem nocy, przebrał się, a swój T-shirt wyrzucił w przydrożne krzaki. Potem wsiadł do golfa i ruszył przed siebie.

Postanowił pojechać do domu. Nie miał wyjścia. To podobno ostatnia rzecz, którą należy zrobić, kiedy się jest poszukiwanym, ale nie pozostawało mu nic innego. Zresztą czy kilkanaście godzin po napadzie policja ogarnęłaby się na tyle, żeby ustalić jego rysopis, nie wspominając o nazwisku? Nie wiedział tego, ale musiał zaryzykować. Wciąż miał mdłości i bolała go głowa, szczęka też pulsowała, jakby ktoś przepuszczał przez nią prąd. Przetarł oczy i skupił się na drodze.

Podróż skończyła się już na Okulickiego. Musiał się na chwilę zdekoncentrować albo może nawet przysnąć, bo otarł się o samochody zaparkowane na chodniku, następnie zahaczył o jeden z nich i zatrzymując się nagle, z impetem walnął w kolejny. Zapięte pasy uratowały go przed kolejną kontuzją, a może czymś gorszym. I tak

prawie zemdłał, kiedy poczuł, jak jego mózg niemal obraca się w czaszce od szarpnięcia, ale w nic przynajmniej nią nie przyłożył. Odpiął pas i wysiadł. Chwiejnym krokiem przeszedł na drugą stronę samochodu, żeby ocenić straty. Zobaczył, że wygięta blacha błotnika wcisnęła się w oponę. Nie miał szans na dalszą jazdę. Rozejrzał się w panice dookoła.

- Halo, wszystko w porządku? - usłyszał nagle czyjś głos.

Drgnął i zachwiał się.

- Patrz, facet jest pijany! - drugi głos, wyższy, był zdziwiony. - Ej, ty, chyba nie chcesz uciekać, co?

W świetle latarni zobaczył dwóch młodych mężczyzn w strojach joggingowych. Na ramionach w przezroczystych etui świeciły smartfony z włączoną aplikacją Endomondo.

- Dajcie mi, kurwa, spokój - wymamrotał.

Odwrócił się, rozejrzał po ulicy, czy nic nie nadjeżdża, i ruszył przed siebie.

- Stój, gnoju! - usłyszał. - Maciek, dzwoń po policję! Artura hondę rozjebał, widziałeś? Gościu, lepiej się zatrzymaj albo ci pomogę, ale wtedy będzie bolało!

Szedł dalej, nie zwracając na nich uwagi. Słyszał, jak jeden idzie za nim. Drugi, ten który został na chodniku, mamrotał coś do telefonu zdenerwowanym głosem. Iść. Trzeba iść, jak najdalej. Trzeba...

Kiedy poczuł na ramieniu dłoń tamtego, odwrócił się, biorąc zamach. Nie zdążył nic zrobić, tamten był przygotowany. Nie miał sił walczyć, chociaż chłopak wcale nie chciał go bić. Nie musiał. Strzębosz poddał się

obezwładniającemu chwytowi, grzecznie kładąc się na chodniku. Miał dość. Odpłynął...

\* \* \*

Wrócił do rzeczywistości, kiedy poczuł silne szarpnięcie. Otworzył oczy i zobaczył niebieskie błyski na elewacji budynku, który miał przed sobą. Przez chwilę jeszcze nie wiedział, co się dzieje.

- Wstawaj, kolego - usłyszał.

- To zejdź ze mnie... - wystękał, ledwo otwierając wyschnięte na wiór usta.

Poczuł ulgę, kiedy ucisk na plecach zelżał. Ktoś pomógł mu wstać, niezbyt delikatnie. Zachwiał się, chciał wyciągnąć ręce przed siebie, żeby w razie czego się podeprzeć, ale te zostały z tyłu. Poczuł na nadgarstkach chłód stali. Przed nim stało dwóch policjantów z patrolu, ubranych jak filmowe robocopy i tak samo jak one potężnych. Spuścił głowę. Jeden z nich podetknął mu pod nos alkomat.

- Dmuchaj - polecił spokojnym, ale nie znoszącym sprzeciwu tonem. - Mocno i jednostajnie, aż powiem „już”.

Zrobił, co mu kazano.

- Zero, zero. - Funkcjonariusz spojrział na niego nieco łagodniej. - Dobrze się pan czuje?

Strzębosz pokiwał głową, nie ryzykując spojrzenia mu w twarz.

- Co się panu stało? - zapytał ten drugi.

- Ktoś mnie pobił... - odpowiedział cicho.
- Jak pan się nazywa?
- Strzębosz - palnął, zanim zastanowił się, co mówi.
- Chce pan, żebyśmy wezwali karetkę?
- Nie. - Gwałtownie pokręcił głową. - Nie trzeba.

Wszystko w porządku - dodał jeszcze, już ciszej.

Nie cierpiał szpitali, to było ostatnie miejsce, w którym chciał się znaleźć.

- Na pewno w porządku? - zapytał policjant, wskazując na rozbitego golfa. - W takim razie co tam się stało?

Strzębosz nie odpowiedział, usiłując zebrać myśli.

- Dobrze, panie kierowco, poproszę dokumenty, prawo jazdy i dowód rejestracyjny pojazdu.

- Nie mam. Zapomniałem... W domu zostały, znaczy... Albo mi ukradli, nie pamiętam... - plątał się.

Drugi z policjantów spojrział na niego z ukosa, potem przeszedł na drugą stronę ulicy i zajrzał do golfa. Po chwili wrócił, a na jego twarzy widać było jakąś dziwną radość.

- Tak myślałem, spięty na krótko - wyjaśnił koledze. - Zabieramy go.

W tej samej chwili Strzębosz doszedł do wniosku, choć nieco spóźnionego, że powinien być jednak zażądać karetki. W końcu łatwiej zwiąć ze szpitala niż z aresztu...

Policjanci go przeszukali. Zabrali mu smartfon, ale nie znaleźli portfeli. Śmiał się w duchu. Wybrzuszenia w spodniach, które tworzył spoczywający w lewej kieszeni telefon, nie dało się ukryć, ale miękki i w dodatku prawie pusty portfel przylegał do ciała jak druga skóra. A facet



nigdy nie przeszuka dokładnie drugiego faceta w okolicy jego genitaliów, zwłaszcza kiedy kieszenie spodni sięgają tak głęboko. Odruchowo, z grzeczności, z obrzydzenia, z obawy przed posądzeniem o inklinacje homoseksualne, czy z jakiegokolwiek innego powodu – ale nie, i już.

Kilkadziesiąt następnych minut skuty Strzębosz czekał w radiowozie na ekipę kryminalistyczną i lawetę, która miała odholować golfa. Pluł sobie w brodę i myślał, co dalej. Po chuj im powiedział, jak się nazywa, co mu strzeliło do łba? Był świadom tego, że po uderzeniu w głowę, które spowodowało chwilowy bezwład, nie był sobą. Nie da się cofnąć tego, co się powiedziało, miał już jednak pewien pomysł. Nawet jeśli jakimś cudem znajdą portfel, oprócz tych kilku setek nie było w nim niczego, co mogłoby świadczyć o jego tożsamości. Musiał odwlekać identyfikację tak długo, jak się dało, aż wymyśli coś lepszego. A na razie konsekwentnie trzymać się tego, co wykombinował przed chwilą...

\* \* \*

Był środek nocy. Strzębosz, wciąż z kajdankami na rękach, choć teraz spiętymi już z przodu, siedział przy biurku naprzeciw zmęczonego policjanta.

Odmówił badania lekarskiego, twierdząc, że czuje się świetnie. Patrzył tępo w podłogę, ale jego mózg pracował na najwyższych obrotach. Ratował się z całych sił przed identyfikacją. Jak do tej pory nigdy jeszcze nie przechodził procedury daktyloskopijnej, więc kiedy policjanci zdjęli mu odcisk palca, skanując opuszkę na urządzeniu

Morfotouch, system nie wykazał, że jest notowany lub poszukiwany. Dzięki temu na wyświetlaczu nie pojawiły się jego dane osobowe. Był już prawie pewien, że jego plan może wypalić.

- Imię i nazwisko? - pytał funkcjonariusz znudzonym tonem, powtarzając po raz tysięczny znaną mu do wyrzygania procedurę.

- Bartłomiej Strzębosz.

- Data urodzenia?

- Dziewiętnasty... Nie, siedemnasty lipca tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt... jeden.

- Pesel?

Strzębosz podniósł głowę i poczęstował policjanta spojrzeniem debila. Za cholereę nie znał peselu Bartka, własnego też nie, jak zresztą większość ludzi. Tak naprawdę, swojego brata też już prawie nie znał, wiedział tylko, że dwa lata temu wyjechał do Irlandii do roboty i tyle go z matką widzieli. To mu wystarczyło. Funkcjonariusz nawet nie mrugnął okiem znad klawiatury starego komputera.

- Imię ojca?

- Stanisław.

- Matki?

- Matylda.

- Adres zamieszkania?

Odpowiadał na pytania monotonnym głosem, takim samym, jakim były zadawane. Kiedy policjant skończył, wyszedł gdzieś, niczego nie wyjaśniając i zostawiając go samego. Strzębosz zastanawiał się, czy nie zwiać,

stwierdził jednak, że psy nie mogą być aż takimi debilami, żeby miał na to szansę. To, że siedział tu teraz sam, nie oznaczało, że ma wolną drogę. No i był w kajdankach. Przez chwilę jeszcze bił się z myślami, ale w końcu dał sobie spokój.

Kilka minut później policjant, który go wcześniej przesłuchiwał, wszedł do pokoju. W rękę trzymał jakiś papier. Patrzył na Strzębosza z politowaniem.

- Po co ci była ta kradzież, człowieku? Uzbierało się, dołożą ci tylko do wyroku za te alimenty... - Kręcił głową.

Strzębosz spojrzał na policjanta zdziwiony, coś ścisnęło go w brzuchu.

- Że co? - zapytał, unosząc brwi.

Policjant spojrzał na trzymany w rękę dokument.

- Zostaje pan zatrzymany w związku z poszukiwaniem przez prokuraturę rejonową...

- Za co znowu?! - krzyknął zaskoczony, przerywając mu.

Policjant spojrzał na niego lekko rozbawiony.

- Artykuł dwieście dziewięć kodeksu karnego, o treści: „Kto uporczywie uchyla się od wykonania ciężącego na nim z mocy ustawy lub orzeczenia sądowego obowiązku opieki przez niełożenie na utrzymanie osoby najbliższej lub innej osoby i przez to naraża ją...”.

Kurwa! - jedynie przyszło mu do głowy. Powód pośpiechu, z jakim Bartek pewnego marcowego dnia opuszczał Szczecin, stał się nagle jasny i zrozumiały. Strzębosz, kiedy minął pierwszy szok, dziwił się tylko jednemu: ani matka, ani on, nie wiedzieli, że Bartek zrobił

bachora. Nikt nigdy w tej sprawie na Pięknej się nie pojawił...

- Kwestię kradzieży samochodu wyjaśnimy później, kiedy skontaktujemy się z jego właścicielem. Jutro... - policjant odruchowo spojrział na zegarek - dzisiaj zostanie pan przewieziony do sądu, który zdecyduje o pana tymczasowym aresztowaniu.

Strzębosz zwiesił głowę, niemal słysząc, jak Łysy nabija się z niego gdzieś tam z Holandii. W ciągu niecałej doby z upojonego wizją cudownego życia milionera stał się więźniem, poszukiwanym za coś kompletnie innego niż to, co faktycznie zrobił, a do czego w dodatku nie przyłożył ręki, czy może raczej kutasa. Dno. Gorzej już być nie mogło. Chociaż, jeśli spojrzeć na tę sprawę z drugiej strony, nie mógł wymarzyć sobie lepszego miejsca na ukrywanie się przed policją. W końcu najciemniej jest pod latarnią! Trzeba tylko trzymać się swojej wersji, a potem się zobaczy... Istniało jednak pewne niebezpieczeństwo. Nie wiedział, czy wsadzą go od razu, czy będą jakieś rozprawy, na których pojawi się ta pinda, co to ją Bartek zapłodnił. Jeśli tak, to już po nim. Przecież nie powie jej przy wszystkich: „Ej, mała, weź nie mów, że ja to nie mój brat, dobra?”.

Doszedł do wniosku, że nie ma co się zastanawiać nad czymś, o czym się nie ma pojęcia. Niech wszystko toczy się swoim torem. Teraz chciał już tylko spać...

*Środa, 22 maja*

Strzębosza obudził chrzęst łańcucha i metaliczny stuk elementów zamka w otwieranych przez policjanta drzwiach pokoju. Wstał powoli z pryczy, usiadł na jej krawędzi i przeciągnął się, a potem przetarł zaspane oczy. Po podłym śniadaniu, które mimo braku jakichkolwiek walorów smakowych wtrząchnął w kilkanaście sekund, położył się na pryczy i znów zasnął. Nie wiedział, jak długo spał, kiedy obudziły go te same dźwięki zamka i łańcucha.

- Dawaj, dawaj, to nie hotel - usłyszał za plecami zniecierpliwiony głos funkcjonariusza.

Wciąż leżąc, odwrócił się i odruchowo obrzucił policjanta niemal nienawistnym spojrzeniem. Nagle uświadomił sobie, w jakiej sytuacji się znajduje. Wzrok mu spotulniał, wstał z pryczy i z udawaną pokorą spuścił głowę. W milczeniu minął funkcjonariusza i wyszedł na korytarz, odruchowo macając się po kieszeni spodni i upewniając się, że portfel wciąż w niej tkwi. Tkwił. Przyda mu się już niedługo.

Znów nie mógł uwierzyć w swoje szczęście, kiedy w nocy, po przesłuchaniu ponownie go obszukano, i znów gliniarz starannie ominął krocze i pachwiny, ledwo muskając biodra i wewnętrzną stronę ud. Kiedy zaproponowali mu ubranie zastępcze, odmówił. Jeszcze by mu dali jakiś pomarańczowy drelich... Teraz wystarczyło poczekać na sposobność.

Znów skuli mu ręce. Czekał, aż policjanci wymienią się ostatnimi papierami, a potem został wyprowadzony na dziedziniec, na którym czekał już radiowóz. Dwóch policjantów wprowadziło go do środka. Drzwi zasunęły się

i z dziedzińca komendy powoli wyjechali na Starzyńskiego. Kilkanaście minut później byli już w prokuraturze rejonowej na Wawrzyniaka.

Przesłuchanie było formalnością, a list gończy wystawiony w związku z zarzutami o uchylanie się od obowiązku alimentacyjnego nie pomógł. Prokurator przygotował wniosek o tymczasowe aresztowanie i wkrótce potem Strzębosza przewieziono do Sądu Rejonowego Szczecin-Prawobrzeże i Zachód.

\* \* \*

Telefon, jaki Krugły odebrał z samego rana od kolegi, pełniącego służbę oficera dyżurnego KWP, dał mu gorącą nadzieję, że już wkrótce sprawa Strzębosza skończy się sukcesem.

Wczorajsza wizyta policji w miejscu jego zamieszkania niczego nie dała. Berdak rozmawiał z matką Strzębosza. Nie powiedział jej, w jakiej sprawie przyszedł, pytał tylko o Jacka, udało mu się nawet obejrzeć mieszkanie. Dowiedział się za to, że dwa lata temu zniknął z jej życia drugi syn. Wyraziła nadzieję, że Jacek nie wmieszał się w nic poważnego, co skutkować będzie zostawieniem jej samej na tym świecie na kilka kolejnych lat. Berdak tylko uspokajająco kiwał głową i na tym wizytę zakończył. Ptaszek wyfrunął, ale oczywiście przy ulicy Pięknej dyskretnie ulokowała się ekipa obserwacyjna.

Ten dzień był drugim dniem śledztwa Krugłego, a przecież już od wczoraj znał tożsamość jednego ze

sprawców. Kiedy usłyszał, w jakiej sprawie dzwoni Sylwek Karpowicz, pomyślał, że jest dobrze.

- Cześć, Robert, słuchaj, szukacie tego Strzębosza, tak?

- Owszem.

- Dziś miałem nockę i zwróciłem uwagę na ten komunikat od dyżurnego komendy miejskiej: wczoraj późnym wieczorem zatrzymano jego brata. Wpadł na gorącym uczynku, na kradzieży samochodu. Siedzi teraz na PdOZ-cie. Pomyślałem, że może cię to zainteresować, więc dzwonię.

- I bardzo dobrze, że dzwonisz - powiedział Krugły pogodnie - bo rzeczywiście mnie zainteresowałaś...

Była to prawda. Powrót brata mógł się wiązać z napadem i oznaczać, że Strzęboszowie zrobili go wspólnie. Bo czemu nie? Wciąż nie miał pewności, kim był drugi sprawca, więc dobrze byłoby to sprawdzić. A nuż?

Krugły podziękował koledze i podszedł do pokoju Jarka Berdaka, żeby go wyciągnąć na dół. Pomieszczenie dla Osób Zatrzymanych komendy miejskiej zlokalizowane było w ich budynku w północnym skrzydle.

Kiedy już tam dotarli, Krugły przedstawił się pełniącym dyżur sierżantowi i starszemu posterunkowemu z Referatu Ochronnego i zapytał o Strzębosza.

Sierżant pokiwał głową.

- Był taki jeden, młody, zatrzymany za kradzież samochodu.

- Był? To już nie jest?

- Pojechał do prokuratury. Okazało się, że wystawiono za nim list gończy.

- Jaki zarzut? - zapytał Krugły.

- Alimenty.

Komisarz uniósł brwi.

- Poproszę książkę ewidencji zatrzymanych - rzucił i zacisnął zęby, kiedy funkcjonariusz leniwym ruchem zaczął przerzucać papiery na półce pod kontuarem.

- Dawaj, człowieku, dawaj! - podniósł głos, popędzając go.

Kiedy dostał zeszyt, przekartkował go i otworzył na ostatniej zapisanej stronie.

- Strzębosz Bartłomiej. - Wskazał palcem samotny wpis.

- To on - potwierdził sierżant. - Był dziś jedyny, mieliśmy spokojną noc. Od lat takiej nie pamiętam...

- Wrócił do domciu i nie powiedział mamusi? - wtrącił Jarek ze zdziwieniem.

- Patrz, jaki kochany synuś... - rzucił Krugły i zwrócił się do sierżanta. - Jak to było?

- Przywieźli go w środku nocy po tym, jak na Okulickiego wyrznął kradzionym autem w słup czy inny samochód. Nie miał przy sobie żadnych dokumentów. Był pobity, ale niezbyt mocno, i nie chciał lekarza. Sprawdziliśmy na Morfo - nienotowany. Dopiero kiedy podał swoje dane, to wyszło, że jest poszukiwany. Sam się chyba zdziwił...

Krugły zwrócił uwagę na zapis: „Decyzja w zakresie objęcia osoby szczególnym nadzorem - pozytywna”.



Sierżant to zauważył.

- No co, panie komisarzu, w końcu zwykły alimenciarz - rzucił ponuro sierżant. - Był grzeczny, nie rzucał się, współpracował...

- Przecież nic nie mówię - mruknął Krugły. - Miał coś przy sobie? Pliki setek i pięćdziesiątek, na przykład?

- Tylko telefon.

- Żadnej grubszej gotówki?

- Nie. Nic. Nawet dwóch złotych. Tylko iPhone.

- Hmm... Gdzie teraz jest ten telefon?

- Na razie jeszcze w depozycie. Zatrzymany pojedzie pewnie do sądu i potem do aresztu. Czekamy na decyzję prokuratora.

Krugły znów zerknął na Jarka.

- A pokażcie mi ten telefon na chwilę, dobra?

Sierżant spojrział zdziwiony na posterunkowego. Wstał i wyszedł z pomieszczenia, znikając za jakimiś drzwiami. Po chwili zjawił się z powrotem, trzymając w rękę brązową kopertę. Otworzył ją i podał Krugłemu iPhone'a. Policjanci patrzyli z lekkim zaskoczeniem, jak komisarz zaczyna coś przy nim kombinować. Wszedł w listę kontaktów i przesunął pasek nawigacji do litery „M”. Spojrzął na Berdaka.

- No to zobaczymy, co mamusia na to... Wiedziała czy nie?

Puknął w wyświetlacz palcem i przyłożył telefon do ucha. Po kilku sygnałach usłyszał głos starszej kobiety:

- Halo?

Nie odezwał się, tylko czekał.

- Halo? - Głos stał się zniecierpliwiony. - Co się wygłupiasz? Co się stało? Gdzie ty znowu jesteś?

Krugły odsunął telefon od ucha i zasłonił mikrofon dłonią.

- Jeśli kłamała na temat Bartłomieja, to może w przypadku Jacka też trochę minęła się z prawdą? - Mrugnął do Jarka.

Przyłożył telefon z powrotem do ucha.

- Tu mówi policja - powiedział urzędowym tonem. - Z kim rozmawiam?

- Skąd pan ma telefon syna? - Zniecierpliwienie przeszło w zdenerwowanie.

- Syn został zatrzymany.

Westchnienie kobiety usłyszeli chyba wszyscy w pomieszczeniu.

- Co zrobił?

- Ukradł samochód, spowodował wypadek, w dodatku był poszukiwany za uchylanie się od obowiązku alimentacyjnego.

- Jezus, Maria...

- Naprawdę nie miała pani pojęcia, że syn wrócił? Jeszcze wczoraj twierdziła pani, że wyjechał za granicę i nie ma pani z nim kontaktu.

- Nie rozumiem... Kto wrócił? Bartek!? Czy... Czy to jakiś żart? Czy może mi pan dać do telefonu Jacka?

- Dlaczego pani sądzi, że Jacek jest koło mnie?

- Jak to dlaczego? To jakim cudem, na miłość boską, dzwoni pan z jego telefonu? Skąd pan go wziął?

Krugły aż otworzył usta ze zdumienia. Popatrzył na smartfon, potem rozłączył się bez pożegnania i spojrzał lodowato na Berdaka.

- O co tu, kurwa, chodzi!?! Jedziemy do prokuratury! - Ruszył do wyjścia.

Zatrzymał się jeszcze na chwilę w drzwiach. Odwrócił się i zza stojącego przy nim Jarka pomachał telefonem sierżantowi.

- Zabieram to na jakiś czas!

- Zaraz, panie komisarzu, jak to? Przecież trzeba mu to zwrócić! Niech mi pan jakieś pokwitowanie podpisze chociaż czy co?

- Formalności potem - uciął zdecydowanym tonem wszelkie dyskusje Krugły.

Wybiegli z Berdakiem z komisariatu.

- Cwaniak jeden - wydyszał Jarek, kiedy truchtali do samochodu. - Podał się za swojego brata!

- To wiem. Chodzi mi o to, co on jeszcze robi w Szczecinie? Daje się złapać, zamknąć, podaje się za brata, który jest poszukiwany... To jakiś zawily, misterny i chytry plan czy komedia pomyłek, bo sam już nie wiem? Odnoszę dziwne wrażenie, że gość się z nami zabawia. A nie lubię tego...

Wsiedli do samochodu.

- No to zaraz się wszystkiego dowiesz - pocieszył Krugłego Berdak i zapytał: - Nie wołamy „kominiarzy”?

- Po co? - Komisarz wzruszył ramionami i z piskiem opon zawrócił w stronę Bramy Królewskiej. - Przecież jest skutny, w konwoju.

- W sumie racja. Może trzeba zadzwonić do prokuratury, żeby na niego uważali podczas przesłuchania?

- Żartujesz? Niech myśli, że nic nie wiemy. Jak zauważy, że ktoś się zorientował, że podaje się za kogoś innego, to dopiero wtedy zacznie być niebezpieczny...

\* \* \*

Kiedy samochód przejeżdżał przez wąską i długą bramę prowadzącą na dziedziniec sądu, przez chwilę w środku zrobiło się ciemno. Gdy policjanci wyprowadzili Strzębosza z radiowozu, stanął na chwilę, rozejrzał się dookoła, a potem spojrzał w górę na błękitne, bezchmurne niebo. Jeden z funkcjonariuszy popchnął go lekko w stronę budynku. Weszli schodami na pierwsze piętro.

Wąskie i pozbawione dostępu dziennego światła korytarze przypominały tunele schronów. Niedawny remont przydał im niewątpliwie blasku, ale nie pozbawił ciężącego na nich klaustrofobicznego odium. Strzębosz, prowadzony za łokieć przez jednego z policjantów, mijał elektroniczne wokandy wiszące obok drzwi sal rozpraw. Ludzie na korytarzu milkli i odsuwali się pod ściany, widząc kroczący w milczeniu ponury konwój. Kiedy dotarł do sali sto osiemnaście, policjanci posadzili Strzębosza na krzesło i sami usiedli, zajmując miejsce po obu jego stronach. Strzębosz siedział z opuszczoną głową, ale strzelał oczami na wszystkie strony. Jego skute kajdankami ręce budziły ciekawość ludzi czekających na swoje rozprawy. Nawet znudzeni oczekiwaniem radcy

i adwokaci zerkali przelotnie na Strzębosza, robiąc sobie chwile przerwy w rozmowach z klientami czy zabijaniu czasu zabawą komórkami.

W pewnej chwili obok nich przeszedł umundurowany policjant. Niósł pod pachą kartonową teczkę, a kiedy ich mijał, Strzębosz spojrział mu w twarz i zobaczył, że gliniarz przypatruje mu się dziwnie. Odniósł niepokojące wrażenie, że skądś go zna. Po minie policjanta i jego zmarszczonych brwiach domyślił się, że on czuje dokładnie to samo. Na szczęście po chwili gliniarz przestał się na niego gapić i zniknął za zakrętem korytarza.

Wreszcie otworzyły się drzwi sali rozpraw. Policjanci wstali, Strzębosz, wzdychając, zrobił to samo. Weszli do środka. Sala była jasna, miała dwa duże i bardzo kuszące okna. Sędzia, młoda brunetka w okularach i o pełnych ustach, wygiętych w surowym grymasie zniekształcającym jej ładną twarz, siedziała za stołem, podpierając podbródek splecionymi rękami. Łokcie opierała na blacie, górna połowa jej ciała drżała niedostrzegalnie w rytm podrygów nogi ukrytej pod togą i blatem stołu. Papiery były już przygotowane, protokolant siedział obok, wbijając wzrok w monitor laptopa, jakby w skupieniu czekał na sygnał do pracy. Z boku siedział prokurator, gryzmolił coś w skupieniu w notesie, nie zwracając uwagi na to, co dzieje się na sali.

Policjanci posadzili Strzębosza przed obliczem sędzi.

- Wniosek prokuratury... - Strzębosz przestał słuchać po pierwszych słowach jej przemowy, wygłaszanej beznamiętnym tonem. Skupił się na powrót, kiedy zaczęła

go o coś pytać. Potwierdził tożsamość, wciąż podając się za Bartka. Rozumie zarzuty. Przyznaje się. Potakiwał markotnie, wpatrując się w kajdanki i czując, że szansa na ucieczkę oddala się bezpowrotnie z każdą chwilą.

- Skażcie mnie już - bąknął wreszcie zrezygnowany.

Sędzia spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Zatrzymany potwierdził przed chwilą, że rozumie rzuty. Posiedzenie sądu toczy się nie w przedmiocie skazania, tylko tymczasowego aresztowania. Czy zatrzymany to rozumie?

Pokiwał bezmyślnie głową, bo co miał robić? Po kilkunastu minutach oczekiwania, podczas których sędzia wertowała papiery, a prokurator dalej smarował coś w notesie, nadeszła chwila, w której Strzębosz zobaczył światełko w tunelu.

- Proszę rozkuć pana. - Sędzia wskazała go wzrokiem.

Policjant wykonał polecenie.

- Proszę podejść w celu złożenia podpisu. - Przesunęła jakieś papiery na krawędź stołu.

Kiedy tylko Strzębosz poczuł, jak z nadgarstków znika ciężar kajdanek, wstąpiła w niego nadludzka moc. Wizja wolności stanęła mu przed oczami tak żywa i realna, że nie miał żadnych wątpliwości - próba ucieczki powiedzie mu się bez przeszkód. Uśmiechnął się, wziął głęboki oddech, odwrócił się w bok, jakby chciał zrobić krok w kierunku sędzi i nagle z całej siły uderzył policjanta z lewej łokciem w nos. Funkcjonariusz upadł między krzesła z przeraźliwym jękiem. Drugi był tak zaskoczony, że zanim zdołał cokolwiek zrobić, cios kolaniem w krocze skutecznie wyeliminował go z gry.

Ręka prokuratora zastygła w powietrzu. Zbaraniałym wzrokiem śledził znikającego za drzwiami Strzębosza. Sędzia gorączkowo szukała włącznika alarmowego w obudowie stołu. Pełną niedowierzania ciszę przerywały tylko jęki policjantów. Pierwszy, ten z twarzą zalaną krwią, pozbierał się jakoś z podłogi. Trzymając się za nos, wybiegł na zewnątrz, klnąc jak szewc w poniedziałkowy poranek i zostawiając za sobą krwawy ślad na podłodze.

Sędzia i prokurator spojrzeli na siebie z niemal identycznymi minami, na których zaskoczenie mieszało się ze strachem, a może i odrobiną rozbawienia.

- Ja pierdolę - wydobył się słaby szept z ust prokuratora, a ręka opadła wreszcie na naszkicowany ze sporą wprawą portret sędzi.

Był bardzo udany, podobieństwo uchwycono znakomicie, a jedyną różnicą był brak jakiegokolwiek ubrania.

Strzębosz tymczasem biegł przed siebie, a adrenalina dodawała mu sił. Wbiegł w niewielkie rozszerzenie korytarza, tworzące coś w rodzaju lobby, pokonał niski podjazd dla niepełnosprawnych i pognął kolejnym korytarzem, byle dalej od sali rozpraw. Nie zastanawiał się za wiele, po prostu biegł gnany wizją wolności, nie zdając sobie sprawy, że pokonuje tę samą trasę, którą był wprowadzany. Na końcu korytarza ogarnęła go chwila zwątpienia, bo kończył się ślepo. Rzucił się w końcu w stronę drzwi, różniących się od pozostałych. Były stalowo-szklane i szare. Otworzył je i wypadł na klatkę schodową. Rozpoznał charakterystyczne bariery z nierdzewnej stali, więc zbiegł na dół po kilka stopni

naraz. Drzwi były otwarte. Wybiegł przez nie na dziedziniec, otoczony ścianami budynków i murem z wysoką bramą.

Strzębosz stanął na środku dziedzińca, obrócił się wokół własnej osi, a w oczach miał panikę. Wpadł w pułapkę bez wyjścia. Zobaczył jakiś prześwit w ścianie i rzucił się w jego kierunku. Uświadomił sobie, że tędy wjeżdżali. Gdy dobiegał do przejazdu, zobaczył wąski, prostokątny tunel i światło na jego końcu. I samochody. I ludzi. I wolność. Gdy usłyszał daleki okrzyk „Stać!”, wbiegł do środka, z rozpędu przeskoczył szlaban i znalazł się na zalanej słońcem ulicy.

Był wolny!

\* \* \*

Jadąc do prokuratury, Krugły z Berdakiem przejeżdżali przez plac Żołnierza. Kiedy skręcili z Matejki i mijali księgarnię, coś zwróciło uwagę Jarka.

- Ty, patrz... - wyszeptał z zaskoczeniem.

Pół sekundy później ryknął już na cały głos, wskazując na coś przez szybę:

- Patrz, kurwa, patrz!!!

Krugły, skupiony na drodze przed sobą, przyhamował i zerknął w kierunku, w którym pokazywał Berdak. Zobaczył kogoś biegnącego chodnikiem. Mężczyzna roztrącał ludzi, torując sobie drogę łokciami. Jarek właśnie wyplątywał się z pasa.

- Zatrzymaj się!!! - wrzeszczał do Krugłego, nie spuszczać ze Strzębosza wzroku.



Krugły skręcił nagle ze środkowego pasa w prawo, zajeżdżając komuś drogę. Nie zważając na wściekle trąbienie, wjechał na chodnik i zaparkował na jego środku, pośród kilkorga zaskoczonych ludzi. Jarek wyskoczył z samochodu i pobiegł za Strzęboszem, wrzeszcząc: „Stój, policja!”. Krugły wysiadł, zamierzając zrobić dokładnie to samo. Nie zdążył. Zanim zamknął samochód pilotem, usłyszał głośny okrzyk:

- Stój!

Obejrzał się odruchowo i zobaczył dwóch policjantów, mierzących do niego z broni. Za nimi, z bramy wjazdowej sądu, wybiegał kolejny funkcjonariusz. Obficie broczył krwią z nosa, starając się powstrzymać krwotok palcami.

- Na ziemię! Połóż się na ziemię!

Krugły podniósł ręce, błyskawicznie oceniając sytuację. Broń w rękach przestraszonego małolata nie jest czymś, z czym warto dyskutować. Zdawał sobie sprawę, że wygląda podejrzanie, zwłaszcza w takich okolicznościach.

- Nadkomisarz Krugły, komenda wojewódzka! - krzyknął głośno, nie opuszczając rąk.

Zobaczył, jak policjanci zerkają po sobie. Wszyscy stali bez ruchu dobre pół minuty, oprócz tego trzeciego gliniarza, który pochylony, opierał się ręką o ścianę i smarkał krwią. Przechodnie zniknęli, chyłkiem uciekając albo chowając się za samochodami, tylko jeden półgłówek wyciągnął komórkę i zaczął filmować zajście.

- Popatrz na rejestrację! - Krugły krzyknął jeszcze raz do policjantów, wskazując na policyjną tablicę skody.

To ich uspokoiło. Trochę. Podeszli do niego ostrożnie, ale z już opuszczoną bronią.

- Ucieczka podejrzanego z sądu - zameldował jeden z nich.

Na policzkach miał czerwone plamy, usta i oczy były szeroko otwarte.

- To na co jeszcze czekacie?! - zawołał Krugły. - Za nim!

Pobiegli we trzech w kierunku Bramy Królewskiej.

Biegając ile sił, Krugły zostawił policjantów w tyle. Omiótł wzrokiem skrzyżowanie. Jarka nie było nigdzie widać, doszedł więc do wniosku, że skręcił w Matejki, czyli tam, skąd przyjechali. Mijając redakcję „Kuriera Szczecińskiego”, wyciągnął telefon i wybrał numer Jarka. Nie mógł już biec równo, ale nie miał wyjścia, musiał dowiedzieć się, dokąd pobiegli. Po denerwujących kilkunastu sekundach oczekiwania wreszcie się do niego dodzwonił.

- Jestem na tym osiedlu między Małopolską a tą... Mazowiecką, chyba. - Jarek sapał jak lokomotywa. - Ale skurwiel ma parę w nogach... Zniknął mi gdzieś między blokami... Nie rozłączaj się!

- Dobra, lecę do ciebie!

Krugły wciąż trzymał telefon przy uchu. Minął biurowiec „Maris”, skręcił w Małopolską i przebiegł na drugą stronę ulicy. Zszedł z chodnika na trawnik między blokami. Zdyszani policjanci dobiegli w końcu do niego.

- Ty tam, a ty tam. - Komisarz pokazał im przeciwległe końce osiedla. - I uważajcie na siebie, jest niebezpieczny. Jakby co, walcie w nogi, biorę to na siebie.

Rozbiegli się, wyciągając broń z kabur. Krugły był na siebie wściekły, że nie ma przy sobie swojej. No ale skąd

mógł wiedzieć?

- Jarek, gdzie jesteś? - rzucił do telefonu.

Odpowiedzią był tylko szelest ubrania. Po chwili usłyszał szept Berdaka.

- Halo, Robert?

- Jestem. A ty, gdzie jesteś?

- Czeka... Gdzieś tu się czai...

- Ale gdzie jesteś?

- Drugi albo trzeci blok, prawie przy Mazowie...

Coś przerwało Jarkowi w pół słowa. Krugły usłyszał tylko jego głuchy jęk.

- Jarek!? - krzyknął do telefonu, przyciskając go mocniej do ucha.

Usłyszał kolejny jęk, jakieś zduszone krzyki i odgłosy szarpaniny.

- Puszczaj, skurwysynu... - To głos Jarka, pełen wściekłości, dochodzący z oddali, jakby jego telefon leżał gdzieś obok.

Odpowiedzią były dziwne plaśnięcia.

Krugły nabrał głęboko powietrza i wrzasnął gdzieś przed siebie ile sił w płucach:

- Ja-rec-ki!!!

W telefonie usłyszał jego słabnący głos:

- Garaże, Robert... Nieee... Garaże... Pomóż...!

Po chwili usłyszał kolejny głos, równie wściekły jak Berdaka. Niewyraźne słowa przepełnione były jadem:

- Ty kundlu, zajebię...

- Zostaw... Nie, zostaw... Kurrwaa, zostaw...!

Krugły schował telefon. Pamiętał, że przy Mazowieckiej stoją małe garaże ze starymi bramami, z niewielkimi szybkami ze zbrojonego szkła. Rzucił się w tamtym kierunku. Kiedy wybiegł na Mazowiecką, rozejrzył się w obie strony. Był przy garażach, ale kilkadziesiąt metrów dalej, zarówno po prawej, jak i po lewej stronie widać było następne, zestawione ze sobą po kilka w rzędzie. Pobiegł w prawo. Obiegł je dookoła, ale nikogo nie znalazł. Wściekły wrócił szaleńczym biegiem na drugi koniec ulicy. I tam, niedaleko bloku, znalazł Berdaka.

Leżał na ziemi w pozycji embrionalnej i cicho jęczał. Strzębosza nie było. Krugły przypadł do Jarka, klęknął przy nim i ostrożnie dotknął jego ramienia.

- Jarecki, rany boskie, chłopaku... Żyjesz?

Kiedy odstłonił rękę, zakrywającą twarz Berdaka, zrobiło mu się gorąco. Jarek był cały we krwi, jedna powieka spuchła i nabrzmiała jak balon, ale nie to było najgorsze. Makabryczny i wstrząsający widok przedstawiała dolna szczęka. Wywichnięta z zawiasów, zgruchotana z jednej strony. Berdak próbował coś powiedzieć.

- Spokojnie, Jarecki, spokojnie - powiedział do niego cicho, uspokajającym tonem. - Będzie dobrze, już dzwonię po karetkę...

Berdak chwycił go kurczowo za rękaw kurtki, znacząc ją czerwonymi plamami. Gdzieś daleko rozległ się dźwięk syreny radiowozu, zaraz potem następny. Zbliżały się.

- Aba i on...

- Nie rozumiem, Jarek... Spokojnie, leż spokojnie i nic nie mów, proszę cię.

- Aba i on...! - powtórzył głośniejszym głosem, przewracając zdrowym okiem i kaszląc krwią.

- Spokojnie...

I wtedy Berdak odsłonił kurtkę, pokazując Krugłemu ukrytą pod nią kaburę.

Była pusta.

\* \* \*

Strzębosz ukrył się w klatce najbliższego bloku. Domofon był zepsuty, popchnięte drzwi otworzyły się bez przeszkód, więc wbiegł do środka i przyczaił na półpiętrze. Nie wiedział, ile psów zaraz przybiegnie, musiał się ukryć szybko i skutecznie. Oddychał spazmatycznie, zmęczony biegiem i bójką ze skurwysynem. Miał ochotę go zabić i pewnie by to zrobił, ale nie miał już czasu. Wiedział też, że wtedy rzuciliby za nim w pogoń wszystkie kundły z województwa. Ale miał jego broń. Kurwa, teraz to go nie dostaną! Teraz był panem sytuacji! Pomacał dół pleców, gdzie pistolet tkwił wetknięty za pasek spodni, i wyrzwał przez okno klatki schodowej. Pusto. Na razie... Co teraz?

Nagle usłyszał chrobot zamka w drzwiach. Błyskawicznie skoczył z półpiętra na górę. Zobaczył za uchylającymi się drzwiami starszą kobietę, ubraną w płaszcz i szary kapelusik. Wychodziła z mieszkania. Na przedramieniu miała zawieszoną torebkę, a w drugiej ręce trzymała pęk kluczy. Strzębosz rozejrzał się szybko po klatce. Kobieta nie zwróciła na niego uwagi, stała tyłem, równocześnie szukając właściwego klucza,

trzymając klamkę i zamykając drzwi. Popchnął ją mocno, tak że z impetem wpadła do środka mieszkania. Klucze i torebka wypadły jej z rąk.

- O... ojoj - stęknęła, leżąc na podłodze, kompletnie nie mając pojęcia, co się stało.

Gwałtowny upadek pozbawił ją na chwilę tchu. Kapelusik spadł z głowy i potoczył się w głąb mieszkania. Strzębosz zamknął drzwi, przekręcił zamek i przeskoczył nad kobietą. Wyciągnął pistolet zza paska i kiedy staruszka podniosła głowę, wycelował go w jej twarz.

- Sama mieszkasz?

Kobieta miała w oczach szok i przerażenie.

- Pytam, czy sama mieszkasz - wycodził wściekle.

Wyraz jej oczu się nie zmienił. Strzębosz zorientował się, że nie rozumie, co do niej mówi. Odwrócił się i z wyciągniętą przed siebie bronią wpadł do mieszkania. Było maleńkie; jeden pokój, łazieneczka i mała kuchnia, tak ciasna, że ledwo mieściła się w niej lodówka, kuchenka i kawałek blatu. Nie było nikogo. Wrócił do drzwi. Staruszka siedziała już, oparta o ścianę.

- Czego pan chce? - dyszała ciężko, usiłując złapać oddech. - Niczego nie mam, tylko dwa złote pierścionki, są w...

- Ciszej, kurwa! - syknął, przypadając do niej.

Przekleństwo podziałało na nią otrzeźwiająco.

- Do własnej matki też pan tak mówi? - zapytała wysokim ze zdenerwowania głosem.

- Zostaw moją matkę w spokoju. - Strzębosz przycisnął lufę do jej żeber.

Struchlała ze strachu, widząc broń. A potem przeniosła wzrok na twarz napastnika i spojrzała mu w oczy. Poczwała, jak jej umysł ogarnia pustka, a przerażenie rozlewa się w nim niczym wezbrana fala. W tych oczach było bezduszne zło. W tym samym momencie straciła nadzieję, że wyjdzie z tego żywa.

Strzębosz zaciągnął ją do pokoju i niemal rzucił na kanapę. Pozwolił jej zdjąć płaszcz, a potem zasunął ciężkie zasłony i zaczął wyglądać przez szparę między nimi na podwórze. Trwało to około godziny, w tym czasie staruszka siedziała w milczeniu na kanapie, modląc się o życie. Najgorsza była niepewność. Człowiek, który wtargnął do jej mieszkania, nie powiedział, o co chodzi i czego chce. W końcu Strzębosz stanął nad nią i zaczął się jej w milczeniu przypatrywać. Poczwała, jak kołacze jej serce.

Drgnęli oboje, kiedy dzwonek u drzwi zadźwięczał ostrym i głośnym brzęczeniem. Strzębosz stanął w malutkim przedsionku i wpatrywał się w nie z napięciem. Po chwili dźwięk powtórzył się, zaraz potem rozległo się pukanie.

- Policja, czy jest ktoś w domu?

Strzębosz gorączkowo zastanawiał się, co robić.

- Proszę otworzyć, policja!

Podniósł broń ostrzegawczym ruchem, tak żeby staruszka wyraźnie zrozumiała, że ma być cicho. Siedziała na kanapie, trzęsąc się ze strachu, z głową wtuloną w ramiona. Strzębosz czekał, wpatrując się w drzwi, jakby tym spojrzeniem chciał zahipnotyzować ludzi za nimi, zmuszając ich do odejścia. Wiedział, że to nie działa,

mimo to uśmiechnął się z triumfem, kiedy cisza przedłużała się z minuty na minutę. Ani pukanie, ani wołanie nie powtórzyło się już. Rozluźnił się.

Dochodziła szesnasta. Włączył telewizor, wyciszył go i usiadł w jednym z foteli, ustawionych wokół małego okrągłego stolika przykrytego nieco już poszarzałym, koronkowym obrusem.

- Poczekam tu, aż się uspokoi - powiedział do staruszki, nie patrząc w jej kierunku. - Potem sobie pójdę.

Zamilkł i zaczął gapić się w telewizor. Staruszka ścisnęła w rękę mały, drewniany różaniec i szeptała cicho słowa jakiejś modlitwy. Czas płynął powoli. Dla Strzębosza rozwlekała go nuda, dla staruszki - paraliżujący ciało i myśli strach. Kiedy w którymś momencie wzrok Strzębosza spoczął na starej ponemieckiej szafie, coś przyszło mu do głowy.

- Ubrania jakieś masz? Męskie? - zapytał.

- Tak. Po mężu.

- Pokaż. - Skinął podbródkiem w stronę szafy.

Staruszka, nie wypuszczając różańca z rąk, wstała z kanapy i powoli podeszła do niej. Otworzyła drzwi i wyjęła wieszak z kurtką. Strzębosz wstał z fotela. Odsunął kobietę, wyjął jej z ręki wieszak i pobieżnie obejrzawszy kurtkę, rzucił ją na kanapę. Potem sam przejrzał rzeczy w szafie. Nie było tego wiele, poza tym ubrania czuć było stęchlizną, a ich fason świadczył o tym, że mąż kobiety nie żył już od dobrych kilkunastu lat. Wybrał jedną koszulę i ją włożył. Obejrzał się krytycznie w lustrze wbudowanym w drzwi szafy, pokręcił głową i przymierzył kurtkę. Była za długa, ale lepsze to niż nic.



- Na kanapę - rozkazał staruszce władcym tonem. -  
Idę się odlać, spokój ma być, bo...

Około dwudziestej znów rozległ się dzwonek do drzwi.  
Strzębosz zerwał się, ściskając pistolet w rękę. Wymierzył  
go w głowę staruszki.

- Siedź - warknął cicho.

- Pani Ireno, jest pani w domu? - Głos człowieka  
w podeszłym wieku dobiegł ich zza drzwi.

- Kto to? - wyszeptał Strzębosz.

- Sąsiad. - Kobieta spojrzała na niego pełnymi łez  
oczami.

- Powiedz, że źle się czujesz - szepnął, machając  
pistoletem. - No, mów!

- Jestem, jestem... - odpowiedziała staruszka słabym  
głosem, ściskając mocno różaniec w spoczonej dłoni.

- Pani otworzy.

- Źle się czuję, panie Janku. Leżę w łóżku.

- Coś się stało? Potrzebuje pani czegoś?

- Nie, nie trzeba. Dziękuję.

Zapadła cisza. Strzębosz odetchnął lekko z ulgą, ale  
natręt za drzwiami ani myślał się odczepić.

- Była policja u mnie. - Głos stał się mocniejszy, jakby  
sąsiad przyłożył usta do szpary na styku framugi i drzwi. -  
U wszystkich zresztą, tylko pani nie było w domu. Szukali  
kogoś, kazali uważać.

- Dobrze, panie Janku. Dobranoc.

Znów zapadła cisza, a potem dotarło do nich pełne  
zaskoczenia i lekko urażone „dobranoc”. Szuranie kapci  
ucichło. Staruszce lekko opadły ramiona, jakby wraz

z odejściem sąsiada zgasła w niej ostatnia iskierka nadziei, która mimo wszystko wątle tliła się gdzieś w skołatanej strachem duszy. Opuściła głowę i znów pograżyła się w modlitwie.

Strzębosz przyłożył ucho do drzwi i kiedy upewnił się, że nikogo za nimi nie ma, poszedł do kuchni i zajrzał do lodówki.

- Pusto - powiedział do siebie z zaskoczeniem, widząc na półkach tylko kostkę masła, twaróg, szczypiorek, homogenizowany serek i parę plasterków mielonki. Na górnej półce stał garnek z jakąś zupą i półlitrowy karton mleka.

Zamknął lodówkę i napił się wody z kranu, a potem wyszedł do pokoju i spojrzał na staruszkę, wskazując lufą broni drzwi do kuchni.

- Lodówka jest prawie pusta - powtórzył z pretensją w głosie.

- Dostaję emeryturę dopiero za dwa dni - szepnęła.

- Głodny jestem, no!

Spojrzał z rezygnacją na wiszący na ścianie zegar. Jeszcze nie tak późno, pewnie jakiś spożywczał w okolicy się znajdzie. Kurwa, miał przy sobie parę złotych, ale przecież nie wypuści jej po zakupy, sam też nie pójdzie! Trudno. Musiał przepękać jakoś czas do rana. Był przekonany, że w nocy ryzyko schwywania go jest dużo większe. Sam był zresztą tego przykładem. Rano będzie bezpieczniej.

Wrócił do kuchni, wyjął z lodówki tanią mielonkę i garnek z zupą. Garnek postawił na kuchence, odkręcił gaz i zapalił płomień. Czekając, aż zupa się podgrzeje,

wepchnął sobie w usta całą porcję wędliny i wyszedł do pokoju.

- Komórkę masz? - zapytał niewyraźnie, stając nad kobietą.

Ocknęła się z letargu i pokiwała głową.

- Daj - zażądał.

Cała zdrętwiała, z trudem sięgnęła na pełną książek półkę na kanapę i podała mu telefon. Strzębosz obejrzał starą nokię i schował ją do kieszeni. Rozejrzał się po maleńkim mieszkaniu. Potem znów usiadł w fotelu i wbił wzrok w telewizor. Kiedy poczuł woń zupy, bez słowa poszedł do kuchni i stojąc przy kuchence, zjadł ją prosto z garnka, nie troszcząc się o staruszkę. Wrócił do pokoju i znów uwalil się na fotelu. Kobieta nie odezwała się ani słowem.

Pół godziny później Strzębosz poczuł w kieszeni spodni wibracje, a potem usłyszał dzwonienie.

Wyciągnął komórkę i spojrzał na wyświetlacz.

- Kto to jest Mila?

- Córka - szepnęła staruszka, niemal bez tchu. - Dzwoni codziennie o tej porze.

- Gdzie mieszka?

Staruszka milczała.

- Gdzie mieszka, pytam? W Szczecinie?

Kobieta rozplakała się i pokiwała głową. Strzębosz zaczął zastanawiać się, co robić. Jeśli nie odbierze, to córka pomyśli, że mamie coś się stało i przyjedzie. Podał jej telefon, który zdążył zamilknąć.

- Dzwon' do niej. M'owisz to samo co do s'asiada i, jakby co, zeby nie przyjezdzała dzisiaj, tylko jutro. I lepiej, zebyś była przekonuj'ca. Bo inaczej c'óreczk' teź si' zajm', zrozumiano?

- Tak, b'agam, zrobi' wszystko, tylko nie...

- Dzwon'!

Wcisn' jej telefon w trz's'ac' si' d'lon'. D'ugo szukała numeru, a potem wytarła łzy, poci'gn'ła nosem i przył'żyła telefon do ucha. Strz'ebosz usiadł obok niej, zbliżaj' gł'ow' do jej gł'owy. Staruszka drgn'ła i odruchowo odsun'ła si' od niego. Podni'ł ostrzegawczo palec. Zn'w si' skuliła.

- Cześć, c'óruś... - powiedziała cicho, kiedy c'órka odebrała. - Nie zd'żyłam podejść do telefonu... Tak, troch' źle si' czuj'. Leż'. Nie! Nie przyjezdź, nie ma takiej potrzeby, masz swoje sprawy... - Głos stał si' lekko napi'ety. - Spokojnie, nic mi nie jest, jestem tylko zm'ęczona... Jutro przyjeźdź, po południu... Nic mi nie potrzeba... Wszystko w porz'adku, b'ęd' juź kończyć, dobrze? Na pewno nie przyjezdź, prosz' ci'... Pa, do jutra, kocham ci'... Pa...

W milczeniu odł'żyła telefon na kolana.

- Wiesz, co b'ędzie, jak przyjedzie? - zapytał zimno Strz'ebosz, zabieraj' kom'órk' i wpatruj' si' w jej twarz.

Spojrzała na niego wzrokiem, w którym strach mieszał si' z nienawiści'.

- No - rzucił kr'ótko i wrócił na swoje stanowisko w fotelu.

Przez nast'epne trzy godziny patrzył na migoczące w telewizorze nieme obrazy. Oboje, kat i jego ofiara, byli

koszmarnie zmęczeni i wycieńczeni. Kiedy Strzębosz poczuł woń moczu, zerknął w bok. Zdał sobie sprawę, że staruszka bała się zapytać go, czy może skorzystać z toalety. Ale miał to gdzieś. Znowu wbił wzrok w ekran, czując, że oczy same mu się zamykają. Kiedy szarpnął się w fotelu, uświadamiając sobie, że właśnie zasypia, staruszka również wybudziła się z sennego odrętwienia. Zobaczył, że otwiera oczy. Leżała wysoko, prawie siedząc, na poduszce opartej o ścianę, wciąż ściskając w rękę różaniec. Gdy spostrzegła, że na nią patrzy, znowu skuliła się w sobie.

Strzębosz poruszył się w fotelu i chrząknął.

- Nawet gdybym zasnął, to mam bardzo lekki i czujny sen. Nie próbuj niczego, bo rozwalę, rozumiesz? - Zamachał bronią.

Kobieta skinęła lekko głową, nie patrząc na niego. On za to wciąż patrzył na nią, zastanawiając się, co zrobi jutro rano, kiedy wreszcie się stąd ulotni. Nie mógł pozwolić, żeby zaraz po jego wyjściu zadzwoniła po psy albo poszła do sąsiadów po pomoc.

Rozparł się wygodniej w fotelu, położył sobie broń na udach, podparł głowę pięścią i zerkając to na telewizor, to na staruszkę, myślał, co dalej. Aż wymyślił.

Postanowił, że pojedzie do jedyne go bezpiecznego miejsca, które jeszcze mu pozostało. W końcu Szwedziu wciąż wisiał mu kupę kasy za zlecenie.

\* \* \*

Był późny wieczór. W szpitalu panowała już cisza, ustał zwykły harmider, zniknął dzienny personel i zniknęli odwiedzający kręcący się po korytarzach przez cały dzień. Krugły wszedł na oddział i skierował się do dyżurki pielęgniarek.

- Gdzie znajdę tego pobitego policjanta, którego przywieziono koło południa? - zapytał siedzącej za kontuarem pielęgniarki.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- O tej porze? Chyba pan żartuje!?

Krugły wyciągnął odznakę. Widząc ją i jego minę, pielęgniarka nie dyskutowała więcej, tylko podała numer sali, w której leżał Berdak. Podziękował i poszedł w kierunku wskazanym przez kobietę. Zza uchylonych drzwi, które minął po drodze, na korytarz sączyły się dźwięki z telewizora. Ktoś nie mógł spać albo nawrzucał do automatu obsługującego szpitalną telewizję za dużo dwuzłotówek.

Sala, do której Krugły wszedł, pogrążona była w półmroku. Stały w niej trzy łóżka, ale tylko na jednym spoczywała nieruchoma postać - wyprostowana, z rękami ułożonymi wzdłuż ciała pod kocem obleczonym w sfatygowaną poszewkę ze szpitalnymi nadrukami. Głowa Jarka wyglądała, jakby zawiązano na niej turban; biały zwój przesiąknięty brunatnymi plamami. Szczękę uwięzioną miał w drucianej klatce, nos wypchany gazikami, a wargi i lewa powieka były opuchnięte i sine.

Kiedy Berdak usłyszał Krugłego, otworzył jedno oko i głęboko odetchnął. Białko było czerwone od rozlanej w nim krwi.

- A gdzie kwiaty? - zapytał niewyraźnie, z zaciśniętymi zębami, nie poruszając zuchwą. Nawet składanie warg do artykułowania słów przychodziło mu z trudnością.

Krugły wyciągnął zza pleców pudełko śliwek w czekoladzie. Berdak je uwielbiał.

- Daj pielengniarkom, niech zmielo i do rury wszadzo. - Jarek pokazał rurkę sondy żołądkowej, niknącą mu w nosie.

Krugły spojrział na czekoladki i schował je za siebie, żeby go nie drażnić ich widokiem.

- Dałem czała, czo? - zapytał Berdak po chwili.

Krugły przysunął sobie krzesło i usiadł obok łóżka.

- Nie przejmuj się tym teraz. To nie twoja wina. Złapiemy go prędzej czy później.

Jarek przewrócił oczami.

- Nie moja wina, mówisz? Tylko żeby nie... nie... - zaciął się - nie rozwalił nikogo z mojej broni...

Zamilkł na chwilę, zastanawiając się nad czymś.

- Czo że mno be... be... bendże? - zapytał Krugłego.

- Musisz najpierw wyzdrowieć. Resztą będziesz się martwić później.

- Nawet nie masz pojęcia, jak mie wszystko na... napierdala... Sztraciłem pieńć żembów, jeszcze dwa żebra mi zламаł. - Westchnął. - Kurwa, na rente mie wyszłał. - Oczy Berdaka nagle się zaszklily.

Krugły machinalnie pociągnął się za nos i odwrócił wzrok.

- Nie przesadzaj - mruknął. - To tylko pobicie. Wyliżesz się.

- A jak myślisz, czemu szeplenie? - Pokazał na swoją skroń. - Kopał mnie w twarz i głowę... Czoś mi tam przesztawił... Nie przejde badań i nie przywróczy mi już do służby.

- Gdyby tak było, to leżałbyś w warzywniaku na neurologii.

Jarek dotknął jego ręki.

- Mam proszbe, sze... szefie... - powiedział.

- Dla ciebie wszystko, Jarecki. No, prawie wszystko, jestem w szczęśliwym związku z kobietą.

Jarek parsknął śmiechem i zaraz skrzywił się z bólu.

- Jak już kutasza dorwiesz... Niech czosz mu sie sztanie, cz... czo?

Krugły uśmiechnął się lekko.

- Nie mówie, że w szposzób osztateczny i nieodwracalny. Niech przynamniej sz... sz... szpadnie że szchodów... Taki boleszny żadatek na poczet przyszłej kary, czo ty na to?

- A jak tam nie będzie schodów?

- Choczaż że dwa sztopnie... Na pewno gdżesz w pobliżu sie ż... znajdo.

Krugły patrzył na zmasakrowaną twarz Berdaka, ledwo widoczną spod zwojów bandaża.

- Niewykluczone. W każdym razie postaram się je znaleźć - obiecał.

Jarek spojrział w ciemne okno.

- Miałem kiedysz kolege - powiedział. - Byliszmy nasztolatkami, on troche wypił i nieszczęśliwie żeszkokczył z murka, takiego niszkiego, ledwo mu... mmu...



do kolan sięgał. Trzy mieszocze, przez całe lato, leżał z nogą w gipsie, od kostki do pachwiny. Taki, kurwa, mały murek... - Uniósł lekko rękę nad łóżko, oczy mu się uśmiechnęły. - Szam widzisz, że takie rzeczy się zdarzają...

- W porządku, Jarek. Nawet jak nie będzie schodów ani murka, to coś wymyślę. Przekażę mu pozdrowienia od ciebie i podeślę ci ememesa z efektami. Zadowolony?

Berdak uśmiechnął się samymi oczami.

- To na pewno pomoże mi w rekonwaleszcencji. - Westchnął. - Na bank.

Krugły lekko trącił jego zdrowe ramię luźną pięścią. Potem pogadali jeszcze chwilę, ale komisarz widział, że Jarek jest już zmęczony i senny. Kiedy kolejny raz zamknął oczy i już ich nie otworzył, a jego oddech stał się głęboki i miarowy, Krugły wyszedł na korytarz i stanął na jego środku. Przypomniawszy sobie twarz Berdaka; teraz i wtedy, tam, za garażami, całą we krwi i z wypadniętą żuchwą.

Zostawił czekoladki na kontuarze dyżurki pielęgniarek i pojechał do domu.

## *Czwartek, 23 maja*

Było późne popołudnie, Krugły, zmęczony kolejnym intensywnym dniem w pracy, wreszcie wrócił do domu. Strzębosz dawał mu się we znaki jak cholera. I nie tylko jemu. Berdak, pomijając obrażenia fizyczne, nie przełknie pewnie goryczy porażki do końca życia. Nie wspominając już o tej biednej staruszce. Obława, przynajmniej na razie, skończyła się niepowodzeniem...

- Popatrz - powiedział Michalczyk do Krugłego, kiedy ten wszedł do dużego pokoju.

Na twarzy siedzącego przed laptopem prokuratora malował się wyraz niedowierzania, pomieszanego z niesmakiem. Krugły podszedł do stolika i spojrzął na monitor. Przez chwilę miał wrażenie, że Michalczyk włączył kamerkę internetową wbudowaną w górną część ekranu i przygląda się sobie niczym w lustrze. A potem prokurator przewinął kursorem obraz w górę. Jego twarz zniknęła zastąpiona tekstem:

### *LIST GOŃCZY*

*Aleksander Ołdakowski - prokurator  
Prokuratury Okręgowej w Szczecinie, stosownie  
do postanowienia z dnia 21 maja 2013 r.,  
o poszukiwaniu listem gończym podejrzanego  
Mateusza Michalczyka,  
zarządza*

*wobec Mateusza Michalczyka, s. Jana i Marii  
z d. Brülów, ur. 13 kwietnia 1978 r. w Szczecinie,  
zam. 71-126 Szczecin, ul. 26 Kwietnia 91 m. 49,  
rozesać list gończy za poszukiwanym: Mateuszem  
Michalczykiem...*

Krugły nie czytał dalej.

- Ty, Ołdakowski ma na imię Aleksander? - zapytał zdziwiony. - W życiu bym na to nie wpadł. Tyle lat typ się przewija w mojej pracy, a ja nawet nie wiedziałem, jak ma na imię!

- A przeczytałeś coś jeszcze oprócz jego imienia? -  
W głosie Michalczyka nie było śladu wesołości.

Krugły spojrzał na prokuratora.

- Naprawdę jesteś tym zaskoczony? - Wskazał monitor.

Michalczyk wzruszył ramionami.

- Właściwie nie. Ale zobaczyć własną twarz na liście gończym to nie jest miłe uczucie. Wiesz, co powypisywali dalej? - Zamknął oczy i zaczął recytować: - Działając z ewentualnym zamiarem pozbawienia życia, zadał ciosy o charakterze cięto-rąbanym w klatkę piersiową i szyję, w wyniku czego doszło do masywnego krwotoku...

- Mateusz - przerwał mu Krugły - daj sobie spokój. To nic nie da, że będziesz się tym dręczył.

- Za każdym razem, kiedy ją sobie przypomnę, leżącą bez życia na moim łóżku, mrozi mnie do szpiku kości. - Michalczyk posępnie zwiesił głowę. - Jakbym zaglądał do najmroczniejszych zakamarków swojej duszy. Do jej dna, do samego jądra ciemności, rozumiesz to, Robert? Ja czy nie ja? Ta niepewność jest wykańczająca. To jak czekanie na wynik badań na raka. Życie albo śmierć. Wiesz, co zrobię, jak się okaże, że jednak ją zabiłem? I to w taki sposób? Skończę ze sobą. Nie będę czekał, aż zajmie się mną paru gitów pod celą. Bo jeśli byłem w stanie zrobić coś takiego, to znaczy, że nie ma we mnie krzty człowieczeństwa. Tak, to znaczyłoby, że jestem potworem. Nie oszczędziłbym siebie nawet dla Mikołaja. Nigdy nie miałbym pewności, że to się nie powtórzy. Poza tym po co mu taki ojciec? Pomijając fakt, że nie wyszedłbym z więzienia do śmierci, jakakolwiek by ona była - dodał filozoficznie.

Te kilka dni ukrywania się bez możliwości wyjścia na zewnątrz czy chociaż spojrzenia przez okno sprawiły, że Michalczyk popadł w huśtawkę nastrojów. Depresja i oparte na wątplych i niepełnych przesłankach przeświadczenie o własnej winie walczyły w nim z euforycznym przekonaniem o rychłym wykryciu prawdziwego sprawcy zabójstwa. Dni, jeden podobny do drugiego, dłużyły mu się w nieskończoność. Spędzał je na oglądaniu telewizji albo siedzeniu przy komputerze i szperaniu w sieci. Na początku nie mógł się jeszcze ogarnąć, a przynajmniej nie na tyle, by zacząć myśleć o tym, jak wykaraskać się z kłopotów, w które wpadł. Był wykończony psychicznie, choć równocześnie, paradoksalnie, wypoczęty fizycznie – wreszcie mógł spać, ile chciał. Popołudnia i wieczory spędzali we troje. Do nocy siedzieli przy stole, przy zasłoniętych roletach, gadając i wymyślając dziesiątki możliwych scenariuszy zdarzeń, zarówno tych, które już nastąpiły, jak i tych, które nastąpić dopiero mogły. Trwali w oczekiwaniu na przełom w śledztwie, który jakoś nie następował. Wyglądało na to, że jedynym celem tego śledztwa było schwywanie Michalczyka, a nie ustalenie tego, co naprawdę wydarzyło się w jego mieszkaniu w nocy z soboty na niedzielę.

- Naprawdę sądzisz, że mógłbyś coś takiego zrobić, Mateusz? - zapytał go Krugły. - Znasz siebie ponad trzydzieści lat. Wiedziałbyś, że coś jest nie tak, że to w tobie drzemie.

- A jeśli nie?

- Nie. To niemożliwe. Na pewno byś wiedział. Prawda?

- Co mam ci powiedzieć?

- To, co czujesz.

- Strach. Paniczny strach przed prawdą. Już nigdy nie będę taki jak przedtem, nawet jeśli okaże się, że mnie w to wrobili. - W jego oczach stanęły łzy.

Spojrzał w okno.

- Zobacz - poskarżył się, wskazując na swoje mokre policzki - ostatni raz płakałem, kiedy miałem trzynaście lat i rodzice nie pozwolili mi mieć psa. Płakałem z powodu mojego psa, który, kurwa, nawet formalnie nie istniał, rozumiesz? Potem postanowiłem sobie, że będę twardy i nikt nigdy nie ujrzy mnie rozklejonego. Takie naiwne postanowienie gówniarza. Ale powiem ci, że dałem radę. Nigdy potem nie uroniłem ani jednej łzy. Nawet gdy zostawiały mnie dziewczyny, nawet gdy okazało się, że Mikołaj jest chory. Nawet wtedy, rozumiesz? A teraz? Popatrz, co teraz się ze mną dzieje. Do jakiego stanu zostałem doprowadzony...

- Nie jesteś sobą, Mateusz. To normalne w takich sytuacjach.

- Daj spokój! Co tu jest normalnego w tej sytuacji? Dla mnie, dla was?

- W porządku. Nie jest normalnie. Ale weź to na klatę. Pamiętaj, że jest ktoś, dla kogo musisz to znieść. Kiedy sprawa się wyjaśni, to wszystko wróci do normy. Nie wiem, może powtarzaj to sobie jak mantrę?

- Jak mantrę... - Michalczyk nagle pokraśniał. - Zakochałem się ostatnio, wiesz?

- W kim? - zdziwił się Krugły. - I jakim cudem?

- Lana del Rey.

- Nie znam.

- Tak podejrzewałem. Jest boska. Spędzam z nią mnóstwo czasu w sieci...

- Czy to bezpieczne? - zapytał Krugły, marszcząc brwi, ale Michalczyk nie dał sobie przerwać.

- ...Ma cudowny głos, raz brzmi jak dojrzała dama, innym razem jak zakazany owoc: niewinna dziewczynka mówiąca rzeczy, których wstydziłaby się niejedna kobieta. A kiedy wymawia słowo „streets”, przechodzą mnie ciarki... A wiesz, jaka jest najlepsza i zarazem chyba najkrótsza scena seksu w kinie? Stella i „Raz Dwa” w Rock’n’rolla Guya Ritchiego. Ge-niał-na!

- Mateusz! - Wzrok Krugłego wyrażał niepokój.

- Spokojnie. Chcę ci tylko dać do zrozumienia, że dostaję już kurwicy od tego siedzenia. To już nawet nie chodzi o to zabójstwo. No też, ale... Ile można gapić się w telekuku czy siedzieć w sieci, nie mogąc nawet podejść do okna? Ma to dobre strony, nie powiem. Obejrzałem trochę zaległych filmów, znalazłem masę fajnej muzy i tak dalej, ale mam dość. Naprawdę dość.

Krugły pokręcił głową.

- Nie miałeś nigdy grypy i nie leżałeś przez tydzień w łóżku?

- Miałem. Ale byłem gotów na śmierć z powodu powikłań, byle tylko nie gnić w wyrze tyle czasu. Po prostu nie potrafię! Chory jestem od tego, rozumiesz!? Chyba mam łagodną odmianę ADHD.

- Zrozum, człowieku, tu chodzi o twój los. Ustaliliśmy, że zostajemy przy tym rozwiązaniu. Może nie najlepszym,

ale w tej sytuacji jedynym rozsądnym. I tego musimy się trzymać.

- Wam też nie jest łatwo - mruknął Michalczyk. - Myślisz, że nie zdaję sobie z tego sprawy? Przy okazji, powiedz Ewie, że nie musi się tak męczyć i krzyczeć w poduszkę. I tak mam słuchawki z muzyką na uszach, bo nie mogę zasnąć. Jesteśmy dorośli, a wy jesteście u siebie.

- Kobiety podchodzą do tego inaczej, Mateusz. Jak jej to powiem, to będę pościł do końca twojego pobytu u nas.

- W porządku, nie mów jej. I tak mam słuchawki...

- Tak, tak. To co? Dasz radę?

Michalczyk spojrzał na Krugłego bykiem.

- A mam inne wyjście, panie komisarzu?

- Otóż to, panie prokuratorze. Otóż to! - Do pokoju weszła nagle Ewa, więc Krugły zmienił temat. - Dobra, Mateusz, zostawimy cię na chwilę, pójdziemy sobie pobiegać. Za godzinkę będziemy.

- Jasne - mruknął Michalczyk, biorąc do ręki pilota.

Kiedy Krugły z Ewą zniknęli w sypialni, żeby się przebrać, włączył telewizor. Siedział i gapił się bezmyślnie w jakąś telenowelę. Drgnął, kiedy Ewa zajrzała do pokoju, wołając:

- Mateusz, idziemy!

- Dobra - rzucił odruchowo i zerknął w bok.

Nagle na jego twarzy wykwitło absolutne zaskoczenie.

- Co jest? - zapytała Ewa.

Michalczyk wyglądał przez chwilę, jakby się zawiesił.

- Coś mi się nagle przypomniało - rzucił zdławionym głosem.

Krugły wyjrzał zza framugi, kończąc ubieranie.

- Co?

- Z tej nocy, kiedy...

Wciąż wbijał wzrok w Ewę, jakby to pomagało mu utrzymać to coś w myślach, nie pozwalając ulecieć i tym samym skazać na zapomnienie.

- Co ci się przypomniało? - zapytał Krugły niecierpliwie.

- Jakiś wyrwany z kontekstu przebłysk. Chyba się wtedy na chwilę ocknąłem. Pamiętam panele tuż przed nosem, widocznie leżałem na podłodze... W tym pokoju, w którym śpię. I pamiętam jeszcze...

- No? - teraz i Ewę zżerała ciekawość, a Michalczyk wystawiał ich cierpliwość na próbę.

- Nic, nieważne... - Machnął niedbale dłonią, odwracając głowę w stronę telewizora.

- Żartujesz sobie? - zachnął się Krugły. - Mów zaraz, co widziałeś!

Michalczyk spuścił wzrok.

- Kosmonautę - wyszeptał.

- Kogo?

- Kosmonautę! - powtórzył głośniej. - Faceta przebranego za kosmonautę. Mówiłem, że nieważne, widocznie miałem jakieś omamy po tej pigułce. Idźcie sobie biegać, miłej zabawy.

- A dlaczego przypomniałeś sobie o tym akurat wtedy, kiedy spojrzaleś na mnie? - zapytała Ewa. - Bo nie wiem, czy mam się martwić, czy co?

Michalczyk wycelował w jej kierunku palec.



- Dlatego że facet był biały, jak twój dres. Caluteńki biały, miał coś w rodzaju skafandra; nawet na głowie. Wyglądał, jakby właśnie wyszedł z lądownika i miał zaraz powiedzieć ten tekst o małym kroku człowieka, a potem zatknąć w podłodze gwiazdzisty sztandar. Dlatego miałem ten przebłysk. - Machnął w ich stronę. - Pa!

Krugły i Ewa jak na komendę wzruszyli ramionami.

- Nie wyglądaj przez okno, nie otwieraj nieznajomym i pilnuj kotów - rzuciła Ewa i widząc je oba skulone przy boku Michalczyka, dodała: - Chyba jestem odrobinę zazdrosna.

Michalczyk obrzucił ją pełnym wyrzutem spojrzeniem.

- Ty masz chociaż Roberta. A ja? Pozwól mi je pomieć choć trochę. Jeden mnie podgryza - poskarżył się jeszcze.

- Nie przejmuj się - Krugły wyszczerzył zęby - to dowód sympatii. Konie się kopią, a koty podgryzają. Pozdrów Lanę.

Ewa spojrzała na Krugłego ze zdziwieniem.

- Nie pytaj. - Machnął ręką. - Męskie sprawy.

Kiedy wyszli, Michalczyk jeszcze kilkanaście sekund wpatrywał się w drzwi, a potem wziął na kolana jednego kota i wyłączył telewizor. Siedział w ciszy, głaszcząc go powolnymi ruchami po grzbiecie, dopóki gospodarze nie wrócili. Ewa, a potem Krugły wzięli prysznic, przygotowali późny obiad i zasiedli do stołu. Zjedli szybko, włożyli brudne naczynia do zmywarki i rozsiedli się na kanapie. Był już wieczór, gdy rozległ się dźwięk dzwonka do drzwi.

Od pewnego czasu nie wzbudzał już u nich ukłucia paniki. Listonosz, roznosiciele ulotek, potrzebujący

proszący o wsparcie, pomyłki, kurierzy, gazownia, wodociągi, obwoźni sprzedawcy - możliwości było mnóstwo, wszystkie równie wkurzające, ale związane z ich pojawieniem się dzwonek nie był już zwiastunem potencjalnego niebezpieczeństwa. Irytował już wyłącznie swym charkotem. W dodatku Krugły uświadomił Michalczykowi, że nawet gdyby doszło do najgorszego, dźwiękiem, który usłyszy tuż przed swoim zatrzymaniem, na pewno nie będzie dzwonek, tylko huk wywalanych w kosmos drzwi i głośne: „Gleba, kurwaaaa!!!”. To dlatego Krugły, słysząc brzęczenie dzwonka, jak gdyby nic się nie stało przerwał rozmowę z Ewą i Michalczykiem, i zostawiając ich w salonie, poszedł otworzyć. Nie spojrzał przez wizjer, zamknął tylko za sobą wewnętrzne drzwi, oddzielające przedsiónek od reszty mieszkania. Gdy otworzył te wychodzące na klatkę schodową, ze zgrozą ujrzał przed sobą dwie twarze. Nie były zamaskowane kominiarkami, ale i tak obecność tych ludzi nie wróżyła nic dobrego. Stał przed nim jego szef, inspektor Biniek, a za jego plecami, niczym szpieg z krainy deszczowców, czaiła się postać w jasnym płaszczu, przypominająca nieco porucznika Columbo. Pan „świnka morska” prokurator Ołdakowski we własnej, pokurczonej i odpychającej osobie.

Koniec - pomyślał przez chwilę Krugły, zanim przyszło mu do głowy, że jeszcze za wcześnie na panikę. Byli sami, poza nimi na schodach nie było nikogo. Krugły, oceniając sytuację, postarał się, by jego wzrok pozostał skupiony na niespodziewanych gościach.

- Słucham? - zapytał zdziwiony, czując, jak wali mu serce.

Biniek patrzył mu w oczy zatroskanym wzrokiem, na twarzy Ołdakowskiego widać było wredny uśmieszek.

- Możemy wejść? - zapytał Biniek.

Krugły potarł koniec nosa.

- Przyszliście panowie trochę nie w porę. - Myśli kotłowały mu się w głowie. - Ja i moja partnerka... - Przerwał, nie kończąc myśli, starając się, by jego mina wyrażała dwuznaczność czynności, którą wykonywał, zanim mu ją przerwano.

- Robert, nie pogarszaj sytuacji. - Głos Bińka był lekko zmęczony, ale proszący.

Nie brzmiało w nim żądanie. Jeszcze.

- O co chodzi, szefie? - Brwi Krugłego powędrowały do góry.

Ołdakowski spojrzał gdzieś w bok, lekko kręcąc głową, a na jego twarzy malowało się zniechęcenie.

- Daj spokój. Wpuść nas, chcemy z nim pogadać.

- Jezu, z kim?

- Robert... - Teraz oczy Bińka ciskały pioruny.

Krugły nie miał wyjścia. Jak już w to wdepnął, to musiał brnąć dalej, żeby się całkiem nie pogрузić. Pomyślał przez chwilę, by wpuścić tylko Bińka i postarać się wszystko mu wyjaśnić, lecz po chwili zrezygnował z pomysłu. Szanował tego człowieka, uważał go za porządnego gościa, ale nie miał złudzeń, co Biniek by zrobił, gdyby wyjawiał mu prawdę. Postąpiłby zgodnie

z prawem, a Krugły nie byłby tym absolutnie zdziwiony. W końcu i za to go szanował.

- Szefie, sorry! - Rozłożył ręce, ale w głosie miał lekki wyrzut. - Przychodzi pan z tym... z panem prokuratorem po godzinach pracy, nie mówiąc, o co chodzi...

- Chcemy porozmawiać z Michalczykiem - odezwał się w końcu Ołdakowski.

- Dobry wieczór, panie prokuratorze, jak się pan dziś miewa? - rzucił cierpko Krugły.

- Długo się będziemy bawić w te pana głupie gierki, panie komisarzu? - Uśmieszek prokuratora był równie zimny, jak jego oczy. Inteligentne, bystro patrzące oczy człowieka, który wie, czego chce.

Jak to czasem pozory mylą...

- Nie mam obowiązku panów wpuszczać. A jeśli chodzi o te insynuacje...

- Dostaliśmy informację, że Michalczyk ukrywa się w twoim mieszkaniu - powiedział cicho Biniek. - Ze względu na ciebie i twoje osiągnięcia w pracy uprosiłem komendanta, żeby móc to z tobą załatwić samemu. Długo go przekonywałem, rozumiesz?

- Samemu? - zdziwił się Krugły, wskazując podbródkiem Ołdakowskiego.

- Niech pan to doceni, panie komisarzu - rzucił cierpko prokurator. - Gdyby ta niezbyt dla mnie zrozumiała admiracja pana inspektora w stosunku do pańskiej osoby, w pana mieszkaniu byłaby już kompania AT, a pod domem TVN24. Zdaje pan sobie z tego sprawę?

- Doprawdy? - zdziwił się uprzejmie Krugły. - A mogę wiedzieć, skąd się wzięły takie informacje, jakoby pan

Michalczyk przebywał u mnie?

Ołdakowski popatrzył na niego kpiąco.

- Metody operacyjne - wycodził, mrużąc oczy.

Krugły postanowił, że nie da się sprowokować.

- Robert. - Biniek westchnął. - Nie chcemy smrodu. Jesteś jednym z nas, nawet jeśli popełniłeś jakiś błąd, obiecuję, że to nie wyjdzie poza nasze wąskie grono. Widocznie miałeś powód, nie wiem, liczę na to, że mi wszystko wyjaśnisz...

Krugły zagryzł wargi. Milczał przez chwilę, a potem zdecydował się rzucić mały ochłap.

- Faktycznie, był u mnie - powiedział cicho, widząc, jak twarz Ołdakowskiego rozciąga się w uśmiechu. - Przyszedł w tamtą niedzielę, rano. Wyglądał, jakby dopiero co wyszedł z jakiejś popijawy. Powiedział, że ktoś obrabował go, kiedy wracał z klubu i czy mogę pożyczyć mu trochę pieniędzy. Dałem mu dwie stówy. Podziękował i poszedł. Więcej go nie widziałem. Potem zadzwonił do mnie Berdak z informacją, że Michalczyk zabił prostytutkę. Jako że nie widziałem bezpośredniego związku między jego wizytą u mnie a zabójstwem, uznałem za stosowne nie mówić nic Jarkowi o wizycie.

- Pan sobie kpi, panie komisarzu? - zawołał Ołdakowski. - Nie widział pan związku? To jakiś żart? Może czas zmienić zawód?

- Jak pan się dobrze zastanowi, panie prokuratorze, to uzna pan mój punkt widzenia za słuszny. Z zeznań sąsiadów i taksówkarza wynikało, jak był ubrany i dokąd jechał... Uciekał już, był w drodze na dworzec, który jest sto metrów stąd. Jego wizyta u mnie była czysto

przypadkowa, trwała może półtorej minuty, a ja w tamtej chwili nie miałem pojęcia, że Michalczyk ma coś wspólnego z jakimkolwiek zabójstwem. Co mogłem wnieść nowego do sprawy? Mogłem sobie za to tylko zaszkodzić. Przyznaję, to może być trochę obciążające, ale chyba mnie panowie rozumieją? Byłem później nawet zły na Michalczyka, że tym swoim najściem wplątał mnie w to wszystko. - Krugły spojrzał na Ołdakowskiego, zakładając ręce na piersi i nonszalancko opierając się o framugę. - Tak, przy okazji, wiadomo już, w który pociąg faktycznie wsiadł?

- Nie, no to jest jakaś kpina. - Ołdakowskiemu opadły ręce.

- To, co powiedziałem? Kpina? Nie, to po prostu prawda. Nie tego pan szuka?

- Chuja tam w pociąg - warknął nagle prokurator.

Zanim Krugły się zorientował, Ołdakowski dał nura prosto w drzwi, potracając go łokciem tak mocno, że komisarz prawie upadł. Zdążył jeszcze chwycić połę płaszcza, ale śliski materiał wysunął mu się z ręki. Ołdakowski zniknął za wewnętrznymi drzwiami mieszkania, nie dbając nawet, by je za sobą zamknąć. Skurwiel - pomyślał z wściekłością Krugły, rzucając się w pogoń. Nie spodziewał się, że Ołdakowskiego stać na takie zagranie, pomijając bezczelność jego postępowania. A potem przyszła refleksja, że to naprawdę koniec. Gdy wpadł na korytarz, prokurator kończył właśnie przelotną, wzrokową inspekcję dużego pokoju i kuchni, kierując się w stronę sypialni. Przedwojenne budownictwo i powojenne zasady kwaterunkowe rządziły się swoimi

prawami – długi na dziesięć metrów korytarz przebiegał przez całe mieszkanie, wystarczyło po prostu zaglądać w kolejne drzwi, co Ołdakowski właśnie robił. Krugły dopadł go przy ostatnich. Drzwi do łazienki były otwarte. Stała w nich Ewa. Naga, z wilgotnymi włosami, na ramionach wisiał ręcznik. Ołdakowski stanął jak wryty, z otwartymi ustami. Po chwili przełknął ślinę. Krugły również, choć z innego powodu.

- Już, napatrzył się pan? - zapytała Ewa nieproszonego gościa rozniewanym tonem, nie dbając nawet, by się zakryć. - Kim pan w ogóle jest i co pan tu robi? Robert!!! - krzyknęła nagle.

W tym samym momencie na karku Ołdakowskiego zacisnęła się ręka Krugłego. Mocno. Po chwili porwała go w kierunku wyjścia, zanim ten otrząsnął się z szoku. Wszyscy usłyszeli głośny dźwięk rozdzieranego materiału. Krugły, wlokąc Ołdakowskiego po podłodze korytarza, Bogu dziękował za ciało, które Ten dał Ewie prawie czterdzieści lat temu i które wyglądało, jakby pomylił się na jej korzyść o dobre dziesięć czy piętnaście lat. Gdyby nie to, Ołdakowski, prawdopodobnie zamiast skupić wzrok na jej krągłościach, zauważyłby wystające znad krawędzi wanny kolano Michalczyka. Kiedy dowłókł już prokuratora do drzwi, puścił go, ledwo hamując się przed wymierzeniem mu pożegnalnego kopniaka. Biniek stał zrezygnowany, opierając się o framugę. Jego noga nawet na milimetr nie przekroczyła progu mieszkania Krugłego. Ołdakowski podnosił się z podłogi, poprawiając naderwany kołnierz trencza, widoczny na jego twarzy wyraz zaskoczenia mieszał się z zażenowaniem i złością.

- Nielegalna inspekcja właśnie dobiegła końca. - Krugły kipiał z wściekłości. - Zaprosiłbym pana na kawę, szefie, ale obawiam się, że muszę uspokoić moją dziewczynę. - Popatrzył na Ołdakowskiego i wycelował w niego palec. - Może pan liczyć na oficjalną skargę u pańskich przełożonych, panie prokuratorze. Tego, co pan przed chwilą zrobił, nie da się nawet określić językiem ludzi kulturalnych. Zadowolony pan jest chociaż z wyników? Warto było?

- Pewnie ukrył się w szafie... - nie dawał za wygraną Ołdakowski.

Biniek milczał, był zażenowany zachowaniem prokuratora chyba bardziej niż on sam.

- To będzie pan musiał z tym żyć - warknął Krugły.

- Pozostaje jeszcze kwestia pańskiej wizyty u pani Poraniewskiej, panie komisarzu - rzucił Ołdakowski zza zaciśniętych zębów, poprawiając poły płaszcza. - Po co pan u niej był i skąd pan w ogóle wiedział o jej znajomości z Garlicką? To chyba wymaga wyjaśnienia z pańskimi przełożonymi!

- Dobranoc! - huknął Krugły, spojrzał na Bińka i dodał już ciszej: - Do zobaczenia, szefie.

Ten skinął mu głową, patrząc w jego oczy z niemal ojcowską troską. Krugły mimo wszystko nie wiedział, jak ma odczytać to spojrzenie, więc po prostu cicho zamknął drzwi i wrócił do siebie. Serce waliło mu nadal, czuł, że ręce trzęsą mu się z emocji. Kurwa, w końcu przed chwilą ważyły się losy jego dalszej kariery i życia! Nie wierzył jeszcze w to, co się stało. Odetchnął głęboko i wszedł do salonu.



Ewa siedziała w szlafroku na kanapie, czerwona jak burak. Spojrzała na niego.

- To było jedyne, na co wpadliśmy, kiedy usłyszeliśmy, co się dzieje - powiedziała cicho. - Mateusz siedzi w wannie, dochodzi do siebie, chyba stamtąd prędko nie wyjdzie. A ja będę się wstydzić do końca życia. Pokazałam się na golasa obcemu facetowi. A nawet dwóm.

- Dałaś im chwilę szczęścia. - Krugły się roześmiał. - Naprawdę nie masz się czego wstydzić, wiesz? - Poglaskał ją po głowie, pochylił się i pocałował w czubek nosa. - Zaraz przyjdę.

Poszedł do łazienki. Michalczyk siedział na sedesie ze zwieszoną głową. Kiedy zobaczył Krugłego, wyprostował się.

- Ja pierdolę, człowieku, zejść na zawał. Już niedługo, przysięgam! - Głos mu zadrżał. - To nie ma sensu, Robert. Ja już nie mogę. Oddam się w ręce policji. Nie będę czekał w niepewności, aż po mnie przyjdą. Bo w końcu przyjdą. I ciebie też zgarną, nie masz co liczyć na pobłażliwość w tej kwestii. Wylecisz z policji z wilczym biletem, dyscyplinarnie i bez prawa do emerytury, a i tak będziesz mógł dziękować losowi, jeśli skończy się tylko na tym. A mnie i tak już nikt i nic nie pomoże... Jak się przyznam i pójdę na układ z prokuratorem... Okoliczności łagodzące się znajdują: czysta przeszłość, nieposzlakowana opinia, chwilowa niepoczytalność spowodowana alkoholem. Osiem lat, minus kilka, kilkanaście miesięcy za dobre sprawowanie. Jak wyjdę, będę jeszcze młody... w miarę...

Krugły prychnął.

- I co, wyjedziesz w Bieszczady zacząć od nowa? A Mikołaj? A mama? Kto się nimi zajmie? Okoliczności łagodzące, mówisz? Przypominam ci, że ofiara miała prawie odciętą głowę. Ukrywanie się przed organami ścigania też nie jest okolicznością łagodzącą. A oskarżycielem będzie zapewne pan „świnka morska” Ołdakowski, pieprzony podglądacz. Zdaje się, że nie darzy cię sympatią, co? Dodaj do tych ośmiu lat następne siedem. Co najmniej...

Michalczyk oblizwał usta.

- Dlaczego „świnka morska”? - zapytał z zaskoczeniem, jakby to dopiero do niego dotarło.

Krugły opowiedział mu o teorii Berdaka, dotyczącej braku związku między nazwą tego stworzenia a tym, czym ono faktycznie jest, i analogii, przekładającej się na osobę prokuratora Ołdakowskiego.

- Ma to jakiś sens. - Michalczyk uśmiechnął się lekko. - W okręgowej niektórzy nazywają go TJMW. Od słów: „Tu jest moja wizytówka”. Jego standardowy tekst, razem z przyklepionym do twarzy obleśnym uśmieszkiem, który w jego mniemaniu jest czarujący. Częstuje tymi wizytówkami wszystkie dziewczyny poniżej trzydziestego roku życia, które pojawią się w prokuraturze: asystentki, asesorki, stażystki, nawet sprzątaczkę - przysięgam! Oferuje im pomoc, opiekę merytoryczną i tak dalej, w domyśle pewnie coś jeszcze. I to jego spojrzenie! Nawet się z nim nie kryje, po prostu lekko odchyła się do tyłu i skanuje laskę od stóp do głów, w dodatku robi takie oczy, wiesz, że tym biednym, naiwnym gąskom mięknią kolana.

Nie wiem, co się dzieje potem, ale to, co widziałem, wystarczy.

- Może robi to z pobudek czysto altruistycznych i naprawdę im pomaga - rzucił Krugły, sam nie wierząc w to, co mówi.

- Tak, zdobywają nawzajem punkty. One swoje punkty do kariery, a on ich punkty G. - Michalczyk zamilkł na chwilę i spojrzał na wannę. - Swoją drogą, trzeba mieć cojones, żeby wyciąć taki numer. Gdyby Ewcia nie wymyśliła tej łazienki, zobaczyłby mnie na kanapie jak nic! Dobrze, że tak się wydzierał przy drzwiach, bo go rozpoznałem po głosie. Nie wiedziałem, czy ma nakaz i co zrobisz: wpuścisz go do środka czy spuścisz ze schodów... Ledwo zdążyliśmy...

- Cojones? Owszem, przez chwilę miałem ochotę wbić mu je kopniakiem do wnętrza kadłuba. Na serio zastanawiam się nad skargą na niego. Czuję się... - Krugły przez chwilę szukał odpowiedniego słowa - ...zbrukany. Poważnie!

- Ty wiesz, że jak kiedyś ukradli mi telefon, to miałem podobne uczucie? A Ołdakowskiemu nic nie zrobią, co najwyżej beknie dyscyplinarnie. Co prawda ustawa o prokuraturze wyraźnie mówi, że prokurator odpowiada dyscyplinarnie tylko za popełnienie wykroczenia, ale naruszenie miru domowego to występki, czyli przestępstwo, a nie wykroczenie, więc teoretycznie powinien mieć sprawę... Ale i tak nic mu nie zrobią. Kto z nim był?

- Tylko Biniek.

- No właśnie. Przecież nie zezna przeciw Ołdakowskiemu. Skalałby niejako własne gniazdo, co nie? Wszystko by się jakoś rozmyło. Uwierz mi, nie warto. - Uśmiechnął się do siebie. - Wiesz, ten Ołdakowski to... To nawet nie kuriozum. To „kuzorium”. Gość jest czasem naprawdę nieprzewidywalny, a z usposobienia jest gorszy niż Walter Sobchak w Big Lebowski. Kiedyś, jak jeszcze pracowałem w okręgowej, widziałem, jak się wkurwił. Ale tak na serio, mówię ci, jakby nagła krew go zalała! Wziął w ręce klawiaturę i w szale zaczął nią napieprzać w monitor. Autentycznie! Jak wściekły bachor, któremu rodzice nie pozwolili iść z kumplami poharatać w gałę. Szok. Dziewczyny tydzień się go bały. Potem wszyscy zapomnieli... A wracając do rzeczy: to naprawdę dłużej nie ma sensu, Robert. Twój plan, żeby poczekać, aż moi koledzy dogrzebią się do czegoś konkretnego, co mnie oczyści z podejrzeń, spalił na panewce. Poszedł w piz... Wygląda na to, że nikomu nie zależy na prawdzie. Po prostu idą po linii najmniejszego oporu. Trochę im się nie dziwię, w końcu wszystko świadczy przeciwko mnie... Poddam się, a potem zrobię coś, żeby jakoś z tego wybrnąć. Przynajmniej będę mógł wyglądać przez okno, nawet jeśli będzie zakratowane...

Krugły cmoknął, kręcąc głową.

- Minęło dopiero... - policzył szybko w myślach - pięć dni. Daj im trochę czasu. Niech znajdą tajemniczego Jacka. Ale widzę, że naprawdę dobija cię ta beczyność. Dobija i rozmiękcza. Dobra, postaram się jakoś zapewnić ci rozrywkę. Coś, co będziesz mile wspominał i co pomoże ci przetrwać następne kilkanaście dni.

- Co to będzie? - Michalczyk wyraźnie się ożywił.

- Zobaczysz - mruknął tajemniczo Krugły. - Chodź, wracamy do pokoju. Zbyt długie siedzenie na kłocie nie służy kiszkom.

Michalczyk wstał z lekką niechęcią, odruchowo spuścił wodę i smętnie powlókł się za Krugłym.

## *Piątek, 24 maja*

Późnym południem Krugły zaparkował tuż pod bramą swojej kamienicy. Zanim wysiadł z samochodu, wyciągnął telefon i zadzwonił do Jarka, żeby zapytać, jak się czuje.

- Cześć, Jarecki. Co tam?

- Żona jeszt akurat z dziećkami - odparł Jarek.

- To zadzwonię później.

- Dobra. Robert...

- No?

- Powiecz tylko, jak ze Szczemboszem?

- Dalej nic.

- Ale nie żaszczelił nikogo?

- Na razie nie. - Krugły uświadomił sobie, jak to zabrzmiało i poprawił się: - Znaczy nie. Sterroryzował tylko staruszkę, u której ukrywał się całą noc.

- Jak to żniosła?

- Psychicznie? Fatalnie. Fizycznie zresztą też. Jest w szoku i odwodniona. Skurwiel był przez cały czas w jej mieszkaniu, w bloku obok miejsca, gdzie cię pobił. O szóstej rano zaczął ją dusić poduszką. Udawała martwą, a może na chwilę straciła przytomność. W każdym razie

zostawił ją w spokoju... Koło siódmej kobiecina jakoś dowlokła się do drzwi sąsiadów, którzy zadzwonili po pogotowie i na policję...

- Szkurwyszyn... - W głosie Berdaka była czysta nienawiść.

- Dzieciaki słyszą - przypomniał mu Krugły. - Dobra, gadaj sobie z żoną. Później się zdzwonimy. Na razie.

Kiedy wysiadał z samochodu, zobaczył, jak drzwi wejściowe do jego klatki schodowej zamykają się za kimś. Zdążył do nich podbiec, zanim zatrzasnęły się, dopchnięte samozamykaczem. Wbiegł do bramy i na piętrze, przy drzwiach swojego mieszkania, dogonił Gosię, która wracała do siebie, machając pustym wiaderkiem na śmieci. Słyszając jego kroki za sobą, obejrzała się i widząc go, zatrzymała się nagle zaskoczona. Krugły już nie musiał zastanawiać się, komu zawdzięcza wizytę Bińka i Ołdakowskiego, która nastąpiła w dodatku niedługo po tym, jak prokuratura opublikowała list gończy za Michalczykiem. Znalazł w jej spuszczonej wroku potwierdzenie swoich podejrzeń. W jego głosie nie było złości, jedynie lekki wyrzut.

- Nie musiałaś tego robić, Gosia. Mogłaś najpierw porozmawiać ze mną.

Odwróciła się do niego, stając stopień wyżej, tak że ich twarze były na tej samej wysokości.

- „Michał wpadł w małe kłopoty”, co? - prychnęła. - Wybacz, Robert, ale nie miałam innego wyjścia. Nie masz prawa tak ryzykować naszego zdrowia i życia. Nie mieszkasz tu sam, są tu też nasze dzieci. To morderca! - Wskazała drzwi jego mieszkania oskarżycielskim gestem.

- Wydałaś już wyrok? Tak pochopnie, mimo że kompletnie nie znasz okoliczności sprawy?

Małgosia spuściła wzrok pod twardym spojrzeniem Krugłego.

- Nie - szepnęła. - Ale jeśli myślisz, że w ogóle nie będę się tym przejmować, to się mylisz. Co mam sobie pomyśleć, widząc u ciebie człowieka, o którym potem dowiaduję się z wiadomości, że to maniakałny zabójca?

- Mówisz, że ryzykuję wasze zdrowie i życie? Masz mnie za idiotę? Myślisz, że podjąłbym takie ryzyko, wiedząc, że jest mordercą? Że wziąłbym je również na siebie i przede wszystkim na Ewę? Dziewczyno, jestem policjantem!

- To twoja sprawa, jakie ryzyko na siebie bierzesz. Ale wybacz, ja i mój syn liczymy się dla nas bardziej niż Ewa czy ty.

- Mam ci przypomnieć tę sprawę z Marcinem? Gdybym wtedy wydał wyrok tak szybko, jak ty teraz, to jak by się to skończyło?

- Nie porównuj częstowania skrętem z marihuaną do zabicia człowieka! Co, będziesz mi to teraz wypominał? To ma być jakieś dobijanie targu? Ty mi nie zadenuncjowałeś syna, to ja ci mam pomóc ukrywać zbiega? W dodatku zabójcę? - Uniosła brwi i głos.

- Nie, nie o to chodzi, Gosia. Nie chodzi o ciężar przewinienia. Pomijając fakt, że Marcin był winny, bo mimo wszystko popełnił przestępstwo. Wcale nie częstował, tylko sprzedawał. Ale mimo to dostał ode mnie szansę, bo go znam i wiem, co sobą reprezentuje, a błędy popełniamy wszyscy. I on tę szansę wykorzystał. A ja

mówię teraz o tym, że rzeczy nie zawsze wyglądają na takie, jakie są naprawdę. Ten człowiek jest niewinny, chociaż wszyscy już go osądzili. Osądzili i skazali...

Po minie Gosi widział, że jej nie przekonał, ale nie dziwiło go to. Dobro swoje i swojego dziecka stawia się o wiele wyżej niż dobro obcego człowieka. To naturalne. Najbardziej jednak wkurzał go mechanizm wzbudzania się w ludziach przekonania o tym, że coś jest dobre lub złe. Medialna kreacja rzeczywistości - szczególnie tej moralnej - była wszechobecna i dotyczyła praktycznie wszystkich dziedzin życia.

- Chcę, żebyś wiedziała, że nie mam ci tego za złe - powiedział do niej cicho. - Rozumiem cię. I nie martw się więcej, jego już tu nie ma. - Krugły zastanawiał się, co Małgosia zrobi, gdy jakimś cudem się dowie, że ją okłamał.

Nie, nie okłamał. Postawił dobro kogoś porządnego i niewinnego ponad dobro w zasadzie obcych mu ludzi. Życie to sztuka wyboru. Zgrana do cna prawda, której banalne znaczenie dopada człowieka w takich właśnie momentach.

Zrobiła ruch ku niemu, jakby chciała go uściskać, ale po chwili zrezygnowała, zatrzymując się w pół kroku, stopień niżej.

- Narobiłam ci kłopotów, prawda?

Krugły uśmiechnął się, trochę z przymusem.

- Jakby ci to powiedzieć? Kłopoty to ostatnio moja specjalność, Gosiu. Dobrze, że zrobiłaś to anonimowo.

- Skąd wiesz? - zdziwiła się.



Miał jej powiedzieć, że gdyby opowiedziała policji o wszystkich okolicznościach spotkania z Michalczykiem w jego mieszkaniu, Biniek i Ołdakowski nie łyknęliby bajeczki o dwóch stówach pożyczki i zniknięciu?

- Och... W końcu jestem policjantem, tak? Nie martw się już więcej. Pozdrów Marcina.

Odwrócił się i zniknął w swoim mieszkaniu. Słyszał, jak sąsiadka pnie się w górę stromymi schodami, szurając klapkami. Przekręcił zamek w drzwiach i poszedł zobaczyć, co porabia człowiek, którego tam nie było.

Kiedy wszedł do pokoju, zastał Michalczyka w takiej samej pozycji jak wczoraj i przedwczoraj, i dwa dni wcześniej. Siedział na kanapie, z nieco nieobecny wrokiem wbitym w ekran, tym razem telewizora, a nie laptopa. Krugły przywitał się i sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki, z której coś wyciągnął.

- Długo to trwało, ale w końcu jest - rzucił z szerokim uśmiechem.

Telefon nie był nowy. Nosił ślady użytkowania, lecz był smartfonem.

- Gdzie będę dzwonił? - zapytał z lekkim zdziwieniem Michalczyk, odrywając wzrok od telewizora i biorąc od Krugłego iPhone'a.

- A gdzie byś chciał?

- A co z namierzaniem?

- Od tego gnuśnienia stępił ci się ten twój błyskotliwy umysł. Kupiłem ci kartę prepaidową.

- A telefon?

- Używany. Poprzedni właściciel nie będzie go już potrzebował.

- Co z numerem IMEI? Po nim też można wykryć aparat.

Krugły pokręcił głową.

- To nie ma znaczenia. Telefon nie jest kradziony, więc operator nie odmówi usługi automatycznie po przesłaniu sygnału do sieci. To raz. Dwa: będziesz wykonywał połączenia wyłącznie do swojej mamy. Owszem, telefon będzie się logował do najbliższego BTS-u, jednak nie mamy pewności, czy sprawdzają jej billingi. A nawet jeśli, to znajdą ten numer, a potem się nim zainteresują - Krugły wskazał telefon - i stwierdzą, że użytkownik dzwonił z miejsca leżącego podejrzenie blisko mojego mieszkania. Zapytają ją pewnie, czyj to numer. Wtedy zawsze może powiedzieć, że dzwoniła Ewa ze zwykłej troski i chęci pocieszenia. W końcu się trochę znają, no nie? A przynajmniej tak wspólnie zeznają. - Zamilkł na chwilę. - Cholera, przecież telefon twojej mamy może być na podsłuchu. Kicha...

Michalczyk patrzył na niego uradowanym wzrokiem.

- Masz chyba zbyt dobre mniemanie o możliwościach technicznych i intelektualnych prokuratury, zwłaszcza że w tym wypadku reprezentuje ją Ołdakowski. Wiesz, ile trwa załatwienie zgody sądu na założenie podsłuchu? Wiesz, bo sami zakładacie. Chyba że traktują sprawę naprawdę priorytetowo, spięli się i faktycznie go założyli. Może nawet bez zgody sądu, to przecież nagminne... Ale wtedy i tak nie musimy podejmować ryzyka. Zadzwoń do ciotki, na jej telefon! A ona zadzwoni do mamy

i poprosi, żeby przyjechała do niej z Mikołajem, nie mówiąc, o co dokładnie chodzi. I oddzwoni do mnie.

- Jeśli policja wie, że utrzymują ze sobą bliski kontakt, telefon ciotki też mogli podpiąć. - Krugły roześmiał się nagle. - Ale my jesteśmy tępaki! Pojadę do lombardu, kupię starą nokię, dam nową kartę i zawiozę twojej mamie. Proste!?

- Tak proste, że aż banalne, dzięki. - Michalczyk westchnął, kręcąc ze zdziwieniem głową i zmienił nagle temat. - Jak tam u ciebie w pracy w związku z wizytą „świnki morskiej”?

Krugły roześmiał się.

- Dzwoniła dziś rano do Bińka jakaś szychka z okręgowej. Nie do mnie, tylko do niego, rozumiesz? Nie wiem, skąd się o wszystkim dowiedzieli, skoro niczego jeszcze nie zgłosiłem, bo mam huk roboty z tym napadem na konwój. Binię też nikomu o tym nie wspomniał, więc Ołdakowski sam musiał powiadomić przełożonych. Może przez noc przemyślał swój wyczyn? Nie wiem, co naopowiadał. Podejrzewam, że zrobił to w taki sposób, by umniejszyć swoją winę, choć szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, jak musiałby to sformułować. Co, wciągnąłem go do środka i zmusiłem? Nieważne. Dzwonili i przepraszali, podpytywali, czy zamierzam coś z tym zrobić. Binię powiedział im, że zastanawiam się. Tak go przepraszali, że nie wiedzieli, w co go całować...

Michalczyk roześmiał się. Wyglądało, jakby wrócił mu humor, pogadali więc jeszcze trochę o pierdołach, a potem Robert z Ewą wyskoczyli na szybkie zakupy.

\* \* \*

Krugły wrócił do domu sam. Ewę zostawił u mamy, miała dziś u niej nocować, zapowiadał się więc męski wieczór. Wszedł do mieszkania, zostawił siatki na blacie w kuchni, wziął z lodówki dwa piwa i przeszedł do pokoju. Widząc siedzącego na kanapie Mateusza, pomachał butelkami, ale on tylko siedział bez ruchu, patrząc na niego dziwnie.

- Mam coś na twarzy? - zapytał go rozbawiony.

- Skąd wzięłeś tego iPhone'a? - Głos Michalczyka był nieco podejrzliwy.

- Dlaczego chcesz to wiedzieć? Piwa się napij...

- Robert, powiedz mi, skąd go wzięłeś?

Krugły usiadł obok niego i spojrzał na telefon.

- Co ty, cudze zdjęcia oglądasz?

- Tak, z nudów. Jest ich tu w cholere i trochę. Skąd?

- Czemu to takie ważne?

- Skąd, Robert?

Krugły westchnął i odstawił butelki na stolik.

- Mówiłem ci o Strzęboszu, typie, który obrabował bankowóz na Kolumba, a potem dał się złapać, gdy skasował kradzionym autem inne samochody? - Michalczyk skinął głową. - Opowiadałem ci, że podał się za swojego brata, potem zwał z sądu, pobił Berdaka i przez całą noc terroryzował staruszkę. - Krugły wskazał iPhone. - To jego telefon. Jak już się okazało, co to za ptaszek, to zabrałem go z depozytu i dałem naszym specom do przejrzenia, na cito. Niczego ciekawego nie znaleźli, więc dziś rano trafił do pudła z dowodami. To go wzięłem.

- Zabrałeś dowód rzeczowy? Zwariowałeś?

- Nie zabrałem. Pożyczyłem. I tak jest już bezużyteczny jako dowód rzeczowy, bo nic w nim nie ma. Nikt się nie dowie, oddam potem. A co? Wyrzuty sumienia cię dręczą?

- To ten Strzębosz? - zapytał Michalczyk, podstawiając Krugłemu telefon pod nos.

Na wyświetlaczu Krugły zobaczył zdjęcie przedstawiające dwóch mężczyzn. Kadr był lekko przekrzywiony, to było selfie. W tle widać było jakiś akwen, prowadzący do niego kanał i żaglówkę ze złożonym masztem, która właśnie zbliżała się do jego ujścia. Jednym z mężczyzn faktycznie był Strzębosz, to on trzymał telefon w ręce. Na oświetlonej ostrym słońcem twarzy, ukrytej częściowo za ciemnymi okularami, malowało się zadowolenie. Drugi z mężczyzn, jasny blondyn, patrzył gdzieś w bok. Wyraz jego twarzy świadczył dobitnie, że nie jest zbyt szczęśliwy.

- Tak, to on. - Krugły popukał Strzębosza w nos.

- A wiesz, kim jest ten facet obok niego?

- Nie wiem. Pewnie jakiś jego znajomek.

- Tak się dziwnie składa, że ja wiem, kto to jest.

- Tak? Skąd!?

- Przewinął się przez jedno moje śledztwo.

- Żartujesz? Jako podejrzany?

- Nie. Przesłuchiwałem go w związku z zabójstwem pewnego lekarza. Ktoś zatłukł biedaka w lesie w okolicach Głębokiego.

- Tak, słyszałem. U nas zajmuje się tym Maciek Baranowski. Wspominał mi nawet, że ty prowadzisz

sprawę.

- No właśnie. Człowiek obok tego twojego terrorysty to przedstawiciel handlowy jakiejś firmy zajmującej się aparaturą medyczną. Gość nazywa się jakoś dziwnie, nie pamiętam jak, ale ma szwedzkie nazwisko. I to wyobraź sobie, nie z -sson na końcu. I chyba wstydzi się swojego imienia. Andrzej. Jakby miał na imię Parfiriut, tobym jeszcze zrozumiał, ale Andrzej? W każdym razie zrobił na mnie niezbyt dobre wrażenie.

- Czemu?

- Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. Wiesz, że czasem lubię pograć przed ludźmi debila. Są wtedy mniej ostrożni i bardziej... przejrzysti. Wtedy też się trochę zgrywałem. A on był strasznie wyniosły, wiesz, taki: co to nie on. Może uprzedziłem się do niego za szybko, bo był taki... chłodny?

- Tak cię to dotknęło, biedactwo?

- Przecież mówię, że to tylko wrażenie. Zachowywał się, jakby codziennie rano przed wyjściem z domu wyciągał z zamrażarki lód w kostkach i wtykał go sobie w tyłek w takiej ilości, żeby starczyło do wieczora. Z ofiarą był powiązany praktycznie wyłącznie zawodowo, a przynajmniej tak twierdził. Też był w szoku, kiedy dałem mu do zrozumienia, że Strobisz, ten zabity lekarz, mógł mieć coś na sumieniu. W czasie rozmów ze współpracownikami wspomniał mi o tym jeden facet. Nie jakieś konkrety, raczej wątpliwe podejrzenia co do dziwnego przekazywania sprzętu do USG między klinikami, ale to moim zdaniem świadczy już o tym, że coś jest na rzeczy. Jestem z natury podejrzliwy, przecież wiesz... Więc skoro już mi się trafił ktoś związany z tym tematem, to

pociągnąłem wątek. A ten facet biały się zrobił na twarzy, jak mu to powiedziałem. W końcu też sprzedawał Strobiszowi urządzenia, i to właśnie do USG. Podobno Szwedzi inaczej podchodzą do kwestii wiarygodności i uczciwości...

- Jak inaczej? - zainteresował się Krugły.

- Nooo wiesz...

- Właśnie nie wiem!

- O rany, jakby ci to powiedzieć? Mają sztywne normy moralne postępowania w biznesie, tak mi powiedział ten facet. Brak w nich typowo słowiańskiej skłonności do... uelastyczniania pewnych kwestii. Oględnie mówiąc.

- Hmm... Ładnie powiedziane. A kto zabił tego Strobisza?

Michalczyk się skrzywił.

- Tak się złożyło, że moje śledztwo zostało przerwane pewnym niezwykłym wydarzeniem...

- Wygodne, nie sądzisz? - stwierdził Krugły podejrzliwie.

- Dla kogo?

- Dla tego, kto miał w tym interes. Zabójcy Strobisza, na pewno. A może właśnie dla tego Szweda?

Michalczyk roześmiał się.

- Nie za szybko wyciągasz wnioski? Z tym pierwszym jeszcze mógłbym się zgodzić, ale dlaczego akurat ten Szwed? Szwedopolak w zasadzie? Po cholere miałby zabijać Strobisza? No i wrabiać mnie potem w zabójstwo prostytutki?

- Nie wiem, dlaczego miałyby zabijać Strobisza. Widocznie miał jakiś powód. Ale mogę się domyślić, dlaczego wrabiałyby ciebie. I ty też możesz się tego domyślić...

- Chyba jesteś przepracowany. I jeszcze bardziej podejrzliwy niż ja. Wszędzie węszysz zbrodnicze intencje.

- Taki już mam zawód.

- Robert, tłumaczę ci! Spotkałem gościa przypadkiem, jak siedziałem w gabinecie Strobisza. Wszedł tam, bo chciał się z nim spotkać, nawet nie wiedział, że został zabity. Nie sądzę, żeby był tak znakomitym aktorem. Wyglądał, jakby mu się świat zawalił, rozumiesz? Zacząłem go wypytywać o Strobisza i w ten sposób dowiedziałem się, kim jest. Gdyby nie to, pewnie w ogóle nie przewinałby się przez śledztwo. - Zastanowił się przez chwilę, a potem puścił do Krugłego oko. - I nie miał czerwonego kapelusza.

Krugły lekko się uśmiechnął.

- A może robili te szwindle ze sprzętem razem? A skoro stwierdziłeś nieprawidłowości, pewnie i tak spotykałbyś się z dostawcami tych urządzeń, żeby to wyjaśnić. Z nim również, prawda?

- Niby tak. I niewykluczone, że skończyłoby się na osobnym wątku w śledztwie, gdyby nie ta pani w moim łóżku...

Krugły popatrzył na Michalczyka z namysłem.

- Powiem ci, dlaczego ten Szwed tak nagle zaczął mi chodzić po głowie. Mimo że nie ma czerwonego kapelusza, to nie wziął mi się znikąd. Pamiętasz, co powiedziała Małgosia o tym środkiem, który wsypali ci do



piwa? Że od paru lat nie jest już dopuszczony do stosowania w Polsce?

- No, pamiętam.

- A w Szwecji?

Pytanie zawisło między nimi. Krugły spojrzał na Michalczyka.

- Twierdzisz, że nigdy nie zrobiłeś nikomu niczego, co mogłoby sprowokować tę osobę do jakichś działań przeciwko tobie: zemsty czy czegoś w tym rodzaju. Przeanalizowałeś swoje sprawy, które prowadziłeś w prokuraturze w ostatnim czasie, tak? I wyszło ci, że żadna z nich nie daje podstaw, by sądzić, że ktoś w nią zamieszany miałby interes w tym, żeby cię udupić. Z wyjątkiem sprawy Strobisza, tak sobie teraz myślę. Interes ma zabójca lub ktoś, kto nie chce, byś dotarł nie tyle do owego zabójcy, ile do motywu. Ten ktoś eliminuje cię jako osobę mogącą odkryć prawdę. I równie dobrze tym kimś może być ten Szwed. Pewnie, że tylko teoretyzujemy, ale na tym często polega nasza praca, prawda?

Michalczyk spojrzał na telefon. Wyświetlacz zdążył już się wygasić.

- Co Szwed robi na tym zdjęciu z tym...

- Strzęboszem - odpowiedział Krugły.

- Właśnie. Wygląda na to, że są w dość zażyłych stosunkach.

- Może łączy ich coś jeszcze?

- Znowu zaczynasz zbaczać w kierunku mniejszości seksualnych?

- Nie o tym mówię, Mateusz. Mówię o interesach.

- To, że się znają, jeszcze o niczym nie świadczy. Myślisz, że w związku z tym Szwed jest zamieszany również w ten twój napad?

- Nie wiem. Na razie analizujemy ich znajomość pod kątem zlecenia na ciebie. Ale kto wie, może masz rację. Może to Szwed był drugim sprawcą, a nie konwojent, który od tamtej pory nie pojawił się w pracy i w ogóle przepadł? W końcu o tym drugim tak naprawdę nic nie wiemy. Być może Strzębosz zabił konwojenta wcześniej, jak już dowiedział się wszystkiego, co chciał wiedzieć o przewożeniu pieniędzy przez Alfa Secure. Do teraz zakładałem, że facet zapadł się pod ziemię, bo był współnikiem Strzębosza, jak to zwykle w takich sytuacjach bywa. Zniknął z forszą. A może jednak nie? Może jednak nie żyje?

- Strzębosz: Wujek Samo Zło, co? - Michalczyk roześmiał się. - Robert, daruj, ale chyba za bardzo popuszczasz wodze fantazji. Kurwa, to jakiś gang? Napady, zabójstwa, zlecenia na prokuratorów... Co to jest? Szczecińska ośmiornica? Bandyta i dystyngowany dżentelmen obracający się w środowisku lekarskim? Coś tu nie pasuje, panie komisarzu!

Krugły zagryzł wargę.

- Ten emeryt, który pilnował parkingu w warsztacie tamtej nocy, kiedy Strzębosz ukradł radiowóz... Przyznał się, że spał. Ale powiedział też, że od kilku lat cierpi na bezsenność i to mu się zdarzyło po raz pierwszy od miesięcy. Zawsze między obchodami czyta książki, gazety albo ogląda telewizję i nie ma problemu z sennością. A tej

nocy... Strzębosz wrócił wtedy wieczorem po dokumenty. Stróż musiał mu otworzyć drzwi, tam są zamki elektroniczne na czipy, kody i inne bajery. Może Strzębosz wykorzystał ten moment i wsypał mu środek nasenny do termosu z kawą? W nocy wrócił, żeby podprowadzić radiowóz. Tam wszystko jest pod okiem kamer. Po prostu wiedział, że stróż go nie zobaczy, bo będzie spał, rozumiesz? Nie przyszło mi wtedy do głowy, żeby zrobić analizę krwi tego Staszewskiego albo resztek kawy na obecność takiego środka. Stereotypowe myślenie, prawda, panie prokuratorze? Jak dziadek, to musi spać, no nie? – Krugły pokręcił głową w geście samokrytyki. – A jeśli założymy, że tak było, to skąd Strzębosz wziął środek nasenny? Być może właśnie flunitrazepam?

– Od Szweda?

– Otóż to! Spójrz. – Wziął do ręki telefon i aktywował go. Kciukiem i palcem wskazującym maksymalnie powiększył zdjęcie. – Widzisz to?

Michalczyk zerknął.

– Łódka jakaś. Ale rozmazana, za bardzo powiększyłeś.

– Zobacz, jaka ciemnozielona woda. I widać linię horyzontu, więc jest to morze...

– Albo Śniardwy czy inne duże jezioro – przerwał mu Michalczyk.

– Nie, ta woda nie wygląda na jezioro – upierał się Krugły. – Za zielona. To morze. Na bank. Ale nie jakies ciepłe. Moim zdaniem to Bałtyk. Infrastruktura wskazuje, że to jakiś bardzo mały porcik. Nie byłem, co prawda, we wszystkich polskich portach, przystaniach i marinach, ale wygląda mi to na jakąś zagranicę. Mówię o architekturze

tego budynekczku w rogu. A teraz popatrz tutaj. - Wskazał na łódź. - To nie jest pełnomorski jacht, tylko jakaś łupinka. Widzisz tę niebieską plamkę z tyłu? To bandera. Zbyt słaba rozdzielczość, żeby stwierdzić z całą pewnością, jakiego kraju, ale w basenie Morza Bałtyckiego przychodzi mi do głowy tylko jeden kraj z flagą o znaczącej przewadze jasnoniebieskiego... Więc skoro ta krypta nie miała prawa znaleźć się po tej stronie Bałtyku, czyli u nas...?

- ...To jesteśmy w Szwecji.

- Właśnie. A skoro byli tam razem, możemy założyć, że łączy ich raczej ściślejszy związek niż przelotna znajomość...

- A jeśli to zbieg okoliczności? - Michalczyk westchnął i zamilkł na chwilę, zastanawiając się nad czymś. - A może dziadek zasnął jednak bez wspomagania? Po prostu i najzwyczajniej w świecie, jak to czasem zdarza się starszym ludziom?

- Ty nie zasnąłeś bez wspomagania, przypominam ci. Oczywiście, że to może być zbieg okoliczności. - Krugły pomachał telefonem. - Ale ja ostatnio nie wierzę może nie tyle w zbiegi okoliczności, ile w to, że zdarza się ich zbyt dużo w jednym miejscu. Ten Staszewski też rano bardzo źle się czuł i wyglądał zupełnie jak ty, kiedy przyszedłeś do mnie w tę niedzielę. Co prawda lekarz mówił, że to serce, może nawet stan przedzawałowy. Wiesz, co zrobię, Mateusz? - Spojrzał za okno, Góry Bukowe traciły już pomarańczową barwę, co oznaczało, że słońce powoli znikła za budynkami dzielnicy Nowe Miasto. - Zabiorę ci na trochę tę zabawkę. Przejadę się z nią do tej

Poraniewskiej, przyjaciółki Garlickiej i pokażę jej to zdjęcie.

- Po co? - zapytał Michalczyk.

- Po co? Ustaliliśmy, przynaję, trochę hipotetycznie, że twoje kłopoty mogą być na rękę Szwedowi, prawda? Dlaczego tego nie sprawdzić? To nic nas nie kosztuje, a jest czymś, czego w obecnej sytuacji możemy się wreszcie chwycić. Mam po prostu przeczucie, że Poraniewska widziała już pana Szweda. Co prawda wspominała, że gość, który wynajął jej koleżankę, miał na imię Jacek i był krótko obciętym blondynem, ale to jeszcze niczego nie oznacza... - Zamknął oczy i wyszeptał: - Kurwa...

Michalczyk uśmiechnął się. Załapał, o co chodziło Krugłemu, ale jego podejście było raczej sceptyczne.

- Nie, Robert. Nie. Popadasz w paranoję. Niemożliwe. To by było za proste - ostudził zapał Krugłego. - Nie masz się czym podniecać. Niejednemu psu Burek, a taką fryzurę jak Strzębosz nosi teraz co trzeci facet. Pudło... Gdzie miała tego Szweda widzieć?

- Mateusz... Wróć do nas i włącz myślenie, proszę cię. W Kafe Tango!

- Okej. A co do myślenia... Po co chcesz mi zabrać jedną z niewielu rozrywek? Nie możesz po prostu wysłać sobie tego zdjęcia na swój telefon?

\* \* \*

Godzinę później Krugły ponownie stanął przed drzwiami z zardzewiałą wizytówką i znów pomyślał o Prosiaczk

i jego dziadziu. Siłą woli powstrzymał się od parsknięcia śmiechem i zapukał. Poraniewska otworzyła po kilkunastu sekundach z policzkami uniesionymi tajemniczym uśmiechem, który spełził jej z ust na widok komisarza, zmieniając się w grymas niezadowolenia. Po chwili wahania odsunęła się, by Krugły mógł wejść. Nie wiedział, czy czekała na klienta, czy na kogoś innego, w każdym razie na pewno nie na niego. Znów znalazł się w ciasnym korytarzyku o odrapanych ścianach, przez chwilę zobaczył siebie i ją w zaśnieżonym lustrze. Znów zaduch zaatakował jego nozdrza. Przeszli do pokoju innego niż poprzednim razem. Poraniewska wskazała Krugłemu wersalkę i usiadła obok niego, na szczęście na drugim końcu. Wysłuzone siedzisko zapadło się pod ich ciężarem. Krugłemu przemknęło przez myśl, że to nie siedzisko, a raczej leże i zaczął zastanawiać się, jak wielu mężczyzn zapukało na nim do wrót rozkoszy i ilu z nich akurat na tym kolorowym kocu, na którym teraz siedział.

- Coś już wiadomo o Renacie? - zapytała.

Krugły pokręcił głową.

- Wciąż szukamy zabójcy. Ale jest drobny ślad w tej sprawie. A może nie taki drobny? - Wyciągnął z kieszeni telefon. - Chciałbym pani coś pokazać. Mamy pewne podejrzenia, że mężczyzna, którego zdjęcie pani zaraz zobaczy, stoi pośrednio za zabójstwem pani przyjaciółki. Najprawdopodobniej to on ją wynajął i to jego widziała pani w tamtą sobotę w Kafe Tango. Czy tak? - Podsunął jej telefon ze zdjęciem, które przesłał sobie z telefonu Strzębosza przez bluetoota.

Zobaczył, jak jej oczy się rozszerzają.

- Tak, to on - szepnęła. - Na pewno on.

Bingo. Szwed o dziwnym nazwisku. Krugły kuł żelazo pówki gorące.

- A może wie pani, przypadkiem, kim jest ten mężczyzna w ciemnych okularach? - strzelił nagle.

- O co panu chodzi? - zapytała zdziwiona.

- Nie bardzo rozumiem... - bąknął Krugły i uniósł brwi.

Nagle dotarło do niego, że chyba jednak zaczyna rozumieć. Kobieta wyjęła z jego ręki telefon, podsunęła mu go pod oczy i przyłożyła palec do wyświetlacza, dokładnie na twarzy Strzębosza.

- Z Renatą był właśnie ten gość w ciemnych okularach. A nie ten drugi. Tego drugiego nie znam. Opisywałam panu przecież wtedy, jak wyglądał ten, co ją wynajął. Jacek. Mówiłam, że krótko obcięty blondyn, tak?

Krugły czuł, jak przyspiesza mu puls.

- To też jest blondyn - zwrócił uwagę, wskazując Szweda.

- Ale nie ciemny jak tamten.

- Nie mówiła pani wtedy, że ciemny. Powiedziała pani: „blondyn”.

- Mówiłam „krótko obcięty, ciemny blondyn” - upierała się.

- Dobrze, to teraz nieistotne.

- Ten ma włosy, jak lew grzywę. A ja mówiłam: krótko...

- To zdjęcie było robione jakiś czas temu - przerwał jej Krugły. - Mógł je ściąć. Dlatego chcę to uściślić.

- Dobrze! To był ten z krótkimi, ciemnymi włosami, wystarczy!?

- Wystarczy, nie musi pani podnosić głosu.

Krugły poczuł znajomy ucisk w dołku. Więc jednak! Nie dał po sobie niczego poznać, ani zdziwienia, ani zaskoczenia. Z tych dwóch interes we wrobieniu Michalczyka miał jedynie Szwed. Chyba że o czymś jeszcze z Michalczykiem nie wiedzieli. Ale tego faktu mógł być prawie pewien: znajomość dwóch panów ze zdjęcia nie była czystym przypadkiem. Miał rację. Niemożliwe stało się możliwe, nie popadł w paranoję ani nie omyliło go przecucie. To jednak był t e n Burek. Krugły - jeden, Michalczyk - zero. To nie Szwed wynajął prostytutkę, żeby wrobić Michalczyka, tylko Strzębosz. Ale mimo wszystko istniała możliwość, że zrobił to właśnie na zlecenie Szweda. I to również zaczynało robić się coraz bardziej prawdopodobne. Krugły nie byłby sobą, gdyby nie przyjął tego jako całkiem prawdopodobnej hipotezy śledczej. Zabrał Poraniewskiej telefon.

- Wspominała pani podczas naszej ostatniej rozmowy, że wydawało się pani, że kręci się z nim ktoś jeszcze. W takim razie może to ten z lwią grzywą? - zapytał obojętnym tonem, pukając paznokciem w Szweda.

Chciał jeszcze trochę podrażnić temat.

- Mówiłam już, nie wiem. Palłam papierosa, a nie gapiłam się na ludzi. Poza tym było ciemno, widziałam tylko zarys sylwetki. To mógł być on albo i nie. I tyle... Ależ pan upierdliwy, rany boskie!

Krugły zagryzł wargi.

- Taki zawód. - Chrzęknął. - Jest pani pewna co do tego pierwszego? W końcu ma ciemne okulary.



- A ten znowu, no! Tatuaż ma taki sam na rękę. - Wskazała na wyciągnięte przedramię i kawałek hebrajskiego napisu, niknącego poza kadrem.

- Wie pani, dużo ludzi ma takie tatuaże. Taka moda.

Poraniewska westchnęła, garbiąc się lekko, jakby dociekliwość Krugłego naprawdę zaczynała ją męczyć.

- Fryzura, kształt twarzy, podbródek, tatuaż, wydatne usta... Nos. Są takie same, jak u tamtego faceta z Kafe Tango. Więc to musi być on, tak? Jak się panu nie podoba, to powiem, że to nie on. Zadowolony?

Usta wywinęły jej się w ryjek w wyrazie niezadowolenia, a Krugły znów pomyślał o Prosiaczkę i Wstępie Bronisławie.

- Naprawdę zwraca pani uwagę na aż takie szczegóły? - zapytał zdziwiony i przypomniał sobie, jak parę dni temu wspominała mu o zawodowym nawyku.

- To takie dziwne? Myśli pan, że dziwka nie może pamiętać twarzy, tylko kutasy?

- Nie, nie. - Krugły wycofywał się niezręcznie, spoglądając na nią. - Nie o to chodzi. To zabrzmiało, jakby pani miała na tle swojego zajęcia jakieś kompleksy. Chodzi mi o to, że mało kto zwraca uwagę na takie szczegóły. Niezależnie od profesji - dodał szybko.

- Mówiłam już panu: ja zwracam - poinformowała go sucho, zapalając papierosa.

Gdy zaciągała się mocno dymem, ogromne piersi popłynęły statecznie w stronę Krugłego. Odwróciła głowę w bok i wydmuchnęła dym z płuc. Piersi wróciły do pozycji wyjściowej. Krugły obiecał sobie, że wytrzyma tego jednego papierosa. Ale tylko jednego. Wiedział, że

jeśli Poraniewska zapali drugiego, nie starczy mu sił – albo ucieknie, albo zwymiotuje na kocyk tak potwornie wzorzysty, że pawia nawet nie będzie na nim widać. Zapadła nieco krępująca cisza. Poraniewska popatrzyła na Krugłego ze zniechęceniem i odwróciła głowę w stronę okna. Papieros zakołysał się w ustach. Wyjęła go zamaszystym ruchem i oblizała wargi.

- Nieźle się zemścił skurwysyn, co? - zapytała, znów spoglądając na komisarza.

Krugły milczał.

- Kogo pani ma na myśli? - zapytał po chwili.

- Pamiętam twarze. Czytam gazety. Dwa plus dwa jest cztery, nawet dziwce tak wychodzi, panie komisarzu. Mam na myśli skurwiela, którego Renata wystawiła temu facetowi. - Wskazała oczami telefon Krugłego. - Tego, którego teraz poszukujecie za jej zabójstwo. Pieprzonego prokuratorka. Mylę się?

Krugły spojrział w bok.

- Pewnie się gnojek skapował, o co chodzi. - Roześmiała się gorzko. - Ale nic nie usprawiedliwia tego, że ją zabił. Zwłaszcza że zrobił to w taki sposób. Zarznął ją jak świnię. Bez litości. Tacy jak on myślą, że wszystko im wolno. Bo stanowią władzę. Myślą, że...

- Dziękuję pani za pomoc. - Krugły zerwał się z wersalki. - To wszystko.

Poszedł w kierunku drzwi. Poraniewska odprowadziła go pełnym niechęci spojrzeniem.

- Pan też jest władzą. A prawda w oczy kole, co?

Krugły odwrócił się do niej.

- A gdzie leży prawda? Wie pani?

- Filozof z pana... Filozofia w życiu jest równie przydatna, jak okulary świni. Niepotrzebnie wszystko komplikuje. Niektórych nie stać na filozofowanie, panie komisarzu, wie pan o tym? Niektórzy nie zastanawiają się, gdzie leży prawda, bo mają to w dupie. Chcą tylko mieć co zjeść i gdzie się przespać. Tylko tyle, bo na nic innego ich nie stać. Na jedzenie zresztą często też nie. Nie każdy ma cycki i dupę, którymi może zarobić na chleb. - Patrzyła na niego prowokacyjnie.

- Zgadza się. Ale to nie znaczy, że można uzurpować sobie prawo do tego, żeby mówić innym o prawdzie i gdzie ona leży. Bo pani też nie ma pojęcia gdzie, a przynajmniej w sprawie tego prokuratora. - Krugły podszedł do Poraniewskiej i stanął nad nią. - A ja nie jestem władzą. Te czasy dawno minęły. Ja mam panią chronić...

Kobieta parsknęła śmiechem i spojrzała gdzieś w bok. Krugły chciał już tylko wyjść, ale jeszcze przez chwilę się powstrzymał.

- Przyznaję, kwestia tego, jak pojmuję swoją służbę, to moja prywatna sprawa i nikt nie ma obowiązku się z tym zgadzać. Może sobie nawet mieć to głęboko w dupie, nie interesuje mnie to. Ale ten pani gest przypomina mi trochę chuligańską mentalność wyrostka. Na ulicy wrzeszczy „jebać policję”, a jak mu ukradną telefon, to leci z wywieszonym jęzorem na komisariat.

- Nie leci - sprostowała. - Załatwia sprawę we własnym zakresie. Albo dowiaduje się, kto mu go ukradł i idzie do niego z kolegami, albo sam kradnie komuś

innemu. Nie miesza do tego policji. Po co? Ja też was do swojego życia nie mieszam.

- To jego wybór. I pani wybór też - rzucił Krugły na pożegnanie, nie wracając już do tematu prawdy.

Rozejrzał się jeszcze po pokoju. Nazwanie jego wystroju ascetycznym byłoby nadużyciem. Wersalka, z której przed chwilą wstał, stół z poszarzałym obrusem i dwoma krzesłami, przy oknie regał z pozostałością kompletu naczyń z rżniętego szkła. Na ścianie papierowa reprodukcja Słoneczników van Gogha, wycięta trzydzieści lat temu z jakiejś gazety, oprawiona w tandetną ramkę. Nic poza tymi kilkoma meblami i obrazkiem, równie samotnym na pustej ścianie, jak życie tej zgorzkniałej kobiety.

- Cóż, jeszcze raz dziękuję za pomoc. Bo naprawdę mi pani pomogła. I może pani być zadowolona, bo najprawdopodobniej właśnie pani przyczyni się do wykrycia zabójcy Renaty. Do widzenia.

Wyszedł wkurzony, nie czekając, aż go odprowadzi do drzwi, czego zresztą nawet nie zamierzała robić. Nie zastanawiał się, czy dał jej swoimi ostatnimi słowami do myślenia, czy nie. To i tak nie miało znaczenia, a on nie zamierzał nikogo zmieniać ani nawracać, a zwłaszcza Poraniewskiej. Był realistą. I miał to gdzieś.

Wychodząc z budynku, nagle z lekkim niesmakiem przypomniał sobie wypadające z bluzki Poraniewskiej atrybuty jej przedwcześnie przywędłej kobiecości. Obraz trwał przez chwilę, aż Krugły wpadł niespodziewanie na to, co powinien jeszcze zrobić. Sprawdzić coś. Musiał w tym celu odwiedzić Kafe Tango, a konkretnie dwóch

z trzech właścicieli gładko ogolonych głów. Pełen zdziwienia nad pokrętnymi ścieżkami skojarzeń, którymi chadza jego umysł, Krugły wsiadł do samochodu. Zdążył się już trochę uspokoić. Ruszył w dół Rostworowskiego, wjechał w Mickiewicza, a kiedy minął wiadukt Akademicki, skręcił w Noakowskiego, a potem w Jagiellońską. Znów miał problem z zaparkowaniem; popołudniowo-wieczorny chaos ogarniał ten fragment ulicy niczym fala tsunami pochłaniająca spokojny do tej pory brzeg. Patrzył, jak nadjeżdżają kolejne samochody i taksówki, wypływają ze środka amatorów zabawy i odjeżdżają w stronę centrum. Przez chwilę miał ochotę zrobić to, co ci ludzie: wysiąść z auta i pójść do klubu, napić się piwa i potańczyć. Przypomniał sobie, dlaczego tu przyjechał, kiedy uświadomił sobie, jak to skończyło się dla Michalczyka. Pięć minut później był już przy wejściu do Kafe Tango i patrzył przez szybę na dwie łyse głowy. Refleksy światła lamp wiszących nad kontuarem szatni błyskały na gładko ogolonej i opiętej na czaszkach skórze. Krugły poczekał, aż zrobi się luźniej, i wszedł do środka. Widział, że go pamiętają, ale mimo to powitali go obojętnymi spojrzeniami.

- Zawsze tu jesteście? - zapytał ich zdziwiony. - Śpicie kiedyś?

Wzruszyli ramionami jak na komendę. Chyba nie mieli ochoty na pogawędkę. W zasadzie Krugły też nie miał - chciał być po prostu miły. Tylko po co?

- Dobra, nie przyszedłem na pogaduchy. - Wyciągnął swój telefon i wyświetlił zdjęcie. - Załatwimy to szybko.

Poznajecie? To on rozmawiał wtedy z tą rudą? – Wskazał Strzębosza.

Spojrzeli na ekran i znów, jak na umówiony sygnał, razem skinęli głowami.

- To on – potwierdził imiennik Krugłego. – A tak w ogóle to byli tu wtedy obaj.

Krugły aż zastygł przez chwilę w bezruchu. Pięknie, coraz lepiej. Teoria o współpracy Strzębosza i Szweda zaczynała się potwierdzać, tak to przynajmniej wyglądało.

- Obaj? – zapytał łysych. – Jesteście pewni?

- Ale tylko jeden wszedł na salę – znów zabrał głos Robert. – Właśnie ten w ciemnych okularach. Zresztą zaraz potem wyszedł, potem znowu wrócił na chwilę i ponownie wyszedł. A drugi wyszedł na zewnątrz na samym początku. Chyba chcieli wejść obaj, tylko że jeden z nich nie miał odpowiedniego obuwia, nie pamiętam który. I właśnie dlatego ich obu zapamiętałem. Tu, na bramce, widuję codziennie setki twarzy. Wszystkie się zlewają, ale niektóre pamiętam właśnie dzięki takim akcjom, jak dyskusja o butach. I filmikom. Klapka – dodał, spoglądając znacząco na Krugłego i pukając się w czubek głowy.

- Jasne. Klapka.

- No i blondyn wyglądał jak ten, no... Tomek, pomóż.

- Lew, kurwa, Alex. Z *Madagaskaru* – błysnął wiedzą filmową Tomek i była to jedyna kwestia, jaką miał wygłosić do końca rozmowy.

- Właśnie. – Robert pokiwał głową. – Alex. Tak wyglądał.

- Bosko. Rozmawiali o czymś tu, w szatni? - zapytał Krugły. - Słyszałeś coś?

- Nie.

- Ale to ten w ciemnych okularach potem spotkał się przy drzwiach z tą rudą? I to z nim ją widziałeś, kiedy byłeś na fajce?

- Tak. Nie miał oczywiście tych okularów... A potem, kiedy zobaczył, w jakim stanie jest ten gość, którego przyholowała ruda, to jej pomógł go prowadzić. Sam pan widział na filmie. - Wzruszył ramionami.

- Tak, ale na filmie nie było widać, że to on. Mignął za drzwiami, i tyle...

- Ale opisałem go wtedy dokładnie... - Chłopak za punkt honoru postawił sobie udowodnienie Krugłemu swojej przydatności.

Chciał zostać detektywem czy co? Krugły pokiwał głową.

- Mniej więcej go opisałeś, to prawda. Tyle że nie mówiłeś wtedy, że był jeszcze z kimś... Z tym, który w końcu nie wszedł.

- No nie. Nie mówiłem - przyznał bramkarz i uśmiechnął się przeproszająco. - Klapka nie zadziałała.

- A blondyn? - zapytał Krugły i mając w pamięci niedawną dyskusję z Poraniewską, dodał po chwili: - Ten jasny?

- Czyli ten, co nie wszedł do środka? Lew Alex?

- Właśnie. - Uśmiech Krugłego był wciąż bardzo uprzejmy. - A skoro nie wszedł, to znaczy, że to on nie miał butów, prawda?

Pan Klapka spojrział na Krugłego z zaskoczeniem.

- W sumie...? W sumie tak.

- No właśnie. Więc co z tym jasnym?

- Już się więcej nie pokazał.

- Na pewno?

Tym razem pan Klapka posłał Krugłemu spojrzenie pełne wyrzutu.

- Na pewno.

- Dobra. - Krugły zerknął na grupkę ludzi zbierającą się za jego plecami. Schował telefon. - Dzięki i na razie.

Znów na pożegnanie nie zaszczycili go nawet skinieniem głowy. Krugły niemal wybiegł na zewnątrz. W zasadzie miał już pewność, że Szwed i Strzębosz działali razem przy wrobieniu Michalczyka. Czyli jednak musiało chodzić o sprawę Strobisza. A co z napadem? To też? Czyżby faktycznie wpadli z Michalczykiem na trop jakiegoś gangu? Młodych wilków, którzy zaangażowaniem, bezwzględnością i szerokim zakresem działania próbowali zaistnieć w przestępczym światku Szczecina? Oprócz napadu na konwój z pieniędzmi nie słyszał ostatnio o jakichś dziwach i cudach na mieście, do których zwykle dochodziło przy okazji pojawienia się nowej grupy, z hukiem wkraczającej na cudzy teren. Będzie musiał popytać w pracy, w wywiadzie kryminalnym. A może to dopiero początek, a dwaj panowie ze zdjęcia dopiero się rozkręcają? Na razie nieźle im idzie - pomyślał Krugły z przekąsem, wsiadając do samochodu.

- Kurwa! - zaklął nagle cicho, widząc złożone lusterko boczne. Wysiadł i poszedł je obejrzeć. Parkowanie „na



desperata” musiało się tak skończyć. Widać uderzył w nie przejeżdżający samochód. Otarcie na plastikowej obudowie nieco Krugłego zasmuciło. Westchnął i wsiadł z powrotem do auta. Przekręcił kluczyk w stacyjce, lusterko przez chwilę rzęziło, kiedy mechanizm próbował je odblokować, a potem wróciło do normalnego położenia. Krugły odetchnął, straty były na szczęście minimalne, pojechał prosto do domu podzielić się z Michalczykiem najnowszymi wiadomościami.

\* \* \*

- Co ja skurwielowi takiego zrobiłem, co? - sapnął Michalczyk, czerwony z emocji. - Widziałem go raz w życiu, nawet nie pamiętam, jak się nazywa. Rozumiesz coś z tego? - zapytał Krugłego.

Siedzieli obaj przy stole. Jedli grzanki z szynką, serem i pieczarkami, i dyskutowali o roli Szweda w ostatnich wydarzeniach, zdając sobie sprawę, że tak naprawdę strzelają w ciemno.

- Musiałeś mu nadepnąć na odcisk - stwierdził Krugły.

- Po prostu.

- Jak?

- Jak? Doszliśmy do wniosku, że osobista zemsta odpada, skoro nie znałeś żadnego z nich: ani Szweda, ani Strzębosza. Więc w zasadzie widzę tylko dwie możliwości. Pierwsza: Szwed zabił Strobisza, druga: Szwed i Strobisz kombinowali na boku razem. Ewentualnie obie te opcje naraz. Najpierw kombinowali, a potem go zabił. A ty zacząłeś się tym interesować.

- Ty poważnie z tym zabójstwem?

- W zasadzie mniej poważnie niż z kombinowaniem.

- Dlaczego?

- Myślę, że Szwed nie zrobiłby jednak czegoś takiego w ten sposób. Mówiłeś, że Strobisz został uderzony w głowę kawałkiem betonu, tak? Gdzieś w lesie. To mi wygląda raczej na coś przypadkowego, na jakiś afekt, a nie na planowane zabójstwo.

- Szwedów afekt nie dotyczy? Mówiłem ci, jak zbladł, kiedy wspomniałem o nieprawidłowościach? O jego podejściu do kwestii etyki też ci mówiłem. Może zabił go za karę, że go oszukał?

- Mateusz, proszę cię... Zresztą gdyby go zabił, zachowywałby się inaczej. Zaszyłby się gdzieś, a na pewno unikałby wizyt w miejscach powiązanych ze swoją ofiarą. I nie bawiłby się w zlecenie zabójstwa prostytutce Strzęboszowi, tylko zrobił to sam. Dlatego bardziej prawdopodobna wydaje mi się ta druga opcja o wspólnym przekręcie. I to dlatego chciał cię zniszczyć, żebyś nie wpadł na jego trop.

- Może nie zabił Strobisza sam, tylko zlecił zabójstwo Strzęboszowi? Najpierw jedno, a potem drugie, w które wrobili mnie?

- Możliwe. - Krugły wzruszył ramionami. - I ciesz się, że nie wymyślił czegoś bardziej radykalnego.

- Na przykład?

- Na przykład tego, żeby cię odpalić.

- No wiesz, zabicie mnie mimo wszystko byłoby dużo prostsze i logiczniejsze z jego punktu widzenia. - Michalczyk skubał brodę. - Może...? - Wyprostował się nagle. - Tak naprawdę nawet nie wiem, czy Strobisz robił te przekręty z aparaturą. Tak mi wyszło z rozmów z personelem kliniki, ale nie zdążyłem tego potwierdzić. A może jednak właśnie dlatego Szwed tak zdziaczał, kiedy wspomniałem mu o swoich podejrzeniach? Ze strachu, że to wyjdzie?

- No... - mruknął Krugły, gryząc grzanekę. - Przecież cały czas o tym mówię.

- Sprawdziłem w necie ten flunitrazepam. W Szwecji jest w obrocie środek zawierający to gównno. W zasadzie powoli wychodzi z obiegu, niemniej wciąż jest dostępny na rynku. Ale można go dostać również w Niemczech, Wielkiej Brytanii i innych krajach europejskich, więc niewykluczone, że to jednak mylny trop. Słuchaj, Robert... Tak naprawdę to wszystko może być zwykłym zbiegiem okoliczności, a Szwed nie ma nic wspólnego ze śmiercią Strobisza ani z jego przekrętami, ani nawet ze zleceniem na mnie. Nawiasem mówiąc, jeśli chodzi o to morderstwo Strobisza, rozważałem wątek zemsty; znalazłoby się kilka osób, które nie bardzo miały za co go lubić. Podobno też doktor był mocno skonfliktowany ze swoim synem. To też chciałem zbadać, zwłaszcza kiedy tuż przed moim... - urwał na chwilę - ...no, wiesz... okazało się, że chłopak jednak nie pojechał z kolegami nad morze, tylko ze swoją dziewczyną nie wiadomo dokąd... Ale masz rację, związki Szweda ze Strobiszem musimy sprawdzić. Potrzebuję akt.

- Jakich akt?

- Sprawy Strobisza. Muszę je przejrzeć. Przede wszystkim musimy się dowiedzieć, jak ten Szwed się nazywa. Pokserowałem trochę papierów, dokumentacji i korespondencji i pamiętam, że gdzieś tam jest nazwisko Szweda. No i kiedy przetrzepiemy to wszystko, to może faktycznie wpadniemy na jakiś trop. Potwierdzimy albo wykluczemy nasze podejrzenia.

Krugły parsknął.

- Żartujesz? Skąd ci wytrzasnę te akta? - Poślinił palec wskazujący i zaczął zbierać z blatu okruszki rozsypane wokół talerza.

- Jak to skąd? - Dla Michalczyka jakoś nie było w tym nic dziwnego. - Z prokuratury!

- Jasne, Mateusz. Wypiszę rewers i wypożyczę je do domu na tydzień...

- Po co zaraz na tydzień? Wystarczy na jedną noc.

- Dobra, teraz na poważnie. Jak mam to niby zrobić? Masz jakieś sugestie?

- Mam - odparł Michalczyk. - Tylko to będzie wymagać włączenia w sprawę kogoś jeszcze.

- Wykluczone - stwierdził kategorycznie Krugły. - Ustaliliśmy coś, prawda? Nie ma mowy. Przypominam ci, że nie tylko ty ryzykujesz. Ja również.

- Wiem, Robert. Ale w przeciwnym razie dalej będziemy dreptać w miejscu i podejrzewać wszystkich, którzy noszą czerwony kapelusz. Bez tych akt nie ruszymy dalej, rozumiesz? A możemy je mieć tylko od jednej osoby.

- Nie mów, że od Ołdakowskiego? A nie... Już tam nie pracujesz...

Michalczyk wzdrygnął się.

- Proszę cię, nawet tak nie żartuj!

- To od kogo? Od tego, kto przejął sprawę?

Michalczyk machnął ręką.

- To nieważne, kto prowadzi teraz tę sprawę. Chodzi o to, kto może wynieść jej akta z prokuratury.

- A kto może?

Michalczyk gryzł paznokiec kciuka.

- Myślę, że moglibyśmy spróbować z Mikołajem.

- Nie rozumiem. - Krugły zmarszczył brwi.

- Nie mówię o moim synu. Jest u mnie w pracy jeden asesor, Mikołaj Sobski. Fajny chłopak. Bystry, porządny, staranny i z chęciami. Trochę się nim opiekuję. Chyba mnie lubi i na pewno ceni. - Spojrzał na Krugłego i błysnął zębami w szatańskim uśmiechu. - Skromność byłaby tu nie na miejscu, panie komisarzu. Mam świadomość swojej wartości.

- Okej, panie prokuratorze, cieszę się pana szczęściem, ale wróćmy do asesora.

- Mógłbyś z nim ostrożnie zagadać, wysondować, co on na to. Nie twierdzę, że się zgodzi, ale jest jedyną osobą, która ewentualnie mogłaby mi pomóc. Trzeba liczyć na łut szczęścia.

- W porządku. To opowiedz mi coś o nim.

Michalczyk opisał asesora w szczegółach, dodając parę rzeczy, dzięki którym komisarz mógłby potwierdzić przed nim szczerść swoich intencji.

- To co, zajdziesz do niego jutro? - zapytał na koniec Krugłego.

- Jutro? Jutro nie.

- Czemu?

- Bo jutro sobota.

- Już? Jezu, kompletnie straciłem rachubę czasu...

- To normalne, nie przejmuj się. Załatwię to w poniedziałek rano. Jeśli wyda nam akta, przez noc zdążymy je we dwóch przejrzeć. Może znajdziemy coś, co wcześniej nie rzuciło ci się w oczy?

*Niedziela, 26 maja*

Krugły i Michalczyk siedzieli naprzeciwko siebie przy stole, przed nimi stały szklane miseczki wypełnione parującym rosółem, który Ewa ugotowała im tuż przed wyjściem na mszę.

Michalczyk był w dobrym humorze. Poprzedniego dnia Krugły zawiózł jego mamie nowy telefon, mógł więc się nagadać z nią i z synem za wszystkie czasy. Teraz zbliżało się południe, a oni czekali, aż zupa ostygnie na tyle, by dało się ją przełknąć.

- Nie przeszkadza wam taka drobna różnica światopoglądowa? - Michalczyk zapytał Krugłego, wskazując porośniętym ciemną szczecinę podbródkiem drzwi, za którymi zniknęła Ewa.

- Nie, a czemu i w czym miałyby nam przeszkadzać? - odpowiedział pytaniem Krugły.

- Tak z ciekawości pytam. - Michalczyk dmuchnął lekko w delikatną, pachnącą smużkę pary unoszącej się nad zupą i dodał: - Kurczę, też bym się chętnie przeszedł z Ewcią.

- Jesteś wierzący? - Krugły był lekko zaskoczony.

Do tej pory nigdy o tych sprawach nie rozmawiali.

- Czy ja wiem, czy taki wierzący? Może raczej poszukujący? Czasem zajrzę do kościoła, nie powiem... - Michalczyk wziął do ręki łyżkę i zamieszał w miseczce.

- Pan racjonalny do bólu i twardo stąpający po ziemi prokurator w kościele?

- Jedno nie wyklucza drugiego, mój drogi. Nie sądz po sobie. A nawiasem mówiąc, wiara w Boga, taka naprawdę mocna, granicząca ze stuprocentową pewnością Jego istnienia, musi być wspaniałym uczuciem. Nie boisz się

wtedy praktycznie niczego. Tu, na ziemi, oczywiście. Nawet tych najgorszych rzeczy: choroby czy śmierci. A jeśli postępowałeś zgodnie z Jego naukami, nie masz się czego bać również tam, po drugiej stronie. Wiesz, że Bóg nie doświadcza cię nieszczęściem bez powodu, a nawet jeśli finałem jest śmierć, to spotyka cię ona tylko po to, żebyś dostał nagrodę, na którą całe życie pracowałeś... - Michalczyk spojrział w talerz, a potem na Krugłego. - Chociażbyś chodził ciemną doliną, zła się nie ulęknie. Ciekawe, ilu ludzi jest w stanie taką wiarę z siebie wykrzesać? - Przerwał zaskoczony, w momencie, gdy łyżka brzęknęła o szkło. - Dziwnie brzmią takie rozważania nad talerzem zupy, co?

- Trochę. Powiedziałbym, że banalny kontekst nieco je trywializuje. - Krugły patrzył na niego z lekkim rozbawieniem.

Michalczyk mieszał łyżką zupę, ale robił to nieświadomie.

- Miałem trochę czasu na myślenie. - Podniósł głowę znad talerza. - Jeśli w coś naprawdę mocno wierzysz, nic nie jest w stanie uczynić tego banalnym. Nawet zupa. Znałem kiedyś ludzi, dla których Bóg był czymś tak oczywistym i normalnym, jak ten rosół dla mnie. Byli bliżej Niego niż ja tej miseczki... Nie żyją już, umarli dawno temu.

- Zabrzmiało to, jakby spotkała ich kara za ten bliski kontakt z Bogiem. To jacyś męczennicy, których powołał do siebie zbyt szybko?

- Nie. Ani młodzi, ani męczennicy. Para miłych staruszków z mojej ulicy. Pamiętam ich z dzieciństwa. Żyli



długo, bogobojnie, może niezbyt zamożnie, ale na pewno szczęśliwie. Nie mieli dzieci, tylko siebie i jamnika, chyba jeszcze starszego od nich. Pamiętam, że chodzili, trzymając się za ręce. Nie pod rękę, tylko za rękę, jak zakochane nastolatki, strasznie mnie to wtedy dziwiło i śmieszyło, jak to gówniarza. Tak naprawdę nie pamiętam nawet ich twarzy, tylko te splecione dłonie. Dzisiaj, kiedy widzę starszych ludzi trzymających się za ręce, tak jak oni - a jest to bardzo rzadki widok w tym kraju - rośnie we mnie nadzieja, że związek, taki prawdziwy i mocny, na całe życie, jest możliwy! - Zamyślił się na chwilę. - Ona umarła pierwsza. On dalej chodził codziennie rano po bułki do sklepiku na rogu, tylko był okropnie smutny. Aż umarł, tydzień po niej. Widać mieli z Bogiem dobre układy. W końcu mieszkał z nimi kilkadziesiąt lat.

- To miłe. A znasz przykłady bogobojnych ludzi, którym się nie udało? Którzy odeszli do Niego w sposób gwałtowny, bolesny, absolutnie nie zasługując na takie okoliczności odejścia? Albo takich, co to nawet nie zdążyli sobie zapracować życiem na pójście do nieba? Małe dzieci, które umierają, zanim dostaną szansę uczynić coś dobrego?

- Owszem, znam takie przykłady. - Michalczyk pokiwał głową, drapiąc się w brodę. - To dlatego chodzę do kościoła tylko czasami. Bo tego nie rozumiem. I żyję ze świadomością, że nigdy tego nie pojmem, i z tego też powodu moja wiara nigdy nie będzie taka, jak wiara tych staruszków. Chodząc cienistymi dolinami, dalej będę się lękał zła, żywiąc jedynie nieśmiałą nadzieję, że kiedyś

mimo wszystko zamieszkać u Niego po najdłuższe czasy...

- Na jedną rzecz mamy podobny pogląd. - Krugły uśmiechnął się lekko. - Obaj nie rozumiemy tego, jak różnie Bóg postępuje z ludźmi, również z tymi, którzy deklarują bycie Jego dziećmi. Tylko że ja, w przeciwieństwie do ciebie, do kościoła nie zaglądam. Widziałeś w jednej z bocznych kaplic naszej katedry sarkofag z fragmentami ludzkich szkieletów?

Michalczyk skinął głową.

- Większość tych szczątków pochodzi z przykościelnego cmentarza zlikwidowanego w dziewiętnastym wieku. Ale część należy do ofiar nalotów z czterdziestego czwartego. Ci ludzie zginęli w kościele, kiedy po wybuchach bomb runęły na nich sklepienia kilku przęsł. Rozumiesz? Pobiegli do kościoła, żeby schronić się przed śmiercią. Schronić u kogoś, do kogo modlili się o przeżycie. I co? Zamiast życia znaleźli tam właśnie śmierć. Jak widzisz, nie zawsze chodzenie do kościoła może być opłacalne. Może dlatego nie chodzę? A może nie sądzę, bym znalazł tam odpowiedź na nurtujące mnie pytania?

- Czy wszystko w życiu trzeba traktować w kategoriach opłacalności? - zapytał Michalczyk z chytrym uśmiechem. - Ty sądzisz, że znaleźli tam śmierć, inni mogą uważać, że życie wieczne. A ty? Może po prostu boisz się stanąć z Bogiem twarzą w twarz?

Krugły, uśmiechając się krzywo, rozdzielił łyżką tłuste oka pływające na powierzchni rosółu, a potem obserwował, jak znów się ze sobą zlewają.

- Och, proszę cię... - mruknął.

- Prawda w oczy kole, co?

- Następny mi tu z prawdą wyjeżdża... - Krugłemu nie chciało się wyjaśniać Michalczykowi, o co chodzi. - Jedzmy ten rosół, bo wystygnie.

Jedli więc pochyleni nad stołem i miskami, wyglądając w dużym i wysokim pokoju jak dwóch szachistów w skupieniu rozgrywających mecz w wielkiej hali, w której nie było publiczności, a jedynie cisza. Dwóch ludzi, których splot dziwnych zdarzeń zbliżył do siebie w sposób zgoła niespodziewany. Obaj po prawie tygodniu mieli tego świadomość, cieszyli się też, że nie sprawdzili się przepowiednie Michalczyka o wzajemnym wkurzaniu się samą swoją obecnością. Jak na razie, obywatelom się bez jakichkolwiek zgrzytów. Ale jak długo jeszcze miało to trwać...

## *Poniedziałek, 27 maja*

Młody, bo niespełna trzydziestoletni chłopak, który idąc od strony ulicy Bohaterów Warszawy, pojawił się nagle przed drzwiami budynku prokuratury, wyglądał dokładnie tak, jak opisał go Michalczyk.

Było tuż przed wpół do ósmą rano. Krugły ubrany w strój do biegania truchtał w miejscu obok wejścia i patrzył, jak urzędnicy schodzą się do pracy. Przeczesał wzrokiem mały tłumek, wyławiał spośród niego osoby pasujące do rysopisu podanego przez Michalczyka. Gdy zobaczył asesora, zastąpił mu drogę.

- Mikołaj? Mikołaj Sobski? - zapytał cicho.

Chłopak przystanął zdziwiony.

- Tak. Znamy się?

- Nie, ale mamy wspólnego znajomego. Nie jest obecnie zbyt popularny u ciebie w pracy.

W oczach Mikołaja Krugły widział nieufność, ale i coś zadziornego.

- No i co, w związku z tym?

- Pozdrawia cię. I potrzebuje pomocy.

- Czy ja wyglądam na gimnazjalistę?

- Bo?

- Bo na taki numer to chyba tylko dziecko by się nabrało. Przecież wiem, że pan jest funkcjonariuszem policji. Widziałem pana w prokuraturze, wiem, że się znacie. - Spojrzał na drugą stronę ulicy, na prawosławną świątynię. - Nie pomogę panu, nie wiem, gdzie jest. Zostawcie mnie w spokoju.

- Wiem, że nie wiesz, gdzie jest. Chyba o to mu chodzi, no nie? Żeby nikt nie wiedział. A gdybym powiedział ci, że ja wiem?

- Tania podpucha, naprawdę. Pan wybaczy, trochę się spieszę do pracy.

Krugły chciał chwycić chłopaka za rękę, ale zamiast tego po prostu dotknął jego ramienia, kiedy go mijał, idąc w kierunku wejścia.

- Skoro wiesz, kim jestem i że się z Mateuszem znamy, to wiesz też, że się kumplujemy, tak?

Mikołaj przystanął, ale nie patrzył na Krugłego.

- Tak - odpowiedział. - Ale to jeszcze nic nie znaczy. Też mogę powiedzieć, że się z nim kumpluję.

- W porządku, inaczej. Pewnie dziwisz się, jak mógł zrobić coś takiego...

- Niczego mu jeszcze nie udowodnili. - Chłopak przerwał Krugłemu gwałtownie i ucichł raptem, kiedy ktoś, kto ich właśnie mijał, spojrział w ich stronę zdumionym wzrokiem. Po chwili kontynuował, już ciszej i mniej natarczywie, patrząc Krugłemu prosto w oczy.

- Może chciała go zabić i się bronił, a potem wpadł w panikę i uciekł? Może go tam w ogóle nie było, wrócił do domu i zobaczył ciało we własnym łóżku...

- To już wiem, czemu cię tak lubi. - Krugły roześmiał się. - Mam uczucie, jakbym gadał teraz z nim, a nie z tobą.

Widział, jak chłopak się namyśla, więc wyciągnął z rękawa asa.

- Kiedy nikt nie widzi i nie słyszy, mówi do ciebie „Misiek”, chociaż tego nie znosisz i on o tym wie. Obaj uwielbiacie słodycze, kiedyś wieczorem w pracy, słuchając listy przebojów „Trójki”, zjedliście po trzy desery czekoladowo-wiśniowe, a potem, też razem, wyrzygaliście je, bo wam zaszkodziły. Ledwo zdążyliście do łazienki. W piątek, przed tym feralnym weekendem, powiedział ci, żebyś sobie wreszcie znalazł dziewczynę, bo się zmarnujesz. - Wyciągnął do chłopaka rękę. - Robert.

Mikołaj uściśnął ją z wahaniem.

- Naprawdę to zrobił? - zapytał cicho.

Krugły się rozejrzał. Ludzi było coraz mniej, ostatni maruderzy szybkim krokiem docierali do wejścia i znikali w drzwiach.

- Chodź na kawę.

- Nie bardzo mogę, wiesz... Robota czeka. - Wskazał drzwi. - Szefa mam nie bardzo... Poza tym nie piję kawy.

- O! Ja też już cię lubię. To chodź na mały spacer. Wytłumaczysz się jakoś z paru minut spóźnienia.

- Masz z nim jakiś kontakt? - zapytał Mikołaj, kiedy ruszyli w stronę skweru obok placu Gałczyńskiego. - Naprawdę wiesz, gdzie jest?

- Tak, wiem. Ale sorry, chłopaku, im mniej wiesz ty, tym dla niego lepiej. Jest mu ciężko, ale daje radę. Pytasz, czy to zrobił. Cóż, ja uważam, że nie. Próbujemy go z tego szamba jakoś wyciągnąć i dlatego przyszedłem do ciebie.

- Do mnie? - zdziwił się. - A co ja mogę?

Krugły spojrzał na niego poważnie.

- Możesz. Pytanie tylko, czy chcesz.

- Co by to miało być? - W jego głosie brzmiał tak szczery entuzjazm, że Krugłego aż to zastanowiło.

Chłopak musiał Michalczyka naprawdę lubić.

- Widzisz, wpadliśmy na to, że ktoś mógł go zrobić. Bardzo odkrywcze, prawda? Tyle że mamy już potwierdzone pewne fakty, które na to wskazują. Ale klucz do sprawy jest w aktach jednego ze śledztw, które prowadził.

- Którego?

- Zabójstwo Strobisza. Tego biznesmena.

Chłopak pokiwał głową.

- Kojarzę.

- Potrzebujemy ich, Mikołaj.

Sobski zatrzymał się wpół kroku.

- Znaczy... Znaczy, że co, że mam je... wynieść?

- No wiesz, on raczej tu nie wpadnie, żeby je przejrzeć.  
Ruszyli dalej.

- Jezu, wiesz, o co mnie prosisz? - zapytał Mikołaj.

- Wiem. Czy to trudne?

- Trudne? Technicznie, nie. Akta jego spraw wciąż leżą u niego w pokoju, wszyscy tam wchodzą, kiedy czegoś potrzebują. Część przejęli inni prokuratorzy, część się tam kurczy... Strobisza prowadzi teraz prokurator Nitak, ale on ma dużo na głowie, a w tamtej sprawie w sumie nic się nie dzieje. Formalny protokół z sekcji zwłok z pełnymi analizami będzie pewnie dopiero za kilka tygodni, bo w sądownictwie mają mało ludzi i nie ma komu robić. Znaczący, sekcję zrobili od razu, ale nie przysłali jeszcze pełnych wyników. Mateusz zdążył przesłuchać większość świadków, protokoły są w aktach... Nitak i tak nic z tym teraz nie będzie robił. Wyniesienie tych kilku segregatorów nie jest trudne, po korytarzach ciągle ktoś krąży z jakimiś papierami, do sądu, na policję... Nie o to chodzi.

- Rozumiem, że masz opory natury moralnej.

- A to takie dziwne?

- Nie. To nawet dobrze o tobie świadczy. Ale wiesz, jaka jest stawka?

- Wiem. Dlatego myślę, że jednak zasną tej nocy i nie będą mną targać wyrzuty sumienia. Na kiedy to chcesz?

- Dasz radę na dziś? Jutro rano dostałbyś je z powrotem.

Mikołaj się zastanowił.

- O pierwszej mam rozprawę. W rejonowym Szczecin-Centrum. Spotkajmy się przed sądem za dziesięć pierwsza. Będę je miał ze sobą. Czyli jednak nie zabił? - W jego oczach była szczerą, chłopięcą radość.

- Nie. Nie zabił.

- W porządku. Muszę lecieć. Do zobaczenia.

- Dzięki, Mikołaj. Naprawdę.

- Nie ma sprawy. I, Robert... Powiedz mu, że nie wierzyłem w to. Nawet przez chwilę. Powiesz mu?

Krugły patrzył w ciemne, niemal płonące oczy.

- Powiem. A znalazłeś sobie dziewczynę?

Mikołaj zawstydział się lekko.

- Nie. Ale tego mu nie mów.

- Nie powiem. Na razie.

Sobski zniknął w budynku prokuratury, a Krugły pobiegł do samochodu. Kiedy wrócił do domu, Michalczyk jeszcze spał. Ewy nie było, poszła już do pracy. Wziął prysznic, ubrał się i nie budząc Michalczyka, też pojechał do roboty.

\* \* \*

- Nie wierzę! Masz je! - Michalczyk miał minę dziecka, które właśnie dostało zestaw wymarzonych klocków Lego.

- Dobry chłopak. Nie z ciebie, tylko z Mikołaja. Będą z niego ludzie. Będzie z niego dobry prokurator, zobaczysz.

- Zgadza się. - Krugły położył segregatory na stole. - Właśnie popełnił przestępstwo.



Michalczyk wykrzywił usta w grymasie lekceważenia.

- Detal. Zresztą nie zapominaj, że to było w słusznej sprawie. - Spojrzał na Krugłego i widząc jego rozbawiony wzrok, zapytał: - A co, nie? No co tak na mnie patrzysz? Dziwnie tak?

Krugły zastanawiał się, czy powiedzieć Michalczykowi, naczelnemu homofobowi prokuratury rejonowej w Szczecinie, że asesor, z którym współpracuje od kilku miesięcy, kocha się w nim na zabój. Dał sobie spokój. Z Mikołaja faktycznie był porządny chłop, po co robić mu kłopot? Aż dziw brał, że Michalczyk jeszcze się nie zorientował.

- Widzę, że wreszcie się ogoliłeś - powiedział zamiast tego. - I dobrze, bo mam dla ciebie coś jeszcze.

- Co?

- W zasadzie nie co, tylko kogo.

- Kogo? - Michalczyk zmarszczył brwi.

- Hmm... Mikołaja.

- Zmieniłeś zdanie co do zasad bezpieczeństwa? Przecież miał nie wiedzieć, gdzie jestem.

- Ewa, chodźcie! - zawołał Krugły, nie odrywając wzroku od twarzy prokuratora.

Ewa pojawiła się w drzwiach pokoju, a za nią Michalczyk zobaczył swoją mamę. Jego usta rozchyliły się w wyrazie absolutnego zaskoczenia. Kiedy zorientował się, kto stoi za nią, podbródek zaczął mu się trząść. Przełknął ślinę i spróbował wstać, ale nogi ugięły się pod nim i opadł z powrotem na krzesło. A potem wybuchnął płaczem. Jego syn stał w milczeniu, obejmując nogę babci i patrzył w kąt gdzieś za stojący w rogu kuchni stary piec

kaflowy. Michalczyk siedział na krześle, kryjąc twarz w dłoniach, i szlochał. Gdy już się trochę uspokoił, wyciągnął ręce w stronę syna i czekał, aż ten do niego podejdzie.

Krugły z Ewą wyszli z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

## *Czwartek, 23 maja*

Södergren nie zdawał sobie sprawy, że cała szczecińska policja została właśnie postawiona na nogi przez jednego człowieka. Strzębosz swoimi wyczynami narobił w mieście niezłego szumu, nie na tyle jednak wielkiego, by wiadomości o nim dotarły do spokojnego Mierzyna.

Kiedy w tamten niedzielny poranek Södergren zobaczył swoje volvo pod domem, od razu ogarnęły go złe przeczucia. Nie tak się umawiali. Strzębosz miał przyjechać z samego rana, opowiedzieć, jak było, i pokazać filmik. Zgłoszenie na policję pobicia i gwałtu miał załatwić z dziwką jeszcze tej samej nocy. Tymczasem on zostawił auto pod jego domem, Södergren nawet nie wiedział kiedy. Kamera i dokumenty były w środku. Kluczyki leżały przy drzwiach domu, pod wycieraczką, a na niej stały jego buty, które poprzedniego wieczora pożyczył mu pod klubem. Stały w tym samym miejscu, w którym zostawił adidas Strzębosza. Musiał wynieść je na zewnątrz, bo śmierdziały jak zdechły szczur. Teraz zniknęły. Dlaczego więc Strzębosz nie zadzwonił do drzwi, nawet jeśli z jakichś względów przyjechał tu w nocy? Karta pamięci w kamerze była czysta, tak jak Strzębosz ją

dostał. Jego telefon był wyłączony. Coś było nie tak, i to bardzo nie tak.

W poniedziałek już wiedział, co było nie tak, przeczytał o tym na pasku TVN24, kiedy włączył rano telewizor. Przez chwilę łudził się jeszcze, że to zbieg okoliczności. Rzucił się do laptopa i włączył Internet. Lakoniczną informację potwierdził na lokalnym portalu gs24. Czytając artykuł o dokonanym przez prokuratora zabójstwie prostytutki, czuł, jak blednie i oblewa go zimny pot. Nie podano żadnych nazwisk, ale podejrzewał, że chodzi o Michalczyka i tę cholerną Renatkę. Serce waliło mu w piersi, nieświadomie gryzł pięść, mamrocząc pod nosem „kurwa, kurwa, kurwa” niczym zacięta płyta starego gramofonu. Przeklinał chwilę, w której przyszło mu do głowy, żeby odświeżyć znajomość ze Strzęboszem. A potem cofał się coraz bardziej w przeszłość, przeklinając kolejno chwile: spotkania z Szelewicką, propozycji interesu ze Strobiszem, by wreszcie dojść do trzeciej klasy podstawówki. Dopadła go abstrakcyjna myśl. Gdybyż mógł wrócić do tego momentu swojego życia i powiedzieć wtedy wychowawczyni proszącej go o pomoc Jackowi w nauce: „Pierdol się!!!”. Jasne, że musiałyby użyć innych słów, ale może wtedy wszystko potoczyłoby się inaczej. Strzębosz byłby dla niego tylko odległym wspomnieniem z dzieciństwa, więc zwróciłby się do brata Nikoli, a nie do niego. A Krzysiek załatwiłby sprawę z Michalczykiem profesjonalnie... Najgorsze było to, że nie wiedział, co się dzieje ze Strzęboszem. Czy go czasem nie złapali i czy nie siedzi właśnie przed prokuratorem, wyśpiewując wszystko... Trwał w tej

niepewności całe dwa dni, nie mogąc spać po nocach, i nawet zmysłowe usta i zręczne ręce Nikoli nie były w stanie ukoić jego zszarpanych nerwów. Nie miał na nic ochoty.

Nie wiedział, że wszystko miało wyjaśnić się dziś.

Tego dnia Södergren nie mógł dłużej znieść dusznej atmosfery biura, postanowił więc wyrwać się z niego i popracować trochę w domu. Udało mu się wymknąć tuż po południu, a dwadzieścia kilka minut później parkował na podjeździe przed swoim garażem. Wysiadł z samochodu i zajął do bagażnika, żeby wyciągnąć z niego aktówkę. Kiedy zamykał klapę, kątem oka zauważył jakąś postać wychylającą się z kępy jałowców rosnących z boku domu. Serce niemal stanęło mu w piersi. Strzębosz. Poczuł, jak narasta w nim wściekłość. Ruszył ku niemu, mocno ściskając rączkę skórzanej teczki.

- Ty głupi skurwysynu, coś ty najlepszego zrobił!? - wysyczał.

Popchnął Strzębosza w kierunku drzwi wejściowych, rozglądając się, czy nikt nie przechodzi w pobliżu.

- Uratowałem ci tyłek, Anders! - wyszeptał gorączkowo Strzębosz, drapiąc się po pokłutych igłami przedramionach. - Gdyby nie ja, siedziałbyś teraz, rozumiesz? Ta szmata chciała się wycofać! Wypaplałaby wszystko psom. Groziła, że to zrobi!

Jednak przecucie go nie myliło. Chodziło o Michalczyka! Södergren usiłował wetknąć klucz w otwór zamka. Ręce tak mu się trzęsły, że ledwo był w stanie utrzymać w nich ten cholerny klucz, a co dopiero

go przekreślić. Opanował się jakoś i po chwili obaj zniknęli we wnętrzu domu. Södergren szybko zamknął drzwi. Stali w przedsionku w półmroku; widział tylko fragment twarzy Strzębosza, oświetlony paskiem dziennego światła wpadającego przez wąską, podłużną szybę w drzwiach. Obejmował tylko fragment czoła, oko, nos i kącik ust. Z boku głowy Strzębosz miał świeże rozcięcie, brzegi ranki były fioletowożółte i lekko nabrzmiałe. Prawą stronę twarzy znaczyła podłużna, sina pręga. Södergren miał ochotę walnąć w tę twarz z całej siły. Nigdy wcześniej nikogo nie uderzył, nie wiedział więc, jak dokładnie miałby to zrobić, wiedział tylko, że na pewno mocno. Tak żeby ta zakazana morda rozpadła się na pojedyncze komórki i przestała dyszeć tym swoim śmierdzącym oddechem prosto w jego nos.

- Chciałeś, żebym to załatwił - szeptał Strzębosz gorączkowo, kiedy Södergren zapalał światło. - Nie moja wina, że ta głupia cipa zmieniła zdanie! Przysięgam ci, powiedziała, że ten prokurator jest fajny i że tak nie można. Rozumiesz to? Że tak nie można! Jakby nagle, kurwa, spłynęła na nią łaska pańska i usłyszała: „Renatka, zawróć z tej drogi!”. To musiałem ją uciszyć, zrozum to... Poszedłbyś garować i straciłbyś to wszystko, co chciałeś zachować dzięki mnie!

- Dzięki tobie!? - Ciemne brwi Södergrena powędrowały do góry w wyrazie absolutnego zaskoczenia. - Dzięki tobie? Dzięki tobie to ja jestem zamieszany w morderstwo, tępaku! Teraz to dopiero mogę stracić wszystko!!! Po co mi to, kurwa, było? Po co!?

- Hej! - Głośny krzyk Strzębosza otrzeźwił go. - Anders! Uspokój się!

Södergren zamilkł. Stał, wpatrując się w ścianę ponad jego ramieniem i ściskając rączkę aktówki, której wciąż jeszcze nie odłożył na szafkę na buty.

- Dobra... - Uświadomił sobie, że krzyki mogła usłyszeć Nikola. Otworzył wewnętrzne drzwi i zajrzał do wnętrza domu.

- Niki?! - zawołał głośno.

Nikola mogła być na górze. Odczekał chwilę, ale odpowiedziała mu tylko cisza.

- Niki!!! - powtórzył głośniej.

Wciąż cisza, widać pojechała do miasta. I dobrze.

- Chodź do środka - powiedział do Strzębosza już spokojniejszym tonem i widząc, że zamierza zdjąć buty, dodał. - Nie ściągaj, w butach wejdz.

Wpuścił go i odłożył wreszcie teczkę. Wytarł spoconą dłoń w spodnie i poszedł za nim. Zobaczył, jak rozgląda się po salonie.

- Fiu, fiu - powiedział Strzębosz, odwracając się. - Nieźle, panie, nieźle! Powodzi się, co?

Södergren zacisnął usta.

- Nie narzekam - mruknął.

Jacek uwalił się na kanapie. Rozparł się wygodnie, kładąc obok siebie kurtkę, i spojrzał na niego.

- Pomieszkam trochę u ciebie. Masz dużo miejsca, więc chyba nie będziemy sobie wchodzić w drogę.

Södergren, próbując przełknąć ślinę, poczuł, że coś tkwi mu w gardle.

- Chyba żartujesz? - wykrztusił. - Nie mieszkam sam. Mam dziewczynę...

- Ładna?

- Nie drażnij mnie, Jacek, dobra?

- Spoko, sorki!

- Więc jak to sobie wyobrażasz?

- Normalnie - odparł beztrzesko Strzębosz. - Jakiś czas wytrzymacie ze mną. Lepiej, żebyśmy trzymali się na razie z daleka od szumu i zgiełku wielkiego miasta, ty i ja. Tu u ciebie, na uboczu, jest bezpiecznie.

- Jak to: ty i ja? Co ja oficjalnie mam z tym wspólnego?

Strzębosz popatrzył na niego, lekko przekrzywiając głowę.

- Co prawda, to nie ty zrobiłeś, ale nie znaczy to, że nic ci nie grozi. - Obdarzył Södergrena jadowitym uśmiechem.

- Co to ma niby znaczyć? - zapytał cicho Södergren, patrząc w podłogę.

- To ma znaczyć, żebyś mnie nie wkurwiał. Tkwimy w tym razem. Równie dobrze ja mogę powiedzieć, że gdyby nie ty, to wszystko by się nie zdarzyło. Nie straciłbym roboty, nie musiałbym się ukrywać i tak dalej...

- Nie rozumiem. Przecież podejrzanym jest Michalczyk, tak czytałem w necie, o tobie nikt nie wie...?

Strzębosz przez chwilę wyglądał na zmieszanego.

- Zawsze jest ryzyko, że psy wpadną na mój trop. - Jego słowa brzmiały niezbyt przekonująco. - W końcu kupa ludzi widziała mnie z Renatką, co nie?

- Miałeś udawać, że się nie znacie.

- No pewnie, że tak robiłem. Ale wiesz... W końcu pomagałem jej wlec tego dupka do samochodu. Ktoś mógł nas zobaczyć razem.

- A nawet jeśli wpadną na twój trop, to co? Chcesz mi coś zasugerować? Że mnie wydasz?

Usta Strzębosza wyduły się w wyrazie dezaprobaty.

- To był twój samochód. Bądźmy realistami, Anders - powiedział cicho i zamilkł.

- Wyjaśnisz mi te słowa? Bo dalej nic nie rozumiem, a chcę wiedzieć, na czym stoję.

- Na razie martw się o to, żeby mnie nie znaleźli. To wystarczy. I szykuj kasę za zlecenie. Dola Renatki przeszła oczywiście na mnie, to chyba zrozumiało? - Oczy zwężyły mu się w wyrazie złośliwej satysfakcji.

Teraz Södergren poczuł ukłucie strachu. Robiło się nieprzyjemnie. Strzębosz zaniepokoił go swoimi słowami, zwłaszcza tymi o jego samochodzie. Kurwa, czemu nie wpadł na to, żeby pożyczyć jakąś brykę od znajomego albo wziąć auto z wypożyczalni? Rozgrzeszył się po chwili w myślach. Samochód z wypożyczalni też łatwo namierzyć, łatwiej chyba niż zwykły, który mimo wszystko jest zupełnie anonimowy.

- Skoro będziesz u mnie siedział, to chyba kasa nie będzie ci potrzebna?

Przez chwilę poczuł obawę, że tymi słowami utwierdził Strzębosza w przekonaniu, że godzi się na jego pobyt w swoim domu. Nie chciał, żeby to tak wyglądało, ale na razie, dla świętego spokoju, zachował to dla siebie. Nawet jeśli nie zamierzał się godzić na to zbyt łatwo, i tak niewiele mógł w tej chwili zrobić.



Strzębosz uśmiechnął się lekko.

- Niby masz rację, Anders. Nie będę potrzebował kasy w tej chwili, ale też lubię wiedzieć, na czym stoję - powiedział, taksując Södergrena spojrzeniem. - Będiesz mi musiał pożyczyć jakieś ciuchy. Nie zdążyłem niczego zabrać, a te łachy... szkoda gadać... - Podniósł leżącą obok niego kurtkę dwoma palcami i upuścił z miną pełną obrzydzenia.

Södergren odwrócił się w milczeniu i poszedł do kuchni. Stał przy blacie, tyłem do Strzębosza, tak by ten przez szerokie przejście między salonem a kuchnią widział tylko jego plecy. Popatrzył w okno.

- Możesz mi nalać czegoś do picia, jak już tam jesteś! - rzucił Strzębosz z kanapy rozbawionym tonem. - Czegoś mocniejszego, jeśli mogę cię prosić!

Södergren zacisnął zęby.

- Coś mocniejszego trzymam w barku, a nie w kuchni. Po prawej stronie telewizora - warknął. - Nalej sobie sam.

Nie odwrócił się. Słyszał, jak Strzębosz wstaje i otwiera drzwiczki barku. Zabrzęczało szkło, a chwilę później rozległo się ciężkie westchnienie, kiedy z powrotem zaległ na kanapie.

Södergren wyłączył się na chwilę. Musiał przemyśleć, jak o wszystkim powiedzieć Nikoli. I jak dużo może jej w ogóle powiedzieć. Nie zdążył podjąć żadnej decyzji. Zobaczył przez okno, jak przed bramą zatrzymuje się maleńki nissan Doroty, z którą Niki zwykle obskakiwała kosmetyczki, sklepy i kawiarnie. Nikola wysiadła z samochodu, pomachała przyjaciółce, a kiedy ujrzała w oknie jego, również mu pomachała. Uniósł dłoń i wątyły

uśmiech rozjaśnił na chwilę jego twarz. Słodkie, puściutkie dziewczętko. Kiedy weszła do środka, podszedł do niej i dał jej mocnego całusa w usta. Strzębosz, rozwalony na kanapie, patrzył na to z lekkim rozbawieniem.

- Poznajcie się - powiedział Södergren. - To jest Niki, moja dziewczyna. To Jacek, o którym ci mówiłem.

Nikola skinęła głową, jej twarz przybrała wyraz lekkiego zaskoczenia. Twarz Södergrena pozostała nieprzenikniona.

- Zostanie u nas przez parę dni - dodał po chwili.

Strzębosz zerwał się z kanapy, odstawił szklankę na stolik i podszedł do nich.

- Cześć. - Patrzył w oczy Nikoli z uśmiechem, który był przyjazny i nieco łobuzerski, choć na pewno nie nachalny i obleśny. Wyglądał przesympatycznie.

Ten facet jest jak kameleon - pomyślał Södergren.

Nikola z wahaniem ucisnęła dłoń Strzębosza, a on przytrzymał jej rękę odrobinę dłużej, niż powinien. Södergren popatrzył mu w oczy, ostrzegając go spojrzeniem: „wara!”. Tamten zrozumiał, bo puścił dłoń Nikoli i zawołał do niego:

- Rany, Andrzejku, mówiłeś, że masz fajną panią, ale nie wiedziałem, że jest aż tak piękna! Gratulacje! - zwrócił się do Nikoli i prawie się uklonił. - Słyszałem o tobie wiele dobrego...

Södergren zastanawiał się, gdzie podłapał taki tekst, bo przecież nie na Pięknej. Pewnie z jakiegoś starego filmu. Mruknął coś i delikatnie dotknął łokcia Nikoli.

- Zrób sobie kawę, my skoczmy na chwilę do garażu. Wiesz, faceci czasem muszą posiedzieć w takim miejscu. Jak to faceci...

Uśmiechnęła się niezbyt mądrze, skinęła głową i poszła do kuchni. Södergren lekko pchnął Strzębosza w stronę drzwi prowadzących do niewykończonego jeszcze garażu. Kiedy weszli do środka, zamknął je i podszedł do Strzębosza.

- Nikola wie o Michalczyku i o twojej roli w moim planie - wyjaśnił. - To znaczy wie, jak miało to wyglądać, a nie, jak wyszło, rozumiesz? Ją bawi raczej to, kto jak był ubrany na imprezie, albo kto się z kim pieprzy poza planem jakiegoś gównianego serialu. Nie interesują jej wiadomości o wypadkach, wojnach i zabójstwach. Więc morda w kubeł. Niczego więcej nie może się dowiedzieć. Zostajesz u mnie przez kilka dni, potem daję ci te dziesięć klocków i znikasz z mojego życia na zawsze. Czy to jest dla ciebie jasne, Jacek?

Strzębosz podniósł rękę.

- Spoko, Anders, pasuje. Ty tu jesteś szefem. Ty ze mną dobrze, to ja z tobą też. Nie będziemy się przecież ścinać, no nie? Obu nam zależy na szczęśliwym zakończeniu.

- Więc rozumiem, że mamy wszystko wyjaśnione? Będziesz grzeczny, a potem po prostu znikniesz z forszą?

- Oczywiście. Nie schizuj już, bo wrzodów dostaniesz. Wszystko będzie dobrze...

Södergren rozluźnił napięte mięśnie. Nieco mu ulżyło.

- Cieszę się - powiedział, starając się przywołać na twarz choć cień uśmiechu.

Strzębosz zadrżał nagle, rozglądając się po białych ścianach garażu, z których wystawały jeszcze kable niepodłączonych gniazdek elektrycznych.

- Kurwa, ale mnie dreszcz przeszedł. - Spojrzał na Södergrena. - Jak to się mówi? Jakby ktoś przeszedł po moim grobie, tak?

- Zgadza się, tak się mówi - przytaknął, wskazując na jego nogi i na panele z kraty Wema, na których stał. - Pod sobą masz kanał, więc ciągnie ci po nogach. Chodź do domu, bo tu faktycznie chłodno. Zjemy coś.

\* \* \*

Było późne popołudnie. Södergren nie ruszał się z domu na krok, nawet do ogrodu, bojąc się zostawiać Nikołą samą z tym typem. Teraz siedział w gabinecie na górze i nasłuchując, czy na dole nie dzieje się nic niepokojącego, kończył służbowe sprawy. Kiedy po raz ostatni kliknął „wyślij”, zamknął firmową skrzynkę mailową i włączył wiadomości na Wirtualnej Polsce, żeby sprawdzić, co dzieje się w kraju i na świecie. Robił tak niemal zawsze, klikanie w bzdurne nagłówki i czytanie pisanych przesadnie poważnym stylem tekstów w jakiś sposób odstresowywało go. Wśród masy artykułów na głównej stronie jego uwagę zwrócił jeden. „Policja prosi o pomoc - czy wiesz, gdzie jest ten człowiek?” Czyżby coś o Michalczyku? Kliknął na nagłówek i poczuł, że litery zaczynają mu skakać przed oczami.

*Policja prosi o pomoc w ustaleniu miejsca pobytu Jacka Strzębosza, lat 37, zamieszkałego w Szczecinie, podejrzanego o dokonanie napadu na furgonetkę przewożącą pieniądze oraz postrzelenie jednego z konwojentów. Tożsamości drugiego ze sprawców na razie nie ustalono. W przypadku natknięcia się na podejrzanego policja prosi o niepodejmowanie działań na własną rękę, a jedynie poinformowanie właściwych organów. Jak twierdzi insp. Marek Biniek z KWP w Szczecinie, sprawca jest uzbrojony i wyjątkowo niebezpieczny. Napadu dokonano w środę, w godzinach porannych, na ul. Kolumba w Szczecinie [zobacz mapę], wysokości skradzionej sumy nie ujawniono. Stan rannego konwojenta lekarze określają jako ciężki, stabilny. W razie posiadania jakichkolwiek informacji na temat miejsca pobytu Strzębosza, policja prosi o kontakt pod numerem 91 1211900 lub z najbliższym komisariatem policji pod nr 997.*

Zdjęcie wyglądało jak zwykła fotografia do dowodu czy paszportu i przedstawiało Strzębosza. Obok było inne, mocno powiększone, które musiało być kadrem z filmu i to fragmentem większego ujęcia. Widać było na nim, jak jakiś człowiek przystawia do głowy broń mężczyźnie ubranemu w czarny strój. Södergren wpatrywał się w jego twarz, trochę niewyraźną, nie na tyle jednak, by pozostawiało to jakiegokolwiek wątpliwości.

To był Jacek.

Södergren wstał jak automat. Pierwsze kroki były powolne, jakby rozpędzał się, zastanawiając, co zrobić. Potem górę wzięła wściekłość. Ruszył jak rozjuszony buhaj, z zaciętym wyrazem twarzy, nozdrza rozszerzały się, wydymane gwałtownym oddechem. Zbiegł na dół, myśli kotłowały mu się w głowie.

Strzębosz leżał na kanapie z zamkniętymi oczami. Drzemał, lekko posapując przez nos. Nikola zajmowała swoje stałe miejsce na fotelu obok przeszkłonych drzwi prowadzących na taras. Telewizor był ściszony, a ona oglądała jakiś program o operacjach plastycznych. Södergren szybkim krokiem podszedł do kanapy i pochylił się nad Strzęboszem.

- Ty kutasie - syknął z nienawiścią, potrząsając nim. - Zatłukę cię! Kryjówkę sobie, kurwa, z mojego domu robisz, bandyto jeden? - Ostatnie słowa wyrzeszczał, dając upust kipiącej w nim wściekłości.

Skupiony na zaspanej twarzy Strzębosza, nie widział szeroko otwartych oczu Nikoli, zastygłej z przerażenia w fotelu. Pierwszy raz słyszała go klnącego i wrzeszczącego. Strzębosz ocknął się, oczy mu się rozszerzyły, jeszcze nie wiedział, co się dzieje. Po chwili oprzytomniał i mocno złapał Södergrena za nadgarstki.

- Co jest? - krzyknął, wyprężając się.

- Co jest!? Co jest!? - powtarzał Södergren z wściekłością. - Ty mi powiedz, co jest! Jaki, kurwa, napad!? Gdzie masz broń, skurwysynu?

Strzębosz rozluźnił się, opadł na kanapę i puścił ręce Södergrena.

- Napad? - prychnął. - Jaki napad?

- Próbujesz być zabawny, Jacek? Twoje zdjęcie i nazwisko hulają po Internecie! Widać, jak mierzysz z pistoletu do ochroniarza! Czy wniosłeś broń do mojego domu, gnoju? Odpowiadaj!

- Co... Co ty gadasz, człowieku? Jakie zdjęcia!?

Södergren puścił ręce Strzębosza i zacisnął swoje w pięści.

- Siedź tu na dupie! - rozkazał mu, wskazując kanapę.

Zszokowany Strzębosz nawet nie zaprotestował. Nikola, skurczona w swoim fotelu, wpatrywała się w ekran telewizora, usiłując wmówić sobie, że nic się nie dzieje. Panicznie bała się krzyku, miała go dość w dzieciństwie w domu rodzinnym. Södergren poszedł na górę i wziął laptop. Zniósł go i postawił na stoliku obok kanapy.

- Podziwiał się, profesjonalisto - warknął do Strzębosza, stojąc nad nim i podpierając się pod boki.

Kiedy szedł do gabinetu po komputer, przypomniał sobie słowa Strzębosza, które padły podczas obiadu w Höllviken; te o owocach pracy, które miał niedługo zebrać. Owszem zebrał, tylko że nie były to owoce pracy, lecz kradzieży, w dodatku został przyłapany. Głupi gnoj.

- To kutas jeden... - szeptał Strzębosz, wpatrując się w zdjęcie po prawej, to, na którym przystawiał broń do głowy konwojenta.

Södergren nie wiedział, kogo ma na myśli. Natomiast Strzębosz znał już powód, dla którego Łysy po prostu nie zastrzelił go jak psa, tylko lekko pomacał po głowie pałką.

- Opłacało się chociaż? - zapytał Södergren z drwiną w głosie.

Strzębosz spojrział na niego ciężko i wskazał nabrzmiałe skaleczenie z boku głowy.

- Wydymał mnie wspólnik - powiedział cicho, odruchowo dotykając rany na głowie.

Nie był już arogancki. Siedział oklapły i z niedowierzaniem wpatrywał się w ekran laptopa. Teraz Södergren poczuł się panem sytuacji.

- Więc to dlatego przyszedłeś do mnie?

Strzębosz powoli skinął głową.

- Michalczyka załatwiłem na cacy. Szukają go w całej Polsce, tak czytałem w necie. O mnie nikt nie wie. Zrobiłem to naprawdę czysto, więc nie musiałem się martwić. I do wtorku się nie martwiłem. We wtorek od razu po akcji mieliśmy pojechać ze wspólnikiem do Holandii. Ten skurwiel miał wymienić pieniądze na euro, później byśmy się podzielili kasą i każdy poszedłby w swoją stronę. Ja chciałem jechać do Hiszpanii, chociaż po tej wycieczce z tobą zacząłem na serio zastanawiać się nad Szwecją... Wysłałbym te auta do Polski, taka przykrywka, rozumiesz. Z kasy za napad założyłbym sobie firmę, kupił jakiś warsztacik... Zamiast tego kutas walnął mnie w łeb, zabrał wszystko i zniknął, zostawiając mnie gołego jak turecką świnię.

Södergren nie był pewien, czy chce znać dalsze szczegóły i w ogóle słuchać tych jego naiwnych wyobrażeń o życiu w Szwecji i tureckich świniach, cokolwiek miał na myśli. Coraz bardziej grzązał w bagnie, w które wpackował go Strzębosz. A może jednak wpadł w nie sam? Zaczął dreptać wkoło stolika.



- ...Potem przypadkiem mnie capnęli - kontynuował Strzębosz - ale podałem się za swojego brata. Od paru lat jest na saksach, na Wyspach. Okazało się, że był poszukiwany za alimenty, zrobił dzieciaka jednej babie, zanim wyjechał. A w sądzie jakiś gliniarz zaczął mi się dziwnie przypatrywać, więc wolałem nie ryzykować. Teraz, kurwa, wiem, czemu się tak na mnie gapił... - Wskazał laptop. - Dałem się wydymać, Andrzejku, bez mydła...

Södergrena jakoś to nie dziwiło.

- Gdzie masz pistolet?

- Nie mam. - Strzębosz popatrzył mu w oczy. - Ten mój koleś zabrał wszystko. Broń też...

Södergren w duchu odetchnął z ulgą.

- I co teraz? - zapytał.

Strzębosz wzruszył ramionami.

- Dobrze mi u ciebie - powiedział beztróskim tonem. - Zostanę jeszcze trochę, a potem zwięję do Niemiec. Najmę się w jakimś warsztacie i przeczekaam parę lat. A potem się zobaczy...

- Co to znaczy: zostanę jeszcze trochę? Ile?

- Nie wiem. Miesiąc, dwa?

- Myślę, że będzie lepiej, jeśli wyjedziesz jak najszybciej, Jacek. Załatwię ci kasę, te dziesięć tysięcy, od razu w euro, żebyś mógł...

- Chcesz się mnie pozbyć? - zapytał Strzębosz chytrze, przerywając mu w pół słowa, i dodał po chwili: - Ty mi też trochę pomogłeś w tej akcji z napadem... Anders.

Södergren wyprostował się gwałtownie.

- Ja!? Co ty pierdolisz, człowieku!?

Strzębosz patrzył na niego spod zmrużonych powiek, a w jego oczach znów pojawiła się bezczelność.

- Przygotowanie do akcji obejmowało również kradzież radiowozu. Stał sobie u mnie w pracy w warsztacie. Przeszkodą w jego zabraniu był pan Zenek, dozorca, który w końcu powędrował do krainy snów za sprawą pewnego środka... Rozumiesz już, o czym mówię?

Södergrena zatkało.

- Oszalałeś!? - wrzasnął, kiedy odzyskał jasność myślenia. - Wiesz, coś ty zrobił? Wjebałeś mnie w to wszystko z premedytacją! Pewnie nawet nie wiesz, co znaczy „premedytacja”, ty debilu! - Tracił nad sobą panowanie.

Nie, stracił je jeszcze na górze, przed komputerem.

Obaj nawet nie zauważyli, że Nikola zniknęła. Miała dość, poszła na górę i przerażona zamknęła się w łazience. Södergren znów chodził po salonie tam i z powrotem, próbując się opanować.

- Gdzie mu to wyspałeś? - zapytał już spokojniejszym tonem.

- Do kubka z kawą. - Strzębosz wzruszył ramionami. - Głupio byłoby nie wykorzystać okazji. Przynajmniej nie musiałem mu robić krzywdy, co nie? - Spojrzał na Södergrena. - Człowieku, wyluzuj, to tylko niekumaty dziadek! Nikt się nie zorientuje. Poza tym, skoro spał, jak tam wszedłem, to znaczy, że wypił tę kawę, tak? Czyli nie ma ani jej, ani tego flu coś tam. Rozumiesz? Nie-ist-nie-ja! - wyskandował dobitnie. - To czego się boisz?

- Czego się boję? - Södergren spojrział mu w oczy. - Boję się tego, o czym jeszcze nie wiem! Tego się boję najbardziej. Że mnie znów czymś zaskoczysz. Mam nadzieję, że niczego więcej nie spieprzyłeś?

- Uważaj, Anders. - Głos Strzębosza obniżył się, a oczy niebezpiecznie zwężyły. - Nie pozwalaj sobie za bardzo, bo tego nie lubię. A już wiesz, że stać mnie na wiele, kiedy ktoś mnie wkurwi, co?

Pewność siebie wróciła. Södergren zamilkł. Prostacka argumentacja miała, niestety, wielką siłę przekonywania. Zaczął się zastanawiać, jak to się mogło stać, że wpuścił pod swój dach bandytę. I to nie podrzędnego chuligana, którego największym wyczynem był rozbój z użyciem bejsbolowego kija, tylko zabójcę.

- Dobrze - mruknął w końcu pojednawczo. - Po prostu zobaczymy, jak dalej rozwinie się sytuacja. Na razie tu zostaniesz.

Uśmiech Strzębosza znów był pełen pogody, w oczach miał wesołe błyski. Wyglądał, jakby już niczym się nie przejmował, uważał wręcz, że zgoda Södergrena na dalszy pobyt załatwia wszystko i niweluje ryzyko złapania go do minimum. Södergren pomyślał, że albo facet ma stalowe nerwy, albo jest głupi jak stylisko siekiery. Zostawił go na kanapie i poszedł na górę, żeby uspokoić Nikolę.

\* \* \*

Wieczór spędzali w milczeniu. Telewizor był włączony jak zwykle. Pstryknięcie pilotem było pierwszą czynnością,

którą Nikola wykonywała po zejściu na dół. Strzębosz dorwał się do butelki whisky, przez cały czas sączył ją szklaneczka po szklaneczce, grzechocząc kostkami lodu w szkle. Södergrena irytowało to, doprowadzając niemal do pasji. Ale milczał. Pamiętał o tym, co powiedział Jacek kilka godzin wcześniej. Zastanawiał się tylko, jak długo ten stan rzeczy może trwać. Nie będzie przecież siedział we własnym domu jak trusia, dając się tyranizować jakiemuś dupkowi, nawet cholernie niebezpiecznemu. Powoli zaczynał mieć tego dość. Stwierdził, że jutro załatwi tę sprawę definitywnie. Może widok żywej gotówki przemówi Strzęboszowi do rozumu? Trzymając w rękę plik pieniędzy, stwierdzi, że nie ma co siedzieć na dupie, tylko trzeba wiać, gdy nadarza się sposobność? Oby...

Była pierwsza w nocy. Södergren nie mógł spać, więc nie budząc Nikoli, cicho wstał i poszedł do gabinetu, żeby zająć się czymś, co pomogłoby mu przynajmniej na chwilę zapomnieć o Strzęboszu. Siedział przy biurku ze słuchawkami na uszach i pisał raport, z którym i tak zalegał już od kilku dni. Cichy smooth jazz z internetowego radia koił nerwy, Södergren odciął się od rzeczywistości. Siedział i klepał w klawiaturę, kiedy nagle poczuł na ramieniu czyjąś rękę. Prawie wrzasnął. Zerwał się z krzesła i obejrzał za siebie. Nikola stała w tej swojej seksownej koszuli nocnej, zaledwie zakrywającej pośladki.

- Boże, zrobiłeś się strasznie nerwowy, Anders - powiedziała ze zdziwieniem w głosie.

- Naprawdę? - rzucił sarkastycznie, odkładając słuchawki na blat biurka.

Nikola patrzyła w jego twarz, przenosząc spojrzenie z czoła na oczy, a potem usta.

- Wyglądasz na zmęczonego - powiedziała cicho. - Może wreszcie porozmawiam z Krzyśkiem, co?

Gwałtownie pokręcił głową.

- Nie trzeba. Jutro dam Strzęboszowi forszę i niech wypieprza z naszego życia. - Nagle spojrzał na nią uważnie i zapytał: - Czemu nie śpisz?

Westchnęła.

- Nie mogę. Zejdę zrobić sobie herbaty...

- Nie obudź go, błagam.

Pokręciła głową, a puszyste pukle zatańczyły wokół niej.

- Spokojnie, wytrąbił całą butelkę whisky, jest zalany w trupa. Nawet przez drzwi słyhać jego chrapanie. - Pogardliwie wydeła wargi. - Zwierzę...

- Golden Johny Walker - mruknął Södergren. - Drogo mnie kosztuje jego pobyt u nas. Jezu, niech to się wreszcie skończy...

Nikola pieśczośliwie pogłaskała go po twarzy. Nagle jej spojrzenie zrobiło się nieobecne, jakby o czymś sobie przypomniwała. Zabrała dłoń z jego policzka, odwróciła się i wyszła, zamykając za sobą drzwi. Usiadł z powrotem przy biurku i założył słuchawki. Wrócił do pracy. Dziesięć minut później uświadomił sobie, że Niki nie wróciła jeszcze z dołu. Zdjął słuchawki, obrócił lekko głowę i nie wstając z obrotowego krzesła, zaczął nasłuchiwać. Zza zamkniętych drzwi nie dochodził żaden dźwięk. Był zdziwiony, że nie przyszła dać mu buziaka. Wstał, wyszedł z gabinetu i zajrzał do sąsiedniego pokoju, gdzie

znajdowała się ich sypialnia. W środku było ciemno, w pasku światła wpadającego przez uchylone drzwi ujrzał fragment łóżka. Było puste, zsunięta na bok kołdra prawie spadała na podłogę. Nagle dobiegł go dziwny odgłos. Dochodził z dołu. Brzmiał jak jęk, chwilę później dołączył do niego inny. To była szarpanina. Nie myślał, po prostu ruszył na dół, z sercem trzepoczącym w piersi. Zbiegał po kilka schodków, objijając się o ściany. Na dole panował półmrok, przez drzwi tarasu wpadało do środka światło prawie pełnego księżyca. Kiedy Södergren zobaczył, co się dzieje, stanął jak wryty.

Nikola leżała na kanapie, na brzuchu, z twarzą wciśniętą w poduszkę. Koszulka zadarta była aż na ramiona, dziewczyna wierzgała nogami, ale leżącemu na niej Strzęboszowi najwyraźniej to nie przeszkadzało. Przyciskał je kolanami do kanapy. Dyszał, jedną ręką trzymając Nikolę za kark i opierając się na niej, a drugą próbując niżej opuścić bokserki. W półmroku jaśniała biel jego pośladków. Södergren rozejrzał się wokół, szukając czegoś, czym mógłby uderzyć Strzębosza. Przestał bać się konsekwencji, nie myślał o tym, co Strzębosz mu zrobi, kiedy przewaga spowodowana zaskoczeniem stopnieje i będzie musiał ulec jego brutalnej, zwierzęcej sile. Zaślepiła go wściekłość. Porwał cynowy lichtarz, stojący na niskiej komodzie, pierwszą rzecz, jak nawinęła mu się pod rękę. Nie był bardzo ciężki, ale on nie zwracał na to uwagi. Rzucił się w kierunku kanapy, biorąc szeroki zamach. Poły szlafroka powiewały, kiedy pędził ku dwóm splecionym postaciom. Uderzył się boleśnie o nogę stolika, ale nie zwrócił na to uwagi. Strzębosz, skupiony

na Nikoli, nie zauważył go jeszcze. Södergren walnął. Starannie wymierzony cios dosięgnął celu. Głowa odskoczyła w bok, ramiona mu opadły i zsunął się z Nikoli z głuchym jękiem, wpadł między nią a oparcie kanapy. Zdołał się jeszcze obejrzeć, kiedy Södergren zadawał drugi cios. Ten był chybiony, lichtarz otarł się tylko o skroń Strzębosza. Södergren zobaczył, jak z czubka jego głowy na czoło spływa strużka ciemnej, prawie czarnej w słabym świetle księżyca krwi. Strzębosz zasłonił się ręką. Trzeci cios złamał mu dwa palce. Sterczały w bok i wyglądały upiornie.

- Szwedziu, nie... Błagam... - wybełkotał słabym głosem.

- Anders, skurwysynu, Anders!!! - wrzasnął Södergren i czerwona zasłona opadła mu na oczy.

Zadawał razy na oślep, błyskawicznie, niczym wprawny perkusista pałką w gary, w trakcie solówki podczas najlepszego koncertu w życiu. Nikola zsunęła się z kanapy, łykając łzy. Södergren nie widział, jak próbując zasłonić się porwanymi kawałkami szyfonu, które jeszcze niedawno były koszulą nocną, i biegnie do łazienki, żeby zwymiotować. Walił w szale, odreagowując tych kilka ostatnich dni. Kiedy przestał, stanął nad Strzęboszem na szeroko rozstawionych nogach i otworzył oczy. Jasna kanapa uwalana była krwią. Strzębosz nie ruszał się, leżał na brzuchu z odwróconą na bok i skąpaną w czerwieni głową. Jedna ręka zwisała z kanapy, druga, podkurczona, ukryta była pod ciałem. Z jego otwartych ust wydobywał się dziwny charkot. Södergren znał ten dźwięk. Słyszał go już wcześniej parę razy; w szpitalu podczas studiów i raz

u siebie w mieszkaniu, kiedy umierała jego babcia. Agonia. Patrzył na wypięty, nieruchomy tyłek i zastanawiał się, czy Strzębosz zdążył zbrukać jego kobietę. Poczł nagle, jak jego palec u nogi zaczyna pulsować tęnym bólem. Usiadł na fotelu, na którym zwykle siadała Nikola. Był potwornie zmęczony. Oddychał spazmatycznie - każdy wzięty z trudem haust powietrza powodował jeszcze silniejszy, palący ból, który rozlewał mu się w piersi. Dygotał na całym cieie. Kiedy wstał, żeby zapalić światło i zobaczyć, co zrobił, poczuł, że trzęsące się nogi nie zdołają udźwignąć jego ciężaru i zaraz upadnie. Mimo to ruszył naprzód. Podszedł do ściany i wciąż nie wypuszczając z ręki lichtarza, drugą przycisnął włącznik. Żółte światło zalało salon. Södergren podszedł z powrotem do kanapy. Charczenie nie ustawało. Ostrożnie pochylił się nad Strzęboszem, jakby spodziewał się, że skurwiel zrobi mu niespodziankę i ostatnim zrywem rzuci się na niego z wściekłością niczym ranny, walczący do końca drapieżnik. Świecznik upadł na podłogę z głuchym łoskotem, gdy Södergren z ulgą wypuścił go z ręki, widząc oczy Strzębosza. Jedna źrenica była szersza od drugiej. Wiedział, że gnój nie zdoła przed śmiercią wykonać już żadnego ruchu. Anizokoria była ewidentnym znakiem, że jego mózg pracuje ledwie tyle, by jeszcze przez jakiś czas podtrzymać podstawowe funkcje życiowe. I nic więcej. Usiadł na podłodze, oparł się o kanapę i schował głowę w dłoniach. Charczenie Strzębosza przerodziło się w rżenie, nieregularne i urywane, ale nie zwracał na to uwagi. Miał w głowie pustkę. Przed chwilą zabił człowieka. Chryste, odebrał



komuś życie! Nieważne, że to bandyta i zabójca. Zabił go, własnymi rękami. Zabił...

Ocknął się, kiedy usłyszał ciche człapanie bosych stóp po deskach dębowego parkietu. Nikola. Spojrzał na nią pustym wzrokiem. Jej oczy lśniły od łez, a nos miała czerwony od płaczu.

- W porządku? - zapytał.

Głos ledwie przechodził przez wyschnięte gardło, czuł, jakby ktoś wyciągał mu z niego drut kolczasty. Nikola milczała przez chwilę, wpatrując się w leżące za nim ciało.

- Nie - odpowiedziała cicho, a skurcz krtani rozdzielił głęboki oddech na serię króciutkich, spazmatycznych westchnień. - Nie w porządku.

Spuścił głowę na pierś.

- Wiem. Przykro mi. - Chrząknął i zerknął na nią. - Zrobił ci coś?

- Nie. Nie zdążył. - Popatrzyła mu w oczy. - Musimy wezwać pogotowie. I policję.

Drgnął lekko, zaskoczony.

- Żartujesz sobie?

- Nie. - Jej brwi uniosły się w zdumieniu, a palec powędrował w stronę Strzębosza. - Przecież krwawi, jak świnia. Bo jest świnia, ale to nie znaczy, że może brudzić nam kanapę, prawda? A potem niech go zamkną!

Chciał się roześmiać, ale prychnął tylko.

- Niki... - zaczął, urywając, bo zupełnie nie wiedział, jak jej to powiedzieć. - Posłuchaj... Nie możemy wezwać pogotowia ani policji.

- Dlaczego?

- On...
- Dlaczego on tak charczy, Anders?
- Bo umiera.
- Co takiego!?
- Umiera. To agonia.
- Jak... Jezus, Maria, jak to umiera?

Spojrzał na nią, a potem na swoje ręce. Oglądał je. Najpierw wierzch, potem wnętrza dłoni, jakby nie wierząc, że mogą należeć do niego.

- Zabiłem go - powiedział po prostu.
- Dlaczego?

Aż pokręcił głową ze zdumienia.

- Czy ty się słyszysz, dziewczyno? Miałem czekać, aż cię zgwałci? I zabije? A potem zajmie się mną?

Milczała, szeroko otwarte oczy wciąż wpatrywały się w Strzębosza.

- Zrób coś! - wrzasnęła nagle. - Niech on tak nie charczy! Rozumiesz? Zrób coś, do cholery, nie mogę tego słuchać!!!

Södergren patrzył, jak zaciska drobne dłonie, te cudownie miękkie dłonie, w pięści i przyciska je do uszu. Znow zaczęła płakać. Wstał z podłogi i podszedł do niej. Objął ją i przytulił, a potem wyprowadził do kuchni. Tam złapał ją za nadgarstki i delikatnie odsunął jej ręce od uszu.

- To długo nie potrwa - powiedział. - Zdechnie za jakiś czas. Tak naprawdę nie miałem innego wyjścia. Zabiłby nas, rozumiesz? Pozabijałby nas, jak tamtą dziwkę...

- O czym ty mówisz? - zapytała przez łyzy.

Zagryzł wargi. To było niepotrzebne. Spojrzał w ciemne okno, za którym była noc.

- Mówiłem ci o moim planie, prawda? - Skinęła głową.  
- Coś poszło nie tak, kiedy kazałem Strzęboszowi zająć się tym prokuratorem On... Przesadził. Zabił jedną dziewczynę. Miał ją tylko lekko pobić, a ona miała zeznać, że to Michalczyk. Ale Strzębosz poderżnął jej gardło. Sama widzisz, jakim był podłym, nieprzewidywalnym sukinsynem. Może miałaś rację, kiedy mówiłaś, żeby zajął się tym twój brat...

Nikola odsunęła się od niego.

- Masz na sobie jego krew - powiedziała i wyszła z kuchni.

Przechodząc przez salon, odwróciła się jeszcze.

- Zrób z nim coś w końcu - rzuciła chłodno i zniknęła na górze.

Strzębosz zmarł niecałą godzinę później. Do tego czasu Södergren siedział przy nim, pijąc whisky prosto z butelki i towarzysząc swojej ofierze w podróży na tamtą stronę, przynajmniej do momentu, w którym było to możliwe. Kiedy rzeźenie ustało, Strzębosz wydał z siebie kilka krótkich, cichych i urywanych westchnień, a potem była już tylko cisza. Södergren wstał z podłogi i usiadł na fotelu Nikoli. Dokończył butelkę, ledwo widząc na oczy, odstawił ją na stolik, a potem urwał mu się film.

## *Piątek, 24 maja*

Kiedy się obudził, był przekonany, że to, co się zdarzyło, było tylko sennym koszmarem. Realistycznym,

przerazającym, ale mimo wszystko sennym. Bolała go głowa i czuł mdłości, tak potwornego kaca nie miał od kilku lat. Kiedy spojrział na kanapę, wydarzenia dzisiejszej nocy błysnęły w jego umyśle z przerażającą jasnością. Poczuł, jak na gardle zaciska mu się obręcz, a żołądek pulsuje i puchnie. Rzucił się w stronę ubikacji, zasłaniając ręką usta. Gdy trzewia się opróżniały, czuł, że zaraz umrze. Głowa pękała z bólu, krtań kurczyła się tak, że nie mógł nabrać powietrza. Rzeźił prawie tak samo, jak Strzębosz w nocy. Kiedy się trochę uspokoił, otarł łzy bólu i wrócił do salonu. Stał i patrzył. Twarz Strzębosza był woskowo szara, oczy zamglone i puste. Na zwisającej z kanapy ręce zobaczył plamy opadowe. Trup zaczynał już śmierdzieć.

\* \* \*

Södergren pociągnął Strzębosza za koszulę. Ciało spadło z kanapy z głuchym łoskotem. Leżało teraz na plecach, na rozłożonej na parkiecie folii. Z ucha wypadł skrzep krwi i jej strużka pociekła po fałdach małżowiny, niknąc po chwili w krótkich włosach z boku głowy. Södergren musiał zrobić coś z ręką, sterczącą na bok z powodu stężenia pośmiertnego. Czynności towarzyszył cichy, lecz obrzydliwy dźwięk. Ułożył ramię wzdłuż tułowia i przykrył ciało folią.

Było wczesne przedpołudnie. Södergren ogarnął się jakoś. Wziął zimny prysznic, zaaplikował sobie czopek z pyralginą, zmusił się do przełknięcia jajecznicy, mimo że jeszcze go mdliło. Pozaciągał rolety słoneczne we

wszystkich oknach. Znalazł w garażu spory arkusz folii, która została z budowy. Pamiętał, że robotnicy używali jej podczas prac na dachu i nazywali ją paroszczelną, co miało oznaczać, że nie przepuszcza wilgoci. Oby. Rozłożył ją więc obok kanapy i zaczął robić coś, o czym do tej pory czytał w kryminałach i relacjach z sądowych rozpraw.

Nikola przyglądała się całej operacji. Nie było widać po niej, żeby to, co stało się dziś w nocy, wpłynęło na nią negatywnie w jakiś istotny sposób. Södergren w zasadzie cieszył się z takiego obrotu sprawy, przynajmniej miał jeden problem mniej. Wątpił, żeby dusiła to w sobie, roztrząsając w duchu moralne aspekty całego wydarzenia i ich wpływ na jej psychikę. Czasem posiadanie małego mózgu może być korzystne dla jego właściciela, gdyż oszczędza mu mnóstwa cierpienia.

Nikola, nieświadoma jego rozmyślań, stała obok z założonymi ramionami i żuła gumę.

- Co to za sińce? - Wskazała na odsłonięty brzuch i genitalia Strzębosza, pokryte sinofioletowymi plamami.

- Plamy opadowe - odpowiedział jej.

- To na pewno kara za to, że chciał mi go tam wsadzić...

Jednak coś do niej dotarło - pomyślał. - Boże, jaka ty jesteś głupia.

- Podobno po śmierci rosną włosy i paznokcie? - zapytała z jakąś chorą fascynacją w głosie.

- Nieprawda. - Stęknął, podnosząc nogi trupa, by przeciągnąć pod nimi kolejną warstwę folii. - To ze skóry znika wilgoć, dlatego ona się obkurcza i odsłania to, co w niej jest. Więc to tylko wrażenie, że włosy i paznokcie

są dłuższe. Już takie były, tylko częściowo ukryte w skórze, rozumiesz?

- Uhm.

- No. Podaj mi ze stołu taśmę klejącą, tę szeroką, srebrną.

Zrobiła, o co prosił. Kiedy oddzierał kawałek, wskazała na leżący obok ciała przedmiot. Wyglądał jak koperta poczty lotniczej, biała, z czerwonymi i niebieskimi skośnymi paskami na obrzeżach. Wystawały z niej rogi banknotów.

- Co to? - zapytała, robiąc krok w przód i pochylając się.

- Zostaw - powstrzymał ją. - To jego portfel.

- Śmieszny.

- Taki gadżet. Nie dotykaj go.

- Czemu?

- Temu!

- Są w nim pieniądze...

- Mało ci pieniędzy? Brakuje ci czegoś, Niki?

- Wiesz, że nie, ale...

- No właśnie. Więc zostaw to, z łaski swojej. - Podniósł wzrok. - A tak w ogóle, to mam pomysł. Pojedź do swoich rodziców, co? Kilka dni poza Szczecinem dobrze ci zrobi. A ja w tym czasie załatwię... nasz problem. Może być?

Potulnie skinęła głową, wciąż zerkając na śmieszny portfelik.

- Grzeczna dziewczynka. - Uśmiechnął się do niej promiennie, chociaż ciemne oczy zostały poważne. W końcu ostatnio niewiele miał powodów do radości. -

Mam na myśli, żebyś pojechała JUŻ. Weź taksówkę, do Stargardu nie jest tak daleko, stać nas.

Spojrzała na niego z jakąś radością w oczach. Nie zdziwił się. Też by się cieszył, mogąc uciec stąd jak najdalej.

- Zniesiesz mi walizkę ze strychu? - zaszczebiotała.

Spojrzał na nią, a potem na trupa.

- Myślałem o dwóch, góra trzech dniach.

- Ja też - odpowiedziała zdziwiona.

Nie kontynuował. Poszedł na strych zdjąć walizkę, w której on zdołałby zmieścić bagaż potrzebny mu na dwa tygodnie, w dodatku spędzone na bezludnej wyspie. Zostawił ją przy garderobie w sypialni i zszedł na dół.

- Już. Możesz się pakować - powiedział.

- Okej. - Uśmiechnęła się do niego i pobiegła na górę, kręcąc pośladkami.

Postanowił poczekać, aż Nikola wyjedzie, żeby móc zastanowić się, co dalej, i zrobić wszystko w spokoju.

\* \* \*

Siedział przed laptopem, kursor migał w pasku wyszukiwarki, a on gapił się w niego jak zahipnotyzowany. Chwilowo utknął. Zapakowanie zwłok w szczelną folię nie załatwiało jeszcze sprawy. Leżały wciąż na dole, przy kanapie i czekały na decyzję, którą trzeba było podjąć jak najszybciej. Musiał się ich jakoś pozbyć, czyli ukryć je bezpiecznie tak, żeby nikt ich nie odnalazł. Przez chwilę korciło go, żeby wpisać w wyszukiwarce: „jak pozbyć się

zwłok”. Był pewien, że w Internecie jest mnóstwo tego typu porad, a nawet jeśli są podane w sposób żartobliwy lub czysto hipotetyczny, zawsze będzie w nich jakieś ziarno prawdy. Zrezygnował z tego pomysłu. Od czasów sprawy Madzi z Sosnowca chyba każdy zdawał sobie sprawę, że historia przeglądanych stron zapisuje się w komputerze, a niewielu wiedziało, jak tę historię naprawdę porządnie wyczyścić. A on nie był kretyńcem i miał trochę wiedzy medycznej. Poradzi sobie bez dobrych rad. Jednego był pewny – nie mógł Strzębosza wywieźć i pochować w jakimś ustronnym miejscu. Bo nie ma takich miejsc, zawsze jest ryzyko, że ktoś go zobaczy albo że ktoś trupa odnajdzie; zwierzęta, przypadkowi ludzie, koparka... Takie postępowanie tylko zwiększa prawdopodobieństwo zostawienia dodatkowych śladów, po których zwykle można dojść do sprawcy, jak po nitce do kłębka...

Olśnienie przyszło, jak to zwykle bywa, nagle i bez żadnej zapowiedzi. Po prostu. Aż roześmiał się na głos, zastanawiając się, dlaczego wcześniej na to nie wpadł. Po chwili namysłu wpisał w biały pasek frazę: „Jak prawidłowo wykonać posadzkę?”.

\* \* \*

Kanał w garażu miał niecały metr szerokości, trzy metry długości i osiemdziesiąt centymetrów głębokości. Kiedy Södergren kazał architektowi uwzględnić coś takiego w projekcie, wydawało mu się, że to świetny pomysł. Planując budowę domu kilka lat temu, zaglądał na fora



internetowe poświęcone temu wyczerpującemu psychicznie i fizycznie przedsięwzięciu, trwającemu zwykle o wiele dłużej, niż się na początku zakłada. Na jednym z takich forów przeczytał jakiś post wychwalający rozwiązanie z kanałem pod niebiosa: Oszczędność czasu i pieniędzy, sam wymienisz olej, sprawdzisz sworznie, układ kierowniczy... Kurwa, przecież nie miał o tym zielonego pojęcia. I tak jechał do warsztatu z najmniejszą pierdołą, nawet przepalanej w reflektorze żarówki nie potrafił wymienić! Motoryzacja, w przeciwieństwie do większości facetów, nie interesowała go zupełnie – samochód miał służyć wyłącznie do przemieszczania się z miejsca na miejsce, a nie być substytutem kochanki czy inkarnacją przerośniętego ego. Ale zrobił ten kanał, według zasady: lepiej mieć, niż nie mieć, a nuż się przyda. Wyglądało na to, że właśnie miał się przydać...

Patrzył na spoczywające w nim ciało. Strzębosz wyglądał jak mumia. Zamiast bandaży folia z tworzywa sztucznego, zamiast konopnych sznurków wzmacniana syntetycznymi włóknami taśma. Rozejrzał się po garażu. Pod ścianami leżały przyzmy ziemi, które zwiózł taczka z ogrodu. Pomyślał o wypełnieniu kanału właśnie ziemią, a nie betonem. Pomyślał o tym z jednego, zasadniczego powodu: objętość kanału to ponad dwa metry sześciennie. Jeśli wcześniej wydawało mu się, że to niewiele, to po dokładniejszych obliczeniach wyszło mu, że w rzeczywistości musiałby rozrobić z wodą dwadzieścia pięć worków cementu wraz z odpowiednią do tego ilością piasku. Czort jeden wie, jak długo tężałby ten beton przy dnie kanału. I w czym miałby go rozmieszać, przecież nie

zamówi „gruchy” z firmy budowlanej! Wybrał więc ziemię. Jej transport był najbardziej ryzykownym elementem planu pozbycia się zwłok. Kiedy tak kursował wte i wewte między ogrodem a garażem, narażał się na mniej lub bardziej przypadkowe spotkanie z jakimś wścibskim sąsiadem. Jak miałby mu wytłumaczyć, dlaczego wozi ziemię do garażu? Na szczęście nikt się nie pojawił, lecz przez ten czas Södergren niezłe się nadenerwował.

Przypomniał sobie nagle o portfeliku. Poszedł do salonu i ostrożnie, dwoma palcami podniósł go z podłogi. Po chwili złożona wpół plastikowa koperta wylądowała w kanale obok właściciela. Zanim Strzębosza przykryła pierwsza łopata ziemi, Södergrenowi przyszło do głowy, żeby zmówić jakąś modlitwę. Czuł, że tak wypada, problemem jednak było to, że żadnej nie znał. Nie wiedział także, czy Strzębosz był katolikiem, czy w ogóle wyznawał wiarę w cokolwiek poza tą we własne siły, która, jak się okazało, była mocno przesadzona. Wyklepał więc parę wersów Ojczy nasz... pomieszanych z Wieczne odpoczywanie racz mu dać, Panie... i zrzucił ziemię z łopaty do kanału. Potem poszło już szybko. Szuflował energicznie, patrząc, jak z każdą porcją ziemi podłużny pakunek znika pośród jej grud. Potem wskoczył do środka i zaczął ją udeptywać, a kiedy jej poziom obniżył się, dosypał kolejną warstwę. Gdy skończył udeptywanie nogami, wziął w ręce przyrząd, który sklecił naprędce z felgi, stalowej rury i kawałka płyty meblowej. Przeczytał gdzieś, że ziemia pod wylewką betonową musi być naprawdę dobrze zagęszczona, i zdawał sobie sprawę, że nie jest w stanie zrobić tego swoimi siedemdziesięcioma

kilogramami wagi. Ubijaczka do gruntu własnego patentu rozleciała się po czwartym uderzeniu w ziemię. Skręcił wszystko ze sobą jeszcze raz, tym razem porządnie. Działo o wiele lepiej. Gdy uznał, że ziemia w kanale jest zagęszczona wystarczająco, przyrząd, z wyjątkiem felgi, nadawał się już tylko do wyrzucenia. Płyta rozwarstwiła się i popękała, a rura zgięła od pełnych pasji uderzeń, od których drżała posadzka w całym garażu.

Kiedy skończył, wszedł do domu. Wziął z lodówki butelkę coli i usiadł w fotelu, nie dbając, że jest cały w kurzu i ziemi. Pijąc duszkiem zimny napój, spojrzał na zakrwawioną kanapę. Z ulgą pomyślał, że gdyby jej pokrycie było welurowe, miałyby przesrane. Dziękował losowi i Nikoli za elegancką, błyszczącą skórę, która tak bardzo wkurzała go latem, gdy siadał na kanapie w krótkich spodenkach i przylepiał się do niej spoconymi udami. To Niki wybrała skórzane obicie, uparła się, że ma być właśnie takie, a nie z jakiegoś tandetnego, plebejskiego materiału. Pamiętał, że zdziwił się wtedy, że zna takie słowo: plebejski. Cmoknął i pokręcił głową. Mimo wszystko, miał przed sobą mnóstwo roboty z czyszczeniem. Wstał z fotela i poszedł na górę się przebrać. Potem wsiadł do samochodu i pojechał do Castoramy po zaprawę, płytki i resztę sprawunków, których listę sporządził po intensywnych studiach w Internecie.

\* \* \*

Wieczorem, kiedy betonowa wylewka w kanale zaczęła tężeć, usiadł znów w fotelu i zamknął oczy. Był zmęczony jak nigdy w życiu. Mimo osłabienia porannym kacem i wymiotami, przez cały dzień musiał ostro zaszuwać. Praca fizyczna nigdy nie była jego domeną, więc teraz niemal wszystkie mięśnie paliły go żywym ogniem. Na dłoniach miał bąble od taczki i łopaty, otarć naskórka na nogach i ramionach nawet nie liczył. Paląc w ogrodzie zakrwawione ciuchy – te, które pożyczył Strzęboszowi, i te, w których skurwiel wcześniej przyszedł – ochlapał się lekko rozpuszczalnikiem. Zauważył to dopiero wtedy, gdy plamy zajęły się na nim od płomienia z ogniska, powodując lekkie, ale bolesne oparzenia.

Teraz, kiedy skończył, siedział wciąż z zamkniętymi oczami, oddychając szybko, a poczucie dobrze wykonanej roboty zagłuszało wyrzuty sumienia. Wiedział, że gdy wieczorem położy się do łóżka, nie będzie mógł zasnąć. I to nie tylko z powodu bólu mięśni i oparzeń. Będzie rozmyślał o tym, co zrobił, a czego nie, żeby nędzna, cielesna powłoka tego skurwysyna zniknęła na wieki wieków.

Od rana Södergren zdążył dojść do jednego, za to pewnego wniosku. Wczoraj wieczorem nie miał innego wyjścia. Konkluzja była następująca: jedyną winną śmierci Strzębosza osobą był sam Strzębosz. I już. Södergren przeciągnął się i spojrzał na leżący na stoliku telefon. Było już po dwudziestej pierwszej, a Nikola jeszcze nie zadzwoniła. Wybrał jej numer i ze zdziwieniem usłyszał komunikat o czasowym braku dostępu do abonenta. O dwudziestej drugiej zaczął się już na serio niepokoić.

Z ciężkim sercem wybrał z listy kontaktów numer do jej matki.

- Halo? - usłyszał jej charakterystyczny głos o oschłym tonie.

- Dobry wieczór, Anders z tej strony.

- Dobry wieczór panu. - Stara rura konsekwentnie odmawiała mówienia mu po imieniu, jakby to, że był nieco ponad dziesięć lat starszy od jej córki, było dla niej psychologiczną barierą nie do pokonania.

- Czy może pani przekazać na chwilę telefon Nikoli? - zapytał, siłąc się na wesołość. - Swój ma wyłączony, a chciałem z nią porozmawiać.

Po drugiej stronie zapadła chwila ciszy.

- Nie rozumiem - powiedziała kobieta z wahaniem. - Nikoli nie ma u nas. Nie dzwoniła od trzech dni. Czy coś się stało?

Poczuł ukłucie niepokoju, a może czegoś więcej.

- N-n-nie, nic się nie stało. Nikola miała załatwić jeszcze jakieś sprawy, a potem do państwa wpaść. Widocznie jeszcze nie dotarła, a skoro tak, to pewnie już nie przyjedzie, za to zaraz pojawi się w domu.

- Jakie Nikola może mieć sprawy?

Zamilkł zaskoczony. Właśnie, jakie?

- Kto zrozumie kobiety? - rzucił filozoficznie.

- Na pewno nie mężczyźni - wypaliła, wykazując się niezłym refleksem albo może po prostu przemówiło przez nią wieloletnie doświadczenie. Södergren postanowił zakończyć rozmowę, bo nie chciało mu się już silić na uprzejmość. Pożegnał się więc i rozłączył. Potem spojrział

na komórkę i zaczął się zastanawiać, gdzie tę kożę znowu poniosło.

Próbował dzwonić pod jej numer do północy, potem się poddał. Poszedł spać i oczywiście nie mógł zasnąć. Patrzył, jak jarzące się czerwienią cyfry na wyświetlaczu elektronicznego zegara zmieniają się minuta po minucie, kwadrans po kwadransie, godzina po godzinie. Przewracał się po całym łóżku, ale Morfeusz jakoś nie chciał przyjść i litościwie porwać go w swe objęcia, by choć przez chwilę mógł odpocząć. I zapomnieć... W niespokojny i pełen koszmarów sen zapadł dopiero około trzeciej nad ranem. Obudził się po piątej i stojąc z nagim torsem w otwartym na oścież oknie sypialni, palił papierosa za papierosem, przyglądając się, jak świt maluje niebo na żłotopomarańczowo.

Do Nikoli dodzwonił się dopiero o siódmej.

- Halo? - zapytała ostrożnie.

To dało mu do myślenia.

- Mogę wiedzieć, do cholery, co się z tobą dzieje? - Oczami wyobraźni widział, jak Nikola wzrusza ramionami tym swoim specyficznym ruchem „czego ty znowu ode mnie chcesz?”.

- Nie pojechałam do rodziców - odpowiedziała.

- To wiem. - Siłą woli powstrzymywał się, żeby nie podnieść głosu. - Nie wiem tylko, dokąd pojechałaś.

- Do Doroty. Nie miałam ochoty jechać do Stargardu.

- Powiedzmy, że jestem w stanie to zrozumieć... - mruknął uspokojony. - Czemu po prostu nie zadzwoniłaś?

- Nie wiem, nie pomyślałam... - odpowiedziała po chwili wahania, a on jakoś nie był tym zdziwiony.

- Całą noc przez ciebie nie spałem, Niki, wiesz o tym? - powiedział łagodnym tonem.

- Na pewno przeze mnie?

Zacisnął zęby.

- Na pewno. Możesz powoli wracać. Skończyłem już.

Milczała przez chwilę.

- Anders - powiedziała po chwili, a w jej głosie slychać było lekkie wahanie - mogę zostać u Dory jeszcze jeden dzień? Albo chociaż do wieczora?

Teraz on przez chwilę nic nie mówił, zastanawiając się, czy ma powody, żeby zacząć się czymś martwić.

- Rozumiem, że chcesz ochłonąć - powiedział ostrożnie.

- Tak. - Wyrażna ulga w jej głosie uspokoiła go nieco. - Potrzebuję jeszcze trochę czasu dla siebie. Poza tym Dora ma problem z facetem, z tym swoim Michałem, wiesz... Chcemy sobie pogadać tak po babsku. W porządku?

- W porządku. Do wieczora mogę się zgodzić. Ale nie więcej - zastrzegł. - Stęskniłem się za tobą, maleńka. Daj znać, jak będziesz gotowa, przyjadę po ciebie.

- Nie trzeba. Dorota mnie przywiezie.

- Jak chcesz. Pozdrów ją.

- Pozdrowię - obiecała i cmoknęła w słuchawkę. - Pa, Anders.

- Pa, Niki.

Odłożył telefon na parapet i sięgnął do paczki chesterfieldów. Była pusta.

\* \* \*

Södergren położył gres w siedem godzin, co przy ponad piętnastu metrach kwadratowych powierzchni garażu uważał za niezły wynik. Nie była to mistrzowska robota, niektóre płytki leżały krzywo, inne wystawały ponad krawędzie sąsiednich. Część z tych, które niezbyt wprawnie ciął ręczną przecinarką, miała ukruszone brzegi. Ale zrobił to sam. Skórę rąk miał poraną ostrymi krawędziami płytek, kolana bolały go od klęczenia, ale dał radę. Fugowanie zostawił na niedzielę. Popatrzył ostatni raz na swoje dzieło, zgasił światło i zamknął drzwi do garażu. Potem poszedł do łazienki i wziął długą, gorącą kąpiel. Niki miała przyjechać po osiemnastej. Obiecał jej, że zabierze ją na kolację do Radeckiego - miał dość pizzy, którą zamawiał od dwóch dni na obiad i na kolację.

Wieczór zgodnie z przewidywaniami upłynął przyjemnie. Carpaccio z łososia, krewetki w sosie różanym, zupa grzybowa, polędwica w sosie kurkowym i butelka wina zdecydowanie poprawiły mu humor. Dopiero w domu przeżył małe rozczarowanie. Kiedy próbował dobierać się do Nikoli, oznajmiła mu, że nic z tego, bo właśnie dostała okresu.

## *Poniedziałek, 27 maja*

Tego dnia Södergren przeżył jeszcze większe rozczarowanie niż w sobotni wieczór w łóżku.

Stał w drzwiach garażu i z niedowierzaniem gapił się na posadzkę. Na samym jej środku pojawiło się wyrzucenie. Nieduże i prawie niewidoczne, ale jednak, mimo wszystko zauważalne. Gorączkowo zastanawiał się,



co mogło je spowodować i czy przypadkiem nie popełnił jakiegoś błędu. W końcu domyślił się, jaka była przyczyna dziwnego zjawiska.

Widocznie w pośpiechu zawiązał ciało niezbyt szczelnie i gazy oraz płyny ustrojowe wyciekały spod folii. Betonowe ściany ciasnego i dodatkowo płytkiego kanału nie pozwalały na ich rozejście się. Gnijący w betonowym grobowcu skurwiel nawet po śmierci nie chciał dać mu spokoju...

Gryzł knykięć i próbował coś wymyślić. Może samo osiadzie? Po chwili stwierdził, że nie może tego tak zostawić. To jak z nietypowym i niespotykanym wcześniej bólem brzucha. Wiesz, że coś jest nie tak, ale boisz się coś z tym zrobić, na przykład pójść do lekarza. Wmawiasz sobie, że to nic takiego, że przejdzie, że to pierdoła, zatrucie, cokolwiek. Że jak pójdziesz się zbadać, to wykryją coś koszmarnego, a jeśli nie pójdziesz, to po prostu samo zniknie, rozejdzie się. Potem jest już za późno, bo faktycznie się rozchodzi, tylko że nie tak, jak myślałeś...

Dał sobie czas do jutra rana. Jeśli posadzka nie opadnie sama, zaczniesz myśleć, jak to naprawić...

## *Wtorek, 28 maja*

Rano Södergren z niepokojem zajrzał do garażu. Zamknął oczy, otworzył je i zamrugał. Nic się nie zmieniło. Wybrzuszenie wciąż tam było. Nie zniknęło, wręcz przeciwnie, przysiągłby, że jest jeszcze większe niż wczoraj wieczorem. Ze zgrozą stwierdził, że dodatkowo

fragmenty posadzki lekko zapadły się w miejscach przy ścianach kanału. Szare płytki rozstępowały się, fuga wykruszała, wyglądało to, jakby posadzka puchła albo coś próbowało spod niej wypełznąć.

Stał nad grobem Strzębosza i myślał, co zrobić. Rozkopanie go nie wchodziło w grę, wiedział, że będzie tylko gorzej. Zdawał sobie sprawę, że gdyby chciał gdzieś przenieść ciało, to teraz jest już za późno. Smrodu trupa nie wywabi z garażu przez rok, pomijając trudności techniczne z transportem zwłok znajdujących się już w stanie rozkładu. Gdyby chociaż miał jakiś porządny piec! A tak będzie musiał zerwać płytki, skuć wylewkę i jeszcze raz porządnie ubić ziemię. Pośpiech jest złym doradcą. Trzeba było jednak wlać ten beton, zmieszany z jakimś przyspieszaczem, położyć kratę, poczekać, aż zastygnie, a potem dopiero położyć gres, idealnie wszystko maskując. I co? Ma teraz huk roboty i nie wiadomo nawet, czy znowu posadzka nie spuchnie! Nagle drgnął, kiedy usłyszał dochodzący z domu dźwięk dzwonka. Serce zabiło mu mocniej. Wyszedł z garażu przez wewnętrzne drzwi i zobaczył, jak Nikola podchodzi do wideodomofonu. Spojrzała na niego bez uśmiechu. Od tamtego dnia nie uśmiechnęła się ani razu. Dzwonek znów zadzwonił, Nikola wcisnęła przycisk i wpatrując się w ekran na człowieka, który stał przy furtce, zapytała:

- Słucham?

- Dzień dobry, nadkomisarz Robert Krugły, komenda wojewódzka policji w Szczecinie. - Głos dobiegający z głośnika brzmiał czysto i donośnie. - Czy zastałem pana Andrzeja Södergrena?

Södergren poczuł, jak ziemia rozstępuje mu się pod nogami, a on spada w czeluść bez dna.

## *Dzień wcześniej, poniedziałek, 27 maja, wieczór*

Przez uchylone okno w loggii wpadały ostatnie komunikaty o odjazdach i przyjazdach pociągów, zwielokrotnione przez echo odbijające się od ścian budynków i peronowych wiat. Krugły i Michalczyk siedzieli przy stole w dużym pokoju. Błat zawalony był dziesiątkami papierzysek. Część z nich stanowiły materiały śledztwa, pozostałe Michalczyk zabrał z gabinetu świętej pamięci Strobisza, i to na nich skupiali największą uwagę.

Ewa już spała, a oni przy butelce piwa szperali w powpinanych w segregatory teczkach w poszukiwaniu dokumentu z nazwiskiem Szwedopolaka. Mieli niewiele czasu, bo Krugły obiecał Mikołajowi, że odniesie akta z samego rana.

Michalczyk pokazał Krugłemu zdjęcie.

- Patrz. Ślady opon zdjęte w lesie, niedaleko miejsca, w którym znaleziono ciało Strobisza. Z takimi sprzedawano w Polsce volvo, model S60. Dwójka, czyli prawie nówka. Znów coś szwedzkiego... - Uśmiechnął się pod nosem, kręcąc z rozbawieniem głową.

- Kolejne tropy prowadzą do pana Szweda, co? - Krugły mrugnął.

Michalczyk spojrzał na niego pobłażliwie.

- Wcale nie. Po pierwsze, nie mamy pojęcia, czym jeździ pan Szwed, a po drugie, w jednym miejscu te ślady

przecinały się z innymi i to te drugie były na wierzchu. Czyli ktoś przejeżdżał tamtędy już po tym volvo... - Zamyślił się na chwilę. - No ale jeśli ten gość był tak dumny z faktu bycia w połowie Szwedem, to chyba nie wozi tyłka chryslerem, fiatem albo fordem, no nie?

- Dziś już nie sposób dojść do tego, która marka jest z jakiego kraju - rzucił Krugły znad swojego segregatora. - Coś mi się wydaje, że volvo jest już chińskie.

Michalczyk wzdrygnął się i przewrócił kolejną stronę, potem następną. Przelatywał wzrokiem po ekspertyzach, zdjęciach, formularzach i innych drukach wypełniających segregator. Nagle wyprostował się, głośno wciągając powietrze do płuc.

- Mówiłem, że widziałem to nazwisko gdzieś w tych papierach. Robert, zobacz. - Podniósł zadrukowany arkusz. - Faktura wystawiona przez Medicertum II. Czyli rozumiem, że to taka spółka-córka Medicertum. Nawet jeśli jej właścicielem nie był Strobisz, to osoba z nim powiązana. I ta faktura, na sprzedaż urządzeń USG SonoRapid III firmy Avunläke AB, wystawiona jest na szwedzką firmę „Agnetha Södergren Handelsföretag”... Robert, tak się nazywał ten Szwedopolak: Södergren. Andrzej Södergren. Urządzenia do USG...

Michalczyk gapił się na fakturę, jakby właśnie odkrył jakąś straszną prawdę. Krugły zdał sobie sprawę, że tak właśnie jest. Prokurator spojrział nagle na niego, a w oczach miał błysk.

- Jeden z pracowników Strobisza wspomniał, że ostatnio klinika kupiła trochę ultrasonografów, i to za kasę z funduszy unijnych. A potem przekazała je innej

spółce. Mówiłem ci o tym, pamiętasz? A to... - pomachał trzymaną w ręku kartką - to dowód na najpopularniejszy w świecie szwindel. Miałeś rację. - Pokiwał smętnie głową. - Siedzieli w tym razem...

Ułożył fakturę starannie na blacie, idealnie równoległe do krawędzi stołu. Potem przez kilkanaście sekund wpatrywał się w milczeniu w biały, zadrukowany prostokąt.

- Mamy przełom, nie cieszysz się? - zapytał go Krugły.

Michalczyk drgnął, wyrwany z zamyślenia.

- Ależ cieszę się, Robert. Jak ja się, kurwa cieszę... Tylko co teraz? Jak mam działać? Wyjść z ukrycia, wołając: „Hej, to nie ja, tu mam dowody!”?

- Pozwolisz, że na razie ja się tym zajmę. - Krugły wstał i podszedł do stolika przy kanapie. Usiadł na niej i wcisnął spację na klawiaturze laptopa. Uśpione urządzenie zamruczało cicho. Kiedy ekran się rozjaśnił, Krugły poprosił Michalczyka:

- Przeliteruj mi to nazwisko.

- Nie jesteś zbyt oryginalny - zauważył cierpko prokurator.

- Za to skuteczny - odpalił komisarz. - Dawaj.

Michalczyk przeliterował nazwisko, a potem podszedł do kanapy i usiadł obok Krugłego.

Södergren. W pierwszej kolejności pojawił się adres strony firmowej Avunläke AB Polska. Weszli na nią i zobaczyli twarz przystojnego blondyna zachęcającego swym profesjonalnym uśmiechem do współpracy. Twarz różniła się nieco od tej na zdjęciu w telefonie Strzębosza. Była radosna i pełna entuzjazmu, zupełnie inna od tamtej,

zachmurzonej i posępnej. Ale bez wątpienia z ekranu laptopa spoglądał towarzysz Strzębosza. Wyglądało na to, że jest bardzo wysoko w hierarchii firmowej. Na dole strony znajdowały się numery telefonów i adres biura. Krugły kliknął „wstecz”.

- Czekał. - Michalczyk trącił Krugłego w ramię. - Sprawdź dalej...

Krugły mimo to najechał strzałką na inny adres.

- Wiemy już, gdzie pracuje - powiedział, klikając przyciskiem myszy. - Teraz chcę wiedzieć, gdzie już nie pracuje...

Kilka adresów portali społecznościowych zajmujących się kontaktami zawodowo-biznesowymi było po polsku. Krugły wchodził kolejno na strony Golden Line i LinkedIn. Anders Södergren figurował na tej drugiej, i to nie jako pracownik Avunläke, tylko innej firmy - Finlay Pharm. Przedstawiał siebie jako godnego zaufania, pracowitego człowieka o ogromnym doświadczeniu. Krugły szperał dalej.

Finlay Pharm Polska. Nowoczesne leki do terapii bólu i zaburzeń psychicznych. Logo - nazwa firmy wypisana stylizowaną na staroświecką czcionką - wzbudzające pozytywne skojarzenia: jak stare, to dobre. Biuro w Szczecinie w biurowcu Oxygen przy Malczewskiego. Zapraszamy do współpracy!

- No i bardzo ładnie - rzucił Krugły. - Jutro dowiemy się, kim jest pan Södergren.

- A co potem?

- Potem? - Komisarz spojrział na Michalczyka. - Przyciśniemy go. Powoli, ale skutecznie.

## *Wtorek, 28 maja*

Z samego rana Krugły oddał Mikołajowi Sobskiemu akta śledztwa prowadzonego w sprawie Strobisza. Podziękował, pozdrowił go od Michalczyka i zasugerował, żeby się nie martwił, bo niedługo wszystko się wyjaśni.

- Poważnie? - zapytał Mikołaj.

Krugły wyszczerzył zęby.

- Oczywiście. Niedługo znów będziecie razem obżerać się słodyczami. - Poklepał Sobskiego w ramię.

Kiedy obładowany segregatorami chłopak zniknął za drzwiami budynku prokuratury, Krugły pojechał do komendy. Koło południa postanowił pozwolić sobie na wyjście z pracy. Bądź co bądź Södergren był powiązany ze Strzęboszem, więc choć na razie komisarz nie mógł oficjalnie połączyć tych dwóch wątków, można było uznać, że wyszedł z komendy w celach służbowych, a nie prywatnych. Tylko w powieściach kryminalnych policjanci mogą bezkarnie włóczyć się po mieście w godzinach pracy.

Krugły podjechał do centrum. Zostawił samochód na parkingu „Galaxy” i przeszedł na drugą stronę, do biurowca „Oxygen”, konstatując przy okazji z zaskoczeniem, że na małej przestrzeni skupiły się dwa przykłady realnego funkcjonowania przepisów o ochronie prawnej języka polskiego w życiu publicznym. Na szczęście sam biurowiec, w przeciwieństwie do centrum handlowego, prezentował swym wyglądem całkiem przyzwoity poziom. Niezbyt wyszukaną formą nawiązywał do okolicznej, wysokiej zabudowy mieszkalnej z wielkiej

płyty, ale to było zrozumiałe. Samo wykończenie i zagospodarowanie najbliższego otoczenia budynku potraktowano z należytą starannością. Ciemne elewacje z pasami przeszkleń o zrównoważonych proporcjach nadawały mu wrażenie stateczności, a podświetlone w pozornie przypadkowych miejscach panele ścienne tworzyły ciekawy kontrast z nieco monotonnym rytmem okien.

Krugły wszedł do środka, sprawdził, na którym piętrze mieści się siedziba firmy Finlay Pharm i spoglądając na swój nieznacznie zaokrąglony brzuch, z cichym westchnieniem mimo wszystko skorzystał z windy. Lekko wystający znad paska spodni fałd nie był skutkiem niedawnego obfitego posiłku; skutkiem, który znika po strawieniu pokarmu i opróżnieniu wypchanego nim żołądka. To od pewnego czasu był stan permanentny i Krugły wiedział, że w końcu musi coś z tym zrobić...

Wjechał na czwarte piętro i po wyjściu z windy ujrzał na ścianie przed sobą wielkie logo Finlaya. Przeszedł przez przeszklone drzwi, prowadzące do biura. Modna w zarządzaniu jawność i przejrzystość przełożyła się w tym wypadku na wystrój w postaci wnętrza podzielonego na niewielkie boksy niskimi, przeważnie szklanymi ściankami. W boksach w skupieniu pracowało kilka osób. Krugły wszedł do jednego z nich i zagadnął siedzącego przy biurku młodego człowieka:

- Chciałbym porozmawiać z... - Urwał, zastanawiając się jak określa się szefa w takiej firmie. Kierownikiem, menedżerem, dyrektorem, supervisorem? - kimś decyzyjnym.



- Sławek Jabłoński, pomieszczenie na końcu. - Młodzieniec nie bawił się w zadawanie głupich pytań ani dociekanie, w jakim celu przybysz chciałby się widzieć z kimś decyzyjnym. Wskazał prawą stronę i wrócił do pracy.

Krugły podziękował i przeszedł kilka metrów, aż dotarł do drzwi odrębnego pomieszczenia, wydzielonego pełnymi, choć również przeszklonymi ścianami. Przypominało akwarium z jedną rybą, siedzącą za biurkiem i wpatrującą się w monitor komputera z telefonem przyciśniętym ramieniem do ucha. Krugły poczekał, aż ryba skończy rozmawiać i wszedł do środka.

- W czym mogę pomóc? - Uprzejmy uśmiech i miły wyraz twarzy sprawiły, że ryba okazała się całkiem sympatycznym facetem, przynajmniej na pierwszy rzut oka - młodym, elegancko ubranym, z dopasowanymi do ubioru elementami męskiej biżuterii.

Krugły dyskretnie mignął odznaką i przedstawił się. Reakcja Jabłońskiego była typowa, ale nie przesadna. Był po prostu nieco zdziwiony.

- Chciałbym porozmawiać o panu Södergrenie - powiedział Krugły, siadając naprzeciw niego przy biurku.

Tym razem na twarzy Jabłońskiego zauważył wyraźne oznaki niepokoju.

- A coś się stało? - zapytał po chwili.

Krugły pokręcił głową.

- Prowadzimy czynności sprawdzające w pewnej sprawie, w której przewinęło się jego nazwisko. To wszystko. - Uśmiechnął się uspokajająco, ale to nie

podziało na Jabłońskiego w zamierzony sposób, bo dalej patrzył na Krugłego spod zmarszczonych brwi.

- Co... chce pan wiedzieć? - zapytał ostrożnie.

Krugły rozejrzył się po gabinecie.

- Już u was nie pracuje, prawda?

- Nie.

- A mogę prosić o rozwinięcie tej odpowiedzi?

- To znaczy?

- Kiedy pracował, jak pracował, dlaczego przestał?

Jabłoński patrzył w monitor, jakby szukał w nim natchnienia. Krugły postanowił mu pomóc.

- Niech pan nie kręci. Po pierwsze, on nie będzie wiedział, że o nim rozmawialiśmy. Po drugie, zawsze sprawdzam informacje w kilku źródłach.

- Skąd to przypuszczenie, że zamierzam coś kręcić?

- Doświadczenie. - Krugły uśmiechnął się lekko. - Poza tym widzę pańską twarz.

Jabłoński nie umiał powstrzymać uśmiechu.

- Dobrze. Czy to będzie przesłuchanie?

Krugły uniósł brwi.

- Przesłuchanie? Nie, przesłuchania odbywają się u nas albo w prokuraturze. Tu, u pana, właśnie odbywa się najzwyczajniejsza rozmowa.

- Nieoficjalna?

- Jeśli to panu pomoże, to tak.

Jabłoński westchnął.

- Andrzej pracował u nas przez kilka lat. Kiedy przyszedłem do firmy, to był moim... powiedzmy,

mentorem. Uczył mnie wszystkiego. - Spuścił głowę. - Można powiedzieć, że przyjaźniliśmy się...

- Ale?

- Andrzej to specyficzny człowiek. Ma ujmujący sposób bycia i kiedy chce, jest jak do rany przyłóż, dusza towarzystwa. Ale bywały chwile, kiedy zmieniał się w zimnego, wyrachowanego drania. Jeździliśmy trochę razem po różnych konferencjach w kraju i w Europie, więc był czas, żeby sobie gadać na tematy niekoniecznie zawodowe. Jego opinie o różnych ludziach czy jakichś sytuacjach były dla mnie czasami... wstrząsające, wie pan? Nie wiem, co w nim siedzi, skąd takie zgorzknienie, przecież facet ma wszystko. Przystojny, dobrze zarabiający, z perspektywami i tak dalej... A jednak jakby czegoś mu w życiu brakowało. Adrenaliny? Nie wiem, czasem po prostu jechał po bandzie. Jak z tym swoim przekretem...

- No właśnie...

Zaczyna robić się interesująco - pomyślał Krugły.

- Więc to w tej sprawie? - Znów niepokój zmienił miłą twarz w maskę.

- Jak to było? - Komisarz nie dał Jabłońskiemu czasu na zastanowienie.

- Ale w tej?

- Tak - odpowiedział zdecydowanie. - Między innymi.

- Skąd pan o tym wie? - zdziwił się Jabłoński. - Szefostwo ustaliło, że to zostanie w firmie. Szyndler panu powiedział?

Jakiś błysk w jego oku powiedział Krugłemu, że powinien uważać. Że Jabłoński właśnie go sprawdza. Nie

miał pewności, czy tak jest, prawdopodobnie ubzdurał to sobie, a człowiek nazwiskiem Szyndler istniał naprawdę i był szefem Jabłońskiego, dajmy na to z Warszawy czy Poznania. Na wszelki wypadek wołał jednak przystopować. Strzeżonego... i tak dalej.

- Nie chcę usłyszeć tego od pana przełożonych, tylko od pana. Nie interesuje mnie opinia tego człowieka, o którym pan wspomniał, tylko pańska. Co z tym przekrętem?

Jabłoński wstał, wyszedł zza biurka i podszedł do okna. Opierając się o parapet, spojrział na Krugłego i powiedział z lekkim uśmiechem.

- Nie dał się pan naciąć, co? Ten przekręt, o którym mówię, to wewnętrzna sprawa Finlaya. Nic, co mogłoby zainteresować policję czy prokuraturę... W świetle obowiązującego prawa wszystko było jak najbardziej legalne. Chodziło o kwestie... powiedzmy, etyki zawodowej.

Krugły poczuł, jak na policzki wpełza mu rumieniec. Ale przynajmniej nie dał się nabrać na Szyndlera...

Jabłoński odwrócił się, spojrział przez okno na ulicę i ścianę „Galaxy”. Włożył ręce do kieszeni spodni o wąskich, przylegających nogawkach i nie zmieniając pozycji, zerknął w stronę Krugłego.

- Zastanawiał się pan czasem, dlaczego ten sam lek jest tańszy w jednej aptece, a w drugiej droższy? Różnią się tylko nieco opakowaniem: na przykład na pudełku są napisy w innym języku.

Krugły skinął głową. Jego mama mu o tym wspominała.

- No właśnie. Koszt wytworzenia leku to około piętnastu procent jego ceny. Tak naprawdę prawie połowa jego wartości to koszt promocji, jaki ponosi producent. Te koszty różnią się w zależności od tego, w jakim kraju jest sprzedawany, bo w każdym z nich inna jest polityka marketingowa firmy farmaceutycznej. Sztandarowym produktem Finlaya na rynku polskim jest Vanaxan, lek antydepresyjny. Jest bardzo dobry, ale w sprzedaży znajduje się od niedawna, dlatego jest dość drogi i nierefundowany. Dopiero jakiś czas temu złożyliśmy wniosek o refundację i wystąpiliśmy do Agencji Oceny Technologii Medycznych o jego rekomendację. Nieważne. Kiedy Vanaxan pojawił się w Polsce, okazało się, że w krótkim czasie pojawiły się w aptekach opakowania w konkurencyjnych cenach. Prawo rynku, powie pan pewnie, i będzie pan miał rację. Tak zwany import równoległy to jedna z rzeczy, która może znacznie obniżyć cenę leku. To fakt. W Czechach Vanaxan funkcjonuje od wielu lat, jest znany, więc cena jest dużo niższa, bo odpadają koszty jego promocji. I pewna firma sprowadzała stamtąd ten lek do Polski. Wszystko byłoby fajnie, gdyby nie okazało się, że właścicielem tej firmy jest niejaki Andrzej Södergren, rozumie pan? Zbieżność nazwisk nieprzypadkowa. To jest działanie na szkodę macierzystej firmy. Klauzule w kontrakcie zakazują podobnych praktyk, pomijając fakt czystego skurwysyństwa takiego postępowania wobec własnego pracodawcy. Ugryzł rękę, która go karmiła. Wie pan, czemu nie wyleciał z hukiem?

Krugły pokręcił głową.

- Bo był dobry w sprzedaży. - Jabłoński odwrócił się od okna, wyciągając ręce z kieszeni i znów opierając o parapet. - Był niesamowity. Może przesadzę, jeśli powiem, że sam jeden opanował rynek w takim zakresie, jakim zajmujemy się tu wszyscy, ale przesadzę niewiele. Bardzo niewiele. Ten urok, o którym mówiłem, miał magiczne działanie. Andrzej znał dyrektorów szpitali i przychodni, właścicieli sieci aptek, organizował wyjazdy na konferencje naukowe... Śmialiśmy się w firmie, że lista kontaktów w jego telefonie jest tak długa, że brakuje w nim pamięci na cokolwiek innego. - Uśmiechnął się do swoich wspomnień, a potem nagle spowaźniał.

- Wpadł przypadkiem, bo któraś z aptek nie mogła się z nim skontaktować w jakiejś ważnej sprawie - kontynuował już zimnym tonem. - Wygooglowali go więc, znaleźli kontakt w Finlayu i zadzwonili do nas, żeby poprosić go do telefonu. Niestety, telefon odebrał sam szef. Ten, który dzwonił, musiał być jakimś imbecylem, który nie ma pojęcia, jak działa ten biznes, ale tak zwykle się wpada, prawda? Przez idiotów...

Tu Krugły absolutnie musiał się z nim zgodzić.

- Nikt mu nie narobił smrodu? - zapytał Jabłońskiego. - Gdyby to mnie ktoś wywinął taki numer, postarałbym się, żeby nie znalazł roboty w tym biznesie aż do emerytury!

- No właśnie. - Jabłoński pokiwał głową. - A on był naprawdę lubiany i miał wielkie zasługi. To dlatego góra postanowiła dać mu szansę. Co prawda już nie w Finlayu, ale zawsze. Wszystko zostało w firmie. - Zamilkł na chwilę i spojrział na ruchliwe skrzyżowanie za oknem.

- Co zrobił? - zapytał w końcu Krugłego, wracając do swojego biurka.

Krugły bawił się leżącą na blacie wizytówką. Już wiedział, jak określać Jabłońskiego, zastanawiając się, czy jego przełożeni słyszeli o tej nieszczęsnej ustawie o języku polskim.

- Czemu pan myśli, że coś zrobił? - odpowiedział pytaniem.

- Bo go znam. I to dobrze. Nigdzie się nie „przewinął”, jak pan to powiedział, tylko znów coś wykombinował, prawda? I to coś grubszego, skoro interesuje się nim policja. Pewnie tym razem nie skończy się już tylko na zwolnieniu. Słyszałem, że pracuje w Avunläke.

Krugły potwierdził skinieniem głowy tę ostatnią informację i wstał. Usłyszał już wystarczająco dużo, w dodatku potwierdzało to w jakiś sposób podejrzenia, jakie mieli z Michalczykiem. Södergren to urodzony kombinator - miał to widać we krwi. Komisarz wyciągnął rękę do Jabłońskiego.

- Przykro mi, nie mogę powiedzieć, o co chodzi. Tajemnica śledztwa - powiedział, ściskając jego dłoń na pożegnanie.

- Na pewno się nie dowie, że rozmawialiśmy o nim? - zapytał Jabłoński.

- Boi się pan go?

- Czy się boję? Nie, nie o to chodzi. Nie boję się. Szczerze mówiąc, nienawidzę go. I on o tym wie. Dlatego miałby argument, by twierdzić, że wszystko to, co o nim powiedziałem, to nieprawda, i że powodowała mną chęć zemsty.

- Zemsty za co?
- Nieważne. - Jabłoński machnął ręką. - Stare dzieje...
- Na pewno nieważne?
- Na pewno. - Uśmiech Jabłońskiego był szczery.

Krugły patrzył przez chwilę, jak chłopak walczy ze sobą, zastanawiając się, czy wyjawić mu, o co chodziło. Aż wreszcie się zdecydował.

- Södergren odbił mi kiedyś dziewczynę. - W jego oczach nie pojawiła się pustka ani łzy, co tylko potwierdzało obojętny już stosunek do tych wydarzeń. - To był poważny związek. Myślałem nawet o ślubie, chciałem zaproponować Andrzejowi bycie świadkiem, w końcu byliśmy przyjaciółmi, a przynajmniej tak mi się wtedy wydawało. Klasyka, prawda? Cóż... Ale, jak wspomniałem, to już nieważne. Teraz myślę, że niektóre rzeczy zdarzają się po to, żebyśmy stali się bardziej dojrzaלי. Pozwala nam to przemyśleć dokładniej pewne kwestie.

- Wyciąganie pozytywnych wniosków z podobnych sytuacji to rzadkość u facetów - zdziwił się Krugły.

Uśmiech Jabłońskiego się zmienił. Z miłego przerodził się w nieco szelmowski.

- Zgadzam się - powiedział, kładąc dłonie na klawiaturze. - Może dlatego, że ich związek to już przeszłość.

Krugły roześmiał się i wyszedł, zostawiając sympatyczną rybę w jej akwarium.

\* \* \*



Michalczyk słuchał Krugłego w skupieniu.

- Co dalej? - zapytał, kiedy komisarz skończył relacjonować swoją wizytę w siedzibie Finlay Pharm.

Krugły lekko wzruszył ramionami.

- Ciśniemy. Wybieram się zaraz do niego poznać go osobiście, porozmawiać... Może coś ustalę, może zaczniesz się denerwować i coś mu się wypnie?

Michalczyk skrzywił się lekko.

- Z tego, co mówił tamten facet z Finlaya, Södergren to stara wyga. Myślisz, że go nastraszysz machaniem blachą? Negocjował wielomilionowe kontrakty, pewnie nerwy ma ze stali.

- Nie możemy wiązać Södergrena ze sprawą zabójstwa Garlickiej - powiedział Krugły z namysłem. - Przynajmniej nieoficjalnie. Chyba że szepnę słówko Lamentowi i nakieruję go, dając mu namiary na Rzechulaka z Kafe Tango. Ale to będzie dziwnie wyglądać - i tak w komendzie ciągle mnie wypytują, co robiłem u Poraniewskiej. To byłby ewidentny dowód, że działałem na własną rękę w sprawie, której nie powinienem tykać. Berdak coś podejrzewa, w sumie nie dziwię się... Co prawda czasem mam wrażenie, że mi delikatnie pomaga, ale nie mam ochoty go o to pytać. Choć uważam, że w razie czego to nim akurat nie musimy się martwić, bo nic nikomu nie powie. Ze Strobiszem też na razie Södergrena nie powiążemy. Nie pójdę do Nitaka z tą fakturą, bo zapyta, skąd ją mam. Ale nie musimy się tym teraz zajmować, pomyślimy o tym później. Na razie po prostu powiązałem Södergrena ze swoim śledztwem w sprawie Strzębosza i napadu.

- W jaki sposób? - zainteresował się Michalczyk.

- Zdjęcie z telefonu, ta szwedzka, słotaśna focia z rąsi, daje podstawy, by sądzić, że Södergren to ktoś dość blisko związany ze Strzęboszem. I tak przepytujemy wszystkich znajomych gnoja - tych, których dajemy radę ustalić. Zatem wizyta u Södergrena nie będzie niczym dziwnym, prawda?

- Tak. Ale pewnie padnie pytanie, skąd wiedziałeś, kim jest gość na zdjęciu? Jak go zidentyfikowałeś?

- Przypadkiem znam go z widzenia.

- Naciągane.

- Tak? A ty, przepraszam, jak go rozpoznałeś?

Michalczyk stropił się trochę.

- No, znam go z widzenia... - przyznał z ociąganiem. - Przypadkiem - dodał po chwili.

- Patrz, to zupełnie tak jak ja! - wykrzyknął z zaskoczeniem w głosie Krugły i zapytał: - Jak wypadłem?

- Przestań, Robert. - Michalczyk nie miał ochoty na żarty.

- W porządku. - Krugły chrząknął. - Na razie to jest nieistotne. Ustalono kolejnego znajomego Strzębosza, niejakiego pana Södergrena. Podlega sprawdzeniu i oto nagle okazuje się, że Strzębosz może się u niego ukrywać.

- Jak się okazuje?

- Sąsiad wspomina, że widział koło jego bloku, domu, czy gdzie on tam mieszka, osobę podobną do poszukiwanego Jacka Strzębosza.

- Jaki sąsiad?

- Mateusz. - Krugły spojrzał na Michalczyka. - Jakikolwiek. Tak będę zadawał pytania, żeby uzyskać właściwe odpowiedzi. Po prostu okaże się, że w okolicy widziany był młody, krótko obcięty człowiek z tatuażem na ręku. Sam wspominałeś, że takich jest dziś na pęczki, więc szansa, że sąsiad naprawdę widział kogoś takiego, jest całkiem spora... Mylę się?

- Niech ci będzie. Co dalej?

- Dalej? Mamy już podstawy sądzić, że podejrzany o napad z bronią w ręku niebezpieczny przestępca ukrywa się u pana Södergrena. Wnioski, które nasuwają się same, brzmią tak, że pan Södergren może być drugim, niezidentyfikowanym sprawcą tego napadu. To zresztą jedna z moich hipotez śledczych.

- Oparta na dość wątplych przesłankach...

- To nieistotne. Nie podcinaj mi skrzydeł, w końcu chcesz się do niego dobrać czy nie? - Michalczyk energicznie pokiwał głową. - No. Poza tym tak sobie myślę, że kolega tego postrzelonego konwojenta nie miałby problemów z przypomnieniem sobie, że machający z radiowozu „policjant” był jasnym blondynem. Zanim włożył kominiarkę...

Michalczyk spojrzał na Krugłego uważnie.

- Bawisz się w takie rzeczy, Robert?

Krugły spojrzał w okno.

- Może zabrzmiało to łązawo, ale zrobiłbym to tylko dla ciebie. Pomijając fakt, ile JUŻ robię. Zależy mi na tym, żebyś wrócił do świata. - Widząc minę Michalczyka, dodał ostrzegawczym tonem: - Tylko nie rzuć mi się z płaczem w ramiona, dobra?

Michalczyk spuścił wzrok i lekko się uśmiechnął.

- Jak będziesz tak wypytywał wszystkich naokoło, to Södergren się dowie, że policja ma na niego oko - powiedział w końcu, nie wracając już do tematu niedozwolonych praktyk.

- I bardzo dobrze - rzucił Krugły. - Niech się dowie. Może wtedy popełni jakiś błąd.

- Niech ci będzie - Michalczyk nie wyglądał na przekonanego - a kiedy już formalnie „ustalicie”, że Södergren jest potencjalnym współnikiem Strzębosza, to co dalej?

- Obserwacja, potem zatrzymanie i aresztowanie. Tak to się robi, panie prokuratorze?

- Tak od razu?

- Chodzi o to, żeby go wyciągnąć z jego środowiska, Mateusz. Nawet jeśli zatrzymamy typa tylko na czterdzieści osiem godzin, będziemy mieli szansę, że coś odkryjemy. Sam mówiłeś, że to kąpiący się w oślim mleku elegancik. Czy ty wiesz, jak na takich ludzi wpływa pobyt w celi!? Wiesz... - Zreflektował się po chwili. - No, właśnie. I o to chodzi. Nie mówię, że od razu rzuci się na kraty, wołając: „To ja wrobiłem Michalczyka!”, ale przynajmniej będzie mocno zdezorientowany, rozumiesz? Będzie jak dojrzały owoc. Nadgryziemy go i zostawimy na chwilę, a wtedy zacznie gnić w tym miejscu niepokojącą plamą niepewności.

- Myślałeś o pisaniu wierszy? - zapytał Michalczyk z rozbawieniem. - Pomyśl. A jak załatwisz w prokuraturze sprawę tymczasowego aresztowania?

- Będę przekonujący. Miejmy nadzieję, że prokurator przed sądem też.

- Kto prowadzi sprawę tego napadu?

- Rejonówka, Śródmieście. Bilski. Da się z nim coś załatwić?

- Nie wiem - Michalczyk wzruszył ramionami - trudno przewidzieć. Jest w porządku, choć dość zasadniczy.

- Zobaczmy. - Krugły wstał. - Jadę. Sprawdziłem w robocie, mieszka w Mierzynie, na Jarzębinowej, w domku jednorodzinny. Załatwiam już ludzi do obserwacji i dwa samochody. Dom jest tak usytuowany, że trudno będzie kogoś posadzić na stałe. Zwróciłoby to jego uwagę. Widziałem na Street View, że obok jest mały zagajnik, może da się tam ulokować człowieka, ale to sprawdzę na miejscu ci z wywiadu kryminalnego. Dziś pogadam z sąsiadami, żeby mieć dupochron, potem wpadnę na kawę do Södergrena, a jutro uderzę do Bilskiego, żeby go wysondować, czy jest skłonny wystąpić o nakaz aresztowania.

- Ty przecież nie pijesz kawy.

- Dla Södergrena zrobię wyjątek.

Michalczyk uśmiechnął się słabo.

- Nie masz pojęcia, Robert, jak mnie nosi. Najchętniej pojechałbym z tobą. Nawet nie o to chodzi, że mam ochotę jebnąć gnojowi za to, co mi zrobił. Chodzi o to, że coś się dzieje... Tego mi brakuje, wiesz? Ruchu i adrenalinki.

- Wiem - mruknął Krugły, wstając. - Chociaż, moim zdaniem, adrenalinki miałeś ostatnio pod dostatkiem.

- Prawda... - przyznał niechętnie Michalczyk. - Ale nie o taką mi chodziło.

Do pokoju weszła Ewa. Spojrzała ze zdziwieniem na szykującego się do wyjścia Krugłego.

- A ty dokąd? - zapytała. - Obiadu nie jesz?

Krugły uśmiechnął się do niej.

- Nie. Jestem umówiony na kawę z jednym sukinsynem.

- Szwedzka bułka napoczęta, co, panie komisarzu? - rzucił Michalczyk.

- Pieczywo, panie prokuratorze! - Krugły uśmiechnął się.

Ewa patrzyła na nich jak na półgłówków.

- Trzymajcie się, będę za parę godzin - rzucił Krugły na odchodne.

Pocałował Ewę w czubek nosa i wyszedł.

\* \* \*

Gdyby nie brak lasu, Krugłemu może i by się w Mierzynie podobało. Okolica była w miarę cicha, odgłosy ciężarówek pędzących krajówką w stronę granicy tu były zaledwie cichym szumem. Większość działek pozostawała jeszcze niezabudowana, jedynie na nielicznych powyrastały niewielkie domy. Dzięki nowiusieńkim, czystym elewacjom i świeżo urządzonym ogródkom sprawiały wrażenie wyciętych z jakiegoś idealnego świata i wrzuconych pomiędzy zachwaszczone, puste place ze sterczącymi pośrodku tablicami: „Sprzedam działkę z pozwoleniem na budowę”. Wymalowane koślawo na kawałkach dykty

napisy pojawiły się, kiedy chciwość deweloperów i głupota ich klientów wywindowały ceny gruntów do horrendalnych sum, a potem wartość działek zweryfikował kryzys z dwa tysiące ósmego. Zaciszny kąt, w którym znalazł się Krugły, o dziwo obfitował w drzewa i był jak zielona enklawa, oaza na pustyni. Stąd nie widać było typowej dla zachodnich i południowych rubieży miasta przestrzeni, bezleśnej właśnie i płaskiej, jak okiem sięgnąć. Przestrzeni, która wywierała na Krugłym agorafobiczne wrażenie, sprawiając, że czuł się jak mały robaczek rzucony na wielką, bezkresną łąkę. Pierzaste chmury porozlepiane na błękitnej kopule, wiszące nad nim i rozciągające się aż po widnokrąg, wyglądały jak stado drapieżnych baranów, czekających tylko na okazję, by sięgnąć ziemi i skubnąć z pól i łąk trochę zielska. Zdecydowanie bardziej wolał leśne kompleksy Puszczy Wkrzańskiej czy Goleniowskiej.

Na końcu ulicy Jarzębinowej istotnie znajdował się nieduży, sosnowy zagajnik i Krugły, widząc go, pomyślał, że faktycznie może to być niezłe miejsce na prowadzenie obserwacji. Dom Södergrena, nieduży i o nowoczesnym wyglądzie, znajdował się mniej więcej w połowie ulicy. Kilka okolicznych domów było bardzo podobnych i niewykluczone, że większość tego obszaru obsługiwała jedna pracownia projektowa. Krugły zaczął od pierwszego z nich. Kiedy wcisnął przycisk znajdujący się przy furtce, jak z podziemi wyrósł nagle przy niej mały, równie głośny, jak zabawny mops. Przypominał trochę mechatą żabę, małe uszka trzęsły się, kiedy piesek, wyprężając pofałdowany, tłusciutki grzbiet, zanosił się irytującym

jazgotem. Po chwili z głośnika przy dzwonku rozległ się głos:

- Taaak?

- Dzień dobry, policja.

- Hmmm... Chwileczkę, zabiorę Frankiego.

Z domu wyszedł otyły mężczyzna. Miał wielki brzuch, czerwoną twarz i sapał jak parowóz. Podeszedł do furtki ciężkim krokiem i mrugając z zaskoczeniem, zaczął nieufnie przyglądać się Krugłemu.

- Pan nie jest dzielnicowym... - ni to stwierdził, ni zapytał, a potem schylił się z trudem, podniósł psa z ziemi i wsadził go sobie pod pachę.

- Nie - potwierdził Krugły. - Pracuję w komendzie wojewódzkiej.

- A więc to nie w sprawie tego jełopa? - zapytał mężczyzna, potrząsając mopsem.

Frankiemu chyba się to spodobało, bo jego ogonek wykonał ruchy przypominające drgawki.

Krugły pokręcił głową, wpatrując się w wyłupiaste oczy psa. Facet kaszlnął i wyciągnął w stronę komisarza wielki paluch.

- Frankie pana polubił - stwierdził z wyraźnym zadowoleniem.

- Cieszę się niezmiernie - bąknął Krugły, zostawiając dla siebie informację, że bez wzajemności. - Jestem tu w związku z prowadzonym przez naszą komendę dochodzeniem w sprawie pewnego człowieka. Jest poszukiwany przez prokuraturę, w dodatku to dość niebezpieczny człowiek, a mamy informację, że może



przebywać w Mierzynie. Przepytujemy okolicznych mieszkańców, czy nie widzieli ostatnio kogoś podejrzanego.

- Jak wyglądał? - sapnął facet z autentycznym niepokojem w oczach.

Krugły uśmiechnął się w duchu i opisał wygląd Strzębosza.

Lepiej nie mógł trafić. Wystarczyło wykorzystać typowo ludzką obawę przed nieznanym zagrożeniem, która w miejscu, gdzie człowiek czuje się najbezpieczniej, czyli we własnym domu, przyjmuje zwykle jeszcze większe rozmiary. W dodatku właściciel Frankiego wyglądał raczej na strachliwego, a przynajmniej świadczyło o tym jego zachowanie. Z widocznym na twarzy skupieniem usiłował przypomnieć sobie, czy widział opisanego człowieka, patrząc przy tym w mordę psu, jakby liczył na to, że Frankie mu coś podpowie. Ale Frankie albo nie miał ochoty, albo nie pamiętał, w każdym razie wpatrywał się w Krugłego z jakimiś wesołymi iskierkami w oczach, a z jego pyszczka wydobywał się radosny charkot.

- A wie pan, że... - powiedział w końcu jego pan z namysłem - chyba kilka dni temu widziałem kogoś takiego. W piątek? Nie, przepraszam, to było w czwartek, rano. Wtedy do Frankiego przychodzi weterynarz, wie pan? Psisko jest słabego zdrowia, ale te rasy tak mają...

Krugły skinął uprzejmie głową. Założenia planu, które przedstawiał Michalczykowi, okazały się jak zwykle prawidłowe. Wystarczyło lekko naprowadzić na cel, reszta działała się sama. Chęć pomocy, zaimponowania,

autosugestia? W każdym razie stał przed nim dobry materiał na potencjalnego świadka.

- Przechodził tędy. Frankie jak zawsze był na dworze, a ja za domem. Skończyłem kosić trawnik i czyściłem kosiarkę. Kiedy usłyszałem ujadanie, poszedłem do psa, bo wiedziałem, że ktoś go musi drażnić, inaczej by nie zareagował. To bardzo przyjacielski zwierzak. - Poglaskał Frankiego po łebku, wygładzając na chwilę fałdy na mordce. - I wtedy zobaczyłem, jak ten człowiek tupie w kierunku Frankiego, żeby go wystraszyć i wrzeszczy do niego... - Przerwał na chwilę. - „Wypierdalaj, ty jebana ropucho!” - Spuścił wzrok i lekko zaczerwienił się, jakby nawet samo cytowanie przekleństwa sprawiało mu trudność.

- Da pan wiarę? - zapytał zszokowany. - Ropucho! Przecież Frankie nic mu nie zrobił, po prostu pilnował podwórka. Niech pan sam powie, czy Frankie przypomina ropuchę? - Podniósł psa wyżej, żeby Krugły mógł się dobrze przyjrzeć.

Frankie zrobił taką minę, że przypominał ropuchę bardziej niż kiedykolwiek wcześniej, ale Krugły zdołał jakoś zachować kamienną twarz. Prawie kamienną, ale facet się nie zorientował.

- Walił w ogrodzenie, żeby go przestraszyć, łobuz jeden - mówił z oburzeniem. - To na pewno był przestępca, bo miał na rękę obrzydliwy tatuaż, o którym pan wspominał. Jak to więźniowie.

Krugłemu zapaliło się w głowie ostrzegawcze światełko. Zeszły czwartek. Dzień po ucieczce Strzębosza z sądu. Kilka godzin po opuszczeniu mieszkania staruszki.

- Jak wyglądał ten tatuaż? - zapytał spokojnie, poważniejąc.

- Jakies napisy czy znaki, nie widziałem dokładnie przez siatkę... Robią sobie te dziary jak jakies dzikusy!

- Jak był ubrany ten człowiek? Potrafi pan go opisać szczegółowo?

- Miał taką jasną koszulę z krótkim rękawem. Prostą, bez bajerów, jakie teraz się nosi. Wie pan, jakies głupie naszywki, napisy i inne bzdety... Niósł szarą kurtkę, zawiesił ją sobie na plecach. I czarne spodnie, bojówki. Dobrze się sukinsynowi przyjrzelismy, co Frankie?

Krugły szybko wyciągnął telefon. Teraz był pewien, że niczego grubasowi nie zasugerował, że osoba, którą widział, faktycznie mogła być Strzęboszem. Odblokował ekran, zdjęcie ze Szwecji wciąż było na wyświetlaczu. Zakrył palcem twarz Södergrena i unosząc rękę ponad ogrodzeniem, pokazał telefon mężczyźnie.

- To on? - zapytał krótko.

Frankie też chciał zobaczyć, więc jego pan skrzył biodra, żeby go odsunąć, a sam wyciągnął szyję przez płot, zerkając ciekawie na ekran.

- On, prawda, Frankie? - zapytał mopsa. - To ten łobuz cię napastował, prawda? Wytatuowany przestępca!

Krugłemu zrobiło się gorąco. Coś podobnego! Dziwiło go niesamowite szczęście i przypadek, dzięki którym co rusz wpadał na ślad Strzębosza. To jednak niekoniecznie musiał być przypadek. Po prostu szedł jak po nitce do kłębka. Inna kwestia, jak to możliwe, że Strzębosz, zostawiwszy tyle śladów na drodze swej ucieczki, jest niemal w zasięgu ręki, lecz wciąż nie daje się złapać.

Krugły zerknął w prawo, gdzie mniej więcej w połowie ulicy stał dom Södergrena.

- Więcej go pan nie widział? - zapytał.

- Nie, na pewno nie. - Grubas postawił w końcu Frankiego na ziemi.

Kiedy krzywe łapki mopsa dotknęły trawy, pies natychmiast rzucił się na siatkę, usiłując dostać się jakoś do Krugłego i najwyraźniej nie mając przy tym złych zamiarów.

- Dobra, dziękuję bardzo za pomoc. - Komisarz uśmiechnął się i odszedł od płotu. Frankie wyraźnie posmutniał.

- Niech pan wpadnie jeszcze kiedyś - zaproponował jego pan. - Przypadł mu pan do gustu! - Wskazał na psa.

- Postaram się - mruknął Krugły niezobowiązująco i poszedł do samochodu.

Grubas machał mu entuzjastycznie na pożegnanie, a Frankie skakał u jego stóp niczym ropucha, której wcale a wcale nie przypominał. Krugły wsiadł do auta, przekręcił kluczyk i podjechał kilkadziesiąt metrów w stronę domu Andrzeja Södergrena.

Zaparkował przed bramą. Za nią, na podjeździe przed garażem stało czarne volvo S60. Przypomniawszy sobie zdjęcie śladu opon z akt śledztwa w sprawie Strobisza. Przypadek? Krugły podszedł do furtki i spojrzawszy w oko kamery wideodomofonu. Bez zastanowienia wyciągnął palec w kierunku przycisku dzwonka.

Teraz już nie musiał silić się na jakieś gadki, żeby zamienić z Södergrenem parę słów i zorientować się, z kim ma do czynienia. Teraz mógł już zasiać w nim ziarno

niepokoję, pytając wprost o znajomość ze Strzęboszem. Nadgryźć go. Krugły wiedział, że postępuje nieprofesjonalnie. Powinien zostawić Södergrena w spokoju i działać w ukryciu metodami operacyjno-rozpoznawczymi, a nie bawić się w podchody niczym Columbo. Ale nie chodziło o rozgrywkę. Chodziło o to, że nie miał żadnych twardych dowodów na związek Södergrena ze zleceniem na Michalczyka. A nawet jeśli okaże się, że był zamieszany w napad na konwój czy malwersacje ze sprzętem w klinice Strobisza, to wciąż nie będzie oznaczać jasnego powiązania ze śmiercią Garlickiej. Wszelkie kroki, jakie Krugły poczynił do tej pory w związku ze sprawą zabójstwa prostytutki, były nieformalne i tak naprawdę nielegalne. Musiał więc zrobić coś, żeby Södergren popełnił błąd. Musiał go sprowokować.

Zadzwoił. Przez chwilę nic się nie działo, więc wcisnął przycisk jeszcze raz.

- Słucham? - Z głośnika dobiegł go kobiecy, bardzo miły, niemal aksamitny głos.

- Dzień dobry, nadkomisarz Robert Krugły, komenda wojewódzka policji w Szczecinie - przedstawił się. - Czy zastałem pana Andrzeja Södergrena?

Cisza była znamienna. Trwała dość długo.

- Halo? - Krugły upewnił się, że nie stracił połączenia.

- T-tak... - kobieta wciąż tam była - jestem. Ale pana Södergrena nie ma w domu.

- A kiedy wróci? Zależy mi na rozmowie z nim.

- Pan Södergren przebywa obecnie w Szwecji. Wróci za kilka dni, nie wiem dokładnie kiedy.

- Wpuści mnie pani?

- Niestety, nie mogę. Nie jestem upoważniona.

- A mogę wiedzieć, z kim rozmawiam?

- Jestem znajomą pana Södergrena. Opiekuję się domem pod jego nieobecność. Niestety, nie mogę pana wpuścić, gdyż nie zostałam do tego upoważniona.

- Wie pani, jestem policjantem...

- Nie szkodzi. Nie ma pan nakazu. A ja nie jestem upoważniona - powtarzała to jak zacięta płyta gramofonowa.

Krugły zagryzł wargę, zastanawiając się, czy skurwiel stoi za nią i szepcze jej do ucha, co ma mówić.

- To jego samochód stoi przed garażem? - zapytał oficjalnym tonem.

Chwila wahania.

- Nie wiem dokładnie, czasem go używa, ale nie mam pewności, czy jest jego.

- Mówi pani, że pojechał do Szwecji?

- Tak - odparła zdecydowanie.

- To czym pojechał?

- Nie wiem, kiedy przyjechałam, już go nie było.

Zobaczmy, co zrobi teraz - pomyślał Krugły i wypalił beztroskim tonem:

- Zdaje sobie pani sprawę, że możemy to sprawdzić u przewoźników promowych?

Odpowiedziała niemal bez zastanowienia.

- Ponieważ pan Södergren miał do załatwienia sprawę w Niemczech, tym razem zdecydował się pojechać przez Danię. Tym długim mostem.

Krugły milczał. Dobra była. Teoretycznie mógł wejść do środka „na legitymację”, ale nie był pewien, czy byłoby to rozsądne posunięcie. Nie miał zgody przełożonych, nie miał też pewności, że prokurator Bilski zgodzi się na przeszukanie bądź zatrzymanie Södergrena. Zaczął zastanawiać się, czy przyjście tu, tak na gorąco, to był na pewno dobry pomysł i czy nie powinien przestać na informacji od właściciela Frankiego. Po chwili doszedł do wniosku, że dobrze zrobił. Osiągnął cel. Najprawdopodobniej Södergren zacznie wykonywać jakieś nerwowe ruchy, a jeśli Strzębosz faktycznie przebywa u niego w domu, to mogą nawet podjąć próbę jego ewakuacji. I na to będzie czekał. Teraz musiał jak najszybciej zorganizować obserwację.

Myśli błyskawicznie przelatywały Krugłemu przez głowę. Z zadumy wyrwał go głos kobiety.

- Czy mam mu coś przekazać, jeśli zadzwoni? Jaki był powód pana wizyty? - zapytała kobieta tym swoim aksamitnym głosem.

- Proszę mu przekazać, że byłem w sprawie jego znajomego, Jacka Strzębosza. Zapamięta pani? Strzębosza.

Cisza trwała o wiele za długo.

- Tak - odpowiedziała, ale jej głos nie był już tak zdecydowany, jak chwilę wcześniej.

- W takim razie, dziękuję. Życzę miłego dnia.

Nie odpowiedziała. Krugły usłyszał tylko trzask odkładanej słuchawki domofonu. Odwrócił się i odszedł.

Był pewien, że ktoś, najpewniej Södergren, teraz go obserwuje. Nie przez okno. Krugły niemal fizycznie czuł,

jak oko kamerki wideodomofonu niemal wypalała mu w plecach dziurę. Irracjonalne wrażenie odebrał jednoznacznie. Przeczucie. Södergren nie był w żadnej Szwecji. Komisarz zdawał sobie sprawę, że ma mało czasu. Póki nie załatwi obserwacji z komendy, posadzi w lesie Kudelskiego i wkrótce dowie się, czy miał rację. Wsiadł do samochodu, wyciągnął komórkę i zadzwonił do Cześka.

Sierżant Kudelski był samotny. Nie miał dzieci, żona zostawiła go kilka lat temu, mówiąc mu na odchodnym, że człowiek, którego jakiś czas temu poznała, jest w stanie przez jeden dzień okazać jej więcej miłości niż on przez całą ich pomyłkę, zwaną szumnie małżeństwem. Czesiek nie załamał się – samotne wilki radzą sobie nie z takimi rzeczami. Teraz mógł już bez przeszkód budować ogromny model bombowca B-52, z prawdziwymi silnikami odrzutowymi. Plotka głosiła, że kiedy Kudelska wyszła z walizkami, Czesiek nie zrobił tego, co zwykle robią w takich sytuacjach faceci, czyli nie zaczął chlać. On po prostu jak gdyby nigdy nic poszedł do pokoju, w którym składał model, i zaczął przy nim dłubać.

Kudelski był odludkiem i nocnym markiem. Krugły wiedział więc, że nie powinien odmówić mu pomocy w takiej sprawie. Nie pomylił się. Czesiek, nie wnikając, o co dokładnie chodzi, obiecał, że zjawi się w ciągu pół godziny.

Krugły czekał na niego w samochodzie. Gapił się na dom Södergrena, mając nadzieję, że dupek widzi jego auto i razem ze Strzęboszem gorączkowo zastanawiają się, co robić. Napawał się wręcz tym uczuciem. Mimo że



nie poznał Södergrena i nie spojrział mu w oczy, tak jak planował, to miał wrażenie, że dzień nie był stracony. Dzięki właścicielowi małej, szpetnej i usierścionej ropuchy był całkiem udany!

Kiedy dwadzieścia kilka minut później Kudelski przyjechał na Jarzębinową, wsiadł do samochodu Krugłego i zapytał:

- No?

Czesiek popadał czasem w nastrój melancholijny, co przy jego usposobieniu nie było niczym dziwnym. Dziś też był w takim nastroju. Krugły nie wnikał dlaczego. Zapoznał go z niezbędnymi szczegółami i pokazał mu telefon, na którym widniało wspólne zdjęcie Strzębosza i Södergrena. To w zupełności wystarczyło. Kudelski doskonale wiedział, co ma robić. Kiedy wysiadał, Krugły rzucił do niego:

- Czesiek, ta sprawa jest... między nami, dobra? Jak jutro przyjadą ci z obserwacji, znikniesz, nie pokazując się im. Zadzwońię do ciebie, kiedy rano będą wyjeżdżać z komendy.

Pobrużdżoną zmarszczkami twarz Kudelskiego rozjaśnił nikły uśmiech.

- Wiszę ci! - krzyknął jeszcze Krugły, zanim drzwi samochodu zamknęły się z trzaskiem.

Kudelski poszedł w kierunku ulicy Długiej, żeby obejść zabudowania i dotrzeć do zagajnika od tyłu. Problem polegał na tym, że z zagajnika widać było jedynie tył domu i fragment garażu. Krugły pocieszał się, że w razie czego Kudelski zobaczy to czarne volvo odjeżdżające sprzed posesji. Skoro stało przed garażem za bramą,

musiało jednak należeć do Södergrena. A jeśli pojedą taksówką? Dziś Krugły nie mógł liczyć na nikogo innego, tylko na Czeška. Miał nadzieję, że nic się nie wydarzy...

Wrócił do swojego mieszkania głodny jak wilk. Ewa odgrzała mu obiad. Przetykając pośpiesznie kęsy wieprzowych polędwiczek z frytkami, dyskutował z Michalczykiem.

- Z mojego planu wyszło gówno - stwierdził. - Oficjalnie Södergrena nie było w domu. Rozmawiałem przez domofon z jego... znajomą, tak siebie określiła. Powiedziała, że pan Södergren wyjechał do Szwecji na kilka dni, a ona opiekuje się domem. Gadała, jakby wykuła ten tekst na pamięć, bez przerwy wtrącała jakieś „gdyż”, „ponieważ”, czy jakoś tak... Musieli się spodziewać wizyty policji. Co też jest jakimś znakiem potwierdzającym słuszność naszych podejrzeń. Ale nie mogłem wejść do środka, sam rozumiesz. I powiem ci, że aż korci mnie, żeby zadzwonić do Ołdakowskiego i złożyć mu wyrazy uznania. Sam miałem ochotę zrobić tam to samo co on u mnie...

- Dupa blada - powiedział zgaszonym tonem Michalczyk. - A już miałem nadzieję...

Krugły uśmiechnął się.

- Jest też dobra wiadomość. Właściwie dwie. Pierwsza to taka, że Södergren jeździ volvo S60, wyobraź sobie...

- To jeszcze o niczym nie świadczy. A ta druga?

- Na dziewięćdziesiąt procent Strzębosz ukrywa się w domu Södergrena. Tydzień temu był widziany w okolicy.

Michalczyk z pełną powątpiewania miną śledził trasę widelca z talerza do ust Krugłego.

- Tak sugestywnie zadawałeś te swoje naprowadzające pytania, że aż sam się zasugerowałeś? - zapytał.

- Sąsiad rozpoznał Strzębosza na zdjęciu. - Krugły opowiedział mu o grubasie i o Frankiem. - A ponieważ Strzębosz, jak zwykle zresztą, dał się zapamiętać, facet nie miał żadnych wątpliwości. I żeby zmasać ci z twarzy ten krzywy, sceptyczny uśmieszek; sąsiad najpierw opisał mi go dokładnie, a dopiero gdy coś mnie tknęło, to pokazałem mu zdjęcie.

- Tę slitfocię?

- Uhm. Ale Södergrena zasłoniłem.

- Słusznie. Kuźwa, ten Strzębosz... On ciągle daje się zapamiętywać wszystkim dookoła, co?

- Też mnie to trochę dziwi. Jeżeli ktoś się ukrywa, to robi wszystko, żeby pozostać niezauważonym, a on jakby nas prowokował. Bezczelny albo po prostu głupi. A na pewno farciarz. W każdym razie wygląda na to, że wreszcie poszedł po rozum do głowy i zapadł się pod ziemię. Pewnie siedzi u Södergrena w domu i nie wyściubia stamtąd nosa.

- Ale pewności nie masz?

Krugły wytarł usta serwetką, zmiął ją i odłożył na talerz.

- Nie mam. Od tamtej pory minął tydzień i wiele mogło się zdarzyć. Mógł już zwiać. Zostawiłem na miejscu Kudelskiego. Po cichu. Jutro załatwię ekipę obserwacyjną. W każdym razie od tej chwili wiążemy Södergrena ze Strzęboszem i napadem. Oficjalnie.

- A co z moją sprawą? - zapytał Michalczyk.

- No właśnie. - Krugły zmarszczył brwi, odsuwając talerz. - Trzeba zacząć myśleć, jak to powiązać z tobą. Lament błądzi, głównie za sprawą Ołdakowskiego, który jak zwykle wszystko wie najlepiej. Karol wspominał mi, że przesłuchano już Poraniewską, ale nikomu nie przyszło do głowy, żeby pójść do Kafe Tango. Wspomniałem mu, że jak dla mnie to wszystko pachnie ustawką, zresztą Poraniewska mówiła o tym Ołdakowskiemu wprost, tak jak i mnie wcześniej. Lament zgodził się, ale powiedział też, że to nie oznacza, że jednak nie zabiłeś Garlickiej. Bo jedno nie wyklucza drugiego.

- W sumie ma rację.

- Niewątpliwie. Ale jakby co, wciąż mam filmik z Tanga, świadectwa Rzechulaka i łysych pał z bramki: Pana Klapki i tego drugiego, lwa Alexa. A kiedy zdejmemy obu panów S., wyśpiewają wszystko. Czyż nie tak, panie prokuratorze? - Krugły zerknął na Michalczyka, starając się, by w jego spojrzeniu było to coś, jakaś iskra, która w takich sytuacjach zwykle dodaje otuchy.

Chyba nie do końca mu wyszło, bo Michalczyk zgarbił się lekko, jakby spojrzenie komisarza, zamiast zdjąć z jego barków część ciężaru, dołożyło go jeszcze więcej.

- Trzymam pana za słowo, panie komisarzu. - Prokurator pokręcił głową. - Trzymam za słowo...

## *Środa, 29 maja*

Z samego rana Krugły zaczął organizować ekipę do obserwacji domu Södergrena. Trwało to kilka godzin - pewnych rzeczy nie da się przeskoczyć, komenda to

jednak zbiurokratyzowana bestia i na wszystko trzeba mieć kwity. Podczas krótkiej odprawy, którą naprędce zorganizował u siebie w pokoju, rozdał wydruki ze zdjęciami i wyjaśnił policjantom z obu zmian, czego od nich oczekuje i czego mogą się spodziewać:

- Co prawda to tylko obserwacja, ale spodziewajcie się niespodziewanego. Reagujcie wyłącznie w razie bezpośredniego zagrożenia. Strzębosz nie ma hamulców, działa jak psychopata, nieważne, czy ma przed sobą policjanta czy staruszkę. Przypominam, że najprawdopodobniej wciąż ma przy sobie skradzioną funkcjonariuszowi broń. Ten drugi, Södergren, też może być niebezpieczny. Gdyby coś się działo, informujecie mnie niezwłocznie, radiotelefon mam cały czas na nasłuchu. - Uniósł nasobną motorolę. - Jasne?

Kiedy wreszcie wywiadowcy pojechali do Mierzyna, Krugły zadzwonił do Kudelskiego, żeby zwolnić go z posterunku, oczywiście dyskretnie i dopiero po przyjeździe ekipy z komendy. Czesiek oznajmił, że w nocy i rano nic się nie działo, więc pozwolił sobie nie zawracać Krugłemu dupy. Komisarz uprzejmie podziękował i rozłączył się. Rozejrzał się po pustym już pokoju i stwierdził, że najwyższy czas pojechać do prokuratury i zobaczyć się z Bilskim.

Było południe, kiedy znalazł się wreszcie w budynku prokuratury rejonowej Szczecin-Śródmieście. Jak zwykle nie mógł oprzeć się nastrojowi panującego w nim ducha inercji przyzwyczajień. Krugły nie wiedział dokładnie, dlaczego odczuwa to w taki sposób, zdawał sobie również sprawę z bezpodstawności takiego wrażenia. Lecz gdy tak

na korytarzu mijali go sztywno wyprostowani, wbici w marynarki albo garsonki urzędnicy obu płci, z niemal jednakowo beznamiętnymi minami, odczuwał to właśnie tak, a nie inaczej, i już. Może to wpływ panującego w społeczeństwie przekonania o skostniałości maszyny urzędniczej każdego rodzaju? Również - lub przede wszystkim - prokuratury? A może oni wyglądali tak tylko na korytarzu, a w pokojach robili sobie dowcipy, składali życzenia, sprawdzali Facebooka i pierdzieli w stołki, jak wszyscy inni normalni ludzie? Cholera, w końcu on, jako policjant, też był kimś w rodzaju urzędnika.

Dotarł do właściwego działu śledztw i stanął przed drzwiami z tabliczką: „prok. Krzysztof Bilski, prok. Dorota Wicińska”. Wszedł bez pukania. Bilski siedział przy swoim biurku, a jego koleżanki nie było w pokoju.

- Dzień dobry - przywitał się Krugły.

- Dzień dobry, panie komisarzu - odpowiedział uprzejmie Bilski.

Prokurator Bilski nie wyglądał jak ci na korytarzu. Może właśnie dlatego, że nie był tam, tylko tu? Wyglądał zwyczajnie i zachowywał się zwyczajnie. Krugły usiadł na krześle przed jego biurkiem.

- Mamy przełom w śledztwie - powiedział z entuzjazmem, który w założeniu miał się udzielić Bilskiemu. - Strzębosz był widziany w Mierzynie w okolicy domu jednego ze swoich znajomych.

Jeśli Krugły spodziewał się, nawet podświadomie, że Bilski podskoczy na krześle i zakrzyknie: „Brać go!”, to się przeliczył. Prokurator patrzył na niego wyczekująco i bębnił palcami w blat biurka. Komisarz streścił mu

ustalenia wczorajszego dnia, oczywiście dość ogólnie i bez zbędnych szczegółów.

- Właśnie zaczęliśmy obserwację - oznajmił. - Podejrzewam, że człowiek, u którego się ukrywa, niejaki Andrzej Södergren, jego znajomy, może być również zamieszany w ten napad.

- Ma pan jakieś solidne podstawy, by tak sądzić? - zapytał rzeczowo Bilski.

Krugły właśnie tego się obawiał.

- Tylko podejrzenia - przyznał. - Ale sam fakt ukrywania zbiega nie świadczy dobrze o tym człowieku. Też popełnia przestępstwo i to zagrożone dość wysoką karą.

- A czego pan chce ode mnie?

Krugły spojrział na palce prokuratora, wciąż wystukujące na blacie jakiś rytm. Blurred Lines. Wszędzie to grali, do wyrzygania.

- Gdyby udało się w najbliższym czasie zatrzymać Strzębosza i Södergrena - powiedział komisarz. - Chciałbym wiedzieć, jakie plany miałby pan ewentualnie względem tego drugiego. Bo o Strzębosza nie muszę się chyba martwić?

- A martwi się pan o niego? To cudzoziemiec czy ma tylko takie dziwne nazwisko?

Krugły właśnie zdał sobie sprawę, że Bilski zupełnie nieświadomie dał mu do ręki argument, którego z Michalczykiem dotychczas nie brali pod uwagę. Brawo, panie komisarzu - pomyślał.

- Ma podwójne obywatelstwo, polskie i szwedzkie, ale mieszka w Polsce - wyjaśnił Bilskiemu, widząc swoją

szansę, nawet mimo braku pewności, że jest tak, jak mówi. - Czy się martwię? Cóż, chciałbym po prostu uniknąć sytuacji, gdy po zatrzymaniu okaże się, że muszę go wypuścić po czterdziestu ośmiu godzinach, bo sąd nie wydał nakazu tymczasowego aresztowania. A on wyjedzie sobie do Szwecji. Pomacha nam z rufy promu, z lekką nostalgią wpatrując się w kilwater ze świadomością, że już nigdy do Polski nie wróci...

- Ładnie pan to ujął z tym kilwaterem... Malowniczo. Ale zwracam panu uwagę, że istnieje coś takiego, jak Europejski Nakaz Aresztowania.

Krugły prychnął lekceważąco.

- Sam pan dobrze wie, że żaden kraj nie kwapi się do wydania własnego obywatela wymiarowi sprawiedliwości obcego państwa, prawda? I tu będziemy mieć taką sytuację. A tam, w Szwecji, Södergren będzie u siebie. Zna język, zwyczaje i tak dalej. Ukrywanie się będzie dla niego o wiele łatwiejsze, niż gdyby był obcokrajowcem.

Bilski spojrzał w róg sufitu.

- Myślę, że kwestia obywatelstwa nie ma w tym wypadku znaczenia. Jeśli czyn, który popełnił, jest przestępstwem również w świetle przepisów prawa szwedzkiego, to chyba nie będzie problemu.

Krugły nie mógł mu powiedzieć, że jednak będzie problem. Że to, co powiedział Bilski o ENA, to tylko brzmi tak prosto, z czego prokurator sam pewnie doskonale zdawał sobie sprawę. Poza tym wtedy najprawdopodobniej sprawę przejmie prokurator z obrotu zagranicznego okręgówki, co tylko wszystko niepotrzebnie wydłuży. Nie mógł mu również powiedzieć,



że nie chodzi już wyłącznie o napad, ale również o Michalczyka, który straci szansę udowodnienia Södergrenowi powiązań z zabójstwem Garlickiej, a tym samym oczyszczenia się z zarzutów. Bo ze Strzęboszem mogło być różnie. Krugły znał postępowania przygotowawcze, w których podejrzani pokroju Strzębosza nie odezwali się nawet słowem, podczas późniejszego procesu zresztą również. A szansa, że Södergren pęknie i do wszystkiego się przyzna, była dużo większa.

- Od kiedy trwa obserwacja? - zapytał Bilski. - Dobrze słyszałem; mówił pan, że właśnie zaczęliście?

- Tak. Dziś rano.

- Bardzo świeża sprawa - zdziwił się prokurator. - I już pan z tym do mnie przychodzi? A ten Szwed...

- Södergren.

- ...Södergren. Jakie konkretne poszlaki wskazują na niego jako współsprawcę napadu?

- Jak już przed chwilą wspomniałem, sam fakt, że Strzębosz ukrywa się u niego w domu, może na to wskazywać.

- Może, ale nie musi. Też już o tym wspomniałem, prawda? Ma pan w ogóle pewność, że Strzębosz tam jest?

- Pewności nie mam. - Krugły czuł, jak rośnie mu ciśnienie, bo zdążył się już zorientować, w jakim kierunku zmierza rozmowa. - Po to zarządziłem obserwację...

- No właśnie. - Uśmiech Bilskiego był wciąż bardzo miły. - Pan pozwoli, panie komisarzu, że wszelkie deklaracje dotyczące dalszego postępowania w tym śledztwie będę składał dopiero wtedy, kiedy coś się

wyjaśni. Zwłaszcza że ja je nadzoruję, a pan wykonuje tylko część czynności - nie omieszkał wbić Krugłemu szpili.

Krugły próbował zachować spokój, przynajmniej na zewnątrz. Im, kurwa, nigdy nigdzie się nie spieszy! - myślał, gotując się w środku. Dodatkowo zdał sobie sprawę, że prowokowaniem Södergrena mógł go popchnąć do szybszego podjęcia decyzji o wyjeździe do Szwecji.

Nie miał tu już po co siedzieć. Mógł się przecież tego spodziewać. Tak naprawdę nadzieja Krugłego, że Bilski pójdzie mu na rękę, wynikała wyłącznie z powodu jego emocjonalnego stosunku do sprawy Mateusza. A nie mógł mu wspomnieć o powiązaniu Södergrena ze Strobiszem i o jego dalszych działaniach, które bezpośrednio dotyczyły Michalczyka. Osoba stojąca z boku, taka jak Bilski, trzeźwo i obiektywnie oceniająca sytuację, odbierała ją zupełnie inaczej i Krugłemu nie pozostawało nic innego, jak się z tym pogodzić i dalej robić swoje...

Zniechęcony, zaczął zbierać się do wyjścia, kiedy usłyszał delikatny szum radiotelefonu. On i wywiadowcy mieli własny kanał roboczy, więc przez cały ranek docierały do niego tylko sporadyczne komunikaty, którymi policjanci wymieniali się tam, na miejscu. Wypowiedziane nerwowym tonem słowa jednego z wywiadowców dotarły teraz do Krugłego:

*- Ja dwadzieścia, jedenaście, zgłoś się. - „Jedenaście”* było kryptonimem Krugłego - *Strzał w obiekcie, powtarzam; oddano pojedynczy strzał w obserwowanym obiekcie!*

Krugły wyszarpnął motorolę z wewnętrznej kieszeni kurtki, niemal odrywając materiał od podszewki.

- Dwadzieścia i dwadzieścia jeden, wchodzić! - wrzasnął do radiotelefonu. - Powtarzam: wchodzić! Natychmiast! Tylko ostrożnie!

- *Zrozumiałem. Ja, dwadzieścia - wchodzę!*

- *Dwadzieścia jeden - wchodzę!*

Krugły zerwał się z krzesła i rzucił w stronę drzwi. Otwierając je, odwrócił się jeszcze na chwilę do Bilskiego.

- Tak, to z domu Södergrena - poinformował prokuratora, widząc jego zszokowaną minę. - Rozumiem pańskie wątpliwości sprzed chwili, bo nie ukrywam, też je miałem. I nie wiem, jak pan, ale ja właśnie się ich pozbyłem.

Zostawił Bilskiego z otwartymi ustami za jego biurkiem i ściskając w ręku motorolę, wypadł na korytarz i puścił się sprintem w stronę klatki schodowej. Zbiegając schodami po trzy stopnie naraz, zastanawiał się nad dwiema rzeczami. Kto do kogo strzelił i z jakim skutkiem: Strzębosz do Södergrena czy na odwrót? I która opcja byłaby lepsza dla Michalczyka...?

\* \* \*

Södergren od wczorajszego popołudnia patrzył na Nikolę przez zupełnie inny pryzmat. Choć tylko do pewnego momentu.

Zaimponowała mu swoją reakcją na wizytę policjanta, autentycznie. Opanowana, chłodna, rzeczowa... No i te „sprawy w Niemczech”. Niewiarygodne! Kiedyś

zapropował jej, że zabierze ją ze sobą do Szwecji. Ponieważ panicznie bała się wszystkiego, co pływa po wodzie, postawiła warunek, że pojedą naokoło, łędem. Zrobił to dla niej, objechał kawał świata, nadkładając drogi przez Kopenhagę i most nad Sundem. Wahał się wtedy, ale tak mocno go przekonywała, że aż otarł sobie ptaszka. Jednak było warto! Każdego pieprzonego kilometra w rozgrzanym samochodzie, w samym środku upalnego lata! Gdyby nie to, prawdopodobnie wczoraj zgłupiałaby przy tym domofonie, słysząc słowa gliniarza o sprawdzeniu list pasażerów promów, i nie udałoby się go tak łatwo splawić... A z tym nakazem to pewnie braciszek ją kiedyś uświadomił... Kiedy gliniarz wreszcie odjechał, porwał ją w ramiona i obsypał pocałunkami, wołając: „Jesteś wielka, maleńka, wiesz?”. Jednak ona dziwnie zgaszonym głosem powiedziała tylko, że wie i zamknęła się w łazience. Nie narzucił się jej, zdawał sobie sprawę, że towarzystwo nieboszczyka w garażu może powodować u niej coś w rodzaju depresji.

Gdy entuzjazm z powodu zażegnania niebezpieczeństwa mu minął, na powrót ogarnął go strach. Zażegnanie było chwilowe i wiedział o tym. Tylko jakim cudem policja trafiła do niego, szukając Strzębosza? To nie mógł być przypadek. Najgorszy był zupełny brak kontroli nad tym, co się działo wokół niego. Nie mógł zareagować, bo nie miał pojęcia na co ani w jaki sposób. Kurwa, pierwszy raz w życiu nie wiedział, co robić! Przyszli do niego z powodu Strzębosza, ale jak głęboko się dokopali? Chodziło o napad, z którym on przecież nie miał nic wspólnego? Ktoś widział tego chuja, jak ukrywał się

przy jego domu, i zadzwonił w końcu na policję? Södergren uspokoił się trochę. Mogło tak być... W każdym razie nie było możliwości, by powiązać go z Michalczykiem. Dziwka nie żyła, Strzębosz przestał istnieć, Michalczyk podobno niczego nie pamiętał, bo był nieprzytomny. Mimo to wciąż nurtowały go dziesiątki pytań, na które nie znał odpowiedzi. Jezu...! Czy chodzi o Stobisza? Ktoś odkrył jednak ich nielegalny biznes? Zrobiło mu się gorąco. Nie miał wyjścia. Potrzebował urlopu. Pojedzie do Göteborga, do matki i Svena, przeczekać najgorsze. Nikola zostanie i będzie go informować, co się dzieje. Czy ktoś przychodzi, pyta i tak dalej...

Pobiegł na górę do garderoby, żeby wyciągnąć walizkę i spakować się. Wytargał ją z regału, położył na podłodze w sypialni i otworzył. Najwyraźniej Nikola nie rozpakowała jej do końca po swoim ostatnim wyjeździe. Wyjął ze środka jej stringi, jedną pończochę i grzebień. Nagle coś przykuło jego uwagę. Breloczek. Ładny. Z logo wygrawerowanym laserem. Finlay Pharm Polska. To było logo po liftingu, obowiązywało dopiero od kilku miesięcy, więc to nie mógł być jego gadżet, jeszcze ze starych czasów, który jakimś cudem zaplątał się w walizce. Zamknął oczy i poczuł, jak krew uderza mu do głowy. Wstał z klęczek, ścisnął breloczek, aż kółko zawieszki wygięło się, tracąc swój idealnie okrągły kształt. Zszedł powoli na dół. Nikola siedziała tam gdzie zwykle i robiła to, co zwykle. Wziął do ręki pilota i wyłączył telewizor.

- Co jest? - zapytała zdziwiona.

- Pokaż mi swój telefon, Niki - zażądał.

Jej oczy rozszerzyły się nagle.

- Po co ci? - zapytała, garbiąc się lekko i mrugając.

Wywinięte do góry i pomalowane tuszem gęste rzęsy jak zwykle zatrzepotały, ale tym razem nie kojarzyły się już Södergrenowi ze skrzydłami motyla, tylko z liśćmi muchołówki amerykańskiej.

- Daj mi go albo sam sobie wezmę.

Zobaczył, że Nikola zerka w stronę regału. Był szybszy i znajdował się bliżej. Złapał komórkę, a po chwili musiał o nią walczyć z wściekłą jak rozzłoszczona kotka Nikolą.

- Puszczaj! - wrzasnęła, kiedy ścisnął mocno jej nadgarstek. - Zostaw mnie w spokoju!

Wyrwała mu się i z płaczem pobiegła na górę. Kiedy usłyszał trzaśnięcie drzwi do łazienki, usiadł na kanapie i zaczął wpatrywać się w telefon. Nie był pewien, czy jest gotowy na to, co miał w nim znaleźć. Wziął się w końcu w garść. Wszedł w zakładkę z połączeniami i zaczął je sprawdzać, przypominając sobie, co robił w dni, w których zostały wykonane. I co robiła wtedy Nikola. Dora, Dora, Dora, jakaś Anka, Dora, S. Kurwa, jaki S.? Czy ten, o którym pomyślał, kiedy zobaczył breloczek? Bez zastanowienia wcisnął przycisk nawiązywania połączenia i głośno oddychając przez nos, przyłożył telefon do ucha. Nikt nie odbierał. Już miał się rozłączyć, kiedy usłyszał znajomy głos:

- *Tu Sławomir Jabłoński, nie mogę teraz rozmawiać, wiesz, co robić, jak usłyszysz sygnał...*

Czuł, jak krew odpływa mu z twarzy, jak wysycha mu w ustach, a uczucie niewysłowionej zazdrości rozlewa się odrętwiającym zimnem w jego duszy i po jego ciele. Więc

jednak... Oblizął wargi i dziąsła, próbując równocześnie opanować drżenie rąk. Oto nadeszła chwila, której się tak obawiał. I to w jednym z najgorszych momentów jego życia. Jej zdrada ubodła go podwójnie. Jako mężczyznę i jako partnera. Liczył na nią, liczył, że pomoże mu teraz, w ciężkich chwilach, które przechodził... Okazał się jeleniem. Durniem wystrychniętym na dudka przez głupią kozę. Chwycił się jeszcze ostatniej nadziei, że to pomyłka. Jakiś dziwny zbieg okoliczności, a prawda okaże się banalna i za chwilę będą się oboje z niej śmiać. Będą się tarzać ze śmiechu po podłodze, a potem jak zwykle wylądują na kanapie, a jeszcze później dokończą tarzanie w łóżku. Ta nadzieja wróciła mu siły. Zerwał się z kanapy i pobiegł na górę. Stał przed drzwiami łazienki i delikatnie w nie zapukał. Nic. Cisza.

- Niki? - Zapukał jeszcze raz.

- Czego chcesz? - Jej głos był zduszony wściekłością.

Nie brzmiało to zbyt dobrze. Nadzieja powoli gasła, a macki niepokoju znów ścisnęły jego serce.

- Czy mogę wiedzieć, po co siedem razy dzwoniłaś do Doroty, skoro, jak twierdziłaś, byłaś razem z nią w tym czasie? Mówię o dniu, w którym miałaś pojechać do rodziców, kiedy... Wiesz, o którym dniu mówię, prawda? I po co dzwoniłaś do Sławka? Cztery razy w tym tygodniu? Masz do niego jakiś interes czy co?

- Daj mi święty spokój, rozumiesz?

- Niki! Wyjaśnij mi to, proszę! Zaczynam poważnie się niepokoić!

„Niepokój”. Zdecydowanie nie było to adekwatne określenie stanu, w jakim się znajdował, ale postanowił

być grzeczny. Jeszcze...

- Mam sprawdzić esemesy? - Kątem oka zauważył mignięcie jej cienia w otworach nawiewnych u dołu drzwi.

Czyżby zamierzała wreszcie wyjść i porozmawiać?

- Gównu mnie to obchodzi! - krzyknęła zza drzwi. - Rób, co chcesz! Mam tego dość!

Sama chciała. Oparł się o drzwi i spełnił groźbę. Już pierwsza wiadomość, właśnie od Sławka, pozbawiła go tchu. Czytając ją, czuł w uszach pulsowanie krwi.

*Dzięki, maleńka, było jak zwykle cudownie. To fajnie, że nie zapomnieliśmy siebie i swoich ciał, co?*

Jednak nie będą się tarzać ze śmiechu po podłodze. „Nie zapomnieliśmy swoich ciał...” Jebany poeta dmuchał mu dziewczynę! Nie miał już żadnych wątpliwości, musiały być idiotą, żeby jeszcze się łudzić. Södergren pokręcił głową. Wierzyć mu się nie chciało. Ten pozbawiony ambicji mięczak? Zdziwienie brało nawet górę nad zazdrością.

- To koniec? - zapytał sam siebie cicho, czując, jak drżą mu kolana.

Nigdy nie spodziewał się, że będzie to aż tak przeżywał.

- Tak, z nami koniec - usłyszał zza drzwi Nikołę.

Jej głos był zdecydowany, ale brzmiała w nim również jakaś nuta złośliwości. To wzbudziło w nim w końcu odruch buntu.



- Nie, to nie koniec! - wrzasnęła, tracąc nad sobą panowanie i waląc telefonem w drzwi łazienki. - Nie po tym, co dla ciebie zrobiłem. Nie pozwolę ci zrobić tego w ten sposób, rozumiesz? Nie pozwolę, szmato! Rozumiesz, kurwa!?! Nie-po-zwo-łę!!! A na pewno nie z nim!

Zamek zachrobotał, drzwi się uchylily, zamiatając pod ścianę elementy połamanej obudowy i baterię telefonu. Nikola wyszła z łazienki, a on poczuł mrowienie na karku. Widok, jaki zobaczył, był dla niego totalnie abstrakcyjny.

- Co takiego dla mnie zrobiłeś, Anders? - zapytała, stając w otwartych na oścież drzwiach.

Odruchowo cofnął się kilka kroków.

- Skąd... masz... pistolet? - wydusił z siebie, kiedy pierwsze zaskoczenie minęło.

- A jak myślisz? - Jej uśmiech był równie zimny, jak głos.

W drobnej dłoni broń wyglądała monstrualnie, widać było, że jej cięży, nienaturalnie wyginając nadgarstek.

- Był pod kanapą - wyjaśniła, żeby rozwiać wszelkie wątpliwości. - Ale pan Södergren nie skala przecież swoich rączek sprzątnieniem, więc skąd miałby wiedzieć, że tam jest?

W jej głosie słyszał teraz triumfalną nutę, jakby była dumna ze swojej przewagi.

- Ten kutas miał go jednak ze sobą, tak? - zapytał cicho i spojrzał w sufit.

Nagle ogarnął go jakiś dziwny spokój. Uczucie ulgi, które spływa na człowieka, kiedy wreszcie okazuje się, że nic gorszego nie może go już spotkać.

- Czy wszyscy naokoło muszą mnie okłamywać? - spokojnym, pełnym rezygnacji tonem rzucił pytanie gdzieś w przestrzeń przed sobą. - Najpierw Strzębosz, potem ty, jeszcze ten Sławek... To jakiś spisek? Chcecie mnie, kurwa, wszyscy wykończyć?

Zrobił krok w stronę Nikoli i zdecydowanym ruchem wyciągnął rękę po pistolet.

- Oddaj mi to. To nie jest zabawka dla kobiet. Oddaj mi to i spierdalaj sobie do niego. Niech biedny dupek łudzi się, że będziesz z nim, bo go kochasz. Tak jak ja się łudziłem. Ty nikogo nie kochasz. Nikogo i niczego prócz forsy.

- Przyganiał kocioł garnkowi, co? - Patrzyła na niego nienawistnie.

Nagle, w tej jednej chwili, Södergren nabrał pewności, że to, co ich łączyło, z jej strony nie było nawet nicią sympatii ani przywiązaniem. To po prostu wyrachowanie, zimne wyrachowanie, nic więcej. Zacisnął zęby.

- Oddaj mi to wreszcie - warknął.

- Bo co? Bo co mi zrobisz? - Wycelowała w jego pierś. - I nie waż się więcej na mnie krzyczeć.

Odruchowo odwrócił się bokiem i zasłonił twarz dłonią, jakby to w razie czego mogło mu w jakikolwiek sposób pomóc.

- Zobaczysz, to się źle skończy, jeśli tego zaraz nie odłożysz! Nie rozumiesz, idiotko? - syknął, usiłując nie wybuchnąć.

Opuściła broń i spojrzała na niego, przekrzywiając głowę.

- Właśnie. Ty myślisz, zawsze myślałeś, że jestem słodką idiotką, co? - Nonszalanckim ruchem zatknęła pistolet za pasek dżinsów, na brzuchu. - Że wszystkie moje atuty są poniżej szyi... A to ty jesteś idiotą, Anders. Niby taki inteligentny, a dajesz zrobić z siebie wała każdemu. Mnie. Sławkowi. Nawet takiej debilnej świni jak Strzębosz... Więc informuję cię, że to koniec. Mam dość ciebie i twoich wiecznych problemów. Ty ze wszystkimi masz problem, wszyscy dla ciebie są głupimi mięczakami, tylko ty jesteś najlepszy, wiesz? Nawet twoja wiecznie nadęta mina świadczy o tym twoim przekonaniu. A tu proszę, okazuje się, że jednak nie jesteś najlepszy... To koniec, Anders - powtórzyła. - Sam sobie narobiłeś kłopotów z policją, to teraz sam je sobie rozwiązuj. Mnie do tego nie mieszaj, kryminalisto!

Ruszył ku niej, a ona w tym samym momencie, nagłym ruchem wyszarpnęła pistolet z za paska. Lufa znów celowała prosto w niego, tym razem w twarz.

- Szybka jestem, nie? I zręczna! Nie tylko w robieniu laski, jak się okazuje! Zdziwiony jesteś, Anders, co? Powiedz, jesteś zdziwiony?

Pokręcił głową, nie wiedząc, co robić ani co powiedzieć. Przyznać jej rację dla świętego spokoju czy odwrócić się i odejść, nie mając pewności, co jej strzeli do tej ślicznej, pustej główki. Stała przed nim na ugiętych nogach, trzymając broń przy biodrze jak kowboj ze starego westernu.

- Jesteś zdziwiony - wycodziła z satysfakcją - widać to po tobie. Zdziwiony jak cholera.

Wyprostowała się i znów włożyła pistolet za pasek. Wystrzał był potwornie głośny, jego suchy huk jeszcze przez kilka długich sekund brzmiał boleśnie w uszach Södergrena. Otworzył usta do krzyku, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Patrzyli sobie w twarze, dopóki Nikola nie osunęła się na podłogę. Przypadł do niej z sercem ściśniętym strachem. Siedziała oparta o ścianę, ogromne szare oczy, wciąż wytrzeszczone, patrzyły na mokrą od krwi nogawkę rozszarpanych na udzie dżinsów. Rana była ogromna, blisko krocza; jasnoczerwona plama tętniczej krwi powiększała się w zastraszającym tempie. Södergren, widząc to, zdawał sobie sprawę, że nie opanuje krwotoku, choćby dokonywał cudów.

- Boże, Niki, coś ty narobiła? Coś ty narobiła...? - szeptał do niej, niezdolny do zrobienia czegokolwiek poza objęciem jej.

Dyszała spazmatycznie. Jej usta, bladonie i drżące, szeptały wciąż to samo:

- Pogotowie, pogotowie, pogotowie... Wez... pogo... towie wez...

Krew wypływała z rozerwanej tętnicy, znacząc granatowy materiał spodni i podłogę, a każdy, coraz słabszy skurcz serca wyrzucał przez ranę kolejną jej porcję. Niki była w szoku, jej rozbiegane oczy spoglądały po kątach, lecz mózg nie odbierał obrazów, które widziały.

- Zimno... m... mi... - wyszeptała, gałki oczu wywróciły się, ukazując białka, a głowa opadła do przodu. Po kilkunastu sekundach drgnęła lekko, a jej płytki oddech się zatrzymał. Czas stanął w miejscu. Södergren siedział, przytulając martwe ciało Nikoli, i wył, zaciskając powieki,

zęby i dłonie w geście bezsilności. Trwało to minutę. Głuchy okrzyk, dochodzący gdzieś z zewnątrz domu, dotarł do niego z dużym opóźnieniem. Ochłonął, nagle i niespodziewanie, kiedy uświadomił sobie, niemal jednocześnie, dwie rzeczy: kto krzyczał na dole i że to koniec. Jego koniec.

Miał w domu dwa trupy. Siedział cały zakrwawiony z jednym z nich w objęciach. Drugi właśnie wyłaził spod ziemi w garażu. Bez względu na to, co zrobi czy powie, nic już go nie uratuje. Serce zatrzepotało mu w piersi, kiedy doszedł go następny okrzyk. Był dużo głośniejszy, poprzedzony strzałem i hukiem wyważanych drzwi.

- Policja, nie ruszać się!

Weszli do środka i zaraz go dostaną.

Koniec.

To słowo odbijało się echem w umyśle Södergrena. Koniec, koniec, kurwa, koniec, koniec, jebany KONIEC!!! Nie zdawał sobie sprawy, że mamrocze pod nosem. Koniec z karierą, wyjazdami, restauracjami, ruchaniem, Nikołą, domem, dobrymi papierosami. Zamiast tego kraty, syf, śmiertelna nuda i schyłanie się po mydło pod prysznicem. Kilkanaście czy kilkadziesiąt lat rozwleczonych w wieczność.

Koniec gry. Dotarł do miejsca, w którym nie miał już żadnego pola manewru. Totalna porażka. Szach i mat...

Wziął do ręki leżący między nim a stygnącym ciałem Nikoli pistolet. Popatrzył na niego i na swoją trzęsącą się dłoń, usmarowaną krwią i kurczowo zaciśniętą na rękojeści. Kiedy usłyszał pierwszy krok na dolnym biegu schodów, bez zastanowienia przyłożył lufę do skroni.

Przełknął ślinę, czując chłód metalu na skórze. Znów ogarnął go ten dziwny spokój. Świadomość, że zaraz będzie po wszystkim i już niczym nie będzie się musiał przejmować, rozlała się w jego duszy jak balsam kojący ból. Jak to wszystko w ogóle mogło się stać? – pomyślał ze zdziwieniem, zamknął oczy i nacisnął język spustowy. Tuż przed tym usłyszał czyjś wściekły wrzask:

- Rzuć to!!!

Krzyk spowodował, że głowa odruchowo drgnęła, a obciążona bronią ręka lekko obsunęła się w dół. Ból wywołany hukiem był w pierwszej chwili mocniejszy niż ten od rany. Södergren poczuł, jak jego usta wypełniają się krwią, masą krwi, a cała twarz pali, jak oblana żrącym kwasem. Osunął się na podłogę. Nie widział, jak przypada do niego jeden z policjantów, wykopując mu broń z ręki. Leżał na boku i patrzył na Nikolę. Chciał się do niej uśmiechnąć, żeby chociaż spróbować wynagrodzić jej to, co się stało, ale nie dał rady. Miał wrażenie, że już nie ma czym się uśmiechać. „Nawet zabić się nie potrafisz, nieudaczniku” – mówiły jej martwe oczy, wpatrujące się w niego oskarżycielsko spod półprzymkniętych powiek.

Zamknął więc swoje, a potem stracił przytomność...

\* \* \*

Kiedy Krugły dotarł do Mierzyna pod dom Andersa Södergrena, na miejscu była już karetka pogotowia i srebrny karawan z przedsiębiorstwa pogrzebowego. Krugłego nawet nie zdziwiła jego obecność, układy takich

firm z pogotowiarzami to, jak mawiał Berdak, tajemnica poliszynszyla.

Mała uliczka była pozostawiana samochodami, więc Krugły zaparkował w jej połowie, tuż obok posesji, której strzegł Frankie. Komisarz wiedział już, że nie żyje kobieta, a Södergren w stanie bardzo ciężkim został odwieziony do szpitala. Jadąc do Mierzyna, Krugły mijał się nawet z wiozącą go na sygnale karetką. Strzębosza nie było w środku i to było najgorsze. Jeśli Södergren umrze, Strzębosz pozostanie jedyną osobą, mogącą świadczyć na korzyść Michalczyka. Na pewno nie będzie tak uprzejmy i nie zechce, ale Krugły liczył na jego głupotę, upór prokuratora i możliwości laboratorium kryminalistycznego.

Grubas z Frankiem rozpoznali go z okna swojego domu i facet pomachał do niego wolną ręką. Frankie wisiał mu pod pachą drugiej. Krugły odmachął im odruchowo i pobiegł w stronę domu Södergrena. Przecisnął się przez mały tłumek sąsiadów zgromadzony przy płocie i mignął stojącemu przy furtce policjantowi swoją odznaką. Posterunkowy odsunął się, robiąc mu miejsce. Krugły przeszedł krótkim chodnikiem do otwartych na oścież drzwi wejściowych. Wewnątrz zobaczył tylko wywiadowców, ekipa kryminalistyczna była już w drodze, zaraz miał też przyjechać Bilski.

- Na górze. - Jeden z policjantów wskazał schody. - Jatka...

Krugły zobaczył w salonie pracowników zakładu pogrzebowego, obok czekały już nosze i rozpostarty na nich worek na zwłoki.

- Po chuj ich tu wpuściliście? - burknął do policjantów.  
Jeden z nich wzruszył ramionami.

- Wszystko stało się na górze, więc nic nie zepsują.  
Poza tym sami weszli, jak poszliśmy rozejrzeć się po domu...

- Nie weszli, tylko wlecieli - dodał drugi. - Jak sępy.

Krugły minął stojących z kamiennymi twarzami panów w ciemnych garniturach i poszedł na górę. Jeden z wywiadowców ruszył po chwili za nim.

Na podłodze krótkiego korytarzyka leżało ciało młodej kobiety. Musiała być ładna, jednak teraz jej rysy zniekształciła śmierć. Biała jak alabaster, okolona ciemnymi lokami twarz zastygła w wyrazie zmęczenia. Dziewczyna leżała na wznak, podbródek miała lekko opadnięty, przez co usta, z których już nigdy nie wydobydzie się ten seksowny głos, delikatnie rozchyłały się, ukazując równe, białe zęby. Zza półprzymkniętych powiek wyzierały oczy o pustym spojrzeniu wodnistych tęczówek. Śmierć zabrała piękno, została tylko cielesna powłoka. Jej bezruch i to przerażająco smutne spojrzenie bez życia robiły na Krugłym przygnębiające wrażenie. Wokół było mnóstwo krwi, której skład chemiczny, wynikająca z niego konsystencja i specyficzna barwa potęgują wrażenie ilości, nawet gdy w rzeczywistości jest ona niewielka. Tu, na miejscu zdarzenia wyglądało to, jakby ktoś chlusnął nią na podłogę z wiadra. Nieregularne plamy, rozmazane ślady stóp i rąk, przesiąknięta czerwienią biała bluzka - dziewczyna wyglądała, jakby ktoś niedbale owinął jej ciało flagą narodową.

- Mówiłem, że jatka - mruknął wywiadowca.



Krugły skinął głową. Po chwili dostrzegł leżący w kącie pistolet. Walther. Taki sam jak Berdaka. Teoretycznie mógł zadzwonić do Jarka i spytać go o numer jego broni, ale żeby go porównać, musiałby podnieść walthera z podłogi. A nie chciał psuć roboty technikom. Jednak jeśli ten egzemplarz leżący na podłodze faktycznie należał do Berdaka, Krugły z niemal całkowitą pewnością mógł założyć, że Strzębosz tu był.

- Jak to się stało? - zapytał krótko wywiadowców.

- Usłyszeliśmy huk i w zasadzie nie mieliśmy wątpliwości, że to strzał. Jak już weszliśmy, ten dupek leżał przy zabitej dziewczynie i przystawiał sobie pistolet do skroni. Kiedy krzyknąłem: „rzuć broń”, wypalił. Kiepsko wycelował, bo przestrzelił sobie głowę pod okiem... - wskazał kość jarzmową - i szczękę.

- Co mówił lekarz, jak go zabierali? O jego szansach?

- Niewiele. Nie wiedział dokładnie, jakie urazy spowodował pocisk, powiedział, że to wyjdzie na tomografii. W każdym razie facet był nieprzytomny.

- Nikogo więcej przy tym nie było?

Wywiadowca pokręcił głową.

- Przeszukaliśmy chatę. Pusto, tylko ta dwójka...

Krugły w zamyśleniu potarł kąciki ust. Czyżby jednak Strzębosz zniknął? Nagle usłyszeli z dołu jakieś hałasy. Zeszli na parter. Do domu weszli właśnie technicy i prokurator Bilski, który dotarł niemal w tym samym czasie. Krugły przywitał się z nim.

- Ma pan, czego chciał - powiedział ponuro Bilski.

- Na pewno nie tego. - Krugły wskazał schody i zrelacjonował przebieg zdarzeń.

Technicy bez zwłoki zabrali się do pracy. Bilski poszedł z nimi na górę zobaczyć miejsce zbrodni, a Krugły usiadł na kanapie w salonie i zaczął wpatrywać się w okno. Gdzie ten pieprzony Strzębosz? - myślał. - Czy to możliwe, że jednak nie miał z tym nic wspólnego?

Kiedy Bilski wrócił na dół, rozejrzał się po salonie i usiadł ciężko obok Krugłego.

- No, słucham. - Popatrzył na niego uważnie.

- Powiedziałem panu wszystko w prokuraturze. - Krugły na razie nie zamierzał wtajemniczać go w szczegóły swojego prywatnego śledztwa, nie bez konsultacji z Michalczykiem. - Jedną z moich hipotez zakładała, że Södergren był współnikiem Strzębosza i razem dokonali napadu na konwój na Kolumba. Znali się dość dobrze, a przynajmniej takie wnioski można wyciągnąć z pewnych materiałów, którymi dysponuję...

- Czegoś tu nie rozumiem - przerwał mu Bilski, marszcząc brwi. - A dlaczego ja nimi nie dysponuję?

Krugły spojrzał na niego.

- Nie zdążyliśmy ich panu przekazać, sam pan widział, że wszystko wydarzyło się tak szybko...

- Powiedzmy, że na razie mi wystarczy to wyjaśnienie.

- Spodziewa się pan, że później będzie inne? - zdziwił się Krugły.

- Proszę kontynuować - polecił zimno Bilski.

Krugły uśmiechnął się lekko.

- Podczas wykonywania czynności operacyjno-rozpoznawczych okazało się, że Strzębosz był widziany na

ulicy Jarzębinowej przez sąsiada Södergrena. To było w dniu jego głośnej ucieczki z sądu.

- Rozumiem, że wszystko jest starannie udokumentowane?

Brwi Krugłego niemal dotknęły linii gęstych włosów, a skórę czoła przecięły głębokie, poziome bruzdy.

- Chce pan to sprawdzić w notatnikach służbowych funkcjonariuszy przydzielonych do tego zadania? - zapytał, wskazując za siebie na przysłuchujących się rozmowie wywiadowców. - Teraz?

Bilski zacisnął usta w wąską linię, a policjanci z kamiennymi twarzami niemal jednocześnie sięgnęli do kieszeni kurtek.

- Dobrze, i co dalej? - zapytał prokurator, udając, że nie widzi, jak robią sobie z niego jaja.

Krugły wzruszył ramionami.

- Sam pan widzi, co dalej...

- Kim jest denatka?

- Nie wiem jeszcze, zaraz spytam sąsiada, jest tu taki jeden dobrze poinformowany. - Krugły ciepło pomyślał o Frankiem. - Najprawdopodobniej to ona była osobą podającą się za opiekunkę domu podczas nieobecności Södergrena. Pewnie jego dziewczyna, inaczej by nie skłamała. - Widząc pytający wzrok Bilskiego, wyjaśnił: - Kiedy byłem tu wczoraj, twierdziła, że Södergrena nie ma na miejscu, bo wyjechał do Szwecji i nie wiadomo, kiedy wróci.

- A gdzie jest Strzębosz?

Krugły milczał.

- No dobrze. - Bilski westchnął. - Zobaczymy, co tam słycać na górze.

Poszedł znów na piętro. Krugły został sam, zastanawiając się, dlaczego Bilski po prostu nie zrobi jednej rzeczy do końca, tylko miota się po domu jak chomik w za ciasnej klatce, postawionej w nieznanym mu miejscu. Siedział na kanapie i w milczeniu zastanawiał się, co dalej. Musiał ustalić dokładnie, kim była martwa dziewczyna, ale chwilowo stracił zapał do pracy. Drgnął, kiedy podszedł do niego jeden z techników. W dłoni w lateksowej rękawiczce trzymał oświetlacz kryminalistyczny.

- Pan zejdzie z kanapy, panie komisarzu - poprosił, podnosząc lampę. - Jeszcze kurtkę pan sobie pobrudzi...

Krugły, zaskoczony, obejrzał się za siebie. Domyślił się, że to żart, choć, jak się właśnie okazało, nie do końca. Na oparciu i siedzisku kanapy zobaczył plamy. Dzięki promieniowaniu ultrafioletowemu niewidoczne gołym okiem ślady krwi fosforyzowały delikatną niebieskawą poświatą, lekko migoczącą w takt ruchów ręki technika. Najmocniejsze ślady widać było w szwach i zagłębieniach między poszczególnymi segmentami siedziska. Kolejne, choć o wiele słabsze, Krugły zobaczył na dębowych deskach podłogi, a w zasadzie w szparach pomiędzy nimi.

- Dobra lampa, nawet nie trzeba robić zaciemnienia. - Technik wyszczerzył zęby z dumą, popukując delikatnie w niebieskie szkieleko filtra. - Kupili nam niedawno, za unijne - pochwalił się.

Krugły poderwał się z kanapy i podszedł do drzwi prowadzących na taras i ogród. Wyszedł na zewnątrz

i z bijącym sercem zaczął przypatrywać się trawnikowi.

Ogród nie był duży, ale zadbane. Na jego obrzeżach, wzdłuż płotu, rosły krzewy i małe drzewka, a ziemia pomiędzy nimi wysypana była sosnową korą. Ogrodowa huśtawka w rogu zachęcała do odpoczynku w cieniu jej płóciennego zadaszania. Trawnik był starannie wypielęgnowany, najprawdopodobniej kładziony z rolki i nie było na nim żadnego śladu, który mógłby świadczyć o tym, że ktoś skalał go ostrzem szpadla. Gówno – pomyślał Krugły zniechęcony. Wrócił do domu i zaczął przypatrywać się podłodze i kanapie, które w dziennym świetle były najczystsze w świecie. To nie były ślady małego krwotoku z nosa czy jakiegoś drobnego skaleczenia, lecz pozostałości zmytych wielkich plam krwi. Wyjaśnienie ich obecności nasuwało się samo. Tylko gdzie było ciało, z którego wyciekły? No i z czyjego?

Kiedy Krugły stał tak zamyślony, nagle podszedł do niego Bilski.

- Cóż, panie komisarzu, róbcie, co trzeba, ja wracam do siebie. Wciąż liczę na przekazanie pełnych materiałów dotyczących śledztwa. - Wyciągnął palec w stronę komisarza i pokiwał nim ostrzegawczo. - Nie wymiga się pan.

Krugły popatrzył za nim i zacisnął zęby. Kiedy Bilski wyszedł, odczekał chwilę i ruszył za nim, żeby spotkać się z właścicielem Frankiego. Mógł, oczywiście, porozmawiać z którymkolwiek ze zgromadzonych przed domem sąsiadów i od nich dowiedzieć się tego, czego chciał, ale nie miał ochoty na pogawędki z rozentuzjasmowanymi sensatami. Frankie był oczywiście zachwycony wizytą

Krugłego, jego pan również, ale jedynym jej efektem było ustalenie tożsamości zabitej dziewczyny. Nikola Sandecka, partnerka pana Södergrena. Niczego więcej grubas nie powiedział, Strzębosza nie widział od tamtego czwartku i nie miał pojęcia, co stało się godzinę temu, trzy domy dalej, dopóki nie uświadomili mu tego telefonicznie bardziej dociekliwi sąsiedzi. On za dociekliwego się nie uważał, o czym raczył Krugłego poinformować z niejaką dumą. Faktycznie, nie zjawił się pod płotem Södergrena, zwiertrzywszy sensację. W odruchu wdzięczności Krugły zdecydował się podrapać Frankiego za uchem. Było mięciutkie i całkiem miłe w dotyku, podobnie jak jęzor, którym psisko chlasnęło komisarza po wierzchu dłoni, korzystając z okazji.

Kiedy Krugły wrócił na miejsce zdarzenia, tłumek przed furtką zaczynał rzednąć – widać gapie zaspokoili już swą niezdrową ciekawość, nasycając się atmosferą ludzkiego nieszczęścia i ciesząc się, że nie było udziałem ich, tylko kogoś innego. Komisarz zaczął bez celu szwendać się po domu Södergrena. Obejrzał meble, książki, po zezwoleniu technika skorzystał z toalety. Kiedy wszedł do garażu, wymacał kontakt i pomieszczenie zalało mocne, białe światło jarzeniówek. Samochodu nie było, czarne volvo wciąż stało na podjeździe. Mały warsztacik w kącie był czysty i uporządkowany, jakby nikt nigdy z niego nie korzystał. Na ścianie, na haczykach wisiały narzędzia ogrodowe, rower i łopata do śniegu. Krugły poczuł nagle, że jego stopa stoi jakoś krzywo. Spojrzał pod nogi i jego uwagę zwróciło dziwne wybrzuszenie na środku posadzki. Stał na nim i czuł, jak jedna płytką

wyraźnie rusza mu się pod podeszwą buta. Serce zaczęło mu bić szybciej, a podejrzenia, które dopadły go na kanapie po badaniu technika, przybrały na sile. Zawołał jednego z policjantów i pokazał mu dziwny pagórek. Technik spojrział na niego znacząco i zabrał się do roboty. Krugły patrzył, jak stuka młotkiem w pękające z głuchym trzaskiem płytki i wydłubuje spomiędzy nich spoinę. Betonowa wylewka pod spodem była również spękana, ale technika kosztowało trochę pracy, by pogruchotać ją kawałki, które następnie wyciągał i odkładał starannie na bok, jakby były jakimś cennym znaleziskiem. Pochłonięty robotą, swoją nieco denerwującą starannością przypominał Schliemanna w ruinach Troi.

Tymczasem zapowiedź tego, co Krugły spodziewał się znaleźć pod posadzką, wypełzła z ziemi w postaci dziwnego, drażniącego smrodu. Komisarz w myślach popędzał technika, który marszcząc nos, ostrożnie, szpachelką wybierał grudy ziemi. Po kwadransie i wykopaniu prawie półmetrowego dołka zdecydował się wreszcie na użycie szpadla. Kopał ostrożnie, odkładając ziemię na pryzmę obok, a smród robił się coraz bardziej dokuczliwy. Nagle łopata odsłoniła coś białego. Technik odłożył ją i z powrotem wziął do ręki szpachelkę. Klęknął nad dołem i powstrzymując odruch wymiotny, odsłonił dalszy fragment znaleziska, które okazało się kawałkiem folii. Wyjął z aluminiowej walizki kryminalistycznej tapicerski nożyk i ostrożnym ruchem wykonał nacięcie. Smród buchnął z całą siłą. Krugły rzucił się do wiszącej pod stropem plastikowej obudowy z przyciskami do otwierania segmentowej bramy garażu i po chwili brama

podjechała do góry, litościwie wpuszczając do środka świeże powietrze. Komisarz i technik z ulgą wyszli na zewnątrz, niemal prosto pod ciekawskie spojrzenia kilku najwytrwalszych sąsiadów. Czarne volvo pozwoliło uniknąć niezdrowej sensacji, jednak już po chwili przy uchylonej bramie pojawiły się granatowe kurtyny z napisami POLICJA - OGŁĘDZINY.

Kiedy do garażu dało się już wejść, technik dokończył dzieła, odkopując zwłoki. Krugły patrzył na leżący w dole biały, podłużny pakunek, otoczony lekko wilgotną ziemią i przeklinając los, powtarzał w myślach, niczym zakłęcie: „Kurwa, tylko nie on, tylko nie on...”. Jeden z techników powiększył nacięcie w folii i odwinął ją. Zgodnie z przewidywaniami zgromadzonym ukazały się ludzkie zwłoki, a konkretnie nagi fragment tułowia i ramienia. Skóra była zsiniała, zaczynała się rozkładać, w odsłoniętych fragmentach tkanki, do których przy zdejmowaniu folii wsypało się trochę ziemi, widać było małe czerwce. Krugły zorientował się, że niektóre z plam widocznych na ramieniu wcale nie były skutkiem rozkładu. Ich regularny kształt jednoznacznie wskazywał na pochodzenie.

Tatuaż.

Potwierdziły się jego najgorsze przypuszczenia. Oto życie pisało dla Michalczyka czarny scenariusz.

Komisarz zamknął oczy i choć nie wierzył w Boga, zaczął się do Niego gorąco modlić, by w swej niezmierzonej łasce zrobił coś dla Mateusza i zachował Andrzeja Södergrena przy życiu. I to bynajmniej nie w stanie wegetatywnym. A potem wyciągnął telefon,



wyszedł przed garaż i oczyszczając płuca i nos z trupiego smrodu, zadzwonił do Bilskiego.

- Panie prokuratorze - rzucił sucho, gdy tamten odebrał. - Niech pan wraca na miejsce. Odnalazł się Strzębosz... Najprawdopodobniej Strzębosz... Nie, nie potwierdził, że to on, ale nie dlatego, że ma zwyczaj podawać się za kogoś innego... Obawiam się, że on już nigdy niczego nie potwierdzi...

### *Czwartek, 30 maja, Boże Ciało*

Michalczyk siedział przy stole i spuszczoną głowę podpierał pięściami. Ewa z Krugłym wpatrywali się w niego z powagą.

- Mam przesrane, Robert. Jestem w czarnej dupie. Już po mnie. Koniec - mamrotał prokurator.

- Dramatyzujesz, Mateusz...

- Tak? - Michalczyk podniósł głowę, wypuszczając ją z uścisku swoich pięści. - To jakie teraz widzisz wyjście?

Krugły chrząknął.

- Jeszcze nie wszystko stracone. Södergren żyje...

- Ale nie mówi!!! Jest w śpiączce!

- No, jeszcze nie mówi - przyznał Krugły - ale kiedyś zacznie... W końcu to tylko śpiączka farmakologiczna.

- Wychodzę, kochani - oświadczył nagle Michalczyk, prostując się na krześle. - Nie dam rady dłużej. Nie jest mi u was źle, ale sami rozumiecie... Ujawniam się i mam w dupie, co ze mną będzie.

- A Mikołaj? - zapytała cicho Ewa.

Michalczyk uspokoił się, oklapł na krzesło i westchnął.

- Co robimy? - Popatrzył ciężko na Krugłego. - Ma pan jakieś sugestie, panie komisarzu?

Krugły założył ręce za głowę i spojrzał na ścianę nad głową Michalczyka.

- Po pierwsze, napiszesz oświadczenie, które wyślesz do prokuratury. Będzie w nim wszystko, co ustaliliśmy przez te kilkanaście dni. Plus film z Kafe Tango i zeznanie Poraniewskiej. Przeszukanie domu Södergrena ujawniło tyle, że już się nie wywinie. Ani z Sandeckiej, ani ze Strzębosza, jego uczestnictwo w napadzie też jest już prawie pewne... Osobnym wątkiem jest afera Strobisza. Jest udupiony na amen.

- Tylko Garlicka wciąż obciąża mnie, a nie jego, co?

- Bramkarz z Tanga widział wtedy Södergrena. To ważna poszlaka. Gosia potwierdzi obecność flunitrazepamu w twojej krwi...

- Robert. - Michalczyk pokręcił głową, a uśmiech, który wykwitł na jego twarzy, wcale jej nie rozjaśnił - To tyle co nic, rozumiesz? Prawdopodobieństwo, że komuś się będzie chciało to wszystko wyjaśniać, jest znikome. Znikome! Powiązanie ze sobą faktów, o których wspominałeś, tylko w teorii jest proste. Nasze śledztwo to czyste domysły, tak naprawdę poparte niezbyt przekonującymi dowodami. Oplukanie mnie z tego gówna zajmie tygodnie, miesiące! I to przy dobrej woli moich kolegów. A jak pomyślę, że śledztwo prowadzi Ołdakowski... Kurwa! I tak mnie wsadzą! Nawet gdy wreszcie zostanę oczyszczony z zarzutów, to będę skończony jako prokurator.

- O ile wiem, ukrywanie się przed wymiarem sprawiedliwości nie jest przestępstwem - powiedział Krugły.

- Nieważne. To i tak koniec mojej kariery. Napisanie oświadczenia nic mi nie da. Mam je wysłać i dalej się ukrywać, czekając na reakcję prokuratury? To znaczy na całkowite wyjaśnienie sprawy? Tak czy siak, będę się musiał ujawnić, żeby odpowiedzieć na pytania. Więc i tak mnie wsadzą. Tylko na jak długo? A dwa z tych pytań, na które będę zmuszony odpowiedzieć, będą brzmieć: „Skąd ma pan to zeznanie i film?” oraz „Gdzie się pan długo i skutecznie przed nami ukrywał, panie Michalczyk?”. Co mam odpowiedzieć?

Krugły wzruszył ramionami.

- Najważniejsze, że w ogóle masz ten film i zeznanie. A gdzie się ukrywałeś? A tu i tam. W lesie. Jadłeś jagody i grzyby czy co się tam zbiera w maju, łowiłeś ryby w jeziorach, piekłeś ziemniaki w ognisku, dobrzy ludzie cię dokarmiali. Jeździłeś stopem po Polsce, kradłeś jedzenie... Nie, to nie najlepsze...

Michalczyk kiwał smętnie głową.

- Jacy ludzie, jakie miejsca? Nazwiska, nazwy miejscowości... Złapią mnie na kłamstwie po kilku minutach, a to nie będzie o mnie dobrze świadczyć w kontekście szczerości intencji. Nic z tego. Pozostaje wciągnąć w to ukrywanie mamę albo ciotkę.

- Mamy na pewno nie - stwierdziła zdecydowanie Ewa.  
- Jeśli będzie za to musiała odpowiedzieć karnie, kto zajmie się Mikołajem?

- To nie działa w przypadku najbliższych osób. A ciotka ma swoje życie, w dodatku jest chora, dlaczego miałbym jej to życie łamać? - Michalczyk zamilkł i z zaskoczeniem spojrział na Krugłego i Ewę. - Wygląda na to, że właśnie spierdoliłem życie wam... Bo ukrywanie osoby ściganej za popełnienie przestępstwa jest przestępstwem. - Wycelował w Krugłego palec.

Krugły wpatrywał się w blat stołu z zagadkowym wyrazem twarzy.

- Podobno nigdy nie jest tak źle, żeby nie mogło być gorzej. Nawet gdy jesteś na dnie, to zawsze znajdzie się ktoś, kto zapuka w nie od spodu. Tak mówią.

- Puk, puk, panie komisarzu - powiedział Michalczyk. - Puk, puk...

### *Piątek, 31 maja*

Po południu, kiedy Michalczyk, pracowicie klepiąc w klawiaturę, kończył pisanie oświadczenia dla prokuratury, do Krugłego zadzwonił Karol Lament.

- Byłem w Kafe Tango - powiedział.

- To dobrze - odparł Krugły.

- Masz ten film? Bo ten łysy z klubu, co cię pozdrawia i przypomina o jakichś punktach, już go skasował.

- Mam - odpowiedział Krugły po chwili milczenia. - I on też ma, na swojej poczcie, w folderze „wysłane”, jako załącznik. Nieważne. Czy to zostaje między nami?

- Czemu mi nie powiedziałaś?

- A jak myślisz? Ale zwróć uwagę, że delikatnie cię naprowadzałem...

- Chyba zbyt delikatnie. Michalczyk kontaktował się z tobą przez ten cały czas, co?

Krugły nie odpowiedział, tylko włączył tryb głośnomówiący.

- Podobno miał się u ciebie ukrywać? - dociekał Lament, a Michalczyk podniósł głowę znad komputera. - Takie krążyły plotki po firmie.

- Taaa... - mruknął Krugły. - Przylatywał helikopterem z Klewek na weekendy i święta. To co?

- Co co?

- Zostaje między nami?

Krugły usłyszał w słuchawce ciężkie westchnienie.

- Zostaje. Prześlij mi ten film na prywatną pocztę.

- Okej. A co tam słyhać w sprawie?

- Ołdakowski powoli przekonuje się do wersji o wrobieniu Michalczyka przez Södergrena i Strzębosza. Wątek Strobisza zostaje również objęty tym postępowaniem. Poza tym pojawiły się nowe dowody w sprawie zabójstwa Garlickiej. Zlecono już ekspertyzy, ale one chyba tylko potwierdzą nasze przypuszczenia. Södergren się nie wywinie, chyba że nie przeżyje i tak jak Strzębosz będzie się tłumaczył na sądzie ostatecznym. Sprawdzamy jeszcze wątek napadu, jutro pogadamy oficjalnie na naradzie u Bińka czy łączymy śledztwa. Jak następnym razem Michalczyk przyleci do ciebie na weekend, to powiedz mu, że może już wyleźć ze swojej nory.

- Dostanie list żelazny?

- Co ty? Mnie o takie rzeczy pytasz? Gadaj z Ołdakowskim. I z sądem.

- Podejrzewam, że bez listu nie wylezie. - Krugły zerknął na Michalczyka. - Ja bym nie wylaźł...

- Przekonaj go. To chyba będzie można traktować jako gest świadczący o jego niewinności.

- Wiesz, jakie gesty będzie musiał wykonywać, kiedy go od razu potem zamkną? Nie wspominając o bolesnej utracie niewinności pod wspólnym prysznicem?

- Jego decyzja. - Lament zawiesił na chwilę głos. - Wiesz, że możesz mieć kłopoty?

- Wiem.

- Spore.

- Też wiem.

- No dobra. Nie zawracam ci głowy. Pewnie Michalczyk już się zbiera do drogi i niedługo wyląduje u ciebie... Trzymaj się i nie zapomnij mi wysłać filmu. Na razie.

- Cześć.

- List żelazny? - Michalczyk roześmiał się, kiedy Krugły odłożył telefon. - Co ja jestem Gołota? Listy wydaje się ściganym przebywającym za granicą.

- A nie mógłbyś się ukrywać w Niemczech? To rozwiązałyby nasz problem.

- Gdzie w Niemczech? U kogo? Pamiętasz, co ci mówiłem wczoraj?

- Pamiętam... Więc?

- Mógłbym wystąpić o zmianę środka zapobiegawczego...

- Ale?

- Ale „świnka morska”. Lokalne wcielenie Waltera Sobchaka.

- Możesz z nim przecież pogadać.

- Ja? Ja nie mogę. Ja się ukrywam.

- To co, ja mam z nim pogadać?

- Tak. Ma u ciebie dług wdzięczności, bo nie pociągnęłaś dalej tej sprawy z naruszeniem miru domowego.

Krugły zastanawiał się przez chwilę.

- Gość budzi we mnie odrazę i powoduje reakcję alergiczną. Palce mi się zwierają w pięści - westchnął, oglądając swoje dłonie. - Nie wiem, czy dam radę...

- Dasz, dasz - uspokoił go Michalczyk i wskazał oczami leżący na stole telefon. - Dzwon.

Krugły spojrział na zegarek.

- Jest piątek, po piętnastej. Dziś już niczego nie załatwimy.

- Kurwa. - Michalczyk westchnął teatralnie. - Kolejny rozkoszny weekend we troje, pewnie jesteście zachwyceni... Wyślijmy chociaż to oświadczenie kurierem.

- Wskazał laptop. - Niech Ołdakowski przeczyta to w poniedziałek z samego rana.

- Spokojnie - mruknął Krugły. - Ewa podrzuci mu to do prokuratury po weekendzie. Powie, że przyszło na adres twojej mamy...

*Poniedziałek, 3 czerwca*

Krugły miał tego dnia wolne. Kiedy zjedli z Michalczykiem śniadanie, komisarz znalazł na stronie internetowej prokuratury numer telefonu do Ołdakowskiego i do niego zadzwonił. Kiedy tamten odebrał, włączył tryb głośnomówiący.

- Dzień dobry, panie prokuratorze. Jak się pan dziś miewa? - Krugły postanowił być uprzejmy. Mimo wszystko.

Ołdakowski odczytał chyba tę uprzejmość niejednoznacznie.

- Dzień dobry - odburknął tonem dziesięciolatka, którego koledzy postawili na bramce, bo nosi okulary. - Słucham pana, panie komisarzu.

- Dzwonię w sprawie pana Michalczyka.

- Domyślam się.

- Nie wątpię. - Krugły zerknął na Michalczyka, który krzywiąc się niemiłosiernie, objął dłońmi garść powietrza przed sobą i z emfatycznym zacięciem wykonał na nim gest duszenia, poprawiając mu jeszcze z kolana.

- Co ma pan do powiedzenia? - zapytał Ołdakowski i komisarz gdzieś w tle usłyszał skrzypienie jego fotela.

Pajac zapewne wygodnie rozsiadł się w nim, w dodatku zakładając nogi na biurko, Krugły niemal widział to oczyma wyobraźni.

- Czytał pan oświadczenie pana Michalczyka?

- Owszem. Dostałem je rano.

- W związku z faktem, że pan Michalczyk okazuje się niewinny zarzucanych mu czynów, czy w razie ujawnienia się grozi mu pobyt w areszcie? - zapytał.



- Zaraz, zaraz, nie tak szybko! W tej sprawie nie ma na razie nic pewnego, panie komisarzu. Jeszcze nie okazał się niewinny. Film z monitoringu można odczytać na różne sposoby, niekoniecznie tak, jak to opisał prokurator Michalczyk. Dowodów na zawartość w jego krwi środka psychotropowego też nie ma. Gdzie on niby zrobił to badanie? To tylko słowa...

- Ale przytoczone w oświadczeniu zeznanie Poraniewskiej pokrywa się z tym, które złożyła przed panem, prawda? Była mowa o wynajęciu Garlickiej do uwiedzenia Michalczyka? Była. Poszlaki układają się w logiczny ciąg, musi pan to przyznać?

- Zgadza się. Tylko że wciąż trwają czynności wyjaśniające, a ta wersja jest zaledwie jedną z hipotez.

- Zdaję sobie sprawę. Ale z tego co wiem, bardzo prawdopodobną?

- A skąd pan to wie? - zainteresował się prokurator.

Z dupy - pomyślał Krugły, a głośno powiedział:

- Niech pan pomyśli, skąd ja to mogę wiedzieć? Przecież nie z gazet? No, umówmy się, w końcu jest pan inteligentnym facetem...

Krugły uznał, że może sobie pozwolić na swobodniejszy ton rozmowy. Znów uruchomił wyobraźnię i zobaczył trybiki pracujące w głowie Ołdakowskiego: „Robi ze mnie wała, czy zdał sobie wreszcie sprawę z tego, że jednak jestem inteligentny...?”.

- Więc jak? - zapytał niewinnie komisarz. - Prawdopodobną czy nie?

- Jak na razie, tak. - Ołdakowskiego kosztowało wiele trudu, żeby to z siebie wydusić: - Jest to dość

prawdopodobne.

- Zatem nic mu nie grozi?

- Co ma pan na myśli?

- Pytam, czy istnieje możliwość zmiany środka zapobiegawczego wobec pana Michalczyka. Żeby mógł wreszcie wrócić do domu, syna i matki, do wyjaśnienia sprawy pozostając na wolności?

- Co to, jakieś negocjacje, panie komisarzu?! - zawołał Ołdakowski. - Pan mi chce stawiać warunki? Adwokatem jego pan jest czy co? Niech najpierw się zgłosi do prokuratury!

Krugły westchnął ciężko, kręcąc głową. Niereformowalny typ.

- Właśnie to usiłuję ustalić. Czy kiedy się zgłosi, zostanie aresztowany?

Ołdakowski westchnął.

- Sprawa jest niezwykle skomplikowana, panie komisarzu. Ja mu nie dam gwarancji zmiany środka, bo nie ode mnie zależy ta decyzja.

Krugłemu wydało się, że w głosie prokuratora słyszy jakieś nutki człowieczeństwa.

- Ale to pan będzie o tym rozmawiał z przełożonymi? W końcu pan prowadzi postępowanie.

- Owszem - odparł, znów sucho i urzędowo.

- Pan Michalczyk jest przedstawicielem wymiaru sprawiedliwości. W jego poukładane życie wlaź z buciorami jakiś skurwiel, wywracając mu je do góry nogami, tak że już nigdy nie wróci do normy. Rozumie pan to? Urzędnik stojący na straży prawa zostaje oskarżony

o brutalne morderstwo, grozi mu aresztowanie i pobyt w więzieniu za coś, czego nie zrobił, więc decyduje się na desperacki krok i ukrywa się, próbując wyjaśnić sprawę we własnym zakresie. - Krugły zawiesił na chwilę głos, żeby zwiększyć napięcie. - A teraz niech pan sobie wyobrazi, że to pan jest na jego miejscu...

Michalczyk w milczeniu obrzucił Krugłego spojrzeniem pełnym uznania. Ale Ołdakowski milczał.

- Jak to we własnym zakresie? - zapytał z zaskoczeniem po chwili zastanowienia. - Od wyjaśnienia sprawy jesteśmy my.

Krugły zacisnął zęby. Tępak niczego nie zrozumiał. Brak empatii, buta czy totalne zidiocenie?

- Gdzie byłoby pana śledztwo, gdyby nie ustalenia, które poczynił Michalczyk? - zapytał kąśliwie.

- Sam poczynił? Siedząc w kryjówce? - Ołdakowski prychnął. - Więc jednak pan mu pomagał, panie komisarzu? To po to był pan u Poraniewskiej... Czyżby pan właśnie przyznał się do ukrywania przestępcy?

Krugły żuł przez chwilę dolną wargę, czując, jak krew uderza mu do głowy.

- Chuj ci w dupę - wycedził i rozłączył się.

Spojrzał na Michalczyka, potem na trzymany w zaciśniętej dłoni telefon i pokręcił głową ze zdumieniem.

- Wyprowadził mnie z równowagi, no. Kurwa, dałem mu się sprowokować... Mówiłem ci, że mam na typa alergię. - Odłożył komórkę na stół, pociągnął nosem i westchnął. - Co teraz?

Michalczyk skrzywił się lekko.

- Nie przejmuj się. I tak nieźle się trzymałeś, ja bym mu wygarnął dużo wcześniej.

- Marne pocieszenie. Więc co teraz?

- Zadzwoń do Sielickiej.

- Kto to?

- Naczelniczka Wydziału Postępowania Sądowego. Jest blisko z szefem.

- Szefem?

- Prokuratorem okręgowym.

- Blisko?

- Przyjaźnią się.

- Tylko przyjaźnią?

- Nie sypiają ze sobą, jeśli o to ci chodzi.

- Skąd wiesz?

- Szef jest żonaty.

- To jeszcze niczego nie oznacza... A ona? Ma męża?

- Nie ma. Ale to nie ma znaczenia.

- Fakt. Ale pewności nie masz.

Michalczyk lekko poczerwieniał.

- To ja z nią sypiam - bąknął. - Od czasu do czasu. Więc wiem o niej więcej, niż myślisz.

- Ożeż ty, casanovo... - mruknął z podziwem Krugły, obrzucając Michalczyka niemal zalotnym spojrzeniem. - Zaczynam się bać tego pytona w twoich spodniach...

- Spadaj. Jest sympatyczna, ładna i przeważnie samotna. Jak na czterdzieści pięć plus fantastycznie się trzyma. To chyba możemy się zabawić we dwoje, od czasu do czasu, no nie?

- Oczywiście, proszę. Przecież ja nic... Zadzwonisz, i co?

- Poproszę ją o poręczenie jako osoby publicznej, godnej zaufania.

- Zrobi to?

- Myślę, że tak. Zwłaszcza teraz, kiedy wszystko się wyjaśnia. - Spojrzał na Krugłego. - Jestem wykończony psychicznie, Robert. Nawet jeśli okaże się, że nici z tej zmiany, ujawnię się. Podjąłem już decyzję, obgadałem to z mamą. Wytrzyma jeszcze trochę, mam nadzieję, że Mikołaj też. Choć nie mam wątpliwości, że cała ta sytuacja spowodowała u niego regres. Tyle pracy włożonej w jego rehabilitację, i co? I za to najbardziej nienawidzę tego jebanego Södergrena. Nie chodzi o mnie, teoretycznie musiałem być świadomy ryzyka swojego zawodu. Ale tego, że to wszystko dotknęło moje dziecko, nigdy mu nie wybaczę. Nigdy, rozumiesz?

Krugły skinął poważnie głową. Nie miał pojęcia, co czuje Michalczyk w związku ze swoim synem, bo nie mógł mieć, ale chyba jednak wołał już swoje kłopoty. Był świadomy jak cholera, że też będzie je miał.

- Robert... - zaczął Michalczyk i przełknął ślinę - ja... Chciałem wam podziękować. Za wszystko. Nawet nie wiem, jak to powiedzieć...

- Tylko mi się tu nie rozklejaj. Ostatnio zauważyłem, że jak widzę czyjeś łzy, to też mi się robi miękko w gardle. Starość...

- Nie spłycaj ważnego momentu, dobra?

- Jak zwykle dramatyzujesz. - Krugły uśmiechnął się kącikiem ust.

- Nie. Nie tym razem. Twoje życie też się zmieniło. Poniesiesz konsekwencje. A zrobiłeś to wszystko dla obcego człowieka...

- No, nie takiego obcego. I nie zapominaj też o idei, że tak powiem. Gdybyś zabił Garlicką, nie miałbym najmniejszych oporów, żeby wydać cię moim kolegom. Po prostu nie mogłem dopuścić, żeby udupili niewinnego człowieka.

Michalczyk popatrzył na niego z lekką kpina.

- A jakby z tym samym problemem przyszedł do ciebie Ołdakowski? - zapytał.

- Nie mówmy o skrajnościach. - Krugły skrzywił się z obrzydzeniem. - Daj już spokój, proszę cię. Traktujmy kwestię podziękowań i wdzięczności jako załatwioną.

Poszedł do kuchni po piwo, a kiedy wrócił, usiedli przy stole i zaczęli planować następne ruchy. Byli już poważni. Śmiertelnie poważni. W końcu od tego, co wymyślą, zależała ich przyszłość. I nie tylko ich...

## *Środa, 5 czerwca*

Nadkomisarz Robert Krugły siedział w gabinecie komendanta wojewódzkiego i całkiem serio zastanawiał się, co będzie robił w życiu, kiedy go już wypieprzą z policji. Skończy jako ochroniarz w supermarkecie? Konwojent? Stróż na budowie?

Tkwiał w przyciasnym krześle, wbity pomiędzy równie twarde jak siedzisko podłokietniki, uwięziony między ścianą, stołem konferencyjnym i swoim bezpośrednim przełożonym. Spoglądał na rząd pucharów, statuetek

i innych pamiątek z policyjnych zawodów sportowych, stojących w idealnie równym szeregu na krawędzi najwyższych półek szaf aktowych. Przetłoczenie pośrodku siedziska, które w założeniu miało łagodnie wpasowywać się w anatomiczny kształt tylnych części ciała, gniotło Krugłego w kość ogonową. Komisarz wiercił się na krześle, jakby podgryzały go mrówki albo coś gorszego. Ponure myśli walczyły w nim z nadzieją na pozytywne zakończenie całej sprawy. Brak awansu? Przeniesienie? Nagana? Wyznaczenie na niższe stanowisko, obniżenie stopnia? Ostrzeżenie o niepełnej przydatności do służby? Katalog kar był spory, możliwości wiele. Zupełnie nie wiedział, czego może się spodziewać. O wydaleniu ze służby w policji wolał już nie myśleć...

Komendant Gasik przestał wreszcie dreptać po swoim gabinecie i stanął po drugiej stronie stołu, patrząc na Krugłego i Bińka.

- Ile lat pan pracuje, panie komisarzu? - Tubalny głos wydobył się z jego gardła.

Kurwa - pomyślał Krugły, przeczuwając, do czego zmierza Gasik. Czyżby za chwilę miała paść delikatna sugestia o przejściu na emeryturę?

- Prawie osiemnaście, panie komendancie.

- Znudziła się panu praca w policji? W prywatnego detektywa pan się bawi czy co? Funkcjonariusz pionu kryminalnego, z takimi osiągnięciami... - Komendant pokręcił głową. - Co ja mam z panem zrobić, co?

Wypuść mnie stąd, a potem daj podwyżkę - pomyślał Krugły, wciąż milcząc. Zdawał sobie sprawę, że Gasika nie interesuje żadna odpowiedź.

- Spodziewa się pan, że uwierzę, że Michalczyk ukrywał się u ciotki na wsi? W składziku, kurwa, na ziemniaki? Jaja sobie robicie? - Gasik poklepał się po kieszeni marynarki, sprawdzając, czy paczka papierosów tkwi w niej bezpiecznie.

- Ciocia prokuratora Michalczyka jest osobą o lekkim stopniu niepełnosprawności intelektualnej, panie komendancie. Przeżyła kiedyś zatrucie tlenkiem węgla, ledwo ją odratowano... Nie zdawała sobie nawet sprawy z tego, co się dzieje. - Krugły wcielał w życie ustalony z Michalczykiem plan. - Była przekonana, że on codziennie przyjeżdża do niej na obiad. Nie wiedziała, że przez cały czas chowa się w tej szopie z tyłu domu.

- A co pan zrobił tej swojej sąsiadce, że nagle nie może sobie przypomnieć, kiedy dokładnie widziała Michalczyka u pana w mieszkaniu?

- Nie w mieszkaniu, panie komendancie. Była akurat na klatce schodowej, kiedy w drzwiach dawałem Michalczykowi pieniądze - sprostował Krugły.

Ledwo opanował się przed podrapaniem po nosie. Swędział, jak cholera. Rósł, psiakrew, czy co?

- Pani Małgorzata Bogacka faktycznie anonimowo zgłosiła na policji obecność Michalczyka u mnie w domu, ale to była błędna interpretacja faktów. Myślała, że właśnie go wpuszczam do siebie. Skojarzyłem, że przechodziła wtedy w niedzielę rano i widziała nas razem, więc domyśliłem się, że to ona dzwoniła. - Krugły wzruszył ramionami, nie wspominając, że nic jej nie musiał robić, po prostu ładnie poprosił o małe, niewinne kłamstewko. - A teraz na moją prośbę sprostowała swoje



zeznania... Jak się okazało, nie była nawet pewna, czy to była ta krytyczna niedziela, czy może dzień wcześniej. Bo Mateusz odwiedził mnie też w sobotę... – Odchrząknął, bo zaschło mu w gardle.

Trudno przełamać wpojona od wczesnego dzieciństwa niechęć do kłamstwa, pomijając fakt, że teraz to jechał po bandzie.

– Jakie to wszystko nagle proste, co? – rzucił Gasik z kpiną w oczach.

Biniek cały czas milczał.

– Okoliczności sprzysięgły się przeciwko mnie, panie komendancie – wyznał Krugły z rozbijającą szczerością.

– Wiem, wiele wskazuje na to, że faktycznie mogłem być w posiadaniu wiedzy, gdzie znajduje się poszukiwany, a nawet wręcz go ukrywać...

– Pan skończy z tym bełkotem – przerwał mu Gasik. – Takim językiem to pan może do kamery gadać. Ukrywał pan go czy nie?

– Nie.

Gasik znów podjął wędrówkę po gabinecie.

– I nie wiedział pan, gdzie przebywa?

– Nie.

– Ale kontaktował się z panem?

– Tak. Namawiałem go do ujawnienia się, próbowałem dowiedzieć się, gdzie jest, ale nie dał sobie pomóc. Prosił tylko o sprawdzenie kilku rzeczy. Więc sprawdziłem. I jak się okazało, to był strzał w dziesiątkę...

– Czytałem to jego oświadczenie, które wysłał do prokuratury – mruknął Gasik i przy kolejnym nawrocie

zapytał nagle: - Jak się z panem kontaktował?

- Przez telefon.

Gasik łypnął na Krugłego.

- To jest do sprawdzenia... - mruknął.

- Zgadza się. - Krugły był pewny swego.

Gdy przekaże telefon Strzębosza i ten, który kupił mamie Mateusza, i sprawdzą billingi i logowania do BTS-ów, dowiedzą się, że połączenia między jego mieszkaniem a domem ciotki w Niekłończycy zostały faktycznie zarejestrowane. Matka z Mikołajem byli tam niemal przez cały ten czas. Ale przecież nie dojdą, kto z kim rozmawiał. On z Michalczykiem, jak twierdził, czy Michalczyk z mamą, jak było naprawdę.

- Przyjmuję pana słowa za dobrą monetę. - Gasik zatrzymał się przy oknie i wyjrzał przez nie na rozgrzebany plac budowy, którym obecnie był plac Solidarności. - Niech pan się modli, żeby nagle się nie okazało, że są dowody na to, że pan mnie jednak okłamał. Na razie zostawiamy tę sprawę. Teraz porozmawiamy o tym sprawdzeniu paru rzeczy, o które prosił pana Michalczyk...

Odwrócił się do Krugłego i Bińka, zakładając ręce do tyłu.

- Nieprzekazanie kolegom ustaleń, jakie pan poczynił, znacznie opóźniło śledztwo w sprawie Garlickiej. Pomijając fakt, że metody, jakie pan stosował podczas swojego prywatnego dochodzenia, są niedopuszczalne. Powiązanie Strzębosza z tym Södergrenem było majstersztykiem, przyznaję, ale potem spierdolił pan sprawę koncertowo. Zamiast działać, pan czekał nie

wiadomo na co, co zaskutkowało śmiercią tej dziewczyny. W dodatku zaryzykował pan życie funkcjonariuszy obserwujących dom tego tam... Szweda, wydając im bezprawnie polecenie wejścia do środka, zamiast poczekać na wsparcie...

- Nie mogłem tego przewidzieć, panie komendancie - bąknął Krugły, próbując się bronić i równocześnie czując, jak ogarnia go wściekłość. - Zastosowane środki były adekwatne do sytuacji, tak uważam - powiedział, kończąc w myślach: A jak nie było cię na miejscu i nie wiesz, jak było naprawdę, to się, kurwa, nie mądrz!

- To wszystko kwalifikuje się jako przewinienie, w dodatku zawinione. - Gasik jakby go nie słyszał, ale spojrzał na niego z jakąś troską w oczach. - Nie mogę tego tak zostawić, bo to byłoby, że tak powiem, niewychowawcze, ponadto w jakiś sposób sankcjonowałyby takie działania w przyszłości. A tego bym nie chciał. Dlatego właśnie zamierzam wszczęć wobec pana postępowanie dyscyplinarne, panie komisarzu. Ono rozstrzygnie skalę przewinienia. Ja wiem, że pewne rzeczy przemawiają na pana korzyść, *in dubio pro reo* i tak dalej, ale o tym zdecyduje rzecznik. To wszystko na razie, panu dziękuję, inspektor Biniek jeszcze u mnie zostanie.

Krugły wstał, Biniek wyszedł z za stołu, żeby zrobić mu miejsce. Komisarz skinął obu głową na pożegnanie, cicho wyszedł z gabinetu komendanta i wrócił do siebie. Usiadł za swoim biurkiem i wpatrywał się w ciemny monitor.

Kurwa, na filmach żaden z detektywów, który znalazł się w podobnej sytuacji, nie przejmował się takim

rzeczami. Wszyscy mieli to w dupie, bo wiedzieli, że to oni mają rację. I byli z tego dumni, a widzowie razem z nimi. Tylko że ani racja, ani duma nie są czymś, za co można zrobić zakupy albo opłacić rachunki.

Krugły drgnął, kiedy otworzyły się drzwi. Do pokoju zajrzał Karol Lament.

- Jak? - zapytał krótko.

- Chujowo - odparł komisarz smętnym tonem.

Lament uszanował to, równie smętnie pokiwał głową i zniknął za drzwiami, zostawiając go samego. Krugły spojrzął po chwili na zegarek. Dochodziła szesnasta. Wstał i poszedł do domu, zastanawiając się po drodze, czy już powiedzieć Ewie, czy jeszcze trochę poczekać...

## *Później*

Anders Södergren siedział na twardym, wytartym setkami tyłków krześle i patrzył na człowieka znajdującego się naprzeciw niego. Tam, po drugiej stronie biurka, na wygodnym, obrotowym fotelu siedział jego przeciwnik. Prokurator był w średnim wieku, miał nijaki wygląd, ale Södergren już nie oceniał ludzi po ich wyglądzie czy zachowaniu.

Może Niki miała rację? - myślał, masując nadgarstki pod stalowymi obręczami kajdanek. - Może naprawdę za bardzo skupiałem się na powierzchowności przeciwnika, zamiast zagłębić się w to, kim jest? Może brak mi tego „czegoś”, co innym pozwala przeświecić drugiego człowieka na wylot?

Odebrał dobrą lekcję. Ale przecież nie jest złym człowiekiem. Nie jest potworem, pozbawionym ludzkich cech. Po prostu w którymś momencie przekroczył pewną granicę. Nie wiedział w którym, nie wiedział, gdzie przebiegała... Wiedział tylko, że była bardzo cienka. Tak cienka, że aż niewidzialna. A potem znalazł się na równi pochyłej, po której stoczył się wbrew swojej woli.

Prawnik uświadomił mu, że ma do wyboru tylko dwie możliwości. Wyrok za zabójstwo Nikoli, być może usprawiedliwione okolicznościami, takimi jak na przykład wzburzenie. Od dwunastu do dwudziestu pięciu lat. Góra osiem, jeśli będzie konsekwentny i jakimś cudem przekona prokuratora, że to naprawdę był nieszczęśliwy wypadek. To jedno. Jeśli jakimś cudem udowodni mu zabójstwo Strzębosza, prawdopodobnie dostanie dożywocie bez prawa ubiegania się o przedterminowe zwolnienie. Ewentualnie takie prawo nabędzie po trzydziestu, czterdziestu latach odsiadki. Zarzuty obejmowały także zabójstwo Strobisza, co w ogóle uważał za absurd i nieporozumienie. Nie ma mowy, nawet nie wniosą przeciw niemu aktu oskarżenia ani w sprawie Strobisza, ani Strzębosza. Musiał walczyć, by uratować chociaż kawałek swego życia. Ma dopiero trzydzieści siedem lat i jeśli sprawy ułożą się pomyślnie, to przy dobrym sprawowaniu ma szansę być wolnym niedługo po czterdziestce. Jedyne osoby, które mogłyby go obciążyć, nie żyły, a przecież wątpliwości zawsze należało rozstrzygnąć na korzyść oskarżonego. Czekala go walka, ale nie beznadziejna. Tam, w domu, miał chwilę słabości, to prawda, ale już się pozbierał. Dostosuje się do nowej

sytuacji i będzie walczył. Wraca do gry. W końcu twardy z niego zawodnik, do cholery, czyż nie?

Przesłuchanie trwało już kilkanaście minut, lecz jak na razie polegało niemal wyłącznie na przeglądaniu papierów przez prokuratora. Södergren był zmęczony. Szpitalem. Aresztem. Oстрыm, białym światłem jarzeniówek, panującą w pomieszczeniu duchotą, siedzeniem na niewygodnym krześle i obecnością prokuratora. Miał dość. Rana na policzku pulsowała bólem, wciąż nie mógł się przyzwyczać do braku połowy zębów w górnej szczęce i blizn na języku i podniebieniu. Pocisk ominął wszystkie ważne miejsca – mózg, oczy, tętnicę szyjną – lekarze w szpitalu nazywali go podobno niezwykłym farciarzem.

Siedział skupiony naprzeciw prokuratora, na twarz przywołał wyraz szczerości, a w mimice i mowie ciała starał się zastosować wszystkie triki, jakich nauczył się przez lata pracy. Wiedział, że ma do tego dar, przychodziło mu to naturalnie i bez trudu.

- Nikola to był wypadek, mówiłem już, sam nie wiem, jak do niego doszło. Szczerze mówiąc, niewiele z całego zdarzenia pamiętam – powiedział.

Przypomniał sobie jej gasnące oczy i bladą twarz. Laureatka nagrody Darwina – pomyślał bez krzty współczucia dla niej. Ono już dawno zniknęło, teraz współczuł jedynie sobie.

- Wypadek? – zapytał prokurator.

Södergren westchnął.

- Nie rozmawia pan z idiotą. Jestem po studiach medycznych, miałem zajęcia z medycyny sądowej. Dobrze

wiem, i podejrzewam równie dobrze jak pan, że ciężko jest kogoś zranić w taki sposób. Jest to niemal nieprawdopodobne. To ewidentne samopostrelenie.

- Przyznaję, ma pan trochę racji: może i samopostrelenie, ale nie ewidentne. To rozstrzygną dopiero ekspertyzy. Taka rana może także powstać w przypadku szarpaniny, panie Södergren. Może pani Sandecka się broniła, pistolet był między wami, upadliście na podłogę i pan wystrzelił? Przypadkiem? - Prokurator lekko zmrużył oczy. - Albo i nie przypadkiem.

- To pan tak mówi. Ja powiedziałem już, jak było.

- Wspomniał pan przecież, że niewiele pamięta... No dobrze, a Strzębosz?

- To nie ja go zabiłem, to Nikola - wychrypiał. - Chciał ją zgwałcić, a potem mnie zabić. Kiedy wróciłem do domu, było już po wszystkim... to znaczy nie zgwałcił jej, nie zdążył, bo go uderzyła. Nie chciała zabijać. Zrobiła to w obronie koniecznej, ja tylko potem pomogłem jej ukryć ciało. Zdawałem sobie sprawę, że popełniam przestępstwo, ale musi mnie pan zrozumieć, zrobiłem to z miłości...

- Zataił pan zbrodnię z miłości do pani Sandeckiej? - zapytał śledczy. - Dziwna ta miłość, skoro kilka dni później pan ją zabił.

- To był wypadek, słucha mnie pan w ogóle? - Södergren podniósł głos. - Kochałem ją, człowieku! Kiedy to się stało, kiedy się postrzeliła, próbowałem popełnić samobójstwo...

- Próba była nieudana, jak widzę.

- Żałuje pan? - Zacisnął zęby, te, które mu zostały. - Wolałby pan, żebym zginął?

- Po prostu stwierdzam fakt, to wszystko. A ta prostytutka? To też... z miłości?

Södergren wyprostował się zdumiony.

- To jakiś żart!? Jaka znowu prostytutka?!

Nawet zgrabnie mu wyszło to zaskoczenie w głosie.

Prokurator wziął do ręki jakieś papiery.

- Renata Garlicka. Przez jakiś czas o jej zabójstwo był podejrzewany pewien prokurator, bo dokonano go w jego mieszkaniu. Później z tą sprawą został powiązany pański kolega, Jacek Strzębosz. To on był także, wspólnie z niezidentyfikowaną, jak do tej pory, osobą sprawcą napadu na ulicy Kolumba. Napadu na konwój z pieniędzmi. Ale na razie odłożmy to na bok. Na razie. Pan Michalczyk, prokurator, który był ścigany za zamordowanie Garlickiej, prowadził wcześniej śledztwo w sprawie zabójstwa biznesmena o nazwisku Strobisz...

Södergren czuł, jak zaczyna się pocić. Musiał teraz być bardzo ostrożny. Bardzo.

- ...I we wszystkich tych sprawach gdzieś tam przewija się to samo nazwisko. Pańskie. Czy to nie wydaje się panu nieco dziwne?

Södergren resztką sił przywołał na twarz uśmiech, którego nie powstydziliby się wytrawny polityk stający przed sejmową komisją śledczą.

- Nie, nie wydaje mi się to dziwne, bo pan się myli. Nie „przewija się” moje nazwisko, jak pan się wyraził, tylko Strzębosza.



- Owszem. Ale pańskie również. - Prokurator spojrział na niego krzywo, nie spodobało mu się to. - Klinika „Medicertum”: pan Södergren.

- A co w tym dziwnego? - zapytał, wzruszając ramionami. - Przecież firma, którą reprezentuję, sprzedała klinice doktora Strobisza urządzenia medyczne, prawda? Więc wiadomo, że musi się tam znaleźć moje nazwisko, skoro ja podpisywałem umowę w imieniu Avunläke.

- Och. - Spojrzenie prokuratora było lekko rozbawione. - To nazwisko pojawia się jeszcze gdzie indziej i to w niezbyt korzystnym świetle...

Södergren uniósł ręce w geście kapitulacji, co przy skutych nadgarstkach wyglądało, jakby się zasłaniał przed ciosem.

- Wiem, co chce pan zasugerować. Zanim zabrnę pan dalej w te bezpodstawne oskarżenia, poinformuję pana, że firma mojej matki jest odrębnym podmiotem prawnym działającym na podstawie przepisów szwedzkiego prawa - powiedział oficjalnym tonem. - Proszę mnie do tego nie mieszać. To jest... To była sprawa między doktorem Strobiszem a nią. Ja nie mam z tym nic wspólnego. Znali się, zanim nawiązałem z nim kontakty handlowe. To wszystko, co mam do powiedzenia na ten temat. Mogę tylko wyrazić ubolewanie, że nieuczciwe praktyki pana Strobisza mogą rzucić cień na dobrą reputację firmy „Agnetha Södergren Handelsföretag”.

- Dobry pan jest! - W oczach prokuratora było autentyczne uznanie. - Słyszałem, że odnosił pan spore

sukcesy zawodowe, teraz już wiem dlaczego. Widział się pan ze Strobiszem w dniu jego śmierci?

- Nie wiem.

- Nie wie pan?

- Nie. Bo nie wiem, kiedy zginął.

- O! - Usta prokuratora były niemal idealnie okrągłe. - A tak się składa, że tego dnia pański telefon logował się do stacji bazowej w pobliżu jego domu na Głębokiem. O godzinie ósmej rano... Co pan na to?

- Nic. Nie wiem, o czym pan mówi - stwierdził, ale wiedział już, o czym mówi prokurator.

- Skoro był tam pański telefon, to jak się domyślam, pan, jako jego właściciel, również? Zwłaszcza że niedaleko miejsca zbrodni zabezpieczono ślady opon pańskiego volvo...

- Kiedy to było, mówi pan?

- Czwartek, drugiego maja.

Södergren poczuł, jak wysycha mu w ustach.

- Byłem u niego - przyznał po chwili, bo nie miał innego wyjścia. - Umówiliśmy się na spacer. Rano, w lesie, niedaleko jego domu.

- Dlaczego nie w domu?

- Nie chciał rozmawiać przy żonie. Trzymał ją z daleka od swoich spraw zawodowych.

- Po co pan się z nim umówił?

- Musieliśmy sobie wyjaśnić parę spraw.

- Jakich?

- Naszych.

- Interesy?

- Owszem.

- Jakie?

- Pan wybaczy, ale to nie pańska sprawa.

- Tak się składa, że moja, panie Södergren. A jeśli widzę, że coś pan przede mną ukrywa, to jakie mogę wyciągnąć z tego wnioski, niech mi pan powie?

Södergren potarł nadgarstkiem nos i skrzywił się mimowolnie, kiedy przejechał sobie po twarzy zimną stalą jednej z obrączek od kajdanek.

- To było spotkanie czysto formalne. Konkrety dotyczące sprawy, w jakiej się spotkaliśmy, są tajemnicą firmową i nie mają nic wspólnego z pańskim śledztwem.

- Pan pozwoli, że to ja będę o tym decydował. Jak się skończyło spotkanie?

Södergren zwiesił ramiona.

- Nie doszliśmy do porozumienia.

- To znaczy?

- To znaczy, że nie doszliśmy do porozumienia - powtórzył.

- Ale ja pytam o moment rozstania.

Södergren milczał.

- Powiedzieliśmy sobie na koniec parę niemiłych rzeczy. Głośno i niezbyt grzecznie. Prawdę mówiąc, byłem wściekły. A on jeszcze bardziej.

- I?

- Co i? - zapytał Södergren zdziwiony.

- I co stało się później?

- Wsiadłem w samochód i wróciłem do siebie. Co mogło się stać?

- Naprawdę, dobry pan jest. - Prokurator pokręcił głową, obrzucając Södergrena spojrzeniem pełnym uznania. - Wygląda pan, jakby naprawdę nie wiedział, co przydarzyło się Strobiszowi.

- To niech mnie pan oświeci, z łaski swojej, bo tak się składa, że naprawdę nie wiem, co mu się przydarzyło - rzucił ostrzejszym tonem. - Wiem tylko, że został zabity.

- Około godziny ósmej trzydzieści w lesie, niedaleko swojego domu, podczas spaceru z psem pan Strobisz został uderzony w głowę kawałkiem betonu, ponosząc śmierć na miejscu. Sprawca zabrał jego telefon komórkowy. Żona Strobisza zeznała, że mąż, wychodząc, wspominał, że ma zamiar się z kimś spotkać. Nasze ustalenia mają wiele wspólnego z pańskimi wyjaśnieniami. Zgadzą się data, czas, okoliczności. No i to, że nie doszłście do porozumienia, jak pan to określił...

Södergren oblizał usta. Ja pierdołę! - pomyślał. - Zmówili się czy co?

- Powtarzam jeszcze raz: byłem tam. To najprawdopodobniej o mnie wspominał żonie. Spotkałem się z nim. Rozmawialiśmy. Nie rozstawaliśmy się w przyjaźni, to prawda, ale to nie oznacza, że go zabiłem! Skończyliśmy rozmowę, wyrzeszczeliśmy sobie kilka rzeczy i zostawiłem go w tym cholernym lesie kwadrans po ósmej! Wygląda na to, że czepia pan się wszystkiego, byle dopasować mnie do swoich fantazji, które zapewne nazwie pan hipotezami śledczymi. Otóż, nie zgadzam się! Bo to są fan-taz-je! - podkreślił z naciskiem, pukając w blat palcami wskazującymi połączonych kajdankami

dłoni. – Nic, poza tymi przypadkowymi okolicznościami, nie wskazuje na mnie jako zabójcę! Ma pan zeznania świadków? Odciski moich palców? Moje włosy? Inne ślady biologiczne na miejscu zbrodni?

– Lubi pan chyba oglądać *CSI*, co?

– Niech pan sobie ze mnie żartuje, bo to nie pora na to! Dziesiątki ludzi chodzi na spacer po lesie. Dlaczego nie czeplił się pan ich, tylko akurat mnie, na litość boską?

– A po co przyszedł pan do gabinetu Strobisza już po jego śmierci?

– O, właśnie! – zawołał. – Dopiero pan Michalczyk poinformował mnie o śmierci Strobisza. Przecież gdybym go zabił, to nie przychodziłbym do niego, prawda? Po co?

Prokurator wzruszył ramionami.

– Nie wiem po co. Dlatego pytam. Może chciał pan coś sobie zabrać?

– Chciałem go przeprosić, to wszystko! Rozumie pan? Tamta rozmowa w lesie potoczyła się inaczej, niż planowałem. Odwiedzając go w pracy, chciałem spróbować naprawić wzajemne relacje. Tak trudno to pojąć?

Śledczy milczał przez chwilę, a potem wziął głęboki oddech – preludium do dalszej części przesłuchania.

– No dobrze. – Ostentacyjnie przewrócił jakąś kartkę papieru na drugą stronę. – Wróćmy do częstego występowania pańskiego nazwiska. Następne: podanie środka psychotropowego panu Michalczykowi na kilka godzin przed zabójstwem Garlickiej w lokalu o nazwie Kafe Tango: tu też pojawia się nazwisko Södergren...

- No chyba pan żartuje! - krzyknął ze świętym oburzeniem, przerywając śledczemu. - Gdzie tam pojawia się moje nazwisko!? Nic nie wiem o żadnym środku!

- Był pan widziany wtedy w Kafe Tango ze Strzęboszem. I to przez kilkoro świadków.

- To, że się znaliśmy i byliśmy widziani razem, jeszcze niczego nie oznacza. Mieliśmy się bawić wspólnie, przyznaję, ale się rozmyśliłem. To jednak nie towarzystwo dla mnie. To był prostak, bydlak i cham. Głupi się urodził i głupi zdechł. Pokłóciliśmy się i poszedłem sobie...

- Strasznie pan kłótniwy - zauważył prokurator.

Södergren jakby go nie słyszał.

- To, że była tam wtedy ta prostytutka i ten prokurator, to czysty przypadek - perorował. - Widocznie Strzęboszowi coś potem odwalilo, niech pan nie pyta co, bo nie wiem. Nie wiem także, co wydarzyło się w lokalu między nimi. W zasadzie skończyłem znajomość z tym panem w tamtej chwili, kiedy rozstaliśmy się przed Kafe Tango... - Wyprostował się i zapytał: - Dlaczego w takim razie śledztwa nie prowadzi pan Michalczyk?

Prokurator oparł się wygodnie na krześle.

- Nie może go prowadzić w związku z podejrzeniem, które na nim ciążyło przez pewien czas. Zasada obiektywności w tym wypadku wyklucza go całkowicie, ponieważ prowadząc śledztwo, absolutnie nie byłby obiektywny. Sam pan chyba rozumie, prawda? - Prokurator uśmiechnął się szeroko. - No. A skoro ja dałem panu informację, to teraz pańska kolej, co pan na to? Taki mały rewanż. Interesuje mnie wizyta Strzębosza w pańskim domu. Zakończona jego nagłą i nieoczekiwaną

śmiercią. Skaczemy tak sobie z tematu na temat, ale muszę sobie to wszystko poukładać, bo sam pan widzi, że trochę to skomplikowane. Więc musi mi pan wybaczyć...

Södergren spojrział na niego ponuro, ale na prokuratorze nie zrobiło to absolutnie żadnego wrażenia.

- Wspomniał pan - spojrział z namysłem w okno - że pani Sandecka uderzyła Strzębosza. Ale jego głowa nie nosi śladów jednego uderzenia, tylko kilkunastu. Został zakatowany na śmierć, tak to wygląda. Pani Sandecka była raczej drobnej postury, no i była kobietą. Szczerze mówiąc, wątpię, żeby była wystarczająco silna, by uderzyć go tyle razy. I to tak mocno.

Wrócił spojrzeniem, jakby nagle dużo bardziej niż widok za oknem interesowała go reakcja przesłuchiwanego. Södergren powoli i głęboko nabrał w płuca powietrza, dając sobie czas na sformułowanie ostrożnej, lecz naturalnej odpowiedzi. Jego mózg pracował na najwyższych obrotach.

- Nie było mnie tam wtedy, powtarzam panu. Wpuściła go Nikola. Nie wiem, po co Strzębosz przylazł. Groził jej i mnie, tak mi później mówiła. Kiedy wróciłem, już nie żył. Poza tym chyba nie wziął pan pod uwagę jednej rzeczy. Strzębosz próbował Nikolę zgwałcić! Zdaje pan sobie sprawę, do czego może być zdolna kobieta w takich okolicznościach, doprowadzona do ostateczności? - Jego wzrok i głos nabrały nagle mocy, jakby to, co mówi z pełnym przekonaniem, było ważną prawdą, którą doświadczony człowiek chce przekazać żółtodziobowi.

- Tak się składa, że zdaję sobie z tego sprawę. - Prokurator uśmiechnął się lekko. - Widziałem to w swojej

pracy wielokrotnie.

- No właśnie. Kiedy już zdołała się Strzęboszowi wyrwać, nie miał szans. I nie żałuję go. To był zły człowiek. Nie miałem pojęcia, co zrobił tej prostytutce, bo z pańskich słów wynika, że to on ją zabił! Nie wiedziałem też, że uczestniczył w napadzie na konwój. A ta pańska teoria o wrobieniu przeze mnie prokuratora Michalczyka to stek wyssanych z palca bzdur. Nie mam z tym nic wspólnego! I powtarzam jeszcze raz, po raz ostatni: nie odpowiadam za czyny Strzębosza! Niech pan to wyraźnie wpisze do protokołu - wskazał podbródkiem leżący na biurku formularz - inaczej go nie podpiszę.

Prokurator wciąż trzymał w ręku plik kartek, jakby ważył je w dłoni. Podniósł je nagle i wpatrując się w Södergrena, zapytał ze zdziwieniem w głosie:

- Naprawdę z moich słów wynika dla pana, że Garlicką zabił Strzębosz? Ja tak powiedziałem? - W szeroko otwartych oczach śledczego oprócz zdziwienia Södergren widział coś niedobrego. Niedobrego dla siebie.

I miał rację.

- W bagażniku pańskiego samochodu znaleziono torbę. Była wciśnięta za koło zapasowe. Wie pan, co się w niej znajdowało? Nie? Kombinezon lakierniczy i gumowe rękawiczki, wszystko pobrudzone krwią. Krwią denatki, tej prostytutki. A w mieszkaniu prokuratora Michalczyka zabezpieczono ślady obuwia. Pańskiego obuwia, panie Södergren. Znaleźliśmy je u pana w domu. Skórzane Ecco numer czterdzieści pięć. Na podeszwach są jeszcze ślady, które rzadko kiedy dają się całkowicie usunąć. Przecież miał pan na studiach zajęcia z medycyny sądowej,



prawda? – Prokurator spojrział na niego z lekką kpiną w oczach. – BPA, mikroślady, pamięta pan coś z tego, oprócz samopozostałości?

W oczach Andersa Södergrena pojawił się wyraz bezbrzeżnego zdumienia. A potem wydał z siebie dźwięk przypominający kwiknięcie, jakby chciał się roześmiać, ale w ostatniej chwili powstrzymał się, widząc niestosowność śmiechu w takiej chwili. Zakrył ręką usta, umilkł i kręcąc głową, zaczął wpatrywać się w zabezpieczone stalową siatką okno. Koniec. Jak, do kurwy nędzy, mógł nie pomyśleć o butach? I czemu po wszystkim nie przejrzał swojego samochodu?

– Coś dużo tych przypadków, panie Södergren. Zarzuty wobec pana zostaną rozszerzone. Później porozmawiamy o trzech znalezionych w pańskim domu banknotach stułotowych. Były w portmonetce pani Sandeckiej. Ich numery seryjne pokrywają się z tymi, które widnieją w rejestrach Pomorskiego Banku Przemysłowo-Gospodarczego. Tak, proszę pana, te banknoty to maleńka część łupu skradzionego podczas napadu na bankowóz kilka tygodni temu...

Södergren zdrętwiał, kiedy przed oczami błysnęło mu wspomnienie śmiesznego portfela, przypominającego kopertę poczty lotniczej. Głupia cipa! – zdążył pomyśleć o Nikoli, kiedy uświadomił sobie, że chytra suka połaściła się na te grosze. Musiała to zrobić, kiedy poszedł na górę po walizkę. Kiedy wrzucał portfel do kanału, nie zwrócił uwagi, że nic już z niego nie wystaje...

– Coś mi się zdaje, że drugi sprawca właśnie został zidentyfikowany, prawda? – Pytanie prokuratora

w obecnej sytuacji było niewątpliwie retoryczne. - Jeśli powie mi pan, gdzie jest reszta pieniędzy, pomoże pan sobie, obiecuję to panu. To będzie znaczna okoliczność łagodząca. A jeśli nie...? Cóż... Dodam jeszcze, że pistolet, z którego zastrzelił pan panią Sandecką, to Walther P99, broń służbowa funkcjonariusza policji, napadniętego przez Strzębosza kilka dni przed jej śmiercią. - Prokurator wzruszył ramionami. - No, chyba że ta broń w pańskim domu to też przypadek... Jak już wspomniałem, dużo tych przypadków, prawda? I dużo pracy przed nami, musimy sobie to wszystko ładnie poukładać. Pewnie będziemy się często spotykać. Ale na pewno trzeba będzie zmienić linię obrony, co? - Głos prokuratora brzmiał, jakby właśnie w przesłuchaniu dokonał się jakiś przełom. I tak w istocie było. Widoczne na twarzy Södergrena zwątpienie było dla niego znakiem do przypuszczenia frontalnego ataku.

- W takim razie uporządkujmy sobie fakty. Zacznijmy od początku, od Strobisza. To jak to naprawdę było? - zapytał już sucho i urzędowo, jakby wszelkie sztuczki z modulowaniem głosu i udawanym współczuciem w oczach nie były już potrzebne.

Södergren siedział zgarbiony, głowę wtulił w ramiona, skute kajdankami ręce wisiały smętnie między kolanami. Jego poza była wyrazem rezygnacji, która jednak kompletnie nie współgrała z niezrozumiałym rozbawieniem w oczach. Spojrzał na prokuratora.

- Jak było naprawdę? - zapytał, może jego, a może sam siebie. - I tak by pan nie uwierzył. Sam w to wszystko nie wierzę...

\* \* \*

Krugły i Michalczyk siedzieli na ławce w parku Grabowskim, owiewał ich ciepły, delikatny, pachnący Odrą i czekoladą wiatr. Spotkali się na zewnątrz, bo Michalczyk jakoś ostatnio wolał przebywać na dworze. Pili piwo, butelki przemyślnie okleili etykietami po coca-coli, ciesząc się przy tym jak dzieciaki. Kiedy ma się takie kłopoty jak oni, trzeba unikać zbędnego ryzyka, nawet najmniejszego.

Błada twarz Michalczyka nabierała kolorów na pełnym słońcu, sińce pod oczami znikwały, przybrał na wadze parę kilo. Wykorzystywał zaległy urlop, szykując się powoli na przejście do jednej z rejonówek w województwie. Wygnanie na prowincję w założeniu przełożonych miało dać mu wytchnienie i spokój, którego podobno po swoich przejściach tak bardzo potrzebował. Jakikolwiek było to założenie, Michalczyk traktował przeniesienie jak to, czym w istocie było, czyli wygnaniem na prowincję. Pewnie chcieli, żeby zszedł im z oczu, mały kłopotcik, z którym nie bardzo było wiadomo, co zrobić.

Losy Krugłego wciąż się ważyły. Postępowanie dyscyplinarne było w toku, prawdę mówiąc, spodziewał się wszystkiego. Z jednej strony wiedział, że jakaś kara go nie minie, ale z drugiej miał cichą nadzieję na orzeczenie o odstąpieniu od ukarania. I, podobnie jak Michalczyk, też był na urlopie, chociaż często bywał w komendzie. Wolał trzymać rękę na pulsie i chyba jednak nie mógł żyć bez pracy.

- W moim mieszkaniu śmierdzi jak w wylęgarni skunksów czy innej fermie norek - rzucił Michalczyk,

chłonąc widok zieleni. – Zostawili tę zakrwawioną pościel na łóżku, na drzwiach były plomby, więc mama nawet nie mogła wejść, żeby przewietrzyć. Będę to musiał jakoś ogarnąć i sprowadzić ją i Mikołaja od ciotki...

Spojrzał na Krugłego i zapytał:

– Słyszałem, że Södergren konsekwentnie nie przyznaje się do zabójstw? Walczy jak lew, a ma o co. Za cztery trupy nie wyjdzie z pierdła do końca życia.

– Dwa – powiedział Krugły.

– Co dwa? – nie zrozumiał Michalczyk.

– Dwa trupy. Strobisz i Garlicka to jednak nie on.

– Żartujesz!? – Michalczyk aż krzyknął ze zdumienia. – Kurwa, przecież... przecież od Strobisza się zaczęło! To po co było to wszystko? Garlicka, Strzębosz, wrobienie mnie? Te wszystkie trupy?

Wstał gwałtownie z ławki i zaczął chodzić koło niej tam i z powrotem, nie spuszczać wzroku z twarzy Krugłego.

– W takim razie kto zatłukł Strobisza? – zapytał cicho. – Skoro nie Södergren, to po co mnie wrobił? Przez przekręt? Bo to jednak on mnie tak załatwił, prawda?

Krugły spojrzał gdzieś w bok. Założył ręce na piersi, wkładając dłonie pod pachy. Wyglądał jak Bogusław Wołoszański, który zaraz oznajmi widzom, kto, jak, gdzie i kiedy ukrył Bursztynową Komnatę.

– Cała ta sprawa, Mateusz, to klasyczny przykład utraty kontroli nad pewnymi rzeczami przy jednoczesnym przekonaniu, że się tę kontrolę w pełni sprawuje. Södergren przyznał w końcu, że zlecił Strzęboszowi wrobienie cię w gwałt i pobicie prostytutki. Obawiał się, że odkryjesz szwindel z odsprzedażą urzędzeń

i wyłudzeniem VAT-u przez Strobisza oraz jego rolę w tym procederze. Chciał cię odsunąć od śledztwa. Bał się ciebie, miał nadzieję, że ktoś, kto przejmie tę sprawę, nie będzie węszył tak jak ty. Nie pytaj mnie, na czym oparł to przekonanie, bo nie wiem. Chyba myślał, że może więcej niż inni, podobno kalkulował ryzyko i wyszło mu, że nie ma innego wyjścia. Odkąd pracuję w kryminalnym, staram się pojąć, o co im chodzi. Co oni sobie myślą? Tak mocno wierzą w siebie czy tak bardzo nie wierzą w nas? – Pokręcił głową. – No i sprawa potoczyła się naprzód, tyle że nie w tę stronę. Strzębosz przesadził z Garlicką, bo to on wszystko zorganizował, na prośbę Södergrena. To jego widziałeś w stroju kosmonauty, który był kombinezonem lakierniczym. Znaleźli go w samochodzie Södergrena – był zaplamiony krwią Garlickiej, a analiza DNA wykazała, że faktycznie w momencie zabójstwa miał go na sobie Strzębosz. Södergren twierdzi, że nie było go wtedy w twoim mieszkaniu, ale były tam ślady jego obuwia. Nie przekonał prokuratora swoją opowieścią o zamianie butów i odpowie za współudział. Z zabójstwem Strzębosza sprawa jest wątpliwa, bo Södergren upiera się, że zabiła go jego dziewczyna. Ona z kolei miała się podobno sama postrzelić, przypadkiem... Badanie śladów GSR wykazało obecność prochu na jej rękach i ubraniu, ale równie dobrze mogła w momencie wystrzału próbować wyrwać pistolet Södergrenowi. To samo z napadem. Przeprowadzono eksperyment śledczy. Zaaranżowano sytuację z momentu napadu, przebrano Södergrena w kominiarkę i kazano mu przejść od jednego samochodu do furgonetki, tak jak zrobił to współnik Strzębosza.

Wszystko sfilmowano wideorejestratorem tego samego typu jak ten, który był w bankowozie, warunki zewnętrzne były podobne. Porównanie z niemal całkowitą pewnością wyklucza Södergrena. To nie on. Nie te oczy, ich rozstaw, powieki i tak dalej. Masakra, co?

- A Strobisz? - rzucił niecierpliwie Michalczyk.

- Wczoraj, w trakcie rutynowego sprawdzania jednego z lombardów, znaleziono w nim telefon Strobisza. Można powiedzieć, że to wyjaśniło wszystko, Maciek Baranowski już zastawia sidła... - Krugły spojrział w niebo i zapytał: - Pamiętasz, jak byłem w biurze tej firmy farmaceutycznej, w której kiedyś pracował Södergren?

- Pamiętam. Finlay.

- Właśnie. Rozmawiałem wtedy z jednym gościem stamtąd...

- To on? - przerwał zdziwiony Michalczyk.

- Neee. - Krugły roześmiał się. - Spokojnie, już płynę do brzegu. Ten gość zauważył wtedy jedną ciekawą rzecz: że zwykle wpada się przez idiotów. Święta prawda. Tak właśnie wpadł w Finlayu Södergren, i dlatego stamtąd wyleciał. Czasami tym idiotą jest ktoś inny, a czasem idiotą jest ten, który wkopuje sam siebie. I tu mamy ten drugi przypadek. Nie uwierzysz, Mateusz, jak trywialny był początek twojej gehenny...

## *Dwa dni później*

Wiadomość z lombardu była jak zbawienie. Niby tylko dwie stowy, a jednak potrzebował ich, jak jasna cholera. Wyrzuty sumienia powoli mijały. Wciąż jeszcze czuł złość

na tego starego dziada, który wtykał nos w nie swoje sprawy i sam sobie był winien. A on był już bezpieczny, czuł to. W końcu minęło już tyle czasu i nic się w tej sprawie nie wydarzyło, jakby wszyscy przestali się nią interesować.

Dwie stówy!

Lumia była warta o wiele więcej, ale „parzyła”, więc i tak mógł być zadowolony nawet z tego. Nie chciał sprzedać jej nikomu znajomemu, zresztą i tak wszyscy jego znajomi byli w takiej samej, czyli beznadziejnej sytuacji finansowej. Facet z lombardu powiedział, że będzie miał kasę za dwie godziny, więc ustalili, że zjawi się tam za dwie i pół, o drugiej. Dwadzieścia po pierwszej wsiadł do samochodu i ruszył w drogę do Szczecina. Ojciec zawsze był zły, kiedy zabierał mu auto bez pozwolenia, ale teraz miał to w dupie. Od paru miesięcy jest już dorosły, a to, że nie ma prawka, jest bez znaczenia. Co z tego, jeśli i tak jeździ lepiej od wielu innych, którzy je mają? Mijając zajezdnię tramwajową, zaczął pogwizdywać pod nosem i gwizdał tak aż do samego centrum Szczecina. Gdy dojechał na miejsce, zaparkował na chodniku przed oklejoną reklamami witryną lombardu. Trochę zaskoczony spojrzał na wywieszkę na drzwiach. „Zamknięte”. Po chwili zobaczył, że ktoś macha do niego ze środka, ruchem ręki dając mu do zrozumienia, by mimo to wszedł. Z ledwo skrywaną radością wbiegł po kilku stopniach, otworzył drzwi i wpadł jak burza do środka. Człowiek, który stał za kontuarem, nie był tym samym, który przyjmował od niego telefon miesiąc temu i z którym rozmawiał kilka

godzin wcześniej. To nieważne. Dwie stówy są ważne. Podszedł do niego i zapytał:

- I co, ma pan dla mnie kasę?

- Proszę pokazać kwitek.

Opadły mu ramiona. Rozejrzył się bezradnie dookoła. Zauważył kogoś przed wejściem. Facet stał na chodniku i wpatrywał się to w wywieszkę, to w niego.

- Jezu, zapomniałem - stęknął zawiedziony. - A nie da się bez kwitka? Z Głębokiego aż przyjechałem... Przecież to ja przyniosłem ten telefon, no! Tamten pan, z którym rozmawiałem niedawno przez telefon, przyjmował tę komórkę. Nie można go zawołać?

- Ten sprzęt jest kradziony, kolego. Co ty na to?

Cofnął się lekko, zaciskając szczęki. Zrobiło mu się gorąco, kompletnie nie wiedział, co ma robić.

- Nic o tym nie wiem - powiedział, wkładając ręce do kieszeni spodni. - Kolega mi go dał...

Tamten patrzył na niego bez zmrużenia powiek, a w jego oczach był jakiś smutek.

- Na pewno nie wiesz? - zapytał. - Ale ja wiem, bo to sprawdziłem.

- Nie, na pewno nie wiem, przysięgam. Mówię panu przecież, że kolega mi dał ten telefon. - Głos ledwo wydobywał mu się z zaschniętego gardła, ręce w kieszeniach pociły się z emocji i strachu. - To ja... Ja już sobie pójdę. Może pan go sobie zatrzymać. Za darmo...

- Po co ci to było, chłopie? Nawet filmu nie skasowałeś, wiesz o tym?



- Skaso... - Przerwał, zdając sobie sprawę, że dał się podejść jak dziecko.

- Nie skasowałeś. Tylko myślałeś, że skasowałeś...

Już miał się odwrócić, gotów do ucieczki, kiedy nagle rozległ się jakiś rumor. Zobaczył, jak z zaplecza wybiega kilku mężczyzn. Rzucili się na niego razem z tym zza lady. Z tyłu dopadł go kolejny, ten sam, który przed chwilą był na zewnątrz i gapił się na niego przez szybę. Przewrócili go na podłogę, krzycząc jeden przez drugiego:

- Nie ruszać się, policja!

- Ręce widzę - syczał mu jeden z nich do ucha, leżąc na nim całym ciężarem. Poczuł, jak drżą mu uda, puszczają zwieracze, a po podbrzuszu rozlewa się ciepły mocz, znacząc krocze spodni ciemną, wstydliwą plamą. Zaczął płakać.

- To był wypadek! - łkał, czując, jak wykręcone ramiona niemal wypadają ze stawów barkowych. - Ja nie chciałem, naprawdę! Ojciec kazał mi śmieci z remontu do lasu wywieźć, to wywoziłem, no! Skąd miałem wiedzieć, że w takim miejscu ktoś się napatoczy? A ten człowiek zaczął mnie nagrywać komórką, krzyczał, że ma dowód i wysłał film na policję. - Zgrzyt mechanizmu zapadkowego kajdanek, zaciskających się na jego nadgarstkach, brzmiał jak trzask zgniatanej skorupki orzecha włoskiego. - Prosiłem, tak bardzo prosiłem, ale nie chciał przestać, no... Dlaczego nie przestał? Co mu przeszkadzało? Przecież wszyscy wywożą śmieci do lasu... - chlipnął. - I coś mnie opętało, zdenerwował mnie, podniosłem ten kamień, ale przysięgam, że nie chciałem! To był wypadek!!! Uderzyłem tylko raz, przysięgam, chciałem go

tylko nastraszyć, żeby przestał mnie filmować! Panowie,  
nie tak mocno, to był wypadek, panowie... Błagam, no!

## OD AUTORA

Mogłoby się wydawać, pomijając inne, na pierwszy rzut oka zupełnie nieprawdopodobne rzeczy przedstawione w tej powieści, że wrobienie prokuratora w przestępstwo jest czymś absolutnie niewiarygodnym. Jak się okazuje, i to nie pierwszy raz zresztą, najbardziej nieprawdopodobne scenariusze pisze samo życie. W czerwcu dwa tysiące trzynastego roku (a więc tego, w którym rozgrywa się akcja Twardego zawodnika), aresztowanemu za hodowlę marihuany obywatelowi Holandii rozszerzono zarzuty o próbę zlecenia zabójstwa pani prokurator i dwóch funkcjonariuszy CBS, prowadzących śledztwo w jego sprawie. O sprawie generała Papały chyba nie trzeba przypominać...

Inne przykłady? Sporą inwencją wykazali się przebrani za konwojentów panowie, którzy w marcu dwa tysiące dziesiątego roku podjechali do jednej z licznarni we Wrocławiu bankowozem z oznaczeniami znanej firmy ochroniarskiej, pobrali pięć milionów złotych, po czym rozplynęli się we mgle gdzieś na trasie do banku, do którego oczywiście nie dotarli. Wyjaśnianiem tego, jak to możliwe, wciąż zajmuje się sąd. W maju dwa tysiące dwunastego roku zamaskowany napastnik sterroryzował obsługę sortowni pieniędzy (również we Wrocławiu!) i ukradł milion złotych.

Przykłady ludzi, którzy sądzą, że są ponad prawem i wolno im więcej niż innym, bo dobrze radzą sobie

w życiu i interesach - pomnę. Mnóstwo takich przykładów w wiadomościach. Niestety...

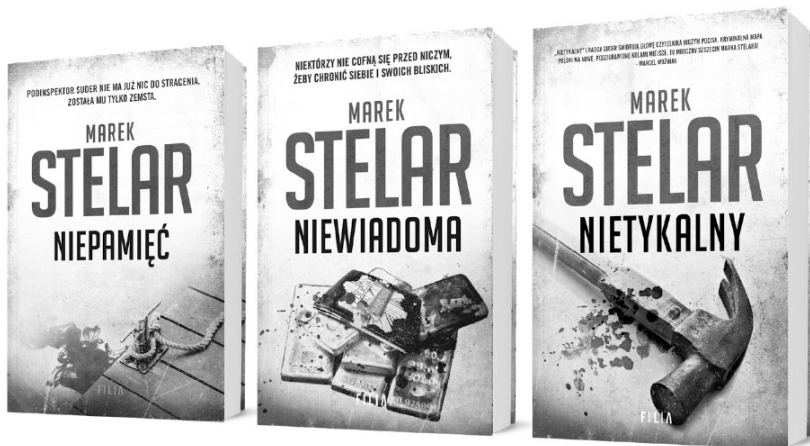
Mimo przedstawionych powyżej faktów, w dalszym ciągu z całą stanowczością będę twierdził, że wszystkie opisane w powieści wydarzenia i postacie są fikcyjne, a ich jakiegokolwiek podobieństwo do osób i zdarzeń rzeczywistych jest przypadkowe i niezamierzone. Nieumyślne błędy i przeinaczenia są wyłącznie moją winą, a te popełnione z rozmysłem miały swój sens, bo były istotne dla fabuły. Dziękuję za specjalistyczne konsultacje i wsparcie wszystkim życzliwym osobom - a jest ich sporo. Nie ma sensu ich tu wymieniać, bo wiedzą, że to o nich. W dodatku niektóre z tych osób posiadają niebezpieczną wiedzę, której częścią zdecydowały się ze mną podzielić!

No i, jak zwykle, dziękuję dziewczynom. Za cierpliwość!

*Szczecin, wrzesień 2014 - kwiecień 2015*

## OD AUTORA II

Przeczytaliście Państwo właśnie historię napisaną siedem lat temu. Pewne rzeczy, które w niej opisałem, są uniwersalne i nigdy się nie zmieniają, inne zmieniają się ciągle i sam nie mogę uwierzyć, jak szybko, na przykład postęp technologiczny. Poddaliśmy Twardego zawodnika ponownej obróbce redakcyjnej, odświeżyliśmy nieco, choć jego treść wciąż stanowi swego rodzaju zapis czasu, w jakim powstał. Mam tu na myśli nie tylko wydarzenia, którymi się inspirowałem, ale również warstwę językową. Sporo się zmieniło w moim pisaniu przez kolejne opublikowane powieści; czytając tę historię ponownie po latach, mam tego świadomość oraz nadzieję, że te zmiany są tylko na lepsze. Przy okazji swoim stałym Czytelnikom dziękuję, że byli ze mną przez ten czas, a nowych zachęcam do sięgnięcia po inne pozycje Stelara, życząc miłej lektury!

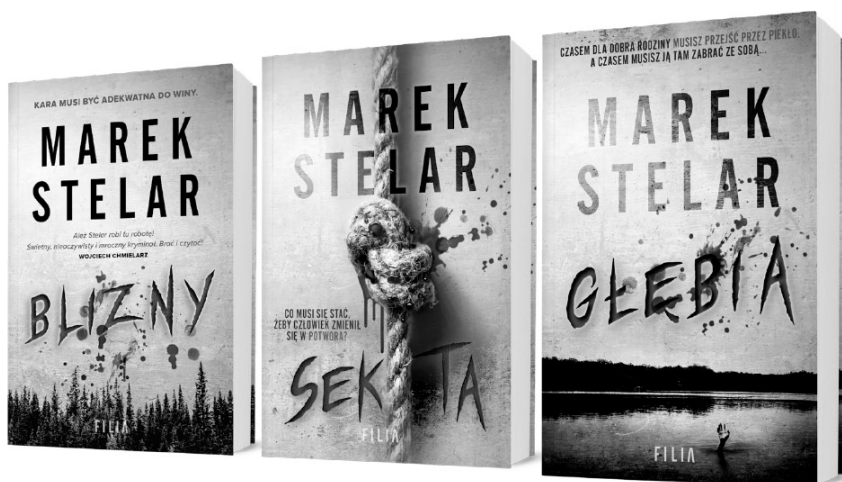


Bestsellerowa seria z Dariuszem Suderem!  
Szczecin jeszcze nigdy nie był tak mroczny.

**FILIA**



*Ależ Stelar robi tu robotę!*  
*Święty, nieoczywisty i mroczny kryminał. Brać i czytać!*  
**WOJCIECH CHMIELARZ**



*Wyrazisty i trzymający w napięciu.*  
*Kryminał Stelara to klasa sama w sobie!*

**ROBERT MAŁECKI**

**FILIA** MROczNA  
STRONA





# SPIS TREŚCI

Okładka

Karta tytułowa

Cytat

Twardy zawodnik

OD AUTORA

OD AUTORA II

Reklama 1

Reklama 2

Karta redakcyjna

Copyright © by Marek Stelar, 2015  
Copyright © by Grupa Wydawnicza FILIA, 2023

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I Grupa Wydawnicza FILIA, Poznań 2023

Projekt okładki: © Mariusz Banachowicz  
Zdjęcia na okładce: © Silas Manhood / Trevillion Images

Redakcja: Jacek Ring  
Korekta: Dorota Wojciechowska  
Skład i łamanie: Jacek Antoniuk

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:  
„DARKHART”  
Dariusz Nowacki  
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8280-526-0

# FILIA

Grupa Wydawnicza Filia sp. z o.o.  
ul. Kleeberga 2  
61-615 Poznań  
wydawnictwofilia.pl  
tel:691962519

Seria: FILIA Mroczna Strona  
mrocznastrona.pl

Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest przypadkowe.